

PIOTR WIELGUCKI  
MATKA KURKA

# BEREK



## Część I – Narodziny

### 1

Jesienią roku 1941 we wsi Czyszki i w chałupie Gdulów żyło się więcej spokojnie niż latem, gdy przyszła druga wojna z Niemcami. Dwa lata będzie jak ruska nastała niedola, ledwie miejscowe przywykły, a już przyszło żyć z nowym, niemieckim zmartwieniem. W czas wojen najgorsze czekanie, za którym idzie niepewne, jak tylko kończy się zgadywanie co dalej będzie, wszystko jaśniejszym się zdaje. Czekać na wojnę – źle, gdy wojna nadejdzie – tyle dobrego, że wiadomo jak żyć. Wrogom nie stawać przed oczami, mało mówić między swymi, do obcych całkiem się nie odzywać. Czas był ciężki – wojna szła za wojną, śmierć poszukać łatwo, wszędzie złe słowa, tam zabili, tu spalili. Po co – nie wiadomo? Czasem kto słyszał, czyje podpalone i kogo już między żywymi nie znajdzie. Zabijali zewsząd i wszystkie: Niemcy, Ruskie, bandy i partyzantka. Nie było gdzie uciekać i sam Pan Bóg nie wiedział przed kim się chować. Całkiem obcy przegonili złych sąsiadów i wiele pokazywało, że po niedobrych gorsi nastali. Niemcy, z natury akuradni, nie targowali się nad sztukami, brali jak swoje całe połacie z gromadami albo palili i mordowali bez wyjątku, gdzie dochodzić, kto winny, nazbyt wiele roboty kosztowało. Ku przestrodze płonąła wieś, aby inne znały w czym Niemcom szkodzić nie wolno. Gdy zawinił jeden – dziesięciu za niego oddawało życie, gdy nie posłuchało dziesięciu, cała wieś ginęła. Przez takie na oślep mordowanie święty mieli spokój od wszelkiego nieposłuszeństwa.

Groźnie się zrobiło po święcie, cudem Czyszki wojna krajem obchodziła: raz, że nie było czego w tej biedzie szukać, dwa, że tutejsze uciekali od każdej trwogi: żołnierzy i partyzantki. Jaki by do wsi nie przyszedł, z pustymi rękami nie chciał odchodzić. A czym się dzielić? Biedy nikomu do podziału nie potrzeba. Ludzie żyli schowani w chałupach, mało kto wiedział, w jakie imię silne zabijały słabych, tyle pewnego, że nic pewne nie jest. Początkiem bywało, że jedne przychodziły za obrońców, drugie jak złodzieja, na koniec zewsząd brali, co w chałupie schowane. Każdy jeden, który nie ze wsi, za obcego był bandytę. Nic dla chłopca nie znaczyło, jakim sposobem z głodu zemrze: od grabieży wroga czy obrońców plądrowania. Z czasem biedę w Czyszkach tak rozdęło, że i wojnie nie chciało się zaglądać, nie było co grabić i do kogo strzelać. Zabić za darmo więcej sprawiało kłopotu, jak przynosiło pożytku. Dziwne były to losy, w samym środku pożogi jedna wieś na skraju stała i choć biednie, to spokojnie żyła. W każdej chałupie wiedzieli, że gdzieś dalej po sąsiedzkich zagrodach biją, palą i grabią, komu popadnie i gdzie złapią. Do miejscowych Pan Bóg nie dopuszczał, jak śmierć szła, to sama z siebie, zwyczajnie, w chorobie i ze starości.

Obejść w Czyszkach parędziesiąt, pośród nich chałupa Gdulów, inna niż wszystkie, najwięcej zadbana i gospodarna. W te czasy, między tymi ludźmi i ze swoim strachem, po swojemu żyli, bywało, że na przekór. Tyle hardzi, że dawali poznać co się nigdy nie będzie na swoim widziało. Gdzie ich chałupa, tam własne porządki. Nie podobało się ruskie i partyzanckie poniewieranie, za jeszcze gorsze mieli niemieckie mordowanie. Wiele zaszkodzić nie mogli, tyle się sprzeciwiali, że nie pomagali. Niemcy tym, co ich stronę trzymali, zezwalali żyć bezpiecznej, poniekórym z nędzy dawali wychodzić. Gdule bandytów nie głaskali i nie mieli poważania dla giętkich, co wrogom pomoc nieśli, tyle ich sprzeciwu, ale i od tego znośniej się robiło. Przez to się zdawało, że jak chcą, tak robią, a i drugie rzeczy bez strachów żyć pozwalały: dzieci nie było, bogactw żadnych, poza ziemią i skromnym przychówkiem. Wiele nie tracili, za to dostawali miarkę godności i swobody, i nie takim nazywali imieniem, bo szkoły żadne nie kończyło. Dla nich nie słowa ważne, sami dla siebie byli najważniejsi. Niemców Gdule nie uznawali najwięcej. Czym popadło dławili groźby, co szły za karabinami. Ile umieli w poprzek stali, nie znaczy, że ważyli się na czyny, za które jedna czekała kara, groźne dopiero miało nadejść, ale o tym jeszcze nic wiedzieć nie mogli.

Przed wojną Jan Gdula pracował we młynie. Tam zarobił, że jedzenia nie brakowało i jeszcze udało się trochę grosza odłożyć. Wiele nie wpadło, ale za uskładane kupili ziemię, której starczało dla dwojga; i więcej by się wyżywiło, tylko Pan Bóg miał inne życzenie i dzieci nie ofiarował. Wśród biedoty podobne życie uchodziło za dostatnie, choć z dostatkiem mało co miało wspólnego. Wszyscy w Czyszkach szanowali Gdulów i to wiedzieli, że jak one chlebem się nie dzielą, nie ma za czym do innych chałup zachodzić. O takich rodzinach mówi się „dobre ludzie”. Zdatna rodzina, ze swoim pomysłem na skromne życie. Chłopskie małżeństwo, wszystko na miejscu, na co dzień i przy niedzieli.

Gdula był chłopem odważnym, postępowym, da się rzec, nie lękał się roboty i nie bał mechaniki, sam lubił dłużyć przy rozmaitych rzeczach, których tajemnicę nie do końca pojmował. Mechanika zaprzętała mu głowę jak dziecku co zajęte tym, jak zegarek ma w środku. Przez mechaniczne zainteresowanie we wsi uchodził za człowieka światłego i takiego co się zna. Wysoki, postawny mężczyzna, nie można powiedzieć – malowany, za to barczysty, długi i mocny krok stawiał. Na twarzy pewny swego, za co by się nie brał skończyć trzeba, wszystko razem mogło się podobać niejednej kobiecie. Już na pierwsze spojrzenie był za człowieka, na którym w każdej biedzie oprzeć się można. Ale nie taki znów dobrodziej, często powtarzał, że ludziom nie warto pomagać, bo szybciej sobie można zaszkodzić, lecz gdy pomoc przyszła, jeden raz nie zdarzyło się odmówić. Jak mawiała Aniela, chłop musiał się nagadać swojego, potem robił za kolejną, jak potrzeba, wbrew temu co wcześniej narzekał. Proste i wiejskie lubił myślenie, nie przepadał za miejskim dziwactwem, nawet i porządków w chałupie nie znosił. Brudu nie chciał, tylko jakimś dziwnym rad sposobem stać się miała czystość, sama z siebie. Sprzątanie złościło Gdulę okrutnie, może dlatego, że czasu było mu szkoda na robotę, co z niej chleba nie ma, a może przez to, że gdy Aniela w chałupie zamiatała, przeganiała męża najdalej. Chciał czystości i sprzątania nie znosił – cały Jan.

Inną była Aniela, od dziecka czysta, dbała o siebie i w domu zalatana, nie w żadnej chałupie, tak nie pozwalała mówić. Smród, bród, nędza i wszy gęsiego w chałupie maszerują, u niej – w domu – był porządek. Z urody surowa, mocna charakterem, trzeźwa twarz kobiety, która bez niczyjej pomocy da sobie z życiem radę. Z pozoru chłodna, poważna, smutna nawet, ale kto znał Gduli żonę, ten wiedział, że żartowanie z prześmiewkami to jej codzienność. Obśmiewała, że dopiekało, gdyby kto inny gadał, niejeden czułby się zmarnowany. Aniela tak dopiekała, że nie parzyło, tylko ciepłej się robiło. Przeciwnie do męża, tęskniła za wszystkim z miasta dobrodziejstwem. Wyglądała rzeczy przydatnych w domu, które zawsze chłopu wadziły. Dla Jana za technikę był rower i parowóz, żelazko albo woda w chałupie, to już cudactwo. Z różnego patrzenia na świat co rusz dochodziło do sprzecznych rozmów, oczywista mowy nie było, w biednej chałupie żyć po miejsku bogato, ale samo głupie gadanie sprawiało, że Aniela kłóciła się z chłopem z samej przekory. Była za swoim w tym, co Jan uważał za niepotrzebne i o to najczęściej szły spory. Za to zgodna ze wszystkim, w jednej słusznej sprawie, że od ludzi trzeba z daleka. Wiele razy odwoziła chłopca, gdy jedno mówił, drugie robił:

– Nie trącaj się, nie twoje sprawy, niech sobie robio, co tam zechco, swoje mamy zmartwienia – tak słyszał, gdy głośno myślał, jak odpowiedzieć temu czy innemu, proszącemu pomocy lub rady.

Gdulowa nie ufała ludziom w słowach i w robieniu. Nie stroniła od sąsiadów, nie była opryskliwą, przy swoim stała i z boku cudzego: „nie szła w kłopoty”. Bardzo roztropna, niekiedy nazbyt ostrożna, prawie bojaźliwa, szorstka w gadaniu z mężem, jednak on wiedział, że jak już coś postanowione, będzie z nim zgodna i zajmie się wszystkim, jak najlepiej potrafi. Pasowali do siebie, małżeństwo z miłości i rozumu, takie, które mogło rozmawiać i kłócić się o wszystko, byle zawsze razem, o to nigdy sporu być nie mogło. Jedno obok drugiego zawsze żyli, wspólnie pilnowali i troszczyli się o dom. Co potrzeba rodzina miała,

ile było tyle starczyć musiało. Przed wojną żyli skromnie i spokojnie, nie martwili się o jutro. Nie gonili za bogactwem, uciekali przed biedą, tak żeby zawsze być pośrodku, bo z bogacza można płaszcz zedrzeć, a z biednego – skórę. Dużo gorzej zrobiło się za Ruskiego, takich jak Gdulów nazywali kułakami i chcieli ziemię odebrać. Nie było jednak tak źle, żeby sobie nie radzić z kołchozem, ziemi pilnowali, kułakami nie przejęci. Gdy przyszli Niemcy i część Ukraińców poszła za nimi, nasza najgorsza bieda. Brakowało wszystkiego po trochu, najwięcej drzewa na zimę, to przeszkadzało i nie dawało spokoju. Szkodzili źli Niemcy i ludzie we wsi niedobre, swoje, czy ukraińskie, bardziej złorzeczący niż życzliwi, od jednych i drugich Gdule stronili. Grzechem powiedzieć, że za takich samych mieli, prawdę powiedzieć, że tak samo pomijali. Z takimi przeszkodami jak Niemcy i ludzie żyć można, bez drzewa na zimę przetrwać trudno. Przyszło się mierzyć z nie lada zmartwieniem.

Gdy brali na siebie ważne zadania, albo gotowali na jakąś biedę, zwykle wieczorem, po robocie długo rozmawiali. Często rzeczy były jasne, porąbać polana, uwiązać wiadro do studni, ale i tak gadali, taki mieli obyczaj, przemawiali każde zajęcie. Tym razem do obgadania rzecz poważna, trzeba do lasu pojechać i zabrać Niemcom drzewo. Nie kraść, tutejsze było, obcy Niemcy zaszli i nie swoje wzięli. Przed wojną Jan i Aniela nie powazyliby się na taki czyn, teraz nie mieli innej drogi i nawet wyjścia, w piecu musieli palić. Od czasu niemieckiej niewoli zapasy tajały, na nowe pieniądze zbrakło. Tylko Niemcom można drzewo odebrać i żadne w tym bohaterstwo, ale ratunek przed zimą. Po prawdzie tak było, że lasu gajowy pilnował i ten był swój. Niemcy drzewa nie strzegli, żołnierskie mieli zajęcia, ale wojna była i wszystko pod strachem się robiło, choćby nawet prawdą nie było, że Niemiec lasu pilnuje, tych się Gdule bały, nie gajowego. Leśny do sądu ciągał, Niemcom same wyroki przychodziły. Bogiem i prawdą żadnego we wsi nie ubili, ale i w tym pocieszenia mało. Głowa, gdy przestraszona, różne myśli podpowiada i niejedno zmyślane za prawdziwe się bierze. Jeszcze tej zimy pozostałym z dawnych lat palić się dało, ale oboje niespokojni byli, kiedy w domu brakowało, co być musiało. Sami nie wiedzieli, czy za podobne sięganie po tutejsze buki i brzozy zastrzelić mogli, czy tylko karali. I pewnie lepiej, że nie wiedzieli: przekonani do najwyższej kary, zaniechaliby koniecznej roboty. Rozmawiali jak trzeba, dłużej niż jeden wieczór, musieli długo rozmawiać, by czego głupiego nie zrobić, ale i kres słowom przyjść musi.

– Nie ma co wiency gadać, samemu pojedę i wszystko. Dwoje złapio, żadne drugiemu nie pomoże. I Niemca kupisz, wredny, ale człowiek, jak inne ludzie. Ja tam nie powiem, że za buka zastrzelo. Za partyzantkę, szpiegowanie i co gorsze jeszcze, nie za drzewo. Mordować i palić pod dostatkiem z Ruskimi wojujo, nie ma kiedy do lasu latać – Jan powiedział, co dawno było wiadome, tylko przegadania wymagało.

– Może i prawda, zawsze lepiej jak jedno w domu się zostanie. Raz, że Niemce, drugie, że i kto z wioski ogołoci, jak nie upilnujesz. Tak trza zrobić, tylko uważać musowo, mocno uważać. Mnie tam nikt nie powie, Niemce zabij i za byle co, jak im się spodoba. – To samo od kilku dni powtarzała Aniela. Krótka rozmowa nie była świeżą poradą i nijakim zaskoczeniem dla obojga, co wieczór przypominali najważniejsze, aby wzajemnie w słusznym postanowieniu się wspierać.

– Tak jutro z rana się pojedzie – oznajmił Jan, chłopą głosem, że nie zostawiał wiele do sprzeciwu.

– Jutro? – Aniela po kobiecemu zlekła się pośpiechu, miała nadzieję, że to nie ostatni wieczór jak planują i jutro znów sobie pogadają.

– Do dnia trza wstać, trza się kłaść, nie ma czego czekać, nic gadanie nie daje – Gdula sam czuł strach, ale bardziej bał się zwlekania niż postanowienia. Obmyślił dłużej nie męczyć siebie i Anieli.

– Jak tak, pora pod pierzynę, już pościeliła. – Żona też chciała mieć swoje małżeńskie słowo, choć nie tak ważne i niespodziewane jak jutrzejsze zbieranie Niemcom drzewa.

Kończył się październik, miesiąc przyjazny w tym roku – ani chłodno, ani mokro, znośnie. Jesień przyszła ciepła i łagodnie trwała. Jan wstał na długo nim słońce wzeszło, było przed piątą i za oknem ciemno, ale z tego żadna przeszkoda. Drogę do stajni znał na pamięć, tak samo do stodoły, wszystko, co miał zrobić po omacku wiedział. Żadna sztuka kobyłę poprowadzić dla takiego gospodarza, który nie pierwszy raz przed świtem się zrywał, bywało, że w ziąb i słotę, nie tak jak dziś, choć nawet jeszcze słońce nie wstało. Baśka, posłuszne i poczciwe zwierzę, do tego nie bała się byle czego, szła ufnie, gdzie Jan prosił. Wdzięczna gospodarzom za dobre traktowanie, nigdy krzywdy od nich nie zaznała, a przez las nie raz jeździła. Chwilę trwało, nim Gdula zaprzął, pozamykał za sobą, po czym ruszył w stronę lasu. Aniela do tych obrządków ręki nie dokładała, wcześniej obgadali, że takiej potrzeby nie ma, lepiej po cichu wyjechać. Tam gdzie więcej ludzi, zaraz i hałasu nie ma. Poza wszystkim żadnej pomocy nie potrzeba, bo i do czego.

Wóz jechał polną drogą prosto do drzewa zbytnio nie skrzypiąc, ani Baśce trudu zadając, źle nie miała, droga sucha i ubita. Gdula rozglądał się po polach czy wszystkie kawałki już przeorane? Czy kto zaniedbał chłopa obowiązki? Martwił się każdym jednym ugorem, nie lubił marnotrawienia i bywało, że głośno do siebie mówił, jak ziemia skrzywdzona. Ostre powietrze szczypało nos, od czego zaraz czerwieniał, od wiatru łzy zaszyły do oczu, pomimo tego, że kobyła lekkim stępem, nie galopem wóz ciągnęła. Nie przeszkadzało Janowi nic, bez powietrza żyć nie mógł, wszystko, co w nim pachniało i gwizdało, było potrzebne, przyjemne jak małe które. Nic nie zawadzały łzy nachodzące i nos czerwony. Od lasu i pół wiało, najlepszy wiaterek, trzeźwił ciężko zaspanych i całkiem pijanego postawił na nogi. O tym Jan dumiał i o pola oraniu, całkiem zapomniał, z jakim jedzie zadaniem, ale i przez to szybciej na miejscu się znalazł, gdzie zaraz sobie co ważne przypomniał.

Do lasu wóz wjechał prędzej niż Gdula planował, ucieszył się i do myślenia o drzewie przywrócił. Przed trudną robotą, jaka czekała, wołał, aby jeszcze ciemno było. Nie myślał przywieźć tyle, ile potrzeba, wyprawa bardziej na próbę, czy nie daj Boże jakich Niemców w lesie nie spotka. Nawet nie wziął ze sobą piły, tylko siekiere, tak sobie miarkował, że z piły gorzej się tłumaczyć. Zawsze jakiś konar na leśną drogę spaść może, na to siekiera potrzebna. Szeroka przecinka, którą znał więcej niż dobrze, zezwalała spokojnie się porozglądać za takim drzewem, jakie by się nadawało, nie trzeba nawet z wozu schodzić. Jedziesz i wszystko widać, tylko szukać powalonego, najlepiej, żeby niezbyt grube i przynajmniej kilka miesięcy nie sprzątnięte. Bywało, że gajowy z robotą się nie obrabiał albo kto inny chciał wywieźć i spłoszony zwalone zostawiał. Świeżo ścięte do pieca niezdatne, odleżeć musi, dopiero przeschnięte ciepło daje. Takiej okazji wypatrywał Gdula, rozglądając się na obie strony, podzielone przecinką.

Leśna droga już nie taka dobra jak polna, doły i nawet gdzieniegdzie woda pod cieniem stoi, rozrzucone suche gałęzie, trzaskały pod kołami. Wszystko sprawiło, że wozem huśtało, w kołach skrzypiało i echem odbijało się po lesie. Jan dużo uważał, jechał wolno, by losu nie kusić hałasem, mimo ostrożności nie bardzo mu szło. Prawdę gadają, że kto w ciszy zechce się schować, każdy szept zdaje się jemu krzykiem, może i dlatego Janowi bardziej głośno było, niż rzeczywiście słyszał. Trzaski spod kół wadziły, nie dały posłuchać co się w lesie dzieje. Rozglądać się za drzewem nie najważniejsze zajęcie. Patrzyć czy kogo nie ma? Uważać czy kto nie idzie? Tego Jan pilnował najmocniej, odkąd wóz hałasował. Zmęczył się w końcu i przestraszył od samego słuchania, musiał odrobinę odsapnąć i strachy zagłuszyć. Skręcił w pierwszą poprzeczną dróżkę i zatrzymał kobyłę, zawinął lejce o kłonicę, oparł łokcie na kolanach. Szukanie spoczynku niewiele dawało, gdy wozem stanął, każdy szmer się

wcisnął do uszu, każdy powiew wiatru, szum drzew i szelest krzaków. Za inne razy nie robiło żadnego przerażenia, zwyczajne lasu gadanie, za ten raz nie dawało spokoju, w głowie niemieckie straszło drzewo.

Siedział dłuższą chwilę i sam sobie przygadywał, że nic złego się nie dzieje, że tak zawsze było i tak być musi, taki jest las. Nie mógł pomiędzy drzewami truchleć, osobno dla niego makiem się nie zasieje. Ile zdołał tak sobie tłumaczyć i bliski był już trzeźwego myślenia, gdy za bukami trzasnęło więcej jak przedtem. Przetoczyło się po grzbiecie, zajrzało pod czapkę, przez uszy trafiło do głowy i dalej rozeszło się po ciele. Nie szmerek się toczył i nie szum, ale łamało gałęziami, wyraźnie, jakby kto nogą napierał. Jan słyszał kroki, parę razy postąpiło, potem cicho i znów szemranie. Pewny był, że trzaska i szeleści, kroki musiały być, w lepszym razie sarny, albo dzika, w najgorszym Niemca. Takiego zobaczyć strachał się najwięcej, a od lęku tracił myślenie i wszystkie moce do ruchu potrzebne. W pamięci przywrócić próbował, co sobie w domu obmyślił, jak będzie gadał, gdy złapią, ale na nic zdały się trudy. Nic nie pamiętał i w sile nie był się poruszyć. Skurczył grzbiet na wozie i sam nie poznawał gdzie jest, co tu robi, zapomniał wszystko, jak kamień zastygły się zrobił. Pogubił się ze wszystkimi myślami, całkiem bezwładny, czekał co najgorsze przyjdzie.

W krzakach znów się poruszyło, nie krokiem po gałęzi, ale za to z innym chlupaniem, jakby kto nosem zaciągał. Jeszcze więcej Jana spięto i paraliżem zdzieliło, nie dzik to chodzi i nie sarna, ale wiele groźniejszy zwierz – człowiek. Zmysły potracił, wspomniawszy Anielę, przed kuchnią stała spłakana, wszystko w rozumie sobie pomieszał, nie mógł poskładać i najprostszego. Za czym Niemiec ma w krzakach siedzieć i nosem żałośnie podciągać? Przecież nie chłop Niemiec się lęka, ale chłop Niemca. Nie zdolny był na jedną chwilę strach wstrzymać. Z głową na karku krótko do jasnego myślenia, jednak nie rozum, tylko strach siedział pod czapką. Trzeci raz zatrzeszczało, jakby głośniejsze i za wiele wszystkiego się stało. Nikt nie wołał, o nic nie pytał, z samego trzaskania Gdula ręce podniósł do góry, poddał się, choć nie mógł wiedzieć komu. Zesztywniał w na czas jakiś, w końcu ręce zemdlały i same opadły na kolana. Na tę jedną chwilę przyszło otrzeźwienie. Coś zaczęło do Jana dochodzić, nade wszystko, że dłuższą chwilę truchleje pod krzakiem i nikt z buczyny nie wyłazi. Sarna i dzik dawno by się spłoszyły, zresztą Baśka dzika czuła i zaraz dawała znać po sobie.

– Niemiec w krzakach chował się nie będzie. Licho wie, co gdzie siedzi? – tyle pod strachem wymyślił. Starczyło, aby siły odzyskać i z miejsca się ruszyć. – Niech się dzieje, co ma być, trza wóz zawracać i do chałupy uciekać. Niech co chce, będzie pod krzakiem, stać do wieczora nie idzie – przemyślał raz drugi. Odwiązał lejce i tylko pociągnął, nie dając klaczy żadnej komendy, ta wiedziała, jak iść. W lewą stronę wóz poszedł łukiem, miejsce zrobić, na wąskiej dróżce nie było pola na inne cofanie, trzeba najpierw w lewo, potem najmocniej jak się uda w prawo, między buki. Stamtąd nazad w brzozy po lewej i dopiero raz jeszcze całkiem na prawo. Na hetta buczyna pokazała się od drugiej strony... i żeby tyle...Odkryło się więcej, co za gałęziami nosem zaciąga i chlupie. Na taki widok nie wiedział Jan czy odetchnąć ulgą niemłą, czy zdębieć więcej. Dziecko skulone siedziało, najwięcej dwanaście lat, chłopiec w przydługim płaszczu, w za dużych butach i mocno, prawie na oczy zaciągnięty miał kaszkiet, jakby się w nim cały chował. Struchlały, jak Jan przed niedługim czasem i tak samo nie zdolny się ruszyć. Strach przykuł go do krzaków i tam zatrzymał. Widok całkiem niespodziany, ale od tego Jan w końcu odsapnął. W duchu podziękował Bogu i Anieli, że się na pewno za niego modliła, bo tu nie miejsce narzekać. Jeszcze przed chwilą zęgnął się ze światem, czekając Niemca z karabinem, teraz spotkał więcej od siebie złkniętego, słabszego i niegroźnego. Czy nie groźny miało się dopiero widzieć.

– Kto ty? Co za jeden? – pytał głośno, choć nie miał srogich zamiarów, nawet chciał być łagodny, dopiero jak powiedział, sam usłyszał, że krzyczy jak stójkowy, albo i gorzej szorstko. Spytał jak starego, a tam przy buku, skulony i spłakany siedział nieborak. Pomyślał się poprawić i zaraz dodał: – Nie bój się nic, sam się zląkł. Nie bój się.



Gdula podszedł bliżej, chłopiec nie ruszył się na pierwsze słowa i drgnąć nie chciał na drugie, siedział przykurczony z głową pomiędzy ramionami. Tak dziecko oczy zatyka i myśli, że wszystkim robi się ciemno, przez to nikt jego nie znajdzie. Jan nie wiedział jak z dziećmi się obchodzić, chłodnym był mężczyzną, rzadko pokazującym uczucia, nawet tym, których kochał szczerze. Napotkał dla siebie biedę i nie umiał się odszukać, nie miał głowy, jak zagadać, by choć imię wydobyć i nie przestraszyć dzieciaka. Zostało próbować takim sposobem, jaki się znajdzie..

– Poblądził? Zgubił się? Co tobie je? Niemowa? Sierota? – postawił jeszcze jeden krok.  
– Głową kiwaj, jak gadać nie wiesz. Skąd ty tu? – pytał twardo i nic nie pomagało, żadnej odpowiedzi, nijakiej mowy, tylko milczenie z głową schowaną pomiędzy ramiona. – No, bracie, jak ty niemy i nieruchawy to ja ciebie samego zostawię. Widno podoba się tobie pod bukiem i ludzi nie potrzebujesz.

Nie na żarty słowa, ruszyły chłopca. Przemógł strach może i nie tyle zmógł, jak zląkł się jeszcze więcej, że znów sam zostanie i będzie niemało gorzej. Na słowa Jana z miejsca podniósł głowę i pokazał się cały. Chuda twarz, brudne, łzami rozmazane policzki i prośenie pomocy, co w oczach miał napisane, a które prosto w Jana trafiło. Ratunku czekał, schronienia, ciepła, pewnie i jedzenia kilka dni nie widział, całą litanię Jan na twarzy znajdy przeczytał.

– Ludzke mowe poznajesz. Niech tobie będzie, nie chcesz nie mów, ale bodaj pokaż co ja z tobą robić mam? Nie wiem kto ty, czyj ty? Gdzie twoja matka? Ojciec gdzie? Gdzie rodzina? Sam żeś jest? Kiwaj, co i jak – skończył przepytanie, a chłopak, chcąc zatrzymać przy sobie ratunek, skinął na ostatnie pytanie z góry do dołu.

– Mówisz sam? Może i prawdę mówisz. Kto dziecko w lesie rzuca? Po reszcie i o to nie trudno. Podły czas i ludzie nie lepsze. Ale co mnie do ciebie, co ja tobie pomóc mogę? Akuratnie na mnie popaść musiało, ani ja żem się o ciebie modlił, ani żem twój wróg. Co ja mam z ciebie? – pochylił nad nieszczęściem, lecz nie ważył się dotknąć, tylko stał przygięty, lepiej kiwanie chciał widzieć.

Słychać było, że Gduli skotłowało myśli, szukał wyjścia z niedoli, której sobie całkiem nie życzył. Spadło na niego takie, że ze wszystkim nie był gotowy i teraz za pierwsze chciał uciekać od biedy. Dla Jana w krzakach siedziało strapienie, ale też wiedział, że nie może dziecka w lesie zostawić, choć już słyszał Anieli gadanie, żeby się nie pchać w kłopoty i nie wtrącać, gdzie cudze. Po dwóch stronach różne racje, tyle z tego zostaje, że jak się dobrze przyjrzeć, nie ma czego dumać. Za drzewem zziębnięty sierota, przestraszony, szuka ratunku. Co by Aniela nie chciała, dziecka w potrzebie zostawić nie wolno. Pochylił się więcej i pomógł chłopakowi wstać. Gdula chłopisko rosło i niezgrabne, jednak podniósł tyle delikatnie, że dzieciak nie próbował się sprzeciwiać, ufnie dał sobie pomóc.

– No, pójdziem, co ma być niech je. Sam się nie zostaniesz i wiency ja od ciebie nie wyszarpie. Zagrzejesz się, zjesz, strach pójdzie precz, to i mowę odzyskasz – pocieszył spokojnie, jak na Jana, to i delikatnie nawet, w każdym razie z troską w głosie. Chłopiec według przykazań wykonał polecenia, z wdzięczności, ze zmęczenia i też z nadzieją na ratunek. Wsiadł na wóz obok wybawiciela i dał się okryć płachtą, która wcześniej przykrywała siekiere. Gdula drzewa nie urąbał, nie dbał już nawet i o to czy Niemcy znajdują, tak był zajęty świeżym zmartwieniem i tak mu strach odtajał, że zupełnie utracił ostrożność. Wycofał wóz i pogonił kobyłę głośnym: „wie!”. Teraz jak najszybciej chciał zawieść kłopot do domu, we dwoje pędzej da się zaradzić.

Na niebie i w lesie powoli zaczynało świtać, buki z brzoźami parowały rosą, pomiędzy gałęzie przepuszczały słońce. Z rąbania nic, trzeba było się uporać z niespodziewanym strapieniem. Przez całą drogę myślał, jak się Anieli tłumaczyć będzie i co ona na wszystko powie? Żony się nie bał, on w domu rządził, ale uważał jej zdanie i na własny użytek miał takie przeświadczenie, że jak co powie, tak zwykle na jej wychodzi. Przez skórę czuł, że tego

żona nie pochwali, żeby nie wojna, co innego, ale w taki czas przywozić do domu trzecią gębę do michy było głupim. Z grubsza podobnych słów się spodziewał, znał Anielę na wrywki i wiedział, że takie jak wiezie nie pójdzie mu na płasko. Baśka lepszym kłusem wracała, dawno takiego ruchu gospodarz nie zadawał. Całą drogę w milczeniu przejechali, Gdula miał pełną głowę, układał rozmówienie z żoną, chłopak złękniiony milczał, jak wyuczony, czekał co go spotka. Na razie źle nie było, pomimo ciepłej jesieni nocą chłód dał się we znaki, teraz mógł się okryć i liczyć, że wkrótce coś zje, jak wcześniej słyszał. Chyba mocniej niż ziąb dokuczał pusty od kilku dni żołądek. Myślał Jan, dobrze sprawę rozegrać i o swoje martwić się znajda. Co go czeka od tego człowieka, dokąd jedzie? Czy to ratunek, czy może przystanek w niedoli? Razem siedzieli na wozie i nic nie wiedzieli, jaka ich przywita najbliższa godzina, obaj odgadywali, co dalej.

Ze dwa razy szybciej wóz wracał do domu niż wcześniej toczył się w las. Jan nie dbał by cicho było, ani czy go kto zobaczy, nieostrożnie się śpieszył, prawie, że bez głowy. Mało pomyślał i przez to źle. Starczyło, że nic nie urąbał, z samą siekierą jeździć żadna zbrodnia, a gdy na drogę wyjechał, czuł się już całkiem bezpieczny. Nawet i w lesie nie przejmował się niczym, tylko tym jednym, żeby już pod stodołę zajechać. Zapomniał, że większe od drzewa wiezie niebezpieczeństwo. Słońce poszło w górę i wieś zbudziła się do swoich zajęć, ale po drodze nikogo nie spotkał, tak się Gduli zdawało. Niewiele w tym pewności i pół po żniwach zoranych nie zobaczył, znaczyło, że nic nie widział i taki był przejęty drugimi sprawami. Coraz bliżej chałupy koła turkotały, aż w końcu z drogi dało się widzieć dym z komina, to Aniela w chałupie już się krzątała i ścigała domowe roboty.

### 3

Zajechali na podwórze, Gdula lżej oddychał, ale niczego pewny być nie mógł, tym się cieszył, że o jedno bliżej. Dobrze, że już nie w lesie, ale pod stodołą, reszta poskładać się musi.

– Siedz, pokąd wyprzęgnę, potem zajdziemy do chałupy – przekazał dobrą nowinę i z razu chłopaka ucieszyła, który tęsknił za domem i nawet, jeśli nie jego był i niechby chałupa się nazywa, czuł się lepiej z tym, co usłyszał. Zanim Gdula uporał się z wyprzęganiem, do stodoły przybiegła Aniela. Wypatrywała powrotu od chwili, gdy przez okno męża zegnała, teraz widziała, że na pusto, bez drzewa, wraca i nie mogła zobaczyć, kogo jeszcze ze sobą przywiózł. Dopatrzyła, że sam nie jedzie i złękła się widoku nie na żarty. Przy stodole wszystko stało się jasne, znaczy tyle, że Jan z dzieckiem przyjechał. Po co? Dlaczego? Czyje? Nie umiała odgadnąć. Już język świerzbiał, ale widziała, że się chłop uwija, głową kręci, aby nic nie mówić, dlatego stała posłusznie. Nieruchomo czekała, aż się nadarzy sposobność rozplątać tajemnicę. Jak tylko Jan zaprowadził Baškę do stajni, chwycił za rękę chłopaka i we trzy szybkim marszem poszli do chałupy. Ledwie zamknęły się drzwi od sieni Aniela szykowała się do ciężkiej mowy, ale gospodarz nie dał możliwości, poprowadził gościa po chrześcijańsku, do większej izby.

– Bier ty jego i sadzaj koło pieca. Zmarznięty i brudny ogromnie, trza by jego wymyć. Zachodź do kuchni, ja beczkę ze sieni przyniesie – dzięki rozporządzeniu Jan odwłókł żony gadanie.

Aniela popatrzyła na znajdę i bez słowa przyznała rację, za pierwsze trzeba myć, śmierział i czarny jak święta ziemia. Przy tym wszystkim zapomniała, co on w chałupie robi? Gdule byli nauczeni, że najpierw robota, potem gadanie, przyzwyczajenie zaważyło, że żona posłusznie wykonała męża postanowione i poprowadziła znajdę do kuchni. Za chwilę do izby wrócił gospodarz z balią, duża była na tyle, że i stary prawie się mieścił, dziecko mogło całe się schować.



– Dopiero rozpalila, godzina nie bedzie. Woda zimna, potrzebnio czekać – wyjaśniła zawczasu.

Pierwsze słowa ucieszyły Gdulę, Aniela zajęła się chłopcem, nie próżnym rozprawianiem, ale za wcześniej się pozbył zmartwienia i zaraz karę dostał:

– Kogo ty sprowadził? Kto on je? Czego nic nie gada? Czy ty zgłupiał, cudze dziecko do domu gnać? Tera w lesie dzieci rosno? – nakrzyczała po swojemu.

Jan zapłacił za pośpiech, z lepszej strony miał już za sobą najgorsze, bo pierwsze gadanie, w duchu przyznał, że wcale nie tak źle poszło.

– Takie czasy, dzieci w lesie rosno. Sam je, chyba, że sierota. Mnie skąd wiedzieć? Nie gada, tyle, że kiwa, co nakiwał, niby sam je. I ty by dziecka w lesie nie zostawiła – ostatnim słowem podzielił się kłopotem, co sam go znalazł, ale nie tak łatwo Anielę do spółki wciągnąć.

– Ty mnie do swego nie plątaj, do lasu jadę, drzewa szukam. Cudze do domu sprowadzać? Skąd ty znasz, że sam? Ze strachu i zimna jemu głowa lata. Bóg wie co ty pytał i co on gdzie kiwał? – denerwowała się i nerwy rękami odpędzała, machała niemało, aż Jan pomyślał, że sierotę przestraszy. Głos żony krzyczał mocno i wiele, ale znał mąż Anielę w pół słowa i w pół grymasu. W tym głosie nie było złości, że chłop co musiał zrobić, było krzyczenie, że nie byle jakie strapienie w domu zamieszka.

– Krzycz, krzycz! Takaś mądra? Sama jego pytaj. Kto dziecko luzem zostawi? I Niemiec niektóry weźmie, a ty się drzesz, choć wiesz, że nie ma czego. Nie ma co myśleć, czego się nie wie. Trza robić, co się wie, że się należy zrobić.

Za odpowiedź usłyszała, że sama powinna sumienia pilnować, takie myślenie nie mogło się podobać i nie spodobało, chociaż wcale ładnie Jan swoje słowa pozbierał.

– Filozuf! Już ja znam, za czym się drzyć. I ty znasz, ale głupiego strugasz. Pod kuchnio kładź, niech się woda grzeje. A ty bedziesz gadał, co za jeden, bo jak nie, sama do lasu powieze! – Kobieta krzyknęła i chłopak zaraz zwiesił głowę, po drodze patrząc w oczy Janowi, u niego szukał ratunku.

– Kogo nie bądź do lasu wozić nie trza, nie strasz jego, on i tak zaledwie stoi – znów się żonie od chłopca uzbierało.

– Głodny temu ledwo stoi. Bierz miskę z mydłem, w sieni stoi. Po rencach i głowie jako bądź pochalapć się może. Kłască trza na kuchnię, co z wczorajszego obiadu się zostało, chude to jak Jezusik – znów machnęła rękami, powoli oswajała się z nowym, nie godziła się, ale wiedziała, że racja po męża stronie. Dziecko trzeba odratować, gdyby nie, Pan Bóg nie daruje.

– Barszcz i kartofle bedziesz jadł? – spytała bez nadziei, że co odpowie, chciała chociaż po twarzy poznać, co chłopak na to.

Chude policzki i mokre oczy powiedziały bez namysłu, że jadł będzie wszystko, co się nada, byle żołądek zapełnić i takie, że się nada by zjadł. Pokiwał i zaraz zwiesił głowę. Jan wrócił z sieni, przyniósł, co potrzeba, za szarym mydłem sięgnął i razem z miską postawił na stole.

– Tu chodź! Chlap się bodaj po wierzchu, zjesz co i potem na większe mycie się przyjdzie. Łachmany musowo zedrzeć, ale co dali robić? – Wszystkie polecenia chłopiec wykonał natychmiast.

– Z łachami robić?! Spalić wiency nie! Tego nie dopierze, a i prać nie ma co, Matke Boske się widać – Aniela odpowiedziała jakby słowa wszem wobec kierowała, nie akuratnie do chłopca, tym bardziej do obcego dziecka.

Chłopak mył się szybko i dokładnie, widać sam tęsknił za czystością, chciał zrzucić z siebie smród, co nim przesiąkło obszarpane ubranie. Pewnie w tym pośpiechu, ale i dokładności myślał o jedzeniu. Jak się dobrze i szybko wymyje, prędzej będzie mógł się najeść. Aniela przesunęła garnki z ziemniakami i barszczem w sam środek pieca, pod którym już się dobrze paliło. Pierwszy od kilku dni posiłek grzał się na kuchni, a chłopak, co twarz

obmywał, zerkał w tamtą stronę, gdzie parowało i pachniało. Gdulowa przywazyła wachanie, zaczęła więcej po garnkach zaglądać, choć od mieszania jeszcze nic się nikomu prędzej nie zagrzało. Bardziej chciała chłopcu pokazać, że już niedługo będzie niż garczkom pomóc. Skończyło się mycie, wytarł twarz, po czym poskładał i odwiesił na ławie białe, do prześcieradła podobne płótno. Bardzo się spodobało Anieli, zobaczyła, że do czystości jest taki jak ona, trzyma porządek. Teraz Jan zrobił, co do niego należało, chwycił miskę i poszedł przez sień, by przed chałupą brudną wylać wodę. Takie nieczystości, co z mycia się brały, zwykle za progiem wylewano i nawet czysta gospodyni z tej przyczyny krzyku nie podnosiła. W końcu w garnkach zaczęło silniej parować barszczem i skwierczeć omaszczonymi słoniną kartoflami. Nie całkiem się wszystko przygrzało, jednak gospodyni obmyśliła, że lepiej niech dzieciak letnie je, jak ma się męczyć czekaniem na gorące.

– No, siadaj do dużego stoła, zara dostaniesz – nawet nie popatrzyła na chłopaka, ale po chwili obróciła się, żeby sprawdzić co zrobił? Czy wie co duży stół? Skoro nie gadał, może całkiem głupi? Usiadł posłusznie, ucieszył Anielę, że nie taki niemota wcale, żywo nałożyła jedzenia do misek, osobno barszcz, osobno kartofle, tak jak zawsze z Janem jedli. Postawiła michy przed głodnym i szybko się spostrzegła, że nie przyniosła łyżki. Doniosła, co potrzebne, usiadła przy stole, przy którym i Jan już miejsce zajął. Oboje siedzieli na ławie od ściany, bokiem do chłopca co na krześle sobie wybrał miejsce. Gdule tak się pomieściły, że po miskach wprost nie patrzyli, tylko kątem oka zerkali jak smakuje. Chłopak rzucił się na jedzenie, ale wcześniej popatrzył po naczyniach i od razu wybrał tam, gdzie barszcz. Kartofli z omastą nie ruszał, widać było, że barszcz mu smakował, nie wiedzieć czemu drugiego nawet nie spróbował.

– Czego kartofli nie je? Barszczem się nachlipie! Jedz, dobre, omaszczone – gospodyni bliżej podsunęła michę i patrzyła co się stanie, lecz nic się stać nie chciało, chłopak dalej łapczywie połykał barszcz, innego nie chciał ruszać. Gdulowa zachęcała do jedzenia, z drugiej strony zachodziła w głowę, czego dzieciak kartofli nie tknie. W końcu nie wytrzymała i podeszła do niewdzięcznika, zerknęła w naczynie czy nie brudne? Czy mucha nie wpadła, albo co innego? Nic takiego nie znalazła. Chłopiec przestraszył się przegładania i jeszcze szybciej barszcz zaczął siorbać.

– Miska czysta. Tobie tak się jeść chce, że ty kartofli nie ruszył! Próbuj chociaż! Barszczem się nie najesz, napijesz tylko. Może tobie do barszczu wsypać? I tak jedzo – chciała wrzucić, ale zobaczyła, że głodny rękami zupełną nakrył, dając znaki, że to je co mu smakuje, drugiego nie chce. – A jedz, co chcesz, widno taki ty głodny – zeżliła się nie na żarty, nie lubiła marudzenia na swoje gotowanie, jak każda gospodyni. Słowa Anieli przeczyły temu, co się przy stole działo, zupa znikła w takim pośpiechu, że i chłopcu ciężko byłoby dorównać.

– Jemu coś nie bardzo te kartofli. Dziwne je, może od małego nie lubi, albo co? Mówisz, nie głodny? Mnie się widzi, że on i garczek przechylili, tylko z kartoflami się zapał. Daj jemu pajdę chleba z masłem, bo mało będzie – powiedział do żony i na potwierdzenie słów pokiwał głową. Chłopak od razu na krześle się podniósł i oczami podziękował, że Jan trafił we wszystko, o czym teraz marzył.

– Angielski jaki? Kartofli jego kłujo? Chleba mu rób! No, niech i tak będzie, ja zobacze, czy on zje tego chleba, takich cudów jeszcze nie widziała – odtrącenie z omastą jedzenia nie dawało Anieli spokoju. Dziwne było dla niej przyzwyczajenie, niepojęte, z tego wszystkiego poszła do kuchni kroić, sama ciekawa, co dalej będzie. Przyniosła sporą pajdę, grubo posmarowaną masłem i posypaną solą. Chłopiec wziął chleb prosto z ręki i pokiwał dwa razy czupryną, co miało znaczyć, że więcej niż bardzo dziękuje.

– A widzisz, głodny i nie przykrzy na jedzenie. Kartofli czegoś nie lubi i tyle jego, może za to, że całe, nie poduszone. Pewnie z miasta je, w mieście tak się barszczu nie je – jak majster od gotowania zauważył Jan.

– Ino jak? Jak nie tak? – zezłościła się Aniela.

– A tak, że do barszczu krojo jak w inne zupę – Jan mówił swoje, Aniela się denerwowała, że jej, gospodyni, chłop objaśnia, jak gotować.

– Kucharka się naszła, może i on ze samego Lwowa być, a miskę z barszczem zastawił, jak mu chciała kartofli rzucić – przypomniała niedawne wydarzenie.

– Bo nie krojone byli – ledwie Gdula powiedział, już poznał, że ten raz za dużo mu się wyrwało, że nie ma się czego przy swoim upierać. Wystarczyło za wszystkie słowa jedno spojrzenie Anieli. Zrozumiał, że zbyt mocno drażnić żonę, sam widział, że trudno zgadnąć jaka przyczyna w tym odtrącaniu jedzenia. Chłopiec prawie nie słyszał rozmowy gospodarzy, głód przeganiał i nic więcej go nie obchodziło. Zjadł barszcz do ostatniej kropli i gdy kończył Gdule zobaczyły następne cuda. Dzieciak miskę nie na siebie, tylko od siebie wychylał, mimo dziwactwa tak sprawnie łyżką machał, że bez trudu się uporał z resztką na dnie. Skończył, odsunął naczynie i wziął się za ostatni kawałek chleba, wtedy Jan poprosił Anielę o drugą pajdę i kubek ciepłego mleka, nie masz grzechu większego niż dziecko głodnym zostawić. Sam w tym czasie powynosił ze stołu, żeby nie wyglądało, że tylko rozkazy wydaje.

Gdule w kuchni szeptem radzili, co dalej robić. Głodny sierota, przy ostatnich kęsach chleba i łykach mleka w końcu poczuł się syty, ale i tak połknął wszystko do ostatniego okruszka. Podniósł się, zaniósł kubek do kuchni i postawił gdzie inne brudne naczynia. Obyczaje gospodarzy podpatrzył i tak się za jedzenie z opieką odwdzięczał. Grzeczny uczynek takie samo dał zadowolenie Anieli i Janowi. Popatrzyli po sobie zgodnie, oczami przyznali, że dobrze się chłopak sprawuje. Grzeczny i posłuszny, jak rzadko który.

– Pomacaj wodę czy ciepła? – Aniela zawołał na męża i zrazu dostała odpowiedź, jak tylko chłop włożył palec do wody.

– Nie całkiem gorąca, ale po mojemu będzie, tylko zimnej nie potrzebno dolewać. Wody po sam brzeg, starczy jaka je. Potem świeże się nastawi – powiedział spokojnie.

– Jak tak, lej co je, a beczkę w drugie izbę się poniesie.

Jan zrobił, jak nakazała żona, razem wynieśli balię do drugiej chałupy. Aniela jeszcze raz sama macała, jaka woda; gdy zobaczyła, że wszystko w porządku, wróciła za mydłem i czym do wytarcia.

– Coś trza do ubrania uszykować – przytomnie wspomniął Gdula.

– Ta czego za mną polazł, idź, poszukaj jemu jakie koszuli... i spodni. Pokąd co, tak się trza ratować – skarciła męża za próżne gadanie. Gdy Jan się sprawił z zadaniem, zaraz Aniela nakazała brudnemu się rozbierać i wchodzić do wody po szyję. Przedtem przymknęła drzwi i sama wyszła przykazując jak trzeba:

– Porozbierasz się, łachmany za drzwi rzuć.

Chwili nie trwało i przesiąknięte smrodem ubranie wyleciało po drugiej stronie uchylonych drzwi. Aniela bez namysłu zaniosiła smród do sieni. Za drzwiami chlupało i chlustało, chłopiec szorował się od stóp do głów, Gdule cierpliwie czekały aż skończy. Wcale im nie zależało, żeby się szybko wymył, lepiej niech się szoruje, jak Pan Bóg przykazał. Siedzieli w milczeniu i nasłuchiwali, co się za drzwiami dzieje, a po dużej izbie się rozglądali, każde w swoje kąty.

Dom Gdulów poskładany z kilku części i każda miała swoją domowe imię. Dużą izbę, w której pomieścić musiało się wszystko, nazwano prosto – izbą. A w niej wielki piec, jakiego we wsi nie było, niby taki, jak gdzie indziej stały, ale na inną modłę zrobiony, bardziej z niemiecka. Przy piecu ogrzać się można, wyspać, ugotować, upiec chleb i w osobnej komorze trzymać ciepłą wodę, to właśnie było inne niż wszędzie. Gdzie piec, stały i wisiały rozmaite drewniane półki i półeczki, ozdobione naczyniami, do tego stół i przy stole ława, po bokach dwa krzesła. W tym miejscu Aniela trzymała też do gotowania potrzebne narzędzia: maślnicę, chochle, garnki, kociołki i niecki do chlebowego ciasta. Wszystko razem nazywało się kuchnią i choć z pozoru zdawać się może, że w pomieszaniu nic do siebie nie pasowało, potrzebną było całością i od reszty oddzielało przy garczkach

robotę. Co w kuchni stoi, wszystko ma być i na swoim miejscu, tak mówiła Aniela, gdy Jan gubił się w jej porządkach. Reszta i dalej od pieca zajęta przez drugie sprzęty. Duży stół pośrodku izby jeśli patrzeć na długość, na szerokość bliżej okna. Do stołu dosunięte dwie ławy, czasem Aniela dostawiała krzesła z kuchni, jak przychodzili ważniejsi goście. Na podłodze nie było desek, o takim luksusie myślała Aniela, ale na glinianym klepisku skończyły się marzenia i tak we wsi wszystkie po chałupach mieli. Przy ścianach stały łóżka z pierzynami, po jednym dla każdego. Nie przez to, że małżeństwo skłócone, tylko z wygody, każde wolało się wyspać po swojemu. Jedno z tych dziwactw, co to różniło Gdulów od wsi, gdzie wszyscy żyli po normalnemu, co najczęściej markotnie znaczyło. Bliżej stołu niż pieca wisiała naftowa lampa; zwyczajnie po chałupach lampę stawiono na stole, Aniela uparła się, by u nich było jak w mieście, gdzie z prądem lampy świeciły pod powałą. Jan psioczył na takie głupoty, w końcu zmęczony żony gadaniem, zgodził się i przywiesił, gdzie nakazano. Zgodził się i dlatego, że Aniela przyzwoliła na ścienny zegar, który wypatrzył jednego razu na targu, w czasie, gdy we młynie zarabiał. Choć zegar popsuty był, Jan kupił go za pół ceny, a z pomocą kowala tyle się udało oporządzić mechanizm, że jako tako godzinę pokazywał. Podniszczony był, można powiedzieć paskudny, tak Aniela mówiła, tylko nie to dla Gduli ważne. Wszystkiemu, co miało trybiki i się poruszało, poświęcał wiele uwagi, nazywał to wszystko mechanizacją. Mógł przy zegarze siedzieć i dłużyć całymi dniami, aż po nocę, zwłaszcza zimą, kiedy nic lepszego do roboty nie było. Zegar, wisząca lampa, piec z ciepłą wodą, razem takie rzeczy, jakich we wsi nie było i do Gdulów pasowały, bo one też od wsi różne.

Tak wyglądało najważniejsze miejsce w domu Anieli, który Janowi często zdarzało się chałupą nazywać, jak drugą izbę – drugą chałupą. Z większej do drugiej przejść się dało, a tam wszystkie drogie rzeczy, za to drzwi na haczyk zamykano. Dobrze schowane cztery porcelanowe talerze, co je Aniela uprosiła u męża jeszcze przed wojną i jak tylko się pożenili. Do talerzy, żeby pasowało, cztery filiżanki, całkiem z innego kompletu, jednak tak samo dla Gdulowej piękne. W trzydrzwiowej szafie ze świątecznymi ubraniami, chowano skromne pieniądze. Ubrania wisiały, nie jak we wsi po skrzyniach rzucone, ale i skrzyni u Gdulów nie brakowało, w niej drobiazgi, chusty, obrusy, korale. Większe cuda wedle potrzeby poskładane, niektóre Jan przestawiał co rusz i złościł Anielę. Przesuwał kołowrotek, co się w nim dawno wrzeciono nie kręciło, bo za nim inna niezdatna mechanizacja, pozytywką nazwana, albo inaczej – grająca skrzynka. Na ścianach święte obrazy kupione od tych, które chodziły po wsi, monidło młodych, rzecz tak samo święta, na całe życie i przed Bogiem małżeństwo przysięga. Druga chałupa była nieużywaną tajemnicą, odświętna izba, odmykana, gdy wyjątkowa nadarzała się okazja. Nikt tam nie mieszkał i ciągiem nie przesiadywał, częściej przechodził, bo stąd schodami na strych się idzie, gdzie mąka, słonina, cebula i kasze rozmaite. Za ostatnią część domu, chociaż pierwszą za kolejną, gdy od wejścia liczyć, była sieni. Duża, bo w niej ogrom rzeczy, miski, balie, długa solidna ława, beczka z kiszoną kapustą, wiadra z czystą wodą i z brudami, wszystko tak poukładane, że nie przeszkadzało sobie. Każdy kąt miał swoje zadanie i bezpieczną odległość z drugimi rzeczami. Wiadra na brudy z dala od beczki z kapustą, miski, balie, czysta woda razem po drugiej stronie. W sieni był porządek, niczym nie śmierdziało, ani nawet kiszoną kapustą, beczka zawsze szczelnie zakryta. Czuć było świeżą glinę, którą gospodyni zaciągała podłogę i wapno na wybielonych przez gospodarza ścianach. Na sieni dom się kończył, stąd drzwiami wchodziło się do stajni złączonej z chałupą. Dobytku niewiele, jedna kobyła Baśka, krowa, parę świń, kilkanaście gęsi i kury poroższadane na grzędach.

I to już wszystko, cała chałupa Jana i cały dom Anieli widziany od środka. Na zewnątrz obejście niczym się nie różniło od innej wiejskiej zagrody, może tym, że zawsze posprzątane dookoła i ściany wybielone co drugi rok, Gdula takie terminy uważał za zbyteczne dziwactwo i tylko dla spokoju bielił. Dalej od domu, na obszernym podwórzu, stała

studnia, obok niej kierat do młócenia, taki we wsi był tylko jeden. Dookoła rości kilka starych drzew i świeżo zaszczerpione, owocowe, jeszcze patyczki. Zaraz przy gospodarstwie leżał większy kawałek ornego pola, więcej jak dwie morgi, podzielone na dwa mniejsze kawałki. Na zmianę sadzono ziemniaki i siano żyto, mąki i kartofli w domu zabraknąć nie mogło. Ziemia rodziła jak żadna, nie tylko dla tej jednej wsi, ale jak okiem sięgnąć: wszędzie czarna i urodzajna. Pola Gdule mieli więcej, ale co najbardziej potrzebne, chcieli mieć blisko domu. W bok od zagonów Jan postawił dużą stodołę, gdzie chowano słomę i siano dla zwierząt, a czasami porąbane szczapy, gdy się nie pomieściło na swoim miejscu przy chałupie. W całym obejściu dla Anieli najważniejsze pole, tu miała swój kawałek z warzywami i kwiatami. Dla Jana święta stodoła, gdzie psuł i naprawiał, co wpadło i wypadało z rąk.

Bez słowa oboje siedzieli, patrząc po wszystkich kątach i przez okno na podwórze, ale i ucha do drugiej izby przykładali, bo i dłużyć się zaczynało. Z czekania i milczenia pierwsza wyrwała się Aniela:

– Tera gadaj, co z nim myślisz robić? – spojrzała na męża i czekała na akuratną odpowiedź. Gdula nie zdążył słowa powiedzieć, w tym samym czasie gruchnęło za drzwiami nieludzko. Przez to, że Aniela bliżej siedziała, pierwsza się zerwała patrzeć, jak się stało. Wśliznęła się przez zasłonę i za chwilę krzykiem wołała:

– O Jezu! Janek! Jezu!

Gdula był już w pół drogi, jak żona krzyczała, gdy dotarł na miejsce, chłopak stał nagi, zwrócony bokiem, ale cały był i nie widać, żeby mu się co działo.

– Ta czego się rozdarła?! Nic jemu nie je, cały przecie. Poszportał się? – spytał chłopca, ale z zamiarem uspokojenia wszystkich. Żadnego spokoju słowa Jana nie zrobiły, Aniela stała jak wryta z rękoma przy twarzy, w końcu obróciła chłopca i wykrztusiła z siebie dwa słowa:

– Taki cały! Kogo ty do domu sprowadził?! Matko jedyna, matko jedyna! – lamentowała. Kobieta obróciła chłopca, żeby go lepiej zobaczyć nagiego, w pełnej męskości, która na chrześcijańską nie wyglądała.

– O psia go mać była! – z osłupiania tyle tylko Gdula z siebie wydobył i pewnie nawet nie poczuł, że bluźni przy dziecku.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen. Ojciec Nasz, któryś jest między niewiastami...

– nagi i przestraszony chłopiec odnalazł w sobie słowa. Pierwszy raz się odezwał, widząc, że stało się, jak najbardziej przestrzegali rodzice i na tę okoliczność na pamięć wyuczyli usprawiedliwienia. Spamiętał słowa ojca, jak robić, gdy kościelni albo cerkiewni znajdą. Trzeba zaraz pacierz zmówić, wtedy nic mu nie będzie, jeśli pacierza nie powie, sprzedadzą Niemcom. Modlitwę odmówił tak, że kupa śmiechu, gdyby nie zmartwienia nadmiar, na dodatek wszystkiego przeżegnał się lewą ręką. Gdule ledwie widziały pomyłone pacierze, oboje zamurowani na dwa razy. Zobaczyli, z kim mają do czynienia, i zaraz potem usłyszeli pierwsze od chłopca słowa. Wszyscy troje nie umieli się poszukać w tym, co się narobiło. Jak jeden stali z rozdziawionymi gębami i spoglądali na siebie, każdy u każdego szukając wyjścia albo chociaż marnej rady.

Za dłuższą chwilę Aniela zaczęła wycierać chłopca, trząsał się z zimna jak osika. Jan podał z siebie spodnie i koszulę, potem chwycił za balię. Zawsze razem z żoną wynosili, teraz nie wiedział, co ze sobą robić i wziął się za byle jaką robotę, wyszedł do sieni. Kobieta pociągnęła chłopca za sobą i posadziła przy dużym stole, sama usiadła naprzeciwko. Oboje ani słowem się nie odezwali, milczenie nie przeszło nawet i wtedy, gdy Gdula się przysiadł na ławie i tak trafił, że po lewej miał żonę, po prawej chłopaka, co oboje na stołkach głowy pozwieszali. Nie było sposobu wyjścia z kąpieli. Nikt nie śmiał zaczynać pierwszy, najwięcej zlekniiony z domu przegnany sierota; o dziwo bardziej błądy niż Aniela był Jan i to on się prędzej pozbierał, chociaż nic dobrego nie powiedział, jeszcze dołożył strapienia:

– Za takie u Niemca kula w łeb dla całej chałupy... i chałupę spalo, tyle pewne, kula w łeb. Przecie ja z nim bez całej wieś jak na wesele jechał – żalił się i wyrzucał niedawną głupotę.

– Widział kto we wsi? Co ja tam ciebie bede pytać? Posadził na wozie i jak dziedzica wioził. Co mieli nie widzieć, tu się wszystko widzi – Aniela mówiła do męża, ale patrzyła na chłopca. Przyglądała się bardzo, świdrowała wzrokiem na wylot. – Po twarzy niepodobny do swoich. Zwyczajny, jak dziecko podobny, żeby nie ubranie, całkiem zwyczajny – dodała na pocieszenie.

– Widzieć nie widział, nikogo. Kto nas zobaczył, nie zgadniesz i nie ma co myśleć, tu ze wszystkim nie ma co myśleć – Gdula tłumaczył sumienie i sam nie wiedział z jakiej przyczyny. Przez cały czas przemawiał sobie, że dziecka w lesie zostawić nie mógł, dopiero potem przyszło do głowy to jedno: „kula w łeb”. – Temu on nie chciał kartofli jeść, że ze słoniną...– wystrzelił ze swoim odkryciem i zaraz przestał rozumieć, po się wyrwał. Rzecz zdawała się więcej niż ciężka, tymczasem Jan bajdurzył o kartoflach.

– Ty całkiem zdurniał? Tera kartofli będzie zaczytał? Ty nie znasz, co do domu przygnał? Śmierć przygnał! – Gdulowa tak się zeźliła, że nie przebierała po słowach, chłopcu oczy zasły łzami, trzął się cały, czekał wyroku.

– Trudno, darmo, zrobiło się i koniec. Masz ty sumienie jego wygnać, wygnaj, słowa nie powiem, ale samemu tego robił nie bede. Tu moja chałupa, w mojej chałupie ten będzie mieszkał, co ja jego zechce, nie ten, co Niemcowi pasuje. – Dumnie i sprytnie słowa Jana zasły Anielę i pozostawiły bez wyjścia.

– Ja takich mądrych już widziała! Inaczy bedziesz gadał, jak ci Szwab karabin do głowy nastawi. Nie wiesz ludzi? Każden drugiego w łyżce wody utopi. Za byle co zamelduj. Śmierć w domu siedzi i my razem – nie zmieniała gadania, jeszcze dodała gorzkich słów.

– Mnie nie letko gadać i do cmentarza nie śpieszno, tylko nie ma czego gadać. Trza ratować i tyle wszystkiego – Gdula tak samo upierał się przy swoim i tym, że wszystko można powiedzieć, a chłopca z domu wyrzucić się nie da.

– Tobie kto pomógł? Ty nie wiesz jakie one? One takie do pomocy skore? Lichwa abo karczma, nijakiej prawdziwej roboty. Byle bidnego spić i kraść z niego. Popsute maszyny kto sprzedał? Znam ja ich zanadto. Na środku drogi umieraj, a przejdzie nad tobo. Komu pomagać? – zrzucała z siebie wszystkie żale, bała się tego, co się dzieje i nie wiedziała, jak temu zaradzić.

– Sierocie.

– Czego?

– Sierocie trza dopomóc. Jakie one so, takie so, a to dziecko je, nie karczmarz. A i one rozmaite, nie wszystkie złe. Sierota taki sam jak drugie we wsi i takie same życie jemu się należy – szła rozmowa, której Jan pokazywał ścieżkę. Takie zwyczajne gadanie, gdzie jedno z drugim wiedziało, co stać się musi, ale przegadać strach trzeba.

– Ja jemu życia nie zabieram, on mnie zabrać może – odpierała po swojemu.

– On na pewno, że nie! Niemcy, on nie. Pod strachem i tak się żyje, wszystko zabrali i wszystko ich, byle czego zamorduj. Za drzewo bodaj – odpowiedział z żalem.

– Mogli i za drzewo, ale drzewa potrzeba, a ten tu komu potrzebny? – Gdulowa więcej gadała niż myślała, przez głowę jej nie chodziło, żeby chłopca wygonić. Gadaniem próbowała odtrącić strach, nie po to, żeby Jana przekonać, tylko siebie uspokoić. Zerknęła na znajde łaskawszym okiem, żal jej się zrobiło i trochę wstyd od gorzkich słów.

– Najwiency ten robi, co wiency robi jak może. Trza jemu ubranie poprawić, tak będzie odziany, każdy pozna kto je – Gdula nie czekał, co żona odpowie, poszedł do drugiej chałupy i zaczął po szafie przebierać.

– We wsi widzieli, a jak nie, nagadajo, że widzieli. Trza gadać, że on sierota z wojny, od kuzynów z Przemyśla. Bogu dziękować, chociaż po wierzchu, jak swój wygląda, tyle naszego i jego szczęścia – z izby krzyczała Aniela, patrzyła przy tym na dziecko, pół z żalem na jego w chałupie siedzenie, pół z żalem na jego życie. Jan słuchał żony zajęty pracą, co usłyszał, już



mu wystarczyło, żeby wiedzieć, że i dla Aniela sierota zostaje w chałupie. Tak samo chłopak zrozumiał, ocierał ukradkiem łzy, jakie mu się od gadania Gdulów w oczach zjawiały.

– Jak cię wołają? – pytała Aniela.

– Berek – odpowiedź poszła od ręki. Łamał strach, wiedział, że już żartów nie ma, musi z Gdulami zgodnym słowem żyć.

– Jak mówisz? – z drugiej izby przyszedł głos Jana.

– Berek Szulc – chłopiec powiedział wszystko o sobie.

– No, bracie, tak się u nas pisać nie bedziesz. Za to jedno Bogu i Niemcom dziękuj, że pogańskie zatracisz imię. Tak na konia wołać, na człowieka nie uchodzi. Dobrze, nie Szmul, ale i Berek nie lepsze. Byś przy obcych nigdy nie spominał, wszystkie zabiję za jednego Berka. – Surowo Jan powiedział, ale i żartów nie było. Nie ze wszystkim chłopcu się podobało, jednak rozumiał, że imię musi mieć inne, bo za te co ma życie można oddać.

– Bedzie Jerzy, Jurek znaczy się, jak dziadkowi było. Dziadek szczęściem żył bez całe życie, wojnę przeżył i tobie pomoże... – Aniela nie skończyła, żeby czego złego nie przywołać.

– Pójdź Anielka, ubranie gotowe! A ty do nas wujek i ciotka bedziesz wołał. Wujek Jan, ciotka Anielka. Spamiętaj i byś się nie mylił. Ty Jurek, mnie Jan, ciotka Anielka – powtórzył nauczyciel. Tak rodzina Gdulów powiększyła się o nowego w chałupie, któremu odtąd Jurek było na imię, a długo później Gdula na nazwisko.

#### 4

Prawie miesiąc Jurek gościł w chałupie, z każdym dniem czując się pewniej. Gdule obgadali, że z sierotą kryć się nie będą. Zawsze byli widziani za ludzi szczerych i uczciwych, to ich cały dorobek. Chłopak przed ludźmi był dalszym krewnym, swojakiem i pobożnym, tak mieli go pokazać i tak on miał o sobie mówić. Aniela obszyła ubranie Jana, że Jurek lepiej wyglądał, jak każde inne wiejskie dziecko. Do Gdulów rzadko kto zachodził, nie mieli we wsi bliskich krewnych, oboje nie znosili wioskowych plotek, dlatego za gościnnych nikt ich nie uważał. Nie byli odludkami, tylko w życiu wsi udziału nie brali, trzymali się tak, jak mieszkali – na skraju. Chłopiec uczył się wiejskiego i chrześcijańskiego życia prawie, że w lot. Wiedział, że tylko tak może ocalić skórę sobie i swoim zbawicielom. Wszystko sprawiło, że z pozoru nierozumne pokazywanie sieroty jak swojego, miało ręce i nogi, co więcej, zdawało się najlepszym postępowaniem. Gdule poznawali się z przeszłym życiem chłopca, on starał się dorównać obyczajom gospodarzy i tak mijały kolejne dni, nie przynosząc żadnych wielkich niespodzianek. Po robocie i jedzeniu powiększona rodzina często siadała przy dużym stole i rozmawiała o tym, co było potrzebne lub ciekawe.

– A twoi rodzice gdzie so? Kto byli? Ty gadasz nie jak dziecko, ale jak uczony jaki – Jurek usłyszał od Gdulowej komplement z pytaniem do kupy.

– Niemcy wyprowadzili naszą rodzinę do nowej dzielnicy, tylko siostra pojechała do Ameryki, jeszcze przed wojną. Dla niej starczyło pieniędzy – z radością opowiadał, ale zaraz posmutniał, bo gorzkie powiedział słowa.

– A kto był twój ojciec i matka? – dopytała Aniela.

– Tata jest lekarzem, mama uczy gry na pianinie, tylko w domu, nie w szkole – wytłumaczył, ile zdołał.

– U was w chałupie tak miskę przechylali? Od siebie? – Janowi jak co w głowę zaszło, potrafił tydzień i więcej pamiętać, żeby się w końcu do rzeczy dokopać.

– Tak mama uczyła – odpowiedział jak prawdziwy minister. Dobrze wiedział, że to normalne przy stole zachowanie i tak właśnie trzeba, ale powiedział grzecznie jak jest, nie pouczał.

– Jak mama uczyła i cała rodzina taka uczona, widno tak ma być. My tu ciemne, na siebie przechylamy, miast uczenie – żartował Jan. – A po prawdzie może to i mądre, jak co gorące, na siebie wylać można, a tak po stole polecą – Gdula robił, co Aniela nazywała filozofią.

– Jaki tam filozuf, tak się je, coby się najeść. Głowy jemu miskami nie kręć, u nich talerze, nie michy. Pacierz musi znać. – Gdulowa przykładała do tego zadania podwójną miarę. Pierwsze, że chłopak musiał modlitwy znać dla obcych, drugie, że Bogu wierzyła żarliwie. Jan do religii inaczej podchodził, w Boga wierzył ze wszystkim, za księdzem nie chodził, dla Gduli proboszcz i Pan Bóg inna parafia. Z tej przyczyny między małżonkami gęsto do kłótni dochodziło.

– Tak, pacierz musowo zmówić. Czy ty bedziesz wierzył w swoje, czy nasze, pacierz znać musisz. U nas, jak chcesz, bedziesz mówił. Jak nie tak, to i po swojemu możesz se klepać, ale bodaj Ojcie Nasz i Zdrowaś znać musisz w razie biedy. – Temu, co Jan mówił, chłopiec przysłuchiwał się ze spokojem, gorzej, gdy Aniela zaczynała strzec wiary.

– Dobrze będzie, żeby on do Pana Boga mocno się modlił nie na pokaz tylko. Nie zaszkodzi jemu. Pacierz, pokąd świat, nikomu krzywdy nie zrobił. Po bożemu trza się modlić. – Obrona wiary zahuczwała poważnie, lecz nie było w tym raptownego przymusu.

– Pacierz można zmówić, abo i wyklepać. Nic tobie, nic jemu nie da, że będzie mówił co inne i w co inne wierzył. Bóg jeden i każdy niech tak z Bogiem gada, jak go matka z ojcem wyuczyli. Przymuszać nie ma co, bo to i dla Boga obraza. – Jan zawsze uspokajał gwałtowniejsze rozmowy i chłopca, gdy się robiło nadto gorąco. Od samego początku Jurek bardziej polubił Gdulę, czuł się z nim bezpieczniej.

– Ty tam zawsze swoje! – denerwowała się Aniela. – Róbcie jak chcecie, w piekle miejsca nie braknie.

– Ja umiem po katolicku trzy modlitwy, wtedy ze strachu wszystko mi się poplątało. – Jurek niespodzianie przerwał rozmowę gospodarzy, chciał się pochwalić słowami obcej wiary i tym pogodzić obie pokłócone strony.

– Co umiesz? Powiedz jak umiesz! – Gdulowa znów się rozdrażniła, dobrze pamiętała, jakie banialuki słyszała parę niedziel temu. Chłopiec wznosił prawą rękę, przeżegnał się jak należy i zaczął „Ojcie nasz”. Modlitwę zmówił bez janknięcia, potem jeszcze dodał: „Zdrowaś Mario” i „Wierzę w Boga Ojca”. Wszystko było pięknie powiedziane, aż się Jan zastłuchał, ale Aniela w modleniu z miejsca poszukała śmiertelnego grzechu.

– Umić umiesz, jak ksiądz gadasz, ale jeszcze jedno musowo się wyuczyć. Pacierz mówisz, bodaj wstać trzeba, a pasuje klękać. Grzech siedzieć i kulasami machać – grzech ciężki. Żaden wiary nie da, że ty z Bogiem w zgodzie, choćby ty jak proboszcz śpiewał. Do Boga trza z pokorą. – Nic dobrego od Anieli Jurek nie usłyszał i jej się podobało, jak chłopiec modlitwy mówił, zła była na co inne. Modlenie piękne i fałszywe było.

– No, pięknie umiesz, mocno pięknie, ale co prawda, tak prawda. Do Pana Boga trza karku przyginać, hardym być nie można. Wy jak się modlili? Jakie macie pacierze? Wam siedzieć przed Bogiem wolno? – Tym razem Jan stanął za Anielą i wiary bronił.

– Do wszystkiego „Aniele strózu”, tak dla siebie się wyucz – w podpowiadaniu Gdulowej było słychać złośliwe na chrześcijańską wiarę nawracanie.

– Jak się modlicie? Powiesz? – Jan od nowa łagodził.

– Na stojąco – chłopiec poczerwieniał, wiedział czego tyle razy pytają, tak się modłów nie odprawia. – Przepraszam, już będę stał przy „Ojcie Nasz”, jak przy Maariw – obiecał.

– Jak mówisz? – Gdula zaciekał się nowym słowem.

– Maariw, nasza modlitwa wieczorna, trzeba na stojąco odmawiać – chłopiec naprostował się ze skulonego, brakowało mu takich rozmów o tym, co dotąd było jego życiem.

– Na wieczór? Na każde pore macie świeże pacierze? – Gdulowa jak mąż zaczęła słuchać i dopytywać chłopca z ciekawością.

– Tak, ciociu, na każdą porę dnia jest inna modlitwa. Inna na rano, w południe i wieczorem. A jeszcze inaczej w szabas, nie całkiem inaczej się odmawia, ale inaczej się nazywa – Jurek pierwszy raz powiedział do Anieli „ciociu”, podobało się kobiecie bardzo, czego swoim markotnym zwyczajem znać po sobie nie dawała.

– I ty wszystko spamiętasz, co i jak? – dziwił się Jan.

– Rano Szachrit, w południe Mincha, na wieczór Maariw – odpowiadał jak niedawno, gdy z własnej wiary egzamin złożyć musiał.

– W szabas, gadałeś, inaczej? – Aniela nie dawała Jurkowi łatwo się wymknąć.

– W szabas wcześniej mówi się Maariw i wtedy modlitwa nazywa się Kabalat Szabat. I jeszcze jest tak, że trzeba przed północą powiedzieć, a Maariw, to razem dwie modlitwy: Szema Jisrael i Amida – dumny ze swojej znajomości i religii, cieszył się, że Gdule ciekawi. Wszystkim, co wiedział, bo nauczyć się musiał, obdzielił, a dzieląc się chwalił na całego.

– A skąd to wszystko wiesz i spamiętałeś? Prawdę mówisz, czy tak gadasz, bo gadasz?

– Aniela w chłopca zapatrzona, tylko nie bardzo wiedziała co myśleć, za mądre było dla niej takie gadanie.

– W tym roku miałem Bar micwę, jeszcze zanim Niemcy przyszedli na drugą stronę Przemysła. Każdy chłopak musi znać modlitwy i potem może chodzić do synagogi, wtedy odpowiada za swoje czyny przed Bogiem. Musi znać przykazania jak dorosły i przeczytać fragment Tory. To najważniejsze święto dla chłopaka, dziewczyny też mają swoje, tylko rok wcześniej, gdy mają dwanaście lat. – Jurek przypomniał sobie, jak był Berkiem i lżej mu się na sercu zrobiło, był wdzięczny Gdulom, że zezwolili się wygadać i nacieszyć niedawnym świętem.

– Wtenczas na dole tobie podcięli? – zawstydzził się Gdula swego pytania, gnębiło go strasznie i nie mógł się wstrzymać.

– Nie, to inne święto wujku, Brit mila się nazywa, wtedy chłopak ma tylko osiem dni i w ten dzień powinien być obrzezany – wyrównał rachunki z Janem, po tym jak do Anieli powiedział ciciu, teraz obdzielił wujka. Przeciwnie do Gduli nie czuł skrępowania, on inaczej widział sprawy, nie jako ludzkie, tylko boskie, religijne.

– O Jezu, wiele tego wszystkiego! Że się tobie nie myli, to je sztuka? Takie z was mądre, a do synagogi kobiecie nie dajecie chodzić – więcej chciała trzymać rozmowę niż się czepiać.

– Kobiety mogą pójść do synagogi, tylko nie mogą tam być, gdzie mężczyźni, mają oddzielne miejsce na górze, mężczyźni na dole. Tak samo jest w innych miejscach, kobiety są w innych mężczyźni w innych. Tylko małżeństwa mogą siedzieć w jednym zamkniętym pokoju i ojciec z córką, albo matka z synem. Osobno się nawet tańczy, takie jest prawo. Prawo Halacha się nazywa – opowiadał jak bakalarz i podobało się opowiadanie, a Gdule nie dawali mu spokoju.

– Matce pasowało takie prawo, co to baba gorsza jak chłop? – Nie pierwsze złośliwe pytanie z ust Anieli, ale dopiero wtedy się odezwała, gdy chłopiec powiedział swoje.

– Mama nie bardzo lubiła te wszystkie obrzędy i chyba nie wierzyła w Boga. Czasami, jak była bardzo zła, krzyczała, że to wszystko gusła i zabobony. Przed wojną nie krzyczała, od wojny krzyczała zawsze, że Bóg niczego nie stworzył na świecie, tylko diabeł w człowieku – Jurek zasmucił się od swoich słów, zobaczył mamę i wojenną niedolę.

– Tak nie wolno mówić. Pamiętaj raz na zawsze. Póki żyć będziesz, matkę szanuj. Matkę najwięcej szanować trza, nawet jak źle co powie. I to znaj, że źle gadała, bardzo źle. Wojna i cierpienie rozum zabiera. Bóg jest i dzięki Bogu można żyć, bez Boga życia nie ma. Niejednemu się zdawało, że świat bez Boga zwojuje. Co by nie miał, dom murowany, złota studnię, żeby na tronie siedział, żeby ludzi sądził, Bóg jego zasądzi i wszystko razem z nim zginie. Za życia po bożemu chodź, tyle bierz, ile potrzeba, nic ponad miarę i tak, żeby drugiego nie ukrzywdzić. Wszystko, co bez Boga weźmiesz, drugie tyle oddasz, a jak żadnej miary nie masz, życie oddasz. Patrz na Niemca, tera wszystko jego. Zobaczysz, co Pan Bóg na to jemu powie. Jak nie na te wiosne, to następne, może za druge, może czwarte, wola boża, ale wszystko odda i jeszcze dodać musi. Tak, jak Niemiec ciebie poniewiera, tak sam poniewierać się będzie. Jak ciebie sądzi, żeś drugi, gorszy, nie jak on, tak jego za to, że Niemiec, nic więcej, odtrąco. Niemiec z ludźmi i z Bogiem wojuje, ty się z Bogiem trzymaj i ludzi nie krzywdź, zawsze z Bogiem bądź i nie patrz, co kto ma, jak wysoko siedzi, patrz człowiekiem być i z Bogiem nie wojować. Wszystko przeżyjesz, wojnę i najgorsze

biedowanie. Bóg zobaczy, jaki z ciebie człowiek, sam tobie da, ile potrzeba, że pracujesz i drugiemu żyć dajesz, temu da. Któryś chce szybko i nie pyta, co czyje, taki weźmie i zaraz odda, na ostatku siebie samego odda. – Tak długo i tak wiele ważnego Gdulowa za całe życie nie powiedziała. Aż Jan się zasłuchał i tylko głową kiwał. Pierwszy raz, odkąd Jurek pod dach chałupy trafił, Aniela była dla chłopca jak matka zatroskana. I on zobaczył, jaka dla niego dobra, zaraz chciał podziękować, tylko wujek wcześniej ze swoim się odezwał:

– Bóg jest, wszystko co je, samo się nie zrobiło. Ludzie i zwierzyzna, wszystko naokoło Pana Boga robota. Z Bogiem żartować nie wolno i gniewać się nie ma na co. Nie Bóg nakazał ludziom mordować i palić, Bóg nakazał jednemu drugiego szanować. Kto nie posłucha, płakać będzie. Boga nie opuszczaj, pacierz, jaki chcesz, mów, tylko pamiętaj, że bez Boga daleko nie zajdziesz i człowiekiem nie bedziesz. Bez Boga ani do proga – po nauce Anieli Jan dołożył swoją.

– Ja wierzę w Pana Boga, w lesie mi pomógł, sprawił, że uciekłem Niemcom i trafiłem do dobrych ludzi. Bóg jest i dobry, bardzo dobry, tylko ludzie są źli i dlatego wojna – złe wspomnienia malowały się na twarzy Jurka, z pokorą odpowiedział, tylko w oczach miał co innego. Żal miał i grzechy cudze, których nie umiał darować. Nazbyt dorosłe było, co mówił. Może lepszym jak Gdule chciał być, albo i jeszcze gorzej – nic z prostych słów nie rozumiał. Swoje myślał i w swoje wierzył, nie słuchał tak, jak przytakiwał ludziom, co szkoły nie mieli. Powiedział jak trzeba, żeby się spodobało. Człowieka oszukać łatwo, sam siebie oszukasz jak zechcesz, ale większe są na tym świecie moce jak ludzkie słabości i nikt w chałupie nie wiedział, co Pan Bóg na to? Dał wiarę, że Jurek życia naukę zrozumiał, czy myślał drugą naukę szykować i całkiem inaczej chłopaka życia wyuczyć? Na tych, co po ludzku nie rozumieją, boskie przychodzi tłumaczenie, gniewne i srogie.

– Jak tak mówisz, mądry chłopak jesteś. Bóg tobie dopomoże i ludzie krzywdy robić nie dadzą – Jan uwierzył Jurkowi i zaraz z ciekawością o drugie spytał. – Niemcom uciekł? A jak ty Niemcom uciekł?

– Dokładnie nie pamiętam, wszyscy się bali. Mama najbardziej płakała, krzyczała do taty, że trzeba mnie ratować. Niemcy gonili wszystkich. Był duży samochód, mama złapała za palto, ludzie pomogli i tata pomógł. Niemcy nie widzieli. Szli ludzie i płakali, że na śmierć idą... – zatrzymał głos w gardle.

– Mama rzuciła? Znała, gdzie co jedzie? – Janowi nie pomieściło się w głowie, że dziecko można pchnąć ot tak sobie i w jaką bądź podróż.

– Nie wiem. Wszyscy chcieli uciekać, bali się, że Niemcy na śmierć prowadzą. Długo się jechało. W środku były jakieś meble, pod stołem siedziałem. Wskoczyłem, gdy Niemiec w lesie się zatrzymał – opowiadał jak było i smutniał z każdym słowem.

– Przed wojno matkę, że dziecko rzuca, ludzie by rozdrapali. We wojnę pomogli jeszcze. Takie życie we wojnę, nic nie warte i wszystko nazad. Matce za życie dziękuj, mądra była kobieta – słodko i gorzko zrobiło się Jurkowi po słowach ciotki.

– Nie gadaj, że była, bo i na pewno je. Wojna się kończy. Sama wróżyła. A i prawda, że wszystkiego Niemcy nie wezmą, świata nie zwojują. Znaczą się uciekleś? A wiesz ty, gdzie trafił? – Gdula drugi raz Jurka od złych myśli odsuwał.

– Nie wiem.

– Do Czyszków ciebie zagnało, biedne życie i ludzie z biedy głupie. Ty na takiego ze Lwowa pasujesz, że do szkół chodził. Prawda to?

– Z Przemyśla, we Lwowie tylko mama mieszkała.

– Z Przemyśla? Daleko nie zajechał, dwadzieścia pięć kilometrów, może i tyle nie ma. Do Lwowa drugie tyle. Zdawało się tobie, że długo, bo pod strachem droga.

Chłopiec podskoczył, gdy usłyszał, że tak niedaleko od rodziców siedzi, zaraz potem pomyślał, że i do śmierci blisko.

– Nie bój się, nie bój, Niemiec tu nie zagłada, nie ma za czym, bieda jego wygnała. Już ja tam wiem, co tobie się pomyślało. Zaledwie ciebie matka odratowała. W Mościskach gadają, że wszystkie od was, na prawy brzeg Niemcy zagnali i tam trzymają. Pokąd co nie mordują, zera by gadali i we wsi nawet. – Jan uspokajał, jak umiał i prawdę mówił, tak słyszał na targu. Wiele się tego wieczora wyjaśniło, Gdule poznały Jurka z bliska i on nowe życie oswoił. Więcej nie potrzeba wiedzieć, wiadomo skąd się chłopiec wziął, kto za jeden i czego w lesie siedział. Niegłupi był, po szkołach, z uczonego domu, modlitwy znał, w Boga choćby swego, ale wierzył. Grzeczny i rozumny, nie robił kłopotów i skoro miał być, dobrze, że taki był.

– Bedzie na dziś dość gadania, czas spać. Pomodlisz się jak chcesz, pamiętaj, by się ze swoim nie rwał, gdy obce przyjdą i nie gadaj, kto ty za jeden. Tylko my takie durne, że ciebie chowamy, inne nie takie – uśmiechnęła się Aniela, lubiła takie zbytki. Na koniec dnia zrobiła się więcej życzliwa i nie tak zawzięta na wiarę. Jan zobaczył, że tu już nie ma co myśleć, wszystko zaczęło się jako tako składać, zgodził się, że pora spać. Odkąd Jurek przyszedł do Gdulów, Jan z Anielą spali na jednym łóżku, trzeba było chłopcu posłanie odstąpić. Spali wszystkie razem w jednej izbie, w drugiej chałupie zimno i nie od tego chałupa, odświętne miała zadania. Gospodarze trzymali zwyczajnie prostego i układnego życia. Z dnia na dzień wracali do dawnego spokoju. Całkiem jak dawniej być nie mogło, ale strach poszedł precz, weselej się zrobiło i chłopiec się został jak swój. Tak znów zaczęli żyć jak wszędzie, a wszędzie – to było dookoła, dookoła zaś – to tak daleko, gdzie dało się dojrzeć i dojść, dalej świat się kończył.

## 5

Za kilka dni kończył się listopad, nie był miesiąc tak przyjazny jak październik, bardziej miało się ku zimie. Jeszcze śniegiem nie wiało, ani tak wielkiego mrozu, ale w noc bez palenia pod kuchnią coraz trudniej zimno zmóc. Niosło się na ciężką zimę i to dla Gdulów niemałym było zmartwieniem. Wróciło gadanie o drzewie. Kartofli, mąki i wszystkiego, co dało żyć, dorachowali się tyle, że i z nawiązką starczyć powinno, nawet na troje. Drzewa, jak by nie liczył za mało i już w listopadzie źle było. A co dalej będzie? W strapieniach od jakiego czasu swoje słowo miał nowy w rodzinie. Po prawdzie chętniej słuchał, jak gadał, ale Gdule, najczęściej Jan, zagadywał chłopca, jak myśli o tym i owym. Jeszcze miesiąc temu Jan i Aniela nie widzieli wspólnego życia z Jurkiem, teraz ich myślenie zaczęło się odwracać na drugą stronę. Pan Bóg nie dał dzieci, choć zawsze mieć chcieli i teraz z każdym dniem poznawali, jak bardzo za dzieckiem tęsknili i jak dobrze, kiedy w chałupie więcej ruchu. Weselej zrobiło się pod dachem, czas szybciej i ciekawiej płynął. Gdule słuchali opowieści Jurka, jakby im kto książkę czytał, dla nich wszystko było nowe i pokazywało się innym, niż tutejsze po wsi opowiadały. Poznawali nową religię, nowe obyczaje, życie w mieście i ludzi, których uważali za wielce uczonych. Aniela ustąpiła z obowiązkowym pacierzem, Jan dopytywał o rozmaite wynalazki, jakie w domu Jurka się znajdowały, szczególnie radia był ciekawy. Niewiele chłopiec mógł Janowi powiedzieć, poza tym, że grało, że się nastawia głos i fale, że prąd do radia potrzebny. Mimo tego Gdula o radio dopytywał i choć za każdym razem słyszał taką samą odpowiedź, zawsze słuchał z zaciekawieniem. W końcu przyszedł taki czas, kiedy przyjemne trzeba odłożyć i zająć się tym z czego chleb był, pomyśleć o drzewie. Gdulów czekała zwyczajna rozmowa, postanowić musieli co i jak robić, żeby dobrze zrobić. Najczęściej wieczorem rozprawiali, siadali, zaraz po kolacji i planowali do lasu wyprawę. Na dworze wiało zimno, nierzadko szaruga stuknęła do okien, już przez samo to nie dało się o drzewie nie gadać.

– Nie ma czego celować, jak by nie liczył, drzewa nie starczy, a w zimę i w lesie żartów nie ma. Pokąd się da, trza jechać – powiedział Jan, zwrócił się do żony, ale i Jurka miał na uwadze.

– Sama znam, że zbraknąć może, i drugie powiem, że już raz pojechał i drzewa z tego nie było – nie szukała zwady, tak sobie otuchy dodawała. Aniela wiedziała, jak wszystko się skończyć musi i przekomarzaniem strach od siebie odpędzała.

– Tamto co inne, człowiek wiency pod strachem był niż to wszystko wartuje. Tera ja mądrzejszy i znam, że w lesie głucho, Niemca nie spotkasz, majo co pilnować. Szybciej drugiego z wioski napotkasz, że zaszedł urąbać, zanim Niemca. A jeszcze na take pogodę? Całkiem się nie bedo pchali – spokojnie i nazbyt pewnie powiedział Gdula, co Aniela natychmiast schwyciła.

– Tego nie wiesz! Pilnujo, czy nie pilnujo? Tak żeś trafił i tyle wszystkiego. Do biedy dużo nie trza, lepiej, żeby ty myślał, jak Niemca oszukać, nim, że jego nie ma. Daj Boże, by nie było, ale za gieroja nie bądź – Aniela studziła męża gadanie.

– Nikt tu za gieroja nie je, tylko raz się przekonał, że pełne portki rozum kradno. Co gałąź strzeli, ręce do góry dajesz. Tak nie może być, trza jechać i nie myśleć, że zabijo, trza myśleć, jak szybko drzewo chapnąć – Gdula odsunął nazbyt ostre słowa żony i tak poskutkowało, że Aniela kiwając głową przyznała mu rację.

– I to prawda, ale i w prawdzie zaszportać się można, ostrożny dalej zajedzie – nawet po zgodzie swoje musiała dodać, jak to Aniela.

– Ty, Jurek, co byś powiedział? – do chłopca jak gospodarz się zwrócił.

– Pojadę z tobą wujku, pomogę ci – powiedział, nie myśląc wiele.

– Do lasu chcesz jechać? Nie strachasz się? – Janowi bardzo się podobało, co usłyszał.

– Nie boję się, siedziałem w lesie dwa dni, nie ma tam nic straszego. Nie widziałem nikogo, nie było tam Niemców. Strasznie było w mieście, tam się bałem – jak stary, poważnie i z rozumem upierał się Gdulom pomóc.

– No, masz jego, jeszcze jeden silny się naszedł. Nie dla ciebie robota. Ludziom też się nie masz nadto pokazywać. Pierogi bedziesz lepił i patrzył czy koszerne – życzliwie zwróciła się Aniela, nie chciała ukrzywdzić, żartowała po swojemu, ale Jurek posmutniał. Nie był zły na ciotkę, nie czuł się gorszym, czuł się mężczyzną i męskich chciał zająć.

– Dobrze mówi. Dźwignąć – nie dźwignie wiele, ale dopiero teraz żem spraktykował, że do piły dwóch potrzebno. Z piło robota lekka, samemu tyle, co za siekierę się chyci i grubszych gałęzi nie połamiesz, do dupy robota. – Gdula lubił mieć chłopca przy sobie, a z tego lubienia podobało się wspólne piłowanie.

– Wy oba coś nadto do piłowania językiem. Jednemu trza kalisony o większe pół skracać. Drugi w lesie ręce do góry zadaje, a pod pierzyno piłują, że ho! – Aniela wtrąciła się między męskie gadanie i kobiecego przyniosła zamieszania. Jan szybko poprowadził żonę na dobre miejsce.

– Pożartowali my, a robić tak trzeba, jak się obgadało. Oba jedziemy, zima czekać nie będzie. Na rano naszykuj do lasu, jakie jedzenie i picie, żeby nie brakło, robota tęga, ale i pomalutku z Bogiem piłować się będzie – tak powiedział i tak popatrzył na żonę, że zgodzić się musiała, choć swoje zaznaczyć pamiętała.

– Bez ciebie znam, co szykować, byś potem nie płakał, słuchać nie chcesz jak jeden tak drugi, ja wam mówię, patrzcie nie na to, jakie wy silne, patrzcie biedy nie napytać – z troską patrzyła na chłopca, potem na męża zerknęła, żeby siebie i dziecka dopilnował.

Tego wieczoru rozmowy o sprawach ważnych skończyły się postanowieniem, którego nikt nie chciał zmieniać. Aniela swoje zawsze ma do powiedzenia, zresztą tak samo Jan, jednak gdy w końcu postanowione, wszelkie gadanie tylko dla zagłuszenia strachu albo dla śmiechu jest gadane. Jurek pierwszy raz w planowaniu wspólnego miał swoje do zrobienia, na tyle, co potrafił i na ile miał siły. Dla chłopca całkiem świeża rzecz, inne życie, które do tej pory miał. Poznawał nowe i dobrze się czuł, nie wadziła surowość wiejskiego życia, nudy jeszcze nie zdążył doświadczyć. Co i rusz coś w domu Gdulów się zdarzało. Ciekawe życie dla Jurka było, dla Anieli i Jana dzień do dnia podobny, ale też do czasu, gdy Gdula z lasu



wrócił. Po obu stronach przyszło nowe, co sprawiło, że wszystkie więcej wiedzieli jak przedtem.

Jurek spokojnym był przy Gdulach; w domu, z którego Niemcy wygonili, bez końca rozmawiano o rzeczach najgorszych, o tym, co na pewno się stanie i dobre nie będzie, o tym, jaki jest świat i co znaczy. Rodzice nie gadali, tylko prowadzili dyskusje, których chłopiec nie mógł ogarnąć. Same ciężkie słowa o ideach, religii, filozofii i strachu przed wszystkim razem. Troski wiejskie były proste, tyczyły takich rzeczy, że każdy i dorastający chłopiec zdolny był pojąć. Nawet dziecko bez trudu wiedziało, w czym rzeczy tajemnica i jak żyć należy. Jasne jest, że do kuchni potrzeba opału, nikogo nie dziwi, że osiom wozu potrzeba smaru. Dać obroku klaczy, ziarna kurom, przynieść wody ze studni. Tym żyło się w Czyszkach, tak wypełniały się dni i brakowało w takim życiu wielkich niespodzianek. Największą był Jurek z miasta, no i wojna, która życie gmatwała i odbierała. Prostota i znój dnia powszedniego podobał się Jurkowi, pewnie działał się tak za sprawą obcego, kiedy człowiek żyje w jednym, drugie wydaje się bardziej ciekawe. Nie inaczej rzecz się miała z Gdulami, sami między sobą przyznawali, że od dziecka wiele nowego o świecie się dowiedzieli. Gdulów ciekawiło, co Jurka nudziło, on znał miejskie życie i wiele radości nie zaznał. Jan każdego dnia wracał do radia, to wielka była dla niego zagadka. Jurkowi ze skrzynki gadanie łączyło się z kłótniami rodziców do świtu. Gdyby tylko mógł i wiedział, że Gdula taki ciekawy, ukradłby radio rodzicom i pobiegł do Czyszków co tchu. Chciał uciec od potrzęsanych ciężkimi słowami strachów, od tego gadania, co się po nim gorzej robiło. W Przemyślu rozmawianie nie dodawało otuchy, jeszcze mocniej głowę męczyło najpodlejszymi myślami. Gdule łagodźli Jurka nastawienie, odkąd ich poznał, patrzył na świat inaczej i nawet radio zobaczył inne, tak jak się powinno patrzeć. Radio to świat pełen różności, nie swady przerażonych swoim losem ludzi. Od prostych chłopów, prostych rzeczy uczył się Jurek, a Gdule od niego słyszały, co uczonych z miasta doła i niedoła znaczy. Berek wiele razy widział, jak rodzice spierali się o drogę. Potem pobłądził w lesie, żeby na końcu pełną ścieżką trafić do celu. Tam Jurek znalazł wszystkie odpowiedzi i póki co nie chciał słyszeć żadnego pytania.

## 6

Druga wyprawa po drzewo przyszła spokojniej jak pierwsza, nie zerwał się Jan przed świtem, żal mu było chłopaka do dnia budzić. Wiedział, że i tak nie zdążą ze wszystkim, zanim się rozwidni, tylko za pierwszym razem miał taki lekki pomysłupek, że pójdzie samo i gładko. Zmieniło się w głowie, już nie tyle miał słuhać lasu, co bardziej szukać drzewa, żeby szybko zrobić swoje i uciekać, gdzie o nieszczęście nie ciężko. Wyruszyli rankiem, prawie dniało, ubrali się ciepło, bo pora roku zdradliwa i za dnia pogoda potrafiła zmienić się po kilka razy. Jurek zaznajomił się z tym samym powietrzem, te same patrolował pola, słyszał ten sam wiatr i czuł takie same zapachy, które Jan uznawał za swoje. Nie mógł się wszystkim nacieszyć, co dla niego świeże, a Janowi odwieczne się zdawało. Jak długo Gdula pamiętał – w Czyszkach był las, pola, rześkie powietrze i wszystko swojsko pachniało, gadało tutejszym ćwierkaniem słowików, ryczeniem krów, ludzkim wołaniem. Porami roku i miesiącami zmieniało się tyle, czym zima różna od lata i maj od listopada, reszta odwieczna była. Droga nie dłużyła się nadto, gadali sobie jak popadło, żaden słowa nie pilnował. Gdy wjechali między pierwsze brzozy, poważna zaczęła się rozmowa:

– Takie drzewo nam potrzeba, żeby już zwalone i choć do pół suche. Nie pora mokre piłować, pod kuchnio się nie zajmie, tylko gotuje. A i lepiej ciąć na króciaki, jak świeże zwałać, bez takie huku i groźby niemało. – Jan obficie, tak jak miastowemu należało, tłumaczył najprostsze we wsi roboty.

– Wujku, ja chyba wiem, gdzie takie drzewo leży, nawet trzy, jedno koło drugiego – Jurek szybko zrozumiał, w czym rzecz, i jeszcze szybciej chciał się pochwalić.

– Skąd ty wiesz, przecie lasu nie znasz, tyle coś pod krzakiem siedział? – Gdula nie bardzo chciał dać wiarę, ale cieszył się, że chłopak pomocny.

– Nie znam, ale błądziłem tu kilka dni i chyba wiem, gdzie jechać trzeba – twardo stał przy swoim i dodał jeszcze więcej. – Musimy skrócić w tę dróżkę, gdzie mnie wujek znalazł i pojechać nieduży kawałek dalej.

– Wiesz ty, że czasu nie ma? Jak się puścim w ślepe drogi, drugi raz z pustymi rencami do domu przyjdzie się wracać. Ty pewny swego, czy tak się tobie wspomniało? – Jan przyciskał, nie z braku ufności, tylko z obawy o utracony dzień.

– Tak na pewno nie powiem, tylko wydaje mi się, że takie trzy połamane pnie leżą obok siebie, przy tej dróżce, gdzie siedziałem. – Jurek nie cofnął się, tylko trochę zabezpieczył, co ostatecznie Gdulę przekonało. Zobaczył, że nie przechwałki dziecku w głowie, tylko zadanie wziął sobie do serca.

– Jak tak poprobujęm w te stronę. Las duży, tak czy tak wszystko zgadywanie, gdzie by nie jechał. Bym ja co wiedział, co innego. Jak mówisz, żeś widział, nie szkodzi próbować. Bierz lejce i wio – oddał lejce prosto w ręce zdziwionego chłopca. Chciał pokazać, że ma u niego równe traktowanie.

– Ja nie umiem, nigdy tego nie robiłem – zrazu się zląkł, lecz za krótką chwilę spojrzał na spokojną twarz wujka i wziął się za nowe zadanie.

– Nic tu nie trza wielkiego, Baśka sama jedzie. Patrz tu. Powiesz „wišta”, na lewe strone pójdzie. „Hetta” na prawe. „Pyrr” krzykniesz – strzymie wóz, a „wio” i w mieście chyba żeś słyszał, tak wiesz co je. Masz i spraktykuj – podał Jurkowi lejce i czekał, jak ten sobie radzić będzie umiał.

– Wio, Baśka! – Po krótkim czasie świeży woźnica zawołał jak należy i smagnął batem klacz po zadzie, krzywdy żadnej nie chciał robić, tylko dać znak, żeby z miejsca ruszyła. Udało się ze wszystkim, wóz jechał w akuratnym tempie, po najszerszej przecince, póki Jurek kierunku nie zmienił.

– Wujku, to będzie ta dróżka, tutaj trzeba w lewo skrócić.

Gdula wiedział, że ta była, ale czekał, sprawdzał czy chłopiec rozpozna miejsce, co mogło tyle znaczyć, że i do drzewa trafi, które pono widział i wie gdzie leży.

– Jak tak...prowadź, gdzie ci się widzi – po tych słowach, chłopak zawahał się, popatrzył na lejce, w końcu ściągnął lewy koniec, potem zawołał na klacz:

– Wišta Baśka! Wišta! – Kobyła posłusznie zawróciła, jakby sam Jan wóz prowadził.

– Wozak z ciebie, jak stary, żeby ty jeszcze z drzewem pocelował, będzie pierwszorzędnie. Prawdę ci powiem, trzeci raz mnie by się przykrzyło jechać – zaglądnął chłopcu w oczy i uśmiechnął się jak ojciec.

– Jeszcze kawałek wujku, trzeba patrzeć na prawo, po tamtej stronie będą leżały, tak nawet całkiem blisko drogi.

Młodszy wziął dowodzenie na wozie i w całej wyprawie. Jan nie przeszkadzał, lejce w dobre ręce poszły i jeśli nawet mieliby nie dojechać gdzie chcieli, innego zamysłu nie było. Jedno, co w tym jechaniu niedobre, to droga, ranem rozmokła się zdawała. Na pusto bez większych przeszkód przejdzie, ale do przodu trzeba wiedzieć jak będzie, gdy z pełnym przyjdzie wracać. Czy droga za dnia przeschnie? Bogu dzięki, w tę stronę więcej pod górkę, za to z powrotem lżej iść powinno, nawet jeśli po brzegi załadować. Całkiem inaczej Jan myślał jak wcześniej, gdy sam wyruszył do lasu. Więcej spokoju w nim było i dużo zwracał uwagi na ważne zajęcia, strachu nie słuchał, gdzie trzeba starał się jechać i robić, nie inaczej. Niemało Jurek pomógł w takim patrzeniu, doradził, pocieszył, raźniej we dwóch i lepiej wszystko wyglądało. Dziwnym się zdaje, gdy młodszy starszego uczy, ale jak pomyśleć, przez co młodszy przejść musiał, nauka naturalnym porządkiem rzeczy się staje. Świat można poznać, nie odchodząc ze swojego miejsca, starczy, że niezwyčajny człowiek zagości w chałupie.

Jurek był cichy, grzeczny i rozum miał jak stary. Prędko się uczył życia nowego i swój dawny świat pokazywał ciekawym. Umiał się znaleźć wszędzie i obojętnym było czy powozić przyszło, czy poznawać szkolną naukę. I z ludźmi nie gorzej, w każdej biedzie sobie radził, nawet gdy z pokojów poszedł do izby, umiał pokazać, że więcej z niego pożytku niż kłopotu będzie. Takich zdolności nabrał, odkąd wojna przyszła i z nią wieczna kłótnia w Przemyślu. Matka z ojcem byli pewni, że syn zawsze po ich stronie stoi. Matka, że za nią jest, ojciec, że za ojcem, a jeszcze dziwniejsze, bo tak myśleli, gdy Berka mieli przed sobą i jego zdania słuchali. Z darami do akuratnego gadania i nauki, życie zdawało się nie tak groźnym, jak rzeczywiście było. Do tego szczęście trzeba dołożyć, bez którego nic się powieść nie mogło. Miał Jurek wszystko, czego potrzeba, żeby w najgorszy czas przetrwać.

Wóz mijał sosny, brzozy i buki, dorodne, ale wszystkie stojące i żywe, nie było widać nawet i grubszych gałęzi, zima szła, ludzie co bądź do palenia sprzątaali. Odjechali spory kawałek, tak długi, że szeroka przecinka z oczu zesła. Było za to co inne widać, Gdula niespokojnym się zrobił i zawracać myślał i Jurek niemało wąpił w swoją pamięć, ale on trzymał lejce i póki co jechał przed siebie. Rozglądał się nie tylko na prawo, gdzie sam kazał patrzeć, ale i na lewo, by znaleźć co będzie. Już nie tyle cierpliwości na wozie, jak parę drzew temu, wiarę drwalom obierało. Co jakiś czas zerkali po sobie, sprawdzając czy nie pora się cofać. Żaden nie chciał być pierwszym, który powie, że się nie udało. Cicho siedzieli, im więcej człowiek myśli, tym mniej ma ochoty głupio gadać, czekali, jak będzie sposobność powiedzieć coś z głową.

– Jest! Tam jest! – Jurek rzucił lejce i nie krzyknął, ale dał głosem z całej siły, że las zadrzał od echa.

– Cicho, cicho. Gdzie ty co widzisz? – Jan uspokajał chłopaka, chociaż on sam już wiedział, że na widok drzewa nazbyt głośno się ucieszył, teraz chciał się poprawić.

– Tam jest – ciszej powiedział i palcem zamalował, gdzie leżały trzy buki. Nie tylko miejsce spamiętał dobrze, prawdą było i to, że drzewa blisko drogi powalone.

– Trzymaj wóz – tylko po słowach gospodarza Baśka usłyszała „pyrrr”. Z wozu zleźli i na nogach do buków zaszli. Jan siekierą skaleczył korę, zatwierdził, że drzewo najmniej z pół roku musiało leżeć, nie było za wiele surowego widać. Jeszcze nie tak całkiem suche, ale do palenia dobre. Poskładało się jak trzeba i tylko jedno leżała przeszkoda. Buki dorodne, więcej niż potrzeba, za wiele jak na robotę dla jednego chłopca z dzieckiem. Nie tak grube w pniu, jak długie i sporo gałęzi do ociosania.

– Pamięć masz, jak biskup, dobrze my trafili, tylko to ci powiem, że my rady temu wszystkiemu nie damy. Buki jak dęby – może jednego, góra całego i pół, trzy nie damy rady urobić. – W lesie Gdula fest się obrobił, to i wiedział co mówi, znał, jaka z drzewem robota.

– Trzeba tyle rąbać, ile się da, szkoda teraz zostawić i trochę wstyd z jednym kawałkiem wracać – Jurek chciał ratować swoje znalezisko, przemawiał do większej roboty, niżby razem mogli wykonać.

– Jedno prawdziwie gadasz, trza robić pokąd się da, nie ma co zawczasu płakać. Ale najsamprzód wóz zawrócić musowo, na powrotną drogę – odpowiedział Gdula z uśmiechem, do tego dobrze pomyślał, pokąd pusty, lepiej wozem zawracać. Jak planował tak zrobił, wracając zabrał za sobą piłę i co Aniela do jedzenia uszykowała, wszystko postawił pod żywym bukiem i od razu wziął się za robotę.

– Gałęzi bede ciosał. Ty, wiele dasz rady, rzucaj na bok, żeby potem pod piłę nie zachodziło. Nie bardzo dobre, że jedno na drugie zaszło, ale my jego na krótsze porobim. Na koniec się odwali. Góra na siebie zachodzi, dobre, że nie uziomek. Za mną nie stawaj i nie chodź. Siekiera się wysmyknie, to Boże uchowaj. Z daleka i z boku. Czeka! Lepiej zrobimy. Najsamprzód z lewej bede ciosał z dołu do góry, wtenczas ty bedziesz z góry odgarniał gałęzie. Na drugo stronę także samo – popatrzył takimi oczami, jakby się sam w swoich poradach pogubił. Gdula tak tłumaczył co i jak, że i niejeden stary drwal by się zagubił. Jurek

radził sobie z nie takim gmatwaniem, tyle zrozumiał, że jak siekiera będzie z prawej strony od pnia, on na samym czubku buka, po lewej ma być, żeby jak najdalej i z przeciwnego końca od siekiery. Może nawet nie tak wujka rozumiał, co sam wpadł jak najbezpieczniej będzie. Po krótkich słowach kto za co ma się chwycić, złapali się za robotę. Przyschnięte gałęzie zrazu łatwo odpadały, ale tylko tam gdzie drobne i cienkie, nad grubszym sporo się trzeba namachać, nim było co odrzucać. Jurka robotą więcej lekką się pokazała, musiał czekać, aż swoje Jan zrobi, ze swoim raz dwa się obrabiał i znów patrzył, kiedy nowe przyjdzie i nie prędko szło. Niemało się Gdula lękał, że pomocnik nie poradzi grubszej gałęzi, ale nawet nie musiał nic tłumaczyć. Jurek sam znalazł metodę, grubsze ciągnął po ziemi, na parę kroków, żeby potem z piłą dojść, do przodu myślał i robił.

Praca szła żwawym tempem, jednak z czasem Jan łapał zadyszkę. Machanie siekierą zajęciem nielekkim, plecy przygarbione, na nogi trzeba uważać, wcześniej, nie później, ręce opadają i tak długo bez żadnego spoczynku rąbał. Przy pierwszym drzewie poszło jak tak, na drugie trzeba odsapnąć. W ciemnym lesie jasno się zrobiło, słońce wysoko świeciło. Szczęściem miejsce nie takie złe, blisko drogi, ale tak za krzakami schowane, że trudno temu co nie wie zobaczyć. W przystanku między rąbaniem Jan obmyślił, że więcej wozem wjedzie do lasu, żeby i ten w oczy nie kłuł. Dobrze będzie po drugiej stronie postawić, tam też Baškę przeprowadził. Więcej nic takiego się nie działo, niczego nie było słychać, żywej duszy dookoła, nawet i zwierzyńny nijakiej.

– I nie tak źle się ciosa i nie całkiem letko. Tak czy jak, dobrze je, że tobie się miejsce spamiętało. Większe pół za nami. Samo, żeby znaleźć – wielka sztuka, żeby przesuszone – drugie szczęście. Tu szczęście jedno i drugie i jeszcze trzy buki powalone w naddatku. Żle nie ma – pochwalił zawczasu, oddychał przy tym głęboko, zrzucił z siebie zmęczenie.

Gdula czuł, że zmęczony, jednak tym się nie trapił, więcej się ucieszył z Jurka rozumu i tego, że faktycznie źle nie było.

– Może i ja mógłbym trochę porąbać? – wyrwał się chłopak do pomocy, widząc, że wujek nieco z sił opadał.

– Dla ciebie groźna i za ciężka robotą. Nienawykły, nogę urąbiesz, dopiero będzie kłopotu. Piło pomożesz. Jedno dali my radę, wiency jak drugiego nie ma co. Drzewo długie, będzie z piętnaście metry, szczytowe odciąć i tak niemało się zostanie. Choćby my chcieli wszystko brać, wóz i kobyła nie da rady. Wiency jak dwa nie ma co. Dość dobrego! – wstał ciężko i Jurka po drodze zabrał, chwycił za rękę i razem poszli. Pracowali zgodnie, niewiele mówiąc, szkoda siły na gadanie i też nie było o czym rozprawiać. Tak podzielone, że każdy wiedział, czego pilnować, gdy co nowego się przydarzyło, Jurek zaraz umiał się przyłożyć i pomagał Janowi, na ile miał sił. Czy to gałąź za koniec pociągnąć, czy osełkę podać, gdy siekiera przestawała być posłuszną. Tak dobrze szło, póki sił starczało. Jedno skończyli z gałęzi czyścić i choć Jan wcześniej nie bardzo myślał więcej zrobić, za drugie się wzięli, ale już wolniej szło. Tyle się umordowali, że ręce zaczęły się plątać. Co dotąd proste było, teraz zmieniło się w nieskładne i przypadkiem robione. Jeden za blisko gałęzie odkładał, drugi za wysoko przycinał, musieli za sobą poprawiać, dwa razy więcej sił i czasu wszystko kosztowało. Za jednym razem nie pokończyli, usiedli zmęczeni na płachcie, którą Jan z wozu wyszarpał i tak na siebie spojrzeli, że jasnym było, co dalej. Trzeba się posilić, napić i odpocząć czas jakiś, że zmęczenia z siekierą robotą niebezpiecznym się staje. Gdula rozwinął od Anieli jedzenie i podzielił na równo. Jedli powoli, do syta, i niemało pili, ciepło nie było, ale pot się lał gęsto. Dłuższą chwilę przesiedzieli, patrząc, co już zrobione, a co dopiero przed nimi. Jan popatrzył na marny urobek i głośno powiedział, że za piłę się weźmie. Nie wiadomo, ile da rady urznąć, a inne na wóz nie pójdzie. Jakby dobrze chciało iść, siekierą zawsze można dorobić. Siła roboty i z tej przyczyny tak ostrożnie celował, żeby chociaż jeden buk do domu trafił.

– Na gołe ziemie nie siadaj, w krzyże pójdzie – przestrzegł Gdula i dalej drugie ważne powiedział. – Nie trza wiele piłować, tyle jak wóz długi. Ano, idź Jurek do i mierz jego krokami. – Wiedział, jakie wejdzie, chciał, żeby chłopak czuł się pomocny, no i sam z tego wszystkiego wolał raz jeszcze sprawdzić. Jurek raz dwa obrócił i wymierzył, jak mu przykazano.

– Będzie trzy i pół kroku – powiedział radośnie, w podzięcie za nie byle jakie zadanie.

– Tera idź, gdzie pierwszy buk i daj trzy mniejsze kroki, aby nie za długo było. Nie ma prawa z woza wystawać. Zera cała wioska pozna, co się wiezie. Gdzie pomierzysz, gałąź kładź – prosił o wiele rzeczy naraz, sam siedział pod drzewem. Nie wadziło pomocnikowi, wiedział, że wuj więcej się narobił i ciężej mu było. Poza wszystkim ucieszył się ze swojego jak dla starego chłopca zadania.

– Gotowe! – zameldował hardo i jakby na kolejne, jeszcze poważniejsze czekał rozkazy.

– Jak tak mówisz, krzyże pora naprostować, za piłę się brać. – Gdula wstał ciężko, z wolna się zbierając, jęknął sobie przy tym i za plecy przytrzymał. Wygramolił się spod drzewa, złapał za boki, wyprężył grzbiet, coś tam szepcząc pod nosem, bo dla uszu dziecka się nie nadawało. Po słońcu było widać, że południe już przeszło, czas płynął szybko, jak to przy robocie, ale zbyt wolno wszystko inne się działo, żeby spokojnym być o szczęśliwy koniec. Trzeba nadgonić ile się da i póki sił starczy. Jurek pierwszy raz miał piłę w ręce, złapał się podpatrując, co Jan robi. Nie mógł wiedzieć, że to nie taka prosta rzecz, kiedy się nie wie, jak piłować trzeba.

– Czekaj, czekaj, tak nie. Rzuć piłę! Rzuć, nie bój się – powiedział Gdula, a chłopak puścił rączkę ze swojej strony. – Patrz tu! Starczy, że do siebie zaciągnę i samo idzie. Widzisz? – Jurek pokiwał głową i chyba wiedział jakie będzie dalsze słowo tej nauki. – Dawaj ty! Do siebie bierz! Widzisz! Letko idzie? Samo się robi, nie trza cisnąć, sama piła idzie. – Nie pomylił się Jurek, odgadł, ale za karę do końca nauki wysłuchać musiał.

– Próbuj pchać. Pchaj do mnie... no i sam żeś spraktykował – piła stanęła i zaczęła się gnać.

– Tylko do siebie trza! Nigdy żeby pchać, bo w pół się złamie. Nie pchać, nie szturchać i tak się piłuje. – Wujek dokończył całkiem zbytecznej nauki, ale jak w szkole, z szacunkiem wszystkiego chłopak wysłuchał, choć wiedział, co usłyszy. Od chwili, gdy jasne było, że nie tyle rękami potrzeba machać, co głową ruszać na dobre z miejsca ruszyło, bo nie ma złej roboty, tylko niezdatne narzędzia albo bez rozumu robotnicy. Piła śmigąła jak się patrzy, dużo lżej Jurkowi było, tylko od takiego machania, kto nie nawykły, też się prędko męczył. Jan pilnował chłopaka, poznał, że ten mało chętny odpoczynku poprosić, ścigał się dorównać starszemu i silniejszemu. Jak już było widać, że z sił opadał, Gdula szukał pierwszego tłumaczenia, żeby robotę zerwać i tak siły pomocnikowi rozkładał, aby mu przykrości nie robić. Przy trzecim cięciu pół rączki z piły w ręce zostało, z konieczności dłuższą przerwę musieli zrobić, zanim znalazła się dobra gałąź, zdatna na jako takie zastępstwo. Znów sporo czasu przeleciało. Gałąź obrobić, potem oszlifować osełką, żeby drzazgi nie wchodziły, tego za chwilę zrobić się nie da. Wolno szło i szczęścia brakowało. Słońce zabrało się już za popołudniową stronę, a w lesie dopiero pierwszego buka cięli. W listopadzie już po czwartej szarawo się robiło, przed piątą – całkiem ciemno. Niewiele czasu zostało, żeby ze wszystkim się zebrać.

– Nie zgadniesz, jak dalej z roboto będzie. Pan Bóg nie lubi, kiedy i Niemców szwabić. Nie tak nam idzie, jak by chciało. Trza, co porżnięte, na wóz ładować. Kto zna, że wiency się zrobi? – Starszy młodszemu powiedział, co myśli i dopiero przyszło do niego, że na trzy metry cięte bukowe drzewo dwóch chłopów potrzebuje. Na długość woza akuratne, w sam raz dobre, ale kto podniesie, przecież nie z dzieckiem da radę? Jurek przyuważył, jak wujek przysiadł ciężki od myślenia.

– A może da się potoczyć bale po ziemi? – zgadł od razu, w czym strapienie.

– Głupiego robota, jak te głupie my nacięli, choć po prawdzie długie jak potrzebno, ale nosić nijak – Jan na różne myślał sposoby i niczego wymyślić nie umiał.

– Na pół. Każdy bal drugi raz na pół – najprostsze chłopak podał lekarstwo.

– O widzisz! Stary i głupi, a pewnie, że na pół. Tak i sam zanieś, zadam na wóz jak trza, tyle że druga robota. Nie damy rady het ze wszystkim. Jedno zabrać dobrze będzie, więcej nie ma gadania – dodał swoje Gdula i prawdziwie rzeczy nazywał, aż od prawdziwości posmutniał. Pomyślał, że żona będzie zmartwiona lichym urobkiem, co zimy nim nie przetrzyma. I o tym wiedział, że drugi raz do lasu jechać nie chce, a pojechać będzie musiał. Zabrali się znów za robotę, coraz bardziej zmęczeni i podcięci przeszkodami. Gdula głowę zadzierał, słońce uciekające na zachód oglądał. Jurek ledwie dotrzymywał kroku w piłowaniu, dlatego częściej odpoczywali. Po grudzie wszystko i ciężko szło, popsuta rączka, piła co ją trzeba było rozwieźć, potem podostrzyć, wszystko spowalniało. Jednak starczyło, że jeden na drugiego popatrzył i oba wiedzieli, że co by się nie działo i jakby się nie psuło, przynajmniej jednego buka pociąć muszą i na wóz zaciągnąć. Tego się trzymali i dzięki temu przechodzili kolejne trudności. Gdy końca roboty nie widać, pracuje się ciężko, gdy znać kiedy koniec przyjdzie, siły wracają i chce się dotrwać. Powoli było widać koniec przy pierwszym drzewie. Dwa bale, te najchudsze do przepiłowania zostały. Potem tylko na wóz załadować, co już nie powinno być takie ciężkie i czas zabierające. Jurek i Jan mieli już niemało potu wylanego i niewiele zwracali uwagi na wszystko, poza tym co mieli przed sobą. Nie rozglądali się czy kto idzie, czy nie idzie, tyle było zajęcia, że i o Niemcach zapomnieli. Nawet jak co w lesie zatrzeszczało nic sobie z tego nie robili. Przez to nie mogli widzieć, że od chwil paru między drzewami coś się poruszało i skradało na ich stronę.

– Szczęść Boże, stryku! – Nie z tego i owego za plecami Gduli odezwało się męskim głosem. Jan z Jurkiem razem się podnieśli i naraz zeszytnieli ze strachu. Tak się z człowiekiem robi, kiedy zająć od tyłu i poklepać, albo powiedzieć co bądź, choćby najlepsze i zyczliwe słowo.

– A żeby was obesrało! Co wy tu? Czego wy tu przyszli? Za czym? – Gdula odezwał się przez wy, bo za plecami stał wysoki, jak góra i wyprostowany, jak drąg młody chłop. Ubrany tak, że pożał się Boże, obok niego nie lepiej okutana kobieta, przysadzista, lat ze czterdzieści mieć mogła, oboje wyglądali na biedę i mało rozumu.

– Nie tego, nie tego...W las... – odezwała się kobieta.

– W las? Naobkoło las! Akuratnie, gdzie ja siedzę, tu wam spasowało? Darmo wy nie szli, tam już coś w siła zająć musiało – odpowiedział Gdula, nie bardzo się przejmując, że właśnie sam na gorącym kłusowaniu złapany.

– Nie tego, nie tego – odpowiedziała kobieta i sama tylko wiedziała, co ma znaczyć, albo i nie wiedziała.

– Nie bój się Jurek, swoje, od ciotki dalsza rodzina, Józka ze synem. Jak jemu tam? – zwrócił się do kobiety.

– Bolek – sam syn Józki odpowiedział i nie wiedzieć czego zaczął się śmiać, za nim z miejsca śmiech pochwyliła kobieta.

– Bolek i Józka niegroźne, nie bój się, silne za to. No! Za robotę się biercie, jak wy takie za lasem bardzo – prawie rozkazał Gdula. Niewiele Jan się liczył z tymi ludźmi, dalsza to od Anieli była rodzina, nie tyle nie szanował, co wiedział, jak z nimi gadać.

– Nie tego, nie tego – padło za odpowiedź i choć na przeczenie wyglądało, Jan się niczym nie przejmował, wiedział, że nic nie znaczy takie paplanie. Józka z „nie tego” od wsi do wsi chodziła i kiedy jej przyszło do głowy. Swoje gadała, ale zaraz za siekierę złapała i pchnęła syna w stronę Gduli, żeby za piłę się łapał. I tak z „nie tego” wszystko na swoim miejscu się poskładało. Jan z Bolkiem piłowali buka, Józka obcinała gałęzie przy drugich. Nowe pomocniki dodały otuchy, do tego weselej się zrobiło, co i rusz się śmiali, obojętnie co powiedzieć. Czasem starczyło, żeby siekiera w sęku się została i Józka z Bolkiem pękali na całego. Jan zerkał w stronę Jurka, czy co złego się nie dzieje, ale to co widział, bardziej



w podziw go wprawiało niż w zamartwieniu. Józka tak machała siekierą, że i chłop nie dałby rady. Chłopcem kierowała w bezpieczne miejsca, z dala od roboty i przy bukach tylko drzazgi leciały. Nie gorzej Bolek piłował, gdy do siebie przyciągał, potrafił jeszcze tak przycisnąć, że głębiej rzez zachodził. Z matką chodzili po ludziach i pomagali, przy czym się da. Przed wojną gajowy często ich zabierał do wyrębu, to i więcej o drzewie wiedzieli od Jana.

– Za czym krótkie? – Bolek zagadał i Gdula, o dziwo, zrozumiał jego mowę.

– Nie taki ty głupi. Dobrze gadasz, tera głupiego robota na pół piłować. Jak my we dwa chłopcy! Na wóz tylko fiknie! Idę ja wóz nawrócić bliżej drogi i będzie się ładować, jakie je.

– Poszedł do wozu, żeby bliżej było draży nosić. Zaraz za nim Bolek, ale nie z pustymi rękami szedł, tylko z długim na trzy metry balem od szczytu. Podniósł kawał buka jakby gałęzie na ręce zarzucił i szedł wyprostowany jak minister, nic sobie nie robiąc z ciężaru.

– Tobie, Bolek i za konia można robić, ale sam nie dźwigaj, bo się przesilisz – Gdula nie lubił, jak się człowieka pchało na marnowanie, za takie bez potrzeby robotę uznawał. Szkoda było każdego, co ciężko musiał harować, żeby z głodu nie umrzeć.

– Idzi stryku, idzi – pewnie to tyle u Bolka miało znaczyć, że lekkie i nic mu się nie stanie, tak też wyglądało, niósł i gadał bez zadyszki, a jeszcze śmiał się co krok. Resztę razem z Janem znieśli i nie trwało dłużej niż małą chwilę. Załadowali i wrócili się do Józki, gdzie jeden buk już gotowy. Raz dwa się wzięli za niego i znów wiele czasu nie wzięło jak na bale pocięte. Na wóz weszły dwa większe i choć Jan wcześniej myślał, że więcej się nie pomieści, znać było, że i trzeci pójść powinien. Przy ostatnim Jurek z Józką odpoczywali, resztę Bolek ociosał, a Jan tylko gałęzie odrzucał. Pocięli migiem i z Józki pomocą nosili na wóz. Zatargali pół z buka i Gdula znów zaczął się lękać ciężaru.

– Wiency nie ma co, koń nie pociągnie – Jan często na Baškę wołał „koń”, częściej niż klacz albo kobyła, tak jakoś mu się mówiło.

– Zmoże, zmoże, dobre buki, suche – Bolek poprawił Gdulę, a ten najpierw się zamyślił, potem przypomniał sobie, że nieraz Bolek z leśnym drzewo wywoził, przez to musiał wiedzieć co wolno.

– Tak po brzegi z gajowym wozem? – upewnił się gospodarz, że klaczy nie zameczy.

– Łoooo! Zmoże, zmoże – upierał się przy swoim Bolek i stanęło na jego. Wszystkie na wozie się pomieściły, stało się tak, że Gduli nawet się nie marzyło. Z pełną furą i z tym, co w domu zostało, zimę można przetrwać i niczego się nie bać. Skończył się załadunek i razem z nim słońce zaszło na zachód, szaro się zrobiło, czyli w sam raz dobrze, żeby ze zdobycznym do domu wracać. Jan zarzucił na drzewo płachtę, co ją ze sobą woził, i jak się spodziewał – z wozu nic nie wystawało i niczego nie było widać. Chłodem już wiało, powietrze mokre się robiło, a i w lesie, gdy ciemno nieprzyjemnie siedzieć, czas najwyższy do domu wracać, bale zwalić, ciepłego zjeść, kości naprostować.

– Ty Jurek letki, lejce bierz i na wóz siadaj, my nogami się wrócim. Czas do domu, ciemno się zrobiło – pogłaskał chłopca po głowie, widząc, że i on chce iść, by na ciężaru nie dokładać, ale też sił na to nie miał. Gdy Jurek dostał zadanie do domu zajechać, poczuł się lepiej i znalazł dla siebie tłumaczenie.

Jeszcze do południa Gdula się martwił czy Baška pociągnie, pod wieczór nie było czym się przejmować, kobyła bez stękania ruszyła z małej górki. Będzie ze dwa dni temu, jak osie smarowane, tym lżej szło, może nie tak całkiem bez potu Baški, lecz nie było trudu ponad siły. Gdula maszerował i myślał, co robić z napotkanymi pomocnikami. Ludzie pracowite i pomocne, ale jak się uczepiły, trudno się będzie pozbyć. Drugie, że bez podzięki się pozbywać i jakiego podarunku, co w takich razach było zwyczajem, nie uchodziło. Następne, które Jana męczyło, to Anieli gadanie. Gdulowa Józki z synami nie lubiła, jak wszystkich, które po wsi się włóczyli i z życiem nie dawali rady. Znała Aniela biedę i całe życie powtarzała, że bieda z lenistwem za dwie siostry, tak do siebie podobne, że trudno poznać, która starsza. Jan czasu na myślenie miał wiele, choć nie tą samą, a krótszą drogą

wracali. Bolek tak przez las poprowadził, że mniej było do jechania i bliżej chałupy się znaleźli. Wóz wyjechał na drogę i czas ostatni nastał, żeby decydować. Albo Józkę z Bolkiem na drodze zostawić, bo stąd mieli krócej do siebie, albo razem z nimi skręcić do Aniela.

– Zajdziecie z nami do chałupy, da wam Aniela, co tam będzie miała, żeby wy krzywdy nie mieli – nie mogło być innego postanowienia, nie po bożemu inaczej postąpić.

– Nie tego, nie tego, Aniela dobra – więcej niż zwykle powiedziała Józka i zaraz po tym oboje z Bolkiem śmiali się do siebie, co i Jurka rozbawiło. Wszystkie razem bez przygód zajechali pod stodołę, już całkiem ciemno było. Gospodyni cały dzień czekała, kiedy Jan z Jurkiem powrócą. Tylko wóz wypatrzyła, zaraz biegła przed chałupę. Gdy Józkę zobaczyła i dalej Bolka, uspokoiła się, jak nie ona. Spokojna była z tego, że wcześniej myślała, jaka bieda przy wozie idzie, jakie obce ludzie. Gdula z miejsca pchnął drzewo do stodoły, żeby dla obcych nie było śladu, rozładować dopiero jutro myślał.

– Gdzie wy byli bez cały dzień? Taż oswiecić można? – pożaliła się Aniela.

– Nie gadaj, nie gadaj. Do chałupy zajdź, wynieś Józce za robotę – Gdula posłał żonę do chałupy, sam poprowadził kobyłę do stajni i wszystkich, co było za sobą pociągnął. Aniela wyskoczyła z bochnem chleba, kawałkiem słoniny i woreczkiem mąki, wszystko Józce oddała. Z Bolkiem razem podziękowali, głowami kiwali po kilka razy ciesząc się z podarunku, tak jak ze wszystkiego się cieszyli. Nie było mało, co dostali, przed wojną rzadko, że tyle dawali, co Gdule we wojnę oddały. Bywało, że za sam chleb i garnek mleka cały dzień oboje robili. Teraz wzięli mąki, i słoniny za parę godzin nie tak ciężkiej roboty i w czas, gdy po chałupach się nie przelewało. Bardzo byli radzi i tak Janowi jeden kłopot spadł z głowy. Ze szczęścia i ze strachu, że jeszcze kto odbierze, Józka machnęła na syna i jak wypadało rzuciła Gdulom parę słów:

– Bóg zapłać! Dobra Aniela. Cieeeeemnooo... nie tego, nie tego – podziękowała po bożemu, co dalej i diabeł nie wiedział, chyba, że pora do swojej wracać chałupy.

– Idźcie z Bogiem, co macie za pazuchę chować, by kto nie wydarł. – Aniela odprawiła gości. Lepiej powiedzieć, że sami ze zdobyczym uciekli. Wszystko porobione i wreszcie można siadać przy stole, zjeść i nagadać się, nacieszyć tym, że już zima nie groźna. Zanim przyszło do rozmowy, gospodyni szykowała późny obiad. Postawiła na stole przysmażone pierogi ze śmietaną, dla Jana omaszczone, dla Jurka postne.

– Ty tak zapłaciła? Co to jemu pośne dała? Jak stary harował! – Gdula wstawił się za Jurkiem, ale coś mu nie pasowało, najbardziej żony patrzyenie.

– Czasem by i pomyślał, nim co powie, źle by nie było – skarciła męża, nie tak jak umiała, widziała, że oba mają dość roboty i żadnemu przykrości robić nie chciała.

– Może być ze skwarkami, ciociu, nic nie szkodzi. – chłopak zaskoczył Anielę i Jan sam prawdy doszedł, że o przyzwyczajenie z domu się rozchodzi. Pojął i to, że zaczął Jurka, jak syna traktować, jakby zawsze tu był, od dziecka i wszystko robił tak, jak swój. Żył jak Gdule, pracował jak Gdule, do kościoła chodził i jadł jak Gdule. Znaczy że Gdula jest jak wszystkie w chałupie i taki na zawsze zostanie. Stąd mu się wzięło, że postnymi pierogami matka chciała dziecko ukrzywdzić, teraz wiedział, że całkiem na odwrót rzecz się miała. Gdulowa, jak każda gospodyni nie lubiła, kiedy po michach przebierać, marudzić, zagładać, obwąchiwać. Nie ma mowy, żeby jednemu tak, drugiemu inaczej rychtować. Co ugotowane, wszystkie jeść mają i koniec. Jurek inaczej dostał do miski i o tym wiele musiała pamiętać, by jemu jednemu osobno szykować. Takie specjalne do miski dawnie, pokazywało, że najmniejszej przykrości dziecku robić nie chce i jak za swoje ma.

– Na mnie nie patrz Jurek, jedz, kiedy ci smakuje. Zechcesz po naszymu, zechcesz po swojemu, tak samo nikt tobie słowa nie powie – naprostował, co mu się wcześniej niedobrze powiedziało.

– Niech będzie ze skwarkami i już zawsze chcę jeść tak, jak wujek i ciocia – popatrzył na Gdulów inaczej niż na gospodarzy, jeszcze nie tak jak na rodziców, ale już tyle, co na

przyjaciół albo wujków prawdziwych. Dziwili i cieszyli się Gdule, gdy Jurek twardo stał przy swoim. Dostał ze skwarkami i zaraz wziął się za jedzenie.

– Dobrze, dużo lepsze ze słoniną – cieszył się świeżym smakiem i nie dawał po sobie poznać, że tak jeść w Przemyślu, gdzie dom rodzinny, grzech był ciężki. Może mama nic by nie mówiła, ale ojciec zagniewałby się na pewno. Siedziało w głowie dawne religijne przyzwyczajenie, ale przemógł się i ani nie skrzywił na grzeszne jedzenie, chciał zrobić po swojemu, żeby nikt mu nie kazał jak robić musi. Jak wszyscy chciał być, co nie musieli się chować i pacierzem tłumaczyć, że inne są, niż są. Zrobić, jak mu się spodoba, najeść się słoniny i nikt mu niczego powiedzieć nie ma prawa. Myślał być podobnym do wszystkich, którzy kryć się nie musieli, niech inni się za krzakiem czają, nie on. Po obiedzie pierwsza od siebie powiedziała Aniela:

– Wy pojechali, a ja tak sobie myślała, że całkiem durno my zrobili. Niemce za drzewo złapać mogli. Tutejszy, jeszcze jak tak, z życiem ujdzie. Jurek nie daj Panie Boże. Wszyscy we wsi gadają, co w Przemyślu się wyrabia. Każden zna, że darmo i nie darmo chowają, któren ucieknie z drugiego brzoza. Niemce nie głupie, zewsząd patrz i szukają. Całkiem głupio my zrobili. We wsi co innego, ludzie durne, ale kto nie bądź jak grosz powącha, za byle co zamelduje. Niemce nie durne, źle my to robili. Wiency nie ma co się pchać, kłoptu nie brakuje. – Długo mówiła Aniela, a to dlatego, że wszystko sobie w dzień ułożyła i Jan od razu słowa żony przyjął za przestrożę.

– Ano głupio, wszystkie trzy my siedzieli i żaden nie pomyślał. Koło domu bedziesz latał, nie dali. We wsi wiedzo, że u Gdulów chłopak je, głupiego nie ma co strugać, ale pchać się drugie nie ma co – popatrzył na chłopca, jakby chciał cofnąć wczorajsze bez rozumu postanowienie, zgodził się z Anielą i pewnie z tej samej przyczyny. Oboje zaczynali się martwić o Jurka, jak o własne dziecko, myśleli, jak zrobić, żeby krzywda mu się nie stała. Chłopiec zrazu posmutniał, znów się poczuł jak ten gorszy, schowany, ale wysłuchał cierpliwie, patrzył uważnie i sam rozumiał, że wszystko dla jego dobra powiedziane i chyba więcej niż z troski, chyba z miłości. Bez rozumu na swoim postawić, życie kosztuje, swoja tylko głupota, cudza radość.

– Wujku, ta Józka i Bolek dziwni jacyś. Skąd oni się wzięli? – powiedział do Jana, ale patrzył na Anielę, szykował psotę, myślał przerwać poważne gadanie.

– Ciotki pytaj, od niej jaka taka rodzina – Gdula roześmiał się głośno, jak tylko spojrzął na żonę.

– Ty na swoich patrz, takie same durnowate jak i te. Te chociaż się nie bijo, z siekiero za ojcem nie latajo, jak twoje pijanice. Biedne to i głupie, za robotę się nie weźmi i tak łązi, chleba prosi po chałupach. Każden nim tłucze i poniewiera – nie lubiła Aniela tych dalekich krewnych, ale żałowała, jak każdego co biedę miał.

– I my ich poniewierali, silne jak konie, co się narobiły, to się narobiły. Żeby nie one wiency, jak jednego buka nie dali by my rady, szkoda gadać – słowa Jana jak podziękowanie i wyrzuty sumienia brzmiały.

– Ty się nie bój, żadnej krzywdy nie mieli, żeby tak wszystkie ich piłowały jak my, to by dobrze było. Gdzie one tyle wezmo jak tu, za chwilki roboty. Bogacz pół z tego by nie dał. Mało razy za jeden chleb cały dzień robiły? Jak im krzywda je, nie usuno się, do chałupy pchają. Od nas galop lecieli, żeby im kto nie wydarł, co zafasowali – wszystko uczciwie Aniela poukładała i każdemu zasługi przydzieliła.

– Niby racja, do dupy życi, nic nie wartuje. Tak ot tak, morduje się darmo i drugich przy sobie. I takich Boziu stworzył, niech tam se biedne robi jak zechce – zamyślił się Jan, z biedy się nie śmiał, znał biedę na wylot, z domu był takiego, że dziewięcioro za chlebem płakało. Czasem pożartował z Anieli, nie po złośliwości, takie sobie zbytki oboje robili, tak smutki prześmiewali.

– Dziwni, śmieszni, ale pomogli bardzo dużo – Jurek pogodził Gdulów.

- Pomóc pomogli, cieszy się to byle czego, pewnie za to się po świecie pląta i samo nie wie czego, bo kaźden jeden za głupiego weźmie – odpowiedział Jan.
- Wszystko jedno, kto tam głupi, kćóren mądry, dobre, że drzewo je i wy szczęśliwie do domu wrócili. Reszta bajka – Anieli samej zrobiło się lżej, gdy powiedziała, co najważniejszego o tym wszystkim myśli.
- Drzewa po uszy, nawet nikt nie myślał, że tak się uda. Dużo Jurek zrobił, on sprzypomniał sobie, gdzie buki zwałone.
- Bogu dziękuje, że takiego sprytnego napotkał, sam pierwszego razu pod krzakiem z rękami do góry siedział.

Wszyscy uśmieiali się z tego, co Aniela powiedziała i ze śmiechem zebrali się do spania. Na wsi wcześniej spać chodzono, do dnia trzeba było wstać, aby obrządzić. Początkiem Jurek nie mógł się przekonać do rannego porządku, jednak z czasem, gdy zaczął w gospodarzeniu pomagać i wstawać razem z Gdulami, wszystko mu się z miejskiego na wiejskie wyprostowało. Tej nocy nie spał spokojnie, śniły mu się straszne rzeczy, tak źle dawno się nie śniło, nawet w pierwszą noc po wojnie i nawet wtedy, gdy spał w lesie. Śnił mu się ojciec pomazany krwią, krzyżem leżał w synagodze i odmawiał „Ojcze Nasz”. W synagodze żywej duszy, tylko wiatr trzaskał drzwiami, a przez drzwi widać wychudzonych ludzi, wszyscy nadzy i nawet kobiety, zamiast łona miały obrzezane męskie przyrodzenie. Nagich prowadziła matka z księdzem pod rękę i sam Jurek w niemieckim mundurze. Szli bez słowa po ulicach Przemyśla i potem wszyscy przeszli rzeką na drugi brzeg miasta, stóp nie zanurzając. Jurek z matką i księdzem śmiali się z tego pochodu i krzyczeli na nich: „wišta wio, wišta wio”. Z tłumu tylko jedno za duże na dziecko i mniejsze niż dorosły odezwało się: „nie tego, nie tego”. Wszystko we śnie było nieprzyjemne, plątało się ze sobą. Z pokoju w Przemyśle, gdzie stało radio, Jurek przechodził drzwiami do lasu i znów z lasu prosto na piec w izbie Gdulów. Z pieca na stół, gdzie na talerzu widział obłoczone świńskie racice, rozplływały się po pierogach i wylewały przez talerz wychylony od siebie. Gdule śmiały się z Jurka i krzyczały: „Jedz Berek, jedz, między niewiastami!”.

Zerwał się ze snu trzymając dłonie na ustach, pobiegł szybko do sieni, w to miejsce gdzie stały wiadra na brudy. Zwrócił całe jedzenie i długo nie mógł dojść do siebie. Przysiadł na ławie, ciężko oddychając trzymał się za brzuch. Jan spał jak niedźwiedź, tylko Aniela usłyszała, co się dzieje, wstała z łóżka, zapaliła lampę i poszła za Jurkiem do sieni.

- Co tobie je? Rwie z ciebie? – pokiwał głową – Tobie skwarki musiały narobić i nie tak na brzuch, co na myślenie. – Wzięła chochlę i wlała parę razy do wiadra, żeby po sieni smrodu nie roznosić, potem dała Jurkowi kubek z wodą i kazała przepłukać usta. Powoli równał oddech, trochę lepiej czuć się zaczął, Aniela pomogła wstać i poprowadziła do kuchni.
- Suszonej mięty sparzę i żeby ty mi więcej na przymus nie jadł, jak tobie co nie pasuje
- prawie krzyczała, z troski, nie po złości.
- Dobre pierogi były, to nie od jedzenie, ciociu, to chyba z tego wszystkiego. Ze strachu
- odpowiedział Jurek, tak żeby ciotki nie martwić i ledwie co mówił, bo w brzuchu jeszcze się gotowało.
- A czego tobie się bać? Co najgorsze przeszło. Tu nie masz się czego bać – gwarantowała, czego i sobie zapewnić nie mogła, oboje wiedzieli, że gdy wojna, nie ma spokoju.
- Oni tam wszyscy zostali, tylko ja...
- I co ty poradzisz? Nic nie pomoże twoje rzyganie. Niemcom do roboty potrzeba, nowa wojna, to i ludzi bioro. Z trupa pożytku nie ma, tylko kłopot, jeszcze trza pochować. Nie bój się nic, bedo żyć i tobie nic nie bedzie. Człowiek, jak kaźde inne, co żyje, jak do czego nawykły, tak mu ciężko przemówić. Krowa siano je, koń owies, pies kości gryzie. Daj psu siana – czy będzie jadł? Takie samo ze świni, jak z cielaka jedzenie. Jak ty w domu słyszał, że grzech ze świni, tak i spamiętał i tak rzygał. Weź mnie z psa daj, dopiero zobaczysz, co rzyganie. Ty nie wiesz, czego rzygał, a ja tobie powiem. Rzygał, bo posłuszny Panu Bogu

i ojcu z matką – nie od skwarków, od posłuszeństwa i pomyślenia. Za to, że ty mądry i posłuszny, tego rzygał.

Wszystko, co Jurek usłyszał, choć nie takie w słowach było jak matki pocieszenie, sprawiło, że lżej mu się zrobiło i pewniej.

– Pójdę spać, nie trzeba mięty, ciociu, już mi dobrze jest – rzeczywiście lepiej mu było i zmęczony chciał spać.

– Trzeba, trzeba, a spać idź na piec, mocno się wygrzejesz i ból odyjdzie. Kładź się tam, pierzynę dostaniesz – podtrzymała chłopca słowem i rękami. Aniela pomogła choremu wejść na piec i pierzyną, którą ściągnęła z łóżka, zaraz przykryła po szyję. Jan dalej spał, aż chrapał, nic mu snu nie zabierało ani w sieni stukanie, ani poruszenie w kuchni. Zanim woda na piecu się zagrzeje, trzeba dobre pół godziny, na noc jak w dzień się nie pali, tyle żeby całkiem nie pogasło i się nie wyziębiło. Ten czas Aniela przesiedziała przy stole z głową podpartą pod brodą. Zerkąła do chłopca i myślała, jak to naprawdę będzie i jakie to wszystko nieludzkie, jakie złe. Takie życie, że za drzewo albo i za co mniejszego człowiek człowieka morduje, że dzieci osobno i rodzice gdzie indziej, nic nie warte. I najważniejsze na koniec zobaczyła: „Najciężej w życiu ma taki, co sam jeden chce mieć letko, lżej temu co z drugim dźwiga ciężary”. Pomyślała i tyle jej, bo nic więcej mądrego wymyślić się nie dało, trzeba żyć, żeby przeżyć, co i bez myślenia było wiadome. Woda nareszcie zawrzała, Aniela zaparzyła miętę, tylko nie było kogo poić. Jurek spał twardo, że szkoda budzić. Sen nie gorsze od mięty lekarstwo, może i lepsze, tak sobie wytłumaczyła, po czym sama poszła spanie dokończyć.

## 7

Rok z kawałkiem mieszkał Jurek z ciotką i wujkiem, przez ten czas więcej wszystkich spotkało radości i śmiechu, jak łez i zmartwienia. Wojska i zbłąkanych po lesie nie mało, ale Pan Bóg trzymał straż nad Gdulową chałupą, nie dopuszczał, by co złego się stało. Więcej od wojny bali się, że plony nie bardzo udane, że zima sroga. Powiedzieć nie można, naokoło co i rusz wieści smutne i całkiem złe przychodziły. Ukraińcy myśleli zabijać miejscowych, tutejsze ścigać banderowców. Niemcy Ruskich tłukli, inne z nędzy i chorób umierali po gettach. Jeszcze dalej okrutnie katowani, żywcem na pół przerynani i paleni za to tylko, że są. Było się czego bać i kogo lękać, ale pod dachem inaczej, jak po świecie, co złe na świecie niewiele mogło zdziałać w chałupie, gdzie dobra i szczęścia nie brakowało. Czasem gorzko posmakowało, gdy Jurek przypominał sobie, najwięcej po nocy, że Berkiem był i cała z Przemyśla rodzina bez słuchu przepadła. Nie wie czy żyją, czy ojca i matkę jeszcze zobaczy? Jan z Anielą po swojemu tłumaczyli, tak jak się na wsi wszelkie troski przegania. Bogu trzeba dziękować za życie, zdrowie i jedzenie, więcej z ciężkiej, uczciwej pracy samo się musi ułożyć. Trafiało do Jurka, co z serca usłyszał, pewnie dlatego, że nic z dawniejszych kłótni rodziców nie wiedział i żadnego pocieszenia nie znalazł. Ojciec z matką spierali się, co przyczyną wszystkiego i nijak nie potrafili znaleźć na skutki lekarstwa. U Gdulów przeciwnie i prościej, każdego dnia mniej gadania, więcej roboty – kartofle zakopać do ziemi, sadzę z komina wyciągnąć, ciasto na chleb zarobić, krowę wydoić, kapustę zakisić. Tak dzień za dniem przechodził i w zimę nawet pod dostatkiem było zajęcia. Choć nic wielkiego z obrządku się nie zrodziło, dawało przetrwać, przeganiało złe myśli.

Jurek dużo się zmienił, innym był dzieckiem, sam już nie wiedział kto jest. Jeszcze Berek czy całkiem Jurek? Żadnego przymusu nie miał, nawet Aniela, odkąd pokochała go jak syna, nie przymuszała do pacierza. Raz zęgnął się do obiadu, drugim razem zapomniał, bywało, że jednej soboty nie pracował, na drugą pomagał Janowi. Z jedzeniem każdy rok nowe zmartwienia przynosił, przez to jadł co dali, a żołądek i głowę tyle przyzwyczyił, że ciotka mięty zaparzać nie musiała. Dawne życie spletało się z terażniejszym i z czasem przestał pytać sam siebie, kim jest, w jakiego Boga wierzy, które jedzenie grzeszne i w jaką

stronę miche wychylać. Dzień powszedni jak święty się zdawał, bo święty był spokój, od tego jak kiepsko na świecie się robi. Swego patrzeć, co w chałupie z pożytkiem zrobione przetrzymać pozwoli, więcej nie trzeba.

Końca wojny każdy jeden wyglądał: prosty w chałupie i lekarz z Przemyśla, ale żaden wielkiej sobie nie robił nadziei. Z końcem lutego czterdziestego trzeciego roku ludzie gadali, że Niemców z powrotem na zachód gnają, że mrozem skuta ziemia wojnę wygrała. Dobrze to były wieści dla wszystkich. Niemcy z Ukraińcami litości nie mieli i Ruskie swoje robili, ale kto wrogów najgorszych przegania, zaraz za lepszego uchodzi. Do nikogo Gdule się nie wtrącali i tak samo od drugich chcieli, tylko z Ukraińcami inaczej było. Przed wojną pełna zgoda i za Ruskich nawet. Dopiero jak Niemcy przyszli zrobiło się groźnie, a jeden drugiemu co najgorsze wypominał, choćby nawet nic nie zawinił. Bogu dziękować w Czystkach do mordowania nikt się nie garnał, tyle co złorzeczyli, grozili i przeklinali, z biedy, głupoty i strachu. Na skraju wsi stała zagroda, a pierwsze po sąsiedzku Horoszczaków obejście. Szczęściem Horoszczaki Gdulów szanowały i Gdule Horoszczaków. Wielkiej przyjaźni nie było, ale gdy pomoc przyszło razem młócili i siano przed deszczem chowali. Sąsiedzkiej pomocy i wojna nie zaszkoziła, dobrze sobie mieli, lepiej jak świat, co po złości i bez rozumu gnał, że Pan Bóg nie wiedział dokąd. Za progiem dobre życie, ale ze wszystkim drzwi przed światem nie zamknie, przywieje co zechce, choćby najmocniej zaparte.

Przyszły roztopy po ciężkiej zimie, może był koniec marca, najdalej połowa kwietnia, gdy do chałupy zawitał gość niespodziany. Wszystkie siedzieli, gadali do siebie, wieczór nadchodził, jak w drzwi zastukało i od razu znać było, że nie swój idzie. Tych, co po sąsiedzku zaglądali, gospodarze czasem i po krokach znali, a kto ze wsi był nie śmiał walić jak do siebie, akuratnie pukał, żeby nie za cicho i tyle głośno, jak potrzeba. Obcy w drzwi tłukł, żeby nie zaryglowane i bez pukania by wlaź.

– To nie swój tak wali, to co złego idzie – Aniela złożyła ręce, przestraszyła się mocno.

– Na nie! Musowo roztworzyć, może więcej głośny, jak zły idzie – Gdula uspokajała, ale nietęgą miał minę, wszystkim i sam sobie otuchy dodawał.

– Kogo Pan Bóg prowadzi? – spytał nim otworzył, ale następne walenie usłyszał. Nie było rady, pod strachem musowo otwierać. Haczyk odemknął i prawie w ten sam czas do izby wtoczył się żołnierz. Karabin miał przewieszony na łokciu, potargany płaszcz, czapka przekrzywiona na bakier, błotem zaciągnięte buciory, za którymi nie nadążały nogi. Niemiec wpadł do chałupy i prosto w ręce Gduli, który mocno musiał go przytrzymać, żeby nie zwałił się na klepisko. Czasu nie było, żeby się lękać, pijany ledwie przestąpił próg, a już trzeba się nim zajmować. Jak tylko Jan złapał pijanego, wziął go pod pachę i poprowadził do izby. Aniela z Jurkiem nie mieli tyle zajęcia, na widok zdrętwieli oboje i najgorszego czekali. Posadził gospodarz żołnierza przy stole, na tej ławie, co od ściany stała, by się nie osunął. Gdy pozbył się ciężaru, sam mocno opadł na drugą ławę z przeciwnej strony, gdzie Jurek na skraju siedział. Aniela na stołku usiadła i bliżej do chłopca się posunęła, żeby był spokojniejszy, tylko Jan naprzeciw żołnierza siedział, a ten powoli dochodził do siebie.

– Gównno warte, gównno warte... – mrucał swoją niemiecką mową i reszta myślała, co jego gadanie znaczyć może. Zrzucił czapkę, pokazał twarz, całkiem do Niemca niepodobną. Ładny był, młody i, co najlepsze, źle mu z oczu nie patrzyło. Gdyby tak mundur zdjąć, całkiem na człowieka wyglądał i nie taki zły, jak teraz krzychał:

– Co tak siedzicie, durne chłopcy, wódki dawać. Wódki, słyszycie! – Gdule popatrzyły po sobie, z niemieckiej mowy nic nie wiedziały, to jedno poznały, że dość nie ma i więcej szuka. Niewiele znać co robić, z pijanym żartów nie ma, z pijanym Niemcem, co ma karabin, dopiero strach. Jan nie był bardzo pijący, Aniela wcale wódki nie uznawała, ale – jak to w chałupie – samogon być musiał, niejedno bimbrem załatwić można.

– Anielka, przynieś, no, panu żołnierzowi naszej wódki – zagadał do żony i ta z miejsca poszła do drugiej chałupy. Tak samo prędko wróciła ze szklanką, którą trzymała razem ze



świętecznymi talerzami. Niemiec chwycił się od razu, wlał sobie pół szklanki, przełknął i nawet mocno się nie skrzywił, widać było, że znał tę moc i smak tutejszy, musiał wcześniej i niejedną raz próbować miejscowego picia.

– Gównno warte, gównno warte... życie gównno warte, wy durne chłopcy. Rozumiecie? Gównno tam rozumiecie, nic nie rozumiecie, po niemiecku nie rozumiecie i nic nie rozumiecie, durne chłopcy – wszyscy, co w chałupie byli, tyle poznali, że do nich krzyczy, a takie wrzaski nic dobrego znaczyć nie mogły. Strach było słuchać, jak się rozdarł, tym większy, że nic z obcego gadania odgadnąć nie można i do tego cały czas jakby te same słowa mielił.

– Boicie się? Czego się durnie boicie? Trup z wami siedzi, pijany trup, bez życia. Nie będę was zabijał, nigdy nie chciało mi się was zabijać. Jestem weterynarzem, nie rzeźnikiem. Byłem, byłem weterynarzem, teraz jestem pijany trup – skończył gadać i rozejrzał się po chałupie. – Żyjecie tu jak w dziupli, to nie dom, to dziupla, wódz ma rację, jesteście marni ludzie, w Bawarii lepiej chlew wygląda niż wasza dziupla. Rozumiecie? Murowany chlew, nie taka dziupla z gliny i desek, durne słowiańskie chłopcy.

– Żona co do jedzenia robi. – Jan widział, że pijany wrzeszczy w niebogłosość, powtarza i płacze słowa i więcej to wrzaski nie umiał zaradzić, do głowy jedzenie mu przyszło, jak to do wódki. Zagadał do Niemca i sam zobaczył, że ten nic nie rozumie, wtenczas pokazał rękami, jakby łyżką machał i do ust kierował. Aniela już wcześniej obmyśliła zakąskę szykować, na to talerze przyniosła.

– Czego ty chcesz? Jeść? Nie mam jedzenia, nic już nie mam! – odpowiedział Gduli i śmiał się przy tym. Jan pomyślał, że dobrze trafił i odesłał Anielę do kuchni, gdzie i sama myślała iść. Do wódki Ruskie zawsze chleba chciały ze słoniną, to samo Niemcowi dała, żołnierz jest żołnierz, wszystkie jednakowe.

– Mnie dajesz, babo? Słoniną i chlebem będziesz mnie karmić? Trupy nie jedzą! Rozumiesz, babo? – znów się darł jak zarzynany i nie wiedzieć czego.

– Chleb dobry, świeżo spieczony i słonina wędzona, wiency nic nie ma – odważyła się zwrócić do Niemca i tak mówiła, jakby się modliła do samego Pana Boga, ale też i zła była, że w taki czas, gdzie ludzie chleba proszą, ten tutaj grzeszy i marudzi, rękami na jedzenie macha.

– Siadaj głupia babo, siadaj i nie drażnij trupa – łagodniej zagadał, dalej machnął ręką, pokazując na ławę. Widać zmęczył się krzykiem i machaniem, bo jak tylko skończył, ukroił sobie pajdę, przełożył słoniną i zapomniał, że wielkie miał przed chwilą do życia i słoniny żale. Skończył jedną kromkę i zaraz zabrał się za drugą, jadł pośpiesznie, a jak przemógł głód, silniej wrócił do gadania. Pomiedzy kęsami opowiadał, co jego życie warte.

– Głupi i mądrzy z was ludzie. Szczere słowiańskie gęby. Nic wam to nie da i tak was zabiją, jak nie my, bolszewicy ukatrupią, a jak nie oni, to Ukraińcy. Zastrane macie życie, głupie chłopcy, ale i tak lepsze niż moje. A ty co się gapisz, mały chłopie? – mundurowy zwrócił się do Jurka. – Nie bój się, ja cię zabijał nie będę, ani ciebie, ani twoich rodziców. Gapisz się, że jem takie świństwo? Jem, bo mi świństwo smakuje i co mi zrobisz? Będę jadł! Ty słoniny nie ruszysz, co? Ikrą się zażerasz? Jak się nazywasz? Gadaj!

Znów się zrobiło groźnie w chałupie, tym groźniej, że pijany do Jurka się uczepił i Bóg jedyny wie czego. Gdule już myślały o najgorszym, że on tu z getta przyszedł, dowiedział się, kogo w domu chowają i będzie mordować. Niemiec złagodniał, widząc, że chłopiec cały się przykurczył i oczy łzami zapuścił. Życzliwiej się odezwał.

– Ja Jens, Jens Friedrich. A ty? – Janowi zdawało się, że zrozumiał czego Niemiec chce, przysunął się bliżej stołu i powiedział do Jurka:

– Pan oficer pyta, jak ty się nazywasz, mów, żeś Jurek Gdula, nie bój się – przytulił chłopca i pokiwał życzliwie głową.

– Jurek Gdula – tyle z siebie chłopak wydobył.

– Juhrek! Niech ci będzie i Juhrek! A wy jak? – pokazał na starszych.

– Żona – Gdula Aniela, a mnie Jan Gdula – gospodarz odpowiedział powoli i wyraźnie.  
– Hdula, Hdula i dobrze, że Hdula, niech będzie Hdula, durne chłopcy. Aniela, Jan, Juhrek i Jens, rzadkie towarzystwo – za kolejną pokazywał palcem na siedzących wkoło i na koniec roześmiał się szczerze, czym uspokoił przestraszonych w chałupie. Chwilkę odsapnął, potem popatrzył po izbie i od nowa zaczął coś po swojemu gadać. – Aniela, przynieś drugą szklanekę, dla męża, sam nie będę pił.

Gdulowa wytrzeszczyła oczy i dopiero, gdy żołnierz podniósł szklanekę, potem imię męża przywołał, zrozumiała w czym rzecz. Dostał Jan do picia za Niemca sprawą i teraz rozlewał siwuchę do swojej i jego szklanki.

– Pij chłopie z niemieckim trupem. Na zdrowie! – ostatnie słowa wygłosił tutejszą mową, chropowato gadał, jak obcy. Tak czy siak, Gdula czysto odpowiedział. Wypili, Jan wszystko, co miał w szklance, Niemiec tylko chlipnął na jeden łyk i zaraz krzyknął: – Bierz słoninę, przegryź – podsuwał jedzenie, ale gospodarz głową pokiwał, że niegłodny, co pijanego więcej rozbawiło.

– Ech, wy durni Słowianie, pić to wy umiecie. Nie chcesz, nie jedz, diabli z tobą... i ze mną. Pić i umierać, durni Słowianie, tyle umiecie. – Na chwilę cisza w izbie nastąpiła, Niemiec zadumał się i odpłynął gdzieś w myślach. Za długo nie pływał. – No, gadajcie! Co siedzicie ze łbami zwieszonymi? Boicie się Niemca? Mnie się nie bójcie, Niemców nie ma się czego bać, już po wszystkim. III Rzesza zamarzyła pod Stalingradem – po ścianach izby błędził śmiech pijanego żołnierza.

– Niech się oficer napije – Gdula sięgnął butelkę i dołał temu, co Jens mu było, a gdy chciał wódkę odłożyć, Niemiec samogon w drugą szklanekę przechylił razem z Gduli ręką. Oficerem nie był, ale żadnego znaczenia nie miało, co chłop do niego mówił, niczego i tak zrozumieć nie mógł.

– Ze mną będziesz pił! A wiesz za co? Żebyś przeżył w tej dziupli razem z żoną i synem, tego ci życzy niemiecki trup! – stuknął szklaneką i obaj wypili. Jan jednym haustem, co było nalane, żołnierz znów nie dał rady więcej, jak łyk i tyle był jeszcze przytomny, że drugi raz podsunął zakąskę, ten raz Gdula nie odmówił.

– Jedz chłopie, jedz, więcej zjesz, więcej wypijesz, mniej ci wszystkiego zostanie. Co w takim łbie jak twój łeb może siedzieć? Co ty teraz sobie myślisz? Po co przylazł ten niemiecki bandyta? Tak sobie myślisz? Tak myślisz? – ręką zaczepił koszulę Jana, chwycił go tak, że przez stół chciał przeciągnąć, ale szybciej odpuścił. Zobaczył przerażoną Anielę i Jurka szerokie oczy, zaczął się śmiać, machać rękami, że wszystko żarty i nie ma strachu.

– Widzisz chłopie, wódka nawet trupa na nogi postawi, niepotrzebnie piję. Przeszanę pić i będę martwym trupem. Wiesz, miałem jechać na front, tratatatata, strzelać. – Między głowami przeleciała ręka udająca karabin, tego inaczej jak rozstrzelanie rozumieć się nie dało i gdyby nie to, że Niemiec znów śmiać się zaczął i nawet pogłaskał Jurka po głowie, ciężko by Gdule znieśli wygrażanie. – Do dupy z taką rozmową, nic nie rozumiecie! A może i lepiej tak? Nie wiadomo! Nie będę was zabijał, nie chce mi się was zabijać, sam muszę się zabić. Kto inny was zabije, nie ja. Przyszedłem do was, bo było po drodze, nie chcę widzieć Niemców, do was będę gadał. Z wami chce mi się podgadać. Nic nie rozumiecie? I ja nic nie rozumiem! Nikt nie zrozumie. Nikt! Będę sobie tu siedział i gadał do was, a jak mi się znudzi, pójdę i to jest dobre, tak powinno być zawsze. Człowiek musi się wygadać, ale tak, żeby go nie rozumieć, tak jest uczciwie. Wiesz, ty słowiański chłopie, że ty mnie pilniej słuchasz, niżby słuchał Niemiec? Słuchasz całym sobą, interesuje cię, co do ciebie mówię, chciałbyś wiedzieć, co mówię, bo nie wiesz, co mówię. Gdybyś widział, co mówię, ziewałbyś i udawał, że rozumiesz, że chcesz mnie słuchać. Nie wiesz, co mówię i to ci spokoju nie daje. Takiego potrzebuję słuchacza, żeby mu spokoju nie dać. Tak się powinno ludzi słuchać, gdyby tak się ludzie słuchali, dziś nie byłoby niemieckiego i ruskiego wodza, nie byłoby tych bandytów w mundurach. Rozumiesz, durny chłopie? Prosta filozofia, nawet na twój rozum. Takim jest

człowiek, że to, co niezrozumiałe, interesuje go i przeraża, a to, co jasne i przerażające, jest mu obojętne, nudne, i nie zmienisz tego, durny chłopie, ani nawet ja nie zmienię. Wiesz, kiedy skończy się ta wojna? Wtedy, jak już wszyscy się znudzą i wszyscy zrozumieją, że o nic w tej wojnie nie chodzi, o nic poza nudnym zabijaniem. Kiedy ty zrozumiesz mnie, a ja ciebie, bez słowa, popatrzymy na siebie i będziemy wiedzieć wszystko, wszystko zrozumiemy. Wtedy skończy się wojna. Niedługo się skończy, jak przeżyjesz, zobaczysz, że miałem rację. Ludzie nie będą się zabijać, jeśli wszystko stanie się oczywiste, dla tajemnicy się zabija. Ile jeszcze można zabić? Jak można zabić? Po co zabijać? Gdy już wiadomo, że można zabijać bez końca, na tysiące sposobów i nic z tego nie wynika, wtedy skończy się wojna. Dziś jeszcze za wcześnie, dziś Niemcy nie wiedzą, że nie da się wszystkich zabić, bolszewików i marnych ludzi, a bolszewicy nie wiedzą, że nie da się zabić panów ludzkości. Pozabijamy się, ale ktoś w końcu powie, że w tym nie ma już żadnej tajemnicy i dalej zabijać nikomu nie będzie się chciało, do następnego razu, do następnej tajemnicy. Żyły sobie wypruwamy, żeby zabijać i nie w tajemnicy, ale dla tajemnicy. Zanim zaszyjemy wyprute żyły, powiedzmy sobie, lekko mdlejąc, że te wszystkie wydumane, milionowe zabójstwa, to jest jedno wielkie i nudne samobójstwo. Czy Niemcy zbudują świat na swojej tajemnicy? Nie, durny chłopie! I nawet ty powinienesz wiedzieć, dlaczego nie. Niemcy tracą swoją tajemnicę, żadnej tajemnicy już nie ma, nie ma panów Niemców, chodzi tylko o to, żeby przeżyć ruską zimę i napić się ze słowiańskim chłopem. Upadek idei i tajemnicy, durny chłopie. Koniec początku? Początek końca, nieważne i za to się pewnie napijesz. Napijesz się? – złapał oddech i wódką zaczął celować do szklanek, więcej po stole łał, mało jak trzeba. Gdula poznał, że się marnuje, złapał i poprawił.

Niewiele w chałupie się zmieniło, odkąd obcy zawitał, żaden przy stole nie wiedział, czego chce i po co przyszedł. Mówił wiele, ale kto go tam zrozumie, może tyle się wyjaśniło, że mordować nie przyszedł. Gdyby zabijać chciał, pewnie nie sam by przychodził i nie całkiem pijany. Coś innego Niemca do chałupy przyciągnąć musiało i tego Gdule nie wiedzieli. Lepsze, że więcej spokoju się zrobiło, chociaż żołnierz od czasu do czasu krzyczał jak zarzynany, ciskał się, szarpał, rękami machał na wszelkie strony. Wyglądało, że sam miał jakieś strapienie i co go przygniatało, wódką myślał dźwigać. Tak pomyślała Aniela, kiedy na wszystko popatrzyła trzeźwym okiem. Jan za kilka szklanek, jak każdy podpity więcej odwagi złapał, że nic się nie ma prawa stać i wszystko w najlepszym porządku będzie, tak sobie w głowie układał. Najbardziej zestrachany był Jurek, jemu starczyło, że na mundur popatrzył, że usłyszał tę mowę, którą po nocach słyszał i już chciał uciekać. Widziała ciotka chłopca zmartwienie i, jak mogła, uspokajała, więcej ciepłym spojrzeniem, głaskaniem jak słowem. Niemiec rozglądał się po całej izbie i jak tylko coś nowego się robiło, zaraz się chwycił. Teraz dobrze już był wypity i niewiele do niego docierało. Nikt, kto w izbie siedział, nie wiedział, kiedy się wszystko skończy, nawet i Jens, on znał tyle tylko, że nic mu od chłopów nie grozi, na co sami żadnej pewności nie mieli. Jan po paru szklankach zrobił się skory do rozwiązania sprawy. Tyle śmiałości już w sobie miał, co wypitej wódki, tylko zaradzenia żadnego, dlatego na wiele odwaga się zdała, dalej ze wszystkim się toczyło za niemieckim dyktandem.

– Widzisz, dzięki mnie się napiłeś! – rozległ się śmiech. – Za to jedno powinienesz Niemca dobrze wspominać i pomodlić się za niego, wy strasznie bogobojni. Pomódl się i podziękuj za wypitą wódkę, inaczej baba pić by ci nie dała. Daje ci baba pić? Co byś nie mówił, nic nie powiesz, tobie wszystko jedno. Kto ci taką babę zabierze? Nikt ci baby nie zabierze! Siedzisz tu sobie i baby pilnujesz, a tobie żaden lotnik baby nie odbierze. Lotnik rozumiesz? Samolot... – językiem słowa poplątał, potem rozłożył ramiona i zaczął pokazywać samolot, rękami i głosem udawał, Gdule znów zachodziły w głowę, o co może iść. – Odleciała Herta z lotnikiem, nie ma Herty. Widzisz co przysłała? – Wyciągnął zza pazuchy pomięty list i rzucił na stół w stronę Jana. – Masz i czytaj! Czytaj, ja pozwalam, niech wszyscy czytają!

Gdula spojrzął na papier i choćby tam po swojemu miał napisane, przeczytać nie umiał, oboje z Anielą czytać nie potrafili. Jedyne, co w chałupie piśmienny, był Jurek i jemu kartkę wujek podrzucił, bo bał się czy pisanie nie rozkaz aresztu, albo co gorszego.

– Czytaj, no tam, Jurek, co pan oficer spisał – pijanym, troskliwym głosem zwrócił się do chłopaka, żołnierzowi pomachał, że niepiśmienny i znów się Niemiec roześmiał.

– Nie po naszymu, po niemiecku napisane, nie potrafię przeczytać – Jurek odpowiedział zażawionym głosem.

– Czytać nie potraficie, durne chłopcy?! Oddaj to! Czytać nie potraficie! – wrywał kartkę z rąk Jurka. Ledwie przy stole siedział, ale ciągle gadał i wymachiwał, teraz jakby jeszcze bardziej żwawy się robił i głośniej krzyczał niż wcześniej. Znać było, że go strasznie napisane zeźliło i z tym chyba radzić sobie nie umiał. – List przysłała... – wódka już na dobre Jensa rozebrała, mamrotał do siebie, na koniec zaczął płakać i żalić się swoją mową. Tak mu wychodziło, że Gdule i nawet Jurek rozumiał co złego się stało. Jeszcze raz sięgnął za pazuchę, wyciągnął fotografię kobiety, położył i ciężko przyklepał na środku stołu. – Moja Herta odleciała, moja Herta... – zapłakał głośno Jens. Jan, nie pytając, chwycił za fotografię i jak tylko zobaczył kto tam jest, oczami przewrócił nieludzko, potem podał żonie.

– No, masz jego! Ta ty durny, dziecko straszyl i ludzi, za take tłuste, kostropate? Żeby ciebi... – powstrzymała się za dalszymi żałami, a i wszystko spokojnym, matki głosem powiedziała. Za chwilę złękła się, co się z niej wyrwało i dodała: – Wróci, wróci, po twarzy znać, że wróci... – Teraz i przedtem cicho mówiła, ciepło, więcej jak chciała. Zrazu zdenerwowana już się więcej uspokoiła, nic nie pokazywało, że pijany żołnierz ma złe zamiary. Ot, upił się z nieszczęśliwej miłości i przyszedł do pierwszej z brzegu chałupy, aby dopić swoje żale. Tego Anielę już całkiem była pewna, gorzej, że wizyta zdawała się nie mieć końca i nie bardzo był pomysł, jak się z chałupy marudnego pozbyć. Nie było z kim gadać, Niemiec pijany i Jan też już swoje wypił, Jurek siedział skulony, ciężko znosił widok munduru i niemieckiej mowy słuchanie. Do wszystkiego złego Jens gadał jak najęty, płakał nad swoim losem i opowiadał, jak mu w życiu nietęgo. Jedną rzecz przychodziła Anieli do głowy, upić na umarłego i wynieść z chałupy, tak też zamierzała uczynić.

– Chłopie, durny chłopie, patrzysz na mnie żalosego i takiego Niemca chciałbyś widzieć. Nie kłam, nic nie mów, wiem, co myślisz. Zdradziła, rzuciła, sponiewierała, zabiła. Nic nie pomaga, nie daje zapomnieć. Wszystko wiem, wiem, jakie pospolite, ale nic nie pomaga, wyć się chce, durny słowiański analfabeto. Na zdradę nie ma mocnych! Nie ma mocnych na lotnika! Teraz mogę i na front, nowa ofensywa, analfabeto, trupy na linię frontu. Pijane trupy! Pasuje do wschodniego frontu taka armia, jedno do drugiego pasuje idealnie. Armia trupów i twoje słowiańskie zwycięstwo. Niemieckie lotnictwo obniżyło morale Wehrmachtu, zdrada we własnych szeregach, brak wsparcia z powietrza.

Gadał i gadał, co jakiś czas wybuchając śmiechem. Już nie groził, nie szarpał, pijany był prawie tak, jak mówił, pijany w trupa. W butelce niewiele zostało i choć Jan dużo mniej przechylił, widział, że i jemu w głowie się miesza. Pilnował się przez to, żeby czego głupiego nie powiedzieć albo i nie zrobić. W chałupie zrobiło się dziwnie, kto siedział przy stole, czuł się nieswój, nie wyłączając spitego Jensa. W życiu takie rzeczy się nie przydarzają co dzień, o ile w ogóle zdarzyć się mogą, bo kto powie, że zdradzony Niemiec pasuje do wroga chałupy i tu się tłumaczy ze swego nieszczęścia? Wyjaśnia jak jest, ludziom głowy nie mającym do takiego wydumanego paplania, nawet gdyby jego mowę rozumieli, co gada nie pojmą. U Gdulów wszystko proste, nikt nie miał czasu na takie zmartwienia i wielkie miłosne rozterki, życie pokazywało każdego dnia, jak trzeba robić i tyle z życia było. Niemcowi taki stan rzeczy i pojmowania nie przeszkadzał, on chyba nawet szukał podobnego towarzystwa. Potrzebował wyżalić się ze wszystkiego cierpienia, ale wstydził się też, że jego, tak mądrego, taka głupia spotkała historia. Nie był prostym żołnierzem, lubił mieć swoje do powiedzenia. Zaczytywał się w książkach rozmaitych, podglądał mądrzejszych od siebie i sam myśli

układał według własnego mniemania. Szukał odpowiedzi na takie pytania, jakie Gdulom nigdy nie zajdą do głowy, widział się za człowieka innego niż ludzie, z którymi musiał się zmagać. Miał się za mądrzejszego i takiego, który lepiej wie, na pewno wie inaczej. Po takim pokazaniu siebie samego dotknęła go historia mocno powtórzona, żałośnie prosta i okrutna w prostocie. Tego unieść nie potrafił i dlatego uciekł od swoich kompanów, przed którymi było mu wstyd za swoje losy. Wolał wygadać się nic nie rozumiejącym i gorszym. Takich słuchaczy potrzebował, mógł też niczego i nikomu nie mówić, jednak tak uczynić nie zdołał i to dobijało go najbardziej. Gdyby sama historia się zdarzyła, jeszcze nie tak wiele biedy, ale zdarzyło się więcej, okazało się, że tak pospolita rzecz zrobiła się za ciężka dla tak wyjątkowego Jensa. Przed Anielą, Janem i Jurkiem pomimo swej porażki mógł udawać silnego. On był w chałupie panem całego, co się działo i co mogło się stać. Nawet gdyby wystrzelał rodzinę, nikt mu niczego zrobić nie może. Niemiec, co zatricił i przegrał z lotnikiem, mógł sobie odbić na Gdulach i choć nie miał zamiaru tą metodą do sprawy podchodzić i tak w ten sposób na nich brał odwet. Ciężkie kierował słowa, że w lepszym towarzystwie długo by nie gadał. A jakby chciał, to nie strach zobaczyłby u słuchających, ale śmiechu kupę. W chłopskiej chałupie miał całą swobodę, był w takim położeniu, jakby się spowiadał do pustego konfesjonału, bez księdza i samemu sobie dawał rozgrzeszenie. W końcu zamilkł i zaczął przysypiać, wtedy Aniela znalazła chwilę na swój pomysł. Półgębkiem zwróciła się do męża z tym co obmyśliła:

– Spić jego i z chałupy wynieść do swoich. Spić, na wóz i do swoich, na Mościska – mówiła prosto w ucho męża.

– A ty skąd wiesz, że on w Mościskach był? – spytał o pierwsze lepsze, choć sam żadnego pomysłu nie miał.

– Skąd by nie był, w Mościskach Niemców najdziesz, tam jego wieź i niech sobie cuco. W chałupie nie zostawisz. Przytrzeźwieje i jeszcze pozabija wszystkie. Trza go wieź i koniec – upierała się przy swoim. Co mówiła Aniela, całkiem bezpiecznym nie było. Pchać się po nocy w drogę z pijanym żołnierzem nie znaczyło wcale, że wszystko dobrze się zakończy. Tym więcej niepewne, że trudno zgadnąć, jak Niemcy popatrzą na podrzucanie pijanego. Nie było jednak nic lepszego do robienia, dlatego Jan zgodził się z żoną i myślał, jak dobrze zamiar wykonać. Konia trzeba zaprząć, do Mościsk blisko, ale bez wozu z pijanym daleko się nie zajdzie. Z chałupy Jan się nie mógł ruszyć, Jens wstrzymywał, strach było z dzieckiem i kobietą samego zostawić.

– Będę ja tu Niemca cyganił, głowę zawrócę, ty idź do stajni, konia do wozu przyprzęgaj, żeby jego na gotowe prowadzić, prost do wozu – dokończył mowę i w tej chwili żołnierz podniósł się z drzemki.

– Niemiec nie śpi, żebyś wiedział, słowiański chłopie, że Niemiec nie śpi. Nie mrucz, nie gadaj, nalej wódki. Napijemy się za zwycięskie niemieckie lotnictwo!

Przebudzony, znów zaczął krzyczeć, ale już nie z taką siłą jak wcześniej. Nie śmiał się też z byle czego i coraz mocniej nie tylko wódką, a całym swoim losem zmęczony się wydawał. Ostatnie krople wódki poleciały do szklanki. Jan mało co sobie zostawił, miał nadzieję, że co w szklance, na Jensa wystarczy, aby się jego z chałupy pozbyć.

– Przepraszam cię chłopie za III Rzeszę, wszystko niepotrzebne, to jest kara. Rozumiesz? Tego nie wolno ci nie rozumieć, to ważne i dla ciebie. Niemcy zabiły Niemca i dlatego was nie zabijają. Kto was zabije? Niemiec zabity przez Niemcy? Jak myślisz, czy ten lotnik i Herta są jeszcze Niemcami? Niemiecka kobieta zdradziła niemieckiego żołnierza z niemieckim kaleką! Nie ma w tym wielkości narodu, banał jest, rozumiesz? A naród banalny nie może wygrywać, Niemcy stały się banalnym narodem, to gorsze od wszystkiego, gorsze od najgorszego. Zdradzony naród nie wygrywa wojen. Nie będę zabijał słowiańskich chłopów, zabiję zdrajców. Zamorduję niemieckiego lotnika i niemiecką zdradę, ciebie nie będę zabijał, życie sobie i śmiecie się z Niemców. Tylko jedno wygrałem z tobą, tylko jedno. Nie wiesz

nic z tego, co do ciebie mówię i takiego jak ty potrzebowałem,, który by słuchał i nic nie rozumiał. Gdybyś rozumiał, analfabeto, przegrałbym jeszcze jedną śmieszność, ale ty nie wiesz, ty nic nie wiesz i tyle z tobą wygrałem. Ty się domyślasz, że zdrada, ale nie wiesz jaka to zdrada, nie wiesz. Za zdradę Herty z lotnictwem Niemcy zapłacą zdradą Niemiec, nie będę dla Niemców zabijał, zostawię przy życiu tych, którzy zabijają Niemcy. To jest zemsta jakiej nie było, taka jest odpowiedź zdradzonego Niemca, taka odpowiedź, durny chłopie. Komu mógłbym to wszystko powiedzieć, jeśli nie tobie? W tej dziupli! Nikomu poza tobą, nikomu ani słowa, wszystko między nami, między mną i tobą i nikt się nie może dowiedzieć o zdradzie.

Długa, bełkotliwa mowa zmogła pijanego, jeszcze coś chciał dopowiedzieć, ale głowa sama przechyliła się na stół. Padł zameczony całą swoją tragedią. Podobnej okazji czekali Gdule, jak tylko Jan spojrział na Anielę, zaraz do stajni poszła robić jak należy. Jurek poszedł za ciotką, żeby mundur z oczu stracić, karabin i tę nieludzką mowę. W izbie został sam gospodarz z pijanym, drzemającym żołnierzem. Czas się chłopu nie dłużył, oglądał sobie żołnierza z góry do dołu i myślał, co też ten mógł do nich wszystkich bełkotać i co go tu przygnało? Zgadywał, oglądał i jakoś mu po swojemu było Jensa żal, tyle co zrozumiał, tyle żałował, ale nie tak mocno znów, żeby bardziej nie myśleć, jak się marudnego pozbyć. Wiele nie trwało, nim Gdulowa z Jurkiem w drzwiach stanęli, więcej zrobili niż było ustalone. Na wozie ułożyli siano, Aniela pomyślała, że pijany na siedząco się nie utrzyma, przez to posłała mu sianem.

– No, pora na ciebie, coś się bidaka spłakał, to i starczy. Pora do swoich, tu nie bedziesz siedział, kto wie, co tobie z rana do głowy postrzeli. – Gdula tłumaczył Niemcowi, co go czeka i żadnego protestu od niego nie było, zmogła go wódka całkowicie i nie tyle za namową, co za ramionami gospodarza posłusznie z izby wychodził. Dał się poprowadzić i nawet słowem się nie odezwał, pomruczał tylko, jak to spity ma w zwyczaju. Wóz pod samym domem stał, starczyło śpiącego położyć i ruszać do Mościsk.

– Żebyś uważał na siebie, gadaj, że żadnej krzywdy u nas nie miał, że do swoich chciał – prosto doradzała żona. Myślała, że wypity mąż dobrej rady potrzebuje i tyle powiedziała, co jej przyszło do głowy.

– Anielka, co ty taka durna? Co ja bede do Niemców gadał i Niemiec do mnie? Widziała co z tego było? Kto tam jego rozumi, trza grzeczemu być i tyle. Powiezie się, czapko pokiwa i tyle wszystkiego – tak zamyślał zrobić i tyle żonie odpowiedział.

– Tak czy tak, coś zawsze mów. Wiele nie, ale coś powiedzieć trzeba. Niemym jeszcze gorzej być. Pomyślą, że hardy jaki – dołożyła rad i sama więcej Boga prosiła o szczęśliwy koniec, niż w swoje rady wierzyła.

– Powiem, powiem, co trzeba powiem...głupiego robota. Wie, Baśka! – Klacz dostała lejcami po zadzie i pojechał wóz do Mościsk.

– Chodź Jurek, już się nie ma czego bać, da Bóg szczęśliwie wujek wróci. Chodź do domu, czekamy jak będzie – czule chwyciła chłopca za szyję aż mu się ciepło zrobiło i na chwilę zapomniał, że żołnierz był i że wuj pojechał.

Spokojnie sobie jechali, Jens kłopotu nie sprawiał, tylko raz się Gdula zatrzymał, pomyślał, że przykryje pijanego sianem, pora już późna była i chłodem wiało. Nie musiał tego robić, żołnierz spał, żadnych pretensji nie krzyczał. Coś jednak nie dawało Janowi spokoju, że Niemca polubił za dużo powiedziane, Niemców nie uważał i ile mógł, tyle się sprzeciwiał. Zdawało mu się tylko, że ten nie taki zły jak inne i skoro tak, przykryć nie zaszkodzi. Nie lękał się, że do innych Niemców jedzie, coś czuł po sobie, że nic złego go nie spotka, sam nie wiedział, skąd mu się wzięło, ale trzymał się tego przecucia i całkiem był spokojny. Prawie już do Mościsk dojeżdżali, kiedy na wozie taki ruch się zrobił, że Gdula musiał klacz wstrzymać. Przebudzony żołnierz wychylił się za wóz i oddał, co zjadł i wypił, coś jeszcze mruknął i znów padł nieprzytomny.

– To cię bidaku wykolebało na wozie i lepiej dla ciebie, prędzej dojdiesz do zdrowia – tak sobie Jan w duchu pomyślał i ruszył w dalszą drogę. Niedługo trwało, gdy do Mościsk dojechali, szczęśliwie się złożyło, zaraz na skraju miasta napotkali żołnierzy. Bliżej Gdula podjechał i – jak umiał – objaśnił, w czym rzecz: – Oficer nie mało popił, do Mościsk chciał, tak powiozłem – zwrócił się do wyższego rangą i takiego, co z twarzy wyglądał na ludzkiego. – Ach! Nasz filozof! – oficer szarpnął pijanym na wozie i po niemiecku do niego zagadał. – Wstawaj, myśliciel! Schlałeś się z chłopem? – pijany nie bardzo mógł dojsć do siebie. – Jens! Jens! Stalingrad! Stalingrad! – Dopiero te groźne krzyki posadziły go na wozie, a jego kompani, też nie bardzo trzeźwi, roześmiali się chórem. – Wsadźcie filozofa do samochodu! A ty jedź, człowieku, do swojej baby i dwunastu dzieci, Niemcy ci będą wdzięczne za ocalenie germańskiego filozofa – oficer zagadał po swojemu, ale znać było, że nic złego od Jana nie chciał. Do tego machnął ręką, że puszcza wolno, co już się bez trudu dało zobaczyć. Czapki uchylił, pokiwał Gdula głową i zawrócił wóz na drodze. Parę metrów odjechał i wtedy oficer krzyknął za nim: – Czekaj no! Masz tu od III Rzeszy nagrodę za filozofa. – Na wóz trafiło parę konserw i bochen razowego chleba. – Niemiecka gościnność! – wołał oficer, zaśmiał się do siebie i od nowa machnął ręką, żeby jechać. Nic z tego gadania chłop pojać nie mógł, tylko tyle poczuł, że za wroga nie wzięli i krzywdzić nie chcą. Tak gładko poszło, że aż dziwnym się wydawało, po sobie czuł, że nic złego się nie stanie, ale tyle dobrego się nie spodziewał. Podziękował rękami i do domu wracał więcej niż zadowolony, śpieszyło się mocno, poganiał Baškę, że dawno się nie zdarzyło. Chciał jak najszybciej pokazać, że cały jest, prędko jechał po całym ciężkim dniu żonę i Jurka uspokoić.

W drodze myślał o Niemcu i Jurku, że oba pod jednym dachem siedzieli i żadnej nie było im krzywdy. Dziwnie się na świecie wszystko składa, tylko żołnierzowi powiedzieć, kim dziecko w chałupie, byłby wrogiem tamtego i zabił albo wywiózł do getta. Gdy jeden nie wie, kim drugi, siedzą razem i żadnej nienawiści w nich nie ma. Wszystkie to samo robią, tak samo potrzebują zjeść, wyspać się, tak samo się upijają i rzygają, tego samego się boją i przed tym samym uciekają. Tak samo Niemca żona zdradza jak i tutejszego, chleb niemiecki nie bardzo różny od swojskiego i tylko Pan Bóg wie, gdzie się jeden u drugiego inności dopatruje, że koniec końców zabijają się za to samo. Wcale nie silny ten, co życie odbiera, ale i ten głupi, co sam życie oddaje. Myślał Gdula o tym wszystkim i nic wydumać nie umiał, głowa pęka, bo kto zrozumie, czemu człowiek człowiekowi robi, czego by sam nie chciał dostać, a im więcej się boi złego, tym więcej złego wyrządza. Tak już chyba być musi, ma swoje zadanie na świecie Pan Bóg, ma i diabeł, człowiek nie umie tak żyć, żeby tylko Boga słuchał, albo tylko diabła. Nawet ten, co z diabłem trzyma, rzuci po bożemu na wóz konserwy i ten, co z Bogiem przystaje, pogardzi biednym, sponiewiera jak ksiądz, co niejednemu w potrzebie drzwi zastawił. Z tego wojna się bierze, że ludzie do Boga ze strachu się modlą, a diabła bez lęku słuchają. W odgadywaniu świata pomogła swojska wódka, bez wypicia o takich mądrościach chłop nie myślał, tyle co w kościele ksiądz jakie inne powiedział i czasem samogon co podpowiedział. Od poniedziałku do niedzieli myślenia nie było, ledwie od święta i zaraz od myśli gorzej robota szła, dlatego nad tym, co nie do pomyślenia głowić się nie było potrzeby, szkoda z tego, nic więcej. Ostatnie słowa powiedział sobie w duchu, gdy wóz już przed chałupą stał. Klacz odprowadził do stajni, furę zostawił prawie pod drzwiami, żeby szybciej do żony i Jurka zajść. Nim próg przekroczył, zaraz Gdulowa doskoczyła do niego i rozpytywać zaczęła:

– Dzięki Bogu, po wszystkimu. Zawiózł Niemca? – wytrzeszczyła oczy prosto na męża, takie pytające i stęsknione.

– Zawiózł, czego by nie? Lepiej poszło jak my pomyśleli – pochwalił się Jan.

– Coś nadto wesoły, Bogu dziękuj, że nijakiej biedy z niemieckiego gadania i picia nie było, mało co brakło. Darł się w chałupie i rencami machał jak zwariowany – jeszcze miała w pamięci niedawne wydarzenia .

- Wódka każdemu rozum zabierze, z biedy się darł – spokojnym był Jan.
- I tobie wódka rozum wzięła! Ta jaki on biedny? Tyle narodu, co one darmo mordują!
- dziwiła się słowom męża i sprzeciwiała.
- Biedny, jak my wszystkie, we wojnę naród głupieje, jeden drugiego nie uważa i za byle co zabije, wszystkie zabijają. Ruskie, Ukraince i swoje. Wszystkim krzywda i wszystkim się zdaje, że darmo. Taka wojna i tyle wszystkiego – Gdula jeszcze nie otrząsnął się z tego, co na wozie myślał.
- Szkoda do ciebie gadać, boś dumny od wódki i tyle wszystkiego. Z nieba się tobie Niemców żal zrobiło, głowę bedziesz miał lżejszo, to se spomnisz, co biedny, co Niemiec. Szkoda do pijaka gadać. Spać czas, po nocy Pan Bóg rozum przywróci. – Aniela pościeliła łóżka zawczasu, zaraz jak męża do Mościsk posłała, teraz tylko przykazała spanie.
- A spać pora, dobrze gadasz. Jurek leć, no, jeszcze do woza, pokąd w ubraniu żeś, tam od zada konserwy i chleb się został, przynieś ich do chałupy – chłopiec zadziwił się, ale pobiegł, jak wujek prosił.
- Skąd konserw nabrał i chleba? – jeszcze więcej zdziwiona Aniela krzyczała na męża.
- Niemiec dał, oficer, za tego, żem go przywiózł – odpowiedział zmęczony.
- Koniec świata idzie, bandyty konserwy fasują – pokręciła głową i za rozczesywanie włosów się zabrała, co zawsze przed spaniem robiła.

Dzień, który żadnym spojrzeniem nie był zwyczajny, kończył się i cała rodzina kładła się z spać z głowami pełnymi wszystkiego, które się przydarzyło. Tego dnia wszyscy blisko stali nieszczęścia, ale skończyło się wiele lepiej niż można sobie wymodlić. Mając na względzie, że wojna była, szczęścia należy dołożyć i mieć niemieckie odwiedziny za cud, który nie tylko szkody nie przyniósł, ale konserw i chleba dostarczył. Przy spokojnym i prosto poskładanym życiu wydarzenie jako odświętne musiało zostać wzięte, w takim pojmowaniu, że niecodziennie i szczęśliwie zakończone. Najciężej całą rzecz przeżył Jurek; nic nie mówił, nie chciał martwić wujka z ciotką, w środku się zwinął i pozamykał dokładnie, aby wszystkiego, co widział, do siebie nie dopuścić. Sam dla siebie myślał jak mu żyć trudno. Nieustannie siedziało w nim przeświadczenie, że musi się chować i uciekać, uważać na każdym kroku, żeby się nie wydało, kto on. Smuciło go i przerażało, że cały czas musi pokazywać się takim, jakim nie jest, nie umiał sobie poradzić z chowaniem siebie, ani zrozumieć, że za kłamanie dostaje nagrodę. Oszukiwać innych musiał się uczyć, sam siebie okłamać nie bardzo potrafił, choć wiedział, że oszustwo konieczne, a nagrodą za to jest życie.

Nim sen przyszedł, Jurek układał sobie w głowie co z Berka zostało, starał się dojść w takie miejsce, gdzie Berek nie będzie wrogiem Jurka i Jurek nie zmieni we wszystkim Berka. Szukanie w sobie zgody między dwoma chłopcami, z których każdy był udawany, jawiło się zajęciem ponad siły młodego myślenia. W tych latach dzieci miały jasne wyobrażenie o sobie, miały swoje imię i swoich rodziców, rodzice wiedzieli kim jest dziecko, dziecko widziało, jacy są rodzice. Berkowi odebrano, co dziecko mieć musi – imię. Berek był tylko dla Berka, między ludźmi śmiertelnie się skończyć mogło, gdyby rodzice zawołali po imieniu i przy ludziach, którzy tylko na to czekali, na własne dziecko daliby wyrok. Gdyby Berek zawołał „mamo” i „tato”, straciłby życie przez własną nieostrożność. Uniknąć niebezpieczeństwa i zachować życie mógł Berek tylko w ciele Berka i myśleniu Jurka. Musiał rękami i nogami, ustami, oczami i uszami Berka, robić wszystko, żeby jak najwięcej przypominać Jurka, przed Gdulami, przed rodzicami, a co najgorsze – przed sobą samym. Za wiele jak na chłopca, zostawionego wojnie na pożarcie. Mimo ciężaru Berek zdołał zrobić tyle dla siebie, że takie myślenie, jak dziś przed zaśnięciem, przychodziło rzadko. Nauczył się życia od Gdulów, myślał nad tym, co każdego dnia było do zrobienia. Odganiał wszystkie myśli, które dla dojenia krowy niezdatne, do zaprzęgania wozu zbędne, jedzenia, rąbania drzewa, przynoszenia wody, kurom podsypywania niepotrzebne. Obyczaje podpatrzone w chałupie pomagały Berkowi w codziennym życiu Jurka, z czasem stało się tak, że Jurek



siedział w głowie i Berka coraz mniej dało się zobaczyć. Berek odzywał się wtedy, gdy Jurek wspominał rodziców, gdy patrzył na niemieckie mundury, gdy Jan pytał o radio, gdy Aniela modliła się po swojemu i gdy słyszał dawne słowa: Przemyśl, miasto, szkoła, dom, mama, tato, siostra. Prócz tego Jurek był Jurkiem i nawet Berek mu dopomagał, żeby Jurkiem pozostać.

Z takim życiem mniej było strachu i tylko trochę smutku, wspomnień, bólu z dawnego życia. Niemiec przypomniał Jurkowi o wszystkim, co z Berkiem związane, a najbardziej bolało, że przecież nic złego być Berkiem, nic złego dla innych, pomimo to Berek wydobyty z Jurka życie kosztował. Taką niesprawiedliwość i takie zło potrafił sobie tłumaczyć wojną i ludźmi, którzy nie byli dobrzy, ale zrozumieć nie umiał. Dlatego odsuwał wszystko, co sprawiało, że czuł się gorszy, tak zły, że do życia niezdatny. I tylko mundur zapamiętał, sam mundur, że niemiecki – zapomniał. Zapamiętał dobrze i pomyślał, że ludzie w mundurach niczego bać się nie muszą, mogą wejść do cudzej chałupy i się rozgościć. W cudzym domu straszyć i robić, co im się podoba, nawet zabić i żadna ich za to nie spotka kara, przeciwnie się stanie – dostaną nagrodę. Żeby mieć taki mundur, można wszystko mieć, za nic nie płacić, niczego się nie bać, żyć po innej, bezpiecznej i silniejszej życia stronie. Tyle sobie pomyślał Jurek przed zaśnięciem, nie całkiem wiedział, jak pomyślał, ale bardzo mu się ta myśl spodobała, tak mocno, że została na zawsze.

## 8

Kończyło się lato 1943 roku, czwarty rok wojny. W ten czas było już jasne, że Niemcy przegrywali z Ruskimi. Nawet bez radia i w każdej wsi wiedziano, że poddali się pod Stalingradem, tam gdzie niemiecki weterynarz nie chciał strzelać. Gdy lato ustępowało miejsca jesieni, dotarła wieść druga o ruskiej wygranej, mało kto miejsce pamiętał, ale tyle wiedział, że czołgami się bili. Sierpień czterdziestego trzeciego roku ostatnim był miesiącem, w którym chałupa Gdulów żyła obok wojny. We wrześniu przyszła najgorsza wiadomość. Wielkie strapienie zjawilo się wtenczas, gdy Jan wrócił z miasta, gdzie wiejskie wymieniał na miastowe i w chałupie potrzebne. Nie były wiadomości dla samych Gdulów przykre, ale bardzo złe dla Jurka. W Przemyślu getto likwidowano, ludzie gadali, że nikt stamtąd żywy nie uszedł. Wszystkich wywieźli do obozów albo od razu na miejscu zabili. Niemcy z zemsty mieli tak robić i po złości za to, że z Ruskim nie dawali rady. Temu Jan nie bardzo chciał dawać wiarę, mściwość pewnie pomogła w mordowaniu, ale przyczyna ważniejsza gdzie indziej. Bandyci musieli po swoich zbrodniach ślady zacierać i tak się za porządki zabrali, jak zawsze robili. Zabity nie gada i nie poświadczy, jak było, dlatego getta pozbyć się musieli, zanim przyjdą ze wschodu wrogowie i zobaczą, czego widzieć i oni, i nikt inny nie powinien. Tak sobie Gdula tłumaczył smutne zdarzenie, nic to jednak nie mogło dla Jurka znaczyć i pocieszyć chłopaka, bo tam w Przemyślu byli jego rodzice.

Wracał Jan z miasta i sam nie wiedział, jak ma zrobić, żeby dobrze było. Jurek z chałupy nie wychodził, ludzi nie spotykał, nie miał od kogo się dowiedzieć, co w Przemyślu zaszło. Zresztą i tak po prawdzie mało kto się we wsi gettem przejmował, słabo którego obchodziło cudze nieszczęście, dość wieść miała słuchania o tym, jak Ukraińcy napadają, póki co gdzieś daleko, ale i tak było dużo ważniejsze, jak getto w Przemyślu. Kiedy się wiele razy widziało śmierć, na życie patrzy się nieustannie. Gdule przez to, że Jurek był w domu, miały dodatkowe strapienie, żartów nie ma, dziecku nie powiedzieć, co rodziców spotkało, będzie grzechem i tego na swoje sumienie Jan brać nie chciał. Powiedzieć i patrzeć, jak chłopak cierpi, też nie jest lekko, może i jeszcze gorszy dla sumienia niepokój. Przyszedł Gdula do chałupy struty i nie bardzo chciał gadać z Anielą, tylko na dzieciaka patrzył, kiedy ten głowę odwracał. Gdulowa męża znała i wiedziała, że markotne siedzenie samo z siebie się nie wzięło, musiało coś chłopaka przycisnąć, że miejsca nie mógł sobie poszukać.

- Pogryzło ciebie co? – spytała za dłuższą chwilę, nie mogła dłużej patrzeć na męża, tym więcej, że nie gadał, co mu jest.
- Wszystkie gryzo i każdego jednako, nie ja jeden pogryziony – odpowiedział nie po ludzku, tak żeby nic nie mówić.
- Jednego filozofa my już zimo mieli i mocniej samogona, jak filozofa poszło. Bedziesz gadał co ci je? Czy bedziesz siedział durnowaty? – Nie tyle zła była, co martwiła się, jakie nieszczęście za tym niemym siedzeniem się chowało.
- Nic mi nie je, siedzę cicho i Bogu dzięki, że siedzę. – Nie miał chęci się odezwać, nie wiedział jak opowiedzieć nieszczęście.
- Ty na księdza by pasował. trajkocze, że bać się i na tace rzucać. Siedź, kiedy tak ci dobrze. Same z Jurkiem w stajni obrządzim. – Teraz i zmartwiona i zła była Aniela, że się z chłopem połapać nie można. Była pewna, że po tym, jak wspomni o stajni, Jan zerwie się z ławy i pójdzie pomagać, ale nic takiego się nie stało.
- Idźcie, idźcie, roboty trza pilnować – znów się odezwał jak nie człowiek. Ostatnie słowa już całkiem Anielę zeźliły, nawet nie odpowiedziała i zabrała się razem z Jurkiem. Jan został sam w chałupie, dalej się gryzł z tym, co się dowiedział. Chłopak z ciotką uwijali się z obrządkiem i wszystkim, co w stajni trzeba zrobić, a przy robocie dochodzili, jak się z Janem porobiło.
- Czemu wujek taki dziwny siedzi? – smutno zapytał Jurek, też poznał, że coś niedobrego musiało się stać.
- A pytaj się jego, ot, durnemu strzeliło do głowy, taj siedzi – w złości odpowiedziała i szybciej widłami zaczęła machać, żeby złość zmęczyć.
- Ale tak wujek jeszcze nie siedział.
- Ty jeszcze mało widział, siedział tak i wiency jeszcze, co siedzi.
- I długo tak będzie siedział?
- Mnie się widzi, że krótko, bo ja jemu tak powiem, że on się podniesi, najprędzej do roboty się zerwi. – Gdulowa złości nie zmęczyła, za wiele w sobie miała i bardziej na to, że nie wie, co się z chłopem dzieje jak to, że w stajni sama robić musi.
- Pewnie się coś złego stało, tylko wujek nie chce powiedzieć. – Jurek nie dawał spokoju Anieli.
- A pewnie, że złego! Żeby dobrego, gęba by się jemu nie zamykała, a że złego narobił, tak cicho siedzi. – Widły fruwały w powietrzu, że nawet nie widziała, gdzie rzuca.
- Ciocia myśli, że wujek coś niedobrego zrobił? – Chłopiec zdziwił się tym, co usłyszał.
- Skąd mnie wiedzieć, siedzi jak dziedzic jaki i słowa nie zagada. Czego by siedział, jakby nie zrobił? Może się czego zwiedział i sam nie wie, jak gadać? Wiesz jego? – Gdulowa coraz więcej była zdenerwowana.
- Zwiedział się i za to niczego nie wie. Tyle wszystkiego. – Jan przyszedł do stajni i z miejsca powiedział swoje, tak się wśliznął, że Aniela z Jurkiem aż podskoczyli na jego słowa. – I człowieka nastraszy durnowaty! Idź, idź do chałupy, filozuf – zakrzyczała męża, jak tylko usłyszała, że nic z mową się nie zmienił.
- Pokończy się z robotą i wszystkie pójdo – odpowiedział Gdula.
- Pokończone bez ciebi! Naczać nie było komu?! – Takiej odpowiedzi doczekał się Jan i faktycznie w stajni wiele roboty nie zostało.
- Jak tak, do chałupy pora. Muszę ja wam powiedzieć, co i jak. – Tylko zapowiedział, że skończy się jego siedzenie bez słowa, Aniela już nie pytała o więcej i złości nie pokazywała, skończyła robotę, potem wszyscy prosto do chałupy poszli.
- Do stołu siadajcie. Muszę ja wam coś powiedzieć, tobie Jurek najwiency – powtórzył i zrobiło się cicho, bo mówił takim głosem, że od razu słycać nic dobrego. Jurek patrzył na wujka ze strachem w oczach, przez myśl mu przeszło tylko jedno, że Gdule chcą go z chałupy wygonić.

– Może ty mnie będziesz kiedy przeklinał za to, co dziś powiem, ale mnie nie wolno tobie nie powiedzieć, nie wolno na sumienie takiej rzeczy brać. W Mościskach wszystkie gadali, że Niemcy getto likwidują – odsapnął głębiej. Po chwili dodał: – Gdzie niektórego do sprzątnia zostawili, reszta albo zabita, albo do obozów powieziona. – Mówił wszystko, prawie, że płacząc. Nie wiedział, jak się ciężaru pozbyć, dlatego szybko gadał, jednym tchem i sapnięciem, żeby mieć już za sobą. W chałupie znów się cicho zrobiło, Aniela pobladała i tylko na Jurka patrzyła, ale chłopiec, gdy usłyszał smutne słowa, jakby się uspokoił, odetchnął, co nijak nie pasowało do wiadomości, w których prawie pewna zguba rodziców była powiedziana.

– Wiem wujku, to znaczy wiedziałem, że tak będzie, tak już było wcześniej, Niemcy zabijali zaraz na początku wojny i obiecali, że wszyscy pójdą na śmierć – chłopak odpowiedział z takim spokojem, że aż Jana zakłuło.

– I tobie nie strach z takimi sprawami?

– Nie wujku, tata z mamą zawsze się kłócili o wojnę, ale zanim zabierali do getta, jedno razem powtarzali tak samo. Kto z nas się uratuje, ma myśleć tylko o tym, żeby przeżyć. Zabronili płakać i martwić się, kazali przysięgnąć, że będą myślał tylko o jednym, najważniejszym, dopóki wojna się nie skończy. – Jurek opowiadał i nie od siebie mówił. Powtórzył słowo za słowem, co wcześniej od rodziców usłyszał. Chłopcem był spokojnym i dojrzałym dużo bardziej niż drugie dzieci na jego lata, powtórzył jak stary, co wyuczone miał na pamięć.

– Prawda – za chwilę ciszy Aniela powiedziała tylko to jedno.

– Dobrze wujku, że powiedziałeś....

– Tego nie powiem, mnie się widzi, że nie je dobre, jak dzieci chowają rodziców, nie je dobre... – Jan zwiesił głowę, żeby nie pokazywać, jak łzy płyną do oczu.

– Nie gadałby tyle głupiego, nikogo się nie chowa, obóz nie śmierć. Ruskie idą z powrotem, różnie jeszcze może być. – Gdulowa popatrzyła na Jurka i mocno pokiwała głową, tym chciała dodać, że nie tylko gada, ale wiarę ma w słowo.

– Dobrze wujku, że powiedziałeś, rodzice na pewno by tak chcieli, na pewno – chłopak pocieszał wujka i przekonał tak mało spodziewanie, że ten w końcu dał spokój. Opuścił, choć nie całkiem rozumiał, co się dzieje, że dziecko bardziej dorosłe niż wszystkie, które los jemu zgotowali.

– Niech i tak będzie, niech będzie, nie prosto takie słowo przychodzi. Jak tobie nie krzywdą, tylko spokoju wiency, może lepiej, że znasz, jak co – uspokoił się, odetchnął, zrzucił ponad siły ciężary.

– Zawsze, żeby i gorzkie słowo, byle z serca i prawdziwie dane, lżejsze, jak najłodsze kłamanie. Trza mówić, jak je i trza żyć, życia pilnować, jedno jest choć na wieki. – Aniela nie wiedziała, co chce mówić, dlatego przypominała, co zawsze w głowie miała schowane.

– Getto likwidują, banderowcy mordują. Co się wrabia, trudno dać wiarę, ile nienawiści w narodzie, co przez płot tyle lat z nami żyli. – Żal Janowi nie przechodził, pomimo ulgi.

– Że wojna naród głupi. Z wojny, głodu i durnego gadania. Bogu dziękować u nas pokąd co nie podurnieli. Z Horoszczakami wiency się dogadasz, jak ze swojakiem niektórym. Nie wszystkie one banderowce i tak samo się boją, jak i my. Ukrainiec, co nie poszedł za UPA, jeszcze gorszy dla nich jak my. – Broniła Aniela Ukraińców, a to dlatego, że z Heleną Horoszczakową lubiły się bardzo i pomagały w każdy czas. Horoszczak był Ukrainiec, Helena ze swoich, przed wojną swój z Ukrainką się żenił i Ukrainka z tutejszym, nie było dziwne i najmniejszego mordowania. Tak się Gdulowej przypominało, żeby strapienie zagłuszyć. Lepiej wspominać, co kiedyś było dobre niż patrzeć na to, co teraz paskudne.

– Dmitro dobry Ukrainiec, grzech powiedzieć zły, ale jeden Dmitro z UPA nie powojuje.

– Popsuł Jan Anieli pocieszanie.

– Za wiele przykrego się marudzi, złego wołać nie ma co. U nas nikogo nie mordują, dzięki Bogu. – Nie podobało się Gdulowej ciągle narzekanie, tak się jej zdawało, jakby chłop nie miał dość nieszczęścia, że w getcie się narobiło i szukał następnego zmartwienia.

Tego dnia już nic wielkiego się nie zdarzyło, ale ten dzień Jurek pamiętał i pamiętać będzie na wieki, jak kilka innych dni, które przeżyje i też nie zapomni. Nie tak całkiem się czuł dobrze, jak tłumaczył. Prawdę powiedział, że rodzice zabronili płakać i nawet przysięgać kazali, drugiej prawdy nie mówił, że płakać mu się chciało i w środku zapłakał jak dziecko. Był dorastający, piętnaście lat już tyle życia, by samemu sobie życie próbować układać. Nie było widać po nim tych lat, więcej dziecko niż mężczyznę przypominał. Podrósł trochę, ale chudy i przygarbiony się zrobił. Aniela mówiła, że nogi ma jak bocian i cała reszta niewiele tęższa. Nie z głodu tak wyglądał, zwyczajnie, takiej był urody. Na twarzy też dziecinny, jednak z wiekiem coraz bardziej swoich przypominał. Jeszcze nie było znać jak na innych z getta, ale jakby kto bardzo podejrzliwie się przyglądał, mógł widzieć, że włosy, oczy, z wyjątkiem nosa, co Jurka ratowało, całkiem do tamtych podobne. Twarz miał nie tak ostrą i kanciastą, jak większość wychudłych z jego dzielnicy, chuda, lecz nie sroga, łagodna. Patrzyło się na niego i trudno było zobaczyć kogo innego, jak dziecko, nie młodzieńca, grzeczne dziecko z oczami dziecka. Nogi bociana i dziecka oczy to od Anieli komplementy. Czemu tyzki bocianie było widać, czego oczy dziecka, tego poza Anielą nikt nie wiedział, tak mówiła i koniec, ale w ten dzień nie całą prawdę pokazywały. Jurek wyuczył się mówić i nawet myśleć, co trzeba, jak mu nakazano i w domu, i u Gdulów. Wcale to nie znaczyło, że w jego głowie była zgoda na wszystko, czego nie potrafił ogarnąć i przyjąć bez sprzeciwu. Wiedział, że słowa rodziców są słuszne i potrzebne, rozumiał, czemu służy takie stanowcze postępowanie i sam nie potrafił znaleźć lepszej metody, ale nie mógł i nie chciał tak myśleć, jak musiał udawać. Zgoda na takie myślenie znaczyła, że sam siebie przekreślał jako Berka, czyli tego, kim kiedyś był i do końca nie przestał bywać. Udawał Jurka, co nie sprawiało wielkiego cierpienia, tylko nie jego był wybór – temu się sprzeciwiał i pogodzić się nie chciał. Sam nie wiedział, czemu tak łatwo przychodziły wszystkie pokorne słowa. Wyuczył się grzecznej mowy tak jak jedzenia i picia, jak innych rzeczy, których domagało się ciało. Kiedy przychodził czas, mówił i robił jak trzeba, taki miał w sobie odruch i z tym było mu łatwiej. Gorzej, kiedy nawiedzały myśli, skłócone, które przez ciało były zakazane. Jeszcze jak Berek był dzieckiem, nie nachodziło tak często; teraz, gdy rósł na młodego mężczyznę, kotłowało się w nim dużo więcej i częściej. Umiał nad tym panować przy każdej chwili potrzebującej spokoju, a że nie był u siebie i nie ze swoimi, każdy dzień był potrzebujący.

Dobrze mu było u Gdulów, niczego złego w tym domu nigdy nie zaznał, był kochany jak rodzony, nie przymuszano go do porzucenia dawnej wiary i rodziny, nie był goniony do roboty, częściej odpędzany, żeby odpoczął. Takiego życia, jakie miał Jurek w chałupie, nie wymodlili ludzie z getta, życie Jurka dla tych z getta byłoby życiem wiecznym, obiecany przez Boga. Jemu wiecznego za mało, wchodził w nowe, dorastające i musiał z tym zostać sam. Z myślami nie radził sobie tak dobrze jak dawniej i tylko jedno powtarzał nieustannie; wszystko, co między nim i myślami, z nim i w myślach pozostać musiało. Z największą siłą chciał przetrwać czas, w którym inni decydowali, kim musi być i od czego jego los zależy. Gdy się wszystko skończy obiecał sobie rzecz jeszcze jedną – Jurek marzył sądzić i rozstrzygać. Wymyślonej obietnicy bał się, ale nie pozwalał jej przepaść. Wstydział się takiego postanowienia i nie chciał pozbywać. Nikt nie miał dostępu do tajemnicy – ani Gdule, ani nawet Jurek, zwłaszcza Jurek, ten sekret i lekarstwo było podane tylko Berkowi. Tak się zabezpieczyć, by po lepszej być stronie. Umieć przeżyć, niemała sztuka, ale czas nauczyć się żyć.

Jan kręcił się koło stodoły, gdzie wóz stał, dłużej przy dyszlu i sam nie wiedział, co chciał poprawić. Na koniec machnął orczykiem i tam się doszukał usterki. Jurek przyglądał się temu i myślał, czego wujek szuka. Śmiał się w duchu do siebie. Lubił bardzo te wspólne naprawy wszystkiego, co wcale nie takie popsute było, ale jak się tylko z Janem do czegoś razem dotknęli, rzecz zwykle wymagała reperacji niemałej. Tym razem padło na orczyk, wisiał, jakby nie całkiem był dobry, tak wstępnie został oceniony, a że nie było niczego lepszego do psucia, orczyk skończył jako naznaczony do naprawy. Jak tylko padło na niego, zaraz był zdjęty i mierzony na wszystkie strony. Nie spodobało się Janowi jedno okucie od postronków. Taki, co nie szukałby sobie roboty, nic w tym miejscu by nie znalazł. Jan roboty szukał, dlatego zaczął opukiwać, aż od naporu młotka usterka się pokazała.

– Skosa stoi, nie bardzo kowal zakuł i tera się chybotą. – Pokazał Jurkowi, gdzie nie tak jest, jak być powinno.

– A może kowal dobrze okuł, tylko drzewo wyschło i stąd okucie luźniejsze. – Chłopiec dobrze wiedział, a i widział nawet, co się przed chwilą stało, jednak kochał szczerze robotę z wujkiem, dlatego nie przeszkadzał mu w szukaniu naprawy, pomagał jak umiał.

– Może być, że obeschło naokoło i za to luźne się zrobiło, może być. Kowala nie ma co spominać, bo i za darmo zafasował. Trza zdjąć żelazne, wyklepać jego równo i jeszcze raz zabić – poświadczył fachowo.

– Nie lepiej drzewem podbić w luźne miejsce, takim klinem, żeby się nie ruszało?

– z rozumem podpowiedział Jurek, choć czuł, że tak prosto skończyć się nie może. Gdula szukał roboty na pół dnia, z klinem za chwilę po robocie by było.

– Prawie, że można, ale do dupy taka robota. Nie ma, jak zbić i zakuć na ament. – Czego się Jurek po wujku spodziewał, tak usłyszał.

– Tylko czy od młotka nie pokaleczy się drzewo, że całkiem żelazo będzie luźne? – Jeszcze dla spokoju, żeby nie mieć wyrzutów, ratował orczyk przed naprawą i ciotki narzekaniem, co też było pewnym.

– O, to, to. To niegłupio powiedział. Trza jego zagrzać i zlizie samo. Trza nam do chałupy, pod kuchnię pchnąć i będzie akuratnie. – Groźne słowa powiedział majster, Jurek nawet nie zdążył powstrzymać pośpiesznego zamiaru i już czuł, że się spokojnie nie skończy. Że niby jak drewnianą rzecz pod kuchnię kłaść, aby drzewo się zostało i żelazne rozpaliło? Wiadomym co pierwsze się podpali, tylko tego Janowi w chwili, gdy coś obmyślił, tłumaczyć się nie dawało. Choćby najbardziej proste do wyjaśnienia, nie ma takiej siły, żeby czegoś głupiego nie zrobić, skoro wcześniej za jedyne wyjście zostało uznane. Poszli obaj do chałupy i od progu dostali błogosławieństwo:

– Pan Bóg rozum zabrał? Z orczykiem do domu zachodzić? Co wy to myślicie robić? I co jemu je? Bo mnie się zdaje, że jemu dopiero będzie. – Aniela była jedyną, co Jana napraw nie lubiła, tyle, co już widziała skutków zepsutych, to jej starczało.

– Jemu je, ze skosa je – odburknął Jan. Zawsze powtarzał, że baby na robocie się nie rozumieją i tylko zawadzają w naprawie.

– Gdzie jemu skosa? – zdziwiła się i już przeczuwała, że chłop na siłę szuka sobie zajęcia.

– Ja by ci powiedział gdzie... ty mnie, babo, bedziesz tłumaczyć? Nie rozumisz się. – Gdy co naprawiał, miał tak silne przekonanie, jak słuszną obrał drogę, że ani na krok nie ustępował, szedł, choćby droga ślepa.

– Skosa jemu?! Ty zostaw orczyk, bo woza potrzeba, co inne bierz na zepsucie. Wody lepiej by naniósł. – Zezłiła się Gdulowa, a jeszcze całkiem nie wiedziała, co mąż umyślił robić.

– Nie gadaj, nie gadaj, usuń si, do kuchni nam potrzebno – rozepchnął się cały i razem z orczykiem.

– Za czym do kuchni? – jeszcze więcej niepokoju w Anieli się pojawiło.

– A za tym, że pchnąć potrzebno, żelazne od drzewnianego pójsć musi. – Tłumaczył tak, że nijak do rozumu dojść nie mogło.

– Ty zdurniał całkowici? Jak tobie żelazne odejdzie, taż drzewniane się zajmie! Chałupę spalisz! Ty durny! – Gdulowa dopiero teraz widziała, jaką głupotę chłop planuje i ratowała bez nadziei, póki się tak nie stanie, że będzie za późno. Jan o dziwo zastanowił się chwilę, że faktycznie drzewo zając się może, jednak szybko i na to znalazł radę.

– Tak się będzie trzymało, żeby się nie zajęło, dołem ja jego zagrzeje, że do drzewa nie zajdzie. Żelazo jedno od drugiego grzać można, od tego, co się postronek daje, zajdzie gdzie zakute i się jego odwali. – Niby się trochę wszystkie gadanie kupy trzymało, ale jak kto więcej pomyślał, wiedział z miejsca, że rozgrzane żelazo i drzewo w zgodzie żyć nie będą.

– Dopiero co obiad wstawiła, pod kuchnio wychłudzisz, idź mi z tym het. – Jak umiała, tak odradzała.

– Ot, głupia baba! Ta żelazne wiency gorące jak drzewo! Wiency ciepło się zrobi, usuń si na bok – nie dał sobie powiedzieć.

Jurek stał z boku i śmiał się już nie tylko w duchu, ale i pod nosem. Bardzo lubił, jak się Gdule spierali, bo to i kłótnia nie była, tylko śmieszne gadanie. Nikt się nigdy nie zagniewał, nawet jak durnym był nazywany, tak się mówiło i tyle, nie dla obrażania, tylko z samego żaru małżeńskiej rozmowy. Orczyk trafił pod kuchnię, Jan zaczął nim cyrklować, żeby od spodu się grzał i cudem jakim zrazu mu się udawało. Tak tańcował nad płomieniem, że orczyk, choć osmalony, to się nie zajął, póki do czerwoności żelaza nie doszło i wtedy się stało, jak stać się musiało. Z orczyka tak się zakopciło, że trzeba było narzędzie gwałtem ratować. W takich chwilach więcej rękami się robi jak głową, tak też u Jana było. Jedną ręką wyciągnął z paleniska orczyk, drugą otworzył dekiel, gdzie woda w piecu się podgrzewała, i wrzucił rozpalone do środka. Co się paliło, to się zagasiło i dymu w chałupie mniej, tylko orczyk goły się został, a okucie na samo dno wody spadło. Niby tak miało być i nie tak, miało zejść, ale nie do wody wpaść. Gdula rzucił okiem na goły koniec orczyka i – chwili nie poświęcając na pomyślnik – wpakował rękę prawie, że po sam łokieć. Długo w ukropie nie zagrzał. Szybciej sparzoną rękę wyjął, jak zimną włożył, zaczął biegać z orczykiem po chałupie, otrzepując sparzone miejsca i dmuchał przy tym rozpaczliwie.

– Żeby ciebie.... – jęczał, chuchał, skakał, a wszystko razem, jak występ cyrkowy wyglądało.

– I zlązło! Żeby jeszcze skóra od kości zlązła, będzie akuratnie! – Aniela kpiła z męża, Jurek śmiał się już na całego.

– Woda ukrop! Jak trza tak zimna! Tera jak raz gorąca – zeźlił się i sam nie wiedział na co.

– A pewnie! Dziwota, że z pieca woda gorąca?! Gdzie by kto powiedział?! – nie przestawała z męża żartować. Gdula w końcu ochłonał, odstawił orczyk, by zajrzeć do wody i sprawdzić, co się da zrobić z okuciem. Dłuższą chwilę patrzył i zastanawiał się zanim wymyślił, że tym samym drzewem będzie utraczone dobywać. Nic się nie odzywała Aniela i Jurek milczał razem z nią. Patrzyli oboje z boku i nie mogli się nadziwić, jak upór w Gduli przeważał nad rozumem. Na wyłowienie orczykiem nie było żadnej nadziei, nawet gdyby namacał okucie, musiałyby samo luźno zależeć, a tak przecież stać się nie miało prawa, bo jeszcze przed chwilą trzeba było mocno grzać, żeby raczyło zleżeć. Za kilka nieudanych prób Gdula dał spokój z dalszym poszukiwaniem, popatrzył na Jurka z Anielą, jakby pomocy szukał. Działo się tak zawsze, gdy nie wiedział, co począć, patrzył na żonę i ta chcąc nie chcąc musiała ratować.

– No, usuń się, usuń, nim co durniejszego narobisz. – Odgoniła chłopca od pieca, chwyciła pogrzebacz i bez trudu wyłowiła co zgubił. Już miała tym razem niczego nie ruszać, ale żal jej się zrobiło sparzonego męża i oczami tak patrzył, że nie mogła zostawić. Wszystkie potrzebne do orczyka części znów były razem, tyle że osobno.

Jan zabrał co nadpalone, za nim żelazo i bez słowa, nawet Jurka nie wołając, wyszedł z izby prosto do stodoły, gdzie siedział dłuższą chwilę i dumał co dalej. Tam, gdzie nadpalone drzewo, żelazo latało luźno i nie było mowy, aby z takim orczykiem daleko zajechać. Z boku,

po cichu, przyglądał się wszystkiemu Jurek. Zobaczył, że nie ma żartów, wujek siedział struty, nie bardzo widział swoją i wozu przyszłość. Pomógłby chłopak w takiej zgryzocie, tylko sam nie wiedział, jak robić, jedno mu przyszło do głowy – strugać nowe. Myśl szybko odgonił, sam dla siebie zrozumiał, że znaczyła jeszcze większe kłopoty, jak te przy starej robocie z wujkiem.

– Trza zapchać w spalone i zabić hufnałem. Nie ma wyjścia – po dłuższej chwili padł pierwszy pomysł. Majster popatrzył na Jurka, który całym sobą wąpił w słuszność takiego działania i szybko zrezygnował z zamiarów. – Nie! Musowo pomyśleć, co nagle to po diable. Było się nie spaliło, by my jego już zabijali, ale kto to wiedział, że się spali?!

Wszystkie wiedzieli, chciało się Jurkowi odpowiedzieć, jednak nie wydobył z siebie ani słowa, żal mu było Gduli. Przychodziły w naprawach takie chwile, kiedy śmieszne przeradzało się w smutne. Jan siedział i dumiał nad tym, co jeszcze niedawno było dobre, a teraz samo się popsulo.

– Może lepiej było nie ruszać jego... – W głosie brzmiało spóźnione opamiętanie, popatrzył na chłopaka i znalazł na jego twarzy swoje własne słowa. Szukał wyjścia i nic nie potrafił znaleźć. Cisza zapadła w stodole na wiele czasu, majster siedział ze zwieszoną głową, opukiwał orczyk, jakby to miało tchnąć do dalszej roboty. Jurek stał w kącie, przyglądał się wszystkiemu i po jakiejś chwili podpowiedział wyjście z beznadziejnej sytuacji:

– Trzeba wbić klin i będzie dobrze. Tak mi się wydaje.

Gdula od razu się podniósł, odrobinę rozjaśnił twarz. W miejscu, co się w nim znalazł, nie można narzekać na żadne ucieczki.

– Prawdę mówisz, się zabije na śmierć i koniem nie wyrwiesz. – Dopowiedział sobie kilka pocieszeń, tyle znaczyło, że całe naprawianie miało najwyższy pomysłupek i gdyby nie naprawiać, kto wie, co by się stało. A tak się zabije klina na śmierć i będzie lepszy jak nowy.

– Klina trza szukać dębowego, twardego, inszy nie da rady – głośno myślał. Nie było takie złe, co powiedział, gdyby nie to, że dęba w stodole nie ma. Jurek już przewidywał następne niedole. Nie jest ciężko powiedzieć, że potrzeba dębowego, gorzej, że „poszukać”. Gdzie teraz Jan chciał szukać? I jak? – No, trza zaprzęgać konia, w lesie jakiej gałęzi grubszej urąbać; co zostanie, jeszcze pod kuchnie będzie – wymyślił, jak mu się zdawało.

– Konia nie zaprzęgniemy, orczyk popsuty – chłopak pozbawił wujka nadziei i znów majster posmutniał, już nie tyle mu przyprzęganie szkodziło jak „popsuty orczyk”. Jurek zrozumiał, w czym rzecz i starał się poprawić:

– Był popsuty tak czy tak, strach było konia zaprzęgać.

Lżej zrobiło się na Janowej duszy, ale dalej nie wiedział gdzie klina szukać.

– Za jedną gałęzią nogami przebierać nie bardzo.

Temu akurat każdy znający majstra gotowy był wierzyć. Nawet jak co blisko było, konia zatrudniał do roboty. Uspokoił się Jurek, że szukania większych kłopotów nie będzie i chyba za szybko poczuł radość.

– Od kłonicy, na dole, można kawałek zabrać. – Pomysł nie nowy u Gduli, nie ten raz przychodziło mu psuć jedno, żeby oba nie były naprawione.

– Lepiej nie, jeszcze pęknie na pół i będzie kłopot. Z kłonicą już nie żarty, lepiej nie ruszać.

– Chłopak nie bawił się w łagodne gadanie, wyraźne słowa, żeby nie ruszać, miały wybić majstrowi wszystkie głupoty jakie do głowy pozachodziły.

– Niech będzie po twojemu, może i racja. Dobrze zatniesz i tak samo z siebie się rozłupi. Taka drzewa uroda. – Znów Gdula dodawał sobie otuchy i zabezpieczał przed posądzeniem, że majster kiepski, nie drzewo. W ostatniej chwili udało się odratować kłonicę, tyle tylko, że sprawy z orczykiem zatrzymały się i stały czas dłuższy, aż chłopak drugą metodę na ratunek podrzucił:

– Wujku! – krzyknął jak odkrywca. – A buk nie będzie dobry? Twardy przecież prawie jak dąb. – Nie do końca myślał, jak podpowiadał, tylko ratował przed naprawami znacznie gorszymi.

– A czego by nie, nawet i się wiency łupi. – I Jan wiedział, że nie tak mówi jak myśli, zmęczony był już tym naprawianiem, chwycił się pierwszego, co dawało nadzieję. Buk leżał pod ręką w stodole, najlepsza rzecz w tym pomyśle, bo na miejscu.

– To ja polecę po siekiere... – Śpieszyło się Jurkowi głównie, żeby nie zmieniło się postanowienie i nie było szukania czego innego. Z wolna naprawa szła ku dobremu, teraz starczyło odłupać z bukowego polana i zaklinować okucie. Pewnie, że już nie taka jak dawna świetność i nie takie silne będzie, jak kowal zarobił, ale wóz będzie odratowany. Tak sobie Gdula w duchu myślał, czekając na Jurka z siekierą. Nie musiał długo stać, chłopak obrócił raz dwa i można było zacząć naprawianie. Gdula odłupał z buka i zaciosał w klin, potem nałożył okucie na orczyk i przymierzył do całości. Ucieszył się niemało, gdy zobaczył, jak pięknie przypasował bez poprawek, taka robota, żeby za pierwszym razem poszła, zdarzała się od święta.

– Zalażł, jakby stąd był. Pierwsza klasa, pierwsza klasa zabity! – Zadowolony z siebie machał orczykiem, jakby chciał zbić okucie z samego machania, sprawdzał jak bardzo się trzyma. Gdy zobaczył, że jest dobrze, dorzucił jeszcze pochwał do własnej roboty: – Ani czort jego nie ruszy, zabity, że no! Na ament! Jeszcze by ja jego podstrugał, żeby taki zadzirowaty nie był...– Coś się nagle odwidziało, znów uwierzył w swoje siły i najlepszym majstrem się poczuł.

– Ja bym wujku nie ruszał, może zadzirowaty, ale silniejszy nie ostrugany, niech będzie taki. Grunt, żeby się mocno trzymało. – Chłopak kolejny raz odwoził Jana od roboty, która więcej szkody mogła przynieść niż dobrego.

– Dobrze mówisz, grunt, żeby silny był, reszta bajka. No i my zładowali, tera bezpiecznie można do woza przyprzęgać. Cały inny, pewniejszy. – Po każdej robocie, co to się cudem nieszczęściem nie kończyła, Gdula lubił dodać tyle słów, żeby samemu nie pamiętać, jak co wyglądało przed ładowaniem i jak wygląda po zładowaniu. – A pamiętasz ty, jak my tego buka oba piłowali? Jak nam Józka z Bolkiem dopomogli? – Po naprawach Janowi zbierało się na wspomnienia, był zadowolony z siebie.

– Oj, wujku to chyba nie ten buk, już będzie inny, co go później sami przywoziliśmy.

– A jak nie ten?

– To już będzie trzy lata jak tamten był przywieziony, dawno go ciocia spaliła, chyba że się jakieś polano schowało między świeżo porąbanym. – Szczegółowe dostał Jan wytłumaczenie, dlaczego tamten buk nie bardzo pasował do tego, co jest.

– Trzy lata? Bym nie pomyślał. Trzy lata, jak ty u nas? Czekaj no, jak trzy lata to w czterdziestym pierwszym musiało być. Ty był u nas tego roku? – Czas wydawał się Janowi nadto szybki.

– Na pewno tak było. W tym roku była Bar micwa i w tym wujek mnie w lesie znalazł, na pewno pamiętam. – Jurek mówił z przekonaniem, był pewien, kiedy się te dwie ważne dla niego rzeczy zdarzyły.

– Czasu kupa, ty już bliży dorosłego, jak dziecka. Niemało się zmieniło, bidaka Bolek się obwiesił od tego czasu. Wojna piąty rok, ale to już długo nie będzie. Mówio, że Ruskie jeszcze parę dni i dojdą. Widać po Niemcach, jak się uwijają. – Orczyk nie był już tak ważny, jak dawne wydarzenia, teraz Jan się zamyślił nad tym, jak było.

– Ciocia mówiła, że Bolek sam się nie powiesił, że wieś Niemcom doniosła...

– Co ona tam gada, nie ma co słuchać. Komu Bolek potrzebny? Niemcy mają swoje zabijanie, Ukraińcy swoje i nasze swoje, tak i Bolek miał swoje. Nikt by jego nie chciał poruszać, bo i za czym? Głupi i biedny, za to się powiesił. – Długo wyjaśniał, że takiego życia, jak Bolkowe, nikomu nie potrzeba i nawet samemu Bolkowi.



– Ja też tak myślę, chyba tylko dla Józki Bolka życie coś znaczyło. Pewnie ciotki żał było i dlatego pomyślała, że nie on sam, ale wojna go zabiła. – Przyznał rację wujkowi i całkiem od niedawnego zajęcia się oderwali.

– Trza żyć, ale i umierać, jak człowiek. Anieli o księdza szło, żeby pochował. I tak po prawdzie za tym jej gadaniem pochował, inaczej by nie zechciał. Nie taki to ksiądz, żeby z człowiekiem żył, niedobry człowiek. Tylko ciotce nie gadaj, coś ode mnie słyszał, bo oba zafasujemy – przestrzegał, doświadczony małżeńskimi sporami.

– Nie powiem. – Jurek uśmiechnął się, choć i bez tego Jan wiedział, że o co chłopaka by nie prosił, ten zawsze zrobił, jak potrzeba. Jan więcej jak Aniela z Jurkiem koło domu robił. Nie znaczyło, że chłopak ciotki nie uznawał, albo się bał, tyle tylko, że lepiej się z wujkiem dogadywał, choć w Przemyślu było odwrotnie. Matka dla Jurka najważniejsza, z ojcem trudniej szło. Surowy był i bardzo religijny, nigdy nie zbił, nawet i nieczęsto krzyczał, ale zawsze z daleka, zimno do syna podchodził, bardziej jak nauczyciel niż ojciec.

– Dobrze, że nie powiesz, za to idź do chałupy i co inne pytaj. Mów, że robota zakończona, niech ciotka obiad rychtuje.

Zaraz po słowach wujka Jurek pokiwał głową, znów się uśmiechnął i poszedł jak mu powiedziane było. W stodole został sam Gdula i świeżo odratowany orczyk, co już zawisł na wozie i kiwał się ku radości majstra. Patrzał Jan na świeżo naprawione, jakby pierwszy raz w życiu widział. Gdy przychodził koniec kiwania, podchodził i jeszcze raz pokiwał. Wiele radości sprawiało kiwanie i patzenie, już zapomniał o wszystkim, co się nie udało i tylko tym się zajmował, że naprawione. Drzwi od stodoły były otwarte, jak to w lecie, kiedy upał dawał się we znaki. Jan stał bokiem do wozu i kątem oka widział, co się w stodole rusza i co poza stodołą dzieje. Zerkał też od czasu do czasu w stronę chałupy czy Jurek nie wraca. Czekał na słowa Anieli, nie liczył na pochwałę, bardziej się interesował czy krzyku w chałupie już nie ma. Jurek nie nadchodził, za to Gdula zobaczył innego. Przyuważył, jak drogą szedł Dmitro Horoszczak. Chłop był wielgachny, tęgi i silny, jak koń. Twarz miał brodatą, długie włosy, z twarzy przypominał popa. Z postury groźny, z usposobienia więcej do dziecka niż chłopca podobny. Szczere oczy, głos nie tak gruby, jakby wyglądało i prawie zawsze spokojny. Horoszczak nieczęsto do sąsiadów zaglądał, więcej Aniela do żony Dmitro chodziła i ona do Anieli. Musiało się co ważnego stać, niekoniecznie złe, ale ważnego, że z wizytą się wybierał. Ciekawy był Jan co tym razem Dmitro przygnało, a że szedł, nawet jak na niego, więcej niż prędko, przeczuwał, że nic dobrego ze sobą nie przyniesie.

– Dobryden' Hdula! <sup>1</sup> – Przywitał się w swojej mowie, ale Gdula znał i rozumiał sąsiadów, więcej niż potrzeba.

– Dzień dobry Dmitro. Stało się co, że tak prędko idzie? – Od razu Jan chciał widzieć, co sąsiada przygnało.

– Bandyty Hdula! Vy musyte skhovatysya <sup>2</sup> – Odpowiedział pół po ukraińsku.

– Jakie bandyty? Co ty gadasz, Dmitro? – Jan całkiem czuł się zgubiony słowami sąsiada, bandytów nie brakowało z żadnej strony i temu się właśnie dziwował. Co takiego mogło się stać, że znikąd Horoszczak o bandytach wspomina.

– UPA! Ya znayu, shcho vony s'ohodni unochi pryŷdut'. <sup>3</sup> – powiedział i wyglądał na takiego, co pewny jest swego.

– Do chałupy? A zaczym to majo iść? Czy ja wam bronie swobody? Ukrainy wam bronię? Za czym do mnie? Kiedy? – Gdula zdziwił się jeszcze więcej, gdy się wywiedział, w czym rzecz. Nie chciał dać wiary, nie dlatego, że za kłamcę Horoszczaka uważał, tylko w głowie miejsca zabrakło na takie wieści nieludzkie. W Czyszkach UPA nie mordowała, że dalej, to się więcej

---

<sup>1</sup> Dzień dobry Gdula!

<sup>2</sup> Musicie się schować.

<sup>3</sup> UPA! Wiem, że oni dziś w nocy przyjdą.

słyszało, we wsi takich strapień dotąd nie było. Horoszczakowi ciężko zrobiło się na sercu po słowach Jana, tak grzmiały, jakby UPA i Horoszczaka miał za jedno.

– Unochi pryŷdut'. Ja ne UPA. <sup>1</sup> – Upierał się przy swoim i z żalem w głosie odzęgnywał od bandytów.

– Dmitro! Ta gdzie ja tobie gadał, że ty UPA?! Broń mnie Bóg. Ty chłop dobry, ale co ty gadasz – nie wiem. Kto tobie takie powiedział? Skąd ty wiesz? – jeszcze mocniej dopytywał, nijak w głowie nie chciało się pomieścić, że w Czyszkach UPA na chałupy napadać może.

– Ya znayu, Hdula, ya znayu. Ya ne mozhu skazaty. Bizhy het'! <sup>2</sup> – Całkiem po ukraińsku mówił, a to dlatego, że pod strachem i w tajemnicy.

– Dmitro! Nie wiem ja, co tobie kto powiedział. Tyle wiem, że głupio gadał. Ruskie już ido. UPA tu nie pójdzie mordować i Niemce uciekajo. Nigdzie ja się ruszał nie bede, tu moje życie. Gdzie ja Dmitro pójdę, ty mi powiedz? Gdzie? – pytał, chociaż nie czekał na żadne odpowiedzi.

– Do lisu! <sup>3</sup> W las! – Horoszczak bardzo był przejęty i jeszcze więcej tym, że Gdula nie chciał go słuchać.

– W las? A tam co? Lepiej? Tera wszystkie po lasach. W las pójdę, a mnie chałupę spalo i wszystko zrabujo. Zechco i w lesie znajdo – nic sobie z przestrogi nie robił, odganiał wszelką myśl, że chałupę zostawi i pójdzie, nie wiadomo dokąd.

– Zhinky shkoda, dytyny shkoda. Ya znayu, Hdula, ya znayu. Ya ne mozhu skazaty. Utikay' daleko! <sup>4</sup> – Prosił Dmitro, jak tylko umiał, ale nic nie pomagało.

– Dziękuję ja tobie, żeś zaszedł i powiedział, boś z serca zaszedł i powiedział. Ty dobry Ukrainiec. My uciekać nie bedziemy, całe wojnę my się w kupie trzymali i tylko za to przeżyli. Co ma być, niech i będzie, a chałupy trza pilnować i dobytku, bez tego szybciej kostucha zabierze.

Ukrainiec po tych słowach zaczął rozumieć upór sąsiada, jemu też przez głowę przeszło, że i nie ma dokąd uciekać i nic pomóc nie musi, co więcej, cały dobytek za darmo banderowcy wezmą.

– Ya musyv skazaty. Dobre ty hovorysh. Kudy utikaty? Boh dast', ne pryŷdut'. <sup>5</sup> – Teraz sam pocieszał Gdulę, nic więcej zrobić nie mógł.

– Dziękuję tobie, żeś powiedział, i to znaj, że jak co złego na ciebie przyjdzie, drogę do Gdulów znasz i zachodź śmiało. Nie pójdo, pewnie, że nie pójdo. Ruskie nie dadzo i z czym majo iść? Tu nic nie ma, bieda i ludzie pomieszane. Ciebie zostawio boś Ukrainiec? Hełę zabijo, że nasza? Nie majo w Czyszkach czego szukać, całkiem głupio mordować też nie można. – Dłuższą chwilę przekonywał Horoszczaka, ale i sam sobie wiary dodawał.

– Mozhut' i mene i tebe i Khele. Vsikh mozhut', til'ky svoïkh ni <sup>6</sup>. – Horoszczak nie bardzo dał się przekonać, bał się UPA więcej jak inni. We wsi gadali, że z tutejszymi trzyma i tak się od wsi do wsi roznosiło. Ukrainiec, co nie był z UPA, gorszy dla banderowców, jak wróg. Dmitro bał się banderowców więcej jak Niemców i Ruskich razem.

– Nie strachaj się, nic tobie nie będzie aż do śmierci. – Uśmieł się Jan z tego, co powiedział i tak chciał choć trochę sąsiada uspokoić.

– Ya ne boyusya. Lyudey' shkoda. <sup>7</sup> – Smutny się zrobił i głowę zwiesił.

– Szkoda Dymitro, co poradzisz? Nie mnie i tobie ten grzech na sumienie brać. Nam potrzeba żyć razem, jak Pan Bóg przykazał. Wszystko przejdzie i wojna przejdzie, wspomnisz moje

---

<sup>1</sup> W nocy. Ja nie UPA.

<sup>2</sup> Wiem, Gdula, wiem. Nie mogę powiedzieć. Uciekaj daleko!

<sup>3</sup> Do lasu!

<sup>4</sup> Kobiety szkoda, dziecka szkoda. Wiem, Gdula, wiem. Nie mogę powiedzieć. Uciekaj daleko!

<sup>5</sup> Musiałem powiedzieć. Dobrze mówisz. Dokąd uciekać? Bóg da, nie przyjdą.

<sup>6</sup> Mogą i mnie i ciebie i Hełę. Wszystkich mogą, tylko swoich nie.

<sup>7</sup> Nie boję się. Ludzi szkoda.

słowa. Niedługo będzie po wszystkim. A co ludzie gadają – nie słuchaj. Ty nie z tymi, nie z owymi. Ty za tym, żeby jeden drugiego nie mordował i kto rozum ma, ten zobaczy. Kto głupi, choćby rok jemu tłumaczyć, nie przegadasz.

– Ty gieroj, ja strachajło.

– Nie gadaj głupio! Taki ja gieroj, jak i ty strachajło, oba my gieroje.

– Ty heroy. Khloptsya vzyav pid dach. <sup>1</sup> – Spojrzał na Gdulę i zaraz wzrok spuścił.

– Wziął, co miał robić, z rodziny przecie. – Odpowiedź miała brzmieć mocno, ale ledwie było słyszeć Jana tłumaczenie.

– Vin ne z sim'ı, ya yoho znayu <sup>2</sup>. – Horoszczak znów spojrzął na Gdulę i znów wzrok spuścił. Jan zeszywniał cały.

– Skąd ty jego znasz? – pierwszy raz nieprzyjemnym głosem się odezwał.

– Vin syn likarya z Przemysła. Ya yoho znayu. <sup>3</sup> – Prawdą odpowiedział Dmitro.

– Ano syn, Dmitro, syn. – Teraz Jan głowę zwiesił i całkiem markotny się zrobił, pomyślał, że jak sąsiad się zwiedział i drugie, gorsze od niego, wiedzieć mogą.

– Ty ne biyśya, ya ne skazhu. Davno ya znayu i nichoho ya ne hovoryu <sup>4</sup>.

Usłyszał Gdula pocieszenie i od razu sobie pomyślał, że szczerze słowa powiedział sąsiad. Horoszczak nie taki, żeby co złego zrobił, a drugie, że jakby chciał, trzy lata miał na to.

– Dobry z ciebie chłop, dobre z was ludzie. Chłopaka w lesie znalazł, nie było wyjścia i musowo brać do chałupy. Dobry, pomocny i grzeczny. Po chrześcijańsku się modli i tak samo jego jak i nas chco pozabijać. Za to, że je, za nic wiency – głos Gduli łamał się i dalej nie mógł mówić. Od chałupy przyszedł Jurek, wracał właśnie od Anieli i gdy zobaczył obcego, przez chwilę chciał się cofnąć. Pamiętał, że wujek z ciotką kazali unikać ludzi, tyle że Ukrainiec już chłopaka zobaczył i mądrze nie dało się zawrócić.

– Dzień dobry – pokłonił się Horoszczakowi, jak należało, potem na smutnego Jana spojrzął.

– Dobryden' <sup>5</sup> – odpowiedział Dmitro, tak jak do swoich mówił dzieci, ciepło i jeszcze poczochnął chłopca po czuprynie, choć to już nie bardzo w wieku chłopca pasowało.

– Co w chałupie? – spytał Gdula.

– A nic, nic, zaraz będzie obiad – zmieszał się Jurek i obiadem chciał się towarzystwa pozbyć.

– I ya na obid pidu, mozhe dadut'. Z Bohom Hdula. <sup>6</sup> – Uśmiechnął się i ruszył w swoją stronę.

– Z Bogiem, Dmitro, z Bogiem. Dziękuję tobie, żeś zaszedł.

Horoszczak usłyszał szczerze słowa i głową pokiwał, sam też dziękował.

– Co się stało, wujku? – Gdy obcy odszedł, Jurek z miejsca chciał się dowiedzieć, co zaszło.

– Nic, tak my sobie pogadali – Jan odpowiedział bez wiary.

– A pan Horoszczak po co przyszedł? – chłopak nie dawał spokoju.

– On nie pan, on dobry Dmitro. Przyszedł po dobroci. Do chałupy, Jurek, do chałupy!

– poganiał, żeby na trudniejsze pytanie nie odpowiadać. Nie chciał Jurek wierzyć wujkowi, ale posłusznie poszedł za nim i więcej nie dopytywał. Czuł, że to jeszcze nie koniec i zaraz pewnie więcej o wszystkim się dowie. W izbie na stole czekał już obiad. Gospodyni przebierała palcami razem z nogami i wszystkim, co miała. U Gdulów był obrządek wołania na obiad. Aniela zawsze po wiele razy wołała, bo zawsze było coś do zrobienia, w stodole, w stajni albo w polu. Ona wołała, Jan odpowiadał, że idzie i tak schodziło dobre pół godziny, zanim jedzenie przyszło na stół. Tym razem tak nie było, wcześniej ustaliła z Jurkiem, że ma

---

<sup>1</sup> Ty bohater. Chłopaka wziął pod dach.

<sup>2</sup> On nie z rodziny, ja go znam.

<sup>3</sup> On syn lekarza z Przemysła. Ja go znam.

<sup>4</sup> Ty się nie bój, nie powiem. Dawno wiem i nic nie mówię.

<sup>5</sup> Dzień dobry.

<sup>6</sup> I ja na obiad pójde, może dadzą. Z Bogiem, Gdula.

wujka ze stodoły wyciągnąć, ale on zapomniał o tym, gdy Horoszczaka zobaczył. Szczęściem tak się poskładało, że mało się spóźnili, tyle mało, żeby krzyku Gdulowa nie robiła i od razu zasiedli do stołu.

– Zupę przychodzi jeść. – Gdula ogłosił złośliwie, obok zwyczaju proszenia na obiad było jeszcze dochodzenie, co się będzie jeść. Jurek w tym jednym zawsze stał za Anielą, lubił zupy ponad wszystko i zawsze na zupę namawiał. Jan nie uznawał takiego rzadkiego, dla niego obiad musiał mieć kartofle i jeszcze chleb do tego. Zupa tylko przez człowieka przeleci, tak zawsze powtarzał, no, chyba, że barszcz z kartoflami miał być, wtedy co innego.

– A ciebie kłuje? Jeszcze bedziesz chodził i prosił nie tak zupy jak chleba pośnego. – Dobrze Anieli wiedziała, co narzekanie męża miało znaczyć. Nie było takie zwykłe gadanie, ale grzech na jedzenie marudzić.

– U nas był jeden taki, gadał, że zupę pchnąć se w...

– U was wszystkie mądre, dwanaście sztuk w chałupie, takie-ście mądre. Przeżegnaj się i jedz. Bogu dziękuj, że co masz – przestrzegała po złości i niespokojna o jutro.

– Bardzo dobra, z kapustą, moja ulubiona. Ciocia najlepsze zupy gotuje – uśmieł się Jurek, co powiedział, dla wszystkich jasne. Miało dopiec Janowi i zapieczętować kuchenne z ciotką przymierze.

– Po takiej zupinie długo nie pomłóci. Chłopu trzeba jeść, jak nie, będzie suchy jak i ty. Do roboty potrzebno siły. Skąd siły brać po rzadkim?

Od mniej groźnego zaczęła się rozmowa przy obiedzie i na jakiś czas odeszło na dalsze, sąsiada odwiedziny. Poza Janem nikt nie wiedział, w czym rzecz. Najmniej wiedziała Anieli, nawet i tego, że Horoszczak był nie widziałą. Zajęta gotowaniem, przez okno nie patrzyła, gdy już wyjrzała, żeby na obiad wołać, chłopcy do chałupy wracały. Jurek nie śmiał pytać przy ciotce, choć po prawdzie nie bardzo go cieszyły prześmiewki, martwił się, co wizyta mogła znaczyć. Nie mówiło się ciotce i nie mówiło wujkowi tego, co się widziało i słyszało, jeśli któreś z nich pierwsze mówić nie zaczynało. W chałupie zawsze jakieś tajemnice, takie drobne – jak ugadanie kapuśniaku na obiad, ale i takie większe – jak się razem z wujkiem popsulo i ciotka nie mogła wiedzieć. Były też sprawy jakie z Horoszczakiem przyszły i tu już najbardziej Jurek odzywać się nie mógł. Nikt by mu niczego nie gadał, gdy powie słowo od wujka dla ciotki, ale było też tak, że nie wynosiło się z domu, co się słyszało gdzie indziej. Nawet swój swojemu nie wspominał, taki panował w chałupie obyczaj. Wojną i strachem przed ludźmi wszystko poskładane i tak Gdule sami siebie pilnowali. Wcześniej niż później wszystkie tajemnice przegadane, ale zrazu nikt się nie śpieszył. Lepiej mniej mówić i dłużej żyć.

– Po takiej zupie można, wujku, młócić cały dzień, takiej w mieście nikt nie widział i smaczna, jak najlepsze dania z restauracji. – Chłopak nie dawał spokoju i tak na wujka patrzył, że Jan od razu się spostrzegł, jak bardzo tu nie o zupę, tylko o Horoszczaka idzie. Jurek mało gadał, jak już zaczął więcej mówić, znaczyło, że coś go dręczy.

– Ty co taki do gadania dzisiaj? – zapytała Anieli, przeczuwając, że coś się święci. Nic chłopak nie odpowiedział, za to Gdula się odezwał:

– Horoszczak zaszedł – powiedział krótko i czekał, jak odpowie żona.

– Tak co, że zaszedł? Stało się co? – popatrzyła na jednego i drugiego, jak oba się w sobie chowają.

– Po mojemu nic – znów krótko odpowiedział Gdula.

– Tobie tam nigdy nic! A mnie się zdaje, że on darmo nie chodzi – już niemało była zeźlona i ciekawa.

– Dmitro dobry chłop. Jak dobry, tak strachliwy, byle czego. – Miały te słowa uspokoić Anielę, ale gdy się od razu nie powiedziało, co i jak, jeszcze gorzej się w niej gotowało.

– Ty gieroj, że no! Gadaj, co słyszał, głowy nie kręć. – Zawsze podobne rozmowy szły nerwowo. Gdulowa ciężko znosiła, kiedy nie widziała na czym stoi.

- Gadał, że banderowce podejdo – wykrztusił z siebie.
- Taż naokoło so! Gdzie wiency podejdo?
- Za nami, do chałupy, tak gadał – nie rzucił jedzenia, chował się za łyżką, twarz przykrywał i tylko półgębkiem gadał. Myślał, że jak cicho będzie siedział, nie tak bardzo zmartwi żonę.
- Do dupy tam! Durnowaty i ten Dmitro! – Ciotka popatrzyła na Jurka, żeby się niczego nie bał, bo samo głupie usłyszał. – Do dupy zajdo, nie do chałupy! Za czym iść? Jeszcze trochę i Ruskie im dadzo chodzić, że popamiętajo – z największą siłą odgoniła złe.
- Nie bardzo tak do dupy gadać. Dopiero, co się żegnała do obiadu. I mnie się zdaje, że nie pójdo. Dmitro strachliwy, ale ktoś jemu musiał stracha pędzić, jak zaszedł. Może gdzie w Mościskach słyszał albo Ukraince postraszyli – układał wieści do kupy, choć więcej w tym zgadywania było.
- I co wiency gadał? – dopytała Aniela.
- Wiency nic, tyle, że chałupę rzucić i w las uciekać – jadł i odpowiadał, więcej przykładając wagi do jedzenia.
- Niech on sam chałupę rzuca! Taki mądry! – mocno zdenerwowała się Gdulowa, że aż łyżkę odrzuciła.
- I ja tak mówię. Tu nasze życie i jak żyjemy, tak żyć trzeba. Złodziej ucieka. Uciekać nie ma gdzie! Złe z głowy wyrzucić, a dobre do rąk wpadnie. Ot i wszystko – spokojnym był Gdula niezwykajnie, z przekonaniem powiedział, co mu z głowy wyszło. Aniela nie tak, jak Jan do wszystkiego lekko podchodziła, jednak teraz męża wspierała i nawet nie użalała się nad tym, co może być.
- Bandyty wszędzie. W lesie i w chałupie. Tyle lat my żyli i dalej żyć się będzie. Niemca w chałupie my przeżyli. Ukraince też niegroźne – znów na chłopaka popatrzyła, żeby się nie przeląkł.
- A ten Dmitro, też Ukrainiec, to dlaczego przyszedł ostrzeżać? – Jurek odezwał się cicho, bał się, chciał i swoje słowa dla uspokojenia dołożyć.
- Dmitro dobry człowiek, bandytów nie uważa czy to nasze, czy ukraińskie. Żona jego od nas, dzieci do pół ukraińskie, za to się boi, by na jego sumienie nie spadło, że Ukraince mordują – wszystkie słowa Jana za usprawiedliwienie miały mówić.
- On się i za siebie boi, takich banderowce bardziej nie uważają jak nas. On nie z nami i nie z Ukraińcami. Jemu więcej gorzej, jak nam. Kto bądź ukatrupi – tym, że Horoszczaki gorzej miały, Gdulowa chciała załagodzić swoją niedolę.
- W taki czas wszystkie jednako majo. Ma zabić? Zabije, jak bądź, kto bądź! Nie ma co! W chałupie się zostajemy i tyle wszystkiego. Lepiej by zrobił Dmitro, jakby nic nie gadał! Od tego tylko głowa zajęta. Człowiek całkiem durnowaty się robi. Myśleć kto zabije durnego robota! – Gdula więcej na Jurka spoglądał jak na Anielę, też chciał chłopca uspokoić i przetłumaczyć, że nic takiego się nie stało i nie stanie.
- Będziemy normalnie spać tej nocy? – spytał Jurek, dziwnym mu się wydawało, że tak lekko przychodziło mówić o wszystkim, czego się dowiedzieli, i dlatego najprościej pytał.
- A jak ty by chciał spać? Śpij, jak ci pasuje, na krzyże i od ściany, i na piecu, jak masz chęć.
- Uśmiechnął się wujek do Jurka.
- Po kapuście nie bardzo spać. Oba strzelają całe noc – i Aniela dodała od siebie uśmiechu.
- I tobie nic nie brakuje, chłopca by rozerwało, tak sadzisz.

Wszystkie w chałupie się roześmiali. Takie na strapienie znaleźli lekarstwo, odtrącili złe myśli ze strachem. W ten dzień jeszcze jedno sobie Jurek przypomniał, nie pierwszy raz doszło do niego, że Gdule inaczej jak rodzice do wojny i całego życia podchodzili. W domu rodzinnym każdą jedną rzecz rozdzielało się na ździebełka, dwoiło i troiło, rozważało, a przez rozdzielanie pomnażał się strach i krzyk po nocy. W chałupie wszystko, jak się dało, odrzucano od siebie, nie przez bezmyślność, albo zbytnią odwagę, ale dlatego, że tak najprościej i najlepiej stłumić strach. Nic nie dawało klepanie o tym czy UPA zabije, czy nie

zabije, póki nie zabijali, nie można sobie głowy zaprzętać i samemu strachu przywoływać. Żartem i złością wyganiało się z chałupy myśli, które złe były. Zdawać się może, że całkiem bez rozumu postępowanie, że nie wolno być tak nieostrożnym i choćby żartem szastać własnym życiem, ale odkąd Jurek był w Czyszkach, widział, że takie nastawienie niezastąpione. Jakby popatrzeć na inne domy, choćby i tu we wsi, w niejednym się złe przydarzyło, tylko u Gdulów nie. Najgorsze w czasie wojny przeżyli, że Niemca w chałupie przyjęli, a i tak chlebem z konserwami się skończyło. Jurek pomyślał sobie, że za sprawą prostego odpędzania strachu tak się działo. I jeszcze jedno wiedział. Kiedy przyjdzie mu prawdziwie opowiedzieć, jak przetrwał wojnę i jak przeczekali ludzie, którzy ofiarowali mu drugie życie, nikt nie da wiary i jeszcze zrugą za tak spokojnie opowiadanie wojennej niedoli, co miliony zabrała do grobu.

Czwarty rok Jurek siedział u wujków i czwarty rok żadnej krzywdy nie doświadczył, tak się układało, że wszystko najgorsze bokiem przechodziło. Armie szły z zachodu na wschód i potem znów wracały na zachód. Zmieniali się różni, mordowali i obiecali spokój, tylko w chałupie Gdulowej nie zmieniał się nic. Zawsze, dzień za dniem takie samo życie, aby zrobić swoje i dożyć do jutra, niczym innym głowy nie zaprzętać. Ciężko tak przez całe życie tylko o najprostsze zabiegać, ale w czas wojny lepszej metody szukać próżno i to się Jurkowi w głowie poukładało. Chłopak w cudzym domu czuł większe bezpieczeństwo jak u rodziców. Rozmówienie Gdulów uspokajało i dodało siły, inaczej jak rozmowy ojca z matką, które straszyły i zabierały chęci z nadzieją. Jurek dręczył się myślami, bał się, że grzeszy przeciw swoim, stawiając obcych ponad nimi. Mimo strachu nie umiał myśleć inaczej niż myślał. Wziął od wujków część z tego tłumaczenia, które takie na nim robiło wrażenie. Nauczył się, jak Gdule, rzeczy gmatwane upraszczać i przyjmować jak następne, co się mogą i nie muszą stać. Nie przejmować się na zapas i nie kusić złego. Nadziwić się nie mógł, że tak proste podejście tyle spokoju przynosi i choć rozumem się tego nie da ogarnąć, daje też odpór wszystkiemu złu, a złego przecież nie brakowało.

1944 rok był ostatnim rokiem, jak Niemcy siedzieli po wioskach i miastach, zabijali i grabili, do rabowania i mordowania drugich namawiali. Dali się namówić Ukraińcy i wiele złego razem z Niemcami wyrządzili, potem drudzy im odpłacali, jednak wszystko działo się poza chałupą, która jakby przez Boga wybrana. Bóg chronił Gdulów, by innym na świecie pokazać, jak żyć trzeba. Pracować za chlebem, niebu dziękować za urodzaj i następny dzień życia, ludziom krzywdy nie robić, jeśli jest sposobność pomóc drugiemu, nie roztrząsać tego, co i tak się samo dzieje albo samo odchodzi. Całkiem tego roku spokojnie nie było, wiele nienawiści i łez, zawiści i zemsty chodziło od chałupy do chałupy, ale coraz mniej było wojny, która odchodziła na zachód. Ruskie przeganiali Niemców tam, skąd przyszli i żadnej litości dla nich nie mieli. Odpłacali za wszystko wcześniejsze, a płacili podwójnie i więcej razy. W tę lipcową noc czterdziestego czwartego roku, jak banderowcy mieli przyjść i zamordować, nie stało się nic z Horoszczaka zapowiedzi, przeciwnie było. Następnego dnia przeszedł front aż po sam Przemyśl. Czyszki znów przywitały ze wschodu armię i tym razem więcej było radości niż smutku, gdy w trzydziestym dziewiątym Ruskie razem z Niemcami dzielili się zbrodnią i podbitą ziemią na połowę. Jeszcze nie całkiem można było od wojny odetchnąć, jeszcze chodziły bandy z lasu, lecz już inny był, lepszy czas, że i Jurek nie musiał się tak mocno ze swoim dawnym imieniem ukrywać. Niemcy odeszli, mimo tego Gdule zabraniali chłopakowi mówić, kim jest, na zimne dmuchali, niespokojne wszystko było i człowiek do człowieka więcej z bagnetem niż z chlebem podchodził.

Koniec wojny na świecie przyszedł wiosną czterdziestego piątego roku, ale w chałupie Gdulów wojna odchodziła i przychodziła jeszcze przez drugi rok. Jedni oswabdzali po

swojemu, inni podpisali się za Ruskimi, rozdierając, gdzie czyje będzie. Od tego czasu zaczęły się dziać rzeczy do wojny wielce podobne. Ukraińcy walczyli o swoje, partyzantka przed Ukraińcami o swoje, a Ruskie ze wszystkimi dla siebie. Koniec wojny z Niemcami nie znaczył końca wojny w Czyszkach. Już nie tyle się słyszało o mordowaniu, jak ciągle jedni czegoś chcieli od drugich. UPA patrzyła śmierci Gdulów dla wolnej Ukrainy, swojska partyzantka śmierci dla UPA i swobody od Ruskich. Z tego wszystkiego nikt nie wiedział kiedy i jaka się kończy tragedia, a która zaczyna się nowa. Na świecie ogłoszono pokój, nic to jednak dla Gdulów nie znaczyło, w chałupie zaczęły się strapienia, jakich spodziewać się nie mogli. Już jesienią czterdziestego czwartego można było przejść do Przemyśla prawie bezpiecznie, tam iść najbardziej chciał Jurek, myślał odnaleźć ślad po rodzicach, że ich samych znajdzie, nie sądził wcale. Zabrał się z wujkiem do miasta, ale niczego się nie dowiedzieli. Doktora Szulca w Przemyślu znało wielu, przez to mogło być łatwiej, tak się jednak nie stało. Jedne gadały, że wszystkich w getcie zabili, drugie, że powieźli do obozów i tam życie stracili. Czasem ktoś powiedział, że widział doktora albo doktorową żywą, ale i ci szybko dodawali, co wszystkich spotkało i tak całkiem nie poznawali, kogo widzieli. Przygotowany był Jurek na takie wieści, ale co innego myśleć, co innego zobaczyć i stracić wszelką nadzieję.

Gdulów rozdierało w środku, między cierpieniem chłopca i tym, żeby go przy sobie zatrzymać. Grzechem pomyśleć, że czas po wojnie gorszym się okazał, jednak tak właśnie na swoje życie patrzyli. Najwięcej po tym, jak do nieszczęść Jurka, który zmienił się dużo, z chłopca w mężczyznę, przyszła tragedia dla wszystkich. Od wsi do wsi krążyło słowo, jakiego i wypowiedzieć się nie da, znaczyło jedno – trzeba iść stąd, gdzie całe życie się było. Repatriacja straszyla wsie i miasta, samych Gdulów umordowała okrutnie, dla nich opuścić Czyszki klęska największa była. Nie chcieli się posunąć ani na krok od swojej chałupy i ziemi, dopiero, gdy zobaczyli, że Czyszki już nie wioska dla swojego chłopca, że ziemię trzeba oddać do wspólnego i przez to niczyjego, zaczęli się namyślać nad nowym życiem w cudzym miejscu. Po czterdziestym piątym roku nie skończyło się ukraińskie napadanie i to druga rzecz, która zmogła, pokazała, że już nie ich Czyszki, że więcej zrobiło się złych sąsiadów i zawistnego słowa niż dawniej bywało dobrego. Przed nimi stała najtrudniejsza sprawa, jaką w życiu przegadać musieli. Swoje dołożył Jurek, odkąd nie było po co jeździć do Przemyśla i śladu żadnego po rodzicach, nic go nie trzymało na miejscu, gdzie nie tylko jego, ale i tutejszych nie chcieli. Rozmaite na siebie nieszczęścia zachodziły, ale ze wszystkiego najważniejszy był list, jaki do wioski przyszedł, od siostry Heleny Horoszczakowej. W liście napisała, że inne życie na ziemi po Niemcach. Murowane chałupy, maszyny jakich w Przemyślu nie widziano i morgów tyle, ile się zdoła obrobić. Sama Helena chciała jechać, tylko nie dało się Дмитро przekonać, a i Ruskie nie chcieli takich puszczać, gdzie chłop był Ukrainiec, choćby nawet żona swojska. Wszystko razem, co sobie Gdule obmyśliły i co Jurek dołożył, z tym co w liście napisane, poskładało się w postanowione. Ostatnie się zostały, które nie uciekły do innej, nowej ziemi i dopiero wiosną czterdziestego szóstego mieli uciekać.

– Mnie ciężko rzucać, Bóg wie, jaka ziemia, jakie życie czeka – przed wyjazdem zapierała się Aniela.

– Ziemia jak wszystka. Ziemia, niebo, słońce, wszystko takie samo. Co inne może być? Zośka Horoszczaków pisała, że lepsza jak tu. – Jan nie uwierzył we własne słowa, tyle wiedział, że w Czyszkach zostać nie mogą.

– Co ty tam znasz?! Co pisało? Jeszcze jeden do pisania się naszedł. Ani Zośka pisać nie wie, ani Horoszczaki czytać. Bóg wie, kto co pisał. Może tak kazali cyganić! – denerwowała się Aniela i mało dało się z nią pogadać.

– Nie Zośka, drugie zdolne. Co gadała, tak jej napisali i tak gajowy przeczytał. A że niby kto nakazał cyganić? – zdziwił się Jan.

- A durne nie wiesz, kto! Kto mądry wygania z chałupy? Z pola?
- Ruskie i Ukraińce gnajo. Wojny dość, wiency nie ma za czym tu siedzieć, bo i głupio wojnę przeżyć, a na swoim schybnąć. – Gdula przekonywał żonę nie pierwszy dzień i już mocno był tą robotą zmęczony.
- Ciociu, nie mamy tu czego szukać, tam inny świat, dalej uczyć się trzeba. – Odezwał się Jurek, najbardziej ze wszystkich od biedy i strzechy uciekał.
- I tu szkoły nie brakuje – odparła Aniela.
- Brakować nie brakuje, ale ruskie bedo szkoły i wszystko ruskie. Ruski zabierze ziemię, banderowce spalo chałupę, nie ma tu czego siedzieć. Już to nie nasze wszystko. – Jan odpowiadał, chłopak z nadzieją patrzył na wujka.
- Tam jest prąd, maszyny, szkoły, samochody. Tu nic nie ma, ciociu, tu tylko złe wspomnienia – pomagał Gduli i sobie.
- Boga nie obrażaj! Jakie tobie złe wspomnienie?! Przeżyli my całe wojnę i ty razem! – znów się zeźliła i aż srogo popatrzyła na Jurka.
- My przeżyli. Którym nie, tego i szukać darmo. – Popatrzył się Jan na Anielę tak, że zrazu poznała, jak chłopak myślał.
- My przeżyli i inne żyć bedo, jak Pan Bóg da. I się wróco, gdzie by nie byli.
- Żeby i wrócić się mieli, nie tu wróco, ale tam, gdzie wszystkie zabierać się muszo. Szkoda gadać! Trudno rzucać, zostać się jeszcze gorzy. Trza pozbierać do kupy jak można, a co się zostanie – Horoszczakom dać. – Chciał Gdula przesądzić, co i tak już było wiadome.
- Darmo dawać? Nam kto co dać? – Daremny żal Gdulowej poniósł się po dużej izbie.
- Szkoda tobie, babo, gadać, drugi raz i trzeci. Szkoda gadać. Co zrobisz? Na zmarnowanie zostawisz? Konia i krowę brać, ubranie i co lepsze z domu. Resztę Horoszczakom dać. A jak nie, gorsze od nich wezmo. – Spokojnie i powoli chłop mówił, tak że Aniela pomału godziła się ze wszystkim.
- A stoły, krzesła, garczki? – jeszcze próbowała sprzeciwu.
- Gdzie niektóre garczki można. Stołów nie ma za czym. Kto ich bedzie dźwigał? Stołów nie braknie. Jakby brakło, się porobi. Brać co największe. Krowę, konia i odzienie, tak wszystko – dalej uspokajał i coraz lepiej mu szło.
- Zośka od Horoszczaków pisała, że tam niczego nie braknie, Niemcy wszystko oddali i kto jaką się chce, może brać chałupę i pola ile się zechce – chłopak dołożył ze swoim.
- Nam i tej chałupy za wiele i pola obrobić nie mogli, wiency nie potrzebno. Człowiek na dwie chałupy żyć nie będzie.
- W dwóch nie, ale tam domy murowane, podłogi z desek, ciocia zawsze chciała takie mieć, jak u gajowego. – Uśmiechnął się Jurek i tak chciał ciotkę zmiękczyć.
- Elektryka i maszyny prądem pędzone, jak po mieście. Ty zawsze miastowa chciała być – za Jurkiem dodał Jan.
- Ja nie miastowa chciała, tylko czysta jak człowiek. – Popatrzyła na obu chłopów, bo tak się jej zdawało, że dwóch przegadać musi.
- To i bedzie żyć, jak chciała co wiency chce? Tak się nie daje, żeby co tam, tu przyszło. A i pola za chałupo nie weźmie. Mało znaczne, gdzie się bedzie, ważne zgodnie wszystko robić, wtenczas niejedno przetrzymać można. Przyszedł czas iść na drugie. Jaka ziemia by nie była, ale ziemia. Tu Ruskie i Ukraince rządzić bedo. Czego nam tu szukać? – Janowi lekko przez gardło nie przechodziły słowa, tylko rozumiał, że w taki czas inaczej nie można i się nie da.
- A ja myślę, że nie będzie źle. Po co się chować przed ludźmi co nas nie chcą? Tam będą sami tacy, jak my, co ich wypędzili. – Jak powiedział Jurek, spodobało się Anieli, rozjaśniała po twarzy i trochę lżej zaczęła przyjmować rozstanie.
- Prawda! Tam wszystkie wygnane. Może za to jeden drugiego bedzie wiency szanował i uważał. – Jan przyznał się do słów Jurka. – Jak tak, nie ma co dalej gadać. Trza wóz pod



chałupę zapchać i ładować, co z nami pojedzie. – dodał, korzystał z chwili, gdy żona pogodziła się z pożegnaniem Czystków.

– Tera wóz pchać? – spytała, złęknioma jak zawsze, kiedy się nagle działo.

– A tera! Gadania końca nie widać. Kiedy się pojedzie, tak się pojedzie, ale trza się rychtować. Bedzie uszykowane to i lżej z tym wszystkim. Dawaj Jurek do stodoły, wóz wystawim. Ciotka sama porobi, co jej potrzebno – szybko zawołał na chłopaka i zaraz się zerwał z ławy, żeby nie przedłużać roboty.

– Na zapalenie! Za wozem lecieć! Co za człowiek?! – Jeszcze by coś chciała dodać, ale już nie było komu. Aniela została w chałupie sama i zanim podniosła się od stołu, przeszedł dłuższy czas. Nie wiedziała, które zbierać, jakie zostawić? Wszystko stało na swoim miejscu, drugiego tak dobrego miejsca dla rzeczy nie znajdzie. Największe szczęście, gdy wszystkie i wszystko swoje we własnej chałupie zostaje. Pierwsze myślenie nie dawało spokoju, już chciała biec do stodoły, żeby całą rodzinę w Czystkach zatrzymać, gdy szybciej przyszło drugie do głowy, co i Jan z Jurkiem głośno powiedzieli. Skończył się czas na tej ziemi, gdzie spokoju nawet po wojnie nie dało się zaznać. Uciekać całe życie nie można, trzeba mieć swój kąt, gdzie można się schować przed wszystkimi troskami i całym ludzkim psuciem. Ani murowana chałupa, ani inne miastowe dobrodziejstwo nie przekonało tak, jak słowa chłopaka i męża, oba spokoju chcieli i innego, bez strachu życia.

– Ciotka naprawdę pojedzie? – Jurek szedł za Janem do stodoły i – co mu się mało zdarzało – sam zaczynał rozmowę.

– Co ma nie jechać? Gadać nie przestanie, jechać, pojedzie – pewny był, jak powiedział, w głosie i po całym sobie.

– A ty, wujku, chcesz? – na wszelki wielki spytał Jurek.

– Chce i nie chce, jechać trzeba. Ty co się rozgadał jak ciotka? I tobie ciężko się posunąć ze swego? – Gdula niemniej był przejęty, może jeszcze więcej jak żona i niespokojnie odpowiadał na ciężkie pytania.

– Ja bym chciał, ale jak trzeba, zostanę z wami – powiedział Jurek, bez przekonania, drżącym głosem.

– Jak chcesz, tak i pojedziesz. Nie masz się czego bać. Ja widzę, że ty wiency się boisz nie jechać, jak jechać. Pojedziesz i do szkoły pójdziesz. – Gdula uspokajał chłopca, żał mu się zrobiło, że wcześniej na niego głosem się podniósł.

– Dobrze, że Horoszczak chałupę weźmie, on dobry gospodarz, nie popsuje – chciał podziękować za dobre wiadomości, swoją dobrą nowiną.

– Zabierze i rozbije. Teraz i Ruskie murowane chałupy dźwigajo. Nikt słomy trzymał nie bedzie. Ciotce nie gadaj, bo nie da spokoju i wszystko gadanie od nowa się zacznie. – Gdula zwiesił głowę ze smutkiem, chałupę pamiętał, sam przy niej robił i choć to glina ze słomą polepiona, jednak dom, gdzie niejedno się przeżyło.

– Nie powiem. Konia będziemy zaprzęgać czy tak wóz pociągniemy?

– Szkoda konia ruszać, wóz sam pójdzie z górki. Więcej z kobyłą roboty.

Tak sobie gadali obaj wygnańcy. O wszystkim najważniejszym i niczym ważnym, aż przyciągnęli wóz i zaszli do ciotki zobaczyć, co tam spakowane i z nimi razem na zachód pojedzie. W chałupie niewiele się działo, coś tam gospodyni upychała do skrzyni, na ścianie nie było już krzyża, co wisiał nad drzwiami. Reszta stała, leżała i wisiała, jak wcześniej.

– Na pusto bedzie się jechać? – trochę żartował, trochę dziwił się Jan.

– Żeby ciebie nie zapomniała, reszta bajka – nie bardzo chciała, ale odpowiedziała Aniela.

– Może cioci pomóc? – spytał Jurek, bardziej dlatego, żeby zerwać ciszę, pomagać nie było w czym.

– Nie ma czego. Wiele nie bedzie się brać. Potrzebne z kuchni i do ubrania się pozbiera, tyle wszystkiego. Jak ma nowe być, niech całkiem nowe bedzie – pogodziła się z nieznanym losem i tak sobie dodawała odwagi.

- Ze wszystkim nowe nie będzie. Lis norę zmieni, a lisem się pozostanie. Życie dawne, miejsce nowe. – Ładnie powiedział Gdula, tak ładnie, że i żonie się spodobało.
- Żeby tak było, żeby było – prosiła.
- Będzie dobrze, ciociu, gorsze rzeczy są za nami. Teraz chociaż coś dają, wcześniej wszyscy zabierali i domy, i życie.
- Prawdę mówisz, niechby zawsze takie zamartwienia byli – wujek pochwalił Jurka i już się zbierał, żeby więcej dodać, tylko żona go uprzedziła.
- Trza iść do Horoszczaków, zagadać co i jak, żeby nie na ostatnie chwile. – Tak spojrziała na wszystkich, że żadnemu nie było trudno pomyśleć, jak trzeba.
- Bodaj i teraz iść można, tam wszystkie dokoła stodoły biegają, sam widział
- odpowiedział Gdula.
- Tak pójdziemy, niech już raz wszystko pokończy się i spokój nastanie – zgodziła się Aniela i co chłop powiedział, zaraz przeszło w życie, wszystkie wyszli prosto do sąsiadów.
- Po drodze Aniela przegadała z Janem, kto co będzie robił i wyszło jak zawsze, że chłop z chłopem dogadać się musi. Spadło na Gdulę, żeby z Horoszczakiem załatwić, jak potrzeba. Na podwórku, przed chałupą, kręciła się cała rodzina. Sam Dmitro, Helcia i trójka dzieci, dwóch chłopaków i jedna dziewczyna. Dzieci przychodziły na świat za porządkiem, jak mawiała Gdulowa, znaczy tak, że co roku nowe w chałupie płakało. Podobne do siebie wszystkie, dziewczynka więcej do Dmitro, chłopaki do Heleny. Gadali do siebie, jak popadnie raz po ukraińsku, raz matki mową, najczęściej pół na pół, ale każdy każdego rozumiał. Dobrze sobie żyli, Dmitro spokojny, Helcia nagadana i więcej nerwowa, dzieci grzeczne i posłuszne. Cała gromada biegła przy stodole, słomę zanosili do stajni. Trochę krzyku przy tym było, więcej z samej radości przy robocie niż jakiej kłótni.
- Szczęść wam Boże – jeszcze przy płocie dobrze krzyknął Gdula. Dobry to był na wsi obyczaj, gospodarz mógł gościa przywazyć i przez furtkę poprosić na podwórze.
- A Bóg zapłać, Bóg zapłać – pierwsza odpowiedziała Helena i zaraz pobiegła otwierać.
- Zachodźcie, zachodźcie – zapraszała.
- My zagadać przyszli, jak z dobrym sąsiadem. – Uśmiechał się Gdula do Dmitro i Heleny, a po dzieciach popatrzył życzliwie.
- A stało się co? – powiedziała Helcia, która bardziej nerwowa i z miejsca kłopoty miała w głowie.
- Stać się nie stało, ale pora nam jechać z Czyszków – odpowiedział Gdula.
- I wy utikayete? <sup>1</sup> – dołączył się Dmitro.
- Nie tak uciekamy, Dmitro, zabierać się trza, gdzie nas nie chco – powiedział Jan i zaraz cisza się zrobiła.
- Nie wszystkie Ukraińce takie. – Po chwili odezwała się Horoszczakowa, zawstydzona była i z głową przechyloną na bok.
- Nam tego gadać nie potrzeba. Za to my do was przyszli, wy nie takie i wiency dobrych. Nie ludzie winne, taka polityka, szkoda gadania – jak umiał przekonywał Gdula Horoszczaków, że żadnego żalu do nich nie ma. – Chałupę chcieli wam zdać i co się w zagrodzie zostanie.
- Tak nie można, toż wasze, nie nasz dobytek – szybko odpowiedziała Helcia.
- Prawda, prawda – dodał Dmitro. Stał trochę z boku razem z dziećmi, które za nim się chowały.
- Nie weźmiecie wy, na zmarnowanie do drugich pójdzie. Biercie i nam będzie lżej, że w złe ręce nie idzie – Aniela prosto do Helci mówiła.
- A kto wie? Może jeszcze wracać się wam przyjdzie? Nijak nie pasuje cudze brać. – Broniła się Horoszczakowa i mało wierzyła w swoje słowa.

---

<sup>1</sup> I wy uciekacie?

– My się już nie wrócim, za ciężko iść, żeby się wracać. Tam przyjdzie żyć, gdzie nas powiozo. Wiele w chałupie i stajni zostanie, to wasze, nie ma co się zbraniać. Z serca dajemy, a i dla swojej spokojności. Żal zmarnować, same wiecie. I darmo nie dajemy, do Przemysła do pociągu, żeby ty nas Dmitro powioził, będzie najlepsza zapłata. – Uśmiechnął się Gdula do wszystkich Horoszczaków, jak o zapłacie mówił.

– Daj nam Boże takie płacenie bez całe życie – też z uśmiechem odpowiedziała Helena.

– Ya vidvezu vas de vy zakhochete <sup>1</sup>. – Dołożył się ze swoim Dmitro.

– Zdowiemy się kiedy pociąg pojedzie i damy znać. Nie ma co wiency głowy zawracać, trza nam iść, Aniela. Zostańcie z Bogiem!

Zaraz za słowami Jana Gdule pożegnały się i wróciły do chałupy. Idąc, rozmawiali czy jak należy obeszli się z sąsiadami, czy te nie złe na nich? Zgodnie postanowiono, że wszystko było jak należy i niczyjej krzywdy nie ma. Aniela zaraz za furką odezwała się do swoich chłopów:

– Tera idźcie do stodoły psuć, ja podłogę glino zaciągnąć muszę.

– Na co tobie ta robota? – Gdula zdziwił się niemało.

– Na to, żeby czysto było, jak w domu! Na co się pyta!?! – więcej zdziwienia w Anieli się wykrzychało niż w Janie pokazało.

– Co chcesz, sobie rób. Jak tobie lżej od tego będzie, tak rób. Ale głupiego robota glino lepić, gdy jutro w świat przyjdzie pojechać.

– Żeby za godzinę przyszło jechać, w chałupie czysto będzie. Idź ty z Bogiem do stodoły i ja do swojej roboty. – Nie czekała już czy kto jej co odpowie, weszła do izby i zamknęła po sobie drzwi.

– Ot, durnowata baba, niech tam jej będzie i tak. – Krzyknął do siebie Gdula i uciekł do stodoły, a Jurek za nim. Nic w stodole nie znaleźli, przy czym zatrzymać się można, i przez to szybciej wyszli, jak weszli. Pochodzili wokoło, wody ze studni wyciągnęli, choć do niczego nie była potrzebna, na koniec przy studni spoczęli, czekając aż Aniela skończy swoje porządki.

– Dmitro zburzy chałupę? – Jurek chciał przerwać nudne czekanie, mało myślał o tym co się stanie, szybciej chciał dotrzeć do końca porządków.

– Nie on, drugi rozwali, świat już nie taki, jak kiedy. Tera nie glino i słomo się lepi. – Gduli nie chciało się o tym gadać, dało się zrazu poznać i przez to Jurek zaczął z czym innym.

– Wozu nie będziemy zapychać do stodoły? Ciocia chyba nie będzie rzeczy pakować?

– Bedzie! Galop będzie, tak mnie się zdaje. Ona co niepotrzebno robi! Co trzeba, odłogiem leży, taka baby robota. – Zeżłony siedział przy studni, Anieli dziwactwa zdawały się marnowaniem czasu, ale najwięcej chłopca bezczynne siedzenie denerwowało.

– Może pójde i sprawdzę czy ciocia skończyła? – Widział chłopiec, że Gdulę rozsadza.

– Daremne chodzenie, pokończy – sama wylezie – żeby nie zdeptać... przeschnąć musi.

– Trudno, poczekamy, może już niedługo zejdzie.

– Oj, w złe godzinie powiedział! Durne robote czas lubi, nie tak prędko będzie. – Tyle sobie Gdula narzekał, ile mu teraz pomagało, w ten czas Aniela zaciągnęła podłogę i to było za ostatnie porządki w chałupie, tak się chciała gospodyni pożegnać ze swoim domem. Dla niej lepszego rozstania nie było i tylko tak mogła odejść. Całe życie dbała o porządki i spierała się z Janem, gdy ten narzekał na przeganianie z izby. Dom Anieli w całej wsi za przykład czystości stał i takim chciała go zostawić. Zmogła podłogę i jeszcze tego samego dnia obmyśliła, co ze sobą zabierze. Wiedziała wszystko z pamięci, gdzie i jak stoi. Za porządkiem układała w głowie cały dobytek. Ubranie musiało trafić do skrzyni, co się nie zmieści w tłumoki powiąże. Garnków wiele brać nie będzie, tylko niecki do chlebowego ciasta, swoją chochlę i najbardziej ostry nóż. Koniecznie talerze i z drugiego kompletu filiżanki, grającą

---

<sup>1</sup> Zawiozę was, gdzie zechcecie.

skrzynkę, żeby Jan nie krzychał za swoją zabawką. Stołów zabierać nie myślała, za to balia do kąpieli, beczką nazywana, pojechać musi, choćby się chłop pieklił, nie popuści, takiej już nigdzie nie znajdzie. Wiele z rzeczy zdawało się potrzebnie brać, część była taka, że kto inny by nie wziął, ale dla Gdulowej były drogie. Na koniec przypomniała sobie o świętych obrazach. Nie było strachu, że tego zapomni, dla pewności poukładała w głowie. Myślała i o tym, co Jan zechce brać, do grającej skrzynki trzeba doliczyć młotki i obcęgi, heble i siekiere, pewnie i piłę żal będzie mężowi zostawić. Najmniej kłopotu z Jurkiem, ten nic swojego nie miał, tyle że na sobie i zapasowe ubranie. Gdy o tym Aniela sobie przypomniała, zaraz ją naszło, że może źle się chłopcem opiekowała i kiedyś żal będzie miał do wujka i ciotki. Inne myśli nie przychodziły, więcej czuła jak myślała. Siedziała przy stole, patrzyła dookoła, gdzie nic jeszcze nie było poruszane i widziała pusty dom. Do izby od południa zaglądało słońce, przez to izba zdawała się większą, ładniejszą, bielusięką od czystości. Na świeżo zaciągniętej podłodze kotłowały się odbite promienie i cienie, zostawione przez wiszącą u powały lampę. Dom wyglądał jak pałac, piękny jasny, wielki. Nie wiadomo czy to Anieli tęsknota tak widziała, czy słońce takie robiło figle. Lubiła po robocie przysiąść i nacieszyć się do syta wszystkim, co w izbie błyszczało od czystości i pachniało świeżym sprzątnięciem. Tego dnia starej radości nie miała, poczuła się cudza u siebie, poznawała każdy kąt i każdą jedną rzecz w izbie, ale na wszystko tylko zerkiała, jak na stragany, gdzie patrzeć można, ile dusza podpowie i na patrzaniu się kończy.

## 11

Do chałupy całkiem obce przyszły obyczaje, nie jak dawniej bywało. Ostatnie dni w Czyszkach Gdule przesiedzieli jak obce u siebie. Wóz, co go Jan z Jurkiem przed sienią postawił, dni kilka stał i nikt na to nie zwracał uwagi. Wcześniej nie do pomyślenia było, o wszystko się dbało i każde musiało mieć swoje miejsce. Mało ze sobą rozmawiali, każdy wiedział co stać się musi. Jan zwiedził się we wsi, że pociąg po niedzieli będzie odchodził, z Horoszczakiem sam wszystko załatwił, nie wspominając Anieli. Mieli jechać na dwa wozy, Dmitro swoim i Gdula swoim. W Przemyślu wóz Gdulów Horoszczak przepnie i wróci do wsi, tak postanowili. Mógł i sam Jan do miasta jechać, ale za to, że Baśka z rodziną miała w świat ruszać, żal było wozu przed pociągiem zostawić, za to Horoszczaka najął do pomocy. Aniela w domu załatwiała, jak trzeba, Gdula poza domem, u sąsiadów, w stajni i w stodole. W niedzielę z początkiem czerwca czterdziestego szóstego roku wszystkie były gotowe do drogi, ostatnia obca dla Czyszków rodzina odchodziła ze wsi, co już pod ruskim rządzeniem niczyja była. Uciekali dla spokoju, nie było w ucieczce tęsknoty, gdy ziemi i domu zabrakło darmo siedzieć nie można, żeby byle gdzie było, ale ich własne i takie, że im nikt nie odbierze. Nikt nie wejdzie do chałupy i nie nakaże robić, jak się jemu podoba. Gdyby nie tęsknota za swoim i spokojem, zostaliby się w Czyszkach, niechby nawet ukraińska wieś była. W takim, gdzie ziemi kołchoz zabrał, że Ukraińcy żyć nie dawali, Gdule dłużej być nie chcieli. Przychodził czas, że i dla nich kończyła się wojna.

Pociąg z Przemyśla odchodził w poniedziałek, o dziesiątej godzinie; żeby dojechać na czas i Gdule, i Horoszczak musieli wstać do dnia i tak też się stało. Jedno tylko było inaczej niż wcześniej ustalone, gdy przed chałupę sąsiadów Jan zajechał, pokazało się, że drugim wozem nie sam Dmitro pojedzie, ale z nim razem cała rodzina. Jan nic o tym nie wiedział, ale starczyło, że Horoszczaki spoglądały jak jeden, jakby ostatni raz patrzyli. Chcieli się pożegnać i podziękować za wszystko, co wcześniej od Gdulów dobrego doświadczyli i za to, że teraz im swoje w zagrodzie zostawiają.

– Dzień dobry, Dmitro! Nie szkoda do dnia dzieci zrywać? – przywitał się Gdula, a potem chciał sumienie uspokoić, że nie za jego sprawą całe zamieszanie.

– Dzień dobry! One wszystkie przez noc nie spały. Życ nie dały, do Przemyśla i do Przemyśla. Im nie krzywda tylko radość – odpowiedziała Helena.

– I ty Helcia bez nas musiała się zrywać? – dopytała Aniela.

– I vona kryvdy ne maye<sup>1</sup>. – Za żonę powiedział Dmitro i wszyscy roześmiali się, bo już jasne było, że dla Horoszczaków przykrość wielka żegnać się z sąsiadami, ale i radość nie miała zobaczyć miasto.

– Wy pewnie pociąga chcieli zobaczyć, ha? – Jan zwrócił się do dzieci i zaraz otrzymał odpowiedź od trzech głów, które razem się pokiwały. – To i dobrze, że was do mechanizacji ciągnie, może które na kolejarza pójdzie? – Tym razem nie było odpowiedzi, tylko wstydliwie zwieszone czupryny.

– Niech im tam Pan Bóg da, co najlepsze – pośpieszyła z błogosławieństwem Aniela.

– No, czas jechać, kiedy wszystkie na wozach – powiedział Gdula i przeżegnał się przed podróżą, razem z nim pozostali. Horoszczak jak prawosławny, reszta po katolicku, tylko dzieciom się myliło tak, że dla pewności dwa razy i na dwa sposoby poprawił.

Wozy ruszyły, jeden z ciekawości, jak w mieście żyją, drugi do nowego życia na świeżej ziemi. Odjechali większy kawałek i dopiero wtedy, jakby kto znak dał, Gdule obejrzały się za chałupą, ostrożnie i ledwie odwrócili głowy, nikt nie chciał na żalach być przyłapany. Krótko trwało i tylko Anieli oczy mokre się zrobiły, więcej za siebie nikt nie patrzył. Droga do Przemyśla nie taka długa, będzie trochę więcej, jak dwadzieścia kilometrów. Prędko nie dało się jechać, krowa szła za wozem i to podróż spowalniało. Nie śpieszyli się, czasu sporo, pociąg o dziesiątej godzinie miał odjeżdżać i więcej jak pięć godzin mieli na dojechanie. Po drodze zrobili kilka przestojów, żeby dać odetchnąć koniom, kości rozprostować, krowę napoić, bo ta najgorzej podróż znosiła. Dzieci posnęły na wozie, nie budziły się nawet wtenczas, gdy kołysanie i markotne stukanie kół się zatrzymywało. Dzień był piękny, słońce wschodziło niezwykajnie, dotąd z początkiem ciężkiej pracy się wiązało, teraz pierwszy raz było jak obraz malowany, gdzieniegdzie tylko białe chmury uciekały za wozem. Aniela z Janem patrzyli w górę, jakby pierwszy raz takie cuda widzieli. Zerkali razem i oddzielnie, nie wiedziała żona, że chłop patrzy, i Jan Anieli patrzenia nie zobaczył. W Czyszkach nikt słońcu i chmurom bez przyczyny się nie przyglądał. Z chmur i ze słońca zgadywano czy deszcz spadnie na posadzone, czy siano zdąży wyschnąć, czy zboże nie przerośnie przed zniwami. Tylko głupi w niebo się gapił, na takie zbytki nigdy nie było czasu i odwagi. Teraz można się nacieszyć i zasmucić niebem razem ze słońcem, drogą, lasem, polem, które odchodzi i już takiego nie będzie.

Co innego przez drogę myślał Jurek, w głowę Przemyśl mu zaszedł. Planował, że jeszcze raz się po mieście rozejrzy, wzrokiem poszuka rodziców, może nawet popyta czy kto nie widział, nie słyszał, nie wie. Mocno się rozglądać i jeśli ma się stać, niech się samo stanie, jeśli nic się nie stanie, widać tak musi być. Chciał ściągnąć rodziców do siebie i ludzi, którzy uratowali ich syna. Mogło się nie udać, nawet nie musiało, najważniejsze, żeby próbować i nie wyrzucać sobie, że nic nie zrobione. Wszystko, co mógł, to patrzeć, szukać, rozglądać się. Tego jednego chciał upilnować, wiedział, że chociaż tyle od niego rodzicom się należy. Sam sobie tłumaczył, że za wiele życzyć i oczekiwać nie może, jeden cud już się stał i za niego był dom Gdulów, gdzie Jurek przeżył wojnę. Nie pomyślał nawet, że stare życie wróci, żadnej nie miał na to nadziei, starczy, że ze spokojem sumienia pożegna się z rodzicami. Porzucił dawne dzieciństwo i jechał tam, gdzie nowe dorosłe życie. Jurek w Czyszkach przeżył i dobrze mu się działało, ale to już nie był chłopiec, sierota, to był wyrastający mężczyzna, osiemnaście lat miał za sobą i wszystko przed sobą. Skończyła się wojna, uciekanie, chowanie, kończył się strach, teraz chciał być w środku wszystkiego, nie z boku, ale swój wśród swoich i bez skrywania siebie. W Czyszkach nie doświadczył złego, całe zło

---

<sup>1</sup> I ona krzywdy nie ma.

bokiem przeszło, pomimo tego chęci nie miał zostawać i nawet Przemyśla widzieć. Wszystko chciał świeże, od nowa, całkiem inne, lepsze, bezpieczne, swoje. Lękał się, że gdy rodziców znajdzie, będzie musiał w starym pozostać, wstydził się tego strachu i starał odrzucać, ale tak naprawdę myślał. Wyuczył się słowa „repatriacja”, w szkole, przed wojną i w domu wiele słyszał słów, które trudno spamiętać i powtórzyć. Szybko zapamiętał i od razu zrozumiał jako nowe życie w dużym świecie, tego chciał i tam odjeżdżał. Pierwszy raz gdzieś i do czegoś biegł, wcześniej uciekał byle gdzie i od wszystkiego.

Pierwszą połowę podróży wozy jechały nie tak prędko, jak się wcześniej chciało, nie raz Gdula i Horoszczak jeździli do Przemyśla i więcej jak do trzy i pół godziny nie zajmowało. Za tym razem podróż dłużyła się mocno, niewiele można poganiać, bo za wozem nijak krowa nie nadążała. Słońce już się wysoko pokazało, dzieci Horoszczaków pobudziło i niespokojnie zaczęło się robić. Jan spoglądał to na krowę, to na konia i na sam koniec na Anielę, która z miejsca wyczuła, co męża męczyło.

– Czego ślepisz? Co ci krowa winna? Jak bez krowy jechać, cały dobytek przecie – mówiła szeptem, żeby sąsiedzi nie słyszeli, czego i tak pod turkotem wozów słyszeć się nie dało.

– Gorzej będzie, kiedy razem z krowo się zostaniemy. Pociąg czekał nie będzie – nerwowo Gdula zęby zaciskał, też głośno krzyczeć nie chciał.

– Ty się za krowę nie bój, ona mądrzejsza jak ty, jedź z Bogiem – wcale spokoju nie wniosła, więcej nawet jak chłop bała się o wszystko.

– Zajechać, zajadę wszędzie, ino nie wiadomo, kiedy? Było krowę zostawić.

– A czego ty wcześniej nie gadał? Tera mądry? Jedź z Bogiem i durnowato nie gadaj, jeszcze i Horoszczaki się z ciebie wyśmiej – sporo sobie przy napominaniu rękami i głową Aniela machała.

– Było zostawić – krótko odpowiedział Gdula, a to znaczyło, że więcej mu się powiedzieć nie chciało.

– Zdażymy, nie trzeba się złościć. – O dziwo Jurek, któremu najwięcej zależało, żeby jechać do nowego, był najbardziej spokojny.

– Ta jak zdażymy? Na pewno, że poza ósme godzinie będzie. Wiency jak dwie godziny się jedzie – i Jurkowi Jan nie przepuścił, zły był strasznie, cały czas na krasulę się oglądał.

– Na pewno zdażymy, będzie z pół godziny, jak Medykę mijaliśmy. Zostało z osiem kilometrów, może nawet mniej. Nawet krowa za dwie godziny dojdzie, tylko trzeba dać jej pić, bo zziąwała się strasznie. – Uśmiechnął się Jurek do Anieli i ciotka do niego, jak usłyszała, że za nią stoi. Jan też zrozumiał, że nie ma co się pieklić, Jurek dobrze pomyślał, zostało mniej, jak więcej i przed dziesiątą godziną powinni z zapasem dojechać.

– Jak tak gadasz, może i prawda. Tobie najwięcej za nowym pilno i aż dziw, że taki spokojny i do gadania zawzięty. – Musiał Gdula choć trochę swojego powiedzieć, nie mogło być tak, żeby baba i chłopak racje mieli. Jurek spokój wprowadził na wozie i więcej aż do samego Przemyśla narzekania nie było, a i jakiego nie bądź gadania niewiele. Krowa dostała pić, gdy tylko pierwszą chałupę wozy minęły, gdzie studnia była, i wszyscy szczęśliwie, jak wcześniej zgadywali, dojechali do miasta przed dziesiątą. Horoszczaki chciały z Gdulami do samego końca zostać, pokąd pociąg odjedzie, ale inaczej Jan rzecz rozplanował.

– Wy nas nie czekajcie, ledwie my zajechali, tyle godzin w drodze, a wam jeszcze wracać trzeba. Dzieci zmordowane i szkoda, żeby darmo stały. Tu się pożegnamy. – Tak zagadał i znać było, że wszystkim podobało się jak usłyszeli, tylko nieporęcznie było odjeżdżać.

– Eeee, nie będziemy już takie. Zaczekamy, co to szkodzi, ostatni raz...– Helcia chciała pokazać, że więcej Horoszczakom na sąsiadach niż na swoich sprawach zależy.

– Wy nam i tak pomogli! Jedźcie z Panem Bogiem, dzieci szkoda. Im tu markotno, pociąg widzieli, tera ich do miasta ciągnie. – Aniela dołączyła się do słów męża i tym do reszty sąsiadów przekonała.

- Jak tak, niech was Bóg błogosławi, żeby wy tam lepsze jak w Czyszkach znaszli
- powiedziała Helcia i zaraz do ściskania Anielki się wzięła.
- Bóg zapłać, lepszego nie trza, żeby gorsze nie było – odpowiedziała Gdulowa i teraz wszystkie się pożegnali, kobiety i dzieci ścisnęły się i obcałowały, Gdula Horoszczakowi po męsku dał rękę. Długo nie trwało i sami zostali przed pociągiem, tylko Dmitro pomógł jeszcze rozładować, a że wiele nie było, poszło raz dwa.

Pusty wóz pojechał razem z Horoszczakami, Gdule zajęty towarowy wagon, gdzie ludzie siedzieli i zwierzęta, cały dobytek. Dziw brał, że tak wszystko gładko poszło, inaczej każde sobie myślało, że więcej kłopotu, łez, żalu za pozostawionym będzie, ale czasu na smutki zabrakło. Przed dziesiątą przyjechali, zanim dobytek na swoje miejsce w wagonie trafił, pociąg już gotowy do drogi, ale jeszcze czekał na drugich. Całkiem nowe życie sprawiło, że brakło czasu na myślenie. Wszystkie tak zajęte, żeby się w wagonie pomieścić, poskładać pakunki, że niczym więcej głowy nie zaprzętały. Dopiero gdy pociąg gwizdał parą i zabuksował kołami, gdy szarpnęło do przodu, w głowach wygnańców zjawiły się pierwsze skotłowane myśli.

Aniela wspominała pole za stodołą, tyle tam pracy zostawiła i troski, a teraz pamiętała tylko wielkie dynie i tyki fasoli. Wszystko wschodziło dorodne, duże, pachnące, i aż się jeść chciało. Pomyślała o polu i zaraz sobie uczyniła wyrzut, że nic o domu nie myśli, gdzie niczego nie musiała szukać, jak chciała, sama poukładała sobie pod rękę. Pamiętała każdy kąt, najmniejszą rzecz, jak była położona i nawet gdzie schowana. Czula zapach bielonych ścian, widziała, jak światło z okien odbijało się na glancowanym gliną klepisku, poznała, które krzesło skrzypiało, gdzie na ławie było zarysowane i jak knot w lampie ustawić, żeby paliło się jasno. Wspominała piec i ustawiała na piecu garnki, inaczej do gotowania, inaczej do podgrzania. W myślach trafiała garnkami po piecu i z czasem przesuwała, gdy się już więcej zagotowało. Przy kuchni Aniela zasnęła, nie tyle zmęczona rannym wstawaniem, tego na wsi nie brakowało. Nawet nie strudzona podróżą, bo jaka to robota, choćby i naprzeciw żniw? Zmęczyła się nerwami i tym, że się w niej kotłowało, żalem za tym wszystkim, co zostawiała i niepewnością tego, co ją spotka.

Jan wracał w dziecińne lata, nie w Czyszkach było jego młode życie, ale on więcej widział jak jedną wieś, o wszystkim ziemi nie zapominał. Myślał, jak był mały i na sankach, co sobie sam uszykował, woził konary, że niejednen we wsi oczy postawił, skąd w dziecku tyle siły. Niektóre nawet do ojca skarżyły, że sumienia nie ma. Widział pług ciągnięty za koniem, jak się ziemia obraca i z jałowej zamienia w dorodną. Drogi polne i las, po nich chodził na odpust, na jabłka do cudzego sadu i na łąki, gdzie krowy z chłopcami pasł. Odnalazł w pamięci Mościska, Husaków, tam więcej można zobaczyć, jak Czyszki pokazały, pamiętał wszystkie drogi, gdzie co można załatwić, dostać, odwiedzić. Dla niego miejsce, skąd odchodził – nie były jedne Czyszki – jemu cała ta ziemia stawała przed oczami, którą poznawał od dziecka i kochał jak mały kto. Szkoda było i wozu, i kieratu, chałupy, gdzie niejedno własnymi rękami zrobił, albo z żony pomocą, wszystkiego żal. Co Anielę snem zmorzyło, Janowi spać nie dawało, tak samo był zmęczony tym, że się pozmieniało, ale za bardzo, żeby zasnąć i dlatego siedział oparty o deski, słuchał, jak stuka kołami, wspominał, jak już nigdy nie będzie.

Jurkowi w wagonie siedziało się najpewniej, chciał tej podróży, nowym się nie przejmował, całe ostatnie lata były dla niego niepewne. Nie znał miejsca, w którym się znalazł, nie znał ludzi, z którymi zamieszkał, nie znał przyszłości, nawet tej najbliższej, uciekał, gdzie lepiej chciał żyć. Za rodzicami w Przemyślu się nie rozglądał, inne zajęcia całkiem przegoniły plany. Miało się stać, jak się stanie, ale nawet i tego nie dopilnował, uszło najważniejsze zadanie z pamięci. Biegać po Przemyślu nie musiał, jak sam postanowił, tylko miał ojca i matkę wypatrzeć. Jeszcze raz wbić się oczami w każdy kąt, spojrzeć na ludzi, może ktoś jest do ojca podobny, może ktoś będzie uczesany jak matka. Zapominał

o pożegnaniu rodziców, przez chwilę czuł się z tym źle, potem pomyślał, że to tylko szukanie spokoju sumienia i żadne odnajdywanie rodziców. W Przemyślu więcej jak w Czyszkach miejsc, ale wszystko Jurkowi znane, pamiętał jeszcze za Berka. Nie było rodziców w domu, nie było u sąsiadów, a te, co przeżyli i zostali, dawno nie umieli nic powiedzieć. Jeszcze i to pomyślał, że jak tylko wojna przeszła, mama z ojcem chcieliby z całej siły syna odszukać, i gdyby tak, w Przemyślu szukać musieli. Tutaj wrócić albo się stąd nie ruszać. Kto w mieście żył, ten wiedział, który doktor Szulc i żona doktora, jeden pozna, powie innemu i całe miasto wie, że Szulce wrócili. Nic takiego nie było, nikt żywego ojca nie widział, nikomu matka Berka się nie przypominała. Od nowa smutne obrazy ustawił i pomieścił w głowie. Trochę dla uspokojenia, więcej dla prawdziwego choć bez nadziei spojrzenia. Czyszki zostawiał bez żalu, widok miasta źle obudził wspomnienia. Z Przemyślem wracało wszystko najgorsze, wojenne kłótnie w domu, ludzi gnanie pod karabinem, ostatnie spojrzenie matki za niemieckim samochodem. Jurek pewnie jedynym był w całym pociągu, który tak się na inne życie cieszył i całkiem nie bał ucieczki. Tak mógł się cieszyć ten, który dotąd mało własnego miał życia i chował się, gdzie przygarnęli.

Pociąg jechał i niezwykłych wiozł pasażerów, a i trudno powiedzieć, że pasażerów, w wagonach pojechał ładunek wspomnienia i bagaż tego, co się udało zebrać. Pasażer wsiada na stacji z biletem do drugiej stacji. Ludzie przegnani siedzieli w pociągu i nie wiedzieli, gdzie jada, tyle im powiedziano, że do nowej ziemi dotrą, skąd nawet i Niemcy uciekli. Wielu gadało, że po Niemcach miejsce nie ostygło, że się upomną i znów przegnają, ale i na swoim żyć się nie dawało, dlatego lepsza podróż, jak po kątach chowanie. Za wagonami Czyszki, zostały i Przemyśl, z ludźmi odjeżdżały jedne wspomnienia, inne biegły z tyłu pociągu i wsiąść nie zdążyły. Przyszedł kres wojny narodów na świecie, skończyła się wojna Gdulów z Czyszkami. Każdy ma swoje do przeżycia i z tego tak wiele się rodzi historii.



## Część II – Życie

### 1

Przed drzwiami Oficerskiej Szkoły Prawniczej w Jeleniej Górze stał młody, zaledwie dwudziestotrzyletni podporucznik. Stał i nie zamierzał wchodzić, przeciwnie, właśnie wyszedł z budynku po ostatnim, łatwym egzaminie. 25 lutego 1951 roku był dniem, w którym zdobył upragnione kwalifikacje, przyklepał tym samym swoje nowe zajęcie i mógł rozpocząć pracę w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie. Podporucznik Jerzy Gdula wiedział, czego chce i doskonale potrafił się poruszać w nowym świata porządku, w którym wojnę zastąpił terror. Wystarczyło spojrzeć na mężczyznę w mundurze, aby odgadnąć jakiej wielkości od siebie i życia oczekuje. Nie wstydził się swoich pragnień i był zdecydowany sięgać po coraz więcej. Na twarzy zdeterminowanego człowieka wszystko było pewne swego, wydatne kości policzkowe, broda równo podzielona dołkiem i nawet wąskie usta układały się w odważny grymas. Duży, trójkątny, prosty nos, na końcu nieznacznie zaokrąglony, co odrobinę łamało kanciastą surowość. Za dużym nosem i gęstymi brwiami, schowały się oczy, zgarniały wszystko, co się w nich odbijało. Kto zdołał przetrwać to spojrzenie, miał rzadką okazję dostrzec niezłomne motywacje i głęboko ukryte marzenia. Pochwała siły, pogarda dla własnej i cudzej słabości, brak litości dla siebie i wszystkich, którzy przysłaniali cel, żadnych śladów sentymentu, pewny krok w drodze na szczyt. Dopiero za pierwszymi obrazami oczu, dało się odszukać skrawek dawnej pokory, cierpienia i spokoju, by wydobyć te przykryte ambicjami emocje, należało Jerzego Gdulę znać od dziecka, albo przekuć się przez chłodne determinacje, jedno i drugie dostępne dla wybranych. Niemal na odrębną część twarzy wybijało się wysokie czoło. Zaczესane do góry, ciemne włosy, wyglądały bardziej jak nakrycie niż część głowy, ale tak czesali się wszyscy w szkole i w garnizonie. On chciał być jak wszyscy i stać po tej stronie, gdzie nie warto się wyróżniać. Szkodzący urodzie podział pozwalał dokładnie przyjrzeć się twarzy, ostrożnie, po kawałku, odczytać intencje, wytrzymać spojrzenie szeroko otwartych, pilnujących celu, oczu. Przed Jerzym Gdulą stało wszystko i dokładnie tyle chciał dla siebie zatrzymać.

Była 12.30, pociąg z Jeleniej Góry do Wrocławia odjeżdżał o 14.20, Jerzy miał prawie dwie godziny, aby dotrzeć do dworca i udać się w podróż, na którą pracował przez ostatnie lata. Stacją właściwą nie był Wrocław, lecz stanowisko asesora w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie. Odwrócił się raz jeszcze w stronę jeleniogórskiej szkoły i miał ochotę podskoczyć, wykrzyknąć sukces, jednak tylko poprawił płaszcz, włożył czapkę, uśmiechnął się, ledwie krzywiąc usta i ruszył po swoje. Szkoła oficerska wiele zmieniała w jego życiu, poznawał nowe smaki i wśród nich znalazła się wódka, wcześniej nieobecna, teraz niemal stały kompan.

– Zamiast podskakiwać, lepiej się napić – pomyślał. Powód był odświętny i kolejny raz mógł sobie wytłumaczyć, że to tylko wybór, nie konieczność. Okazja nie miała, brakowało jedynie kogoś trzeciego; żaden warunek, potrafił spotykać się sam na sam z wódką i ceniał sobie kameralne towarzystwo, ale nie tym razem. Odnotował zbyt ważny i cenny sukces dla święta we dwoje, picie musiało poczekać na Jerzego, bo on musiał odwiedzić trzeciego do szklanki. Dotarł do dworca krótko po trzynastej i od tej chwili ślamazarnie poruszający się czas zaczął się znęcać, o tyle bolesne doświadczenie, że Gdula nie mógł się doczekać przyjazdu do Warszawy. Prawie półtorej godziny stracone w oczekiwaniu, rzecz niby naturalna, ale nie w nadzwyczajnym pośpiechu, jaki sam sobie narzucał. Miotał się po peronach, próbował usiąść i przeczekać, bezskutecznie. Gdy chodził, wydawało się, że nie marnuje czasu, że idzie do celu, jeśli nawet kręci się w kółko. Czekanie na dworcu jest zjawiskiem tak starym, jak sama kolej, większość pasażerów zносиła uciążliwość z pokorą lub obojętnością, tylko młody oficer nie mógł wysiedzieć i drepcząc bez sensu, zwracał na siebie uwagę. Wyglądał na

zdenerwowanego i roztargnionego, wręcz podejrzanego, jedynie mundur dawał alibi, ratował przed domysłami o nieczne zamiary. Jeśli nie potrafi się czekać na pociąg, dobrze być kimś, mundur zwalnia z podejrzeń. Nieustanne zerkanie za mankiet pogłębiało nużący stan, kontakt z zegarkiem jest największym grzechem niecierpliwych.

– Przestań się gapić na wskazówki, poddajesz się, siebie oszukujesz nie czas – pierwsze sensowne spostrzeżenie przeszło przez głowę. Lubił w myślach układać różne historie, spierał się z ludźmi, których znał, czasami rozmawiał z zupełnie fikcyjnymi postaciami, najczęściej mówił do siebie lub rozmawiał ze sobą. Nieszkodliwe natręctwo, ale bywało, że ciche konwersacje kończyły się głośnym zdradzeniem słów, a to już było bardzo niebezpieczne. Kochał swoje wewnętrzne dialogi, jednocześnie niezdrowo podniecał się świadomością, że kiedyś dojdzie do nieszczęścia, coś się wyrwie i przez głupotę zawali plan. W nowym porządku nie było większej nieostrożności niż głośne ujawnienie cichych myśli, z tym się nie dało żyć bezpiecznie, z tym się w ogóle nie dawało żyć.

Czasy nie sprzyjały myśleniu, tylko błyskotliwym wyborom. Wystarczyło kilka klas przedwojennej szkoły, dwa lata oficerskich kursów i dwie legitymacje, aby w wieku 23 lat dostąpić zaszczytu wydawania najwyższych wyroków na realnych i zmyślonych wrogów. Wydawać by się mogło, że tak ciężkie i odpowiedzialne zadanie, odradzający się porządek, po największej w dziejach wojnie, powinien powierzać doświadczonym i wszechstronnie wykształconym, ale w mniemaniu porządkujących, nie było to zajęcie odpowiedzialne, lecz konieczne, nie wymagające doświadczenia, ale zapału. Resztę talentów pomijano jako mniej istotne lub w ogóle niegodne uwagi. Działać sprawnie, bezgranicznie wierząc w sens i w żadnym razie nie analizować metod – wszystkie wymogi stawiane przez twórców porządku, którzy od kadr i podwładnych nie oczekiwali przekonań lub jeszcze bardziej niepożądanych opinii. Wymagali bezgranicznej wiary w sens zleconych zadań. Nie zajmowali się autentycznością przekonań, nie badali czy były udawane, czy też rzeczywiste? Egzekwowali i nagradzali okazywaną żarliwość, karali za: opór w wierze, świętokradztwo indywidualnych sądów, profanację powszechnej racji. Kochali młodych, oni najbardziej nadawali się do zadań, niewiele pamiętali z poprzednich lat, próbowali zapomnieć o wojnie, budując cokolwiek i zdobywając byle jak. Myśleli jak odbudować zniszczony świat, poszarpane życie i wszystko jak najszybciej, szybkość stała się przyjaciółką wszelkich wyzwań. Wielu poszło wskazaną drogą, ci, którzy kroczyli własną ścieżką, w najlepszym razie odstawali, w ostatecznym – nikt już o nich nie słyszał i nigdy nie widział.

Jerzy Gdula, przybrany syn chłopskiej rodziny, wybrał drogę dla wszystkich, stało się tak znacznie wcześniej niż w roku 1951. Zaraz po repatriacji osiemnastoletni, prawie mężczyzna, częściej się tułał po ważnych urzędach niż przebywał w domu, który z wielu powodów trudno mu było nazywać rodzinnym. W roku 1947, wyjechał na zawsze i od razu do samej stolicy, nigdy nie wrócił, nie napisał jednego słowa i nie odpowiedział na żaden list. Znów był sierotą przygarniętą przez obcych, ale tym razem potężnych ludzi i szybko stał się ich najbardziej oddanym wychowankiem. Nie pierwszy raz znalazł się w takim położeniu, ale dopiero teraz niczego nie musiał, tylko bardzo chciał. Robił ile się dało, aby nie znaleźć się po złej stronie, czyli tam, gdzie stali słabi i zagubieni, za których decydowano. Znał te miejsca obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie ich odwiedzał. Nikt nie mógł dać Jerzemu tak silnej gwarancji ziszczenia marzeń, jaką dawała perspektywa nowego ładu, oferowana przez tych, którzy sami siebie nazwali ludem, nie przejmując się wolą i tłumiąc protest ludu. Trudno wskazać ostateczny, racjonalny powód, dla którego Jerzy odrzucił, co otrzymał z dzieciństwa i – dorosły – związał się z przeciwnym światem. On sam nie potrafił tego wytłumaczyć i nigdy przyczyn nie szukał, interesował się tylko skutkiem, wykształcony i wychowany przez nowych nauczycieli, wielbił każdą skuteczną metodę.

Ocalały chłopiec przeżył podłe czasy, które mimo wszystko przeszły obok niego. Nie zaznał tak wielkiego zła, jakiego doświadczali nie tylko ścigani, ale i ofiarujący pomoc.

Ukrywał się w warunkach bliskich fizycznego i psychicznego luksusu, o ile wziąć pod uwagę szczęście, którego innym zabrakło. Obcy ludzie obdarzyli go szacunkiem i zrozumieniem, pozwolili żyć według własnego sumienia, wiary, przekonań, wychowania, chronili przed bólem, pomagali zapomnieć i nie zmuszali, aby przestał pamiętać. Ocalili go chłopci żyjący według prostych reguł, odwieczna i niepodważalna wiara, zrozumienie dla cudzego, szacunek dla swojego, sprzeciw wobec zła, staranie o lepsze. Polubił tę prostą filozofię, ukrył się w niej przed dawnym komplikowaniem spraw ponad miarę, przed nadmiernie religijnym ojcem i tracącą wiarę matką, ich sporami o nic i o wszystko. W czas wojny błogosławił poznane życie, widział jego siłę w codziennej radości i walce o następny dzień. Skończył się ciężki czas i zaczęło się nudzić. W dzieciństwie żadnych nie zgłaszał do losu pretensji, chciał przeżyć i wystarczyło, że niewiele się bał. Gdy dorósł zapragnął pełnej wolności, bezkarnej siły i za ten dar gotów był zapłacić każdą cenę, kiedy przyjdzie czas na realizację wymarzonych celów. Jerzy Gdula, podejmując decyzję o wielkim dorosłym życiu, zapomniał o skromnym dzieciństwie i opiekunach, którzy dla niego narażali swoje niewielkie pragnienie spokojnego przetrwania. Zwyczajnie odsunął przeszkody, działał intensywnie, żeby dostać wszystko i natychmiast. Będąc chłopcem, nie marzył krzywdzić, on tylko chciał być tym, którego nikt nie skrzywdzi. Kolejne lata przyniosły ból, cierpienie, podłość, lecz marzenie ciągle pozostawało piękne i silne, bo nie jego dotyczyły uboczne skutki. Kiedy za błędy płacą inni, cena staje się śmieszna, a w tym czasie sprzedawano każde marzenie. Pozornie tanio i masowo, jednak złudzenia miały swój olbrzymi, indywidualny koszt, którego Jerzy Gdula do końca swojego sławnego życia nigdy nie zaakceptuje, czasami zauważy, ale zawsze odwróci głowę.

Nowy porządek był rygorem, konsekwentnie powiększał zasięg swoich wpływów formalnych i emocjonalnych. Świat podzielił się na dwa, jeden wschodził, drugi zachodził. Zachód zachłystnął się wschodem, nie tylko głodne łatwego sukcesu stany, zachłystywali się szlachetnie urodzeni, powszechnie szanowani, najedzeni do syta i przez to ślepi na braki. Niewiele widzieli i zobaczyć nie mogli, bo z bezpiecznego, dalekiego miejsca spoglądali na fragment. Tkwiąc na wschodzie nie było zachwytów. Nieznacznie ucieszyć się mogły warstwy pogardliwie zwane najniższymi, które w całej swojej biednej historii nie doświadczyły podobnego symbolicznego honoru. Emocjonalnym zaszczytem było formalne nadanie szlachectwa dla nędznego urodzenia oraz statusu przewodniej siły zmian. Ale nawet ta nobilitacja okazała się marną fasadą, chłop – jeśli tylko wychylił się poza biedę – stawał się wrogiem. Robotnik, który miał brata po niewłaściwej świata stronie był podejrzany. Każdy mógł być oskarżony o zdradę, nawet prominentny członek nowego ładu. Pochodzenie i urodzenie wyrócono na lewą stronę i odbito w lustrze, dotychczasowy podział na szlachetnie i pospolicie urodzonych, na posiadających i cierpiących niedosyt, ambitnych i pogodzonych z losem, w końcu na biednych i bogatych, został przemalowany w najprostszym sposób. Szlachectwo, bogactwo, wszelki nadmiar stał się wrogiem publicznym. Bieda, siermiężność, ograniczone do minimum życiowe ambicje, największym sprzymierzeńcem, ale nie celem samych strażników rewolucyjnych osiągnąć. Urodzeni z herbem i majątkiem, stali się biedni i poddani, w postawionym na głowie wschodzie, mogli odnaleźć swoje miejsce, pod jednym wszakże warunkiem – bezwzględnego posłuszeństwa i akceptacji dla metod. Wyklęci dostali szansę, na wypełnienie paru koniecznych deklaracji, znoszących dawne życie, pochodzenie, wiarę, dorobek, w końcu wstydliwych krewnych. Adopcja niechcianych dzieci wschodzącego ładu, była możliwa, niemniej ze zdwojoną uwagą nadzorowano postępy bękartów systemu. Wśród dawnych elit wypatrywano sentymentu, zakładano, że tęsknota za starymi przywilejami jest największym zagrożeniem dla obecnych zwycięzców, którzy obsesyjnie zajmowali się egzekucją lojalności i czynili to na wiele sposobów. Bezpośredni przymus to tylko jeden i najprostszy z nich, skuteczny wobec przerażonych mas, dla podejrzanych indywidualności przygotowano narzędzia przewrotne. Akceptacja dla

rewolucyjnych działań była warunkiem zbyt powszechnym i łatwym, aby wyłonić kadry, trzeba było dołożyć zaangażowanie, z najbardziej cenionym demaskowaniem zdrajców. Niczym tak się nie troskano, jak obecnością wroga, która nie tylko była założeniem, ale i kreacją. Jeśli wroga nie widać, należy go stworzyć, pokazać i tym uzasadnić wprowadzony rygor.

W czasie pokoju represja, jako forma nadzoru jest mało zasadna, dlatego wymyślono wojnę z burzycielem wewnętrznym i zewnętrznym. Nieprzyjaciel z zewnątrz pełnił rolę dawnego demona zachodu, któremu nowy porządek odbierał moce, głównie sprawcze. Straszono zachodnim demonem, że znów zechce nadać przywileje tym, którzy je mieli od zawsze. Wróg wewnętrzny, według ustaleń, był powiązany i w aktach sprawy nazywany sługusem demona. Tropiciele, którzy dostarczały informacji na temat demona i jego przybocznych, mógł liczyć na wdzięczność i awans, w tak krótkim terminie, jakiego nie gwarantował żaden inny akt lojalności. Informator był najcenniejszym podwładnym i jednocześnie elementem nadzoru. Mechanizm powszechnej informacji, gromadzonej na rzecz rygoru, był jawny. Wprowadzone reguły napędzały planową produkcję nieustannej podejrzliwości, jeden z głównych celów wschodniego porządku. Donieść mógł każdy, nie było w tym względnie żadnych moralnych, etycznych i technicznych oporów. Anonimu spisano przez ojca na córkę, syna na matkę, żony na męża, podwładnego na przełożonego, nie wypadało się wstydić. Przeciwnie, był dowodem najwyższej odwagi i praworządności. Przy takiej definicji i zapotrzebowaniu na informację, wszelkie międzyludzkie relacje, jakie w starym świecie wydawały się naturalne, a przez wielu uważane za nienaruszalne świętości, teraz stały się prymitywną domeną terroru. Niegdyś rodzina stanowiła sacrum, azyl, wytchnienie, wewnętrzny schowek przed zewnętrżnością, teraz to się zmieniło. Jedyłą świętością pozostał rewolucyjny mechanizm, który oczekiwał każdej ofiary i każdą świętość przerabiał na informację. Przejął rolę i funkcję rodziny, domagał się bezwzględnej zaufania i oddania, sam siebie nazywał ojcem i matką.

Brutalnie odmieniony system wartości spowodował zmiany w hierarchii bezpieczeństwa, nikt już nie mógł czuć się pewny, nawet we własnym domu. Z takim przekazem i złamaniem kręgosłupa dawnego porządku, nie można dotrzeć do wszystkich, ale wystarczyło, że nie brakowało przerażonych, z nich wybierano lojalnych i najbardziej oddanych, przechodzących do kadr. Jerzy Gdula odnalazł swoje miejsce w samym środku mechanizmu, pochłonięty dostarczaniem najcenniejszego aktu lojalności, zbliżał się do kadr. Od roku był informatorem, skorzystał z pierwszej oferty, jaką mu złożono. Nie odmówił i dał dowód swoich czystych intencji, nie wahając się dłużej niż chwilę. Za wkład i zaangażowanie dostał mundur, tylko za to był gotów służyć i odwdzięczać się wiecznie. Poszedł w ślepo, razem z kadrami, gdy tylko zrozumiał, że cele są wspólne. W ramach zawartej umowy nie zmieścili się dawni opiekunowie Jerzego, trwali przy starym porządku, gdzie chłop i ziemia stanowiło jedno. Nie oddali swojego, a za takie nieposłuszeństwo surowo karcono. Płacili za własne winy i narażali na koszty wszystkich, którzy się do nich przyznawali. Porucznik Gdula uniknął zbiorowej odpowiedzialności, uznał wrogów systemu za swoich nieprzyjaciół, rzekł się przybranych rodziców i za tę ofiarę został ochrzczonym synem wschodniego porządku. Na czas próby zawieszono mu karę, po kilku latach przyznano nagrodę. Dziś przyszedł po odbiór, miał zająć miejsce w pierwszych szeregach, pragnął tej chwili od wielu lat. Śnił o mundurze i todze, mundur już miał, teraz zamierzał nałożyć togę, w kompletnym stroju stawał się nietykalny.

Upłynęło tyle czasu, ile pociąg potrzebował do odjazdu. Jerzy wtargnął na peron w ostatniej chwili, zagadał się ze swoimi pasjami. Tak był pochłonięty rozmową, że dopiero dworcowy komunikat wyrwał go z kolejnych wymyślonych pytań i wydumanych odpowiedzi. W wagonach nie było tłoku, rzadki luksus, mógł sobie pozwolić na zajęcie całego przedziału i tak też uczynił, nie miał ochoty na żadne towarzystwo. Nie zdążył usiąść,

gdy pociąg ruszył, wtedy znów sobie pogroził, że zabawy w wewnętrzne rozmowy kiedyś skończą się wielką biedą. O mały włos zapłaciłby straconym dniem w podróży do upragnionego celu. Na szczęście tym razem się udało i wszystko szło tak, jak sobie zaplanował, przystanek we Wrocławiu i dalej prosto do Warszawy.

Następnego dnia, w stolicy czekała nagroda, którą przyznawano nielicznym i nie za darmo, ale za to podporucznik już zapłacił. Pół dnia i prawie całą noc spędził w podróży, nie spał w ogóle. Szczęśliwy, kto umie zasnąć w pociągu, Jerzy w tym względzie był nieszczęśliwy. Z Wrocławia do samej Warszawy nie było już tak luźno, wołał się tułać po korytarzu niż siedzieć w przedziale z kimkolwiek. Czasami tylko przysiadł się w różne miejsca i długo nie wytrzymał. Wystarczyło, że zaczynała się jakakolwiek rozmowa, natychmiast uciekał, prócz własnych myśli nie chciał niczego słyszeć.

## 2

Do Warszawy dotarł wcześniej rano, zbyt wcześniej, by zameldować się w sądzie. Tym razem nie chciał błąkać się po dworcu, postanowił przejść się po mieście i spróbować wypełnić czas pierwszą z brzegu atrakcją. Co najmniej trzy godziny miał do zagospodarowania. Właściwie mógł się stawić już od ósmej, lecz okazywanie takiej gorliwości, cenionej przez przełożonych, uznał za niegodne przyszłego asesora. Jerzy uważał, że teraz jest wystarczająco ważnym członkiem kadr i może sobie pozwolić na małą nonszalancję. Planował zjawić się nie prędzej niż po dziewiątej, godzina zwłoki dawała poczucie jeszcze nie przekazanej władzy. Żył wielką chwilą i chciał, żeby wszystko wyglądało tak samo, nawet zniszczona Warszawa. Przechadzał się po gruzach, po niezmiernym placu odbudowy i czuł, że patroluje wielkie miasto, ponieważ do innego ktoś tak ważny, jak on nie mógł przyjechać. Wielka atrakcja, wielki człowiek w wielkim mieście – czas z bicza strzelił.

W sądzie zameldował się o 9.30, dodatkowe pół godziny miało swoje znaczenie. Podarował sobie ten czas jako kolejną oznakę siły, której się spodziewał. Czuł, że może więcej, niż faktycznie mógł i dobrze mu z tym przeświadczeniem było, tu i teraz. Już wkrótce miał się przekonać, że wystarczy chwila, aby wewnętrzne poczucie siły stało się zewnętrzną i rzeczywistą słabością. Przebiegł przez schody i trafił na pierwsze piętro. Znał to miejsce, pełne starych znajomych, w tych czasach twarze w urzędach zmieniały się rzadko. Gdy wszedł do sekretariatu pułkownika, przywitał go znajomy kobiecy uśmiech. Sekretarka od progu szczyrzyła koślawe zębki, była niska i tęgawa, o brzydkiej twarzy, nieskładnie otulonej przesadnie ondulowanymi włosami. W kwiecie wieku, miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale nie mogła się niczym pochwalić. Zdawała sobie sprawę ze swojego stanu posiadania i dlatego od życia tylko jednego oczekiwała – być blisko przystojnych i ważnych mężczyzn, chociaż tyle. Podporucznik Gdula tuż po wejściu uśmiechnął się szeroko, rzadki widok na wiecznie poważnej twarzy, zaszalutował jak na defiladzie i z całej siły huknął obcasami, na powitanie godne przysłej funkcji.

– Ciii – pomachała skrzyżowanymi rękami, dając do zrozumienia, że za drzwiami dzieje się coś ważnego i nie czas na wygłupy. – Zdałeś? – szepnęła pytająco. Jerzy kiwnął głową, nie wiedział co się dzieje, a w takiej sytuacji zawsze stawiał na dyskrecję.

– Stary nie jest sam? – wyszeptał, pochylając się nad biurkiem i niemal przytulił się do Edyty Żaczkiewicz, sekretarki pułkownika Witolda Litmanowicza. Już po chwili cofnął się odruchowo, odrzuciło go, gdy spojrzął całej brzydocie prosto w twarz.

– Nie ma nikogo – zauważyła grymas na zde gustowanym obliczu porucznika. Dobrze znała podobne i jeszcze bardziej beczelne miny, tylko przez sekundę była zła. Potem znów się ucieszyła, że jest blisko przystojnego, znaczącego mężczyzny.

– To o co chodzi?

– Jest wściekły, miał jakiś telefon i po tym się zaczęło – tłumaczyła, plotkując, taki miała brzydki, jak ona sama, styl.

– Można tam wejść? – spytał przejęty nędznym powitaniem, które nie mieściło się w odświętnej radości i powadze chwili.

– Ty chyba możesz. Mam spytać? – wygramoliła się z krzesła.

– Tak, powiedz, że przyjechałem. – Przyszły asesor pewny rangi swojej wizyty odesłał sekretarkę w stronę wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Zapukała delikatnie, jak petent, ledwie wychyliła głowę i poinformowała o wizycie gościa. Edyta chowała się przed humorami Litmanowicza; pomyślała, że im mniej się pokaże, tym mniej zasłuży na gniew szefa.

– Towarzyszu pułkowniku, przyjechał porucznik Gdula – wyszeptała informację.

– Co tam cedzicie pod nosem? Powtórzcie! Jak żołnierz! – Pułkownik się wydarł, ale gniew nie był wielki, taki zwyczajny, uspokajający, nic ponad urzędowy obowiązek.

– Melduję, że przyjechał porucznik Gdula. Pyta czy może wejść? – zameldowała wedle rozkazu, a oficer za biurkiem podniósł w końcu głowę i spojrzał wymownie.

– Jak on pyta, to ja mu, jak wszystkim, grzecznie odpowiadam. Niech natychmiast włazi.

– Litmanowicz przegładził dłońmi łysinę, ozdobioną po bokach równymi kępami włosów. Przez środek głowy przechodziło ledwie parę kłaczek, całą widoczną fryzurę udawały boki zaczesane do tyłu. Był mężczyzną niskim, nieproporcjonalnym, krótkie nóżki, zbyt długi tułów, całość nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Twarz bardziej niż pospolita, pucułowata z bulwiastym nosem i niezdrowym uzębieniem, zmęczonym nikotyną i prawdopodobnie brakiem higieny. Żółte, spuchnięte paluchy, okulary w grubej oprawie, wszystko sprawiało, że za biurkiem siedział człowiek nijaki, tak przeciętny, że cały jego wredny charakter był całkowicie usprawiedliwiony. Mógł mieć słuszne pretensje do losu i odreagować sobie za wszystko, co w życiu go spotkało, z byle jaką urodą na czele, a ponieważ lat liczył prawie 50, nie wierzył już w cuda i wiele nie oczekiwał. Miał też powody, lecz nie korzystał zbyt często z okazji, by osobiste żale odreagować na podwładnych. Głęboko pogodził się z marnym losem, tylko czasem, gdy się nabierało wiele rzeczy naraz, dawał ujście swojej bylejakości, krzyczał, pokazując, że krzyczeć potrafi.

Edyta tyłem wychodziła z gabinetu Litmanowicza, nie odwróciła się w stronę sekretariatu, gdzie czekał Jerzy. Otworzyła szeroko drzwi i tym zamaszystym gestem dała do zrozumienia, że pułkownik zaprasza. Nie musiała nic robić, Gdula całą rozmowę słyszał, nie mógł nie słyszeć, pewnie na korytarzu poznali szczegóły. Wszedł pewnym krokiem, chociaż trochę się obawiał nastroju przyszłego szefa. Prawdą jest, że nie zdarzyło mu się osobiście doświadczyć skutków złego humoru Litmanowicza, był jego pupilem, ale to jeszcze żadna gwarancja. Tuż po wejściu przywitał się tak samo, jak przed momentem w sekretariacie, defiladowo, z rozmachem.

– Siadaj, siadaj, nie pukaj kopytami. – Pułkownik brzmiał mało elegancko, mimo wszystko zaproszenie z korektą na okoliczności wydawało się nie pozbawione finezji i poufałej sympatii. Przede wszystkim nie zwracał się do Jerzego obowiązującym „towarzyszem”, ale ludzkim językiem. Takiego zaszczytu dostępowali nieliczni: Edyta, osobisty kierowca i jeszcze paru, nomen omen „towarzyszy”, których lubił i nie katował śmiesznym tytułem. Życie oddałby za nowy ład, którym jako jeden z wybranych, zarządzał, ale formalnej oprawy nie akceptował. Sędzia Litmanowicz był alergikiem, kichał na towarzyszy, taką miał w sobie oryginalność.

– Przyjechałem, towarzyszu pułkowniku. – Gdula ledwie wiedział jak zacząć, dlatego strzelił po uszach pogardzanym przez pułkownika tytułem.

– Widziałem, żeś wszedł. Egzamin zdałeś celująco?

„Towarzysz” nie ukłął, Litmanowicz wiedział, że niżsi rangą nie mogą sobie pozwolić na ekscentryczność dostępną dla szarzy. Ktoś i nie byle kto, z samego i nie jakiegoś tam szczytu, bywał ekscentryczny, reszta musiała być przewidywalna.

– Zdałem, towarzyszu pułkowniku, wczoraj – odpowiedział spokojnie, bez większego entuzjazmu, chciał, by słowa brzmiały naturalnie. Egzamin był formalnością, co nie przeszkadzało się chwalić, czyniąc z błahostki wyczyn. Tak miała zabrzmieć odpowiedź i tak wyszło. Wszystko wychodziło, tylko ciągle zapominał o „towarzyszu”. Jerzy wiedział, że Litmanowicz tego nie lubi, mimo wszystko asekurował się oficjalnym zwrotem. Gdy pamiętał, używał różnych obejść, tam gdzie się nie dało, nie odważył się mówić inaczej niż nowy obyczaj nakazywał. Gdula był przepisowy, szedł po linii, nawet w formie, tak na wszelki wypadek, żeby nie było najmniejszych podejrzeń co do jego wyuczonej, ale też nieklamanej lojalności.

– Zdałeś... – mocą urzędu potwierdził sędzia i zaraz potem, prosto do szuflady zgarnął z biurka jakieś papiery. – Dobrze, że zdałeś, od marca możesz zacząć robotę – dokończył zdanie i zamknął szufladę na klucz.

– Od marca? – Oczy porucznika błysnęły głębokim zawodem, niemal pretensją, duża nieostrożność, ale wszystkiego spodziewał się głodny władzy i togi, tylko nie tak marnych wiadomości.

– Od marca, może kwietnia. Dzwonił towarzysz Minz, mają dla ciebie nowe zadania, ponoć jesteś niezastąpiony. – Litmanowicz nie przejął się tym, co zobaczył w oczach rozczarowanego Gduli, lubił ambitnych, spodziewał się, że w środku dostrzeże protest, czekał spokojnie na zewnętrzną karność. Poza wszystkim przyszła pora na ulubione zajęcie, „towarzysz” zabrzmiał pogardliwie. Podkreślił inwektywę wyjątkowym akcentem, jakby samo użycie słowa oznaczało cherlawy szacunek dla pułkownika Eugeniusza Minza. Nie reagował na urzędowe zwroty Jerzego, nie podejrzewał go o brak respektu, wiedział, że jest karnym, ale sobie nie odmówił dzięki satysfakcji wyzywania Minza, którego nie trawił.

– Miałem się tutaj zgłosić, tak mi przekazali w Jeleniej Górze.

Nie tak sprawy miały wyglądać, wszystko było obiecane i jasne, Jerzy nic nie rozumiał, źle się działo, przesadzał jednak z okazywaniem zawodu.

– Jacy i kiedy ci przekazali? Dziś ja ci przekazuję, gdzie masz się zgłosić. Do Informacji masz iść i nie będę ci tłumaczył, co do ciebie należy. – W głosie sędziego pojawił się żołnierski ton: „rozkaz, to rozkaz”. Żarty i sympatie się skończyły i tak długo znosił nieskrępowane rozżalenie młokosa.

– Tak jest! Od razu mam iść? – Jerzy na więcej pozwolić sobie nie chciał, zrozumiał i wyczuł, że za daleko w szczerym żalu się posunął.

– Tego towarzysz pułkownik nie powiedział. Sam wiesz, jak masz robić. W każdym razie wódki się nie napijemy...razem – kąśliwie podkreślił swój stosunek do Minza.

– Czyli zaraz mam iść.

– Możesz jechać, jak nie masz czym, dam ci samochód – sędzia zamiast tłumaczyć poprzednie dodał kolejnych półsłówek.

– Nie, nie trzeba, blisko przecież, dojdę. – Pierwszy raz w czasie rozmowy Jerzy poczuł się tak, jak przez większość znajomości z ciągle przyszłym szefem, czuł się lubiany i doceniany.

– Twoja rzecz. Przy okazji radzę ci jedno, naucz się korzystać z tego, co ci się należy, komuś może się nie spodobać taka skromność, nawet jeśli nie fałszywa.

– Uczę się, towarzyszu pułkowniku. Bardzo dziękuję, chciałbym się przejść, całą noc jechałem, muszę kości wyprostować i się przewietrzyć – Gdula prawdę powiedział, że wiele czasu poświęcał na właściwą edukację, ale na spacer już nie miał takiej wielkiej ochoty. Nie udawał skromnego, wstydział się prosić o samochód.

– Dobrze robisz, teraz idź już i załatw kogo trzeba. Do mnie się zgłosisz za trzy tygodnie, nie wcześniej, jak znam życie. Towarzysz Minz powie ci wszystko, więcej niż mnie powiedział.

– Pojawił się mały wyrzut, może nawet podejrzliwość wobec porucznika Gduli. Litmanowicz tylko przez sekundę spojrzał podwładnemu w oczy, ale są takie spojrzenia, które trwają moment i mówią wszystko: „pamiętaj, kto ci chleb daje”. Tyle pułkownik rzucił na

pożegnanie, po czym machnął ręką w geście wypraszającym. Jerzy zebrał się, założył czapkę, zasalutował i wyszedł z biura, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Wściekły? – spytała Edyta.

– Dziwny.

– Zostajesz u nas? – ciekawska jak zawsze, dopytała o szczegóły.

– Nie! To znaczy nie teraz, za miesiąc może.

– Się porobiło, tylko się zaraz nie martw, stary cię lubi, jak na niego – nawet kocha. Możesz być pewny, że nie da ci krzywdy zrobić – uspokajała, chociaż nie miała pojęcia, co się stało i skąd ta zwłoka w obiecany awansie.

– Lecę, do widzenia. – Nie miał ochoty na dalszą rozmowę, pożegnał się służbowo, myślami był przy kolejnej, trudniejszej, bo niespodziewanej wizycie. Już wychodził, kiedy usłyszał rutynową troskę.

– Masz gdzie mieszkać?

Jerzy nie odezwał się, pokiwał twierdząco głową, oczywiście skłamał, bladego nie miał pojęcia, co go czeka. Widział już niejedną błyskotliwą karierę zakończoną aresztem. Niby nic na wielkie kłopoty nie wskazywało, jednak pozmieniane plany i spojrzenie Litmanowicza nie dawały spokoju. Jeśli coś nie idzie tak, jak miało pójść, jest wystarczający powód, by się poważnie nad sobą zastanowić, odtworzyć w pamięci ostatnie wydarzenia, które mogły zaszkodzić karierze. Prysła podniosła atmosfera upragnionej nominacji, co więcej – szykowała się jakaś niespodzianka. Porucznik Gdula nie lubił niespodzianek, wszystko musiało być zaplanowane. Poukładany i zdeterminowany w dążeniu do celu, nie uznawał żadnych odstępstw, które niepokoiły go i upokarżały. Skoro coś poszło nie po myśli, najpewniej po drodze zaliczył jakieś potknięcie. Tego w sobie nie znosił. Nienawidził siebie tylko za jedno, za błędy, które popełniał. Nie potrafił się do nich przyznać, umiał wskazać, analizować i unikać w przyszłości, przyznawać się nie chciał. Tym razem nawet nie musiał, grzechów, które mogły zachwiać awansem, w ostatnim czasie nie popełnił.

Wyszedł z gmachu sądu i szukał jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie mógłby chwilę odetchnąć, poukładać myśli. Bał się, pierwszy raz od dłuższego czasu i nawet nie wiedział czy ma powód. Taki strach bez przyczyny nazywa się lękiem i stąd już blisko do obsesji. Nic się nie działo, zupełnie nic, po prostu zmieniły się plany, Litmanowicz nie odmówił stanowiska, jedynie przesunął termin, mimo to Gdula obawiał się odstępstwa i walczył z lękami, by nie przegrać z obsesją.

– Jak on powiedział? Załatw kogo trzeba? Czy co trzeba? Szlag z tym! Przestań panikować, normalna sprawa, wszystko idzie dobrze. Dla ciebie wszystko to za mało?!

Przyjazną myślą nieco uspokoił nastroje. Znalazł w końcu kawałek miejsca dla siebie, na boku, gdzie dało się przysiąść. Nie skorzystał, cofnął się, pozbierał w środku i postanowił jak najszybciej dotrzeć do pułkownika Eugeniusza Minza. Drogę z sądu do Informacji pokonał szybko, nie miał pojęcia jak bardzo, nie patrzył na zegarek, czas zmierzył zdziwieniem na widok znajomego budynku. Chwilę się zawahał czy nie pomyśleć jeszcze, nie przygotować jakichś rutynowych wyjaśnień? Zrezygnował, ciężko udzielać odpowiedzi nie znając pytań. Wiedział tylko tyle, że Informacja wygrała z sądem i nie był to dobry znak. Co się za nim kryje, miał właśnie ustalić, jak najszybciej się da. Wskoczył do budynku, susami pokonując schody, migiem znalazł się na drugim piętrze i przed drzwi sekretariatu pułkownika Minza. Wszedł i zobaczył Ewę Zając. Nie przepadał za nią, nie byli nawet na ty, nie lubił jej za wiele rzeczy, również i za to, że miała o dwie gwiazdki więcej na pagonach. Kapitan Ewa Zając mogła się podobać, daleko jej było do powalającej urody, ale też nie straszyla potencjalnych adoratorów. Wysoka, proporcjonalna, przyzwoitej wielkości biust, nieco schowane oczy, które szaro-niebieskim kolorem pasowały do długich jasnych włosów, gustownie zaczesanych i pofalowanych zgodnie z obowiązującą modą. Jerzy zasalutował i od razu zwrócił się do sekretarki:



– Dzień dobry! Miałem się zgłosić do towarzysza pułkownika. – Starał się mówić, ukrywając sapanie, zmęczenie, zdenerwowanie i fakt, że nie wie o co chodzi. Udawało się całkiem nieźle.

– Dzień dobry! Obywatel porucznik poczeka, sprawdzę czy towarzysz pułkownik nie zajęty?  
– odpowiedziała tonem urzędniczki. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi, po chwili wróciła z kwaśną miną. – Proszę wejść – burknęła.

– Witajcie poruczniku, a to się stęskniłem za wami. – Minz prawie krzyczał, aktorsko modelował głos, przyjaźnie rozstawiał ramiona. Jerzy nienawidził większości zachowań pułkownika, typa wyjątkowo namolnego, który narzucał się ze wszystkim, od poufałości przez poczucie humoru, aż po zwierzchność oficjalną. Minz kochał w sobie wszystko, że jest kumplem i ojcem swoich podwładnych, że jest dowcipny, że jest szefem, jakich nie ma. Uwielbiał oficjalne zwroty, szastał „obywatelem” i „towarzyszem”, czuł się przy tym tak, jakby podkreślał wartość z nadania, wszystkich zasługujących na te miana. Pochodził z robotniczej rodziny, gardził przeszłością, był fanatykiem i wykonywał swoje zadania z pasją śmiertelnego wroga zdrajców idei. Tak nadgorliwy w nienawiści do starego porządku, że nawet Jerzy, który sam nie przebierał w środkach, nie potrafił zrozumieć Minza i nie lubił go przez to ani trochę. Eugeniusz Minz był mniej więcej w wieku Witolda Litmanowicza, 47 lat, średniego wzrostu. Pociągła i zapadnięta na policzkach twarz miała rys diaboliczny i komiczny jednocześnie. Wielki nochał, małe, ledwie widoczne oczka, operetkowa fryzura, zbudowana z trzech napuchniętych kępek, całość obowiązkowo zaczesana do tyłu. Żałosny obrazek, odstające nad uszami włosy przedzielone wymodelowanym środkiem. Patrząc na tego człowieka, dało się wyczuć, że lada moment coś zaproponuje, cokolwiek, sprzedaż kilograma jabłek, zaprosi na wódkę lub opowie historię życia. W kontakcie z Minzem czuło się, jak bardzo niczego się od niego nie chce, jabłek, wódki i przede wszystkim samego Minza.

– Dzień dobry! – krótko odpowiedział Jerzy i ciągle stał z czapką na głowie.

– Towarzyszu poruczniku, stoicie jak dupa chorążego przed głową generała! Czapki z głów i siadajcie! – Do wszystkich męczących cech, trzeba włączyć jeszcze i tę, że Minz uwielbiał rozmawiać jak prawdziwy mężczyzna, albo frontowy żołnierz, rzucał mięsem przy każdej okazji. – U siebie, kurwa, jesteście! – dodał rechocząc. Gdula odetchnął, nawet nie zauważył wszystkich irytujących zachowań, cieszył się, że już od progu wiele się wyjaśniło. Pułkownik był w dobrym humorze, wysyłał osobliwe, jednak przyjazne sygnały. Nic nie zapowiadało poważniejszych kłopotów.

– Byłem u pułkownika Litmanowicza...

– Wiem! – urwał stanowczo. – Jeszcze nie teraz, robotę w sądzie dostaniesz, jak obiecałem. Teraz ważniejsze sprawy, wódki się napijemy – roześmiał się, wstał i poklepał Jerzego po plecach, aż zahuczało. Pić wódkę z Minzem to wyzwanie dla świętego alkoholika, po paru głębszych wszystkie nieznośne głupoty potęgowały się w nim poza granice dolegliwości i zaczynały zwyczajnie boleć. Przetrwać w jego towarzystwie mógł tylko ktoś, kto skutecznie potrafił się z towarzystwa wyłączyć.

– Nie wiem, czy mogę? Niczego jeszcze nie załatwiłem, nie mam nawet noclegu – ratował się Jerzy.

– Wszystko możesz, wszystko masz albo będziesz miał. Z Gienkiem nie zginiesz, tylko powoli, bo ci się jaja zagotują. Powoli młodości, powoli. – Minz podszedł do szafy, wyjął półlitrową, już rozpoczętą butelkę, do tego dwie grube szklanki. Rozlał wódkę, stanął za biurkiem i wzniósł toast: – Zdrowie kapitana Jurka!

Świeżo awansowany zdębiał, w osłupieniu udało mu się zachować tyle przytomności, by wstać i stuknąć się szklanką.

– Kapitana? – wymamrotał, bo jakoś zareagować musiał.

- Ano... kiedyś na pewno – Minz łapał oddech po wódce i zaraz potem roześmiał się głośno.
- Ech, wy junacy, wszystko od razu, wszystko naraz. Poczekajcie, podporuczniku, będzie jak trzeba, Gienek pamięta o swoich ludziach, ale swój rozum też ma. Taki co się szybko nałyka, tylko beknie, zamiast podziękować. Ja wiem, nie wszyscy tacy, ale kulturę trzeba zachować.
- Towarzysz pułkownik potrafi rozbawić, że aż w pięty pójdzie. – Nie miał pojęcia, jak się zachować. Podporucznik poczuł się głupio podniecony kapitanem, aby zatrzeć żalose po sobie wrażenie palnął co z głowy przyszło.
- Towarzysz pułkownik niejednego rozbawi i niejednego płakać może. Napijmy się na drugi pantofelek porucznika Jurka – znów się roześmiał i dał do zrozumienia, że oto spłodził kolejny wyjątkowo lotny dowcip, tym razem na pół rangi. Obaj przełknęli wódkę, Jerzemu poszło słabo, zachwiał się na nogach i szybko przysiadł. Dopiero teraz skojarzył mowę żołądka i przyznał rację, że od czasu kolacji na dworcu we Wrocławiu nic nie miał żołądkowi do zaproponowania.
- Uuuu, towarzyszu Gdula. Po drugim przysiadacie? Co to się dzieje? Na głodniaka pijemy?
- Całą noc jechałem, nie spałem – ciągle dochodził do siebie.
- No tak, całą noc – Minz pokręcił głową i podniósł słuchawkę czarnego ebonitowego telefonu, który stał na, dużym dębowym biurku. – Ewa, podeślij mi tu jaką zagrychę dla dwóch, ale od serca i z gara, jeden całkiem pada z głodu.
- Nie trzeba towarzyszu pułkownik, to tylko nieprzespana noc – tłumaczył się Jerzy, ale usprawiedliwiania nie dało się traktować poważnie, patrząc na kompletnie bladą twarz przygaszonego porucznika.
- Obywatelu, bladzi-ście, jak dupa blada, grunt to pić pod grunt. W trupa nie będę wlewał, szkło stygnie. Zjesz coś i zmartwychwstaniesz, dojdiesz do siebie. – I tym razem nie obyło się bez dowcipów, mimo to Gdula nie narzekał, dostrzegł pożytek w zakąsce. Wbrew sobie mówił, bardziej potrzebował posiłku niż snu. Minz znów podniósł słuchawkę. – I dwie kawy zrób – powiedział krótko, lecz uprzejmie, coś jakby prosił nawet.
- Jerzy miał w głowie mętlik, dwie kolejki wódki na głodny żołądek zrobiły swoje. Czuł, że już jest ścięty i cały czas sobie powtarzał, że musi się pilnować, by nie gadać byle czego. Zapomniał o kłopotach z robotą w sądzie, nie myślał i o tym, że nadal nie wie, na czym stoi, teraz walczył z umęczonym organizmem. W głowie i żołądka narobił sobie bałaganu, ale o jednym pamiętał. Minz przy picciu nie znosił milczących kompanów. Od każdego wymagał gadania, najlepiej dowcipnego. Tyle do Jerzego docierało, bo nieraz zebrał od Gienka, gdy siedział bez słowa.
- Nie piłem długo i zapomniałem chyba – nic śmiesznieszego nie był w stanie wypluć.
- Na picie zawsze trzeba być przygotowanym, z marszu. Nic nie usprawiedliwia takiej postawy, poruczniku Gdula. Picia nie trzeba się uczyć, pić trzeba umieć – rozległ się śmiech i Jerzy, chcąc nie chcąc, musiał dołączyć, wołał znosić dowcipy niż trudzić się nad własnymi.
- Do gabinetu weszła kapitan Ewa, z tacą, na której były dwa talerze z górami bigosu, trzeci kopiasto napakowany chlebem, do tego dwie kawy i cukierniczka. Pomieściła wszystko, jak doświadczona kelnerka, widać nieraz obsługiwała pijackie spotkania. Zorganizowanie zakąski nie zajęło jej więcej niż 15 minut, jak zwykle skorzystała z kantyny na parterze. Jerzy chciał pomóc nie lubianej kobiecie, tylko nie bardzo był na siłach. Na szczęście cała zawartość tacy wylądowała na biurku w takim tempie, że nawet nie zdążył się poderwać.
- No, i mamy wszystko co do roboty potrzeba. Kapitan Ewa na posterunku! – wrzasnął zadowolony i rozbawiony Minz.
- Towarzysz pułkownik jak zwykle dżentelmen – na siłę się zawstydzila, chociaż naturalnie szukała pretekstu, aby wyrazić swój podziw dla szefa. Ewa Zając była sprytną blondynką o dziecinnej twarzy – i nie było to grzeczne dziecko – od dawna prowadziła swoją grę. Adorowała Minza przy każdej okazji, on był rozwodnikiem, ona młodą panną, która powoli

zbliżała się do groźnego wieku staropanieńskiego. Pani kapitan nie zamierzała poślubić byle kogo, polowała na tłustą partię i taką był dla niej wysoki funkcjonariusz Wojskowej Informacji. Nie przejmowała się jego urodą, wiekiem i stylem bycia, nawet jej odpowiadał, sama miała mało wyszukany gust i też była pochłonięta wiarą w porządku nowego świata. Minz był dla niej strażnikiem i bohaterem nowego ładu, jednocześnie gwarancją i poczuciem bezpieczeństwa, tyle w nim widziała i w tym się zakochała.

– Widzicie, towarzyszu Jurek, jak się baby do starego Gienka garną! A wy co? Wódka was podcina! Co tu o babie mówić?! – Gienek czuł się w obowiązku i żartował, Ewa już się nie odezwała, uśmiechnęła się tylko i wyszła z gabinetu.

– Zagrycha jak u mamy – słowa wdzięczności wydobyły się z ust Jerzego, był zadowolony z siebie, brzmiało niezłe. Uznał, że tyle Minzowi powinno wystarczyć, aby dał spokojnie przełknąć bigos.

– Amaj papu, piciu stygnie – zarechotał gospodarz naprędce improwizowanego przyjęcia. Zgodnie z mało zabawnym rozkazem Jerzy jadł z apetytem i ze smakiem. Pałaszował ciepłą zagrychę i często sięgał po pieczywo, czasami połykał nawet postne kromki, nie potrafił się bez chleba obyć. W kantine Informacji Wojskowej nie podawano byle czego, korzystali z niej wszyscy, od szeregowych pracowników po generałów, żarcie było jak należy, nie można było narzekać.

– No! Popchniemy bigosik. – Pułkownik rozlał wódkę, tym razem więcej niż pół szklanki, w butelce nie było już wiele, chciał rozlać wszystko, a miarkę do wódki miał w żenicach.

– Jedna pękła! Nie ronić łez! My tu mamy jeszcze parę flaszeczek. – Podeszedł do szafy, wyjął nową, pełną butelkę.

Gdula podjadł solidnie i poczuł się pewniej. Ciepły posiłek przywrócił ład w organizmie, wódki nie wypił jeszcze tyle, aby czuć się pijany. Żołądek zaczął pracować i dogadywać się z lżejszą głową, która układała myśli, z tą jedną powtarzającą się od rana: "Dlaczego się tu znalazłem i co dalej?"

– Czy towarzyszu pułkownik ma dla mnie jakieś zadanie?

– Mam, stoi przed tobą! – Minz świsnął dłonią w kierunku flaszki.

– Nie rozumiem.

– Twoje zadanie, wypić z towarzyszem pułkownikiem. Wykonać!

– Zdrowie! – porucznik wygłosił najprostszy toast

– Zdrowie! Właśnie o to chodzi, żeby wszystko na zdrowie wychodziło. Zadanie masz, dlatego cię wezwałem. – W końcu zaczął mówić serio, a gdy pułkownik Eugeniusz Minz zaczynał mówić serio, była jasność, że mówi o robocie. Tylko wtedy nie żartował, robotę uważał za śmiertelnie poważną i zmieniał się przy tym w śmiertelnie poważnego.

– Jakie zadanie? – Jerzy spytał niecierpliwie,

– Nieliche! Mamy jednego takiego, którego nie chcemy mieć. Ty się nim zajmiesz – na razie zdawkowo powiedział, w czym rzecz.

– Dlaczego ja? – Pytanie nie było mądre, zupełnie bez sensu wyrwało się Gduli.

– Za zasługi, rzecz jasna. Nie pytaj dlaczego ty? Pytaj dlaczego ja ciebie ściagam? – Dało się w słowach pułkownika wyczuć lekkie podenerwowanie głupimi pytaniami porucznika.

– Dlaczego?

– Zaciąłeś się?! Potrzeba kogoś z zewnątrz, nie z Warszawy. Ciebie słabo tu znają i takiego potrzebuję. Jak się sprawdzisz, dostaniesz robotę w sądzie i nie taką, jak ci Litmanowicz szykował. Prawdziwe sądenie, nie jakieś papierki. – Pułkownik Minz przygotował porucznika Gdulę do najważniejszej wiadomości. Po awansie, jaki obiecywał, można się było spodziewać, że nie chodzi o zwykłą rzecz i mało znaczącego człowieka. Z tego powodu pułkownik nie słyszał tych wszystkich „dlaczego”, tak jakby mógł usłyszeć, gdy Jerzy tracił głowę i nawet instynkt.

- Kto to jest? – niecierpliwił się Gdula, na szczęście dla niego, już nieco mądrzejszym pytaniem.
- Jest taki jeden, że prawie można mu wierzyć, ale ja mu, kurwa, nie wierzę – Minz przedłużał bez złośliwości, nie miał łatwego zadania.
- Ktoś z naszych? – Gdula nie strzelał, prawie już wiedział.
- Ktoś u nas, ale od nich, nie nasz. Dostaniesz pięciu ludzi do pomocy i miesiąc na rozpracowanie majora Kryspina Kapisia. – Pułkownik spojrzął na młodego oficera, wiedział, że właściwa treść mogła zrobić na nim wrażenie. Oczekiwał na prawidłową reakcję.
- Dobrze, jeśli jest pewne, że tak ma być...

Odpowiedź zdziwiła, porucznik powinien odczuć ciężar zadania na tyle mocno, że go przygniecie panika albo chociaż strach w oczach. Tak się nie stało i nic podobnego również. Minz czuł się zaskoczony i miał do tego pełne prawo. Gdula dotąd nie pracował na takim poziomie ryzyka. Wszystkie sprawy, jakie przelał na konto sukcesów, dotyczyły oficerów niższego szczebla, w większości tych ze szkoły w Jeleniej Górze. Proste czynności, wystarczyło donieść przełożonym, który z kolegów miał choćby cień wątpliwości, ślad krytyki, żarty sobie stroił z porządku wprowadzanego terrorem. Jerzy był gorliwym, bezwzględny informatorem, przekazywał wszystko, co usłyszał i wydawało mu się wątpliwą lojalnością, czego nie usłyszał, dodał od siebie. Jego motywacje były proste, kolejne szczeble na drabinie awansu, które pozwalały umocnić się na pozycji. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, w końcu każdy ma te same możliwości i może o siebie zadbać, zamiast popełniać głupie błędy. Na początku donosił w ramach sportowej rywalizacji, chciał być najlepszy w swojej dyscyplinie, walczyć w drużynie zwycięzców. Z czasem zaczął wierzyć w sens i wartość działań na rzecz nowego porządku, dzięki temu zyskał doskonałe wytłumaczenie, niemal uświęcone alibi. Wielka idea, jako parawan dla niskich pobudek, ten układ zapewniał poczucie szlachetnej misji. Kapował kolegów, ponieważ świat od donosów miał stać się lepszym, doskonałym poprzez eliminowanie wrogów lepszego życia. Jego gorliwość, ale i umiejętność pozyskiwania informacji, została zauważona i polecona centrali. Trafił do Minza już w pierwszym roku szkoły i to on poznał Gdulę z Litmanowiczem, na jednym z pijackich spotkań. Od tamtego czasu obaj widzieli Jerzego jako swojego asystenta, a Jerzy bez ograniczeń korzystał z tego układu. Wyciskał z Litmanowicza i Minza, co się dało, przyjmował chętnie wszelkie zlecenia i każdemu z nich pokazywał, że jest wierny, pochłonięty zadaniami. Udawało się dzięki temu utrzymać na drabinie i kroczyć coraz wyżej.

W hierarchii wojskowej, ale i w cywilnym rygorze nie funkcjonowały pojęcia spokoju i zaufania, nieustannie trwała walka o wpływy, głównym i najcięższym łupem było wykazywanie zdrady we własnych szeregach. Jeden błąd mógł spowodować, że nawet najbardziej błyskotliwa kariera kończyła się ciężkim wyrokiem. Teraz padło na majora, którego Gdula ledwie znał, tym chętniej i bez wahania przyjął ofertę, do tego miał podwójną gwarancję. Dużo wcześniej o Kapisie wspominał Litmanowicz, który też widział jakieś zagrożenie i niepotrzebne, choć tylko ewentualne problemy. Kapis był fanatykiem, bez żadnych hamulców, wykończył niejednego, również wyżej postawionych od siebie. Być wrogiem tego człowieka oznaczało wielkie kłopoty, ale mieć przy sobie Litmanowicza i Minza przeciw niemu, to już zupełnie inny, dużo bezpieczniejszy start. Druga gwarancja i decydująca o wszystkim, to fakt, że major Kryspin Kapis nie był „nasz”, co z pełną pasją podkreślił Minz.

Do „nas” mogli należeć tylko urodzeni z nas, którzy wiedzieli kim są, dla kogo są i gdzie były getta. Jerzy korzystał z wyjątkowego przywileju, był „nasz” i pułkownicy traktowali go jak „naszego”. Nigdy nie doszło do bezpośredniej rozmowy, kto jest kim i jakiego wyznania, nie musiało, wystarczyło mrugnąć okiem między wierszami, wódką i zakąską, spytać o kilka rzeczy i sprawdzić, jaka będzie odpowiedź. Jerzy Gdula zawsze odpowiadał jak „nasz”. Krewni w obozie, getto, wyuczony „Zdrowaś Mario”, znaczyło więcej

niż jedno jedyne słowo, którego nikt nie śmiał przywołać, po tym, jak wielu słowo sponiewierało, splugawiło i milionami zamknęło w barakach. To był prawdziwy powód powierzenia zadania „naszemu” i nikomu więcej. Kapis nie był z „nas”, nie znosił „nas”, do tego chciał być kimś lepszym od „nas”. Okazywał brak szacunku, dyskretnie, ale dla „nas” to była niewybaczalna bezczelność.

Na kolejne ważne pytanie porucznik Gdula udzielił poprawnej odpowiedzi, zdziwienie Minza mogło wynikać tylko z tego, że nie miał pojęcia, ile Jerzy wiedział z dawnych rozmów z Litmanowiczem, którymi się nie dzielił. Nigdy nie wymieniał się informacjami, grał swoją wiedzą na swoją rzecz. Mówił tyle, ile było trzeba, najcenniejsze tajemnice pozyskane od Litmanowicza nigdy nie trafiały do Minza i te od Minza nie były dostępne Litmanowiczowi. Tą prostą metodą jeden podporucznik wiedział więcej niż dwóch pułkowników i mógł sterować nimi, w takim zakresie, który pozwalał na realizowanie własnych zamiarów. Dziwił się tylko jednemu. Dlaczego Litmanowicz nie powiedział, o co chodzi? Może Minz przejął dowodzenie w sprawie i wówczas Litmanowicz poczuł się co najmniej dotknięty, ale to już nie było tak istotne .

– Pewne będzie jak będzie zrobione, teraz nic nie jest pewne, tak niepewne, że jak spieprzysz sprawę, obaj polecimy. Nikt sobie nie przypomni, kim byliśmy i jak bardzo we wszystko wierzymy – pułkownik odpowiedział tonem człowieka zdającego sobie sprawę z wagi własnych słów.

– Tych pięciu to jacyś nowi?

– Nie tacy nowi, ale nie znasz żadnego. Nie wiedzą, co się święci, mają dla ciebie zbierać sensacje. Kto i gdzie za Kapisem stoi, kiedy mu staje, o której wynosi śmieci, co zjadł na obiad i czy mu nie zaszkodziło. Nie mają pojęcia, że chodzi o samego Kapisę i tego nie możesz popsuć, masz pilnować, żeby tak zostało. Co i jak tylko my wiemy. No i jeszcze wiesz kto. Sam się zastanawiam czy nie za dużo, co najmniej o jednego – Minz skończył mówić i zaraz chwycił się za wódkę.

– Nie rozumiem – dopiero teraz do Jerzego doszło, że ma do dyspozycji pięciu szpiegów.

– Czego? – Gienek przełknął wódkę i złapał chleb.

– Pięciu ludzi? Dla mnie?

– A tego nie rozumiesz?! Tyle ci wolno. Dostałeś rezydenta – Minz zaczął bawić się chlebem, oddzielał środek od skórki, lepił kulki, potem wszystko zjadał do ostatniego okruszka. Jerzy pomyślał, że znów posypały się żarty z awansu, ale Minz cierpliwie czekał na wdzięczność.

– Kapitan?

– Co? – po chwili zaskoczył, uśmiechnął się i przeczesał żałosne kępkę swojej fryzury, potem potarł nochal. – Nie, tym razem poważnie.

– Dostałem rezydenta?

– Dostałeś, ale, jak wiesz, tu się mało co za darmo dostaje. Załatwiłem ci, żebyś pomógł wykończyć bydłaka. Dla ciebie to też nie takie głupie, uczyć się musisz prawdziwej roboty. Te ploty z kantyny, to już nie dla ciebie. Sam bym się wziął za Kapisę, ale nie mogę, nikt stąd nie może. Musi być taki z doskoku i jeszcze, żeby myślał. Lepszego od ciebie nie znajdzie.

– Ale to nie jest zwykła robota?

– Do zwykłej wziąłbym zwykłych, dla najlepszych jest robota i nawet ma kryptonim: „albo, kurwa, on nas, albo, kurwa, my po nim, bo jak nie – to po nas”. – Gdy Minz nie żartował, rekompensował sobie braki soczystym słowem, teraz w ogóle nie żartował i jeszcze więcej sobie rekompensował.

– Aż tak źle? – Porucznik Gdula nie wiedział, co za chwilę usłyszy, gdyby wiedział, zdecydowanie darowałby sobie głupie pytanie.

– Nie zadawaj mi, kurwa, takich pytań. Do tej roboty w ogóle nie zadawaj pytań, masz znaleźć odpowiedzi. Masz go wypatroszyć, żeby nie zdążył kwiknąć. Nie wiesz, co tu się dzieje. Myślisz, że od czego na pagonach przybywa? Jak nie wiesz, to pomyśl ilu jest

chętnych. Nie wiem czy już nie jest za późno, zawsze musisz mieć w głowie trzy strzały do przodu, inaczej sam dostaniesz w tył łba i... wystarczy. – Sam się przestraszył swoich słów, ale z Minzem tak było, że dużo panikował i koloryzował, brakowało mu chłodnej oceny, nadto podniecał się robotą, bo ją nieludzko lubił. Jerzy pomyślał, że pewnie coś do Gienka nieprzyjemnego dotarło, wystarczył głupi żart, albo zniewaga by zaczął szaleć i się nakręcać przed akcją. Taka poprawka nie miała jednak większego znaczenia. Kapisu trzeba było się pozbyć, był niewygodny dla opiekunów, którym Jerzy zawdzięczał wszystko. Minz z Litmanowiczem byli dla Gduli bezpieczni, w tym towarzystwie, gdzie o poczucie bezpieczeństwa nie było łatwo. Ufał im na tyle, żeby stanąć po stronie „nas” i oczywiście nie na tyle, aby nie myśleć tylko o sobie. Wyciągał z obu pułkowników, ile mu było wygodnie, od siebie nie dawał prawie nic poza drobnymi sygnałami sympatii i lojalności, no i oczywiście służbowym poczuciem obowiązku. Gdyby Jerzemu Gduli przyszło wykonać gest wymagający poświęcenia własnych planów, na taką ofiarność nie mógł liczyć Litmanowicz i tym bardziej Minz. Nowa akcja wydawała się przełomowa, zresztą Jerzy nie miał większego wyboru. Nie zamierzał odmówić, gdyby, aż tak głupio postąpił, nawet Litmanowicz odstrzeliłby Gdulę, nie Minza. Mimo wypitej wódki i wolno odchodzącego zmęczenia, trzeźwo ocenił swoje położenie, w takich przypadkach był niezawodny. Już zyskał awans z tajnego współpracownika na rezydenta, przed nim były kolejne szerokie możliwości. Odrzucenie propozycji oznaczało zapaść w karierze, w najlepszym razie taką otrzymałby reprimendę i tego nawet do myśli nie dopuszczał, ponieważ wiedział, jaka jest najsurowsza kara. „Gdy nie możesz liczyć na przyjaciół, przynajmniej wroga wybierz sobie inteligentnie” – pomyślał cicho, a głośno dopowiedział, jak trzeba:

– Nie to miałem na myśli. Może najpierw powinienem sam się temu przyjrzeć. Gdzie pięciu robi, tam można się najmniej dziesięć razy pomylić. – Bronił się na poczekaniu zmyśloną dykteryjką. Prawdziwym wytłumaczeniem był strach, pogodził się, ale też bał nieuchronnego podjęcia gry, w której zabrakło miejsca nawet dla remisów. Musiał ryzykować i bezkrytycznie realizować zadanie, odmowa oznaczała samobójstwo, próba negocjacji – zachowanie o najwyższym stopniu bezmyślności, takim postępowaniem można stracić wszystko. Pozostało dyplomatycznie wyrazić żal na dodatkową cenę, nie tak się umawiał z pułkownikami.

– Pić trzeba umieć. Mówiłem przecież, tych pięciu nie będzie wiedzieć w czym siedzą. Masz ich od biegania, niech łążą za Kapisem i jego psem. Mają go chronić – trochę zmęczony i poirytowany szczegółowymi wątpliwościami Minz jeszcze raz wyjaśnił oczywiste sprawy, z drugiej strony odbierał marudzenie porucznika jako poważne podejście i właściwe zaangażowanie.

– Chronić?

– Chronić! A jak mają postępować lojalni obywatele wobec zasłużonych pułkowników? Przed wrogiem chronić. Nie tak w szkole uczyli? A wróg co robi? Wybiera! Generałów, pułkowników i majorów najchętniej! Rozumiesz? – spojrzał na porucznika i oczekiwał konkretnej, poprawnej odpowiedzi, żadnych kolejnych drobiazgów.

– Rozumiem. Dostali informację, że major jest zagrożony i mają go pilnować, żeby nie dostał się w łapy złych ludzi, ale nie musi im się udać. Nawet nie powinno, znaczy, nie może. Nie ma prawa!

Gienek Minz kręcił w powietrzu dłonią, poprawiał w ten sposób kolejne zdania, aż w końcu Jerzy powiedział tak pięknie, jak należało, chociaż nie wszystko i nie do końca rozumiał. Za to po rozbawionej minie pułkownika mógł wnieść, że idealnie się domyślał.

– I za to cię, kurwa, lubię! Tak właśnie! Towarzysz Kapis wpadł w kłopoty i my go zaczniemy za uszy wyciągać. Będziemy robić co w naszej mocy i wtedy naszym oczom ukaże się coś bardzo gównianego, im bardziej tym lepiej. Dobrzy koledzy wiele mogą wybaczyć, przymknąć bodaj jedno oko, ale wierni żołnierze muszą wykonać rozkaz. Lojalnie służyć

ojczyźnie, nie kumplom, to nasz parszywy obowiązek wobec munduru. W służbie ojczyźnie nie możemy kierować się sentymentem, dlatego wróg ojczyzny, dawny towarzysz Kapis, zostanie zdemaskowany i przykładowo ukarany. – Minz mówił prawie szeptem i spokojnie, jak tylko skończył, znów sięgnął po butelkę z wódką.

– Rozkaz to rozkaz! Nie wiem tylko czy miesiąc wystarczy. – Przede wszystkim Jerzy zastanawiał się skąd ten miesiąc się wzięł? Bezsensowny termin przy takim ciężkim zadaniu, tak uznał, chociaż jeszcze nie wiedział, jak dokładnie robota będzie wyglądać. Bez względu na to i wszystko inne, ograniczenie w czasie wydawało się bardzo niebezpieczne.

– Mówię i mówię i jeszcze raz, kurwa, mówię, i nikt mnie, kurwa, nie słucha jak mówię. Trzy strzały do przodu! Kapis już zaczął strzelać. Na razie nie trafia, prezent dla nas, czas dla ciebie. Nie zrobimy go w miesiąc, zacznij się robić ciekawie. Chcę, żeby było nudno. Ty jak byś chciał? – Tym argumentem Minz rozwiał wszelkie wątpliwości Jerzego.

– Jak najszybciej, czas to pieniądz i co miesiąc wypłata – odpowiedział i sam się w duchu uśmieł z nieudolnej sentencji. Udawał przytomnego, świadomego zagrożeń i wagi zadania.

– Po pijaku pierdolisz, ale widzę, że wiesz, na czym stoimy i póki stoimy, to się napijmy.

– Za to, że stoimy, towarzyszu pułkowniku! – mądrzejszy toast nie wypadł Jerzemu z głowy, upił się i pozwalał sobie na więcej słów bez większego sensu.

– I żebyśmy nie pospadali, towarzyszu rezydencie! W jakieś gówno!

Riposta na identycznym poziomie uspokoiła nastroje. Obaj wypili jednym haustem i razem przegryźli chlebem, wcześniej obwąchanym starym pijackim zwyczajem. Taka jedność w picciu i zagryzaniu symbolicznie wspierała wspólny cel, który przed nimi stał. Na celowniku ustawili innego towarzysza i nic w tym nie było nadzwyczajnego. Jerzy przyzwyczał się do tego z kim i w czym pracował, potrafił się doskonale poruszać w niełatwej rzeczywistości, wśród polujących na siebie ludzi.

– Będę musiał uciekać, nie mam jeszcze kwatery.

– Podejrzany ucieka! Po co ci kwatera? Mieszkanie nie wystarczy? – Gienek spojrzał zagadkowo i uśmiechnął się pod wielkim nochem.

– Cokolwiek, muszę czegoś poszukać, przyjechałem dziś rano, nie zdażyłem z niczym.

– Gdula nie chwycił aluzji, o ile w jeszcze coś słyszał, to mało się już nad tym zastanawiał. Gdy sprawy stały się jasne, odruchowo bronił się przed wysłuchiwaniami zgranych dowcipów, banalnych bluzgów i nawet bębniących po biurku poźółkłych paluchów pułkownika.

– Ech, oficerze, jak wy pierdolicie! W waszym wieku nie ma dziwne, ale przerwy róbcie, bo się na śmierć upierdolicie. Słuchajcie starszych co już swoje przerznęli. Mieszkanie, mówię, masz – po swojemu zagadał Minz i sięgnął do szuflady w biurku. Otworzył, wyciągnął spięte ze sobą klucze. – Dwa pokoje, tylko sracz na korytarzu. Wybaczysz Gienkowi tę niedogodność? – zarechotał, po chwili spowaźniał, wlepił przekrwione oczka, czekał na wielkie dzięki.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku, nie spodziewałem się – krótką i szczerą wdzięcznością rzucił Jerzy. Nie miał sił na więcej i też na żadne szukanie mieszkania. Sądził, że Litmanowicz będzie miał dla niego jakąś kwaterę albo pozwoli mu się przespać u siebie w gabinecie. Minz okazał się hojnym, znany był z tego, że o swoich ludzi dbał. Zupełnie inaczej niż Kapis, który ponieważ wszystkim, niższych rangą poniżał oficjalnie, pozostałych za plecami. Z drugiej strony Minz nigdy niczego nie dawał za darmo, zawsze oczekiwał sowitej zapłaty. Gdula chciał wierzyć, że koszty skończą się na Kapisie.

– Nie trzeba, towarzyszu poruczniku, nie trzeba, kurwa, zawstydzacie mnie – żartował. – No, to po ostatnim i starczy na dziś. Rozpijanie młodzieży – grzech ciężki – widziałem taki plakat.

Resztką wódki ostatni raz poleciała do szklanek. Pułkownik nie miał w zwyczaju przerywać picia, zanim się nie dopił, teraz chętnie kończył jedno, by zaraz zacząć następne. Czekala go dziś jeszcze jedna okazja, dlatego nie zatrzymywał już Gduli.

– Padam na twarz, nie będę przeszkadzał, pójdę się przespać. – Jerzy zaczął się żegnać i znów został potraktowany śmiechem.

– Gdzie? Gdzie spać, panie poruczniku?

– No, w mieszkaniu... – pomachał kluczami.

– A mieszkanie gdzie? Pytałeś? Wywiadowca, niech ja się zesram – gromko zarechotał Gienek.

– Nie spytałem – Jerzy ciężko kojarzył, gdy już zamierzał dopytać o adres, Minz sięgnął po słuchawkę.

– Ewa, niech no Zarzecki stanie pod budynkiem, porucznika Gdulę odwiezie. Co? On wie gdzie, do mieszkania, co załatwia, mu powiedz – odłożył słuchawkę i po żołniersku zwrócił się do świeżo awansowanego rezydenta. – Spierdalajcie z Bogiem obywatelu poruczniku. Przed budynkiem czeka auto, zawiezie, gdzie trzeba. Gienek ma tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia – zatarł ręce i uśmiechnął się prawie szelmowsko, gdyby nie obrzydliwie. Porucznik Gdula pożegnał się, przeszedł przez sekretariat i rzucił „do widzenia” kapitan Zając. Nie zdążył zamknąć drzwi, kiedy z gabinetu doszedł głos Minza, prymitywnym podrywem wołał Ewę. Już za drzwiami Jerzy domyślił się, jaką sprawę miał do załatwienia stary zbereźnik i z kim rozpije kolejną półlitrowkę.

Przed budynkiem rzeczywiście czekał samochód, jak było obiecane, kierowca wyszedł, przywitał się, otworzył drzwi, zaliczył komplet zwyczajowych gestów. Jerzy nie był rozmowny i tamten nie zachowywał się jak taksówkarz, coś tam zagadał raczej z poczucia obowiązku niż zdrowej chęci nawiązania rozmowy. Był czas, aby jeszcze raz poukładać sobie wszystkie sprawy. Ciężkim punktem akcji jawiło się ryzyko kontaktu z Kapisem. Każdy inny oficer Informacji jest do rozpracowania, na tym cwaniaku można się przewrócić i już się nie podnieść. Nie było mowy, żeby wycofać się w połowie drogi, gdy walka toczy się o życie. Major był czujny, nawet wyczulony, wywęszy cokolwiek się wokół niego dzieje, nie odpuści i rzuci wszystko co ma, aby się ratować. Nie zapomni i nie wybaczy nieudanej próby, zniszczy każdego. Pewnymi punktami operacji były dwie rzeczy. Jedna dawała Jerzemu motywację, druga wiarę w powodzenie. Kapis nie miał przyjaciół, był zniechęcony przez wszystkich. Nawet jeśli ktoś z jego otoczenia zaskoczy, że dzieje się nieciekawie, piersi nie nadstawi, a być może będzie chciał pomóc, w niczym nie przeszkadzając. Tę wiedzę Jerzy miał od Litmanowicza i Minza, krążyły też fatalne opowieści z wielu innych kierunków, nigdy dosłowne, niemniej wystarczająco czytelne, by dać wiarę. Motywacją dla Jerzego był błyskawiczny awans, który niepotrzebnie zaczął się ślimaczyć za sprawą nieprzewidzianych komplikacji. Przygotował się na dwa wielkie susy w Informacji i w sądzie, tymczasem musiał z bólem zrobić dwa kroczki do tyłu. Sprawa Kapisa odkładała karierę, pomimo tego należało w nią szybko wejść, rozważanie odmowy udziału oznaczało koniec marzeń i jeśli nie wyrok, to beznadziejne życie na marginesie wydarzeń.

– Warto! – głośno przyklepał nieodwracalną decyzję.

– Przepraszam, nie zrozumiałem, towarzyszu poruczniku – odpowiedział kierowca, nie zdając sobie sprawy, czego był świadkiem.

– Daleko? Pytałem czy daleko jeszcze – odpowiedź uciekała od wpadki. Przyszła pierwsza próba generalna, takiej głupoty Jerzy zawsze się obawiał. Wiele emocji, sporo wódki, ciężkie zadanie i stało się. Myśl z wewnętrznej rozmowy weszła do środka szoferki. Nic wielkiego nie wybrzmiało, jednak z przerażeniem odnotował sam fakt i dlatego bronił się przed ujawnieniem tajemnicy, nawet jednego słowa swojej ze sobą rozmowy. Taka wpadka było wystarczającym powodem do obrony, podobne rzeczy po prostu nie powinny się zdarzyć.

– Jeszcze kawałek, zaraz dojedziemy, towarzyszu poruczniku – odpowiedział kierowca i uspokoił pasażera, nie tym, co powiedział, ale tym, czego nie usłyszał. Szofer w niczym się nie zorientował. Gdyby nawet, był oswojony z bełkotem półsennych pijanych oficerów gadających do siebie, ale dla Jerzego nie było w tym pocieszenia. Nie chciał pozostawić poza



kontrolą podobnych nieostrożności, skarcił się i jednocześnie hartował karność myśli, żeby nie uciekły w przypadkowe słowa.

– W porządku, nie śpieszy się, tak tylko spytałem – dołożył tłumaczenia i już nie usłyszał odpowiedzi, tylko grzeczne kiwanie głową. Samochód w końcu dojechał na miejsce i stanął przy starej kamienicy. Przed bramą krzątał się jakiś starszy jegomość w stroju przypominającym dozorcę. Fartuch, beret, wąs pod nosem, duże okulary, wszystko razem podparte miotłą. Nie wyróżniał się na tle innych stróżów, właściwie wyglądał jak modelowy okaz gatunku.

– Jesteśmy na miejscu – szofer odwrócił się, w oczach miał jakąś prośbę.

– W porządku, nie wysiadajcie, możecie jechać z powrotem.

Jerzy miał w zwyczaju wysyłać drobne gesty sympatii wobec niższych rangą, traktował ich jak ludzi, a takie traktowanie przynosiło nadzwyczajne i niespodziewane korzyści. Reszta kadry lubiła czuć władzę i hierarchię, rzadko okazywała szacunek szarakom. Porucznik Gdula wyróżniał się przyjaznym zachowaniem, czym łatwo zdobywał sympatię. Niewielki koszt, spory zysk. Z kalkulacji, nie z uprzejmości brała się racjonalna postawa.

– Dziękuję, towarzyszu poruczniku, niech się dobrze mieszka, to spokojne miejsce – podziękował, uśmiechnął się wdzięcznie, ale nie usłyszał odpowiedzi, nie było jej. Porucznik wyszedł już z samochodu i rozejrzał się wkoło, chociaż widok raczej nie zachęcał by na coś konkretnym zawieszać oko. Obrazek charakterystyczny dla warszawskich podwórek, które ledwie przeżyły wojnę i ciągle lizały rany. Przed bramą, czał się staruszek wsparty na miotle, czekał dłuższą chwilę odkąd zobaczył samochód, co nie tak często się zdarzało i zapowiadało nie byle jaką wizytę. W końcu zdobył się na odwagę i przywitał jak wypadało:

– Dzień dobry, panie poruczniku! Pan świeży lokator? Pod siódmkę? – odezwał się przedwojenną mową stolicy, która nie znała obywatela i jeszcze mniej słyszała o towarzyszu. Widać nie bał się takich przyzwyczajzeń, może dlatego, że wszystko wychodziło mu naturalnie i nie miało żadnego związku z protestem, ale ze zwykłym życiowym przyzwyczajeniem.

– Tak, jestem nowy. Siódmka jest wolna? – Poniewczasie dotarło, że znów nie zadbał o szczegóły, nie spytał Minza i nawet kierowcy o numer mieszkania.

– Ano siódmka, panie oficerze, siódmka. Reszta zajęta, po kilka rodzin mieszkają – stróż mówił grzecznie, unizenie, ale grzeczność zabrzmiała jak wyrzut: „Inni mieszkają po kilka rodzin, pan oficer sam się na pokoje pakuje”.

– Dobrze! Dziękuję! Do widzenia.

– Ja tu za dozorcę jestem, panie oficerze, jak czego potrzeba, dać znać, pomogę, co będę umiał.

Staruszek rzucił się z ostatnim słowem, zrozumiał niestosowność i nieostrożność wcześniejszej uwagi. W odpowiedzi otrzymał tylko pojednawcze spojrzenie i sąsiedzkie skinienie głową. Nowy lokator przeszedł przez obskurną klatkę schodową, mijał parter i piętro, uważnie przyglądał się numerom mieszkań. Dotarł na drugą kondygnację i stanął przed dużymi drewnianymi drzwiami, pomalowanymi olejną farbą, na których ktoś kredą dorysował siódmkę. W całym domu roznosiły się zapachy szykowanych obiadów, żadnych specjałów, mieszał się swąd przypalonego smalcu, mleka i gotowanych kartofli. Doskonale rozpoznawał te „aromaty”, pamiętał z czasów, gdy lubił spać na piecu. Oprócz oparów z bieda-kuchni, na klatce śmierdziało uryną i starym kurzem, wierzący nozdrza fetor niemytych podłóg, drewnianych schodów i sedesów wypełnionych moczem. Pierwsze doświadczenie z nowym mieszkaniem było nieprzyjemnym zderzeniem. Mieszał się odór, ze spalenizną oraz obskurnym wyglądem całej kamienicy. Przez brudne okna korytarza, kto chciał cierpieć, mógł się katować landszaftem sporego podwórza, gdzie wały się rozmaite, nikomu niepotrzebne rupiecie. Nie brakowało gruzu, potłuczonych naczyń, starych sienników i nawet uszkodzonego pieca na kilka fajerek. W otoczeniu kaleczącym oczy biegą kilkoro

dzieci, jakiś wychudzony pies, a staruszek w fartuchu, przeganiał całe towarzystwo z kąta w kąt. Pejzaż ogólnie banalny, klasyczny, jak z poglądowych ilustracji.

Sięgnął po klucze i nie zaczął oględzin od naznaczonego kredą mieszkania, ale od odrapanego przybytku, zamkniętego na kłódkę. Tuż po otwarciu podziwiał precyzję Minza, który nazwał to miejsce sraczem. Wszystko się zgadzało, sam sedes wyglądał tak jak zawartość sedesu, zerwany sznurek przy rezerwuarze, mimo to mechanizm – o dziwo – jakoś działał, z czego Jerzy natychmiast skorzystał, splukując muszlę po kilka razy. Po desce został sponiewierany strzęp, stare zardzewiałe wiadro stojące obok kibla dopełniło obrzydliwego widoku. Zatrasnął drzwi za „sraczem”, odszedł kawałek i chwycił klamkę, żeby się dostać do mieszkania, gdzie spodziewał się podobnego widoku. Przekręcił klucz, wszedł do niewielkiego, zupełnie pustego przedpokoju, potem dalej do kuchni, gdzie oprócz kuchenki i zlewu zawieszono w rogu pod oknem również niczego nie znalazł. W jednym z pokoi stał stary, odrapany drewniany stół, para krzeseł i szafa z uchylonym skrzydłem, nad wszystkim wisi sama żarówka w metalowej oprawce. W drugim pokoju znalazł wysłużony tapczan i nic pyza tym. Mieszkanie wyglądało jak po wyprowadzce lub kradzieży. Ktoś kulturalnie sprzątnął nie tylko graty, ale również wszystkie pomieszczenia. Umyte podłogi, żadnych śmieci, w miarę czysto i zupełnie pusto. Po sraczu każdy widok zdawał się galerią. Jerzy ucieszył się z kwatery, był bliski zachwytu dla swojej służbówki, na pewno głęboko odetchnął.

Zmęczony dniem, rzucił się na tapczan w mniejszym pokoju. Rozłożył się w butach i mundurze, padał ze zmęczenia, tęsknił za tą chwilą i było mu obojętnym, gdzie i jak się położy. Zamierzał zasnąć od samej myśli, ale nie poszło po myśli, wiercił się, w końcu zdjął buty i marynarkę, przykrył do połowy narzutą i znów przewracał się na boki. Gdy wreszcie przychodzi długo oczekiwana chwila odpoczynku bywa, że człowiek prześpi zmęczenie, przegapi swój czas i wtedy jest tak skonany, że nie ma siły zasnąć. Zmęczony sen nie przychodził, w zastępstwie pojawiły się myśli, skupione wokół przyszłego zadania. Jerzy zastanawiał się, jak dotrzeć do Kapisy i uzmysłowił sobie, że Minz nie dał mu żadnej wytycznej, żadnego adresu. Nie dostał nic, nawet awansu na zachętę.

– Nie! Zaraz! Przepraszam Gienka! Dostałeś rezydenta! – poprawił się z przekąsem. Umysł pracował ciężko, wódka, długa podróż i znów głód dawały znać o sobie, wszystko usiłował zagłuszyć. Mówił do siebie, jak potwornie jest padnięty i marzy tylko o łóżku. Po dłuższej chwili perswazji udało się przekonać zmęczenie, aby razem z Jerzym poszło spać.

### 3

Od dwóch tygodni męczył się nad Kapisem, ludzie, których przydzielił Minz, przysparzali więcej pracy niż sensownych działań. Jerzy był wściekły i bliski rozpacz, po cichu zastanawiał się czy Gienek nie wykonał kolejnego nędznego dowcipu, sabotażu lub jakiejś innej zabawnej gry. W końcu uznał, że wariuje i po kolei wykluczył wszystkie oryginalne podejrzenia. Znał relacje między Minzem i Kapisem, nic w tych stosunkach nie było zabawnego. Beznadziejność całej piątki wywiadowczej da się tłumaczyć pośpiechem i ostrożnością, jaką musiał zachować pułkownik, który nie miał pod ręką myślących ludzi, zdolnych udźwignąć poważne zadania. Rozumni nie nadawali się do tej roboty, kto miał łeb na karku nie narażał się Kapisowi, chyba że myślał o sobie i chciał dla siebie ryzykować, jak Jerzy Gdula. Minz połapał, gdzie się da i jacy byli – ani rozbłąkani, ani nawet domyślni, robili swoje, nie mając pojęcia w czym biorą udział. Już się nie dziwił, że niczego im nie zdradzono, nie było komu. Prawdziwa partyzantka, skauci, poszukujący wrażeń, nieprzygotowani i pozbawieni wyobraźni. Porucznik Gdula ograniczył kontakty z informatorami do najniższego poziomu, nie chciał ryzykować otwartego konfliktu, jakby nie było, tych nędzników wyznaczył sam szef, a z tym się nie dyskutuje. Używał wielu

środków zaradczych, aby widzieć przekłętą ekipę raz na konieczność. Najczęściej powoływał się na ścisłą tajność akcji i zasad konspiracji, słowem dziecinada. Szczęściem w nieszczęściu podobne argumenty robiły wystarczająco duże i przekonujące wrażenie. Dzięki wstępnemu poskładaniu spraw miał spokój z Minzem i jego ludźmi, mógł się zająć samym Kapisem. Mógłby, ale nie miał nawet fastrygi pomysłu. Kilka razy dziennie różnymi drogami mało rozsądnie zagadywano Gdulę o postępy, odpowiedzi posyłał służbowe. O tym, że w wszystko się robi, że krok po kroku, że rysuje się plan i ma się świetnie, bo jest na dobrej drodze i we właściwym kierunku. Irytujące pytania spotykały się z adekwatnymi odpowiedziami. Prace wcale nie chodziły, stały, bywało, że leżały kwicząc. Pojawiał się niepokój, za nim błyski cudownych rozwiązań i grzmoty błyskawicznych pomysłów. Burza w mózgu, jak dotrzeć do sedna, leżąc na tapczanie z oczami wlepionymi w spękany sufit? Minz zachowywał wyjątkową ostrożność, Jerzy w ogóle nie był w gmachu Informacji, miał zakaz i z tym jednym nie bez ulgi się zgadzał. Całą akcję musiał łątać i obserwować ze swojego mieszkania, tam też pojawiali się ludzie z łapanki, co z czasem zaczęło potwornie męczyć. Jerzy wymyślał inne ustronne miejsca dla spotkań, ograniczając domowe wizyty pod niezawodnym pretekstem dekonspiracji. Kiedy dostał zlecenie, zdawał sobie sprawę, że nie wie co go czeka, z niezrozumiałych względów uznał, że to tylko miesiąc stażu, przed objęciem obiecanych stanowisk. Po dwóch tygodniach obserwacji obiektu, jak mawiali podlegli Gduli zwiadowcy, mógł się pochwalić paroma informacjami bez znaczenia. Widziano Kapisę w jakiejś restauracji, rozmawiał z kimś na chodniku, oprowadzał psa po okolicznych drzewkach i nic poza tym. Połowa wyznaczonego czasu zmarnowana na bezowocne podchody. Puszczaly nerwy i tłukły się z myślami. W rezultacie Jerzy przestawał kontrolować swoje relacje z informatorami, zdarzało się ubliżyć któremuś, za całokształt i za kolegów, w domyśle – za Minza.

Kolejny dzień siedział w domu i usiłował sklecić cokolwiek z niczego. Odszukać marny ślad ze strzępów trzeciorzędnych obserwacji, nieistotnych sensacji i chaotycznych pomysłów błędzących bez pożytku. Pośród odbitych i przychodzących informacji w końcu zderzył się z myślą porażająco trafną, tak trafną, że jedyną:

– Nie tak się „robi” człowieka, nigdy się tak nie robiło – zauważył po dwóch tygodniach, co od pierwszego dnia powinno być jasne. Obojętnie kogo, zawsze „robiło” się jednakowo, najprościej, jak można, kadry nie lubiły się wysilać. Pierwszy znikąd pretekst, prawdziwy lub fałszywy donos, podrzucony kompromitujący materiał, parę dolarów w kopercie, list od nieistniejącego krewnego z istniejącego wrogiego kraju, fałszywy świadek. Masa wypróbowanych, niezawodnych metod i żadnej dotąd nie wykorzystano. Za Kapisem biegało pięć ogonów pod domowym nadzorem rezydenta. Nikt nie wiedział, co właściwie do niego należy i po co ta cała szopka z rozmachem. Zamiast dowództwa pełen chaos, wszystko odbywało się od przypadku do incydentu. Minz nie wymagał żadnych raportów, Jerzy nie odbierał od skautów pisemnych sprawozdań. Punkt dowodzenia mieścił się w służbowym mieszkaniu obok sracza. Gdy do Jerzego dotarły te nagromadzone śmieszności i cała amatorszczyzna, poukładał sprawę Kapisę w beznadziejną misję. Wniosek był jeden. Minz, może sam, a może z Litmanowiczem, bał się pójść na sprawdzoną całość, nie chciał „robić człowieka”, dlatego wyczekiwał na cud. Liczył, że znajdzie na Kapisę coś rzeczywistego i prawdziwego, rutynowo bał się go ruszyć. Wszyscy stali z boku operacji, oceniając stan rzeczy bez złudzeń, po prostu świeżo upieczony rezydent dostał kilku praktykantów, sugestią dotyczącą jednego nazwiska i miesiąc, aby suchą stopą przejść po bagnie, cudownie wyławiając oskarżenia. Jeśli nie pułapka, to umywanie rączek, na co mogli sobie pozwolić ambitni pułkownicy, ale nie podporucznik z ambicjami.

– Jest gorzej, niż myślałem. Gówno! Wcale nie pomyślałem! To nie jest zadanie, to jest szaleństwo – boleśnie trafiony, padł na tapczan. W sytuacji, która go dopadła, było tylko wejście i jedynie dwa tygodnie na odnalezienie wyjścia. Nawet teraz, tym bardziej teraz, gdy

zrozumiał, w co został wciągnięty, musiał dalej robić swoje. Nie mógł wyjść z czegoś, w co wszedł, bo dał się wciągnąć. Jeśli nie można wyjść, trzeba się ewakuować awaryjnym korytarzem. Co jeśli Kapis nie zostanie namierzony? Zadał sobie pierwsze pytanie o drogę ewakuacji. Nic się nie stanie, należy grzecznie poprosić o więcej czasu, zrzucić winę na skautów, zaproponować urzędową metodę „robienia człowieka” – odpowiedział.

Styl gry narzucił Minz, długi kij i obiecana marchewka. Jerzy dostał awans na rezydenta, trochę wódki, perspektywę błyskawicznej kariery w sądzie i chyba beznadziejne zadanie. Jeśli wykona ledwie możliwe, dostanie wysokie stanowisko, gdy nie podoła – będzie pierwszy do odstrzału. Marne szanse, płaskie widoki, w dodatku w tym samym stylu z Minzem grać nie mógł. Jedyną taktyką, jaką dało się przyjąć, było wciąganie Minza do jego własnej gry. Za i po uszy, wciągnąć bez odwrotu. Innej marchewki dla pułkownika nie miał, tą musiał poczęstować, ponieważ kijem na Minza było zdemaskowanie akcji, w konsekwencji odwet śmiertelnego wroga, zemsta majora Kapisy.

– Uduwać głupiego, grać, gdy przyjdzie termin rozliczeń! Tymczasem robić swoje i liczyć na cud. – Zebrał wszystko w jedną prostą instrukcję, niczego twórczego nie odkrył, ale w sprawie Kapisy i tak za wiele było uduwnień z radosną twórczością. Proste ruchy nie były złe, wiedział już na czym stoi i miał alibi, wystarczająco dużo, aby złapać spokojny oddech po dwóch tygodniach zadyszki.

Zbliżał się wieczór, było grubo po siódmej, gdy usłyszał niepewne pukanie do drzwi. Od pierwszych głuchych dźwięków poznał, kto stoi po drugiej stronie. Nietrudno odgadnąć, nikt prócz informatorów, jak baba, nie pukał. Ten za drzwiami był chociaż subtelny, ledwie skrobał, jak samotna sąsiadka, która odwiedza wdowca. Niechętnie zwał się z tapczanu, z trudem oderwał wzrok od sufitu, na którym rysował swoje niby-plany.

– Kto tam? – prawie warknął.

– Chętki, towarzyszu poruczniku – odpowiedziała baba. Jerzy wzdrygnął się na odzew, gorzej trafić nie mógł, czekała go rozmowa z najgłupszym ogonem o jeszcze głupszym pseudonimie. Wszyscy wyróżniali się tymi samymi cechami, śladowe ilości intelektu i idiotycznie brzmiące pseudonimy: Sodach, Szych, Zbyty, Niżny i Chętki. Otworzył drzwi i niemal wciągnął nieproszonego gościa do środka.

– Co ja ci mówiłem?! Co?! Nie przyłaż mi tu. Z hektara widać coś za jeden i jeszcze gębę drzesz operacyjną ksywą! Kowalski rozumiesz?! Kowalski się przedstawiaj, albo Radziwiłł... jak już tu przyłazisz!

Zebrało się Chętkiemu za całe ostatnie dwa tygodnie wszystkich wspólnych niepowodzeń. Przestraszony ledwie zipał, zapomniał oddychać. Wbiegał po schodach z nowiną, która wydawała się najważniejsza ze wszystkich, a tu takie podziękowanie. Tak się podpalił swoimi rewelacjami, że nawet się nie przywitał i nie przeprosił za to grubiaństwo, choć zwykle kajał się za wszystko, bo rzadko robił coś, za co nie trzeba tłuc się w piersi.

– Towarzyszu poruczniku trafiłem duży trop – goniąc oddech wyjąkał jak półanalfabeta.

– W co wdepnąłeś!? – Jerzy kolejny raz zakpił. Zapowiedzi dużych tropów słyszał już dziesiątkami dziesiątek, potem przechodziły w setki i dalej mnożyły się bez pamięci, zwłaszcza pamięci o poprzednich dużych tropach.

– Majora Kapisy poniewierał jeden cywil – odpowiedział Chętki, nie zwracając uwagi na złośliwości, nie docierały do niego. Donos zabrzmiał obiecująco, Gdula natychmiast zrezygnował z gnębienia skauta i przeszedł do rzeczy:

– Jak poniewiera? Czym? – spytał łagodnie.

– Major wyszedł z restauracji z tym cywilem, szli kawałek i pod ręce się trzymali – mówił nieskładnie. – W bramie cywil poklepał towarzysza majora po twarzy i po plecach, potem pocałował w policzek... – zawstydził się od swojej opowieści.

– No i? – ponaglał Jerzy.

– No i się rozeszli – Chętki odetchnął ciężko. – Major poszedł do domu, tamten nie wiem, gdzie.

Skończyło się jak zawsze, ale w tej podobnej do wszystkich informacji była jedna niepodważalna wartość w postaci samej informacji. Dotąd skauci przynosili odpryski, skrawki, przeinterpretowane zapalem. Chętki dostarczył jeszcze nie konkret, ale coś na miarę „czegoś”. Klepanie Kapiso po policzku może uchodzić za wartościową sensację. Człowiek zimny, antypatyczny, nie przejawiający żadnych odczuć ani nawet ludzkich odruchów, że o uczuciach śmiesznie wspominać, nagle stał się obiektem przyjacielskich lub lekceważących czułości. Tyle przebiegło Jerzemu przez głowę i jeszcze to, że żadnej pochwały Chętkiemu nie złoży.

– Coś tam widziałeś. Pewnie towarzysz major zęgnął się z kuzynem, może przyjacielem z lasu. Towarzysz Kapis nie pozwoli na takie tam byle komu. Dobrze, że z tym wpadłeś, trzeba takie rzeczy meldować. Następnym razem może być coś ważnego – przemówił tonem znajdującego się na rzeczy nauczyciela, nie karcił, lecz motywował: na drugi raz postaraj się trochę bardziej.

– Mnie się zdaje, że to jest ważne, towarzysz major dziwny był, jak nie on. Taki inny, chyba się bał tamtego. Dziwny był... podejrzany – przepłoszony Chętki żarliwie bronił swojego odkrycia, wszystkimi mocami, ale w zapale się zapominał.

– Co znaczy: podejrzany? Pogłupieście z takimi wyrazami?! Wam się nie popieprzyło coś? Mieliście chronić majora! A wy co? Podejrzewacie?

Gdula sądził, że łatwo odbije urobek z całego zwiadu. Okazało się, że przywiązanie do sukcesu było silniejsze od ostrożności, Chętki odważnie walczył o swoje. Na nieszczęście palnął nieostrożnym słowem, zupełnie niewinnie użytym, ale z tej wpadki natychmiast skorzystał bardziej doświadczony funkcjonariusz, by drugim ciosem wybić młodszemu koledze sukcesy z głowy. Potraktował przerażonego skauta brutalnym wykorzystaniem okazji, sukces musiał mieć tylko jednego ojca – Jerzego Gdula. Nawet od takiej namiastki, z której jeszcze nic nie wynikało, Jerzy odsuwał konkurencję, aby nie mogła zatrzymać dla siebie jeszcze niewidocznego zwycięstwa. Informacja miała zaledwie cień wartości, ale była jedyną i to zdecydowało, kto został ojcem zaplanowanego sukcesu.

– Tak mi się powiedziało jakoś – spieszył się słowami przełożonego, pogubiony zwiadowca nie wiedział w czym rzecz, co takiego powiedział. Zaczął się bać i był to wystarczający powód, aby się wycofać.

– Wiecie, ilu ze spuchniętymi jajami cienko piszczało za takie: „tak im się powiedziało”?

– Gdula wyciskał z ofiary ostatnie soki, właściwie już niepotrzebnie, tylko dla pewności i odrobiny satysfakcji, w tym celu zniżył się nawet do żargonu przesłuchań, którym szczerze gardził.

– Towarzysz poruczniku, ja tylko, że było dziwne, tylko tyle powiedziałem...myślałem, że ważne... pomóc przecież chciałem. – Chętki zwarzył się zupełnie, stracił orientację w porażkach i sukcesach.

– Pomogłeś, trzeba takie rzeczy meldować, tylko trzeba uważać, jak się melduje. Masz szczęście, sprawa zostaje między nami. Nie powtarzaj nikomu, co było, bo sobie bałaganu narobisz.

Pocieszenie i uspokojenie podziałało na sponiewieranego informatora. Nadal i jeszcze bardziej nie miał pojęcia, co takiego najgorszego zrobił, ale wyraźnie się ucieszył, że nikt się o tym nie dowie.

– Dziękuję towarzysz poruczniku, ja naprawdę nie chciałem, żeby tak...

– Dobra, już się nie przysięgaj. Komu innemu o przełożonym byś takie świństwo powiedział, marnie kończysz. Uważaj na gadanie, gadatliwych przesłuchują pierwszych. – Kolejna dawka przestróg pomieszanych z pocieszeniem dobiła ogłupiałego skauta. Gdula rzucał zdaniem

w znanym stylu, cześć słów była żywcem wyniesiona z gabinetu Minza. Poczul się prawdziwym szefem i tak się zachowywał, naśladował maniery szefostwa

– Dziękuję, towarzyszu poruczniku – odpowiedział, wdzięczny z przerażenia, Chętki miał dość.

– Napijesz się? – Jerzy zmienił karcący ton na propozycję do odrzucenia. Założył, że nienaturalna grzeczność będzie końcem wizyty.

– Nie... nie, dziękuję, muszę wracać do roboty.

– Racja, trudno, będzie jeszcze okazja.

– No to pójdę już, do widzenia, towarzyszu pułkowniku. – Chętki wycofał się najskromniej i najuniżej.

– Cześć – odpowiedział Jerzy, nie zwracając uwagi na pomyłkę, która awansowała go na pułkownika. Ucieszył się przejęzyczeniem w randze pułkownika, znaczyło, że skaut przestraszył się nielekkko i odpuści sprawę, a może pomylił się proroczo. Gdula powodów do radości miał więcej, przede wszystkim w końcu coś dostał. Zachowanie Kapisa tak dramatycznie nie pasowało do niego, że opis pozornie bagatelnego wydarzenia był długo wyczekiwany śladem, czymś namacalnym i godnym uwagi. Póki co nie dało się informacji zinterpretować jednoznacznie, dlatego Jerzy cieszył się z samego faktu. Łapał pierwszy świeży i głęboki oddech w sprawie. Poczul wreszcie, że jest szansa na pomyślny finał, pomyślny dla Jerzego, nie dla Kapisa i nawet nie dla Minza. Czego odmówił Chętki, Gdula sobie nie odmawiał. Niczego jeszcze nie opijał, jedynie odreagował ostatnie dwa tygodnie, opróżniając połowę butelki z pomocą lusterka. W tym dniu nie myślał już niczego robić, od jutra chciał się zabrać za śledztwo całą naprzód. Zamierzał przejąć robotę skautów i doprowadzić do szczęśliwego końca oraz pokazać Minzowi, na co stać, wciągniętego w niewykonalne zdanie, porucznika Gdulę.

Następny dzień przywitał lekkim zawrotem głowy, niesmakiem w ustach i dotkliwym warknięciem żołądka, o tyle perfidny rewanz organizmu, że dawka ciężkiego do strawienia płynu nie dawała powodów do złośliwości. Zdrada zaboląła, ale Jerzy znał te wszystkie fortele i umiał sobie z nimi radzić. Przede wszystkim żadnej kawy, żadnych klinów, nie w dniu, gdy czeka robota, i w ogóle nigdy na kaca kawy, tylko zsiadłe mleko. Recepta banalna, zalecana przez lud, ale działała niezawodnie. Wódki i kwaśnego mleka nigdy nie mogło zabraknąć, logiczna i konsekwentna sekwencja trunków. Jerzy nastawiał mleko co kilka dni i jeśli nawet nie wykorzystywał do leczenia, popijał prawie wszystkie posiłki, nie zrażając się połączeniami, po których niejeden układ trawienny miałby co robić przez kilka godzin. Nawyk wyniósł z dzieciństwa i wczesnej młodości i nie było jedynym dziwacznym przyzwyczajeniem, za to ulubionym. Tuż po spożyciu przywracającego życie lekarstwa przekąsił, co znalazł w kuchni, potem zabrał się do układania scenariusza działań. Zamierzał osobiście śledzić Kapisa, taki punkt programu miał ciężkiego kalibru zalety, z zaletą naczelną – nagroda za samodzielny sukces. Podobne motywacje były dla Jerzego odwiecznym kierunkiem działań. Niestety odezwała się i sporo napsuła poważna wada podjętej decyzji. Dotychczasowa praca porucznika Gduli polegała na prostym dostarczaniu niepokojących informacji, zbieranych głównie w oficerskiej szkole, słowem zwykłe donosy na kolegów. Trywialne zajęcie nie miało w sobie niczego z kryminalnej i sensacyjnej estetyki, żadnych długich płaszczy, kapeluszy zaciągniętych na skronie i gazety z dziurką wypaloną papierosem. Żadnego stania w ciemnej bramie i oglądania wystaw, gdy obserwowany „obiekt” niespodziewanie odwróci się za krótką spódniczką. Nawet nie pisał grypsów, nie oglądał mikrofilmów, nie prowadził rozmów telefonicznych szyfrowanych hasłami i odzewami, słowem – żadnego śmiesznego szpiegostwa. Codzienne mozolne czynności: słuchanie i donoszenie. Estetyką kryminalną Jerzy gardził i z niej kpił, między innymi dlatego nie miał najmniejszego szacunku dla takich ogonów jak Chętki i inni od Minza. Śmieszył go

branżowy żargon z „obiektem” na szpicy śmieszności, bawiła cała specyfika i aura. Po co wielkie ceregiele, kiedy donoszenie jest tak proste i pozbawione całej tej dziecinady?

Nastał czas ciężkiej próby, zebrane wyobrażenia musiał zweryfikować i przygotować się do roboty, której nie znał i nie darzył szacunkiem. Jerzy kpił ze szpiegowskiego fachu, w końcu przyszedł czas rewanzu, fach i życie zakpiły z Jerzego. Zastanawiał się nad wykpiionymi procedurami i charakteryzacjami, myślał, jak się ubierze, jakie będzie robił uniki w trakcie śledzenia. Co się wydarzy, gdy zostanie nakryty przez „obiekt”, który śliniąc się na nylonowe pończochy, niespodziewanie odwróci głowę. Ostatnia obawa przekładała się na szczególne niebezpieczeństwo, gdyby Kapis nakrył Gdulę, zabawa w błyskotliwą karierę znalazłby swój tragiczny, na pewno żałosny finał. Przegrany nie wsparłby się na pagonach pułkowników, tylko został przygnieciony ciężarem własnej głupoty i naturalnej selekcji. Skończyłby jak wielu chorążych i poruczników, których sam selekcionował. Wpadka oznaczała, że pułkownik Minz z pułkownikiem Litmanowiczem natychmiast poszukają ucieczki, odwrócą się kręgosłupem od ściętej głowy, zaledwie podporucznika Gduli. Na szali zwycięstwa położył przerobiony na samodzielny, a wcześniej skradziony, sukces, dociążony gwarancją szybkiego awansu. Szala porażki dźwigała nie doważone ryzyko kończące karierę. Ważyło się wszystko z niczym, w najcięższej kategorii: „być kimś lub zostać niczym”.

Czasu na przygotowanie zwiadu miał sporo, major kończył robotę dopiero o 16.00, a Jerzy ledwie zjadł wczesne śniadanie. Ponieważ ignorował większość informacji przynoszonych przez ogony, nie miał przyzwoitej wiedzy na temat przyzwyczajzeń i rozkładu dnia „obektu”. Nie wiedział nawet czy major chodzi do pracy, czy korzysta ze służbowego samochodu i już przy pierwszej wątpliwości zatrzymał się dłużej. Jeśli Kapis jeździ samochodem, co niemal pewne, zaczyna się dość zabawny wyścig mechanicznych koni z brakiem myślenia zastąpionym mięśniami. Na wstępie terminator szpiegowskiego fachu znalazł barierę murem postawioną, ale i wstępnie postanowił pozbyć się problemu. Nie będzie głową walił, założy, że nie ma pewności w kwestii samochodu, tym sposobem muru nie trzeba burzyć, wystarczy go obejść. Dawali sobie radę najgłupszi skauci, tym bardziej da sobie radę wybitny porucznik i przyszły sędzia.

Następny krok musiał iść w kierunku metody, tu nieustannie powracały te same dziurawe gazety i nagłe zwroty w stronę witryn, śmieszne tematy i słowa z cyklu kryminalnego. Jedno w metodzie ustalił ponad wszelką wątpliwość – koniecznie zdjąć mundur. Tak oczywiste posunięcie nie dostarczyło specjalnych powodów do satysfakcji. Gdula widział majora ledwie raz w życiu, jeszcze w czasie szkoły oficerskiej, gdy pojawiał się w Warszawie, nie pamiętał już czy na spotkaniu z Litmanowiczem, czy z Minzem. W każdym razie nie został przedstawiony, jedynie poinformowany, że ten tam zgarbiony nazywa się Kryspin Kapis. Przelotne spotkanie nie dawało Jerzemu żadnej gwarancji anonimowości, mógł być zauważony przy innych okazjach, Kapis wiedział i widział prawie wszystko. Porucznik Gdula od przypadku do podejrzenia, analizował fragmenty przeszłości

i usiłował pogodzić z planami na przyszłość. Godząc, poszukując, klejąc, dostrzegł szaloną myśl, aby oczywistość odrzucenia munduru podważyć.

– Pójść za nim w mundurze, wcale głupie – mówił sam do siebie, zapominając, że mówi o śmiesznej robocie. Dalej pociągnął myśl w jeszcze bardziej zawile rejony. Każdy cywil, który się kręci za mundurowym jest podejrzany, ale mundurowy, który idzie za mundurowym, jest widokiem bardziej beczelnym niż zastanawiającym. Szalony pomysł zawierał metodę, z małym uszczerbkiem na całe życie: gdy Kapis rozpozna szaleństwo, skończy się zabawną tragedią.

– A właściwie dlaczego? – natychmiast dopytał, by znieść wątpliwości. – Jaka tragedia, że rozpozna? Zwykła rzecz! W czym ma chodzić porucznik? Idzie sobie w mundurze i spotyka majora w mundurze. Wita się, salutuje i po wszystkim! – uśmieł się. – Jeden, góra dwa razy przejdzie. Za trzecim w rodzinie nic nie zginie – słusznie zauważył i już bez uśmiechu.

Rozważania dotyczyły poważnych spraw, lecz same w sobie poważnymi nie były. Jerzy po prostu zgadywał, domyślał się, co musi zrobić, ale jak ma postąpić, nie miał domysłu. Naprzemian wykluczał i przyjmował kolejne „będzie dobrze”. W końcu znalazł w teoretycznych zabawach praktyczny kompromis. Pójdzie jak oficer i będzie się zachowywał ostrożnie, jak cywil, żeby nie kusić losu. Od samego początku wszystko, co się działo wokół sprawy majora, było grą o i na całość, remis wykluczał słabszego rangą. Chaos myśli

i projektów brał się również, jeśli nie przede wszystkim, z nieograniczonej determinacji podporucznika Jerzego Gduli. Wiedział, że startuje z najniższej pozycji i taki niski status musi się wsłuchać w zalecenia Minza: o trzy strzały do przodu, by zdołać ochronić potylicę.

– Pójdę i zrobię, jak trzeba. Za mnie nikt nie robi, a mnie mogą zrobić zawsze – przemówił Jerzy do Jerzego i ponownie się dogadali. Poza najprostszym nic innego nie ustalili, cała reszta miała być rekonesansem, próbą poszukania właściwych środków do najważniejszego celu. Z żadną wiedzą i nijakim doświadczeniem cóż większego sklecić się dało? Nigdy nie pracował i nie podejmował decyzji w taki sposób, aby godzinami, dniami i tygodniami układać pesymistyczną kolej rzeczy. Do podjęcia decyzji, która nierzadko okazywała się życiową, wystarczył impuls, czasem iskra impulsu. Tak się działo zawsze z jednym wyjątkiem – marzenia z dawnych lat. Wieki temu postanowił, że już nigdy więcej nie pozwoli się ścigać i nie zechce ukrywać. Pozostałe rzeczy działy się same. W spontanicznym działaniu towarzyszyło mu braterstwo z opatrnością. Jerzy zapomniał wszelkie modlitwy, ale opatrność szanował, czuł jej obecność i w momentach krytycznych, czy tylko trudnych, korzystał z dobrodziejstwa. Głęboko wierzył w swój sukces, dlatego nie liczył się z końcem dobrych i szczęśliwych czasów. Powierzenie siebie przyszłym losom nie oznaczało pogardy dla racjonalnych podstaw. Plan był, była logika i nawet warianty, lecz tam, gdzie brakowało wiedzy, stery przejmowała intuicja.

Wyszedł z domu parę minut przed 15.00, minął dozorcę, jego zawsze trzeba było mijać lub omijać, ciężko o taką porę, gdy staruszek nie krzątał się po podwórzu.

– Dzień dobry panu porucznikowi – stary przywitał się, przymierzając czapkę do kolan.

– Dzień dobry – szybko odpowiedział i w rewanżu zaszalutował. Jerzy wierzył, że taki głęboki gest spodoba się dozorczy i pozwoli uniknąć zwyczajowej rozmowy o tym i owym, bo zawsze ktoś z kimś coś tam. Trafił z gestem i pomyślał, że to na dobrą wróżbę.

Z domu do budynku Informacji Wojskowej miał spacerowy kawałek, jakieś 20 minut spokojnego marszu. Służbowe mieszkania zwykle przydzielano blisko urzędu. Z chwilą, gdy przypadkiem odkrył tę prawidłowość, zaczął się pocieszać, że Kapis, wyższy rangą, tym bardziej powinien korzystać z przywileju wygodnej lokalizacji. Spostrzeżenie dodało wiary w zamiary. Trochę za wcześnie złapał dobry nastrój, ale czuł się z tym dobrze. Od jakichkolwiek zysków dzieliła nie tylko przestrzeń między adresem zamieszkania i budynkiem Informacji, ale przede wszystkim nieprzewidywalna, spontaniczna akcja, której założeniem jest pełen sukces, bez połowicznego przygotowania. Mijał kolejne budynki i ulice, rozglądał się dyskretnie czy mundurem nie ściąga na siebie uwagi? Czy ludzie nie oglądają się za nim? Czy spacer oficera po Warszawie jest atrakcją dla cywili? Niczego podobnego nie stwierdził. W latach pięćdziesiątych, ledwie kilka lat po wojnie, żołnierz nie robił tak wielkiego wrażenia, w każdym razie nie na zwykłych mieszkańcach, którzy nie mieli odwagi lub sił sprzeciwić się obowiązującym regułom. Podobne założenie wydawało się z góry trafione, niemniej praktycznie potwierdzone dostarczyło Jerzemu solidnych argumentów utwierdzających w pomyśle, aby iść w mundurze wbrew wszelkiej pozornej logice i nadmiernej ostrożności. Dopiero teraz, gdy się ostatecznie przekonał, pomyślał o jeszcze jednej, zupełnie nieprzemysłanej rzeczy. Nie będzie dobrze zderzyć się z kimkolwiek z Informacji, a już całkiem fatalnie, gdy spotka Minza. I z tego, że biega wbrew rozkazom, mógł się wytłumaczyć, przede wszystkim głupotą skautów, ale nie chciał już



pierwszego dnia być przyłapany na samodzielnej i przez to niemądrej akcji. Minz niewiele przekazał Jerzemu, ale od biegania po ulicach zostawił mu ludzi. Jeszcze ciepły rezydent sam miał nad wszystkim stać i pilnować, selekcjonować informacje. Tak sprawy postawił szef, czyli taki wydał rozkaz i znany był z tego, że nie tolerował żadnych odstępstw, prośba w jego ustach miała być przyjęta i zameldowana jako wykonanie zdania. Minz był urzędnikiem w carskim rynsztunku, wszystko musiało mieć przepis i procedurę, choćby w najprostszej formie polecenia. Jerzy w swojej pracy nie przejmował się tak bardzo formalną stroną, często nie przejmował się w ogóle, ponieważ większości dopiero się uczył, poznawał i nie miał czasu na biurokratyczną precyzję. Teraz znów musiał płacić improwizowanym układaniem kolejnych ruchów, gdy pierwsze nie do końca przemyślane miał już za sobą.

– Za późno na większe korekty – zdecydował i po krótkim namyśle postanowił poczekać na wydarzenia i swój „obiekt”. Czekał na Kapisa przy pierwszym skrzyżowaniu ulic, zapominając o spodziewanych i niespodziewanych konsekwencjach spotkania. Stąd widział gmach Informacji i zawsze mógł odskoczyć za róg, gdyby zjawił się ktoś znajomy. Na szybko zorganizowaną ostrożność uznał za wystarczającą, resztę powierzył intuicji, co w sumie dodawało uroku całej śmieszności działań debiutującego szpiega. Doszedł na miejsce pół godziny przed czasem, jak się okazało, ten jeden błąd był najdotkliwszy, może dlatego, że zupełnie zlekceważony jako szczegół. Spacerujący po Warszawie oficer nie okazał się czymś nadzwyczajnym, jednak porucznik kręcący się bez celu tam i z powrotem, przedstawiał sobą widok więcej niż zastanawiający. Po kilku rundach spojrzął na zegarek, umknęło ledwie 5 minut. Przypomnił się dworzec w Jeleniej Górze, natychmiast skojarzył, że musiałby łączyć tą bezsensowną trasą jeszcze kilkadziesiąt razy, zanim przyjdzie właściwa pora. Tymczasem już czuł się idiotycznie i rozglądał nerwowo czy nie jest odosobniony w ocenie własnego zachowania? Pierwsza nieprzewidziana, banalna sytuacja, pokazała, że ogony wcale nie miały tak śmiesznie łatwego chleba, jak się Jerzemu kpiąco wydawało i, co więcej, niczego zabawnego w szpiegowskiej robocie nie znalazł. Musiał coś począć z wolno płynącym czasem, dlatego złapał się pierwszej okazji, jaką uchwycił wzrokiem. Parędziesiąt metrów od skrzyżowania dostrzegł szyld restauracji, tam postanowił się przechować przez uciążliwy kwadrans. Wszedł do pomieszczenia pełnego dymu z gwarem i od razu podsumował, że nazbyt wiele tego wszystkiego, jak na restaurację. Z daleka dostrzegł restaurację, z bliska trafił do speluny, tak pospolitej, jak twarze wypełniające podrzędny lokal. Od klamki odrzucał najstarszy knajpiany wykidajło, odór papierosowego dymu, potu, taniego alkoholu, i basowy tumult, w którym nie było słyhać własnych kroków. Za wielkim kontuarem, gdzie kuflami lało się piwo i setkami wódka, stał ponuro do życia nastawiony jegomość. Jerzy zawahał się w progu, po której stronie zamknąć drzwi, jednak był gotów na wiele, byle nie błąkać się po chodniku. Wszedł do środka i chcąc zmieszać się z tłumem, zachował się oraz zamówił jak wszyscy.

– Piwo proszę. – Powiedział głośno do barmana. Beczułkowaty, łysawy jegomość stał nieruchomo, nie podnosząc wzroku. Słyszając zamówienie, sięgnął po jeden z nalanych już kufla, przygotowanych do wydania.

– Dwa złote – burknął i spojrzął w końcu na Jerzego. Zdziwił się, a w kolejnym odruchu przestraszył widokiem oficera. – Dwa złote, obywatelu poruczniku – poprawił się uprzejmie, po czym sięgnął po szmatę i oczyścił kufel z ociekającej piany, z czym wcześniej nie zamierzał się wygłupiać. Jerzy pozostał przy barze, tam było najciszej i najwięcej miejsca. Ponury grubasek nie miał ochoty na rozmowę, wolał unikać mundurowego towarzystwa. Usunął się dyskretnie do swoich zajęć, kręcił wąsem przy dystrybutorze i to była kolejna sprzyjająca przeczekaniu sposobność. Były też okoliczności niesprzyjające; siedząc przy barze Jerzy poczuł, że każde oko próbuje przez plecy dostać się do jego zakłopotanej twarzy.

– To chyba nie był trzeźwy pomysł, żeby tu wchodzić – pomyślał, dodając sobie otuchy niewielką dawką knajpianego humoru. Lokal tej kategorii przyciągał zupełnie inną niż

oficerską czy nawet przyzwoitą klientelę. Było za późno, żeby się wycofać, szybkie wyjście jest bardziej podejrzane niż niespodziewane wejście. Wziął się za sączenie piwa, zanim opadła piana, normalnie nie znosił podobnego picia, teraz chciał się czymś zająć i najlepiej czymś takim, co robili wszyscy. Zachowywał się jak każdy, by pokazać, że po nic innego tu nie przyszedł.

Po kilku łykach poczuł, że pije ciec, która nie może być piwem i Bóg jedyny wie, czym usiłuje być. Nie zrażał się, tkwił w takim miejscu, gdzie niewiele miał do zrobienia prócz tego, co musiał. Żadnych odstępstw, wypić jak wszyscy, albo chociaż wyglądać na takiego, który potrafi odsączyć nalane po brzegi świństwo, by nie urazić narzekaniem na poczęstunek. Dwa kufle w tym lokalu mogły się okazać zamiarem ponad siły, na tyle wycenił swoje możliwości. Nie kaprysił, pokornie cedził, w tempie pozwalającym urwać wymierzone 15 minut. O dziwo, czas był litościwy, płynął szybko. Gdy dopił zlewki udające piwo, wyszedł z lokalu nieznannej kategorii i dopiero za drzwiami spojrzął na zegarek. Sprawdzał, o ile się pomylił, traktując kufel jak klepsydrę, okazało się, że niewiele, do pełnego kwadransa brakowało trzech minut. Idealnie. Musiał się przecież jeszcze cofnąć do skrzyżowania i zostawić jakiś zapas. Szedł wolno, przy zbiegu ulic znalazł się na parę minut przed szesnastą i znów powrócił ten sam problem. Tym razem gubił czas stoickim spokojem, stał w miejscu, obok bramy budynku i trochę lepsze niż niedawnym błąkaniem po chodniku sprawiał wrażenie. Zwyczajnie sobie czekał na coś lub na kogoś, może na dziewczynę, albo na taksówkę, nic wielkiego. Radość z kamuflażu nie potrwała długo. Przed budynkiem Informacji pojawiła się czarna limuzyna. Odczytał zmianę jako zapowiedź rychłego wyjścia, któregoś z wyższych rangą oficerów. Napawał się widokiem, zapominając, że jeszcze niedawno właśnie tego najbardziej się obawiał.

Gdy się czeka na coś ważnego, wszystko jest podporządkowane jednemu celowi – żeby się w końcu doczekać. Cała reszta wydaje się nieistotna, w identyczną pułapkę wpadł zwiadowca Gdula. Ucieszył się, że samochód anonsuje Kapisa, zapomniał, że z samochodem marszem i nawet biegiem nie wygra. Ostatnie odesłanie oka do zegarka. Minuta przed szesnastą i dokładnie o tej godzinie, major wgramolił się na tylną kanapę auta. Jerzy rozpoznał „obiekt” z bezpiecznej odległości. Kapis miał tak niepowtarzalnie groteskową sylwetkę, że nie sposób go pomylić, w każdym razie nie z innym majorem. Mały, przygarbiony na jedną stronę, zawsze przechylał głowę na bok i patrzył spode łba. W rachityczny sposób salutował do przekrzywionej czapki, jakby żartował z wojskowej świętości, ale to nie była kpina, tylko efekt żalostnej fizjonomii. Wszystkie niepowtarzalne, osobnicze cechy Gdula rozpoznał bez trudu i dopiero, gdy „obiekt” wszedł do wozu, dotarło do niego, że zwiad zaraz weźmie w pusty łeb. Samochód ruszył w kierunku skrzyżowania, w tej samej chwili szpieg przestał analizować cokolwiek. Instynktownie odskoczył i skrył się w bramie, skąd patrzył na przejeżdżającą limuzynę i nawet nie mógł dostrzec, kto siedział w środku. Po krótkiej chwili wychylił się i odwrócił za odjeżdżającym samochodem, który przejechał skrzyżowanie, potem skręcił w następną ulicę.

– Koniec tajnej misji – pomyślał i poczuł się dokładnie tak, jak wyglądał cały rekonesans porucznika Gduli, poczuł się kretyńsko. Wyszedł z bramy, obojętny od upokorzenia. Wyglądał jak dziecko, które zobaczyło, że tata w drugim pokoju odkleja brodę Świętego Mikołaja. Stał otępiały, przestał myśleć i nawet się bać. Nie przejmował się tym czy został rozpoznany, czy ktoś go widział? Szedł przed siebie, śladem czarnej plamy, która mignęła przed oczami i ambicją. Nie mógł się pogodzić z tym, co sobie zafundował, wściekał się, a złość powodowała, że nie zachowywał najmniejszych ostrożności.

Pokonanie kawałka drogi od bramy, gdzie stał jeszcze kilka chwil temu, do przecznicy, w którą wjechała limuzyna, zajęło moment. Jerzy wyszedł za róg i... oniemiał. Może 50 metrów od zakrętu zobaczył Kapisa i kierowcę, który otwierał tylne drzwi. Widok był tak niespodziewany, że odrzucił za fasadę budynku. Gdula nawet nie zdążył pomyśleć, by

się wycofać, a już stał po drugiej, bezpieczniejszej stronie zbiegu ulic. Nic w zastanym obrazie nie układało się w logiczną ciągłość. Z Informacji do miejsca, gdzie Kapis wysiadł, nie mogło być więcej niż 300 metrów, może 350. Przejechać taką spacerową trasę służbowym wozem? Kto robi podobne rzeczy? Kapis! Przejazdzka do nikogo nie pasowała tak bardzo, jak do niego, uwielbiał symbole własnej bezkarności i z przepychem korzystał z należnych przywilejów.

– Dlaczego nie spytałem Minza, gdzie ten cudak mieszka? Minza? Pewnie i Chętki zna adres od kilku tygodni, każdy z nich, każdy ogon.

Zwiadowca Gdula pomyślał o czymś najbardziej oczywistym, a potem zesła lawina pojedynczych spostrzeżeń, rozbitych o skołatana głowę. Odrzucił wszystkie, nie chciał się znęcać nad sobą, nie teraz, gdy jedno pytanie wciąż pozostawało aktualne: „Co teraz?”. Strzelił tyle głupstw, że postanowił popełnić jeszcze jedno – raz jeszcze zerknął za fasadę i zdążył zobaczyć majora wchodzącego do domu. Dokładnie zlokalizował miejsce, zapamiętał odległość, po czym odskoczył i nawet przeszedł kawałek w drugą stronę, żeby się głębiej schować. Ostatni ruch był jednocześnie pierwszym rozsądnym, jaki się tego popołudnia Jerzemu przydarzył. Przyczajony, czekał, aż kierowca zawróci, nie chciał być zdemaskowany, wolał postać ile trzeba, by nie trafić na szofera Kapisa. Zamierzał spokojnie wrócić do domu, bez dodatkowych przygód ale nic się na ulicy nie działo, najmniejszego warkotu, który już dawno powinien był słyszeć. W końcu upłynęło tyle czasu, że dalsze sterczenie wydawało się bezcelowe. Ile może jechać przez skrawek drogi? Tym bardziej, że w chwili, gdy ostatni raz widział limuzynę, właśnie ruszała z miejsca. Kolejna bolesna historia? Na wszystkie pytania, odpowiedzi należało szukać za rogiem.

Wyczyny zwiadowcy Gduli miały być czymś w rodzaju praktycznego egzaminu dla początkujących szpiegów, który oblał bez prawa poprawki. Wszystkie możliwe błędy i śmieszności popełniał seriami, złożony efekt braku przygotowania i bezmyślnie silnej, pozbawionej kontroli determinacji. Zdawał sobie sprawę z własnych dokonań, przynajmniej od czasu do czasu pojawiała się taka myśl, w tych najbardziej skompromitowanych nieudolnością miejscach. Ośmieszał się, ale nieustraszenie brnął w kolejne etapy roboty, na której kompletnie się nie znał. Za rogiem zastał pustkę, niczego żywego i niczego martwego, żadnych ludzi, żadnych samochodów. Zapewne kierowca miał do zrobienia coś więcej niż podrzucenie Kapisa do domu i pojechał w swoją stronę. Jerzy wściekł się i ruszył, gdzie wzrok mu podpowiadał. W zapamiętanym miejscu, zobaczył odświeżoną dwupiętrową kamienicę, wyróżniającą się na tle odrapanych i podniszczonych budynków. Połyskujący świeżością punkt wśród szarej ruiny był dodatkową podpowiedzią, że to musi być adres „obiekту”. Kapis używał swojej pozycji do wszystkiego, użył i do tego, aby jego dom wyglądał jak dom. Gdula stał przed budynkiem, popełniając następne szaleństwo o jakie nie pokusiłby się najgłupszy ogon. Gapił się na kamienicę i cieszył z osiągniętego sukcesu – namierzył bezcenny adres. Parę minut temu celnie sobie wytłumaczył, że bez trudu mógł zdobyć najprostszą informację od skautów lub Minza, nawet powinien ją mieć, teraz nie pamiętał, w czym był śmieszny. Piętrowa nieporadność i farsa topornych działań przebrała się we frak spektakularnego sukcesu. Przed oczami i w głowie miał orczyk. Dlaczego orczyk?

Należało się spodziewać żałobnego marszu w stronę domu, ale koniec kompromitującej eskapady zwieńczyły nieoczekiwane fanfary na cześć bezsensownej operacji. Myśli zdradliwie zalatujących porażką świeżo ośmieszony szpieg nie dopuszczał, udało się ustalić adres majora i w obliczu takiego sukcesu krzywdzące jest podszeptywanie porażki. Zdobywca kluczowej informacji wracał do domu taksówką, taką sobie wyznaczył nagrodę za przebrany sukces. Jeszcze nie powrót, ale już pobyt w domu wyleczył z triumfu, pomogło w terapii niezawodne lekarstwo i towarzystwo – wódka z lustrem wypita na krzywy ryj. Stara przyjaciółka bez litości pokazała kompletną śmieszność i nie zostawiła niczego poważnego do opicia. Z każdym kieliszkiem zmieniały się toasty, zaczął od picia za sukces,

w połowie butelki był już przy wątpliwościach, pod koniec czuł gorycz wódki, smakującej katastrofą. Krajobraz zmyślnego bankietu przerodzonego w autentyczną stypę jawił się klasycznie. Samotny przegrany facet rozpija swoje żale. Podsumowanie wyprawy po głowę Kapisa nie mogło wypaść inaczej niż trupio blado, w dodatku z pogrzebu trupa wyszły jaja.

– Błazenada! Chętki, patrz i wybacz genialny ogonie! Twoje zdrowie! Aaaaa, ty nie chciałeś ze mną pić! Dobrze zrobiłeś! Wygrani nie powinni pić ze sponiewieranymi – plątał się w pijackim bulgocie, kilkakrotnie usiłował poprawnie powtórzyć najtrudniejszy zlepek słów. Gadał sam do siebie, bez zahamowań i na głos. – A ta speluna? Oj było oryginalnie, zamiast zrobić, wypić „siku”. Pościg za samochodem, też niezła szarża. Samochód, kurwa, dom Kapisa, kurwa, te bramy, kurwa, ale dno, bezdenne, kurwa – z pokutną premedytacją zdzierlił czołem w stół, tak za karę i dla przywołania myślenia na przyszłość.

O ile parę godzin temu miotał się groteskowo, teraz zaliczał podsumowanie, które z powodzeniem można nazwać upadkiem. W podobnym poczuciu upokorzenia i beznadziei nie dojrzywał od dawna i sam swój ciężki stan krytycznie pogłębiał w jak najbardziej banalny sposób. Czas płynął, wydawało się, że po przełomie, którego dostarczył Chętki, sprawy powinny nabrać tempa gwarantującego wykonanie zadania w terminie. Zwrot przestał być przełomem, gdy wziął się za niego Jerzy. Karcąc samego siebie, jednocześnie zastanawiał się nad czymś, czego w żaden sposób wcześniej nie dopuszczał. W pijackiej desperacji dochodził do takiego punktu, w którym wszelkie kompromitujące operacje typu piesze pościgi za limuzyną i odskoki za róg, zamierzał zwrócić Chętkiemu. Postąpiłby tak bez wahania, gdyby ambicje nie przysiadły się do wódki. Jerzy Gdula psychikę miał sprzecznie skomplikowaną. Z jednej strony nie dopuszczał do siebie czegoś, co choćby przypominało porażkę, uważał, że wszystko, co robi, jest najlepsze tylko dlatego, że on to robi. Z drugiej strony potrafił się nad sobą pastwić całymi dniami i tygodniami, jeśli doznał upokorzenia. Samokrytyczny megaloman – mieszanka osobowości z pozoru nie do pogodzenia, ale właśnie takim koktajlem się upijał. Jeśli ktoś w przekonaniu o własnej wielkości popełnia błąd, jest do niego przywiązany i z błędu wychodzi boleśnie długo. Kocioł myśli i żadna nie przypominała pomysłu, nawet nie była punktem zaczepienia na jutro i na kolejne dni. Przejście przez własne upokorzenie jawiło się jako główny i jedyny cel, któremu teraz poświęcał się w całości. Nie tyle bolał brak efektów, co nękała śmieszność wykonanych działań. Bardziej szarpało ego niż marny zysk z podjętego wysiłku.

Gdzieś w przebłytku odpowiedzialności i ujarzmionej determinacji powtarzał sobie, że tkwiąc na stypie wesela nie doczeka. Pogrzeby dzieją się same, na życie trzeba sobie zapracować. Pijackie postanowienia z pijackiej natury rzeczy nie mają wielkiej wartości, jednak Jerzy był człowiekiem pełnym sprzeczności, dziwnych nawyków i nietypowych postaw. Jakimś cudem udawały mu się rzeczy, które psuły się innym. Podobnie jak do błędów, ale z jeszcze większą siłą, był przywiązany do swoich decyzji i nie miało większego znaczenia, w jakich okolicznościach je podejmował. W tej chwili, po ostatnim kieliszku stać go było tylko na jedno. Bezwzględny dla siebie, zdecydował, że sprawę Kapisa sam zakończy. Postanowienie tak ogólne, że niemal dziecinne, ale zawsze zaczynał w ten sposób. Najpierw musiał wiedzieć czego chce, potem nie dopuszczał żadnej myśli, która zakłócała postanowienie. Ma być zrobione? Musi być zrobione! Pierwszy ruch i po nim kolejne kroki, wprawdzie kłamka już raz zapadła, lecz sprawy przybrały taki obrót, że wyjątek musiał potwierdzić regułą.

– Dziś płacz nad sobą, lituj się, ale jutro zapierdalaj ze wszystkim bez litości i tak, żeby reszta płakała. Spać! Przespać gównem, nie kapać się w nim, żeby się nie utopić, nie pójść na dno.

Po trzeźwo wydumany sukcesie, pijackiej katastrofie, żalach i lamentach, Jerzy położył się do łóżka z przytomnym postanowieniem sięgnięcia po to, co mu się należy – po wszystko, po wielki, samotny sukces. Skończył się jeden z gorszych dni, zdarzały się znacznie gorsze, decydujące o życiu i śmierci, ale ten był dlatego podły, że tak żyć się nie

powinno. Życie musi pachnąć właściwym wyborem, a wybór jest tylko jeden – być po właściwej stronie, tam, gdzie można ważyć własną siłę i cudze słabości.

– Jedno zadanie, tylko jedno! Wytrzymaj! Udźwignij! Donieś! – tym razem nie na głos, ale tak, jak zawsze przy największych celach, w środku, tylko do siebie, powiedział ostatnie słowa przed snem i pierwsze na całe życie.

#### 4

Dnia następnego przywitał Jerzego podwójnie ciężki ranek, wszystkie przewidywalne skutki nie były zaskoczeniem, jednak w ferworze eskapad zabrakło asekuracji, którą można złągodzić planową niedyspozycję. Zsiadłe mleko wyszło i dziś poza gorzką herbatą nie było innego ratunku. Wyjął ze zlewu kubek, gdzie znalazł resztkę mętnej lury. Zagotował wodę, dosypał świeże wióry, potem zaparzył całość, nie dbając co pije, na domiar z fusami. Nie przejmował się niczym: ani tym, co pływa w blaszaku, ani tym, co go czeka, pamiętał tylko wczorajsze pijackie, ale przytomne postanowienie: „sam dokończę Kapisa”. Wszystko musiał poukładać od nowa w takiej formie, w jakiej był, czyli w kiepskiej. Szpiegowski fach uważał za śmieszny, a mimo to osiągał ponizające rezultaty, ciężko w takich warunkach odszukać finezję. Podsumowanie ulicznego błazeństwa musiało wypaść żałośnie, ale najbardziej przygnębiała oczywistość, że śledzenie polega na śledzeniu i na niczym więcej. Nie ma innej metody, by dociec kto bez obaw poklepuje i obściskuje Kapisa. Trzeba powtórzyć dokładnie to samo, tylko już nie tak samo. Znacznie lepiej w szczegółach, rozsądniej i skuteczniej w konkretach, słowem skorygować katastrofę sukcesem. Po prostu dotrzeć do bezczelnego człowieka, pozwalającego sobie na poufałości wobec poważnego oficera. Odnaleźć go, zachodząc Kapisa po bramach, za późno na złote recepty, zresztą zostały wykluczone.

Herbata zmieszana ze zlewkami nie przywróciła do życia, samą perswazją musiał przemóc w sobie podłe poczucie fizycznej klęski, pijackie przyrzeczenie było najważniejsze i ono stawiało na nogi. Udało się podnieść z kolan i nawet wstępnie ustalić, jakich błędów nie wolno powielić. Nie będzie już wizyt w spelunach, wiadomo jaki jest adres „obiekту”, trzeba się tam zjawić z sensownym zapasem czasu, który nie zmusza do krępujących zachowań. Kilka ustaleń likwidujących najgłupsze wpadki było już czymś i wcale nie takim małym, chociaż tak oczywistym, że znów zabolało. Przyzwoite minimum nie dawało żadnej gwarancji, ale przynajmniej uwalniało od żalości i za wcześniejsze wygłupy przepraszało nadzieję.

Wyszedł z domu o 15.30, z jasnym, przemyślanym planem. Po drodze zerkał na zegarek, strzegł punktu pierwszego – dotrzeć na miejsce nie wcześniej niż kilka minut przed szesnastą. Przyspieszając i zwalniając kroku reagował na przesuwające się wskazówki. Skuteczną w prostocie metodą znalazł się przed rozpoznaną, świeżo odnowioną kamienicą. Ukrył się w punkcie drugim planu, w bramie naprzeciw i czekał na przyjazd lub przejazd limuzyny. Wjazd był tak pomyślany, że piesi mogli przechodzić swobodnie przez mniejsze wejście, samochody wjeżdżały dzięki dwóm dużym skrzydłom, otwieranym dla takich okazji jak przeprowadzki i inne prace wymagające transportu. Jerzy wszedł, jak na szpiega przystało, bez rozmachu, skromnie, przez małe drzwi i schował się w długim korytarzu, tak kiszkatym i obudowanym, że ledwie było widać skrawek podwórza. Miejsce do obserwacji wydawało się idealne, pewne schronienie nawet dla nieudolnego zwiadowcy.

Zostały dwie minuty do szesnastej, za chwilę powinien pojawić się czarny, szary wóz i nim Jerzy zdążył sprawdzić postęp wskazówek, limuzyna podjechała przed budynek. Major znów się nie przejmował czasem pracy, uciekł wcześniej. Po kilku sekundach szofer otworzył drzwi, a Gdula zobaczył rachityczną sylwetkę w pełnej brzydocie i... mógł wracać do domu.

- A panu można pomóc? – zza pleców odezwał się głos, ledwie brzmiał i nie wyglądał na więcej niż dziesięć lat.
- Nie, mnie nie trzeba, nie można pomóc – wykrztusił Gdula. Kopnęło szpiega prądem, dreszcz popłynął po karku i grzbiecie, nawet gdy zobaczył dziecko, które nie mogło mu zaszkodzić, poczuł się przyłapany na gorącym uczynku, zaliczył następną wpadkę w śmiesznie łatwej robocie.
- A mój tata wcale nie jest z lasu – dzieciak znów poczęstował gorzkimi słowami, których jeszcze trudniej było się spodziewać.
- Dlaczego? – Jerzy nie interesował się tym, co słyszał, chciał już iść, uciec stąd.
- Mama tak powiedziała – mały spojrzał szeroko otwartymi oczami, wyczekująco, ale też bez wielkiego zaciekawienia, w końcu cóż można odpowiedzieć na taki argument.
- Aha! Mama, to świetnie.
- Jutro jedziemy do więzienia, mój tata tam mieszka – opowiadał, jak o wycieczce do ZOO.
- No, to dobrze, dobrze... – Jedno sensowne zdanie nie padło z ust Jerzego, ciągle nie mógł się odnaleźć w tym, na czym został przyłapany i że w ogóle został przyłapany. W dziecinnej robocie nakryty przez dziecko, przykry stan oziębiającego upokorzenia.
- Do widzenia panu. – Smarkacz pomachał ręką i pobiegł w głąb korytarza, nie czekał na odpowiedź. W podskokach zatriumfował, zostawił nakrytego i pokonanego z głupią miną. Gdula usiłował się otrząsnąć, wczoraj wygłupił się sam przed sobą, dziś miał świadka. Wyskoczył z bramy złodziejskim krokiem, nie szedł, nie maszerował, prawie biegł i nerwowo poprawiał czapkę. Drugi dzień pachniał, wyglądał i był porażką. Nic się z tym nie dało zrobić, z faktami nie można się spierać, okoliczności też były bezdyskusyjne, Kapis poza zasięgiem. Upokorzenie w bramie, bezsens wykonanej pracy, wszystko szło za nim krok w krok, wracało razem z nim do domu, gdzie dotarł szybciej niż się zorientował, że stoi w bramie i słyszy znajome głosy. Na podwórku darły się dzieci sąsiadów, wyjątkowo zabrakło stróża w długim szarym fartuchu.
- Kurwa mać, chociaż tyle – pomyślał z ulgą na długość półpiętra. Już na klatce schodowej dozorca się odnalazł.
- Ty tu nie wracaj, rozumiesz mnie, nie wracaj – krzyczał do jakiegoś dużo młodszego mężczyzny.
- Ojciec, ojciec, ojciec...ojciec da spokój, takie moje, jak ojca, ojciec rozumie w ogóle
- Kompletnie pijany, młody, może dwudziestoletni chłopak, nie przejmował się pogrozkami staruszka. Młody i piękny był, brunet uczesany na brylantynę, jak na smętne czasy ubrany radośnie i odważnie. W kurtce amerykańskich pilotów wyglądał jak księżniczka, bo trochę jak kobieta. Stary zauważył Jerzego i zaraz zaczął ratować sytuację.
- Obiad uszykowany, idź jeść. Dzień dobry panu porucznikowi – dodał w pół zdania. Gdula nie odpowiedział, nie przez impertynencję, nie widział, nie słyszał, nie miał głowy i tym bardziej dozorcę zmartwił.
- Tata da spokój, tata truje – ledwie wypowiadał słowa pijany w sztok brylantowy królewicz.
- Ty pójdiesz do domu! – stróż wycedził pod wąsem – Panu porucznikowi dzień dobry nie łaska?!
- Tata wie, co mnie porucznik może, mnie major... rozumie tata – młodziak odpowiadał tak, jak wyglądał, bezczelnie i beztrosko. Jerzy przeszedł obok awantury na schodach, cały poświęcił się swojej porażce. Jedyne o czym marzył, to zgrzyt zamka i trzask drzwi po właściwej stronie.
- Drugi dzień, drugie dno – rzucił na powitanie zatrzaszkując za sobą drzwi. Nawet nie sięgnął po wódkę, miał w głowie nokaut. Legł, nie zdejmując czapki, odbiła się od ściany i spadła za tapczan. Nie było jeszcze wpół do piątej, wiosenne popołudnie i tylko pochmurne niebo ratowało, dając powód, aby skończyć dzień. Korzystał z pretekstu i leżał nieruchomo, udawał, o prawdziwym śnie nie było mowy.

– Wstań i zapierdalaj po mleko! – żołnierskim słowem stawiał się na nogi, musztrą zwalczał poczucie porażki i upokorzenia, adrenalinę mieszał z narkozą. Pobudzał się złością, znieczulał bezsilnością. Skutek terapii? Nadal leżał. Czapka na podłodze, pomięty mundur rozłożony jak długi i wystające za tapczan oficerki. Obraz z dzisiejszego dnia. Bez mleka, bez wódki i tylko niewielki ślad po wczorajszym: „Trzeba wygrać!”. Ale jak w takim stanie i po dwóch dniach odbić się z tego dna, by sięgnąć po to, co wydawało się tak łatwe, jak łatwo przychodziło poniewieranie ogonów i ich śmiesznego zajęcia. Słabość i brak szczęścia, stałe przyczyny porażki, spadły na tapczan, nie dbając czy przygnieciony zdoła się wygrzebać.

Z ledwie odnotowanej rozmowy dozorczy i tego drugiego zostały pojedyncze słowa, które nie wiedzieć czemu teraz tłukły się bezładnie, jakby chciały z litości coś podpowiedzieć. „Major” – wymuskany brylantyną powiedział: „major”?! Powróciło echo ze schodów, mały przebłysk, który zaraz zgasł. Rozpaczliwe skojarzenie majorów Jerzy uznał za pocieszenie niegodne nawet upokorzonego. Szukanie pokrewieństwa pomiędzy tym, co ledwie usłyszał na piętrze, a tym, co musiał wykonać, mogło dobić. Niemoc rozciągnięta na łóżku i najgorsza w tym stanie podła myśl: „jutro trzeba będzie zrobić dokładnie to samo”. Zacisnął palce i w najszybszej myśli wyszeptał wers modlitwy:

– Boże niech się stanie tak, żeby wreszcie wrócić godnie. Błagam cię! Pomóż!

Zawstydzził się, ale jeszcze raz powtórzył błaganie. Ciężko przerażony i okaleczony był gotów przyjąć każdą pomoc, byle nikt się o tym nie dowiedział. Do kogo innego mógł się z takim błaganem zwrócić? Rozmowa z dzieckiem skaleczyła najboleśniej. Nie rozumiał, dlaczego musiał spotkać tego smarkacza i usłyszeć tyle niepotrzebnych słów. Dotąd szczęśliwie nie widział drugiej strony działań, zajmował się celem, zamykał oczy na środki. Teraz zobaczył, w czuprynie i zawiedzionych oczach. Mały mówił dorosłym wyrzutem, o wielkiej krzywdzie ojca i własną pokazał oczami. Pamiętał podobnego chłopca, wtedy była wojna i działały się krzywdy nieludzko większe, jednak tamten chłopiec nie miał odwagi, nie miał siły wykrzyczeć swojej krzywdy, milczał i spuszczał wzrok. Tego samego żądał od wszystkich dzieci, których ojcowie nie potrafili o siebie zadbać. Oczekiwał bezwzględnej ciszy, gdy człowiek, dbając o siebie, realizuje marzenia i usiłuje zdobywać cele. Wpadł na tę sprawiedliwą myśl niespodziewanie i trzymał najmocniej, na plecach zaciskając ramiona. Doszukał się uczciwego postawiania sprawy. W ten sposób zrzucił przynajmniej jeden balast, który zwykło się nazwać „niepokojem sumienia”.

– Tyle mnie obchodzi ten gówniarz! Tyle mojego bólu w jego głupio zdziwionych oczach. Nie będę płakał nad jego ojcem, nie płakałem nad własnym! – nie pierwszy raz wściekle myśli nie pomieściły się w głowie. Utrata obrazu wyznaczonego celu, z krzykiem na zewnątrz, wydobyła ukryte i oburzone brakiem nadziei myśli. – Nie idzie? Musi pójść, obok bram i zasmarkanych żalów! Żadnej wódy, więcej mleka!

Motywacje wygłosił rutynowo, bez najmniejszych zewnętrznych objawów, które by zdradzały, że rozmawia sam ze sobą. Myśli oburzone wyrzucał z siebie, myśli najwyższej wagi pozostawały nieme; przez to wymagały większego skupienia i troski. Podnosił się, najpierw na duchu, powtarzając pacierz: „Sprawę Kapisa trzeba skończyć”. Jutro pojutrze i za tydzień też pójdzie, zawsze tak samo, o 15.30 i dojdzie na parę minut przed szesnastą, tylko inną znajdzie bramę, gdzie nie łkają płaczliwe historie. Za którymś razem musi się stać i w tych dniach, które zostały. Inaczej się nie da, już od wczoraj jest jasne. Reanimował się skutecznie, znów znalazł racjonalny początek jedynie słusznego podejścia do rzeczy i trzymał się go, obrabiał na wszelkie możliwe i tylko pozytywne strony. Po szczęśliwym początku, kolejny krok – z wodą przerwa. Dalej trzeba iść – po mleko, poruszać się między ludźmi, oswoić z nimi, obserwować reakcje, uczyć się kroków w tłumie i czytania intencji w bramie. Wstał, wydobył zza tapczanu czapkę i wyszedł z pokoju, poszukać skuteczności działań, treningu, który miał nadzieję spożytkować w następnym podejściu do Kapisa, a prób obiecał sobie do skutku.

Na klatce i podwórzu było pusto, żadnego śladu po awanturze i, co bardziej przyjemne, zabrakło wiecznie obecnego dozorca. Gdula zauważył nietypową scenerię, jednak nie zatrzymał się przy krajobrazie na dłużej, nie zapierał widok tchu, przeciwnie, dawał ulgę. Miał swój ulubiony sklep z mydłem i powidłem, gdzie chodził zawsze, można tam kupić wszystko, czego potrzeba. Irytowały ogonki, rozmowy starszych kobiet i stetrycziałych dziadków, ale radził sobie z tym, bo czasami pojawiały się niebrzydkie, zagonione młode matki, podrywał je potem w myślach i zaciągał pod kołdrę, kochał się z nimi, a one prosiły o więcej. W snach był wielkim kochankiem, na jawie jeszcze nie poczuł smaku kochanki, nie było okazji i bał się ich szukać. Tylko przed sobą miał odwagę się obnażyć i tylko siebie dotykać. Przed sklepem nie brakowało też innych atrakcji. Przy schodach zwykle przyczajało się kilku żulików, a to bardzo ciekawi ludzie. Młode matki, żuliki, ogonki – idealne miejsce, aby odebrać lekcję obserwacji. Jerzy musiał się złapać czegokolwiek, nawet tak infantylnego pomysłu, jak trenowanie zwiadów, byle nie odbić się od ściany i nie trafić razem z czapką za tapczan. Wyjście na zakupy potraktował, jak poprawkowy egzamin i po to, nie po mleko, poszedł przed siebie. W sklepie nie działo się nic wielkiego, było po piątej i żadnej kolejki.

– Dzień dobry! Dwa mleka poproszę – zwrócił się do sprzedawczynie w kiedyś białym, teraz szarym, spranym i poplamionym fartuchu.

– Dzień dobry! Nie ma. Ze dwie godziny, jak się skończyło. O tej porze rzadko kiedy jest. Na jutro mogę panu oficerowi odstawić. Z rana, jak przywiozą, pan oficer sobie odbierze. Kiedy będzie chciał, sobie odbierze – sapnęła dłuższym zdaniem spocona sklepowa. Zwróciła się do „pana” oficera jak dozorca, starym warszawskim zwyczajem, co Jerzy odnotował jako pierwszy obserwacyjny sukces. Na równie troskliwą obsługę mogli liczyć tylko ci najważniejsi z ważnych – lekarz, mecenasowa, oficer; podobnych propozycji sklepowa nie składała byle komu.

– Dziękuję bardzo za informację – ostatnie słowo jakoś prześwidrowało, jak bolący ząb. – Przyjdę jutro, może nawet rano – odpowiedział więcej niż uprzejmie.

– Tylko, żeby nie przed siódmą zaraz, bo to nie zawsze dowiozą – grzecznie uprzedziła baba o wielkim biuście, biodrach i wiecznie spoconej twarzy.

– A nie! Tak wcześniej nie, później przyjdę. Do widzenia! – pożegnał się, jak należało i taką samą usłyszał odpowiedź. W drzwiach minął się z żulikiem, brudnym i cuchnącym wszystkim, czym śmierdzą pijaki. Prawie się o niego otarł, ale nie wzdrygnął, zapasek żulików był jednym z nieodzownych elementów intrygującej całości. Już wychodził, gdy baba o szerokich biodrach nabrała powietrza, wypchnęła biust i zaczęła zachowywać się normalnie:

– Wypierdalaj mnie stąd, ale to już, capie śmierdzący jeden. Ledwo na oczy widzi pijaczyna, będzie mi tu zebrał. Poszedł, mówię, bo na milicję zawołam! – Sklepowa darła się wniebogłoso, a głos miała zupełnie nie przystający do postury, cienki, skrzeczący i tak wysoki, że aż śmieszny. Wrzeszczała bardziej niż zwykle, może chciała pokazać oficerowi, że o porządku dba. Jerzy zupełnie nie przejął się sceną, czułby się zaskoczony, gdyby usłyszał coś innego. Za to zdziwił się czymś innym, niespodziewanym. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, skąd nagle wpadło mu do głowy stare zdanie z czasów szkoły oficerskiej. Któryś z głupszych chorążych usiłował błysnąć klasyką literatury, nieudolnie przytoczył najbardziej zmęczony cytat z Hamleta. W odpowiedzi od jeszcze bardziej pijanego usłyszał sentencję, którą Jerzy zapamiętał: ”Być albo nie żyć? Książę! Aby być, wystarczy przetrwać, aby żyć, trzeba mieć i to najlepiej wszystko”.

Z wizyty w sklepie nic nie wyszło, żadnego mleka i próbowania przed robotą, poprawkę odwołano. Znów można się było poddać apatii, ale Jerzy uznał wycieczkę za dobre doświadczenie, przecież ma być cierpliwie i każdego dnia tak samo, aby w końcu trafić na dzień wyjątkowy. Z usprawiedliwieniem wracał do domu, przyspieszając z każdym krokiem. Po kilku metrach zrozumiał, skąd ta szkolna myśl znalazła się właśnie tu i teraz. Zderzenie



człowieka, który nie miał na piwo i był nikim, z człowiekiem, który musiał być kimś, by zdobyć wszystko, dawało do myślenia. Mijał kolejne budynki, szedł pustym chodnikiem i dopiero za rogiem dogonił zarys postaci, który nawet z daleka wydawał się znajomy. Z kolejnym krokiem zarys ustąpił miejsca sylwetce młodego mężczyzny w prochowcu, z kaszkietem na głowie, spod którego wystawały tłuste włosy. Jerzy nie dojrzał twarzy przechodnia, tylko ruchy ciała wydawały się znajome tak bardzo, jakby przed chwilą widział charakterystyczne kołysanie nóg i potrząsanie głową. Coś w tej scenie nie pasowało do zapamiętanego obrazu. Nie potrafił ustalić co i tym bardziej postanowił wykorzystać okazję do śledzenia przypadkowego człowieka przypominającego dobrego znajomego.

– Facet wygląda na sponiewieranego, trudno o lepszy obiekt treningowy. Bezpieczny, ale jak każdy urżnięty w trupa, potrafi zaskoczyć! – podsumował dość chaotycznie, jednak najważniejszym było po prostu iść, żeby znów nie leżeć. Odczekał chwilę, aż mężczyzna oddalali się na bezpieczną odległość, i ruszył za nim. Gość szedł z impetem, chociaż ledwo stawiał nogi. Mimo imponującego tempa marszu, jak na urżniętego w trupa, Jerzy nie miał najmniejszych problemów, żeby nadażyć. Szedł za nim, zachowując odległość, około 30 metrów i starał się trzymać stały dystans, co miało świadczyć o wyjątkowej fachowości zwiadowczej.

– Zawodowy szpieg potrafi utrzymać właściwy dystans – pomyślał i uśmieł się w duchu. Pijany mężczyzna szedł przed siebie i w tym kierunku patrzył, do momentu, gdy potknął się i prawie zawinął na latarni. Wytrącony z równowagi zgubił kaszkiet i teraz wisiał owinięty na słupie, z odsłoniętą twarzą, zwróconą w przeciwnym niż dotąd kierunku, w kierunku Jerzego.

– Pijak też mnie nakrył jak dziecko – jęknął w duchu. Bolesna myśl dopadła trenującego szpiega. Przełknął ból po męsku i kontynuował zabawę w podchody. Szedł dalej, nie zwalniając i beczelnie spoglądał na wiszącego młokosa, który dłuższą chwilę nie mógł się pozbierać. W końcu Jerzy był tak blisko, że dostrzegł twarz i całą postać...tę samą, która czas temu, na schodach szarpała się z dozorcą. Ta sama brylantowa księżniczka, tylko kaszkiet i prochowiec zamiast amerykańskiej kurtki nie pasował. Inaczej opakowana, jednak dokładnie ta sama dziecinna buzia lalusiowatego młodzieńca przypominającego kobietę, takiej buziuchny nie da się pomylić z inną męską twarzą.

– Nieźle! Śledzę syna cecia, który mieszka piętro niżej.... Szlag z tym! Goń go!

Przeszedł obok latarni i nie oglądając się ruszył w kierunku drugiej strony ulicy. Ucieszył się z tego prostego manewru, jak harcerz z pierwszej sprawności, w końcu zrobił coś delikatnie mądrego i to coś go nie ośmieszyło, nie upokorzyło. Po drugiej stronie mógł obserwować swój wcięty „obiekt”, który zbierał się po upadku. Trzymając się ręką słupa, podnosił czapkę, potem odczepił dłoń i wszystkiego udało się dokonać bez upadku. Złapał równowagę i znów zaczął iść tym swoim rześkim pijackim krokiem. Jerzy zastanowił się chwilę nad imponującym widokiem i oddał młodzieńcowi szacunek. Sam i nieraz znajdował się pod tak przemożnym wpływem wódki, dlatego potrafił docenić maestrię, z jaką chłystek dawał sobie radę i nie tylko z grawitacją. Trzymał pion i z wyjątkiem jednego potknięcia nie dawał się zwieść poziomowi, dwuwymiarowy kunszt.

– Twardy! – pomyślał Jerzy. – Skoro tak, to bawimy się dalej.

Decyzja podjęta spontanicznie, jak kroki pijanego, który przyspieszał i zwalniał, chwiał się jakby mocniej, jednak szedł. Przy zbiegu ulic skręcił w prawo, Jerzy odnotował ruch i odpowiedział przejściem przez ulicę, już po tej samej stronie, podążał za obiektem, zachowując swój fachowo wymierzony trzydziestometrowy dystans.

– Kolejne udane ruchy! – ubawił się treningiem. W ogóle zaczynał się dobrze bawić, potrzebował odreagowania, w śledzeniu pijaka było sporo frajdy i tym samym mniej przykrych skojarzeń z niedawnymi porażkami. Nic niespodziewanego się nie działo, syn dozorczy nie wykazywał najmniejszych objawów, zdradzających, że wie, co się wokół niego dzieje. Pewnie nie bardzo się orientował, gdzie jest, a spotykanych ludzi widział podwójnie

i jednakowo. Kompletnie i niczym towarzystwem się nie przejmował, mijał kolejne ulice i jeśli wszystko działo się przypadkiem, to obrana przez niego trasa wydawała się przemyślana i zamierzona. Nie wahał się na żadnym zakręcie, zataczał się, ale przez sekundę nie zastanawiał, gdzie skręcić. Obaj mężczyźni przeszli już ładny kawałek i droga, którą tak konsekwentnie połykał wstawiony młodziak, zaczynała się zdawać niepokojąco znajoma.

– Idzie w stronę Informacji, jeszcze dwa zakręty i wyjdziemy na Informację! – Szpieg ustalił położenie obiektu i od razu zaczął się lękać, że dobra zabawa za chwilę przerodzi się w niepotrzebne i niebezpieczne przygody. O tej porze niewielu znajomych oficerów mógł się spodziewać, było po robocie, mimo wszystko nie chciał się kręcić koło niebezpiecznego gmachu. Fatalnie wybrane miejsce treningu, ale tylko przez moment zastanawiał się, czy kontynuować akcję, na dłużej nie potrafił się oderwać od śledzenia.

– Jutro mogą mnie przyłapać głupiej niż dziś – bezgłośnie powiedział do siebie. Pierwszy zakręt z dwóch, na drodze do Informacji, był już za nimi. W Jerzym rosło przekonanie, przyprowadzające o niezdrowe podniecenie, że zaraz się znajdą w najmniej właściwym miejscu, a to wymagało natychmiastowej interwencji.

– Co znaczy jeden pijak więcej, ilu dziennie chwieje się po ulicach? Trasa jak każda, pijak jak każdy. Idzie, gdzie go nogi poniosą, i tyle.

Przed ostatnim zakrętem zamroczony przystojniaczek zrobił zwrot, zostawił za sobą knajpę, gdzie pewien porucznik pił piwo, którego sobie wczoraj nawarzył. Gdula odetchnął i prawie zdecydował, żeby na dziś dać sobie już spokój, ale młody właśnie zdążył w innym znanym kierunku. „Major” – raz jeszcze przypomniał się „major” ze schodów.

– O co chodzi z majorem? – pomyślał i śledził dalej. Nie spodziewał się i nie był przygotowany na to, że szpiegowski trening zacznie przypominać próbę generalną. Zabawa przerodziła się dokładnie w to, co od kilku dni usiłował robić śmiertelnie poważnie. Z tą różnicą, że zamiast Kapisa ścigał pijanego sąsiada, którego dziś dopiero poznał, zupełnie przypadkiem. Zostało ledwie kilkadziesiąt metrów do znanego adresu. Jerzy zaczynał się nerwowo rozglądać, tym bardziej, że obiekt wyraźnie zwalniał i spoglądał na świeżo odmalowaną kamienicę.

– Nie, nie! Nie ta brama, nie ten gówniarz i jego tatuś. Przyspieszyć, iść dalej – zdecydował, zostawiając za sobą wczorajsze błędy. Szybko wskoczył między dwa budynki, usadowił się i czekał na rozwój wydarzeń. Po pierwszym wychyleniu czapki z kryjówki zobaczył, że młodziak stoi już przed kamienicą majora. Wszystko działo się bardzo szybko, błyskawicznie skończyła się zabawa i zaczęła właściwa akcja. Dopiero teraz, widząc pijanego mężczyznę przed bramą Kapisa, Jerzy właściwie skojarzył słowo „major” z informacją Chętkiego i kłótnią na schodach.

– „Major” i ten drugi! To on! To musi być on! – Podskoczył radośnie, cieszył się jak dziecko i przestał bać, nawet zdemaskowania, czuł, że jest bliski celu. Napity przystojniak wszedł przez bramę, do środka kamienicy, od tej chwili Jerzy zawiesił euforię i zaczął się katusze niewyrobionego szpiega, seria pytań z pojedynczymi odpowiedziami. Czy postawić wszystko i rzucić się, by przyłapać na gorącym czynie? Ale jakim czynie? Nic nie wiadomo. Kim jest ten chłystek dla Kapisa i co z tego wynika? Musi być kimś niezwykle ważnym, skoro idzie na bezczelnego, urżnięty w sztok i nie boi się wizyty pod takim adresem. Za mniejsze rzeczy Kapis odstrzeliwał trzeźwych. Wejść? Czy wejść tam? Jak wejść? W to się nie da tak po prostu wejść.

– Spokój! Mam człowieka, wiem, kto jest, jeszcze nie wiem kim jest, ale żadnych szaleństw. Po co wchodzić? Wszystko spieprzyć głupim ruchem!?

Parę godzin temu szpieg obiecywał sobie cierpliwość i teraz na szybko postanowił trwać w obietnicy, zanim nerwową śmiesznością znów wszystko skasuje. Krótka lekcja i wyciągnięta nauka powstrzymała niecierpliwą myśl. Gdy ochłonął, przyszła radość z niewiarygodnego zbiegu okoliczności, z którego wyszła rzecz wielka. Takiego osiągnięcia

z pogranicza wyczynu mógł sobie pogratulować. Czekał na dalszy ciąg, być może znów się wydarzy samo, bez większego wysiłku i tak samo wyjaśni. Jerzy gapił się w drzwi wejściowe kamienicy i oczekiwał powrotu...

– Bikiniarz! Znajomy Kapis to bikiniarz. Z bikiniarzem Kapis się pokazuje i pozwala obściskiwać? – odkrył sensację. Podobne pytanie już kiedyś padło, te same wątpliwości miał sponiewierany i wyśmiany Chętki. Jerzy wykorzystał czas na szybkie analizy, rozważanie wersji i szukanie odpowiedzi na znane pytania, jednocześnie odrzucał wszystkie wcześniejsze i niemal identyczne spostrzeżenia skauta, które zagrażały samodzielnemu zwycięstwu porucznika Gduli.

– Za dużo rezonu, nawet jak na Kapis! W tym musi być jakaś tajemnica, którą trzeba skojarzyć ze zdradą, nie wchodząc w szczegóły. Sam bikiniarz powinien wystarczyć, żeby Minz mógł i chciał zamknąć sprawę – podsumował myśli i ponownie dozbroił się w cierpliwość. Teraz był już pewien, że ma zbyt wiele, aby jednym nieprzemyślanym ruchem stracić wszystko. Czekał, po prostu czekał, aż pojawi się kolejny element tajemnicy, musiał się zjawić. Jeśli nie tu i teraz, to wyjdzie w kolejnym dniu. Brylantowy był namierzony jako znajomy Kapis; ten postęp znaczył, że Jerzy nie musi się nawet ruszać z domu. Najważniejszą część zagadki miał po sąsiedzku. Nie ma już sensu i potrzeby wychodzić o 15.30, żeby być o czasie na starym miejscu, teraz wystarczy pilnować syna dozorca, on jest tym, którym należy się zająć, aby skończyć z Kapisem.

– Co było do dupy zaczyna się układać obok dupy. Postęp! – ucieszył się jeszcze nie z finału, ale do szczęśliwego końca było tak blisko, że pora wyjść z męczącej niemocy. Dziś już wiele nie oczekiwał, liczył, że zobaczy jak znajomek Kapis wytoczy się z jego mieszkania, tyle w zupełności wystarczy, żeby uznać dzisiejszą robotę za wypłakany sukces.

Bikiniarz nie wychodził przez dobre i męczące pół godziny. W ostatnich dniach Gdula żył z zegarkiem i każde istotniejsze wydarzenie odnotowywał w czasie, nabawił się czegoś w rodzaju pilnowania czasu. Jeden z ubocznych efektów nieudolnego śledzenia. Trzydzieści wolno upływających minut wzmocniło przekonanie, że ten młokos nie jest przypadkowym gościem majora. Naturalnie Kapis nie był jedynym mieszkańcem kamienicy, jednak Jerzy ani przez moment nie podejrzewał, że ktoś inny mógł teraz gościć brylantowego typka. Tajemnica Kapis układała się w rozwiązanie skrojone od sztancy. Tylko pedantyczny masochista mógł się teraz pastwić nad sobą poszukiwaniem innych możliwości i wykluczaniem ich po kolei. Rozsądek i układ zdarzeń wskazywał na naturalny związek między tymi dwoma dziwakami i formalnością zdawało się nieuchronne potwierdzenie faktu. Pół godziny jeszcze wczoraj mogło zabić, gdyby Jerzy musiał spędzić tak długi czas na ulicy albo w bramie, czekając na postęp w beznadziejnej sprawie, umarłby z niecierpliwości. Dziś nie czuł żadnego niepokoju, głowę miał zaprzątniętą swoim nowym i wielkim odkryciem, czas wcale się nad nim nie pastwił. Był spokojny i nawet już nie tak często spoglądał na zegarek, pewny swego nie myślał o dekonspiracji. Kolejny kwadrans nie zmienił nastawienia, nie zabolalo, bo tak dobrze dawno nie było i jeśli trzeba za to płacić godzinną stójką między kamienicami, cena jest żadna. Cierpliwe wyczekiwanie na swobodny bieg rzeczy, prawem serii miało przynieść kolejny zysk i tak też się stało.

Robiło się szarawo, gdy major z bikiniarzem wyszli z bramy. Kapis, cywilnie ubrany, nie dostarczył żadnych identyfikacyjnych trudności, wszystkie charakterystyczne przekrzywienia głowy i ciała nie pozostawiały złudzeń, kim jest ów przykurczony starszy pan. Trzymał coś w ręku i dopiero teraz Jerzy zauważył, że obok mężczyzn biegł mały pies, chyba jamnik. Na początku przechadzali się pokazowo spokojnie, ale po kilkunastu krokach obaj zaczęli machać rękami i mówić coś do siebie, byli coraz bardziej rozedrgani. Zbliżał się emocjonalny finał rozmowy. Zmierzali w kierunku Jerzego, co powinno obudzić nerwowość, ale tak się nie stało, bo Kapis z bikiniarzem kompletnie nie zwracali uwagi na otoczenie,

kłócili się ze zwieszonymi głowami. Gdy znaleźli się idealnie na wysokości przyczajonego szpiega, porucznik Gdula po raz pierwszy mógł usłyszeć fragment sprzeczki:

– Tak ci mówiłem?! Nie chodź ty do mnie! Jak ci mówiłem? Tak ci mówiłem?! Rozumiesz, co to koniec? Rozumiesz?!

Jerzy nie widział, kto groził, ale któż mógł? Ochrypnięty głos starszego impertynenta, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, Kapis wyzywał się na tym drugim.

– Całe gówno rozumiem! Za młody jestem, żeby rozumieć. Towarzysz major jest mi coś winien, towarzysz nie zapomina. Pięknym i młodym za darmo dają. Rozumie stary towarzysz? – odpowiedział młody pijany głos.

– Gówniarzu! – syknął starszy. – Nie takich, jak ty... – obejrzał się za siebie i potem na boki, Jerzy odskoczył w samą porę. Przewidział, co się stanie, tak się wydzielali, że jamnik zaczął szczekać i szarpać się na smyczy. – Nie takich, gnoju! – major przecedził przez zęby i szarpnął psem. Straszyl, jak zawsze, ale bezradny był, jak nigdy. Udawał, że kontroluje sprawy i był beznadziejny w tej roli. Sam to przyznał, gdy drugi raz pociągnął smycz i zawrócił w kierunku domu, jednocześnie odepchnął młodego, aż ten się zachwiał i obrócił na jednej nodze

– Do domu, gnoju! Do mamy! – warknął, przytłumiając głos i za chwilę zniknął w bramie. Bezcelnie pewny siebie lowelas jakby się przykurczył i przez to upodobił do swojego starszego kompana. Zaskoczony tym, co się stało, otrzepał poły prochowca i ruszył przed siebie. Jerzy nawet nie drgnął, tkwił w miejscu, chciał chwilę odsapnąć, uspokoić myśli, pozbierać w całość wszystko, co usłyszał i zobaczył. Jeszcze nie zdecydował czy warto iść za pijackiem, odtwarzał całą szarpaninę słów i gestów, próbował wyciągnąć z emocjonalnej formy jak najwięcej istotnej treści. Bikiniarz oddalał się, gdy dochodził do skrzyżowania ulic z bramy wychylił się Kapis. Pewnie chciał sprawdzić czy reprimenda przyniosła skutek? Gdy przekonał się, że problem zniknął za rogiem, łagodniej pociągnął za sobą psa i poszedł dokończyć spacer.

Porucznik Jerzy Gdula, zaufany współpracownik Wojskowej Informacji, miał teraz dwa obiekty do przejęcia i jeszcze do tego trzecią możliwość, aby odpuścić sobie wszystko. Z dostępnych wariantów instynktownie wybrał ten, który dotąd przynosił najwięcej korzyści, zdecydował pójść za sąsiadem i nie ryzykować o tej porze spotkania z poirytowanym Kapisem. Wbił wzrok w jamnika, na szybko wymyślił sobie, że dopóki nie straci psa z oczu, nie ruszy się z kryjówki. Przywołał tym pomysłem najzabawniejsze szpiegowskie dokonania i zaraz się wezwał do porządku. W szarówce, pokurczona postać już po paru chwilach rozmazała się w ledwie widoczną czarną plamę. Teraz bez żadnych obaw i konsekwencji mógł wyjść z ukrycia, albo nawet wyskoczyć i natychmiast ścigać młodego syna dozorczy, co też uczynił. Doszedł do zakrętu, rozejrzał się, ale nikogo nie zastał. Nie zrobił dramatu, najważniejsze, że słyszał niedawną rozmowę, która przeszła w awanturę. Urzędnym kochasiem już się nie przejmował, może wpadł do jakiejś bramy, albo znajomej meliny, nic tak wielkiego się nie stało, by robić sobie wyrzuty. Emocje zaczynały opadać i pojawiło się zmęczenie. Teraz chciał już tylko do domu, nawet na ten tapczan, który nie tak dawno służył jak wierny katafalk. Jak najszybciej do siebie, coś w końcu zjeść, napić się ciepłej herbaty, nacieszyć szczęśliwym dniem. Jeszcze kilka przecznic, parę schodów i wreszcie spokój.

– Czy ognia pięknie mogę prosić? – schowany w bramie, niepokojąco znajomy głos strzelił po uszach. Gdula odwrócił się i zobaczył zgubionego bikiniarza, stał i gapił się na papierosa. W pierwszym odruchu na widok obiektu, szpieg zeszytywniał, ale równie odruchowo i szybko oprzytomniał.

– Zwyczajnie mu przypalę – dwa razy powtórzył w myślach, sięgnął do kieszeni i wyjął dużą benzynową zapalniczkę. Od pierwszej iskry strzeliła solidnym płomieniem, który dawał sobie radę z wiatrem i zachwianym palaczem.

- Pięknie dziękuję! Gustowna rzecz, imperialna sztuka! – zauważył, jak na bikiniarza przystało, przegładził rozwianą plerezę i uśmiechnął się, jak mężczyźnie nie wypadało.
- Proszę! – uciał Jerzy i ruszył w swoją stronę, licząc, że jest po wszystkim.
- Pięknie dziękuję! – jeszcze raz powtórzył młody Klimaszko, zachwiał się na grubych podeszwach, ale został na miejscu, pewnie chciał się nacieszyć papierosem, albo też nigdzie mu się nie śpieszyło, może nawet nie miał dokąd iść.
- Jak cudownie, nic się nie dzieje, pięknie i gładko! – Jerzy z satysfakcją odnotował kolejny sukces. – Widział mnie i co z tego, wcześniej też mnie zobaczył, na schodach. Kapis jest już mój, całkiem gładko sprawy pójdą, koniec zwiadów! – triumfował, to był jego wielki dzień, każdą wpadkę potrafił przekuć na właściwe działanie, nie tracił pewności siebie, nie robił większych głupstw i przysłała mu do głowy niezwykła myśl, ale o tym chciał rozmawiać w domu, oczywiście porozmawiać tylko ze sobą. Resztę drogi prawie przebiegł, śpieszył się tak bardzo, że szybki marsz nie wystarczał. Nie lubił biegać w mundurze, nie wypadało, ale okazja pozwalała na złamanie zasad. Przeszedł przez puste podwórze, wskoczył na schody, ciesząc się, że jest na miejscu i zaraz będzie się mógł rozkoszować zwycięstwem.
- Panie poruczniku – w półmroku usłyszał dozorcę.
- Tak, panie...
- Klimaszko, Antoni, z tego wszystkiego nie ma kiedy po ludzku się przywitać – powiedział stary, nie tłumacząc, jakie wszystko miał na myśli. Może tyle, że Jerzy mieszkał od paru tygodni i nie przedstawił się żadnemu sąsiadowi, chociaż na klatce zawsze mówił i odpowiadał: „dzień dobry”.
- Jerzy Gdula – podał rękę dozorczy i poczuł silny, męski uścisk spracowanej, mokrej dłoni.
- Uprzejmie dziękuję – stary był całkiem zagubiony, dziękował za zaszczyt, jakiego dostąpił, poznając porucznika. Coś to piękne dziękowanie Jerzemu przypominało.
- Pan chciał o coś spytać? – Przy zwyczajnych okazjach sąsiad Gdula uciekał od spotkań, teraz czuł się zwycięzcą i dlatego pozwolił sobie na więcej wyrozumiałości.
- Nie tak pytać, jak za przeproszeniem, za tego durnego syna mojego, Macieja, chciał przeprosić. Młody, wódki pić nie może, głupoty nagada. Szkoda jego słuchać – tłumaczył się i uspokoił Jerzego, który obawiał się, że Klimaszko coś gorszego powie, albo odgadnie.
- Głupstwo panie Antoni, głupstwo, niech pan się nie przejmuje, nic złego nie było, naprawdę – potarł czoło. Rozgrzeszył ojca i syna, przyszło łatwo, bo już chciał się pozbyć towarzystwa. Postawił na uprzejmość, „panem Antonim”, zyskał w pokornych oczach Klimaszki jeszcze więcej szacunku.
- To i dobrze, bo już myślał ja sobie, że pan porucznik się zagniewał. Głupi chłopak, dobry, ale głupi. Odkąd matka poszła na tamten świat, nie do wytrzymania z nim, wojnę przeżyła, choroba zabiła – wzruszył się na słowa i miał ochotę pożalić się dłużej.
- Takie życie. Niech się pan nie martwi, dorośnie i będzie dobrze – odpowiedział Gdula i zaraz zabierał się za pierwsze schody drugiego piętra, rwał się do swojego zwycięstwa, nie miał czasu na cudze porażki.
- A może by jego pan porucznik do wojska zabrał? – rzucił na koniec dozorca, żeby mieć z tej rozmowy więcej nadziei.
- Do wojska? No, pomyślimy, zobaczymy. Do widzenia – odparł na odczepnego, ale uprzejmie. Jerzy nie dał staremu szans na odpowiedź, uciekł po schodach na górę. – Dom – powiedział do siebie. W pierwszym leniwie bezmyślnym odruchu mógł paść na tapczan, ale taki czyn byłby profanacją. Jerzy chciał i wart był mszy. Zamierzał w pełnym majestacie skonsumentować sukces i nadać konsumpcji dosłowny, kulinarny wymiar. Nie było czym świętować, brak wódki, kwaśnego mleka, tylko herbata i ziemniaki, do tego rozpoczęty słoć z kiszonymi ogórkami.
- Wystarczy! – błyskawicznie podsumował kawalerskie zapasy. Z większego nic potrafił zrobić obiad, ziemniaki w talarki i na patelnię, do kiszonych ogórków idealne. Za pół godziny

będzie bankiet, przy smażonych kartoflach i...gorzkiej herbacie, bo cukier wyszedł, jak wódka z mlekiem. Wziął się za to, czego nienawidził każdy żołnierz. Obierał ziemniaki, jeden po drugim i razem z myślami, które rozpląły się po głowie, jednak jedną wyłowił z niepokojem, długo gadając do siebie:

– Stary wydaje się w porządku. Głupia sprawa, ale nie moja. Nic mi do tego, robię swoje. Dla niego nawet lepiej, jak gówniarzowi skórę przetrzepią, w końcu chciał wojska, to będzie miał karną kompanię. Wystarczy już ojców i dzieci, ja im biedy klepał nie będę. Zresztą sami szukają kłopotów. Kto z Kapisem się zadaje? To bydle przecież. Stary niech sobie żyje, nie on mi wrogiem, tylko kochaś jego syna – zatrzymał się, zmarszczył brwi, słuchał co się kołacze w tyle głowy. – Jak on tego Kapisa wkurzył? Coś tak: pięknym za darmo daję – znów nasłuchiwał podpowiedzi z tyłu głowy. – Nie! Tak chyba nie jest? Kapis pederasta? Ten stary pokurcz, karłowaty dziadyga z taką księżniczką? – Wreszcie po wielu męczarniach odkrył ostatni element tajemnicy i zaraz przyznał sobie laur błyskotliwości. – Od początku wiedziałem, że coś w tym jest. Jak tylko ogon Chętki przylazł. Kapis w ogóle ma jakąś żonę? Czemu tego nikt nie sprawdził? Sami partacze! Nieważne, już po robocie, tylko to zasrane obieranie kartofli.

Świat nie widział tak genialnej dedukcji i dawno zapomniał, jak komicznie było wczoraj, o tym wiedział tylko bóg i jakiś półsierota, obaj dla porucznika Jerzego Gduli nie istnieli. Smażone talarki z kiszonym ogórkiem smakowały uroczyście, nawet gorzka herbata nie wykrzywiła twarzy. Dużo ważniejsza od cukru jest sól, bez soli nie ma żadnej potrawy. Jerzy jadł sól, nie dodawał do potraw, tylko jadł. Uwielbiał pod koniec posiłku umoczyć jakiś kawałek i zjeść jak deser. W podniosłej atmosferze pełnego sukcesu przystąpił do precyzyjnego podsumowania dnia i kreślenia planu na przyszłość. Ustalił już wcześniej, że osiągnięcia są wystarczające, aby się pozbyć Kapisa, o ile Minz zgodzi się na prosty plan.

– Musi się zgodzić! – powtórzył głośno. Plan był więcej niż prosty zawierał tylko jeden element i praktycznie wyłączał Jerzego ze sprawy. – Przesłuchać lalę jak trzeba. Pęknie po pierwszej lampie w oczy. Minz nie ma wyjścia sprawa poszły za daleko. Kapis łązi z jakimś bikiniarzem, szarpią się obściskują, chleją. Jest dowód! Mało ważne, pederasta czy szpieg, jedno i drugie mu wcisnąć, Gienka w tym przyjemność!

Tak sprytnie i triumfalnie poukładał swoje i nieswoje sprawy. Ostatni kęs prosto z patelni, umoczony w soli, popchnięty kwaśnym ogórkiem z gorzką herbatą, zakończył świętowanie. Po bankiecie przyszła pora na odpoczynek. Odkąd Jerzy dostał zlecenie na Kapisa żył nocnym trybem, nie takim, jak się rozumie i prowadzi, po prostu kładł się późno i późno wstawał. Lubił noc, najlepszy czas na przerabianie treści dnia i rozpisanie kolejnych tygodni. Wiele pomysłów, w tym życiowe decyzje, rodziło się w ciszy i ciemności. Dziś noc przyszła szybciej, położył się wcześniej, aby jutro z samego rana zameldować się u Minza, jako zwycięzca z genialnym planem.

## 5

Wstał, jak zaplanował, wcześniej, po szóstej i wcale nie był tak wypoczęty jak sobie wymyślił. Organizm przywykł do utrwalonego trybu, pozbawiony nawyku nie dawał spokoju. Większość nocy przewracał się na wszelkie możliwe boki i płaszczyzny. Dopiero po drugiej zasnął twardo, za późno, bo już po szóstej budzik przerwał najlepszy sen. Połamany i w przeciętnym nastroju błąkał się po domu w poszukiwaniu zajęcia likwidującego nadmiar czasu. Na gorzką herbatę nie miał ochoty, nic innego w kuchni nie było. Usiadł i czekał. Przypomniał sobie słowa sklepowej. Jutro od siódmej powinno być mleko, no, może trochę po siódmej.

– Zanim się ubiorę, zanim dojdę, będzie po siódmej. Idę! – przypieczętował decyzję, gdy był już na korytarzu.

– Dzień dobry, panie poruczniku – zza skrzydła bramy wyrósł dozorca. – Wcześniej pan oficer dzisiaj wychodzi.

– Dzień dobry! Do sklepu idę, nie było kiedy – odpowiedział na odczepnego.

– Ano tak, taka służba – stary podtrzymał rozmowę. – A tego mojego miglanca do wojska, panie poruczniku, do wojska, dopiero co z nocy wrócił.

– Pomyślmy – Jerzy uciał pogawędkę i na pożegnanie machnął ręką. Tyle ciekawego zapamiętał, że „obiekt” wrócił, ważna informacja. Potem myślał już tylko o powtarzającym się scenariuszu: – Mam nudziarza dość, wszędzie łązi. Zaprzyjaźnił się czy co? Wychodzę i znów jest, będę wracał, pewnie go nie zabraknie. Z tym coś trzeba zrobić – pomyślał. Parę minut po siódmej dotarł do sklepiku, spocona baba poznała młodego wojskowego już od drzwi.

– Ma pan oficer szczęście! Dziś przed siódmą byli z mlekiem – oświadczyła radośnie.

– To świetnie, w takim razie poproszę trzy butelki, cukier do tego, chleb... – kobieta krzątała się po sklepie – ...masło, herbatę, biały ser, sól – zastanowił się chwilę i dzieciennie skrzepowany dodał – dżem... i dwie półlitrowki.

– A co to, pan oficer gości będzie miał? – spytała bezpośrednio, zwyczajną mową, jakiej między ladą i ogonkiem zawsze było pełno.

– Nie! Tylko nigdy nie ma kiedy, a tu same potrzebne rzeczy – uśmiechnął się sztucznie, ale nie pomogło, korpulentna jejmość najwyraźniej nie rozumiała żartu.

– Ano jak nie ma kiedy, trzeba się oficerowi żenić. Młody jest, niejedna pójdzie. – Tym razem wielka spocona baba uśmieła się serdecznie, zrozumiała własny dowcip. Zawstydzony Gdula pokiwał głową, nie czuł się pewnie w takich słownych zaczepkach, położył na ladzie banknot i za chwilę dostał resztę.

– Do widzenia!

– Do widzenia, drugi raz lepiej później przyjść, wyjątkowo, że tak szybko dowieźli – dodała na sam koniec, Jerzy znów pokiwał głową. Gdy wyszedł ze sklepu, przypomniał sobie o pieprzu, drugiej „potrawie”, którą trzeba mieć zawsze. Za późno, żadna przyjemność wracać do rozmów ze spoconą beczułką, poza tym jakaś resztką chyba w domu została.

– Przeżyję bez pieprzu, ze sklepową nie wydołę, przecież jeszcze ten cieć się przyczai – usprawiedliwił się i ruszył w kierunku domu. Nie pomylił się, na podwórku znów krzątał się stary Klimaszko. – Dziwne nazwisko, cud, że zapamiętałem – pomyślał. Mimo wszystko okoliczności sprzyjały, Jerzy wrócił w szczęśliwą godzinę odprowadzania dzieci do szkół. Z bramy wychodziła młoda kobieta z dwójką chłopców i to ją dozorca ustrzelił, jej zaczął się żalić. Kobieta uprzejmie i cierpliwie słuchała nowych wieści, w końcu uczciwie rzuciła:

– Śpieszę się do szkoły, panie Antoni, po pracy pogadamy.

Gdula skorzystał z zamieszania, powiedział grzeczne: „Dzień dobry”, nie stróżowi, tylko sąsiadce, którą nawet lubił, potem szybko wskoczył na schody i tak uciekł. Lubiał tę kobietę, oczywiście nie znał jej z nazwiska, tak jak wszystkich sąsiadów, oprócz wczoraj poznanego Antoniego Klimaszki. Ciężko i długo musiałyby się tłumaczyć, dlaczego darzył sympatią ledwie poznaną matkę, dwójki dzieci, za którymi już nie przepadał. W końcu nie tak łatwo sympatyzować z kimś, kogo się nie zna. W takich relacjach szybciej można zniechęcić, tak jak Jerzy nie cierpiał ponuraka z przeciwka. Denerwujący człowiek, w dodatku mieszkał drzwiami w drzwiach, prawie czterdziestoletni, zawsze niechlujnie ubrany mruk, oschły, wiecznie z kwaśną miną. Witając kobietę i uciekając od staruszki, odtworzył w myślach wszelkie sąsiedzkie kontakty i jeszcze raz sobie powtórzył, że tę jedną bezimienną znajomą polubił. Miał słabość do młodych matek, może jakiś instynkt opiekuńczy, tylko nie do końca uświadomiony, sam nie wiedział czy chce się zaopiekować, czy też pragnie, aby się nim zaopiekowano. Młode matki w tym względzie były uniwersalne doskonale nadawały się na żony i niańki.

– Zebrało mi się na obrabianie dupy nieznajomym. Starczy plotek, jest co robić. Jeszcze nie koniec, jeszcze nie koniec – przywrócił się do porządku i wziął za śniadanie. Prawdziwie wykwintne żarcie po kilku dniach posuchy. Świeży chleb, mleko, ser i soli po brzegi, herbata z cukrem, nawet pieprz się uchował z zapasów. Było w czym wybierać, ale jakoś nie było ochoty na wybór. Zjadł szybko, co w przełyk wpadło, skończyło się na chlebie z masłem i serem, wszystko przepłukał posłodzoną, prawie esencją. Po śniadaniu zrobiło się wystarczająco późno i czas najwyższy pójść z planem do Minza.

Przed gmachem Informacji stawiał się godzinę po rozpoczęciu urzędowania. Pierwszy raz od długich tygodni, po prostu szedł koło budynku, nie czał się, nie chował i nie robił innych dziwnych rzeczy, prawdziwy komfort i poczucie siły. Wszedł do sekretariatu, nie pukając, taki objaw pewności siebie zafundowany naprędce i tuż przed zasłużoną nagrodą. Ewa krzątała się koło czajnika i podjadała drugie śniadanie.

– Dzień dobry! Smacznego! – radośnie przywitał się w drzwiach. Chciał być nieco bardziej uprzejmy niż zwykle, zależało mu na szybkim przekroczeniu progu gabinetu Minza.

– Dzień dobry... dziękuję. – Pani kapitan przetykała kawę, została przyłapana na siorbaniu i mlaskaniu, normalnym, biurowo spożywanym posiłku. Zażenowana i zaskoczona ciepłym głosem Jerzego, była wystarczająco urobiona, aby grzecznie wykonać, co od zawsze do niej należało.

– Szef u siebie? – spytał i uśmiechnął się porozumiewawczo, nie mówił i nawet nie okazywał, o jaką solidarność może chodzić, tak ogólnie się pojechał.

– Taaak... zaanonsować pana? – zbита z tropu, zwróciła się do „pana” Jerzego, nieprawdopodobny zwrot w tym miejscu i w ustach tej towarzyszkii. Nawet nadzwyczaj trudne do zapamiętania „anonsowanie” nie poprawiło ogólnego wrażenia.

– Bardzo proszę, pilna sprawa, pułkownik na pewno czeka na takie wieści – oświadczył tajemniczo.

– Skoro tak, już lecę. – Weszła do gabinetu, skąd wydobyło się poirytowane zdziwienie.

– Gdula? Niech wchodzi! – warknął Minz, a Ewa przeszła przez próg i z uśmiechem kiwnęła głową na Jerzego.

– Dzień dobry! – przywitał się, salutując jak zawsze.

– Drzwi! – surowo, prawie chamsko odpowiedział Minz. Porucznik według rozkazu zamknął za sobą i dopiero wtedy pułkownik rzucił wiązanke: – Co ty, kurwa, robisz? Przecież była mowa! – Żadnej mowy nie było, ale Jerzy doskonale wiedział, o co chodzi, miał nie przychodzić, by nie narażać akcji i przede wszystkim Minza.

– Mam coś poważnego, myślę, że już po robocie – odpowiedział trochę zmieszany Gdula, ale nie wystraszony krzykiem. Pułkownik nieznacznie się rozchmurzył, lekko rozchylił usta i poprawił się w fotelu, wyłożył łokcie na wielkim dębowym biurku i prawie zahaczył o lampę, która stała na lewym, zewnętrznym rogu. Zdradzał niemałe podniecenie i chyba większe zaskoczenie.

– Siadaj i mów – zmienił ton.

– Namierzyłem obiekt – Gdula w myślach ugryzł się w język, poprawił drugi raz gdy zobaczył skrzywioną minę pułkownika. – Z jednym takim, nie wiem sam, co ich łączy, ale nie normalnego, to wiem na pewno.

– A co, przykładowo? Śpią razem? – znów się poirytował Minz.

– Na to wygląda! – z pokerową miną odpowiedział Jerzy i kompletnie zmył ironię z osłupiałego pułkownika.

– Co ty pierdolisz? Kapis? – zaklął, trochę bezsilny, na pewno zaskoczony. Grymas obrzydzenia spłynął na oblicze Minza, nie wiadomo co go brzydziło bardziej, sam fakt czy fizyczność Kapisa.

– Kapis i Klimaszko, Maciej, syn Antoniego – Jerzy kontynuował ze spokojem i odrobiną cwaniactwa.



- Jesteś pewien tej sensacji? Wiesz czym to śmierdzi? Tym chcesz towarzysza majora udupić? Jaki masz na to paragraf? – Wyraźnie skołowany Minz, takiej sprawy dotąd nie przerabiał, szukał jak najszybciej zrozumiałego wyjaśnienia i konkretnego rozstrzygnięcia. Czuł w kościach, że to co usłyszał nie jest normalne i w zupełności wystarczy, żeby wykończyć wroga, ale jeszcze nie wiedział jak sprawę ugryźć.
- Towarzyszu pułkowniku mnie się wydaje, że to nie jest mało, takie coś. Mamy człowieka wystarczy go przesłuchać, powie wszystko, co konieczne do paragrafu. To bikiniarz jest, taki nie będzie udawał twardego – porucznik Gdula wyjaśniał z nadzwyczajnym opanowaniem, miał tę kwestię ułożoną w głowie. Był przygotowany na asekurację Minza, teraz pilnował, żeby się nie wycofał i połknął plan.
- Szybko się uczysz, kto wie czy nie za szybko – nawet niewielkie cwaniactwo nos Gienka wyczuwał z każdej odległości. Jerzy odpuścił, był czujny, taktycznie zwiesił głowę, podobne teksty zwykle nie brzmiały pochlebstwem, lecz pierwszym ostrzeżeniem. Nie było sensu ryzykować kolejnych, nazbyt pewnych siebie słów. – Ale ja lubię pojętych – roześmiał się, widząc, że nic poza okazaniem wyższości wygrać nie może, po chwili dodał magiczne słowo
- Plan jakiś masz?
- Myślę, że mamy dużo, bardzo dużo – obok pytania odpowiedział Jerzy, ale to nie był przypadek, czekał, aż się Minz poważnie zaangażuje w sprawę.
- Mieć mamy, tylko czy się nie zesramy. Nie tak prosto, towarzyszu podporuczniku, do porucznika. Z każdym innym ja bym się nie pieprzył, ale z taką kurwą, towarzyszu Gdula, trzeba pomyśleć. Nie jeden raz, ale jakieś trzydzieści cztery, zanim się pierdolniemy pierwszy i ostatni raz.
- Jak nie ruszymy towarzysza majora, tylko zwiniemy obywatela Klimaszko, prawie nie ma ryzyka. Na moje oko Kapis nie będzie kozaczył, nawet jak się dowie, przecież nie ma się czym chwalić. Każdy na jego miejscu siedziałby cicho – Gdula mówił, jak trzeba, pomagał Minzowi wejść do sprawy, wciągał go coraz szybciej i głębiej, chciał już mieć ten etap za sobą.
- Na jego miejscu każdy, ale on sam cicho nigdy nie siedział. Skąd się wam Gdula ta pewność bierze? Sama z siebie czy się modlicie za naszych winowajców? – przytemperował i trafił w czuły punkt porucznika. Przeleciały przez myśl rozpaczliwe pacierze, błagania o pomoc, wzniesione ręce do nieba, przed akcją.
- Widziałem towarzyszu pułkowniku, jak on się bał. Niby wyzwał tego bikiniarza, ale trząsł się cały i rozglądał, czy nie ma świadków. Mówił, że będzie słabo, jak się wyda, groził temu gówniarzowi. No i przecież takie rzeczy z tym bikiniarzem, tego się tak nie da, no, jest się czego wstydzić, będzie się bał, że to wyjdzie.
- Widziałeś, słyszałeś? Gdzie? Jak? W szpiega się bawiłeś? – Minz zdzielił z całej siły, na taki cios Jerzy nie był przygotowany, a powinien się zabezpieczyć.
- Bawiłem się... musiałem. Dwa tygodnie nic się nie działo, musiałem sam się za to wziąć.
- Porucznik Gdula solidnie się przestraszył, nie wykonał rozkazu. W jednej sekundzie dziesiątki odpowiedzi kotłowało się w głowie. Szczęśliwie wybrał najlepszą, może pełnym przypadkiem, ale najważniejsze, że się wybronił. Po drodze zdążył wystawić sobie laurkę i odebrać wszelkie zasługi Chętkiemu. Postanowił powiedzieć prawdę, co wcale nie było taką głupią taktyką. Prawda jako umiejętnie używane narzędzie przydawała się częściej niż jednemu przeciętnemu z Informacji zdawać się mogło. Nie każdej i nie zawsze, ale tej, która mogła pomóc, należało używać w formie pochwały dla własnych działań, by jednocześnie uniknąć kompromitującego kłamstwa, jakie bez trudu mogło wyjść na jaw. Jerzy po mistrzowsku użył prawdy.
- Tak już jest, jak sobie sam nie udupisz, ciebie udupią! – Minz roześmiał się swoim zwyczajem ze swoich dowcipów. Oddalał od siebie podejrzenia, udawał głupiego, unikał

odpowiedzi na proste pytanie: Po co wciągnął Jerzego w sprawę Kapisa i dlaczego tak nędznych ludzi dał mu do pomocy?

– Czyli dobry plan? – zapytał grzecznie jak uczeń, niecierpliwił się tak prowadzoną rozmową i przede wszystkim ubocznymi wątkami, na które zapomniał się przygotować.

– Innego nie ma i czasu brak. Trzeba będzie działać jak mówisz. Dla ciebie fajrant, a jak się uda, spadnie gwiazdka. Dobry plan, ale dotąd dobry, póki nikt nie wie, że jest. Kapis nie może się połapać, z której mańki go dopadnie – powiedział więcej niż Gdula oczekiwał, Minz był już po właściwej stronie, ale zaraz po tym zastanowił się głęboko co dalej. Ostatniego zdania Jerzy nie rozumiał.

– Nie rozumiem.

– I słusznie, póki co i ja nie rozumiem, w każdym razie trzeba dopaść gówniarza bez związku ze sprawą – wyjaśnił.

– Bez związku? – Jerzy już nic nie wiedział.

– A ty jak sobie kombinujesz? Zgarniesz z ulicy i co powiesz? Obywatelu będziesz za frajera pod Kapisa? Myśleć, kurwa, myśleć trzeba! – Starszy towarzysz po fachu wykazał się tym, czego młodszy nie tylko sobie nie kombinował, ale po prostu nie miał. Minz popisał się doświadczeniem w sprawach.

– Tak nie myślałem. Znaczy myślałem, że moje zeznanie wystarczy – Jerzy zrobił głupią minę. Płatał się, prawda była więcej niż inna, w ogóle nie brał pod uwagę, jak aresztowanie ma wyglądać.

– No, żeś kurwa palnął! Sobie w łeb! Co ty chcesz? W aktach figurować? Ludowy bohater, co załatwił towarzysza majora? Teraz za kozaka będziesz robił, kiedy nie wiadomo, jak wyjdzie? W aktach za kapusia chcesz być? Ty się jednak wolno uczysz! – Teatralnie, ale słusznie wyjaśnił doświadczony towarzysz, po jego słowach do Jerzego kolejny raz dotarło, że wielu rzeczy jeszcze nie wiedział, a czego się domyślał, nie zawsze było takie proste, jak sobie wyobrażał. Zdał sobie sprawę, że palnął rzecz wybitnie głupią być może śmiertelnie głupią.

– Nie chcę – odparł pokornie z wdzięcznością, jak uratowany z opresji.

– Co nie chcesz?

– Żebym w aktach był.

– I dwóch nas jest. Będziesz ty, jestem ja! Chyba wiesz jak to działa? Ten gnojek jest jakiś w ogóle nie bardzo? Czy tylko pederasta? Coś innego na niego można? – Minz już od kilku zdań nie mógł się wycofać. Teraz, gdy siedział w sprawie, próbował znaleźć optymalnie bezpieczne rozstrzygnięcie, czyli takie, w którym wszystkie tropy zostaną zatarte, najlepiej, żeby w ogóle znaku nie zostawić. Kto opanował sztukę zacierania śladów, był kimś ważnym. Kto potrafił odstrzelić bez znaku, był kimś najważniejszym. Minz balansował między ważnym i najważniejszym, Jerzy dopiero pracował na ważnego.

– Cały jest nie bardzo, chleje na umór, włóczy się po melinach, no, i bikiniarz.

– Wszystko gówno warte! Każdy chleje i się włóczy! Co za, kurwa-nędza, ten bikiniarz?

– Pułkownik nie był zadowolony z materiału dowodowego, jaki otrzymał. Uparcie szukał poważnego argumentu, bezbolesnego rozstrzygnięcia.

– No, taka pasożytnicza młodzież, bumelanctwo takie, spekulacja, amerykańskie buty i krawaty.

– To co mi, kurwa, od razu nie mówisz jak jest! Takiego za nic i za wszystko można zdjąć

– Minz ucieszył się i w końcu odetchnął.

– Gdzie on chodzi? Wiesz gdzie mieszka? – dodał spokojniej, ale kompletnie spłoszył Jerzego. Zadał zwyczajne i obowiązkowe pytanie, od którego Gdula zbladł jak kreda. Usiłował na szybko zmontować wiarygodnie zmyśloną odpowiedź. Zanim poskładał cokolwiek, zrozumiał, że zachował się jak niedokończony idiota, wcześniej nie przygotowując się na tak oczywiste i dlatego trudne pytanie. – Eeee! Towarzyszu Gdula!

– wrzasnął Minz, ale wielkich pretensji nie wyrażał, wyciągał młodszego kolegę z otępienia,

– Tak wiem... to mój sąsiad jest – odpowiedział, nie widząc żadnej szansy, by szybko wymyślić coś rozsądnie nieprawdziwego. I nie pożałował bezradnej szczerości, znów celnie, choć w desperacji, użył prawdy jako narzędzia. Nic innego nie dało się z tym niezwykłym faktem zrobić. Przy aresztowaniu Minz i tak poznałby adres młodego Klimaszki, wtedy prawda robi się groźna, bo zatajona. Najlepiej udało się poukładać sprawy, głównie dlatego, że innej rozsądnej odpowiedzi nie było.

– Jaki sąsiad? Z tej samej ulicy czy jak? Co pierdolisz? – Pułkownik spojrzał z ciekawością na zmieszaną twarz porucznika, nie wiedział jeszcze czy usłyszał żart, czy coś wyjątkowo i zabawnie pogmatwanego.

– Nie, z tej samej kamienicy, piętro niżej – ledwie szepnął prawdę.

– Żesz kurwa twoja mać! Ty albo w czepku się rodziłeś albo ze starego Gienka głupiego chuja próbujesz robić? Sąsiad z piętra? – pełnym teatrem odpowiedział Minz. Aktorsko przedstawiał, że nie może przetrwać rewelacji, wytrzeszczył oczy i kiwał z niedowierzaniem głową, bluzgami przykrywał osłupienie. Jerzy odetchnął – ostre słowo i autentyczne zaskoczenie dobrze rokowały. Obawiał się zupełnie innej reakcji, że Minz go wyśmieje jak głupiego, co ma szczęście, albo – co gorsze – zarzuci działanie na siłę. Wystawienie pierwszego lepszego na wabia, żeby mieć spokój ze sprawą, tak mógł brzmieć zarzut. Nieważne, że tak nie było, ważne, że w tej robocie nikt nikomu od początku i tym bardziej do końca nie ufał, a sąsiad Jerzego, jako bat na Kapisa, wydawał się więcej niż podejrzany. Najwyraźniej Minz uznał wszystko za tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że nie posądzał Jerzego o podobny tupet, graniczący z głupotą. Teraz i do Gduli dotarło, że nawet najgłupszy Chętki, gdyby chciał załatwić Kapisa metodą pierwszego z brzegu świadka, szukałby takiego jak najdalej od domu. Kojące myśli przyszły dopiero po fakcie. Najważniejsze, że dla Minza nie było nic podejrzanego w tym, że młodszy towarzysz upolował sąsiada. Niesamowite szczęście, nie żadne świadome działanie, tyle widział pułkownik w historii, którą usłyszał i uznał za autentyczną, bo zbyt beczelnie była prawdziwa, aby ją fałszować.

– Miałem szczęście, ale to nie tak. Śledziłem Kapisa i on mnie naprowadził na bikiniarza – Tym razem skłamał i czuł, jak pot mu cieknie, na szczęście nie po twarzy, tylko dyskretnie po karku. Wiedział, że dobrze zrobił, tego kłamstwa nie dało się namierzyć, a prawda mogła zaszkodzić. Prawidłowy wybór, tylko pot niepotrzebny. Prawda mniej zdrowia go kosztowała, nad kłamstwem Jerzy musiał jeszcze popracować, nauczyć się suchej obsługi.

– Szczęście miałeś, dużo! I trochę rozumu, żeby za Kapisem latać – Minz z troską w głosie karciał niedojrzałość, udawał albo naprawdę się zmartwił, pewnie nie tyle losem Jerzego, co powodzeniem całej akcji i własną skórą.

– Dwa tygodnie i nic się nie działo, nie mogłem dłużej czekać, musiałem.

– Niby racja, ale to już nieważne, teraz trzeba sukinkota zdjąć i skończyć. Poślę Chętkiego z tym drugim, Szych czy jak mu tam.

Jerzemu znów zrobiło się ciepło w środku i zimno na spoconym karku. Po co Chętki? Tylko nie ten, niech będzie Szych, podpowiadał w myślach, nim głośno powiedział to samo, ale zupełnie inaczej.

– Towarzyszu pułkowniku lepiej nie, nie tych. Lepiej kogoś innego, całkiem z boku. Nic nie mówię, ale te ogony, no, uczą się dopiero. Nie daj b..., bałaganu jeszcze na sam koniec narobią. Towarzysz pułkownik ma rację, najważniejsze, żeby major Kapis nic nie wiedział i nawet ten bikiniarz. A z tymi, to ja taki pewny nie jestem, nie mówię, że coś poważnego, ale starczy, że chlapnie jeden czy drugi po wódce i będzie. – Ze wszystkich sił uciekał od niebezpieczeństwa, bał się, że Chętki wypluje, co miał trzymać za zębami. Tak mu zależało na sprawie, że mało brakowało i znów boga wezwałby do pomocy. Minz ciekawie patrzył na Jerzego, gdy ten robił, ile się dało, aby nie wciągać w sprawę akurat tego jednego skauta. Od razu zauważył, że alternatywa jest sensowna, ale jeszcze bardziej dostrzegał atak na

Chętkiego. Minz wychwycił niuans, ale póki co nie zamierzał się z tym zdradzać, ani wykorzystywać.

– Z boku, mówisz? Kto wie? Niech będzie, że z boku. Rzucę starych znajomych, oni nie pytają po co, tylko kiedy i kogo? Też nie ma co, kurwa, przesadzać z tym wszystkim. W końcu to jeden Kapis, nie Armia Czerwona – roześmiał się stary towarzysz, ale młodszy odważnie przemilczał dowcip. Z takich żartów lepiej się nie śmiać, co po chwili i sam pułkownik zrozumiał. – Tak zrobimy, pošlę starą kadre – poprawił się.

– Towarzyszu pułkowniku, a co będzie ze mną? – Gdula zmienił temat na bardziej zajmujący i ciągle nietknięty. Przyszedł czas odebrać nagrodę, albo przynajmniej się upomnieć.

– Co może być? Co byś chciał? Dwie belki do gwiazdek? – Pułkownik doskonale wiedział, czego ambitny porucznik chciał. Wszystkiego czego Minz nigdy już mieć nie będzie i dlatego nie śpieszył się z przekazaniem nagrody. Rosła młoda konkurencja, co bardziej bolesne, zbyt szybko, a Gienek nie potrafił powstrzymać tempa, do tego miał jeszcze kulę u nogi – pułkownika Litmanowicza. Obaj walczyli o porucznika, Minz dodatkowo z Gdulą konkurował, bo wiedział, że ten oficer zajdzie bardzo wysoko, pewnie na sam szczyt. Niejasne było, jak się tam zachowa? Czy będzie patrzył z góry? Czy poda rękę?

– Nie – Jerzy przesadnie pokręcił głową, zapewniał, że tak wysoko nie mierzy. – Chodzi o tę pracę w sądzie – skromnie, ale konsekwentnie upominał się o swoje.

– Pracę? Jak pięknie powiedziane. A u nas roboty ci mało? – na robotę padł szczególny akcent. – Myślisz lepszą pracę znaleźć? – Praca też została odpowiednio podkreślona, ale test na lojalność nie miał większego sensu. Minz bezradnie i na pocieszenie się droczył, pewnych ustaleń nie dało się już cofnąć.

– Nie myślę, tylko szkoły szkoda, dwa lata nauki. Chciałbym spróbować, przecież stąd i tak nie odejdę – ostrożnie dociskał Minza.

– Stąd się nie odchodzi, tyle chyba zdążyłeś zrozumieć? Obiecałem, to będzie, ale po wszystkim. Na razie jedziemy na jednej szkapie, dojedziemy, wtedy pójdziesz. – Pułkownik nie był zadowolony z uporu porucznika, jednak nie wycofał się z obietnicy, nie mógł, dlatego wszystko, co nieuchronne, wiele kosztowało go wysiłku.

– Czyli czekamy na koniec Kapisa, znaczy sprawy – Gdula poprawił się tylko dlatego, żeby nie zapeszyć.

– Obojętnie na jaki, oby koniec. – Minz nie krył się i z intencjami, i nie bawił w drobiazgi, było jasne, o jaki koniec chodzi. W ogóle wszystko było już wiadome z wyjątkiem jednej rzeczy. Ciągle pozostawało tajemnicą dlaczego pułkownik wpuścił Jerzego z tratwą na głęboką wodę, a zamiast galerników do wiosłowania dał mu kajakarzy? W sprawie Kapisa prawdopodobnie była druga sprawa, do której Jerzy nie potrafił się dokopać. Wykluczył największego kalibru podejrzenie, że Minz go wystawił, nie odważyłby się pozbyć człowieka, za którym stał Litmanowicz i najważniejszy parasol – porucznik Gdula był od „nas”. Chodziło o coś innego, może o test lojalności, może o brudny i osobisty interes samego Gienka, może o jedno i drugie, a może jeszcze o coś trzeciego i wszystko razem.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – ładnie kiwnął głową. Podziękował z poślizgiem i bez większego żaru, zwyczajnie jak wypadało, tak na dobrą wróżbę.

– Nie przed końcem, przynosi pecha! – zarżał Minz. – Tak czy owak, nie ma gadki, stąd się nie ruszysz. Będiesz pracował w sądzie i tutaj odwaliał robotę. Wszędzie pełno sprzątanina, takie czasy! – Wyjątkowo, poza jednym głupim powiedzonkiem, Minz nie popłynął dowcipami i nawet bluzgi sobie darował. Takie objawy świadczyły, że pogodził się ze wszystkimi talentami i nieuchronnym awansem młodej konkurencji.

– Oczywiście.

– Prawidłowa odpowiedź, lepsza niż „tak jest”, znaczy, że rozumiałeś. Sprawy poskładane, reszta musi się uleżeć – nieoczekiwanie pochwalił i nawet uspokajał, pewnie się już nudził, może jeszcze trawił nagrody dla obiecującego porucznika.

- W takim razie chyba będę leciał, żeby czegoś nie rozłożyć – Jerzy próbował żartować.
- Nie tykniesz? – Minz proponował bez przekonania.
- Nie, towarzyszu pułkowniku. Nie przed końcem, to przynosi pecha! – uśmiechnął się i najbardziej do swojej, tym razem udanej, riposty.
- No, to lataj, jak coś będzie wiadome, podeślę któregoś. Za tego gnojka może jeszcze dzisiaj się wezmę – pułkownik pokiwał głową. Wstępnie zadeklarował pomyślność sprawy, bo też się zmęczył towarzystwem i całą rozmową.
- Mam jeszcze prośbę, towarzyszu pułkowniku, żeby nie u mnie w kamienicy, nie u niego w domu... – rzeczywiście ładnie i grzecznie prosił. Bardzo chciał uniknąć takiej krępującej i być może demaskującej akcji.
- Słusznie, tak zrobimy. Idź odpocznij! – Towarzysz Gienek, życzliwy jak nigdy, bez złośliwości, przekomarzania i innych humorystycznych zagadek wyraził zgodę.
- Dziękuję! Będę leciał. Do widzenia! – Porucznik Jerzy Gdula ucieszony ostatnim ponadplanowym sukcesem, zsalutował, szybko się pozbierał i wyszedł z gabinetu. W sekretariacie, ciągle zadowolony, serdecznie pożegnał się z Ewą, nie z sympatii, ale z myślą o przyszłych służbowych kontaktach.

Znów ta sama droga, tylko w lepszą, domową stronę. Piękny wiosenny dzień i wszystko układało się kwitnąco. Kwitła kariera, choć Jerzy więcej uśmiechom losu zawdzięczał niż wysiłkowi. Trudził się i starał, ale nie tyle, co ze szczęściem odbierał. Wiosna w mieście pachnie inaczej niż wiosna, miesza się z zapachami murów, kałuży przy krawężniku, spalin samochodów, rozgrzanych i iskrzących tramwajów, potem koni węglarzy, kariery. W zapachu miejskiej wiosny czuć samotnie kwitnące drzewa, wodę kolońską mężczyzn, szampon we włosach kobiet, skórzane teczki rozgrzane słońcem, schnące pranie na balkonach. Wiosna w mieście ustawia ogonek, w którym jedne zapachy stoją grzecznie, inne się przepychają, kolejne mają przywileje, a te najbardziej intensywne wciskają się poza kolejką. Tak w mieście kotłują się aromaty: kariery, końskiego wysiłku, spalin po nadziejach. Nie tak pachniało dzieciństwo Jerzego. Tamte wiosny były czysto, prosto i naturalnie poukładane od łąk w stronę pól, do buczyny, bez chemii, tylko bezwonne szare mydło na ogolonych twarzach mężczyzn i w długich włosach kobiet. Koń pachniał owsem, wóz sianem, każda woń знаła swoje miejsce i jeśli gdzieś się wciskała, to przez uchylone okna prosto do pełnej piersi. Ale i wtedy zalaatywało rozpalonym żelazem i ten swąd łączył się ze strachem, zmęczonym krokiem żołnierzy, cuchnącym bandażem i już był koniec wiosny. Zaczynała się jesień, ciężko było przetrwać zimę i nikt nie widział, czy znów coś rozkwitnie.

Jerzy pomieszał wszystkie zapachy ze wszystkimi wiosnami, odnajdywał w powietrzu dawny wiejski ład, spokój i strach z dzieciństwa, miejski chaos burzliwych awansów, pieszych pościgów za spalinami samochodów. Teraz, gdy spadł cały ciężar szpiegowskiej roboty, którą gardził, gdy w końcu odetchnął od upokorzeń i śmieszności, miał ochotę komponować bukiety z całego życia, potem raz jeszcze wszystko oddzielić i od nowa się zaciągnąć. Po jednej stronie zwęszyć: sukces, spokój, bezpieczeństwo, snute marzenia, zrealizowane cele. Po drugiej przewietrzyć: zalatyjący strach, bezsensowny wysiłek, niebezpieczeństwo, żal. I tylko nie tutaj taka selekcja, nie w pobliżu Minza i Kapisa, nie tak blisko Klimaszki i wszystkich znajomych bram, nawet nie parę metrów od domu. Maszerował przed siebie w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby usiąść i popracować nad odpoczynkiem. Przeszedł spory kawałek, nim znalazł wytchnienie; miejsce ruchliwe i takiego właśnie szukał. Chciał poczuć sukces tam, gdzie tętni życie, dość miał stęchlizny czterech ścian sąsiadujących ze śraczem. Usiadł na ławce i obserwował przechodniów, każdego bez wyjątku. Młode kobiety, starszych mężczyzn, dzieci, pary i samotnych, babcię z psem, uczennicę ze szkolnym workiem, nianię pchającą wózek i robotnika, który się zataczał. Wszyscy wydawali się interesujący, przyglądał się im z uwagą, wyobrażał, dokąd idą, kto na nich czeka, albo gdzie uciekają. Dlaczego w ucieczce są pogodni, a zmartwieni powrotem.

Tak odreagował dwa tygodnie wlepiania oczu w trzeźwą i pijaną, ogoloną i zarośniętą, ale zawsze jedną i tą samą twarz w lustrze. Uciekł w tłum od samotności i w przestrzeń ulicy od ciemnej kuchni, zatechłej klatki schodowej. Odwrót nie był na stałe, do samotności chciał wrócić, tam widział swoje stałe miejsce, nie wyobrażał sobie życia w tłumie i przestrzeni. Po prostu dla odmiany wyszedł do ludzi i, o dziwo, w takim miejscu odpoczywał, ponieważ wcześniej zmęczył się samym sobą.

– Wczasy! – pomyślał z satysfakcją i zaraz dodał. – Dobrze, że już po wszystkim i oby po wszystkim.

– Tatę zabili. Pan wie?

Spadła na łeb pięść w ciemnej bramie, uderzył głos dziecka. Trafił w tył głowy. Zdzielony na chwilę oprzytomniał i zorientował się, skąd gruchnęło. Za plecami, z tyłu ławki odezwał się ten sam smarkacz, który zaczął się w bramie przed kamienicą majora. Jerzy odwrócił się i natychmiast dostał drugi cios, między oczy, tą samą czupryną, tym samym spojrzeniem. Otrząsnął się, ostrożnie uniósł głowę i jeszcze raz zmierzył spokojną twarz dziecka, w pełne żalu oczy, którym chłopiec dzielił się bez limitu. Uderzył głós i bił pięścią od tyłu, a wielkie szeroko rozżalone oczy strzeliły między oczy. Jerzy brutalnie dostał w twarz od niewinności, ale nie za niewinność. Nic nie odpowiedział, nie wiedział jak, nie mógł się jeszcze podnieść i nie zdążył pozbierać. Po chwili chłopca zawołała młoda, piękna kobieta, pewnie matka. Oboje zniknęli wśród przechodniów.

– Dlaczego? – wykrztusił w środku. – Szczęście? Minz mówił o szczęściu. Tyle szczęścia naraz. Co za gówniane szczęście? Do ludzi? Do twarzy? Do miejsc? Szczęście spieprzyło wszystko!

Pobity ciągle nie wiedział, co i po co? Na razie zdecydował, dokąd. Do domu, jak najszybciej od ludzi z powrotem do siebie, z ulicy do kuchni. Skończył z pytaniami, by nie użalać się nad odpowiedziami. Przestał oplakiwać swoje szczęście, zerwał się energicznie i ruszył by jak najszybciej przepłukać rany, w domu czekały dwie butelki. Zmieniał się nastrój szybciej niż okoliczności, był wściekły. Poczłł się jeszcze nie upokorzony, ale już rozliczany. Oberwał pokutą, chociaż wcale nie wyznał i nie przyznawał się do grzechów. Przy nagłym struciu nie ma pewniejszej odtrutki niż do połowy pełna szklanka. Zawsze szedł na tę łatwiznę, zdając sobie sprawę, że kiedyś się może skończyć nieciekawie, jeśli już nie jest źle. Z progu rzucił się na pierwszą butelkę, wlewał w siebie na jeden oddech i popijał zimną, pozostałą ze śniadania herbatą. Z każdą porcją odmierzaną co najmniej setkami, wyraźniej widział oczy i czuprynę, słyszał głos. Im więcej wódki, tym bardziej wyraźny obraz i głośniejsze słowa.

– Nawąchałem się wiosny! Niezły smród! – wyrzucał sobie, jak każdy, któremu przytrafiło się coś przykrego, choć przecież nie musiało i przede wszystkim nie powinno się stać. – Starczyło tam nie leżć, nie byłoby tego! Na Kapisie nie ma jeszcze krzyża. Zemściło się! Skopał mnie gówniarz na oczach matki, za ojca mnie stłukł. Co mnie taki rusza? Spokojnego człowieka od tyłu w łeb walić? Powąchać nie daje! Na dorosłego rękę podnosi? – roześmiał się. – Piękna była mamusia! - Śmiech odbił się od dna szklanki, która zaraz cudownie się napełniła, od jednego wprawnego ruchu. – Ludzie częściej by się tłukli, gdyby ból nie trwał latami, ale odzywał się dopiero po latach. Nie, nie, nie! Nie dam się wciągnąć, nie dam się zatłuc! Nie dam się walić po łbie i po pysku! Tłumaczyłem się już ze wszystkiego i niczego więcej wyjaśniać nie będę. Nikomu! Sobie też! Mam w dupie, nie moje sprawy, nie mój tatuś. Po co mi ten rachunek cudzego sumienia? Nie oddam, nie będę się szarpał. Piękna mamunia wyniańczy chuligana na przyzwoitego frajera! Naucz, jak wszystkie mamusie, szacunku dla starszych i prania brudów pod własnym dachem. Będzie na stare lata miała pociechę z kancelisty, albo konwojenta. – Wódka po cichu podpowiadała, a Jerzy głośnie powtarzał, że ceną za cele nie może być przypadkowo, na ulicy spotkany rachunek. – Coś się w końcu udaje. Był dobry początek! Po cholere ten środek przyłazi i wszystko psuje, i znów koniec,

i znów od początku. Gówniane: „coś za coś”. Za marzenia i cele, wyrzuty sumienia? Nie kupuję! I nie biorę za darmo, nie kradnę, na wszystko ciężko zapierdalałam i nic nie jest na sprzedaż! Nie jest do podziału. Tym bardziej nie będę rozdawała jałmużny. Żadnego zebrania, nawet o życie. – Słowa lały się, jak wódka szklankami, i celnie uderzały do głowy. – Nikt mnie nie zawróci, tu będę stał. Po tej stronie, gdzie biorę wszystko i nie zbieram zewsząd. Tak miało być, tak będzie na wieki, zasrany ojciec między niewiastami. Amen!

Jedne słowa powtarzał, z innych kpił i nie chciał ich słyszeć. Na te był głuchy, które ludzie spisali, aby pocieszać się w porażce i usprawiedliwiać sukcesy. Wydrwił: śmieszne sumienie, zabawną moralność, jeszcze bardziej wyśmianą prawdę i chyba najbardziej groteskowe współczucie. Wszystko bez znaczenia, bezużyteczne, zaprzatające głowę, gdy wyznaczył sobie najważniejszy z celów – być kimś wielkim i robić coś niewyobrażalnego, reszta musiała milczeć. Uciekał przed głupimi słowami, a gdy spadały znienacka piąchą w ciemność, musiał się ocknąć, żeby oddać z całej siły przekonania.

– Dość! – powiedział ostatecznie przed wypiciem ostatniej szklanki i „dość” miało znaczyć wszystko, koniec na dziś z wódką i gadaniem do siebie, przespać problem, zapomnieć o incydencie, który nie może zaśmiecać celu. Jerzy wymagał od siebie takich postaw, na które nie było stać innych. Nieustannie analizował posunięcia, których nikt się nie mógł spodziewać. Kiedy był pijany, ćwiczył odpowiedzialność, podejmował decyzje, obiecywał sobie konsekwencję i potem na trzeźwo, nawet na kacu, dotrzymywał słowa. Dziś tylko utwierdzał się we wcześniejszych postanowieniach, nie przypominał, jedynie poświadczał. Czupryna z oczami wracała w myślach niejedną raz, ale to już był grzeczny chłopiec i żadnej krzywdy nie zrobił. Nie ważył się podnieść głosu i nawet oczu. Jerzy skutecznie się obronił, sprawa umarła, ale przeżyła reguła: „coś za coś” i „coś” z tym trzeba było zrobić, jeszcze nie wiedział, jak i za co?

## 6

Siedzenie w domu, jedzenie w kuchni, spanie na tapczanie, wychodzenie na zewnątrz, nie dalej niż do tych drzwi, za którymi ulga. Wiele dni spędzonych w ten i w żaden inny sposób. Czekanie, czekanie, czekanie i potem jeszcze raz tak samo i od nowa. Nie jest prosto dobijać się o swoje, kiedy już nic nie można od siebie dodać. Dzień zdaje się naturalny w czasie, dwa dni niczym nadzwyczajnym, trzeciego dnia już się przelewa, dzień czwarty jest poważnym powodem, by spytać: Co dalej? Nie było kogo! Nikt nie przychodził, sprawy działały się lub nie bez udziału Gduli. Niewdzięczna rola odsuniętego na bocznicę, wcześniej wydawała się błogosławionym i zasłużonym odpoczynkiem, po kilku dniach bezruchu zmieniło się na gorsze. Zaczęło brakować działania, nawet wycieczek pod dom Kapisa, cokolwiek robić, byle mieć zajęcie, inne od siedzenia na stołku i wyważania wzrokiem drzwi. Nie pił, również dlatego, że nie bardzo chciało się wychodzić po nowe zapasy wódki. Po ostatnim pijackim samogwałcie, cierpiał bardziej niż zwykle, to też odstraszało, wpadł w dół. Alkohol upomniał się o swój wkład, fizyczny koszt był nawet znośnym, koszty duszy okazały się piętrowe. W głowie sam pesymizm, smutek, żale, nieciekawość, zamazany obraz przyszłości i do tego ciągle oczekiwanie. Kondycja z każdym dniem wysychała, zamknął się w sobie. Nie chciało się wyjść, nie chciało szukać klucza, nie miał siły. Sam nie wiedział, co jest przyczyną przygnębienia, uporał się już z wydarzeniem przy ławce, coś tam jeszcze złośliwie docierało odpryskiem, ale konsekwentnie odrzucane przestało nawiedzać. Tragiczny był czas spędzony na niczym i podejrzenia, że może się wydarzyć coś niedobrego, albo nic się nie stanie, zatem jeszcze gorzej. Od pokoju do kuchni, tułało się jedno pytanie: „Co z Kapisem?”, a za nim włączyły się inne zagadki: „Kiedy do sądu?”, „Kiedy awans?”, „Kiedy kolejny krok z marzeń do celu?”. Pytanie padło cztery dni temu, nieco później doszły zagadki, rozwiązania nie przychodziły. Jerzy inaczej niż dotąd zaczął odczuwać samotność, czuł, że boli. Zdał sobie

sprawę, że jeśli nie szpieguje i nie pracuje dla Informacji, nie ma nikogo, z kim można zjeść, napić się, albo przespać.

– Jestem tylko porucznikiem Gdulą, znam żołnierzy i sekretarki. Służbowe kontakty. Jerzy nie zna nikogo, bo kto to jest dozorca, sklepowa, sąsiadka, bikiniarz? – użalał się po cichu, ale już głośno wydobył bikiniarza. Nie pasował do towarzystwa, albo nadawał się aż za bardzo, na dobrego znajomego Jerzego Gduli. – Przecież! Co z nim? Wystarczy wziąć szklanekę, zejść piętro niżej i poprosić o cukier.

Banalne i spóźnione odkrycie przypomniało, że w swojej robocie był bardzo średnim pracownikiem. Gubił się na wstępnych sprawach, gdy wpadał w melancholię i rozczulanie nad nieszczęsnym i nieznanym losem, zatracał się kompletnie. Bolesna ocena potwierdzona kolejną niemocą. Jak dotrzeć do oskarżonego? Brak siły, woli, chęci i odwagi na kontakt z dozorcą, spotkanie z jego synem nie zmieści się nawet w przelotnej myśli. Trząśnięty cały, najpierw w środku, potem ledwie trzymał kubek z herbatą. Sam się wprowadził w ten podły dół i pastwiąc się nad sobą, czerpał dziwną satysfakcję. Złośliwie problem zaczął się w tym właśnie, że nie było prostszej metody, aby ustalić co się dzieje i dlaczego nic się nie dzieje. Młody Klimaszko dawno powinien siedzieć i śpiewać refren o Kapisie. Najprostszy sposób na przyłożenie ucha Jerzy wykluczył strachem i zmęczeniem, trudniejsze rozwiązania nie przypęzły, być może nie istniały. Żeby wiedzieć musiał się przełamać, przekroczyć próg i zejść piętro niżej, tymczasem nie mógł się nawet ruszyć z miejsca. W ciemnej kuchni, czuł się bezpiecznie. Spacer po korytarzu zdawał się nieludzkim wysiłkiem, a spotkanie z drugim człowiekiem więcej niż przerażające. Wiele ostatnich wydarzeń i stare dziecinne lęki kazały się schować w kącie, nawet klęczeć, byle się nigdzie na krok się nie ruszać.

– Kurwa co się dzieje! Nie ma mnie! Zgubiłem się! Głową kiwaj! Głową kiwaj!

W ten podły czas traktował się chorobliwie ulubionym zajęciem, katował najpodlejszymi wspomnieniami, potem patrzył całymi godzinami na klamkę. Męczył wzrok do tego momentu, póki nie zobaczył ruchu, którego nie było. Już po kilku minutach gapienia się na dowolny przedmiot można zobaczyć wyobrażenia i uznać je za fakty. Jerzy gapił się godzinami. Klamka ugięła się wiele razy, schodziła w dół i otwierała drzwi, za każdym razem był to obraz wymęczony i zmyślony. W rzeczywistym świecie nic podobnego od kilku dni się nie zdarzyło. Nie chciał żadnej wizyty, bał się, ale czekał na odwiedziny, sprzeczność nie tylko w tym jednym objawie ciężkiej beznadziei. Niewielki ruch mógł przerwać niezdrową beczynność, jedno piętro w dół, ale zamiast wysilić się z sensem, zajął się pichceniem resztek, które pozostały z ostatnich zakupów. Siedział na stołku, plecami do drzwi i znęcał się nad ziemniakami. Kaleczył, nakłuwając, obierał na kwadratowo i rzucał do zlewu. Pomyślał, że wszystko tak robi, od wielu dni kaleczy proste rzeczy i nienawidzi każdej, najmniejszej czynności.

Ktoś się ulitował i zapukał do drzwi, bardzo delikatnie, grzecznie, jakby bardziej chciał być zauważony niż wchodzić do środka. Jerzy ledwie dosłyszał co się dzieje, czekał na taki akord wiele dni, teraz uznał, że znów mu się roi i wyobraża. Zrzucił głuche podszepty na objajające się po zlewie kwadraty i nie przerwał monotonnej roboty. Po chwili pukanie rozległo się ponownie, nieco głośniejsze, dłużej i bardziej przekonująco. Podniósł się i ruszył leniwie. Zanim otworzył, przyłożył ucho, usiłował odgadnąć, kto się czai za progiem. Głupie zachowanie trwało chwilę, po drugiej stronie stała kompletna cisza. Otworzył nie pytając, komu.

– Dzień dobry, panu porucznikowi – w progu stał stary Klimaszko, niepodobny do siebie, bez fartucha, w odświętnym ubraniu, takim jakie dozorca zakładają na pogrzeby i wesela.

– Dzień dobry – odpowiedział wryty widokiem starego, który ledwie dawał się rozpoznać. Już chciał dopytać, co się stało, ale nie zdążył.

– Nieszczęście, panie poruczniku, się narobiło – mówił ze łzami w oczach. Starał się trzymać dzielnie i nie puszczać łez po policzkach.



– Jakie nieszczęście? – Jerzy zląkł się, pomyślał, że stało się coś z bikiniarzem, potknął się po pijaku, zabił i cały plan diabli wzięli. Poczul, że gną mu się kolana, oparł biodro o futrynę.

– Macieja zabrali i nie wrócił – Klimaszko wyraźnie unikał nazwania tych, którzy zabrali i tego, gdzie zabrali, ale rozwiął najważniejsze wątpliwości. Porucznik Gdula wreszcie się dowiedział, co się stało, zrzucił ciężar, wyprostował kolana. Ucieszył się nieludzko, miał ochotę wyściskać starego za tak wspaniałe, stawiające na nogi wieści i za to, że przyszedł jak dobry sąsiad z najlepszą nowiną.

– Co narozrabiał? – Pytanie zabrzmiało bardziej oficjalnie niż szczerze, prawie jak na przesłuchaniu, w każdym razie, jak wydobywanie kolejnej ważnej informacji.

– Nic nie mówią, że niby pijany, że naubliżał, nic nie mówią i to już trzeci dzień będzie – odpowiedział łamiąc każde słowo i cały czas pilnując łez.

– Wszystko będzie dobrze, potrzymają i wypuszczą. Będzie dobrze – Gdula uspokajał, tonem dalszego krewnego, który ledwie znał i tyle samo interesował się losami jakiegoś nieszczęśnika.

– Czy pan porucznik by nie mógł, czy by się nie dało, żeby jemu pomóc? – Błaganie kosztowało Klimaszkę wiele, było po nim widać, że z tym przyszedł, choć bez wiary, że będzie mu dane. Po prawym policzku puścił ledwie widoczną łzę.

– Panie Antoni, mnie nie wolno takich rzeczy... – Jerzy przełamał opór do spoufaleń, żeby się pozbyć już bezużytecznego gościa. Miał ochotę wypchnąć starego i trzasnąć mu drzwiami przed nosem.

– Ano nie wolno, ja wiem, ale gdzie pójść, nie ma do kogo? – rozbrajająco, rozpaczliwą szczerością odpowiedział Klimaszko.

– Będzie dobrze, puszcza na pewno, młody jest, wytrzyma... – najgłupiej powiedział i przestraszył się fatalnego słowa. Niby co miał wytrzymać? Wiadomo co, ale o tym nie wolno wspominać. – Wypuszczą na pewno – dodał szybko Gdula, uciekał od przykrej wpadki..

– Niech pan porucznik się nie gniewa, że ja tak nachodzę. Niech panu porucznikowi Bóg wynagrodzi. – Dozorca mówił, jak wcześniej nie ważył się myśleć, wyrwał się Bóg i inne groźne słowa, całkiem się zapadł w swoim nieszczęściu, w tym, co mówił i robił. Odwrócił się i odszedł, bez nadziei kiwając głową. Jerzy został w drzwiach i natychmiast, z dziką ulgą, zamknął je za sobą. Doszedł do stołka, oparł się plecami o ścianę i wyciągnął przed siebie nogi tak daleko, jak się dało.

– No, to mamy wszystko bez ruszania dupy! – powiedział głośno z prymitywną satysfakcją i w sekundzie poczul się lepiej. Mokre oczy starego Klimaszki i to wszystko, co mogło się odezwać, tak jak rzuciło się z tyłu ławeczki, nie zrobiło żadnej krzywdy. Nic złego się nie stało, same dobre nowiny. Takiego impulsu potrzebował, aby znów odzyskać zdolność do myślenia o sobie, zamiast znęcania się nad sobą, teraz mógł wrócić na właściwą drogę i pójść do celu, nie po swoim trupie. Dramaty innych odbierał jako łatwe przeszkody. W najmniejszym stopniu nie czuł się winny krzywdy dozorczy i jego syna, po prostu wybitnie robił swoje. Jerzy drwił z nieudolności, jeśli ją widział u obcych ludzi i cierpiał, gdy odzywała się w nim.

– Dlaczego nie przyszedł nikt od Minza? Trzy dni trzymają brylantową księżniczkę! – głośno rzucił ważne pytanie i od razu usiłował poszukać właściwej odpowiedzi. Snuł przypuszczenia, po nich podejrzenia, z czasem oskarżenia. Zaczął od przypuszczenia, że młody Klimaszko mógł się trzymać i nie przyznawać do niczego, mało prawdopodobne, jednak możliwe. Powinno być tak, że bikiniarz ulizany na panienkę, przy pierwszym kopie w żołądek wypluje wszystko i jeszcze doda coś specjalnego od siebie. Ale czy tak się stało? Tego nie wiedział, dlatego przeszedł do podejrzenia, że to Kapis mógł się okazać jeszcze twardszym niż z Minzem zakładali. Nie przestraszył się szantażu i podjął walkę. Podejrzenie bardzo prawdopodobne, daleko bardziej niż poprzednie przypuszczenie, jednak zbyt

brawurowo wyglądał scenariusz. Nawet towarzysz major nie może zlekceważyć podobnych rewelacji na swój temat. Taka sprawa musiała wykończyć każdego majora, nawet generała. Pozostało oskarżenie Minza, o podłość i samodzielne przejście sukcesu.

– Ten błazen mógł to zrobić – powiedział do siebie, zapominając o identycznym manewrze, którym potraktował Chętkiego. Jerzy zawsze tak robił, nie pamiętał, nic nie pamiętał i nie kojarzył. Nie pamiętał, że wsadził syna dozorczy, nie pamiętał, że odebrał Chętkiemu przełom w sprawie Kapisa. Ten mechanizm pozwalał działać skutecznie i jeśli nawet zgrzytnęło tak mocno, jak po ciosie z tyłu ławki, bolesne wyjątki dawały się leczyć, hartowały mechanizm, przez niektórych zwany obronnym, ale Jerzy używał go do ataku. Trzy możliwości, jakie wyprodukował, zaprzętnęły głowę, żadna ewentualność nic dobrego za sobą nie niosła. Wyjątkowo niebezpieczny był scenariusz drugi i trzeci, może nawet drugi bardziej, w nim mogła polecieć głowa Minza, wtedy głowa Jerzego leci siłą rozpędu. Najkorzystniejszy wydawał się wariant, w którym młody Klimaszko trzyma się twardo, ale i takie rozwiązanie niepokoiło. Trzy dni bez rezultatu? Stanowczo za długo jak na sprawę, którą Jerzy uznał za zamkniętą, najwyżej wymagającą końcowych formalności. Wiedział więcej, dużo więcej niż przed wcześniejszymi, zmęczonymi myślami, gdy zwijał się w sobie i bał wyjść za drzwi. Teraz chciał wszystkiego, wracał do formy. Był gotów nie tylko wyjść poza pokój i ciemną kuchnię, myślał czy nie odwiedzić Minza?

Nie poszedł, nawet po dwóch dniach od wizyty starego Klimaszki. Obraził się, uważał, że swoje zrobił i ktoś się z nim droczy. Stawianie spraw na ostrzu noża to najkrótsza droga, aby poderżnąć sobie gardło. Na jedzenie gniewać się nie mógł, zupełną pustką wiało w kuchni, głód i pragnienie zaglądały w oczy, musiał pójść na zakupy. Na klatce i podwórzu udało się nikogo nie spotkać, przed nikim się nie tłumaczyć, nawet przywitać. Szczęścia było więcej, w sklepie Jerzy zastał nową ekspedientkę, która zastępowała spoconą koleżankę. Zakupy bez niespodzianek, może z tym jednym wyjątkiem, że poszedł w cywilnym ubraniu, od święta wydarzenie, jednak przyczyna była powszednia, mundur poszedł do prania, teraz suszyło się, na wyczekiwaną okazję. Mundur znać początek drogi na szczyt, bez niego Jerzy był zwykły, a z takim obiecał zerwać. Dbał o swój wyjątkowy strój, jak o siebie, dopiero w nim wyglądał, jak człowiek i tak się czuł. Objuczony zakupami stanął przed drzwiami. Przełożył siatki pod łokcie i tak próbował wyłowić klucze. Cyrkowo przykurczona pozycja pozwoliła dostrzec siedzącą na schodach sylwetkę, jakiś typ z głową opartą o ramiona drzemał w najlepsze. Gdula zdziwił się obecnością i jeszcze bardziej nieruchomą pozycją siedzącego, ale postanowił nie zgadywać kim jest tajemniczy przysypiający. Jedna z siatek spadła z zawiasu łokcia, musiało się tak stać, każdy kto widział tę scenę, bez trudu mógł odgadnąć jej finał. Hałas obudził nieruchomego i zagadka rozwiązała się natychmiast. Na schodach przysnął Chętki, właśnie się zbierał w sobie, jeszcze nie wiedząc, co się dzieje.

– Dzień dobry... – skaut chciał dodać tradycyjne „towarzyszu poruczniku”, ale pół przytomny, zobaczył cywila i się pogubił.

– Dobry! Właż do środka! – Jerzy szybko uporał się z zamkiem, w pośpiechu nie pozbierał rozsypanych zakupów. Zamknął za Chętkim drzwi, by od razu go opieprzyć, do tego tak się śpieszył.

– Ileś tu siedział? Mówiłem ci? Pamiętasz, co ci mówiłem? Ty w ogóle słyszysz, co się do ciebie mówi? Po kilka razy! Kurwa mać czy ja po chińsku mówię! – złościł się jak nigdy, zapominając, że tydzień czekał na tę chwilę, gdy Minz łaskawie podeśle kogoś.

– Towarzysz Minz kazał. Towarzysza porucznika nie było. Prawie godzinę czekałem, musiałem, mam ważną rzecz – usiłował się bronić.

– Ważną? Jak ważną? Masz ważną rzecz i śpisz na schodach? Przed moim drzwiami, jak jakiś pijaczyna!? Nie trzeba było się krępować! Następnym razem klucze pod wycieraczką zostawię, to się jak człowiek, na tapczanie wyśpisz – z pasją opieprzył skauta, odwrócił się i wyszedł za drzwi pozbierać zakupy. Wizyta Chętkiego spadła z nieba, a Jerzy pomiałał

darami niebios, kręcił nosem. Kiedy odzyskiwał formę, pozwalał sobie na podobne bluźnierstwa. Obok wydumanych pretensji pojawiła się niepokojąca wątpliwość. Stary towarzysz obiecał nie mieszać do sprawy bikiniarza żadnego ze skautów i złamał obietnicę. Gdula najpierw się nakręcił, potem odkręcał swoje złośliwości, gdy poukładał wszystko na nowo, wyszło mu, że ogon niczego głupiego nie zrobił i Minz niekoniecznie złamał dane słowo, zwyczajnie posłał gońca, nie śledczego w sprawie. Wrócił do mieszkania i zanim zdążył złagodzić ton, odezwał się przerażony Chętki:

– Towarzyszu poruczniku, ja musiałem, rozkaz był – jak zawsze przepraszał. – Towarzysz pułkownik mówił, że z dupy nogi powygryza, jak nie powiadomię towarzysza porucznika – tłumaczył się jak chłopczyk. Chętki w ogóle przypominał brzydkie dziecko, wiecznie rozczochrany, z kogutem na głowie. Chudy, piegowaty, nijaki szatyn.

– Powygryza? Powyrywa chyba?

– Towarzysz pułkownik powiedział, że powygryza. Sam się dziwiłem, ale tak powiedział – upierał się w swoim stylu, pokornie i bojaźliwie, chował się przed ciosem.

– No dobra, nie będziemy gadać o twoich... nogach. Co tam masz do powiedzenia? – Jerzy zmienił ton z opieprzającego na pojednawczy.

– Ten Klimaszko powiedział wszystko, no, i towarzysz Kapis... – skaut zwiesił głowę, nie wiedział, jak ma dokończyć zdanie, nie był oratorem, nawet proste wypowiedzi sprawiały mu ból. Patrząc jak się teraz męczył, należało podejrzewać, że chodziło o coś znacznie trudniejszego niż proste zdanie.

– Nabierz powietrza i powiedz, jak jest.

– Towarzysz Kapis strzelił sobie w łeb...

– Kiedy? – tylko tyle Gdulę obchodziło. Po wszystkich przejściach z ostatnich dni poczuł wielką ulgę, nic nie psuło radości, nawet prostacki język skauta, który nie obnażał pustki w sercu, ale pokazywał zawartość głowy. Dobrze się stało najlepiej i nie miał ochoty udawać smutku, celebrować bolesnej straty. Zmęczony czekaniem na cokolwiek, pytał o konkret. Chciał usłyszeć, że sam Kapis dawno załatwił własną sprawę i tylko Minz się znecał nad Gdulą.

– Dziś rano – równie rzeczowo odpowiedział Chętki, psując zabawę.

– Gdzie?

– Nie wiem, w domu chyba, towarzysz pułkownik kazał tylko tyle przekazać i żeby towarzysz porucznik natychmiast się wstawił.

– Wstawić się mam? Dobra wracaj na stanowisko, ja się ogarnę i wstawię – podkreślił ironię, nie licząc, że ogon pojmie w czym rzecz. Sobie sprawił drobną przyjemność, drwiąc z wątego intelektu Chętkiego.

– To ja idę, towarzyszu poruczniku, idę powiedzieć, że powiedziałem – możliwości zeszyły jeszcze niżej.

– Idź, powiedz, że powiedziałaś, tylko nie mów, że zasnęłaś na służbie, szkoda twoich nóg i zębów towarzysza pułkownika.

Tę aluzję Chętki chyba zrozumiał, przestraszył się, dotarło do niego, że Gdula ma go w garści i to już drugi raz. Jerzy odprowadził gościa, wzrokiem wypychając za drzwi, i od razu doskoczył do mokrej marynarki. W Informacji miał obowiązek wyglądać służbowo, poza wszystkim zakochał się w mundurze, zanim go zdobył i czuł się lepszy od wszystkich, nawet od tych wyższych stopniem. Bez munduru o cele walczyć trudniej, w tych czasach prawie niemożliwe, w walce żołnierz zawsze ma przewagę nad cywilem. Niestety żołnierskie ubranie wisało pomięte, kompletnie nieprzygotowane na odświętną okazję, wyglądało, jak cywilne łachy. Jerzy miotał się wokół i zastanawiał jak wybrnąć, jak łachmany osuszyć w umundurowanie. Taki właśnie był, potrafił zapomnieć o rzeczach ważnych, które całymi tygodniami nie dawały spokoju, porzucał wielkie niepokoje, gdy tylko pojawił się jakiś codzienny problem. Zakłopotany mokrą marynarką, nie poświęcił ani chwili na triumfowanie

po zakończonej akcji, tak zakończonej, że nic złego stać się nie mogło. Samobójstwo Kapisa było najbezpieczniejszym azylem dla wszystkich, którzy stali po przeciwnej stronie i oznaczało efektowne przyznanie się do winy, zamykało sprawę, a w całym finale nie było żadnego słabego punktu. Z wyjątkiem rozterek z gatunku: przyzwoitość, moralność, sprawiedliwość, ale nad tym nie było komu się rozwodzić. Dużo ważniejszy od nie istniejących słów, był istniejący wilgotny mundur, psuł wszystko, łącznie z najszcześniejszym końcem najtrudniejszego zadania. Prasowanie przez szmatkę pomogło o tyle, że żołnierski garnitur zaczął nieco mniej przypominać to, przez co był prasowany. Porucznik odpuścił dalsze zabiegi, nie było czasu i zabrakło pomysłów.

– Najważniejsze, że jest. W deszczu czy słońcu, ważne, że jest!

Żołnierskim zdaniem wytłumaczył sobie i rozwiązał najpilniejszy problem. U Minza „stawić się natychmiast”, znaczyło, że już trzeba przy nim być, nie lubił spóźnień, był w gorącej wodzie kapany. Jerzy wiedział o tym, przekonał się na samym początku znajomości i raz wystarczyło, żeby więcej nie mieć ochoty na powtórki. Rzucił wszystkie zajęcia, pozostawił porozrzucane siatki i prawie wybiegł z domu. Myślał nawet o taksówce, ale uznał, że nim znajdzie wolny wóz i upora się z szoferskim chamstwem, szybciej dojdzie. Maszerował, podbiegając gdy nikt nie widział, wybitnie dbał o swój wizerunek, bieganie było cywilne, nieeleganckie. Ważni ludzie nie biegają, poruszają się pewnym siebie krokiem, spokojnie, dostojnie defilują do celu. W mundurze można biec tylko wtedy, gdy się o niego walczy. Podobnymi myślami wypełniał sobie głowę i ciągle nie wracał do rzeczy najważniejszych, uznał je za zamknięte, chociaż nie wszystko jeszcze wiedział. Brakowało wielu szczegółów operacji, nie znał odpowiedzi na wiele pytań. Dlaczego tak długo trwało przesłuchanie bikiniarza? Co się wydarzyło, że Kapis ze sobą skończył? No, i pytanie najważniejsze: Co teraz? Czy to już koniec, ostatnia kropka w protokole? Czy teraz praca w sądzie? Awans? Czy Minz będzie jeszcze czegoś oczekiwał? Przyśpieszył jeszcze bardziej, nagle zatęsknił za pułkownikiem, o co nigdy się nie podejrzewał i miał rację. Tak naprawdę śpieszył się do własnych spraw. Gdy ujrzał wejście do gmachu, zwolnił majestatycznie i doszedł godnym krokiem. Jak nigdy wcześniej zabrakło sekretarki, ale drzwi do gabinetu Minza były zamknięte, zapukał i od razu usłyszał odpowiedź:

– Wejść! Wejść! Wejść! – wrzeszczał Gienek. – Witajcie, towarzyszu, sąsiedzie bikiniarza – był w wymienionej formie i humorze.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku! – zaszalutował. W stosunkach z przełożonymi Jerzy zawsze starał się o należyty szacunek, mówił „dzień dobry” i wspierał się „towarzyszem”. Nigdy „witam” lub jeszcze gorzej „cześć”. Minz po pijaku zachęcał do swojskich powitań i spoufaleń, ale Gdula trzymał się oficjalnej linii szacunku.

– Nawet nic, kurwa, nie mów, pijemy i koniec! – natychmiast sięgnął po flaszkę, pełną, nie otwieraną. Widać, że uroczyście czekał, nie chciał pić sam.

– Nic nie powiem – Jerzy uśmiechnął się szczerze, teraz dopiero dotarło, co się stało i na większość postawionych w biegu pytań, chyba już znał odpowiedź: „będzie dobrze”. Poza tym chciał się napić, zbyt długo nie miał wódki w ustach i głowie.

– Wiesz już o najważniejszym! Co myślałeś? – towarzysz pułkownik popatrzył przenikliwie, bardzo chciał odgadnąć, co porucznik myśli naprawdę, mało go interesowała rutynowa odpowiedź. Wyraźnie bał się nazywać rzeczy po imieniu, pytał naokoło.

– Dobrze się stało! Chyba najlepiej, tak myślę.

Gienek aż podskoczył na krześle, nie spodziewał się tak wzruszająco szczerzej odpowiedzi.

– Bardzo! Bardzo dobrze się stało! Najmniejszej przyjemności nie miałem się w tym babrać. Ten twój zasrany bik... – Minz się zatrzymał.

– Bikiniarz – podpowiedział porucznik, bardziej zorientowany w młodzieżowych patologiach.

- Kutas nie bikiniarz. Trzymał się prawie tydzień i niewiele powiedział. Pomyślałbyś, że takie gówno będzie takie twarde?
- Nie chce się wierzyć, wyglądał na takiego...
- Na cwela wyglądał! A mordę trzymał w kubeł, jakby co tydzień takiego podrzucali, na kieliszek chleba człowiek by nie zarobił. Na szczęście nie ja go robiłem – już drugi raz powtórzył, że od brudnej roboty umywa ręczki. Coś uwierało Gienka, Jerzy wykluczył sumienie i nie zgadywał dalej. – Tu masz protokół z przesłuchania, poczytasz i oddasz.
- Teczka z plikiem papierów wyjęta z szuflady wylądowała łagodnie przy lampie, skąd siedzącemu po drugiej stronie łatwiej było sięgnąć.
- A to – służbowo? Coś mam z tym zrobić? – zdziwiony Gdula wytrzeszczył oczy, pierwszy protokół w sprawie, może dlatego pogubił się w zamaszystych gestach pułkownika.
- Nic na siłę, żadne służbowo, dla przyjemności – Minz się roześmiał, po chwili dodał – poczytaj, nie chce się wierzyć.
- Można się pomylić, wydawał się miękki.
- Nie wiem, co z gnojem robić? Prawdę mówiąc do niczego niepotrzebny, a potrzebującym miejsce zajmuje. Puścić czy jak? – Słowa z gestami zdradzały, że pułkownik nie podjął żadnej decyzji, chyba szukał konsultacji lub współudziału.
- Wypuścić? Trochę by wyglądało, że major Kapis z niczego sobie... i zawsze świadek przecież. – Cyniczna, chłodna czyli właściwa odpowiedź, spodobała się Minzowi, jak wszystkie, które dotąd usłyszał. Dokładnie na takie potwierdzenie swoich pomysłów czekał.
- Tak by wyglądało, niech siedzi jak mu tak dobrze. A teraz po jednym głębszym na dobry początek.

W szklankach pojawiła się wódka, w solidnej proporcji, grubo ponad połowę.

- Oooo! – jęknął Jerzy.
- Co?
- Bardzo głęboko.
- Weźmiesz na dwa razy – uśmieł się Gienek i po chwili obaj przechylili szklanki.
- Nie lubię bez zagrychy...uuuu, parszywy smak. Tobie wódka smakuje? – pytanie jak nigdy brzmiało dowcipnie.
- To znaczy jak smakuje?
- Normalnie, kurwa, jak coś jesz, albo pijesz, to ci to smakuje, albo nie.
- A to nie! Wódka mi nie smakuje – bez skrępowania rozbawiony, odpowiedział młodszy stopniem i stażem w picciu.
- I mnie nie! Wóda jest ohydna, gówno straszne, bez zagrychy jeszcze większe gówno
- Minz czynił cuda, był dowcipny. – Ewy nie ma, chora kobita. Wszystko się pieprzy od tego. Lubię mieć każdego pod ręką, jak zagrycha, to Ewa najlepsza, a tak co? Kogo szukać? – żalił się na braki kadrowe i towarzyskie.
- Skoczę na dół, nie ma problemu – Jerzy sam chciał coś przegryźć, chętnie się wyznaczył na kelnera.
- Gdzie ty? Szanuj się! Ludzie są od tego! – sięgnął po telefon i rzucił rozkaz do słuchawki.
- Niech mi tu który przyniesie z piwnicy coś do żarcia – piwnicą Minz nazywał kantynę.
- Z piwnicy?
- Prawda, że pięknie powiedziane o tej norze?

Wesoło robiło się w gabinecie i uroczyście, było co świętować, ale obaj jakoś mało o święcie mówili. Krótkie urywane zadania, żarty, niewiele o tym co się wydarzyło. Jerzy zmienił ten beztroski klimat rozmowy.

- Tego młodego... znaczy, jak z nim będzie?
- Nie wiesz? Za chwilę sam będziesz wygłaszał sentencje – Minz niespodziewanie dostosował się do powagi chwili.
- Tak, ale czy on... co on dostanie? – przyszły asesora pytał o wyrok.

– On już swoje dostał, towarzyszu Gdula. Co ty, kurwa, taki miłosierny się zrobiłeś? Sam mówiłeś, nie puszczać! – Gienek zaczynał się niecierpliwić.

– Puszczać nie. Tego staruszka widziałem – Jerzy popisał się bezsensowną uwagą, odłożoną w pamięci sceną.

– Jakiego znów staruszka, kurwa? – dopytywał pułkownik, a porucznik zdał sobie sprawę, że nie tylko coś głupiego, ale i coś nowego powiedział, o czym nikt, poza nim, nie mógł wiedzieć.

– Ojciec tego młodego. Pytał, czy nie mogę mu pomóc, marudził. – Gdula nie dziwił się Minzowi, sobie się dziwił. Nie rozumiał, dlaczego wypalił ze starym Klimaszko i teraz musiał się z głupoty tłumaczyć.

– I co? Będziesz mu pomagał? Wiesz, co ja ci powiem? Ty się napij, wyraźnie za mało wypiełeś. Chuj z nim. Jednym i drugim. Zdrowie!

Szklanki poszły w górę. Po chwili do drzwi rozległo się pukanie.

– Wejść! – krzyknął Minz. W progu pojawił się Chętki z kiełbasą i chlebem. – Nie było nic z gara?! – innym tonem, ale równie głośno wydarł się na skauta.

– Nie było, towarzyszu pułkowniku, za wcześniej – odpowiedział zmieszany kościsty szatyn i bardziej niż szefa przestraszył się Jerzego, który nie pozwalał po sobie poznać, że towarzystwo Chętkiego irytuje i przesładuje go okrutnie. Nie spodziewał się, że i tu zastanie tę ofiarę losu, ledwie godzinę temu się z nim męczył.

– Dobra, fruwać – pułkownik pozbył się zbędnego towarzystwa, ale zapamiętał rzut przestraszonych oczu na porucznika Gdulę. – No i co z tym staruszkim?

– Nie, nic, tak mi się przypomniało bez sensu. Zbyłem go, namolny strasznie – odpędzał niechciany temat.

– Dostanie parę lat – pułkownik zgodził się na zmianę tematu, tylko porucznik nie zauważył zgody i zmiany.

– Kto? – pomyślał o Chętkim.

– Bikiniarz, a kto?

– Aaaa, no tak, na pewno – Gdula wygrzebywał się z głupoty, jaką palnął wcześniej, ciężko wychodził, bo ciągle nie rozumiał, dlaczego wspominał o dozorczy, a do kompletu idiotycznie pomyślał o Chętkim. Wódki zbyt mało na takie wpadki, potrzeba więcej myśleć. Tyle ze sobą ustalili.

– Czym fabryka bogata, jedz i pij. – Flaszka zniknęła w błyskawicznym tempie, Minz narzucił i lubił taki pośpiech. – Z tym Chętkim, czy jak mu tam, ty coś nie tego chyba? – Stary wyżeracz nigdy i o niczym, zwłaszcza o nikim, nie zapominał. Pamiętał doskonale niuans sprzed tygodnia, cały niepokój w zachowaniu Jerzego i wyraźnie widział minę skauta. Przywodził, jak Jerzy bronił się przed nim, i dostrzegł, że to działa w drugą stronę. Minz na pamięci poprzestał, nie miał ochoty drażnić relacji podwładnych, uznał wszystko za zwykły ludzki kaprys, kogoś się lubi, innego nie można znieść. Ale nie byłby sobą, gdyby nie pokazał, że on wszystko widzi, wszystko wie i o wszystkim pamięta.

– Nie jest tak źle, żeby tylko trochę więcej myślał – odpowiedział porucznik udając życzliwość dla skauta, którego szczerze i odruchowo nie znosił.

– Taki głupi to on nie jest. Wiesz, że sam też namierzył tego twojego bikiniarza? – wypalił Minz, a Jerzy pobladł.

– Tak powiedział? – Gdula spytał głosem karykaturalnie udającym obojętność.

– On nie, bokiem poszło jakoś, nie pamiętam, skąd. On się nawet chwalić nie chciał.

Jerzy odetchnął, nabrał koloru, bał się, że głupi i przestraszony ogon powiedział całą niepotrzebną prawdę, a cwaniak Minz daje do zrozumienia, że ma haka. Takiego, którego nie chce wykorzystywać od zaraz, ale kiedyś, gdy się nadarzy okazja będzie jak znalazł. W Informacji zdania wypowiedziane mimochodem liczyły się podwójnie i tak je należało rozumieć. Gdy towarzysz Gienek coś kombinował, najczęściej zwieszał głowę, albo

zajmował się czymś niepozornym, gapił się na papiery, dawał czas na zrozumienie. Na szczęście teraz tylko się dobrze bawił, dlatego wstawka o namierzeniu bikiniarza wydawała się przypadkową, ostatecznie zaplanowaną, ale tylko złośliwością. „On się nawet chwalić nie chciał”, zdawało się rozstrzygać sprawę. Wszystko podpowiadało, że kto powinien, trzymał twarz na kłódkę, nawet jeśli był przyciskany.

– Bikiniarz sam szukał problemów, najważniejsze, że się dobrze skończyło.

– Za łatwo poszło, nie myślisz? – Minz odpuścił gierki, zmienił minę na poważne i głębsze myślenie nad konsekwencjami.

– Nie rozumiem.

– Z Kapisem za łatwo poszło, ja tam ani, kurwa, wierzący, ani przesądny, tylko czy nie za łatwo poszło? – Zdanie pułkownika zabrzmiało, jak kolejny nieudolny żart, ale coś mu siedziało w zanadrzu, bo przecież nie na sumieniu.

– Chyba nie, dlaczego? – Przepadł niewygodny temat Chętkiego, tym się Jerzy teraz cieszył i nie myślał przejmować wyjętymi z zanadru dylematami, czy też nieudanymi dowcipami.

– Nie wiem, mnie coś, kurwa, nosi, no wiesz, że może kiedyś i nas tak łatwo, za żywota – zrzucił ciężar z zanadru.

– Eee tam, niech wilk siedzi w lesie.

– Co, kurwa?

– Nie ma co wyciągać wilka z lasu.

– Poeta, ja pierdołę, poeta. Dobra, pod talent, po całym. Zdrowie! – Pułkownikowi przeszło roztrząsanie skutków i przyczyn oraz ewentualnych następstw, wrócił do swoich powiedzonek, z których tylko on się śmiał i był zadowolony. Wypili i po żołniersku, na rozkaz żołądka, sięgnęli po kiełbasę. Łamali zagrychę, jedli bez sztuczków i nawet talerzy.

– Zobacz, kurwa, nawet kutas talerza nie przyniósł – żalił się Gienek, ale z pełnym spokojem, niespecjalnie przeszkadzał mu ten brak.

– A ja nawet lubię tak z łapy, lepiej smakuje – język już się plątał i Jerzy nabierał wesołości.

– Pewnie, kto nie lubi? Nie w tym rzecz. Pamiętaj, że taki musi wiedzieć, gdzie ma stać, co mu wolno, a ten, kurwa, rzuca michę, jak do celi, że ja od razu nie zauważyłem! Kiedyś będziesz miał więcej takich pod sobą, wtedy zrozumiesz, że jak odpuścisz – stołka pod dupą nie zastaniesz. Przy okazji tematu – Minz wyrzucił z szafki zamkniętą kopertę, podpisaną jednym słowem: „gwiazdka”. – I jutro u Litmanowicza możesz się zgłosić za asesora – dodał ciężkim głosem.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – uniżenie okazał wdzięczność, po to Jerzy Gdula tu przyszedł i w końcu dostał. Nieważne, że w stylu Minza, szybko, jak najszybciej, żeby zapomnieć, nie wręczyć, ale podrzucić młodej konkurencji wywalczony sukces. Tyle w tej kwestii złośliwie mógł odpowiedzieć, kompletnie bezradny towarzysz.

– W polu odrobisz – rozległ się rechot. – Ciągnie cię tam, powiedz, że nie? – usiłował jeszcze coś dodać, dołożyć zgryźliwości.

– Chcę spróbować, szkołę zrobiłem, pewnie, że ciągnie... – nieudolna szczerość, na jaką stać tylko po wódce, popłynęła z ust porucznika.

– Spróbujesz, jeszcze się tej kiełbasy najesz. Ile ty masz lat?

– Dwadzieścia trzy – wyjąkał, alkohol zaczynał pracować w głowie i na języku.

– I źle ci, kurwa? W twoim wieku byłem gówniarz, nikim byłem. Ty już jesteś ktoś i chuj wie, co z ciebie dalej wyrośnie – znów zarechotał.

– Ja wiem, że wszystko szybko, myślę o tym, że może za szybko, ale chcę próbować, tak sobie obiecałem, żeby próbować – pijacka szczerość zaczęła zastępować wyuczoną ostrożność, którą Jerzy w sobie pielęgnował i hartował.

– Próbuje, próbować trzeba. Wszędzie, tu i u Litmanowicza, to samo bym robił, gdybym miał dwadzieścia trzy lata. Na starość, co mam, wystarczy, tu jestem u siebie, lubię tę robotę, więcej mi nie trzeba. – Minz się zamyślił, może myślał o tym, co się z nim dzieje, a stało się

identycznie, wódka przemówiła szczerością, różnica w tym, że on przy okazji się usprawiedliwiał, dlaczego musi przegrać z młodymi, zamiast cieszyć się młodością.

– Towarzysz pułkownik nie ma żalu, że tam idę? – pijacka poufałość przechodziła w pijacką przyjaźń.

– Gienek! Gienek! Przeżyję zdradę, pierwszą wybaczam.

Rozmowa zmierzała w nieznanym kierunku, ale obaj czuli, że pewnych ustalonych granic przekroczyć nie wolno.

– Towarzysz pułkownik daruje, tak po imieniu, nie mogę. Szacunek nie pozwala, nie pozwala! – Gdula rwał zdania, trzeźwość okazywał tylko w instynkcie zachowawczym. Pilnował się, aby nie popełnić największego głupstwa, zdradzić myśli i uwolnić emocje, nauczył się tej sztuki przetrwania przy niejednej wódczanej okazji.

– Ty jesteś lepszy inteligent, pilnujesz się! – śmiech Minza złagodził słowa. – Dobrze kombinujesz, ze wszystkim dobrze kombinujesz, takich jak ty trzeba się bać. Lepiej, że się będą ciebie bać, jak sam masz się zesrać.

– Tak mam od dziecka, towarzyszu pułkowniku.

– Kombinowanie, sranie czy inteligencję, Jureczku? – pułkownik wszedł na swój ulubiony tor męczących żarcików i trzymał się kursu.

– Szacunek dla starszych – na posterunku, czujnie ripostował porucznik.

– Jeszcze, kurwa, dziadka ze mnie zrobił – na biurku rozległ się dźwięk telefonu. – Minz, słucham. Teraz? Teraz nie mogę, potem – odłożył słuchawkę i pośpiesznie zwrócił się do Jerzego. – Zgadniesz, kto?

– Chętki! – strzelił Gdula.

– Kurwa twoja mać, ty jesteś więcej niż niebezpieczny! Chętki! Chętki! – rozbawiony, prawie pobiegł po następną butelkę. – Za Chętkiego!

– Zdrowie! – zmęczonym głosem odpowiedział Jerzy.

– Uuuu... – Gienek najpierw chuchnął, potem syknął, wódka poszła i zaczynała wychodzić bokiem. – Wódka i kiełbasa, żołnierska dola, bez mojej Ewy bida. A ty kiedy? – jeszcze krzywił twarz po kolejnej źle wypitej szklance.

– Ale co towarzyszu pułkowniku? – Gdula nie wysiłał się z odgadywaniem, o co może Minzowi chodzić, pilnował się, wołał pytać z sensem niż bez sensu odpowiadać.

– Na babę! – Minz ryknął śmiechem, a Jerzy zmieszał się jak chłopczyk, czym jeszcze więcej ubawił dowcipnisią.

– Eeee, nie ma czasu, nie ma kiedy.

– Zapomnisz, czym się sika!

– Niiieee, będę pamiętał, przyjdzie czas.

– W twoich latach nie schodziłem z dupy, ale nawet kaprała nie miałem, faktem jest. Ciężki wybór – Gienek znów się zbierał do dowcipu.

– Jaki?

– Kaprał na dupie czy porucznik na pagonie?! – rozległ się nie śmiech i nie rechot, ale pęczniejąca beczka spazmów. Minz aż się krztusił po swoim żarciku, odbijał sobie błyskotliwą karierę młodszego towarzysza, czymś musiał. Skonfundowany porucznik, nie widząc ratunku i szansy na jakąkolwiek ripostę, udawał, jak mógł, że równie świetnie się bawi. – Nie martw się, za mundurem dupy sznurem – chyba chciał dać odpocząć, ale męczył coraz bardziej. Dowcip Minza był jeszcze cięższy niż zwykle.

– I tego się będę trzymał. – W końcu Jerzy odpowiedział coś z głową i Minz nagle spowaźniał. Jedno śmieszne słowo naprowadziło na całkiem nową, niestosowną do żartów myśl. Takie cuda przydarzają się ludziom, gdy przy dobrej, zakrapianej zabawie, pamięć odgrzebie starą informację, metodą najprostszego skojarzenia.

– Kapis już sobie nie podupczy, nie pomyślałbym.



Nagle zmieniony ton i treść rozmowy, ponownie pomieszały Jerzemu szyki, jednak tym razem czuł się zobowiązany, aby coś odpowiedzieć, zanim się zdecydował dłuższą chwilę szukał odpowiedniego zdania.

– Ja też nie, bałem się, że będzie się bronił, że bikiniarz nie pęknie, ale tego nie przewidziałem, w ogóle. Całkiem nie pomyślałem.

– Wypijemy za bydlaka? Jaki był, ale niech mu, kurwa, pederascie, ziemia lekką będzie!

– Pułkownik wznosił szklankę i stuknął zamaszycie, rozlewając niewielką część po dębowym blacie.

– Niech mu będzie! Na zdrowie! – Toast wygłoszony za nieboszczyka zabrzmiał idiotycznie, tak bardzo, że Minz się zakrztusił.

– Za pomyślność trupa jeszcze nie piłem! Zdrowie!

Miało być na smutno, zrobiło się zabawnie. Tak się piło w Informacji, bez żalu.

– Głupio wyszło, coś nie mam dnia do wódki – Gdula wołał się pożalić niż śmiać ze służbowych dowcipów.

– Wszystko, że Ewy nie ma! Chłać pod żarcie z gara w moim wieku obowiązkowe, w twoim zdrowe. Ale się usrało, baby w chałupie zabrakło i bida nastąpiła.

– Ja to lubię sam sobie ugotować, wtedy najlepiej smakuje.

– Jak u mamy? – od niechcienia rzucił Minz, a Jerzego zakłuło zapomniane słowo, usłyszał kilka słów naraz: Przemyśl, rodzice, Czyszki, las. Nie pokazał obudzonej wódką słabości. Odpowiedział, jak na rezydenta przystało:

– Tak dobrze nie, ale po swojemu – niepostrzeżenie i na chwilę głowa uciekła do tyłu. Jerzy przytomnie przełamał kark w drugą stronę, może trochę za mocno i tylko tym zdradzał, że wódka w głowie się kiwa i przelewa na boki. Cofa do wspomnień, dlatego trzeba gwałtownie pójść do przodu.

– Z Ewą chyba wesele będzie – Gienek miał swoje w głowie, swoją wódkę i swoje powroty głową w przód.

– Tak? Kto przepadnie?

– Sam przepadłem.

– O, kurwa... znaczy bardzo przepraszam, towarzyszu pułkowniku, znaczy gratuluje, jeśli tak – chyba pierwszy raz ambitny porucznik przeklął w tak poważnym towarzystwie, ale nie było rady, nie trafił z żartem, nawet jeśli to fatalnie. Spojrzał na Minza, żeby sprawdzić, jak bardzo spuścił, i zaraz się pocieszył, gdy zobaczył więcej rozbawienia niż pretensji.

– Było za pogrzeb, niech będzie za wesele, o ile obywatel porucznik pozwoli?

– Na zdrowie! Zdrowie młodych!

– Młodej chyba! Ona jedna młoda, każdy zobaczy i sam widzę – Minz tylko wtedy, gdy mówił o Ewie przypominał człowieka, tak na kawałek chwili. Poza tym cały czas był nieludzkim pułkownikiem Informacji.

– Towarzysz pułkownik lata ma jak ułał, ale wiadomość.

– Same dobre dziś – parsknął Gienek i zabrał się do polewania już dużo mniejszych porcji, sam czuł, że tempo i ilości prześcigają możliwości.

– Może odsapniemy, chyba nawet muszę, za ostro poszło. – Padła propozycja nie do odrzucenia, młodszy rangą odpadał i tak miało być. Picie ma swój symboliczny wymiar, jak w życiu i na służbie, wszystko musi mieć swoją hierarchię i porządek. Nie mógł porucznik przepić pułkownika.

– Prawda, czas hamować – zaprawiony w bojach, starszy kumpel od szklany przyznał rację, ale spóźnioną, gdy wódka już poszła i znów bokiem. – O, kurwa, za dużo tego, nie takie już zdrowie!

– W tej robocie tak jest.

– Jak? – pułkownik ciągle dochodził do siebie i ledwie mówił, łapał oddech, czuł się gorzej niż wyglądał, jakby miał za chwilę odjechać do Rygi.

– Wszystko za szybko, za dużo i potem się odbija – Jerzy uśmiechał się, wyraźnie zadowolony z siebie, liczył na owacje.

– Filozof! – Minz przełknął ślinę raz i drugi, ledwie żył. – A do wódki trzeba, kurwa, drwała, grabarza, albo furmana. Kiedyś taki byłem, teraz nie to zdrowie.

Gdula widział przed sobą pewnego siebie mężczyznę, ale w głowie miał roztropną kobietę, która zawsze kpiła z takich myślicieli i ratowała z litości. Siedziała przy piecu i zastanawiała się, kiedy ten szukający kłopotu porucznik, popatrzy błędnym wzrokiem i poprosi o wyłowienie z dna jakiegoś fragmentu swoich zgubnych pomysłów.

– Żona będzie teraz towarzysza pułkownika pilnować.

Niewielkie pocieszenie ze strony młodszego towarzysza, odbiło się grymasem na twarzy Minza. Przełamywał wstręt w przełyku, gorzko zrobiło się na samym końcu języka.

– Myślisz, że to zamieszanie wyjdzie na zdrowie?

– Będzie zależało czy towarzysz pułkownik da się upilnować – schlebiał, żartował, pocieszał, bo współczuł i kibicował. Jerzy znał parszywie złożone uczucie: przełykanie śliny, uścisk w żołądku, wracającą przełykiem wódkę, popychaną przez gorycz żółci. Współczuł sobie i kibicował, żeby do Minza nie dołączyć.

– Z mądrym i porzygać się można, dobrze mówisz – Minz z wolna wracał do siebie.

– Może sobie damy spokój na dziś?

Przyszedł odpowiedni moment, aby nie tyle kończyć z piciem, co z męczącym towarzystwem. Rozmowa z Minzem wymagała ustawicznego skupienia, żeby nie powiedzieć za wiele i pilnować się na każdym kroku.

– Zostawiasz starego Gienka? – pułkownik już się zgodził na propozycję.

– Muszę prawdę powiedzieć. Nie daję rady, ledwie siedzę, muszę się przejść. – Gdula kłamał, tak źle nie było, miał dość gadania, które już niczego sensownego przynieść nie mogło. Awans i zgoda na pracę w sądzie leżały na biurku. Kapis nikomu już krzywdy nie robi, bikiniarz został na głowie pułkownika. Nie było żadnego powodu, by dłużej pić z Minzem, który za chwilę się porzyga.

– Idź! Kwity pozabieraj i wódkę weź, też mam dość, rzygać się chce. – Skończyła się gościnność i rozgościła fizjologia. Minz miał coraz głośniejsze w żołądku i jeszcze bardziej gorzko w przełyku. Grzecznie wyganiał gościa.

– Nie trzeba, mam w domu, jakby zabrakło.

– Bierz, mówię i nie pierdol, jak dokończę, to się wykończę. – Pułkownik rzadko odchodził od stołu, właściwie nikt nie miał okazji czegoś podobnego widzieć, musiał się czuć tak fatalnie, jak wyglądał. Skromna odmowa intruza, tylko przeszkadzała, przedłużała i komplikowała proste wypraszenie.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku, niech się towarzysz pułkownik położy, będzie lepiej – pocieszał, że już wychodzi.

– Będzie, kurwa, będzie, coraz lepiej. Posiedzę jeszcze chwilę, na rzyganie się zbiera

– Gienek przyznał się do tego, co i tak było widać. Jerzy zgarnął papiery z biurka, wódkę włożył do kieszeni spodni i przykrył marynarką. Dopiero teraz zauważył, że mundur był już suchy i po tym spostrzeżeniu poczuł się lepiej.

– Do widzenia, towarzyszu pułkowniku – obowiązkowo zasalutował.

– Nie pij tyle z Litmanowiczem. – Na malutką złośliwość Minz jeszcze mógł się wysilić, od większej porzygałby się na pewno.

– Nie będzie takich okazji – przytomnie pożegnał się zaczepiony porucznik.

– Idź już, idź, bo pawiem poszczuję.

Przyjęcie się skończyło, ostatnim takim sobie żartem. Gospodarz usłyszał komplement, który pomógł mu przełknąć ślinę i poprawił oddech. Gość odwrócił się jak żołnierz, pożegnał się jak żołnierz i wyszedł jak żołnierz. Droga do domu zdawała się gładka, poupychał wszystkie dobra i trzymał się na nogach.

– Od spaceru, na otrzeźwienie, lepsze jest tylko rzyganie – powiedział do siebie i zastanawiał się, czy Minz ma już to za sobą. Sam mimo tempa i ilości wypitej wódki nie słyszał lamentu żołądka. Ostatnia przerwa w picciu posłużyła. Wracał ze wszystkimi odpowiedziami na ważne pytania, które sobie wcześniej, w drodze do Informacji stawiał. Wiedział więcej, ale nie specjalnie był poruszony. Śmierć Kapisa przyniosła ulgę, pracę w sądzie uznał za dawno obiecaną nagrodę. Pogodny obraz, na chwilę, zakłócił niezawodny dozorca, wybitny fachowiec od burzenia wszelkich radosnych nastrojów. Po dłuższej nieobecności stary wrócił do swoich zajęć na podwórku i już nie zaczepiał sąsiada. Innym niż zwykle, chłodnym gestem i milczącym uchYLENIEM czapki witał się z Jerzym.

– Niech ci będzie, Wojtek, i nawet lepiej ci na gębie leży ten szczery żal, cofało się od fałszywej miny, marudnego, zbitego ojczulka.

W domu porozkładał zdobycze i zanim zrobił cokolwiek – wypełnił szklanekę resztką wódki od pułkownika. Teraz chciał samotnie, z pełną swobodą i rozmachem uczcić ostatnie wydarzenia i awanse, odsapnąć od upokorzeń, namolnych staruszków, pechowych ławek, niechcianych historii i cierpkich żalów nad tymi, którym już się nie da pomóc. W bilansie ostatnich tygodni po stronie rzeczy niepożądanych umieścił tylko koszty emocjonalne, we właściwej rubryce zrealizowane cele: awans, pracę w sądzie i ponadplanową ćwiartkę wódki.

– Pora na ucztę – zaprosił się do stołu i zaczął od butelki, potem przeszedł do koperty, w której znalazł spodziewaną gwiazdkę zawiniętą w papier z krótkim rozkazem: „Przypnijcie sobie towarzyszu poruczniku, gdzie wam pasuje”. Klasyka dowcipu, w wykonaniu Minza, z gatunku tych, co to można się ich spodziewać, tylko nigdy nie wiadomo kiedy. Mimo wszystko prymitywny żart nie tyle ubawił, co ucieszył świeżo awansowanego porucznika. Z rzeczy nie odkrytych pozostała teczka z protokołem przesłuchania bikiniarza. Jerzy niechętnie sięgnął do tej zagadki, tuż po przechyleniu szklanki, wypełnionej w rozsądnej ilości. Teczka zawierała kilka stron maszynopisu, było to coś w rodzaju wewnętrznego raportu, przygotowanego, najprawdopodobniej dla Minza, bo nie wyglądało na należycie sporządzony dokument, żadnych sygnatur, pieczętek. Przekartkował całość, nie czytając jednego słowa, ledwie rzucał okiem po stronach i nudziła go ta robota. Zerkał i odwracał głowę, w końcu przymierzył się do zamknięcia teczki i tematu. Pozbierał kartki, jedną musiał podnieść z podłogi, a podnosząc, najpierw dostrzegł zdanie, potem cały fragment, który przeczytał do końca:

*Podejrzany Klimaszko Maciej nie potwierdził stawianych mu zarzutów, wtedy ppor. Kłuska uderzył podejrzanego pięścią w żołądek i stawił się przy nim chor. Milewicz i wspólnie przystąpili bić tegoż pięściami po całym ciele i nogami kopać w krocze. Zastosowane metody przymusu nie przyniosły żadnego rezultatu, w/w polecił Klimaszko Maciejowi wykonać razem z krzyżem w rękach około 100 przysiadów. Podejrzany wykonał polecenie i następnie zmuszono go, by rozebrał się do pasa, co też uczynił. W tym czasie, gdy się rozbierał, do pokoju przyniesiono kurze jaja, sztuk cztery, które ugotowano na maszynie elektrycznej w pokoju, tam gdzie Klimaszko Maciej był przesłuchiwany. Jeszcze gorące i wydobyte bezpośrednio z wrzącego garnka, chor. Milcewicz i ppor. Kłuska wspólnie wtykali Klimaszko w pachwiny obu rąk, należy dodać, że polecono mu ręce opuścić na dół i wtedy przywiązano mu je paskiem do ciała na wysokości łokci. Zastosowaną metodę powtarzano kilkakrotnie celem wydobywania pożądanego zeznań. Na skutek bólu przesłuchiwany Klimaszko Maciej oświadczył, że spotykał się z towarzyszem majorem Kapisem w jego domu i innych miejscach zazwyczaj ustronnych, ciemne bramy na przykład.*

*Po przyznaniu się do wzmiankowanych spotkań i okoliczności chor. Milcewicz i ppor. Kłuska nie odstąpili od zastosowanych środków przymusu i nadal konsekwentnie przesłuchiwali Klimaszko Macieja według powyżej opisanej metody. W procesie dalszych przesłuchań domagali się wyjawienia powodów spotkań podejrzanego z towarzyszem majorem Kapisem. Usiłowali wymóc na podejrzanym oświadczenie, że spotkania te miały na*

*celu wydobycie tajnych informacji i przekazanie ich obcym wywiadam. Także się domagali, żeby przestłuchiwany Klimaszko Maciej wyjaśnił, dlaczego miejsca spotkań były na uboczu lub w domu towarzysza majora Kapis, jak również czy nie dochodziło do rozmów o tajnych informacjach. Stawiano zarzut posiadania broni, którą podejrzany miał przechowywać w domu swojego ojca Klimaszko Antoniego, odnośnie tego zarzutu nie dysponowano żadnymi materiałami dowodowymi. W domu ojca podejrzanego nie znaleziono broni, nie dokonano nawet rewizji, celem zachowania ostrożności. Po tym, gdy Klimaszko Maciej zaprzeczył stawianym zarzutom, zwłaszcza posiadania broni i odmówił obciążenia swojego ojca Klimaszko Antoniego przystąpiono do kolejnych czynności. Chor. Milcewicz wspólnie z ppor. Kłuską rozkazali Klimaszko Maciejowi położyć się gołymi plecami na podłodze, w następstwie związawszy podejrzanemu ręce paskiem do tyłu oraz nogi drutem przewodu elektrycznego, usiedli razem na niego i po włożeniu Klimaszko szmaty w usta, wlewali mu do nosa wodę. W trakcie wielokrotnie ponawianych czynności oświadczał Klimaszko Maciejowi, że o ile zechce przyznać się, niech zakomunikuje ten fakt mrugnięciem oczyma. W toku podjętego znęcania się Klimaszko Maciej kilka razy zemdlął, wówczas polewano go wodą w okolicach twarzy i klatki piersiowej. Po odzyskaniu przytomności podejrzany Klimaszko Maciej przyznał się do intymnych, płciowych kontaktów z towarzyszem majorem Kapisem, celem uzyskiwania tajnych informacji znanych towarzyszewi Kapisowi z racji pełnienia służby w Informacji Wojskowej. Klimaszko Maciej nie przyznał się do posiadania broni i odmówił obciążenie swojego ojca Klimaszko Antoniego, jakoby ten pomagał mu w przechowywaniu pistoletu. Od dalszych czynności odstąpiono, uznając, że Klimaszko Maciej wyjawiał dowody na swoją winę w najbardziej interesującym i niebezpiecznym obszarze.*

Gdula Odrzucił protokół na stół, złapał za butelkę i wlał sobie dużo większą porcję, niż był w stanie przełknąć, wypił całość na kilka razy, krztusząc się z każdym łykiem. Słowa odtwarzały się w głowie, układał je w wyobrażenia, niektóre obrazy widział, jak z własnego życia wyjęte. Zatkąła wódka i wlewana przez nos woda, pamiętał zdarzenie z dzieciństwa, zachłysnął się w czasie kąpieli, przypomniał sobie podle uczucie, nałożył twarz torturowanego Klimaszki, odezwał się wypity alkohol i wystarczyło. Nie próbował wydostać się na zewnątrz, do obskurnego sracza, zwymiotował do zlewu i prawie natychmiast otrzeźwiał, emocje postawiły na nogi. Otworzył kurek kranu i usiłował sfluć spaskudzony, cuchnący zlew, resztki kiełbasy i chleba zablokowały odpływ, musiał się w tym grzebać, przepychał czym się da i co w ręce wpadło. Chciał, jak najszybciej pozbyć się ohydneho problemu, czuł się przy tym podle, znów przetykał jakiś rachunek, jeszcze nie miał pojęcia, czyją ręką spisany, choć już wiedział, za co. Zlew po paru minutach dał za wygraną, Jerzy mógł zmyć z siebie wszystko i wypłukać usta. Złapał pierwszą myśl: „Trzeba napić się mięty i dobrze przykryć, żeby się wygrzać”. Gdy dorwał myśl drugą zrozumiał, że nie myśli, tylko wspomina. Nastawił wodę na herbatę, znów chciał się napić wódki, ale niesmak w ustach i sam widok butelki wywoływał odruch w kierunku zlewu.

– O kurwa! – odreagował – kurwa, kurwa, kurwa. Po co mi to dał? Co on mi tu daje, kutas jeden?!

Czajnik zaczął gwizdać i na chwilę zwolnił z odpowiedzi na pytanie, którego i tak nie potrafił, póki co, przetrwać, ledwie zdołał je zadać. Wsypał herbatę do półlitrowego, blaszanego kubka i zalał, by po chwili się zorientować, że nie użył sitka. Nienawidził herbaty, w której pływały farfocle. Bezmyślnie wylał wszystko do zlewu. Wypłynęły resztki z kantyny zmieszane z fusami. Od nowa zaczął przepychać rachunki i z jeszcze większą wściekłością. Uporał się i wrócił do parzenia, zachowując swoje ulubione rytuały z sitkiem i precyzyjnie odmierzoną cukrem, idealnie płaskie i tylko dwie łyżeczki, zasiadł przy stole i czekał, aż kubek ostygnie. Zauważył kolejny błąd, przyzwyczajenie pokrzyżowało plany. Herbata miała być gorzka, jak mięta, po rzyganiu zawsze i tylko gorzka, tymczasem w blaszaku tańczyła misternie odmierzona mieszanina wody, farfocli i cukru. Był wściekły na wszystko, nic nie

wychodziło, najprostsze rzeczy, patrzył na kubek i już miał nim cisnąć, gdy żołądek w ostatniej chwili podpowiedział, jak bardzo potrzebuje tego płynu, a głowa, że ciało nie ma najmniejszej ochoty, aby wstać od stołu i zrobić cokolwiek. Przed oczami rozhuśtał się orczyk. W herbacie była nadzieja, potem chciał sięgnąć po wódkę, potrzebował tego najbardziej. Ochłonał, wstępnie i na chwilę. Siedział, gapił się w parujący wrzątek i studził wzrokiem, żołądek nieustannie przypominał o sobie, posyłał wiadomości, aż pod sam przełyk, myśli wzmagają podłe uczucie, biegały przed oczami. Powtórzone pytanie: „Po co mi to dał?”, póki co znajdowało najprostszą odpowiedź:

– Na pewno po coś! – głośno krzyknął i wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu, na uśmiech nie było go stać. Chwytał za kubek, musiał przełknąć chociaż łyk, parzący metal nie zachęcał do większych haustów. Pił powoli, siorbiąc i szybko odstawiając usta od rozgrzanego brzegu blaszaka. Nie mógł się oderwać od tego zajęcia, w tym znalazł tymczasowe rozwiązanie, bo nic innego nie był w stanie wymyślić.

– Zawsze tak jest – szepnął nieświadomie. – Zawsze tak jest, po każdym „coś” przychodzi „za coś”. Zdobyty cel, potem upokorzenie, strach, śmieszność, rzyganie. Nudna prawidłowość, zawsze tak jest, stanie się dobrze i zaraz przychodzi gówniany czas, zawsze tak jest, od dziecka tak było. Tyle razy dzieje się tak samo, że to musi być reguła. I te wszystkie wróżby, jak się uda przeskoczyć kałużę, będzie awans, jeśli przejdzie baba w kapeluszu, będzie praca. Śmieszność. Nic nie daje zaklinanie „coś”, zawsze przychodzi „za coś”, zawsze tak jest. –Przystanął z myślami, łudził się, że tymi lękami już się uporał, że nie będzie do nich wracał, a teraz Minz przypomniał mu „coś”. – Ten prostak wystawił „coś za coś”! – nadal mówił szeptem. – Masz i czytaj sobie, że tak lekko na samą górę nie wleziesz. Nie idziesz samotnie, idziesz po trupach, nie myśl, że ręce masz czyste. Wydaje ci się tylko, masz takie łapki, że się porzygałeś. Coś, kurwa, za coś. Minz, podrzuciłeś mi „coś” za całość czy tylko ratę? Wiem co do mnie mówisz i tym razem dowcip ci się udał. To nie całość, choćby ten upierdliwy cieć. Codziennie obok niego? Te świstki, te kalekie słowa, spisane przez sadystów analfabetów. Tego się nie da wymazać, to przywoła młode mamusie, za mundurem dupy sznurem. Wiedziałaś, że ja się domyślam, ale musiałaś pokazać, jak jest, żebym nie miał złudzeń. Nie chciałaś być sam i teraz masz towarzystwo, towarzyszu, jest nas dwóch, jest nas wielu. I co my tu mamy? Znacznie więcej niż się porucznikowi Gduli wydawało. Żadnych problemów, jak się schować w bramie i napić piwa w spelunie. Prostacko spisane wlewanie wody do nosa, gdyż wzmiankowany odmówił zeznań, celem przedłożenia i nawet nie mógł tego i owego oświadczyć, bo nie miał broni i pojęcia o co chodzi. Mamy jaja na twardo w pachwinach. W jakich, kurwa, pachwinach? Mamy kopy jaj na twardo i kopy w jaja, mamy depezę dla porucznika Gduli. Tak się zostaje pułkownikiem, za takie „coś”. I nie ma pocieszenia w przyznanej roli. Proces jest podzielony, jedni zlecali, drudzy kapują, inni wlewają przez nos, ale wszyscy się porzygamy. Czy taka jest odpowiedź, pułkowniku Minz? Tylko jedni mogą więcej i od nadmiaru się im nie cofnie, innym daje się mniej i patrzy czy przełkną? Duży może więcej, największy wszystko. I taki będę!

Sięgnął po flaszkę, musiał, żołądek nieco odpoczął, ale głowa nie dawała spokoju. Wypił i poszło, nie wróciło, wymęczony organizm od razu zareagował przyjemnym uczuciem lekkiego szumu w głowie i ciepłem w brzuchu. Wódka nastroiła, jak zawsze – najpierw melancholijnie, potem bojowo. W tym dniu po raz pierwszy zrozumiał, że przed „za coś” nie da się schować, nie da się ukraść „coś”, zawsze należy zapłacić.

– Od ceny uciec się nie da, trzeba uciekać od kosztów – powiedział głośniejszym głosem niż dotąd. – Zapłacić, ile każą, ale nie dopłacać. W porządku, to nie jest tak, że jest w porządku, ale nie może być inaczej, nie ma innego kierunku i z tym się trzeba pogodzić. Jest cena, będzie następna i kolejna, za każde „coś”. Trzeba to przyjąć i się oswoić, nauczyć regulować i po zapłacie oduczyc rzygać. Nabywać jak towar w sklepie, jak każdą rzecz, której za darmo mieć

nie można. Tak ci odpowiadam, Minz! Sobie odpowiadam! Nie przestanę kupować, będę płacił coraz niższe ceny.

Nie tak dawno temu, w biednej wsi, znaleziony w lesie mały Berek, tuż przed zaśnięciem myślał o tym, kim będzie, zapomniał pomyśleć, jaki będzie. Wtedy jeszcze nie wiedział, ile marzenia mogą kosztować, był po tej stronie, gdzie strach i upokorzenie. Wyobrażał sobie, że po drugiej stronie jest beztrosko spokojnie, nie ma koszmarów i niepotrzebnych myśli. Żył chwilą z dzieciństwa, aż do dnia, w którym, dzieci, matki, starcy i pułkownik Minz pokazali mu „za coś”. Wcześniej dochodziły ostrzeżenia, w bramie, na ławce, na klatce schodowej, bez skutku, ciągle był Jurkiem i myślał jak Jurek. Ostatecznie Minz zrobił z Jurka Jerzego, od tej chwili decyzje Jerzego Gduli stały się w pełni świadomym, brutalnym wyborem, boleśnie zdał sobie sprawę z ceny i postanowił unikać kosztów. Decyzje nie mogły być tłumaczone inaczej niż trzeźwym wyborem pozbawionym dziecięcej niewiedzy i naiwności, tego najłatwiejszego i najbardziej powszechnego alibi – nie wiedziałem, co się dzieje, byłem za młody, wykonywałem rozkazy. Jerzy był świadomy tego, w czym się babrze, wcześniej się tylko domyślał, teraz przestał uciekać, przyjął stare wyzwanie z nową świadomością. Widział siebie siedzącego okrakiem na torsie bikiniarza, to on sam wlewał mu wodę do nosa, tragikomicznie torturował jajkami na twardo, być może napisałby bardziej literacki raport, ale wszystko, co znalazł na byle jakich kartkach było jego dziełem. Wypowiadał się z siebie, przed sobą, czego wcześniej nie chciał zrobić, uciekał od grzechu, żyjąc w naiwnej, niedojrzałej cnocie. Ten moment, kiedy zrozumiał, co i jak się dzieje, jak dźbiać się musi z ceną za marzenie o właściwej stronie; tam gdzie czeka mundur i toga, a nie ma schronienia przed osądem i ludźmi w mundurach, był momentem dojrzałej decyzji. Koszty nie odstraszały, Jerzy Gdula, w pełnej gotowości był zdecydowany płacić za miejsce po właściwej stronie, jeszcze nie umiał usprawiedliwić tej decyzji, ale przeskoczył kolejny etap. Kto płaci, nie kradnie, zatem nic złego nie robi i przekonywać się nie musi. Od naiwności do bezwzględności długa droga, jej początek w lesie, koniec w Warszawie. W tym czasie zmieniło się wiele, nie zmienił się tylko cel, pozostał ten sam, być kimś i robić coś, teraz za wszelką cenę i najniższym kosztem.

## 7

Wszystkie formalności związane z awansem i przydziałem do nowej roboty porucznika i asesora Jerzego Gduli załatwili między sobą Minz z Litmanowiczem. Ci dwaj rywalizowali o niego, był im potrzebny, właśnie on. Ludzi napierających na szybkie zyski nie brakowało, właściwie tylko tacy kręcili się blisko szczytu. Obiecująco zdolni pojawiali się pojedynczo i dlatego trzeba się było o nich starać. Gdula był jeden, chorążych Chętkich cała armia. Wybitność wśród przeciętnych nie gwarantowała statusu nietykalnego. Gdyby tylko pojawił się powód, z porucznikiem Jerzym Gdulą nikt nie grałby takich spektakli, jak z majorem Kryspinem Kapisem. Średniej rangi, niewygodną jednostkę można odstrzelić najprostszymi środkami, jedno słowo przełożonego i ponadprzeciętny oficer staje się cywilnym nikiem. Jerzy zdawał sobie z tego sprawę i z taką świadomością usiłował dzielić między Minza i Litmanowicza świeczki z ogarkami, na przemian jeden dostawał świeczkę, drugi ogarek. Zdarzało się, że obaj otrzymywali świeczki i tak się stało w przypadku Kapisa. Jerzy zrobił swoje i udawał się na odpoczynek, potrzebował czegoś innego niż biegania i podsłuchiwanie po bramach, czym potwornie się zmęczył. Szukał wytchnienia od starej roboty i smaku nowej pracy, jak mawiał Minz, ironicznie dzieląc zajęcia. Liczył, że w sądzie będzie kimś innym, lepszym i mniej narażonym na śmieszności. Domyślał się tego, że radość nie potrwa długo, będzie zaledwie asesorem i już po chwili rozmarzy się nad tytułem sędziego. Jednak póki nie nacieszył się nowym stanowiskiem, odmiana w zupełności wystarczała, jako odbicie od szpiegowskiej komedii.

Nie zrezygnował z poprzedniego zajęcia, nawet gdyby chciał, to nie mógł, Minz nie pozostawiał złudzeń, ale też przekazał Jerzemu, że już od jutra może się zameldować u Litmanowicza, a takie komunikaty trzeba umieć odszyfrować. Ważne kto mówi, o kim i do kogo. Powiedział Minz do Jerzego o Litmanowiczu, co oznaczało, że Minzowi nie zależało, Litmanowiczowi zależało bardzo, Jerzy nie miał wyboru. Gdy pułkownik Informacji mówi: „może od jutra”, obowiązkiem było się u sędziego stawić na pewno i najlepiej jeszcze dziś. Dziś się nie udało, ponieważ było wczoraj i ten dzień Jerzy musiał spędzić na picu z Minzem. Dziś trzeba było przełożyć na jutro i jak tylko Jerzy się obudził, przepił wczoraj kwaśnym mlekiem, wrzucił coś pośpiesznie do żołądka i taksówką dotarł do Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie. Wolał to miejsce bardziej niż Informację, z wielu powodów, tak ogólnych, jak i drobiazgowych. Generalnym powodem było zmęczenie Informacją, ten zdeptany rejon znał już bardziej niż po śladach, a ostatnie wyczyny Minza przybiły zbyt mocno, żeby chcieć do niego wracać. Tajna współpraca zmieniła Jerzemu życie, przynajmniej w tych miejscach, gdzie dotąd funkcjonował z beztroską niewiedzą lub bezkarnym udawaniem braku wiedzy. Innym powodem, ogólnym, był Minz, którego Gdula stawiał niżej Litmanowicza. Obaj nie uchodzili za wielkich i wybitnych, jednak sędzia wydawał się bardziej pogodzony z darami losu, nie lubił się wychylać, robił swoje i nawet nie miał ambicji robić więcej. Pułkownik Minz z pozoru zachowywał się podobnie, ale charakter miał zupełnie inny, stare kompleksy klasowe biednego dziecka z robotniczych baraków popychały do różnych szaleństw. To on był głównym inicjatorem akcji z Kapisem, zyskał poparcie Litmanowicza sobie znanymi i zapewne mało wyszukаныmi sposobami. Może postraszył albo przekazał wydumane sensacje, w każdym razie był do tego zdolny. Przy Litmanowiczu Jerzy czuł się pewniej, na tyle, na ile wśród podobnych ludzi w ogóle da się czuć pewnie. Minz kombinował, urządzał testy, zaszywał tajne informacje w drugim dniu, nie zdradzał intencji, nawet tam, gdzie sprawy były jasne i nie mogły nikomu zaszkodzić. Miał po prostu wredny charakter, sadystyczną, pokrętną osobowość, ciemne wnętrza i radość z patroszenia ludzi.

Jerzy nadal nie wiedział wszystkiego o akcji z Kapisem, miał wrażenie, że Litmanowicz też nie i chyba się bał dociekać szczegółów. Było, minęło, tak mógł się pocieszyć porucznik Gdula, a sędzia zbyt wiele widział i sam robił, żeby ryzykować drobiazgową analizę. Liczyło się usuwanie przeszkód i unikanie katastrof, ta strategia połączyła Litmanowicza i Gdulę, Minz ze swoim jawnym sadyzmem i skrytym testowaniem, szaradami i pułapkami wyraźnie od niej odstawał. Z drobiazgowych Jerzemu bardziej odpowiadał sekretariat i sekretarka sędziego. Brzydsza i mniej rozgarnięta niż Ewa Zając, ale sympatyczna, życzliwa i trochę przestraszona Edyta Żaczkiewicz, dawała odetchnąć. W końcu był jeszcze jeden powód, ani ogólny, ani szczegółowy. Po dniu wczorajszym Jerzy mniej niż średnio wyobrażał sobie wizytę u Minza, dlatego dziś rozmasował stare bóle i pocieszał się, że Informacji nie musi odwiedzać. Miał się odezwać i przy okazji tak będzie, jeśli konieczność do tego zmusi, dla własnej przyjemności nie zamierzał się tam pokazywać.

– Sąd – zasłużona kryjówka – tuż przed wyjściem z domu pomyślał asesor Gdula. Chciał być jak najszybciej na miejscu, nie tyle dla Litmanowicza, co z ciekawości, jak teraz wszystko będzie wyglądało. Powtarzalnie się złożyło, przed budynkiem sądu taksówka pojawiła się tuż po dziewiątej, w tym samym czasie wczoraj zameldował się u Minza. – Będzie sprawiedliwie – mruknął pod nosem spoglądając na zegarek. Aby sprawiedliwości stało się zadość, wbiegł do budynku sądu jak wcześniej do gmachu Informacji, przeskakując po dwa schodki na krok. Dopiero w sekretariacie skończyły się wszelkie podobieństwa i zaczęły atakować niepokojące różnice. Edyta siedziała bardziej przyczołajona niż zwykle i nie do końca zdrowo podniecona. Za drzwiami gabinetu Litmanowicza rozbijały się podniesione głosy. Żaczkiewicz, widząc znajomą twarz, od razu podniosła się z krzesła i podbiegła do Gduli, zabawnie kołysząc swoim owalnym ciałem, co wyglądało jak parodia baletu.

– Ale się dzieje od rana! Takie zamieszanie! Nie wiem co jest, lepiej nie wchodzić w drogę

– wyszeptala tak cicho, że ledwie dało się słyszeć, o czym mówi. Za to nie dało się nie zauważyć podniecenia, szczebiotała i podskakiwała jak dziewczynka przez skakankę. Dziwnie wyglądała, cieszyła się, że się martwi, przerażona i zadowolona, chociaż rzeczy nie przedstawiały się ciekawie. – Siadaj, razem bezpieczniej w taką burzę. – Wystawiła krzesło po drugiej stronie biurka. Wszystko robiła niezwykle ostrożnie i szeptem, ale też z dziewczęcą radością, uśmiechała się pod nosem po własnych słowach. Edyta miała swoje staropanieńskie dziwactwa, potrafiła jednocześnie bać się czegoś i podniecać strachem, nawet śmiać się z rzeczy budzących grozę. Nie miała innych życiowych atrakcji, dlatego każde nietypowe wydarzenie dostarczało jej wielu zdrowych i okaleczonych emocji. Jakimś cudem i własną metodą umiała połączyć sprzeczne uczucia i czerpać z tego przyjemność.

– I tak od rana? – Pytanie Jerzego bardziej miało przerwać ciszę niż poszukać odpowiedzi.

– No, przecież dziewiąta dopiero co. Od rana, zaraz jak stary przyszedł – nie przestawała szeptać i chichotać.

– Nie wiadomo, o co chodzi? – pomyślał, że nie chce już żadnych atrakcji.

– A skąd?! Gdzie wiadomo?! Stary nigdy nie mówi, teraz nawet nie było kiedy. Coś nowego musiało wyjść i niemałego, jak tak od rana się zaczęło – pochyliła się nad biurkiem i szpiegowskim tonem wyszeptala swoje rewelacyjne obserwacje.

– Trudno, będę czekał. A kto tam jest? – Tej informacji Jerzy potrzebował, skład wizyt wiele mówił, zwykle wszystko.

– Sami najważniejsi, dwóch z samej góry – szepnęła Edyta, przestraszyła się rangi wiadomości i zaraz zamilkła.

– Ja to mam pecha, drugi raz z rzędu nacinam się na takie posiedzenie. Pewnie znów będzie wściekły. – Jerzy szukał zaprzeczenia własnych słów, ale sekretarka Żaczkiewicz uznała, że trafił w punkt.

– Faktycznie! Ale wtedy był telefon od towarzysza Minza, powiedział mi potem. Teraz sama góra przyszła do Mahometa, sama góra – ekscytowała się i podkreślała najwyższą rangę wizyty. Chowala głowę między ramiona, potem wysuwała, oplatała dłońmi i kręciła nie jak własną, ale głową kukielki, chciała przez to powiedziec, że żartów nie ma.

– Może przesadzamy... – znów się zrobiło głośno za drzwiami. – Chyba nie przesadzamy, chyba się pocieszamy... – poprawił się z uśmiechem.

– Hi, hi... noo... – cieniutki śmiech i gruby bas wydobyl się z brzydkiej kobiety, chichotała piskliwie, choć zwykle mówiła prawie męskim głosem.

– Nie wiem co robic? Czekac, aż się skończy? – Jerzy powiedział coś, czego nie zamierzał rozważać, było jasne jaką się zachować i sam to przed chwilą wygłosił.

– A co innego? Czekaj, sama czekam – przygryzła paznokiec kciuka.

– No, chyba nic. Tylko ile to potrwa?

– Sami nie wiedzą. Przychodzisz już do nas? – spytała, jak zwykle ciekawska i nieporadnie zalotna.

– Raczej tak, tak wygląda, właśnie miałem rozmawiac, co i jak.

– To fajnie, będzie weselej.

– No, nie wiem, na razie nie wygląda za wesoło – uśmiechnął się i kiwnął głową w stronę drzwi.

– Przejdzie, zawsze przechodzi i to przejdzie. Stary nie jest taki zły, nerwowy jest, ale sam widzisz, że bywają wizyty rozmaite. Ale ogólnie daje pożyczć, trzeba tylko tak do siebie wszystkiego nie brać, ja się nauczyłam – prawie z dumą chwaliła się Edyta, bez przerwy szepcząc i chichocząc.

– Zobaczmy, jak będzie. – Wątpliwosc ukryła zmęczenie, mniej słowami sekretarki sędziego, bardziej głosami w jego gabinecie. Jerzy liczył, że tu odpocznie, tymczasem zaczęło się przeciętnie, bardzo mizernie.



- Dobrze będzie, dobrze jest...
- Tylko długo coś, jak na dobre.
- A gdzie tam długo, tak z pół dnia było nieraz, jak kogoś ważnego sądzili. Najgorzej, jak czapa, wtedy i kilka dni po kolei.
- Czapa?
- No stryczek, najwyższy wyrok, no co ty? – prawie oburzona wyjaśniała.
- A, tak, zmęczony jestem...
- Co cię tak zmęczyło, poruczniku? – znów zalotnie i tak samo nieporadnie kokietowała Edyta.
- Eee, wszystko, bieganie to tu, to tam i każdy czymś poczęstuje – Jerzy wolał silić się na dowcip niż wchodzić z Edytą w poważne rozmowy.
- Takie życie, co zrobisz, u nas myślisz inaczej? Co tu się wódki przeleje, byś nie uwierzył. Nie ma dnia, raz mniej, raz więcej, ale nie ma dnia – mówiła głosem zdradzającym największe tajemnice. – Ale to tak między nami – dodała, puszczając oczko.
- Jasne.
- Może się napijesz czegoś?
- Nie – krótko i z uśmiechem odpowiedział Jerzy.
- Ale nie – zachichotała cicho. – Nie tego, herbaty, albo kawy? Zrobić?
- Nie, dziękuję, opilem się w domu, zresztą nie wiadomo, ile to potrwa, szkoda zachodu
- odmówił grzecznie.
- Żaden kłopot. Zrobię!
- Nie, nie, naprawdę dziękuję, nie zmieszczę, dopiero piłem w domu.
- Jak chcesz, poczekamy o suchym pysku – zachichotała. W tym momencie otworzyły się drzwi, z gabinetu wyszło trzech oficerów, wszyscy w randze pułkownika. Edyta z Jerzym stanęli na baczność, ale żaden z nich nie popatrzył w tę stronę, nawet Litmanowicz. Dopiero, gdy gospodarz odprowadził gości do drzwi, niżsi rangą na poziomie gestu złapali z szefem kontakt. Kiwnął głową na Jerzego i w takiej formie wysłał mu zaproszenie, później już nieco bardziej kulturalnie puścił gościa przodem, popychając i poklepując po ramieniu. Ten ruch Jerzy odebrał przyjaźnie i zamiast radości, zaliczył zdziwienie, wszystko wskazywało, że za drzwiami trwała jakaś jatka, tymczasem pułkownik najwyraźniej nie miał złego nastroju.
- Siadaj i opowiadaj – spokojnym tonem, jak gdyby nic się przed chwilą nie stało, poprosił o relację. Jerzy zastygł, zaskoczyła go obojętność Litmanowicza, zbierał się z odpowiedzią.
- No, opowiadaj, co słyszeć? – zachęcał sędzia, widząc, że rozmówca albo niedosłyszy, albo zaniemówił.
- Pułkownik Minz kazał się zgłosić – wydukał.
- Aż musiał kazać, sam nie chciałeś?
- Bardzo chciałem. Po prostu pułkownik Minz mówił, że już mogę przyjść – jąkał się jak uczeń, który trochę czytał, tylko w stresie zapomniał co.
- Z Kapisem ostro wyszło, co?
- Ostro? – drgnął zdziwiony i umęczony ostatnimi wydarzeniami. Przypomniawszy sobie o raporcie, pomyślał, że o to Litmanowiczowi chodzi.
- A co słabo? Palnął sobie w łeb, mało?
- Powiesił się – porucznik odpowiedział z precyzją i ulgą, że nie o raport chodziło.
- Powiesił? Skoro się powiesił, to inna sprawa – ironizował sędzia.
- Coś nie mam dobrego dnia. – „To samo mówiłem wczoraj Minzowi” – pomyślał Gdula.
- No to jak: ostro czy nie ostro?
- Raczej ostro.
- Na pewno? Może nie, może normalnie i w końcu powiesił się czy palnął sobie w łeb? Słyszałem, że palnął. – Litmanowicz ciągnął dziwną rozmowę, bardzo otwartą, tylko intencje ukrywał. Coś chciał osiągnąć, ale nie zdradzał co kombinuje.

- Szczerze powiem, że nie zrobiło na mnie wrażenia, niewinni się nie wieszają, ani nawet w łeb nie strzelają, w każdym razie nie sobie. – Odpowiedź brzmiała tak dosadnie, że Jerzy zaczął się obawiać, jak bardzo dosadził.
- Taaaak, nadasz się do tej roboty. Już się bałem, że palniesz coś głupiego. Tobie się wydawało, że tu odpoczniesz? Że tu będzie inaczej? – Litmanowicz rzeźbił minę wyczekującą na kolejną trafną odpowiedź.
- Nie. Właściwie tak – Jerzy chciał skłamać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie na prawdziwe, pogubił się w rozmowie.
- Myślałeś i dalej myślisz. Im szybciej cię zmartwię, że lekko nie będzie, tym lepiej dla ciebie. – Sędzia dziwnie zaczynał przypominać Minza, jeszcze nie błaznował, jak Gienek, jednak już trwało jakieś testowanie rozłożone na kilka etapów. Jerzy oburzył się na tę nowość, z wolna zaczynał wrzucać pułkowników do jednego worka.
- To znaczy, wiedziałem, że będzie inaczej, niekoniecznie łżej – wykrzesał z siebie okrągłe zdanie.
- I tak, i tak kombinowałeś. Trochę inaczej będziesz robił to samo. O! Tak lepiej. Czy łżej? Od ciebie zależy. Będziesz potrafił, połapiesz się, będzie łżej. Będziesz się gubił, będzie ciężko.
- Tak myślałem. – Porucznik sam nie wierzył, że tak daleko posunął się w używaniu prawdy. Popenił jeszcze jedną przesadę. Litmanowicz nie był Minzem, niby testował, ale mówił, dlaczego, i chwalił po zdanym egzaminie.
- Tym wygrałeś, tak trzeba. Wszędzie, gdzie możesz, mów prawdę, w ten sposób za nic dostaniesz wiele. Gdzie nie powinienes, sam wiesz najlepiej.
- I już tu zostanę? – Gdula przeproszał naiwnym pytaniem za wcześniejsze pochopne oceny.
- A gdzie chciałbyś iść? Gdzie jest ten młody pederasta? Na Mokotowie?
- Na Mokotowie? – z góry zatwierdzony asesor przyszedł jak po obiecanie, za bardzo się rozluźnił, prawdę mówiąc w ogóle się nie przygotował do rozmowy. Przyszedł tu po nagrodę, nie spodziewał się konkursów. Pytania nie były skomplikowane, wręcz nie wypadało nie znać odpowiedzi, mimo to Jerzy się dąsał. Uważał, że powinien dostać, co mu się należy, i potem jeszcze święty spokój na dłuższy czas.
- A gdzie? Nie na Mokotowie? Towarzysz Minz miał inny pomysł niż wszyscy? – Sędzia droczył się i chyba nieźle bawił, może brał rewanż za to, że przed chwilą sam musiał się tłumaczyć przed ważniejszymi od siebie. Na pewno i jak zawsze miał ochotę kopnąć Minza.
- Nie wiem – rzucił zrezygowany Gdula, brakowało mu wszystkiego, aby udzielić choć trochę mądrzejszej odpowiedzi.
- O! Takie rzeczy trzeba wiedzieć. Tam będziemy odsyłać, stamtąd będziemy brać, taka nasza robota. Kto wie, może dostaniesz tego młodego na wokandę. Żyje? – Ostatnie pytanie Litmanowicza pokazało, że zabawa niekoniecznie musi mieć jakieś przyzwoite granice.
- Raczej tak. – Przed chwilą sędzia został przeproszony, za rzut do worka z Minzem, teraz Jerzy znów miłą ochotę go tam wcisnąć i nawet zawiązać na zawsze.
- Takie rzeczy trzeba wiedzieć, wiele takich rzeczy trzeba wiedzieć, na pewno, nie na „chyba” – pułkownik przykręcał śrubę.
- Wczoraj towarzysz Minz mówił, że podejrzany żyje, nie powiedział gdzie.
- Najważniejsze, że żyje. A jakby nie miał żyć, to co?
- Nie rozumiem.
- Nie ma czego rozumieć, trzeba wydać wyrok, takie jest prawo. Nie ma żyć! I co?
- Nie wiem, towarzyszu pułkowniku – nie próbował się bronić. Zupełnie nie miał pomysłu na odpowiedź, nawet nie wiedział, czemu ma służyć pytanie.
- Będziesz musiał wiedzieć, będziesz musiał być pewien, no, i podpiszesz się pod tym, co pewne. Tak ta nasza robota będzie wyglądała, kolego asessorze. – Litmanowicz powiedział wszystko, co miał do przekazania. Spojrzał jeszcze na zdziwioną twarz młodszego kolegi, ale

już się dało z oczu wyczytać, że Gdula poprawnie zrozumiał swoją nową rolę i nie tak jak przypuszczał wcześniej. Pojął dzięki krótkiej, surowej lekcji, po której ostatecznie zdecydował, że Litmanowicza i Minza nie wolno łączyć. Litmanowicz uczył i uprzedzał, że będzie boleć, Minz bawił się i zaskakiwał sadyzmem.

– Chodzi o odpowiedzialność, towarzyszu pułkowniku? O trudne decyzje? – jeszcze raz przeprosił udawaną naiwnością.

– Tak właśnie, dokładnie tak. Musisz wiedzieć, jaki wyrok dla kogo i od razu się za to brać. Nie ma czasu, robota goni. Mamy sprawę od zaraz, trudną, najwyższy wyrok już znamy. Taki będzie twój początek i może dobrze, że od razu chrzest bojowy. – Poblążliwie spojrzął na Jerzego, dając sygnał, że już koniec egzaminu, jest zaliczenie, ale najciekawsze, czyli najtrudniejsze, dopiero przed uczniem.

– Od dziś zaczynamy? – spytał asesor, a sędzia tylko łypnął litościwym okiem i od razu przeszedł do rzeczy.

– Sprawa majora Teofila Stafieja, szpiega obcego wywiadu. Oskarżony właśnie zwrócił się do sędziego o przyznanie obrońcy. Sprawa będzie prowadzona w trzyosobowym składzie sędziowskim: pułkownik Witold Litmanowicz, major Teodor Koziar i porucznik Jerzy Gdula. Wniosek winnego, przepraszam skazanego, rozpatrzy porucznik Jerzy Gdula, ponieważ pułkownik Witold Litmanowicz musi się wziąć za rzeczy poważniejsze. – Głupie pytanie zostało dobrodusznie zignorowane. Zamiast odpowiedzi – krótki wykład, godzina wychowawcza połączona z wyraźną instrukcją, jak należy się sprawować i postępować, aby wszystkiemu nadać pożądaną bieg. Skończył tyradę, podszedł do szafki pełnej papierów, wyjął jedną teczkę i położył Jerzemu przed nosem.

– Bez obrońcy ma być?

– Skąd sąd ma wiedzieć? Tu jest sąd wojskowy, porządek ma być. Jak coś jest solidne, to ono po prostu takie jest, a jak coś jest burdel to żadna tajemnica państwowa tego nie ukryje. My musimy być najlepsi, żeby nie narobić sobie burdelu. Tutaj masz klucze do swojego gabinetu, tam zdaje się jakiś numerek dynda, nawet nie wiem jaki. Znajdziesz na pewno. – Sędzia wyjął klucze z kieszeni i faktycznie – nie patrzył, co wyjmuje. Ostatnie zdanie rozmowy nie było towarzyskie. Litmanowicz dał do zrozumienia swojemu współpracownikowi, że w pracy żartów nie znajdzie. Być może po godzinach urzędowania będzie potrafił się z tego wszystkiego śmiać, co starzy sędziowie i prokuratorzy opanowali perfekcyjnie i umieli z siebie otrzepać, dzięki czemu mogli zabierać żony do teatru i dzieci na huśtawki. Przez całą rozmowę Jerzy nie wiedział, gdzie ma się podziać, teraz, gdy trzymał w rękach klucze, zrobiło się jeszcze głupiej.

– Nie wyganiem, ale sam słyszałeś, co tu się dzieje, decyzja z obrońcą musi być podjęta szybko, takich jak ten jest wielu. Nie! Najmocniej cię przepraszam. Ten jest wyjątkowy gad i tym bardziej decyzja musi być szybko. – podsumował sędzia, a Gdula ucieszył się ze słów jakie padły, przynajmniej wiedział, co ma robić, po prostu ma się wynosić do siebie.

– W takim razie lecę do roboty, szkoda czasu – zsalutował i wyszedł. W sekretariacie minął ciekawską Edytę, nie poświęcił jej żadnej uwagi, nawet spojrzenia, zapomniał, myślał tylko o tym, co musi zrobić. Tuż za drzwiami obejrzał klucze, odczytując numer na wisiorze. Okazało się, że gabinet znajdował się dziwnie blisko Litmanowicza i jakoś trudno było wierzyć w przypadek, który miałby stać za lokalizacją. Pułkownik chciał mieć porucznika pod bokiem, dobrze wiedział, gdzie go umieszcza, i sam o to zadbał.

Czasami ludzkim oczom ukazują się widoki banalne i surowe zarazem, taki krajobraz przywitał Jerzego. Małe, ciasne pomieszczenie, gdzie zmieściło się biurko i jakaś szafa, stary wieszak, dwa krzesła. Ktoś na szybko pomalował wewnątrz, nie przykładając się do roboty, nie odsunął od ściany szafy, przez co za meblem było szaro, a sama szafa na górze i bokach wybielała od świeżej, niechlujnie rozprowadzonej farby.

– Mogło być gorzej – pocieszył się. – W ogóle nie musiało być, a tu proszę, jest biuro świeżo pomalowane razem z szafą.

Pierwszy służbowy pokój w dwudziestokilkuletnim życiu Jerzego Gduli wyglądał nędznie, ale i tak był tylko opakowaniem życiowego osiągnięcia, którym teraz się napawał. Odpoczywał po rozmowie z Litmanowiczem i niedawnych przejściach, tylko od czasu do czasu spoglądał na teczkę, potem na maszynę do pisania, stała na biurku i czekała na szybkie palce. Z podobnym urządzeniem porucznik miał przelotną znajomość, tyle się domyślał, że przy jego pomocy, trzeba sporządzić dokument odmawiający obrony. Oskarżony na niewiele mógł liczyć, a i maszyna mogła się doczekać tylko na dwa palce. Jerzy nie miał pomysłu, czym ma być pierwsze pismo w pierwszym dniu urzędowania, odpowiedzią dla adwokata czy podkładką do akt?

– Za cholerę nie wiem, co i jak napisać – rzucił do siebie, przerywając leniwe oględziny gabinetu. – Zaczyna się jak zawsze, oby się chociaż skończyło zaskakująco dobrze – pomyślał, życząc sobie lepszego finału niż startu. Po ostatniej styczności z teczką zwróconą do zlewu, Jerzy miał niewielką ochotę zapoznawać się z kolejnymi papierami, odrzucało go na widok i myśl, co znów może znaleźć. Wszystkie protesty i fochy zdawały się na niewiele, nie mógł sobie pozwolić na komfort odłożenia akt sprawy, która się dopiero zaczynała, co więcej – była debiutem. Ostrożnie, jakby brał do ręki coś bardzo kruchego i jednocześnie parzącego, wziął się za rozwiązywanie tasienki na aktówce. Nie śpieszył się, chociaż czas naglił i bardzo chciał mieć za sobą spotkanie z zawartością. Nic szczególnego nie znalazł, zwykła sądowa biurokracja, dane oskarżonego, druki urzędowe, podania, wnioski, przebieg sprawy, same nudne i rutynowe kwity, w tym prośba adwokata o przyznanie obrońcy.

– Dzięki! Tylko co ja mam napisać? Do kogo? – pytał cicho.

W budynku sądu wojskowego można się poczuć ważnym, bardziej znaczącym niż w Informacji, tam nic nadzwyczajnego się nie działo, normalne wojsko zwalczające wroga, przynajmniej tak widział swoje obowiązki porucznik Gdula. W sądzie – inne, wznioślejsze problemy zwały się na głowę. Natychmiast pojawił się pierwszy i od razu niemały. Papiery! „Robienie ludzi” zdawało się łatwiejsze niż produkowanie wyroków, przy którym więcej było powagi i...papierów. Tutaj Jerzy czuł, że wydaje rozkazy, tymczasem wykonywał, i to dość osobliwe polecenie służbowe. Nie umiał wytłumaczyć tego poczucia siły, być może chciał się tak widzieć, a może widział się tak mimo wszystko. W końcu został postawiony na wysokim szczeblu, i nie miał chęci zakłócać wielkości roztrząsaniem – czy to wykonywanie, czy też wydawanie rozkazów? Tak czy inaczej...papiery. Pusty gabinet i maszyna na biurku zaczęły denerwująco przytłaczać, tym bardziej, że powierzone zadanie nie wydawało się ambitnym i to właśnie było najbardziej przykre. Jerzy spojrzął na zegarek, sprawdzał ile zmarnował czasu. Poza głównym problemem i w ramach marnowania czasu poszukał sobie śmieszniejszego kłopotu. Zastanawiał się, od której do której ta fucha? Ulubione zajęcie każdego znudzonego pracownika. Nie było jeszcze jedenastej, licząc czas urzędowo powinien odbębnić osiem godzin do siedemnastej, bo w pracy stawiał się po dziewiątej. Brakowało informacji, o której godzinie powinien przyjść i będzie przychodził w przyszłości? Zabawnie nieistotne rozważania zastąpiły pierwsze poważne zadanie.

– Kończ te wygłupy! – mruknął pod nosem. Decyzja zapadła, postanowił z tym, co ma, czyli z teczką, maszyną do pisania i niechlujnie pomalowanym gabinetem, zostać najlepszym sędzią we wszystkich sądach. Jeszcze raz spojrzął na dokumenty, by oswoić się z urzędowym językiem. Szukał kalki, żeby nie wychylać się ponad urzędową formę. Ciężko groteskowym językiem zbudować sensowną treść, przynajmniej forma była oczywista, ale i ten kierunek szybko okazał się ślepym zaułkiem. Dokumentacja uderzająco przypominała wczorajszy raport, jeśli podobieństw szukać właśnie w formie, analogii w treści na szczęście zabrakło. W obu pismach dało się zauważyć tę samą nieporadność w operowaniu ciężkim piórem i traktowanie słowa jak wroga, rozstawionego bezładnie po kątach. Kiepska pisanina, ale

urzędowa, potwierdzona przez podpisy pułkownika Witolda Litmanowicza oraz majora Teodora Koziara. Poza te ramy nie mógł wyjść byle porucznik, nawet tak obiecujący i ambitny jak Gdula, nie powinien pisać inaczej. Obaj wyżsi urzędnicy mieli też tę przewagę, że podobnie kalekich dokumentów spod ich ręki szły dziesiątki.

– Pewnie sekretarki im to napisały – cisnął na pocieszenie i szybko się okazało, że raczej się pognębił. Sekretarka potrafiła więcej niż asesor. Trzeba było się z tym pogodzić, albo można było wykorzystać. – Jasne, że tak! Edyta! Ta będzie wiedziała, co i jak.

Pomysł niezły, gorzej z realizacją, parę problemów pojawiło się już u zarania idei. Jak sensownie dostać się do sekretariatu Litmanowicza? Pod jakim pretekstem przekroczyć ten próg? W jaki sposób wejść niezauważonym przez pułkownika, który taką wizytę zaksięguje jednoznacznie negatywnie: „Gubisz się?”. Asesor Gdula spojrział na maszynę, cały czas na nią patrzył, gdy szukał rozwiązania, groziła, przypominała do czego służy i co trzeba na niej wystukać. Gapił się na czarno-białe klawisze i szukał odpowiedniego powodu, aby prześlizgnąć się do Edyty.

– Papiery! Jeden papier! – prawie krzyknął i wybiegł na korytarz. W sekretariacie Litmanowicza zastał spokój, odrobinę nienaturalny, Żaczekiewicz zajmowała się plikami dokumentów i – gdy tylko skrzypnęły drzwi – natychmiast podniosła wzrok, gotowa na kolejne wydarzenia, którymi żyła.

– O... to ty? Co się stało? – rozczarowana rangą wizyty, mówiła głośno i swobodnie. Jerzy przykurczył się, na wszystkim mu zależało, najmniej na tym, aby wizyta była tak spektakularnie zapowiedziana, że Litmanowicz bez trudu usłyszy, co się dzieje.

– Nie mam papieru do maszyny, możesz mi pożyczyć? – powiedział tak cicho, jak się dało i żeby jeszcze nie wyglądało na szeptanie.

– Spokojnie, stary gdzieś pojechał, przecież nie dałabym się tak, gdyby był – uśmiechnęła się bardziej na siłę niż z potrzeby. – Jakbyś nie wybiegł jak oparzony, wszystko bym ci powiedziała. Papier masz w biurku, tylko nie zdążyłam z herbatą, cukrem i takimi tam, co też potrzebne. – Edyta tylko trochę ukrywała żal za poprzednie pożegnanie, właściwie za brak pożegnania, za lekceważenie, za krzywdę wyrządzoną kobiecie, która dla wszystkich stara się jak może.

– Wiesz jak jest, ta rozmowa ze starym, człowiek jeszcze nie bardzo wie, co się dzieje. Przepraszam, sama rozumiesz, wszystko tu dla mnie nowe.

Na podobnych słowach Jerzy rzadko dawał się przyłapać, tłumaczyć się nie lubił, zwłaszcza tym, których uważał za mało istotnych. Przychodziły jednak chwile, kiedy zapominał o dumie i ratował się jak umiał. Ostatnio nawet za często zdarzały się takie okazje.

– Pewnie, że rozumiem, że mną inaczej nie było, do dziś się zdarza. – Szybko zapominała o urazach, zdawała sobie sprawę i przypominała na każdym kroku, że przy jej pozycji i urodzie skazana jest na udawanie sympatycznej.

– Mówisz, że w biurku jest papier? – zaczął wstępem do najważniejszego pytania.

– W biurku, w szufladzie, przy kluczach masz taki.... – zawahała się i w końcu pogubiła w zdaniu, w którym zgromadziła zbyt wiele identycznych słów. – No, też taki kluczyczek, tylko mały. Zresztą tą szufladę paznokciem otworzysz.

– Aha! Będę pisał w takim razie. Z maszyną to ja nie za bardzo, tyle, że w szkole się postukało, a stary mi każe jakieś kwity smarować – przeszedł do właściwej rozmowy, odgrywał nieporadnego. Wiedział co się spodoba Edycie, ona zawsze i wszędzie czuła olbrzymią bożą wolę opiekania się zagubionymi mężczyznami.

– No i co? Przepisać ci to pismo? – zaproponowała letnim głosem.

– Jeszcze go nie mam, dopiero się przymierzam do jakiegoś brudnopisu.

– Jakie arcydzieło piszesz, że tak się zastanawiasz? – przekrzywiła głowę, czuła lekki niepokój, coś przestało pasować.

– Taka zwykła odpowiedź, odmowa przydzielenia obrońcy czy jakoś tak.

- Jaka sprawa? – dopytała z większym niepokojem.
- Nie pamiętam, Stafiej chyba się nazywa ten oskarżony. – Asesor Gdula pamiętał doskonale, parę minut temu wertował dokumenty i nieustannie natykał się na dane, nie chciał wypaść z roli zagubionego mężczyzny, którym trzeba się zaopiekować.
- Kiepsko trafiłeś, ta sprawa to bzik starego. Różne rzeczy się tu pisało i czytało, takiego czegoś jeszcze nie widziałam.

Odpowiedź Edyty wprowadziła Jerzego w konsternację i szybko wybiła z głowy dalsze aktorstwo.

- Tak? – spytał głosem, który musiał brzmieć wyjątkowo idiotycznie, co natychmiast dało się zauważyć po minie Żakiewicz.
- I stary kazał ci napisać coś takiego?
- Tak naświetlił sprawę. Właściwie niedokładnie tak, dał do zrozumienia, że tej prośby nie możemy akceptować. – Po lekturze akt Jerzy zaczął mówić językiem urzędu, w końcu złapał odpowiednią formę, ciągle brakowało właściwej treści.
- Hm, jego trzeba umieć czytać. Stary często mówi takie rzeczy, że sama się gubię. On chyba też. Nie wiem, jak ci pomóc. Nie robiłam takich rzeczy. – Sekretarce przestało zależeć na pocieszaniu zagubionego mężczyzny, wyczuła, że sprawa brzydko pachnie i zaczęła się wycofywać.
- Będę z tym walczył, leczę.
- Doniosę te wszystkie herbaty. A papier masz w biurku.

Uprzejmość złapała Jerzego w drzwiach i zanim się zamknęły Edyta zobaczyła, jak Gdula kiwa głową, godząc się na takie rozwiązanie, chociaż wyraz twarzy miał taki, że nie godził się z niczym. Powrót do gabinetu przygnębił, informacje o wielkiej wadze sprawy i niespotykanym dotąd procederze pozostawiły przykre ślady. Wróciły te same beznadziejne próby poszukiwania rozwiązania, wzmocnione kiepskimi wiadomościami. Wzrok Jerzego wędrował od klawiszy maszyny do akt w teczce i nic nowego nie zabierał do głowy. Sprawdził, czy w szufladzie rzeczywiście był papier. Sekretarka miała rację, gdy się o tym ostatecznie przekonał stracił nadzieję na jakiegokolwiek usprawiedliwienie.

- Muszę to zrobić, nawet jeśli nie wiem, jak. Tym bardziej muszę, że nie wiem, jak.

Nieporadnie wkręcał arkusz do maszyny, nie śpieszył się, szukał jakiegoś początku tego, co musiał wykonać i w tej chwili, w powierzonej sprawie tylko tyle umiał zrobić. Poświęcał prozaicznej czynności całą uwagę, tak aby moment jedyne go rozsądnego zajęcia trwał wiecznie. Wkładał i wyciągał, równał, poprawiał, aż w końcu przestał się oszukiwać wydumaną precyzją i kolejny raz sięgnął do akt. Popatrzył na pierwszą notatkę, przymierzył się do napisania, przynajmniej tych słów, które były bezpieczne. Zaczął wystukiwać pierwsze litery: „Warszawa dnia...”, cały czas spoglądał na dokument, który traktował jak matrycę i starał się odzwierciedlić dokładnie słowo w słowo i nawet przecinek. Po pierwszym wyrazie zauważył, że ślady po czcionkach na swoim piśmie wystukał znacznie niżej niż na dokumencie, który usiłował przepisać. Ostrożnie wyjął papier i w jednym kawałku odłożył do szuflady, jakby bał się popsuć cokolwiek, nawet już popsute. Umieszczenie kolejnej kartki nie zajęło mniej niż poprzednio, nie zrezygnował z celebrowania, odwlekał moment, kiedy zacznie stukać klawiszami. Celował literami dokładnie w to miejsce, które widział na wzorze z teczki, obawiał się, że popełni błąd w piśmie, olbrzymiej, gdyż sądowej wagi. Jerzy nie umiał się zdobyć na racjonalne poukładanie rzeczy, miotał się w wydumanych gestach i pedantycznych zachowaniach, które nie miały żadnego znaczenia. W końcu Warszawa razem z datą wylądowały na właściwym miejscu, ale już przy nagłówku zaczęły się poważne problemy. Na dokumencie z teczki było napisane: „Do Obywatela Naczelnika Więzienia”.

- No a ty do kogo będziesz pisał, asesorze Gdula? – ironizował i ponownie utknął w martwym punkcie. – Czy ta robota na pewno jest dla ciebie? Tego chciałeś? O co znów chodzi? Co to w ogóle jest, jakie pisma, jakie celowanie Warszawą? – wrócił do swojego

ulubionego zajęcia, bezsilnego gadania do samego siebie. Wyrwał kartkę i tym razem długo się nad nią pastwił, gniótł i darł na coraz drobniejsze kawałki. Przyszła rozpacz. – Kurwa, jakie pismo? – warknął w stronę najbardziej zniechęconego, uzbrojonego w klawisze, wroga. – Do kogo? O czym? Po co? Tego się nie da zrobić! Nie da się! To trzeba pieprzyć! – Ostatnie mocne słowo dziwnie zainteresowało klnącego na wszystko asesora. – Pieprzyć to! I dokładnie tak trzeba zrobić. Pieprzę prośbę majora Stafieja. Pieprzę papier pana mecenas. Nie ma, nigdy nie dotarł. Zgubił się.

Rozwiązanie wydawało się kpina, bezczelnym lenistwem, ale żeby je za takie uznać, Jerzy musiał mieć inne. Nic w zastępstwie nie miał, niczego nie uznawał, zwyczajnie trzymał się przypadkiem trafionego rozstrzygnięcia.

– Trzeba tylko znaleźć ustne uzasadnienie! – uśmiechnął się do swojego pomysłu i znów rzucił złowrogim okiem na maszynę. O ile pisanie szło mu więcej niż opornie, o tyle pomysłów na argumentację swojej decyzji miał bez liku, sypał argumentami, jak na zamówienie, wszystkich zamierzał użyć w rozmowie z przełożonym.

– Pieprzę pismo, idę do Litmanowicza, nie będę tu siedział i gadał do siebie. – Szybko zdecydował i zanim zdążył się przestraszyć tak wielką brawurą, zabrał się niezwłocznie za realizację zamiaru. Pobiegł z gotowym pomysłem do sędziowskiego sekretariatu.

– Jest u siebie? – rzucił w stronę Edyty, zdziwionej kolejną w tak krótkim czasie wizytą.

– Nie wrócił jeszcze. Coś się stało? Pismo? – Edyta spytała wiele razy o wiele rzeczy, ale bez większego zainteresowania, nadal się obawiała, że zostanie wciągnięta w coś szkodliwego. Uwielbiała afery w robocie, byle nie z jej udziałem.

– Tak! Załatwione! – odparł, pewny siebie. – To nie ma go?

– Nie ma jeszcze, ale wróci na pewno, do szesnastej robimy.

– Ja też do czwartej?

– Chyba tak, stary nie mówił? Ale chyba tak, jak inaczej? – pogubiła się w serii wizyt i dziwnych zachowaniach Jerzego.

– No, nieważne, tak przy okazji spytałem, zapomniałem spytać Litmanowicza, właściwie jakoś głupio mi było. – Szczerze się tłumaczył i zastanawiał, co dalej ze sobą począć. Wrócić do siebie czy czekać na pułkownika?

– To może teraz napijesz się herbaty? – zaproponowała, aby przerwać rozciągnięte milczenie.

– A nawet chętnie, z tego wszystkiego.

Drugi raz coś przyszło samo, rozwiązał się problem: iść-zostać. Twarz Gduli przybrała mało inteligentną minę i tak też się czuł, początek pracy w sądzie nagle wydał mu się idiotyczną płataniną myśli i zachowań. Zbyt wiele chaosu i podniecenia weszło w poczynania początkującego asesora i była w tym pewna prawidłowość. Zawsze nowe zajęcie i wyzwania zaczynał tragikomicznie, z nadmiernym podnieceniem, które potem przechodziło albo w chaos, albo w śmieszność, najczęściej w jedno po drugim. Mówiąc wprost, krótko i bezlitośnie, Jerzy Gdula robił wojskową i urzędniczą karierę, chociaż niewiele miał talentu oraz predyspozycji. Wykazywał się determinacją i inteligencją, tym zyskiwał przewagę. Nie był głupim napaleńcem, jak większość w jego otoczeniu, tylko pozbawionym talentu żołnierzem i urzędnikiem, braki wiedzy i kompetencji ściągał innymi przymiotami. Tak czy siak, niemal przy każdym zadaniu przed oczami huśtał się orczyk.

– Nie ma się co tak przejmować, dopiero pierwszy dzień. Tak się nie da od razu wszystkiego zrobić i wiedzieć. Sam wiesz, jaka tu robota i co się dzieje. Wszystkiego trzeba się uczyć samemu, nikt ci za dużo nie pomoże. – Edyta idealnie wstrzeliła się w nastroje, mówiła odwrócona tyłem, zajęta parzeniem herbaty. Zmieniła nastawienie, porzuciła strach, gdy zrozumiała, że Jerzy poradził sobie sam i do niczego nie będzie jej już wciągał. Znów była opiekunką przystojnych kawalerów.

– Trochę panikuję, masz rację – rewanżował się uprzejmością i rozmową o pracy, nie miał ochoty na nic innego. Lepszego wypełniacza czasu niż gadanie w robocie o samej robocie znaleźć nie można.

– Przyzwyczaisz się i stary nie jest taki zły. Ma tam swoje dziwactwa, ale jak trzeba to i doradzi.

– Też tak myślę, już nie jest tak źle.

– No widzisz! I dobrze, i tak trzeba, grunt sobie głowy nie zawracać, nic to nie daje i tylko głowa trzeszczy.

Żart na siłę dobrze zrobił obojgu. Na biurku pojawiły się gorące szklanki, a wokół biurka pierwsze ruchy, które przypominały zasiadanie do stołu: poprawianie krzeseł, zakładanie nóg.

– Już... po herbacie? – Do sekretariatu wszedł Litmanowicz, tak cicho, że dopiero głosem postawił biesiadników na równe nogi.

– Właśnie czekałem na towarzysza pułkownika... na rozmowę... porozmawiać chciałem – zaskoczenie zrobiło swoje. Nawet nie tyle zaskoczenie, co przyłapanie na gorącej herbacie, Jerzy zacinął się jak przesłuchiwany.

– A drzwi zamknąłeś? – bez związku spytał pułkownik.

– Jakie drzwi?

– Twoje i wszystko co za drzwiami? Zamknięte?

– Chyba tak...

– A ja ci mówię, że na pewno nie. Byłem przed chwilą, szkoda, że teczki z aktami na chodnik nie wyniosłeś, tylko pierdolnięte w otwartym gabinecie. – Litmanowicz znów przemówił tonem wychowawczym, ale pierwszy raz podparł się przy tym silnym słowem.

– Przepraszam, myślałem, że zamknąłem.

– Mnie nie przepraszaj, tu sami moi. Jak ci który zażartuje, możesz się zdziwić. Co tam masz do pogadania? – spytał chłodno.

– O sprawie, o tej sprawie....

– Stafiaja? O tej sprawie? Chodź, o sprawach rozmawia się w gabinecie. – Pułkownik w obecności Edyty wydał polecenie służbowe, co mogło i zostało przez nią odnotowane jako wyznaczenie hierarchii. Już przy biurku sędzia od razu przystąpił do rzeczy:

– Co tam wymyśliłeś? Co naskrobałeś?

– Nic nie napisałem i myślę, że tak będzie najlepiej – porucznik zagrał słowami i trafił idealnie, tak celnie, że Litmanowicza przymurowało. Zdjął okulary, potrzebował złapać jakąś myśl, z której zdoła zbudować odpowiedź.

– Żeby nic nie robić, mówisz. Samo się zrobiło? Dobra myśl, może i ja skorzystam.

– Jeśli napiszemy jakieś pismo, źle będzie służyło sprawie – padły pierwsze i jeszcze mało poważne wyjaśnienia.

– Zaraz, zaraz, może ja już stary i głupi jestem. Jakie źle służyło? – przerwał zniecierpliwiony sędzia, teraz jemu się wydawało, że ktoś tu z niego kpi.

– Po pierwsze, oskarżony może wyjść na męczennika, po drugie, takie pismo zostanie w archiwum, jako odpowiedzialność zespołu sędziowskiego. Gdy żadnego kwitu nie będzie, nie będzie sprawy. Po prostu zawieruszyło się albo sąd odpowie w swoim czasie. Rozwiązanie bliskie urzędowego ideału i przez to bezpieczne.

Dawno Jerzemu nie udało się powiedzieć jednego zdania tak sprawnie, rzeczowo, przekonująco, i – co istotne – z dużym opanowaniem. Wystrzelił swoje argumenty na najwyższy poziom. Po skończonym wywodzie poczuł wielką satysfakcję, uznał argumentację za majstersztyk i potwierdzenie swojej oceny znalazł na twarzy sędziego, która przybrała wyraz zaskoczenia, potem podziwu dla młodszego kolegi. Pułkownik spuścił głowę, włożył okulary, aby za szkłem ukryć krępujące odczucia, po chwili powiedział obojętnym głosem:



– Sam na to wpadłeś? – nie czekał na odpowiedź, zobaczył jak Jerzy kiwa głową. – Robi wrażenie, nie powiem, może nawet zbyt wielkie, takie cwaniackie. Tylko coś mnie tu niepokoi w tym gadaniu. Powiedz mi, czy ty uważasz, że my tu robimy coś nie tak? – Twarz Litmanowicza ubrała maskę profesora, który zdał sobie sprawę, że ma zdolniejszego od siebie ucznia. Bolesne spostrzeżenie musiał odpowiednio odreagować; kiedy człowiek nie jest w stanie pognać bliźniego siłą intelektu, zawsze może odwołać się do hierarchii, rangi, szarzy, wieku. Do wszystkiego sięgnął pułkownik Litmanowicz i postanowił wziąć w obroty denerwująco zdolnego porucznika.

– Nie. Dlaczego? – odpowiedział Jerzy, wyczuwając powoli, że szykuje się coś poważnego.

– Ano dlatego, że jak słyszę, boisz się jakichś śladów w archiwach. Czego konkretnie? – głos pułkownika zmienił się w ton sędziowski, poważny, oczekujący zeznań, skruchy i prośby o niski wyrok.

– Niczego, tylko pomyślałem, że będzie lepiej, gdy taki dokument się nie znajdzie w archiwum.

– Ja ci coś powiem, poruczniku asesorze, mnie się nie podoba takie myślenie. Zapamiętaj sobie, tak na zawsze, że wszystko, co tu robimy, jest ważne, i nikt za nas tego nie robi. Robimy wszystko, żeby się ludziom spokojnie żyło i żadne pismo nam nie straszne. Czy jasno udało mi się powiedzieć?! – ostanie słowa Litmanowicz podkreślił niczym sentencję wyroku.

– Tak jest, wszystko jasne.

– Cieszę się, że tak jest. Pomysł dobry, właśnie dlatego, żeby męczennika z bandyty nie robić – tym razem głos był spokojniejszy, usatysfakcjonowany odzyskaną pozycją i pozbawiony złości.

– Wiem, towarzyszu pułkowniku, może źle powiedziałem, ale myślę tak samo.

– Jak się gabinet spodobał? – Litmanowicz w nagrodę za pokorę podwładnego zmienił zainteresowania na luźniejsze i bardziej przyjazne.

– W porządku, ładnie pomalowany, wszystko jest.

Niedawno wyśmiane biuro szybko i gładko przemalowało się na ładnie. Zmiana odbyła się nie na rzecz gabinetu, ale na konto sukcesu porucznika Gduli. Ucieszył się, że wykonał pierwsze zadanie. Popisowo poszło, choć tak kiepsko się zaczęło. Radość była tak wielka, że otoczenie wydawało się piękniejszym i nawet surowe pouczanie – komplementem.

– Taki szykowny nie jest, za to skromność – piękna cecha. Ale mniejsza, sprawa trudna, Stafiej jest bandyta, znałem go. Gówniany życiorys i człowiek taki sam, tylko twardy. Z nim lekko nie będzie, a żywego puścić nie można. – Sędzia nie opisywał człowieka, ale szkalował wroga, tańczyły mu przy tym okulary i niewielkie krople potu kapiące z czoła na oczy, ten miernej urody człowiek trząśnięty z nienawiści do starego wroga. Było widać, że nie tylko urzędowa ambicja, ale osobista wojna doprowadzała pułkownika do potliwych łez.

– Kapis też był twardy i pękł, wszystko da się zrobić i każdego też. – Jerzy otarł łzawy pot z oblicza pułkownika, tego Litmanowicz najwyraźniej potrzebował, wyjął chusteczkę i zatarł ślady, precyzyjnie i kilkakrotnie wycierając całą twarz.

– Wy, młodzi, macie jeszcze siły, ja za długo w tym siedzę. Rację masz. Jak powiedziałeś? Każdego da się zrobić, bo musi się dać? I nad tym od ósmej do fajrantu będziesz harował!

– poczekał, aż porucznik potwierdzi cytat. Jerzy skinął głową. – Kapis było coś innego – swojak. Ten jest podrzucony bandyta – skończył zdanie i zaczął obracać w palcach ołówki.

– Mnie się zdaje, że z Kapisem było trudniej, właśnie dlatego, że swój. Przecież mógł oddać. Ten Stafiej co może? Wszystko w naszych rękach. Jak dla mnie jaśniejsza sytuacja, towarzyszu pułkowniku.

Podtrzymanie na duchu i dolewka z optymizmu dała sędziemu wytchnienie, nawet towarzyszy nie raził, ostatnie rozmowy z najważniejszymi pułkownikami, pomysły Minza i podłe życie prywatne zmęczyły go, aż z wysiłku pocił się łzami. Porucznikowi Gduli udało

się poprawić nastrój szefowi i skorzystać mieli na tym wszyscy, wyłączając majora Stafieja, któremu już nikt i w niczym nie mógł pomóc, nawet adwokat w obronie.

– Zobaczmy, jak będzie. Roboty dużo, czasu mało.

Jerzy z jakichś powodów czuł się podobnie jak Litmanowicz. Interesował się sprawą, w której zaliczył pierwszy poważny, jak sam uważał, sukces. Dla sędziego proces był osobistym wyzwaniem, dla młodego asesora w pewnym sensie również, debiutował tą sprawą, co zdecydowało, że przykładał się do swojej roli więcej niż gorliwie.

– Będę wracał do siebie – Gdula uśmiechnął się i zbierał do wyjścia.

– Niewiele masz do roboty, akta przeczytaj, próbuj poszukać na bandziora metodę.

– Dobrze, towarzyszu pułkowniku, wezmę się za niego – oświadczył, trzasnął obcasami i wyszedł.

Dzień się kończył, z pierwszym osiągnięciem na koncie Jerzy doholował się do szesnastej, czytając na wrywki zawartość aktówki. Traktował lekturę raczej luźno i nie bardzo starał się tworzyć choćby wstępną sentencję wyroku, zresztą nie liczył na taki zaszczyt, wiedział, że zakres obowiązków, sądowe realia ograniczą do brudnej i papierkowej roboty. Nie ubolewał już nad tym i tak czuł się ważnym członkiem bardzo znamienitego zespołu, poza tym musiał odsapnąć po wszystkich wrażeniach z najwyższego pułapu. Układał sobie w myślach ostatecznie zdarzenia i mimo doznanych upokorzeń uznał, że osiągnął więcej, niż się spodziewał. Awans na porucznika, koniec Kapisa i pierwszy sukces w sądzie, taki dorobek satysfakcjonował, Jerzy był bliżej pełni niż niedosytu. Dodatkowo oswoił się z nowym stanowiskiem, ten dzień solidnie przetarł szlaki i wystarczył za cały tydzień adaptacji. Poczł się w świeżym miejscu jak u siebie, wydawało się, że w gabinecie siedział od lat, że drogę do sekretariatu Litmanowicza zna na pamięć, z każdym śladem na posadzce. Podsumowując dorobek, odpoczywał, przede wszystkim psychicznie, fizycznie też się poczuł lepiej, łapał powietrze po pijackich wyczynach. I na koniec poznał odpowiedź na swoje małostkowe rozterki, Litmanowicz nieświadomie przekazał informację, że harować będą od ósmej. Po wszystkich dobrych znakach i ten przyjął do grona sukcesów.

## 8

Ponad tydzień w nowej pracy spędził świeżo upieczony asesor i ledwie awansowany porucznik, oswoił się już, odnalazł nawet pewną rutynę i ciągle się uczył omijać pułapki oczywistości. Wbrew założeniom nie było oczywiste, kto decyduje o życiu kogoś innego, teoretycznie karty rozdano według znaczeń, w praktyce przegrani stawiali nieznośny, irytujący opór. Tak się działo w przypadku majora Stafieja, sprawa zaskakiwała, o czym uprzedzał sam pułkownik Litmanowicz, przewidując jakie kłopoty będzie sprawiał skazywany na śmierć osobisty wróg sędziego. Jerzy sądził, że nic gorszego i bardziej ryzykownego niż sprawa Kapisa przydarzyć się nie może, jednak przypadek majora Stafieja okazał się większym ryzykiem i znojem, niż początkującemu asesorowi wydawać się mogło. Proces majora, który musiał być skazany, ujawnił wszystkie niebezpieczeństwa związane z wypełnieniem pozornych, najczęściej fałszowanych lub wymuszonych, ale jednak koniecznych, sądowych wymogów. Kapisa dało się odstrzelić, zanim zrobił rzeczy nieodwracalne, udała się prewencja. Ze Stafiejem rzecz rozbijała się o obowiązek gromadzenia dowodów i naciągania paragrafów do niewyobrażalnych interpretacji. Nic innego poza najwyższym wymiarem kary nie wchodziło w grę i cała sztuka zawierała się w tym, aby nie posiadając nic – sprawić wszystko. Innymi słowy, bez dowodów wydobyć wyrok, wcześniej uruchamiając kodeksy. Pomylił się Jerzy bardzo boleśnie, kiedy podejrzewał, że prawnych sztuczek jest wystarczająco wiele, by skutecznie poradzić sobie z jednym majorem.

– Najtrudniejsze w robocie sędziego jest skazanie niewinnego – pomyślał zupełnie poważnie, nie dostrzegając w zdaniu ironii, ani ludzkiej tragedii. Trudności doświadczał przez cały tydzień. Pułkownik Litmanowicz z porucznikiem Gdulą zaczęli się wzajemnie nakręcać i zadreć, brak postępów w śledztwie dostarczał kolejnych przykrości, strzępił nerwy. Sama sprawa Teofila Stafieja nie dawała odsapnąć, do tego pojawił się jeszcze jeden problem, który nazywał się Teodor Koziar. Sędzia z asesorem polując na skazanego, wydeptali ścieżki między swoimi gabinetami, przy okazji wycieczek Gdula szczegółowo poznał majora Koziaara, członka składu sędziowskiego. Suchy, pospolity i mało sympatyczny człowieczek, w ocenie Jerzego nie zasługiwał na tytuł człowieka, wyglądał jak szkielet, na który nieudolnie i niedbale naciągnięto skórę, zapominając o ciele. Chudy, brzydki z odstającymi uszami, mundur na nim wisiał, nie potrafił myśleć, nie umiał chodzić, nawet nie nadawał się do picia. Był utrapieniem Litmanowicza, był kulą u nogi Jerzego Gduli, bo to do niego sędzia najczęściej odsyłał niechcianego współpracownika. Poszukiwanie dowodów na winę niewinnego i zmaganie się z bezmyślnym człowieczkiem-szkieletem wypełniło młodemu asesorowi czas i wystarczająco intensywnie obniżało atrakcyjność wymarzonego zajęcia. Musiał sobie radzić nie tylko z zawodem, jaki spotkał go w sądzie, ale niemotą, której na wytłumaczenie rzeczy najprostszych trzeba poświęcić irracjonalną liczbę słów i godzin. Z rozmów przeprowadzonych z majorem Koziaarem nie wynikało nic poza irytacją i próżnią. Po takiej wymianie zdań człowiek przestawał rozumieć cokolwiek, stawał się dzikim i zagubionym. Jerzy miał wrażenie, że ten nedorobiony członek składu sędziowskiego jest niedoszłym adwokatem Stafieja, w każdym razie major Koziar nieświadomie robił wszystko, aby proces nie był tak prosty, jak by mógł, przynajmniej w tych miejscach, gdzie nie było żadnego powodu, aby rzecz komplikować.

Wszystko Gdulę denerwowało, obojętnie z czym Teodor przychodził, poczynając od wyglądu, przez karykaturalne ruchy i na wyjątkowo głupich opiniach kończąc. W człowieczku nie było niczego, co można zaakceptować albo chociaż próbować znieść. I to właśnie on dodatkowo hamował, dolewał oliwy do zaognionej atmosfery pracy. Przy tym komplikował rzeczy najprostsze, do większości zgłaszał zastrzeżenia tak nieprawdopodobne, że nikomu przeciętnie normalnemu podobne odchylenia nie przyszyby do głowy – tak sądził Jerzy i z tym się męczył. Litmanowicz i Gdula mieli swoje ulubione żarty, mało było rozmowy bez drwin z powiedzonka Teodora: „na faktach identycznych”, a podobnych anegdot produkował wystarczający zasób, aby rozpraszać, denerwować i odwracać uwagę od rzeczy najpilniejszych, niebezpiecznie uciekających. „Okolo lat” – cokolwiek miało znaczyć, należało do wtrąceń, które Jerzy z Litmanowiczem przytaczali często, dając upust swojej irytacji i bezradności wobec głupoty członka sędziowskiego składu. Nie było czasu na nic i w tym nawale zajęć obaj musieli się zmagać z taką przeciwnością i ofiarą losu jak Teodor Koziar. Kiedy nie dało się z nim wytrzymać, śmiali się nawet z jego imienia, tak wspólnie przerabiali złość na śmiech.

Po tygodniu pracy Jerzemu przybyło parę rzeczy w gabinecie, dostał telefon i wszystkie niezbędne biurowe atrybuty, mógł się teraz napić herbaty we własnym królestwie, wódki ciągle i tylko u szefa, ale w ostatnich dniach nie było większych okazji, raczej wszystko kręciło się wokół przewidywań pułkownika. Stafiej okazał się twardszym niż kilku Kapisów, Gdula dostarczał kolejnych pomysłów na oskarżenie, jednak Litmanowicz postawił sobie ambitny cel:

– Musimy gada złamać – powtarzał maniakalnie. Natrętne zaklęcia miały być osobliwym wołaniem o uczciwy pojedynek. Litmanowicz uznał, że fabrykowanie papierkowych dowodów nie będzie w porządku, i z jakichś niezrozumiałych powodów wymuszenie zeznań traktował z wyższością, nadając oskarżeniu status uczciwej walki.

Asesor Gdula jak zwykle zjawił się w sądzie parę minut wcześniej niż wszyscy, szanował swoją pracę, przykładał się, był sumiennie akuratywny. Przyszedł najwcześniej, lubił

się w pracy napić herbaty, uznawał ten zwyczaj za przywilej, dodatkową premię. Był kimś! Tak ważnym, że miał swój własny gabinet ze służbową herbatą i pieczołowicie korzystał z pospolitego przywileju nadając mu wymiar szczególny. Ale tego dnia małymi przyjemnościami długo się nie podniecał. Telefon na biurku zadzwonił tuż po ósmej.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku, już się zbieram. Słucham? Znowu? O Jezu! Trudno, zaraz będę.

Pewne słowa i imiona w wojskowym sądzie rejonowym były uznawane za zbędne, wszelkie akcenty metafizyczne zdecydowanie należały do tego katalogu. Jerzemu wyrwało się imię, które – szczęściem – uznawano za pospolite, tak marne, że często łączone z siarczystem przekleństwem. Mimo wszystko przeszły przez głowę dwie niepokojące myśli. Po pierwsze: skąd się to wzięło? Tu odpowiedź padła dość szybko – nasłuchał się w dzieciństwie. Po drugie: czy jednak nie zaszkodzi? Czy takie drobnostki odkładają się przełożonym? Na drugie pytanie odpowiedzi nie szukał, uznał, że przesadza i w ogóle zajmuje się głupotami, zwykły efekt zmęczenia. Odpuścił sobie nieistotne rozważania, jak tylko wszedł do gabinetu Litmanowicza.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku! – przywitał się oficjalnie i z pełnymi honorami.

– Siadaj, siadaj, nie ma czasu. Zaraz menda przylezie, musimy coś ustalić – sędzia śpieszył się, nie krył, że wielu rzeczy ma już dość. – Bez Minza się nie obejdzie, po starej znajomości trzeba się będzie wybrać do towarzysza. – Z trudem przychodziła mu przez usta i nawet głowę, podobna ostateczność, ale sprawy przybrały dokładnie taki obrót – ostateczny.

– Do towarzysza Minza? Dlaczego? – porucznik nie próbował ukrywać zdziwienia dopytywał o powód, ponieważ ochoty na wizytę w Informacji nie miał żadnej.

– Bo inaczej Stafieja nie ruszymy. Minz nie takich łamał. Co ty, nie wiesz? – z pretensją w głosie odpowiedział Litmanowicz. Zirytował się, że podwładny się dziwi, i słusznie, ponieważ porucznik jedynie udawał zdziwienie.

– Wiem, ale w takiej sprawie? Towarzysz pułkownik? – Jerzy kontynuował grę udawanych zaskoczeń, jeszcze bardziej się dziwił, czyli jeszcze bardziej udawał.

– Towarzysz, towarzyszu, tobie się tylko wydaje, że wiesz, co i jak. Ty jeszcze wielu rzeczy nie wiesz. – Litmanowicz przewał Gduli zabawę w uniki i uprzedzał, że nie ma ochoty na kolejne.

– Czy pójdziemy tam oficjalnie? – Jerzy spytał z nadzieją, że jednak do wycieczki dojść nie musi.

– Oficjalnie napiszemy, pójdziemy po znajomości. Oni z Informacji mogą więcej. Tego też nie wiedziałeś? – Podniecony Litmanowicz był przekonany, że dał wystarczająco silny sygnał, aby nie zawracać mu głowy, ale jeszcze ten jeden raz przymknął oko i doprecyzował co zamierza.

– Wydawało mi się, że to różne sprawy – asesor nie do końca wiedział i nawet się domyślał, do czego sędzia zmierza. W takich przypadkach zachowywał się asekuracyjnie, zawsze tak czynił, nawet gdy nie chodziło o sprawy sądowe.

– Dobrze ci się wydawało, całkiem różne, ale metoda tak samo skuteczna. Powiedzmy, że sędziom nie wypada tego, co musi Informacja, a towarzyszu Minz do tego umie i lubi jak mało który – obok wyjaśnień pojawiła się zgryźliwość, Litmanowicz nie odmówił sobie małych przyjemności. Jego relacje z Minzem nie były żadną służbową i prywatną tajemnicą – nienawidzili się. Z drugiej strony, gdy trzeba było zrobić coś razem, dogadywali się bez trudu. Teraz znów znalazł się powód, aby jeszcze raz połączyć siły i dla świętego spokoju wszystkich, wykończyć jednego.

– Teodor musi się pod tym podpisać?

Od dłuższego czasu tylko tak nazywali majora Koziara i choć Jerzy był bardzo ostrożny w okazywaniu braku szacunku, zwłaszcza wyższym oficerom, w tym przypadku chodziło o coś innego. Najwyższy rangą, pułkownik Litmanowicz, nie akceptował innych niż

prześmiewcze określenia, nawet w wykonaniu porucznika domagał się wyzwisk pod adresem majora.

– Otóż, kurwa, to! – Sędzia przeklinał od święta, nie jego styl, robił wyjątki, gdy nie mógł się powstrzymać przed okazaniem wściekłości.

– A Teodor zrozumie konieczność? – Jerzy sam nie wierzył, że zadał takie pytanie.

– On?! Będzie droga przez mękę z idiotą. – Obawy Litmanowicza, silnie umocowane w możliwościach majora Koziara, nie były przypuszczeniem, tylko potwierdzeniem nieuniknionego.

– Może inaczej go załatwić? – zagadkowo rzucił Gdula.

– Jak inaczej? Co inaczej? – sędzia podniósł głos.

– Od tyłu go zająć, tak myślę, żeby... – nie zdążył dokończyć, właśnie wszedł suchy i głupi jak drąg, obgadywany bez litości, członek składu sędziowskiego.

– Uszanowanie, towarzysze – przywitał się jednym ze swoich ulubionych zwrotów. – Co się porobiło?

– Towarzysz Gdula powie, co się porobiło – Litmanowicz poczęstował gościa ironią i chętnie oddał Jerzemu pod opiekę, mając w pamięci jego rewelacyjny pomysł, w który szczerze powątpiewał.

– Jest niedobrze, sprawa się przeciąga i wszyscy możemy mieć z tego kłopoty – po krótkim wahnięciu asesor zaczął urabiać sędziego Koziara.

– A żeby jego tam, taki hardy? – wtrącił się Teodor i tylko ten, kto miał nieszczęście dłużej go znać, potrafił odgadnąć, że ma na myśli Stafieja.

– I tak sobie myślę – kontynuował Gdula, nie zwracając uwagi na już denerwujące słowa – że ten telefon, co był z Informacji, to już nie żarty – dokończył i przywołał zdziwienie nie tylko na twarzy Koziara, Litmanowicz jeszcze bardziej był zaskoczony.

– Z Informacji? Tak żartów nie ma, a więcej, o co się rozchodzi? – Teodor zrobił jedną ze swoich najgłupszych min i pokazał strach w oczach. Bał się w ciemno, o konkretnej przyczynie strachu nie wiedział nic.

– Towarzysz major rozumie, że sprawa tej wagi, każdemu zawadza, wszyscy chcą żeby jak najszybciej skończyć, no i tak między nami, w razie klapy poszukać pierwszego winnego.

– Jerzy dociskał nieszczęsnego majora i bez trudu osiągał zamierzony cel.

– Ano gdzie miód tam i pszczoły. Tak co jemu robić? – Teodor przepłoszył się bardziej, a gdy się bał, wracał do swoich wiejskich korzeni i języka.

– Po mojemu trzeba posłać takie pismo do Informacji, że nasz sąd potrzebuje wsparcia, bo bandyta wyjątkowo groźny. Jak oni sami dzwonią, żeby szybko sądzić, niech pomogą – odpowiedział Gdula i w lot jego słowa podchwycił Litmanowicz.

– Patrzcie towarzyszu majorze jaki młody cwany! Widzisz go! Ale co prawdę mówi, to jego! Pewnie, że tak! Każdemu lekko się dzwoni, łap i sądz, a niech popróbuje jeden z drugim jak w sądzie smakuje. Co my tu każdego dnia z towarzyszem majorem robimy? Bąki zbijamy? Tacy mądrzy, niech pokażą. – Sędzia wszedł w rolę, jak umiał najlepiej i całkiem nieźle grał. Być może trochę sztucznie, ale jeśli wziąć pod uwagę, że na szybko musiał się zgrać z pomysłem Gduli, nie wyszło źle, na Koziara wystarczało.

– Jak ja widzę drugim się zdaje, że my tu powolni? O to się rozchodzi? – dopytywał zestrachany.

– O to właśnie! – błyskawicznie potwierdził Jerzy.

– Takie telefony ich mać? Tak niech same prędko robią, kiedy więcej mądrzy jak my. Prędko jednej babie dziecko zaszło w brzuch, w sądzie prędkości nie ma. Miłość i sraczka przychodzą z nienacka. – W słowach Teodora było wszystko, co o nim świadczyło, kim był i co miał. Prostak bez inteligencji, kaleki chłopski język i dowcip, którego nikt poza nim nie chwycił i rozumieć nawet nie próbował, a i on sam nie wiedział co mówi: „Do płaczu czy do

śmiechu?”. Jednak ostatnie zdanie rozbawiło Litmanowicza i Gdulę. Mądry, czy głupi, mimo wszystko trzymał właściwą stronę, tylko nie wiadomo na jak długo.

– Nie ma co gadać, towarzysz major wszystko powiedział, a pismo gotowe mamy, tylko nazwisko bydlaka wpisać i datę. Masz tu, podpisz Jurek i niech sobie robią, co chcą.

– Litmanowicz podsunął przygotowaną prośbę o pomoc w śledztwie. Porucznik Gdula podpisał błyskawicznie i zamaszycie, pokazywał, że nie ma się czego obawiać. Nie pomogło, Teodor przymierzał i odstawiał pióro, jeszcze przed chwilą był całkiem skołowany i przekonany, że tak trzeba, teraz zgłupiał z drugiej strony. Zabrał się za czytanie papieru i kręcił głową bez przekonania. Zadzwoił telefon.

– Tak? Zrozumieliśmy, co mamy nie rozumieć! Wszystko idzie do przodu, jak trzeba. Nas tu nie potrzeba posądzać, my sami jesteśmy sąd –sędzia mówił do słuchawki takie rzeczy, które każdy, nawet najgłupszy, musiał zrozumieć. Cudem tak się stało. Koziar jeszcze raz usłyszał, że znów dzwonią, przestraszył się mocniej niż umiał i podpisał, gdzie trzeba. Na chwilę zapadła pełna ulgi cisza.

– Towarzyszu pułkowniku, skoro załatwione, pójdę do siebie. Na biurku robotę rozstawiłem – Gdula zerknął porozumiewawczo i odegrał ostatnią scenę tragedii „Teodor”.

– Pójdę i ja, towarzyszu Witoldzie, gdzie moje zajęcie – Koziar chciał uciekać z miejsca, gdzie nic nie rozumiał i już wolał niczego nie dociekać.

– Was, majorze, nie zatrzymuję. Wy, Gdula jeszcze zostańcie, pismo trzeba zapieczętować i zawieźć, gdzie potrzeba. – Litmanowicz zatrzymał głównego aktora i wyprosił statystę, który wyszedł zabawnym, jakby sam powiedział, „kolebiącym” krokiem. Drzwi ponownie się otworzyły niemal od ręki, dokładniej od ręki Edyty. Weszła do gabinetu z bagażem sprzecznych uczuć, w tym najzwyczajszego oglupienia.

– Towarzyszu pułkowniku, ja nic nie rozumiem. Co idzie do przodu? Kogo nie trzeba posądzać? Ja nic nie rozumiem!

– I bądź szczęśliwa – uśmieł się Litmanowicz.

– To podać kawę?

– Dwie podać.

Pogubiona sekretarka wyszła bez słowa, zobaczyła, że nikt się tu nie przejmuje jej zdziwieniem i wróciła do swojej prostej, codziennej roboty.

– Ty masz dar, widać i z głupiego pożytecznego da się zrobić. Jak ci przyszło do głowy, tak durnia podejść?

– Samo wyszło, jakoś mi pasowało właśnie tak. Trzeba było w Teodora języku gadać. Inaczej z pół dnia zmarnowane – wyjaśnił z odrobiną satysfakcji.

– Pewnie tak, ale żarty się skończyły. Minz już nie taki głupi, a to z nim trzeba zamknąć sprawę. – Sędzia Litmanowicz przeszedł do konkretów, a Jerzy natychmiast wyczuł nowy klimat rozmowy. Zanim zdążył poważnie odpowiedzieć, wróciła sekretarka z kawą i kostkami cukru na spodkach szklanek. Śpieszyła się, pomyślała, że jak poda co potrzeba wszyscy dadzą jej spokój i już nie będzie musiała się głowić, o co w ogóle chodzi. Po co jej opowiadać do słuchawki szyfrowane historie, kiedy ona pyta o proste rzeczy? Położyła tacę, ukłoniła się i wyszła bez słowa, chociaż dla pewności rozglądała się jeszcze chwilę, czy aby na pewno jest wolna.

– Wspólne sprawy. Towarzysz Minz pomoże.

– Wspólne są zwycięstwa, sprawy są niczyje. Między nami, towarzysz Minz łaski nie robi. Za Kapisy niemało winien. Ty nie wiesz, ale to był tylko jego interes. – Pierwszy raz z wiecznie spieczonych ust pułkownika, porucznik słyszał tak otwartą poszlakę. Nie potrafił się zachować. Otrzymał odpowiedź na pytanie, które sam sobie nieraz zadawał i wcale się nie ucieszył. Trzymał się swojej ukrytej zasady, aby nie mieszać porządków i pułkowników.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku – powiedział, jak potrafił od dziecka. Dał każdemu pułkownikowi jedno dziękuję. Dziękuję, nie potrzebuje takich ostrzeżeń. Dziękuję za

ostrzeżenie. Minz w akcji z Kapisem miał swoją korzyść, pewnie Litmanowicz do końca nie wiedział jaką i chyba już nikt się nigdy nie dowie. Kapis nie żyje, Minz ze swoich brudnych spraw pamiętnika nie spisze.

– Jesteś dyplomata i dobrze, tak trzeba, ale ja ci powiem zwyczajnie jak jest. Kiedy przyjdzie dzień, że towarzyszy Minz będzie musiał wybierać, wtedy zapomni jak się nazywasz. Tak było zawsze. Nie zadzieraj z nim i przyjaźni nie szukaj. Pamiętaj, że tego nie muszę ci mówić, uprzedzam cię, bo młody jesteś i cię lubię – Litmanowicz nie straszył, tylko ostrzegał, również siebie.

– Dziękuję, będę pamiętał.

– Pomyśl, jak Stafieja z Minzem rozegrać, ja mam tu robotę jeszcze.

Asesor Gdula wrócił do gabinetu, rozłożył się na krześle i zaczął rozumieć, że być może trzeba będzie niedługo wybierać między towarzyszami pułkownikami, a to już są rzeczy kardynalne.

– Co chciał powiedzieć? Wybieraj? Może tylko pytał? Załatwisz mnie, jak Kapisa, gdy zgłosi się Minz? Niedobrze. Niepotrzebnie teraz.

Gdula nie potrafił się utrzymać przy papierach, nie znosił tego nędznego zajęcia, do wszelkich dokumentów miał awersję i tak było zawsze, na długo przed odczytaniem protokołu spisanego przez sadystycznych nieuków. Cokolwiek wydrukowane na papierze wydawało się ciężkie do przeczytania, również książki traktował wrogo, przy dobrym nastroju nieufnie. Lubił zapoznawać się z treścią, nienawidził czytać, żeby było więcej sprzeczności w tym paradoksie, pisanie od pewnego czasu nie sprawiało już takiego bólu. Pióro i papier uznawał za połączenie naturalne, nie znosił łączenia papieru z farbą drukarską. Gdyby miał lektora, wtedy stałby się prawdziwym bibliofilem i archiwistą. Takie uciążliwe dziwactwo, których było więcej, jak gadanie do siebie, infantylna duma z parzenia służbowej herbaty i radość z telefonu. Panował nad wszystkimi, kontrolował i uwalniał. Papierów musiał strzec, ale za to całkiem wolny poszedł zaparzyć służbowej herbaty.

W sądzie brakowało takiej instancji jak zorganizowana praca. Królował paragraf chaos i wieczna, spontaniczna lub beztroska recydywa. Przepisowy nieporządek przejawiał się w rozmaitych zachowaniach pracowników sądu; na przykład takich, że dopiero po zaparzeniu herbaty docierało do asesora, co się nie stało w gabinecie sędziego. Nie ustalili z Litmanowiczem, kto i kiedy pojawi się u pułkownika Minza. Teodor Koziar raczej nie był pożądanym delegatem, tymczasem żadne postanowienia nie padły, nawet tak podstawowe, jak skład sędziowski. Jerzy zdecydował, że z tych dowodów nie będzie robić rozprawy, uznał za normalną sądową nienormalność, pomyślał, że Litmanowicz zadzwoni ze szczegółami, gdy będzie je znał i gdy sobie przypomni o konieczności poinformowania właściwych ludzi. Ktoś na pewno przekreśli, jak się upora z ważniejszymi sprawami. Zanim sędzia poinformuje kiedy i gdzie, wcześniej musi dogadać się Minzem. Oficjalne zawiadomienie nie mogło być metodą na załatwianie takich spraw. Samo pismo można odczytać jak szantażujący donos, próbę umywania rąk i wkręcania Minza w coś poważnie „pachnącego”. Pisemna prośba swoją służbową drogą, wizyta po starej znajomości drogą odrębną, konieczną i najwłaściwszą. Wszystkie oczywistości wydobyte z paragrafu chaos uspokoiły Jerzego i przekonały, że jak zawsze warto czekać. Był przekonany, że niedługo. Spotkanie u Minza musi odbyć się w tych dniach, Litmanowicz wykazywał zbyt dużą nerwowość, aby odwlekać przykrą konieczność. Niestety z samego faktu, że zebranie starych towarzyszy miało się odbyć, wynikały nieprzyjemne konsekwencje. Dwóch nienawidzących się pułkowników i między nimi porucznik, który musiał udawać, że kocha obu, w dodatku tak, aby każdy z nich był przekonany, że chodzi o niego i tylko o niego. Jakby tego było mało, wisiała teczka bikiniarza, same dokumenty udało się podrzucić przy okazji i przez posłańca z sądu, ale Jerzy od tamtej pory w Informacji się nie zjawiał. Protokół miał dać i dawał do myślenia, kto tu rządzi i dlaczego pułkownik Minz. Gdula wzdrygał się na przykre wspomnienie i wszystkie

żałosne konsekwencje tamtego wydarzenia. Bolało, ale pomogło podjąć wstępną decyzję. Uznał roboczo, że w chwili koniecznego wyboru postawi na Litmanowicza. Zadzwoił telefon.

– Właśnie o tym myślałem i nawet miałem podejść. Jutro? Tak szybko? Nie, w porządku, jak najbardziej. Nie, nie, żadnego problemu, wszystko w porządku.

Odłożył słuchawkę, ale trzymał rękę na telefonie, fundował sobie przerwę w układaniu spraw. Delektował się urzędową zdobyczą. Aparat miał już od paru dni, jednak dzwonił niezwykle rzadko, jako oficjalnie skromny urzędnik uważał, że nie wypada. Do sędziego zawsze chodził i z należnym szacunkiem zapowiadał się przez sekretariat. Do niego nie telefonował nikt poza Edytą i właściwie dzisiejsza wymiana zdań była pierwszą poważną telefoniczną rozmową, od razu najwyższego szczebla tajności i pilności. Natychmiast wychwycił ten zaszczyt i zapomniał o wszelkich wyborach, jakie go czekają. Liczył się tylko telefon, zrzućenie urzędowej skromności i założenie osobistego dziwactwa. Na co nie mógł sobie pozwolić asesor Gdula, Jerzy brał pełnymi garściami. Lewą ręką trzymał odłożoną już słuchawkę, prawą popijał sobie urzędową herbatkę. Widział śmieszność własnego zachowania i nie umiał się oprzeć przyjemności. Nagle podskoczył tak mocno, że musiał się oblać prawie wrzątkiem. Zagłaskany aparat warknął.

– Słuuucham... – usiłował wytrzeć oparzoną dłoń.– Niiieeee, nic... Dobrze, o 10.00. Aha, od razu do Informacji? Jasne, do widzenia.

Rzucił słuchawkę i zaczął nerwowo wycierać rękę, syczał i wściekał się na siebie, nienawidził rozlanych, rozsypanych, poplamionych i zepsutych rzeczy. Na szczęście szklanka się nie rozbiła, nawet nie za wiele się wylało. Przyłapany na gorącym uczynku miał powód, żeby się nad sobą poważnie zastanowić. Odstawić telefon, herbatę i inne dziwactwa, bo trzeba będzie wrócić na mało gościnną ziemię Minza. Jutro akcja, w której najważniejszym celem nie był skazywany na śmierć Stafiej, ale utrzymanie mecenatu pułkowników i gdyby przyszło wybierać, należy trzymać się mecenasa Litmanowicza, najdyskretniej, jak się da. Pojawiły się podstawy działania, do planu jeszcze daleko. Brakowało pomysłów na rozstrzygnięcia drugorzędne. Co zaproponować w sprawie Stafieja? Na podobny komfort braku pomysłów ułożonych w plan Jerzy pozwolić sobie nie mógł. Wyznaczył swoim działaniom wysoki poziom, windowany bezlitosną konsekwencją w osiąganiu kolejnych awansów. Litmanowicz z Minzem przyzwyczaili się do tego, że porucznik wszystkie projekty realizował wybitnie szczęśliwie. To był jego atut, ale z drugiej strony roboty na medal, musiał trzymać poziom, a to już nie było takie proste. Zejście z wysokiego pułapu w trakcie rozwijającej się kariery stawało się niebezpieczne. Wiele nie trzeba, aby przełożeni uznali słabszą formę za brak zaangażowania. Strzegł poziomu jak iskry, od której chciał wzniecić prawdziwą karierę, taką, jaką miał Minz i Litmanowicz, może nawet wyżej. Na pewno i koniecznie, jak najwyżej! Przy podobnych ambicjach, determinacja przychodziła nieproszona i zawsze w parze ze skrupulatnością. Wszystko musiało być przygotowane, niekoniecznie związane na guziki kolejnych kroków, raczej spontaniczność towarzyszyła pracy Jerzego, ale nie można lekceważyć niczego i nikogo. Miał obowiązek zawsze o wszystkim i w ogóle myśleć. Mógł nie doszukać się gotowych recept, ale do myślenia zmuszał się zawsze i w nagrodę dostawał rozwiązanie od intuicji lub przypadku. Tak działała konsekwentna taktyka i takie przynosiła efekty.

W drodze do domu ciągle główkował i usiłował rozbroić zbliżające się problemy lub skonsumować szansę, dobór właściwego słowa zależał od wykonania. Szedł i ciężko kombinował, przez to spacer okazał się nudną wycieczką aż do chwili, gdy minął bramę i nagle skojarzył, że coś jest nie tak. Cofnął się by sprawdzić co się dzieje i niemal natychmiast zobaczył klepsydre z nazwiskiem Klimaszko, potem doczytał imię Maciej. Odezwał się wielki dzwon, bił i przypominał, że nic nie ma za darmo, za wszystko trzeba płacić.



– Minz zrobił swoje! Kto inny? – burknął pod nosem i natychmiast opuścił miejsce, gdzie poczuł się podle. Próg jeszcze przeskoczył, ale potem pod ciężarem klepsydry ciężko spadł na krzesło. – Nie było go, pewnie zajął się pogrzebem – pomyślał o starym dozorczy, który już tylko dyskretnie uchylał czapki, po czym szybko spuszczał wzrok. Bał się i okazywał brak szacunku, ale żył. Młody Klimaszko też nie umarł, Minz go zabił.

– Dorobił się gówniarz, towarzysz Gienek nie wytrzymał – wydał wyrok bez przesłuchania. Nie brał pod uwagę innych sprawców i motywów, dla których zawisła klepsydra. Minz dostał dożywocie, nigdy więcej z nim, tak daleko od niego, jak blisko z Litmanowiczem.

– Nie musiał tego robić, nie musiał zabijać. Kiedyś za to zapłaci, przesadza jak Kapis.

Decyzję, która już zapadła, Jerzy odłożył na jutro i skupił się na tej, którą musiał podjąć. Stafiej czekał na wyrok, jego właściwie już nie było, ale Litmanowicz liczył na pomoc w przygotowaniu wyroku.

– Popisujesz się? I oby tak dalej! Do jutra, pułkowniku Minz. – Miał już wszystko, co potrzebne, cały kompletny plan i spokojny o jutrzejsze spotkanie, uczciwie przespał noc.

## 9

Pierwszy w sekretariacie Minza, z urzędowym problemem i prywatną wizytą, zameldował się asesor Gdula. Przywitał się z Ewą i już zamierzał wchodzić, gdy zjawił się Litmanowicz, który szybko wymienił grzeczności z sekretarką i rzucił krótką komendę:

– Idziemy, poruczniku, towarzysz pułkownik czeka. – Wyraźnie podniecony sędzia wyglądał tak, jakby przyszedł do dentysty i jak najszybciej chciał mieć wizytę za sobą. Weszli do środka, gdzie jako pierwszy, przed gospodarzem, przywitał gości przepych. Przy stole, nie na biurku, nakryty obrus oferował rozmaite dobra jadalne i tradycyjny napitek. Wódka, wędliny, sałatki majonezowe i suche, bigos, oranżada, chleb, musztarda, talerze, sztuce, kieliszki, literatki i szklanki. Wszystko robiło wrażenie uroczystego gestu, gabinet przerobiony na salę bankietową z uroczym akcentem roślinnym na środku stołu. Fiołki w kieliszku, to musiał być wkład kapitan Ewy Zając.

– Witam towarzyszy doli i niedoli! – Minz odegrał rzut z otwartymi ramionami, potem po prostu podał dłoń i poklepał po plecach, zachowując kolejność według szarzy. – Siadajcie, pijcie, jedzcie. Koniecznie w takim szyku! – Musiał przygotować ten żartobliwy wstęp, bo rzeczywiście odrobinę dowcipu w tym było, więcej niż w tradycyjnym, spontanicznym błaznowaniu.

– Towarzysz pułkownik, jak szlachtę nas podejmuje, a my tu z roboczą wizytą – pierwszy w imieniu delegacji przemówił Litmanowicz.

– My wszyscy ludzie pracy, jest co robić: wódka, kiełbasa, bigos – skwitował już spontanicznie i przez to mniej dowcipnie. Minz był w swoim żywiole wodzireja. Czuł się w formie, jak dusza dowolnie dobranego towarzystwa. Kochał się w tej roli, nigdy nie zauważał, że jest męczący, jak każdy błazen, któremu się wydaje, że czerwony nos na gumce i pantalony na szelkach muszą śmieszyć. Poważnie traktował tylko wódkę i brudną robotę, dlatego kieliszki były już pełne, gotowe na toast pod śliską okazję. Litmanowicz wziął to na siebie.

– Zdrowie gospodarza!

– Zdrowie! – dołączył Jerzy.

– Dobra, bo mokra – Gienek skwitował pierwszą kolejkę, pijackim zawołaniem. – Częstujcie się i zakąszajcie – dodał po chwili, gdy stwierdził, że ledwie się goście skrzywili w uśmiechu i żaden nie podejmuje rozmowy. Przy tego typu okazjach na wyjątkowych szczeblach, Minz nie oszczędzał, bo i nie swoje wydawał. Nie szczędził flaszek, zagrychy i gestów. Potrząsał z dumą kępy włosów, ocierał twarz dłonią, zdejmował krawat, rozpiął marynarkę munduru

i towarzyszą zaproponował identyczną swobodę. Obaj milcząco zgodzili się na formułę luźnego spotkania w sztywnej atmosferze.

– Towarzyszu pułkowniku, za tą teczkę chciałem przeprosić, że nie mogłem osobiście – powiedział Jerzy, po dłuższej chwili ciszy, którą wcześniej można było tłumaczyć konsumpcją, ale w końcu zaczęło się robić więcej niż drętwo.

– Jaką teczkę? – Minz sztucznie pokręcił głową we wszystkich kierunkach, udając zdziwionego.

– Bikiniarza – odpowiedział Gdula. – Przepraszam, że tak wyszło, przez tego Stafieja urwanie głowy.

– A to? Pierdoły Jureczku! Dobrze zrobiłeś, roboty trzeba pilnować. Prawda, towarzyszu pułkowniku? – zwrócił się do Litmanowicza, nie był zadowolony z tego, co usłyszał od porucznika i chciał się podzielić niewygodnym tematem.

– Sama i tylko prawda, zwłaszcza, gdy robota do dupy idzie. – Sędzia był skrepowany sytuacją i towarzystwem. Zawsze tak się czuł, uznawał przewagę Minza mimo równości szarży i może nawet wyższości własnego stanowiska. Nie łudził się, wiedział, że bez picia się nie obejdzie, jednak przepych, jaki zafundował Minz, kłuł szpilką w półdupek. Litmanowicz wiercił się na krześle, kiedy o tym myślał. Ukłuła wyższość okazana z rozmachem. Na takie gesty pozwalali sobie tylko najsilniejsi, trzeba było bardzo uważać, przekraczając tę granicę, albo czuć się bezgranicznie mocnym. Jerzy przeciwnie, rozluźnił się, właśnie wysłał Minzowi komunikat, że teczka nie zrobiła żadnego wrażenia. Tak bardzo nie skrzywdziła, że przesłał ją byle jak, przez byle kogo. Pułkownik zauważył ten sygnał, długo czekał na odzew, oczywiście nie na taki.

– Najmłodszy polewa, żeby ta robota do dupy nie była! Ma młody rękę, ale uczy się dopiero i nie zawsze trafia... – Minz odczekał chwilę, potem dodał – do kieliszka – roześmiał się i jeszcze dołożył humoru. – Kadra jest wyrozumiała i my z towarzyszem pułkownikiem pozwolimy porucznikowi do szklanek celować. – Gienek miał niezły dzień, drugi raz trafił z dowcipem, propozycja zmiany kalibru szkła spotkała się z pełną, chociaż niemą aprobatą. Jerzy ucziwie połał do szklanek.

– Młodzież ambitną mamy, nawet na oddech miejsca nie zostawił. – Żart Litmanowicza zmienił oblicze Minza, wróg wchodził na jego teren.

– Tego... Stafieja. Tak? – spojrzał na gości i dostał dwa skinienia na potwierdzenie nazwiska

– Kto robi teraz? – od razu odpowiedział poważną serią za pojedynczy żart.

– Mokotów, na Mokotowie go kaleczą i skończyć nie mogą – od niechcienia informował sędzia i dalej żuł zagrychę, lekceważył ostrzał, ale i nie poszło mu dobrze z tak dużą porcją wódki.

– I taki kozaczek? Psia jego mać? Mokotowa mu mało? – czego Minz nie powiedział, dokręcił głową i rękami.

– Bardziej głupi, więcej uparty niż twardy, trzyma się z głupoty, ale czego mu tam mało, to ja nie wiem – Litmanowicz bronił się przed tym, że sprawy nie idą, jak powinny.

– Z głupimi i upartymi najgorzej, mądry z kołkiem w dupie się nie upiera, że mu dobrze. Głupiemu jeszcze przyjemność można zrobić, ale nie takich głupich na upartego się robiło. Niech Jurek powie – Minz kiwnął głową i znów poprawił kępy fryzury. Między nim i Litmanowiczem nie było towarzyskich relacji, sami nie wiedzieli czy są na ty, czy na prośbę „pana towarzysza”. Rozmawiali ze sobą tak, żeby nie używać bezpośrednich zwrotów, chyba, że się inaczej nie dało, wtedy częściej padał „towarzysz” niż imię.

– Były ciężkie przypadki – Gdula nie wdawał się w dłuższą dyskusję, wywołany do odpowiedzi wygłosił wykutą formułkę, jak na prymusa przystało.

– Ale się zbyły, nie ma twardych, są tylko miękko robieni.

Odpowiedź Minza ożywiła Jerzego, czekał na podobne okazje, ale pierwsza lepsza to za wcześnie i za mało. Ważne, że Gienek już się dowcipnie i we właściwym kierunku popisywał.

– Stafiej jest twardy, nie wiem jak go robią, w każdym razie to fanatyk – odezwał się Litmanowicz, przestał lekceważąco żuć i bez ceregieli podważył opinię Minza.

– Źle go robią i dobrze, że źle, jest okazja się napić – Minz spojrzął na Jerzego. Młodzież zrozumiała, czego się od niej oczekuje, sięgnął po butelkę, tym razem lejąc nieco mniej ambitnie niż poprzednio. – Bikiniarz się pogryzł – Minz wypił, chuchnął w szklanekę i wyczarował nowego bohatera.

– Co zrobił? – spytał zaskoczony sędzia. Zdziwił się samą z zanadru wydobytą wiadomością, ale bardziej językiem, jakim została przekazana.

– Przegryzł sobie żyły. Ten jeden może był twardy, a nie wyglądał na takiego. Myślałem czy nie puścić cwela, a ten się pogryzł. Nie ma czasu się nudzić, same niespodzianki, śmiertelnie zabawne – pokręcił głową i wziął się za bigos.

Takich słów Jerzy się nie spodziewał, ale nie miały już żadnego znaczenia, wyrok zapadł. Skazany pułkownik za późno wprowadził niepokój w poukładany świat porucznika. Wersja wydarzeń, inna niż wcześniej Jerzy podejrzewał, mogła zmienić myślenie, jednak uznał, że nie ma już czasu na korygowanie planów. Nawet gdyby czas się dłużył i gdyby on sam umierał z nudów, niczego nie zamierzał zmieniać. Po pierwsze, nie przyzna się do błędu w sentencji, jak się okazało, przedwcześnie wydanego wyroku, po drugie, Stafiej ciągle pozostawał nietknięty i bez bikiniarza, w ramach wcześniejszych ustaleń, tknąć się go nie dało.

– Widziałem klepsydrę i od razu tak pomyślałem – Gdula kłamał i szło mu wyśmienicie.

– Płakać nie będziemy, jego wola, zrobił swoje, nie był potrzebny, lepiej jak taki sam ze sobą kończy, spokój jest. – Popisy Minza nabrały odpowiedniej siły i liczby, lepszego momentu na forsowanie planu Jerzy mógł się nie doczekać.

– Tak samo trzeba z tym Stafiejem – rzucił pierwszą częścią pomysłu.

– Co? – nieoczekiwanie zamiast Minza odezwał się Litmanowicz, poirytowany trywialnym pomysłem, oczekiwał wyjaśnień.

– Potraktować go jak bikiniarza, albo wytrzyma, albo... – Jerzy nie przestraszył się sędziego, nie miał na to czasu, teraz musiał pilnować Minza. Mówił wyjątkowo spokojnie i rzeczowo, jakby się kwestii nauczył na pamięć i tak właśnie było. Przygotował to proste rozwiązanie w domu i poparł mało wyszukаныmi zdaniem. Mimo prostoty trenował, aby wypaść perfekcyjnie naturalnie.

– On tego nie robi, nie on – upierał się Litmanowicz. – Ten gad, sam się nie wykończy.

– Sam nie musi, przecież w raporcie nie trzeba wszystkiego pisać. – Teraz Gdula drażnił Minza brutalnością, dokładnie pobudzał jego skłonności do głupich popisów, wiedział, że spodoba się taka pieśń pochwalna na cześć niezawodnych metod wielkiego pułkownika. Litmanowicz nie musiał być zazdrosny, bo tylko na tym zyska. Po to sędzia tu przyszedł, żeby za niego odwalono brudną część procesu. W tym było całe, genialne w prostocie sedno planu. Idealnie, po linii najważniejszego wyboru, poukładane relacje z Minzem i Litmanowiczem, a sprawa Stafieja zamknięta na ten sam klucz.

– Na koniec takie rzeczy, na koniec! Na razie przycisnąć, jak należy. Na Mokotowie sami rutyniarze, za dużo tego robią i takie gówniane rezultaty potem. Trzeba pomóc, albo przynajmniej przypilnować – Minz w całości i jednym kęsem połknął przynętę razem z haczykiem. Zajęty podziwianiem własnej świetności godził się na wykonanie najgorszej roboty, z przekonaniem, że został wyróżniony.

– Bikiniarz to była bardzo dobra robota, najlepsza. Jak nie wystarczy na tego Stafieja, znaczy, że...

– Bardzo dobra, najlepsza, mówisz?! Jaki skromny! – ironizował Minz. – Dobra, bo twoja?

– Moja? – Jerzy najpierw się zdziwił, jednak już po chwili bez pudła wyczuł intencję pułkownika, który chyba odrobinę oprzytomniał i sprawdzał, czy aby na pewno Gdula jest taki twardy, jak twardo doradza. – No tak, ile mogłem i jak umiałem, coś tam pomogłem – poprawił zdziwienie na udział z premedytacją.

– Słyszeliście, towarzyszu pułkowniku, młodzież pomaga ile może – Minz zaczął milczącego Litmanowicza. Oczywiście dowcipnie.

– Idą po swoich ścieżkach, za młodym nie zdążysz, ale co by nie mówić, zdaje się głupio Jurek nie myśli – sędzia zajął ostrożne stanowisko i czekał na rozwój wypadków. Atmosfera gęstniała i puchła od sztuczności, wszyscy wiedzieli w czym rzecz i każdy udawał co innego, grali swoje. Litmanowicz trzymał się tego, że Minz jest mu coś winien, za wsparcie jakie dostał przy Kapisie. Stary cwaniak, Gienek, odgrywał chętnego do pomocy, jednak nie takiego, który ma jakiś dług wdzięczności. Pokazywał, że może pomóc, chociaż nie ma żadnego obowiązku. Jerzy Gdula grał wiele rzeczy naraz i do tego koordynował zagrywki pułkowników, tak żeby wesprzeć Litmanowicza i osłabić Minza, obu nie dając szansy na rozpoznanie planu.

– Racja jedno, picie drugie, lej młody ile możesz i jak umiesz! – Minz przypomniał, że on tu rządzi, jednocześnie odpowiedział Litmanowiczowi i dał zadanie Jurkowi.

– Że łatwo nie jest, prawda. U was niełatwo i u nas lekko nie ma – zaczął sędzia, nawet nie czekał, aż się towarzystwo upora z zakąskami – dlatego jakoś razem trzeba pchać tę bidę. Poszło z Kapisem i ze Stafiejem pójść musi. – Jednym nazwiskiem Litmanowicz ustrzelił znieawidzonego towarzysza, trafiony mocował się ze sobą, żeby nie odchrząknąć, miał po czym, odbiło się Kapisem. Wspólnik w doli i niedoli przypominał, że przyszedł po zapłatę, nie po prośbie. Jerzy zauważył, że poszło za ostro, pierwszy raz pomógł Minzowi, sam zaczął po bigosie prychać.

– Ostry, jak trzeba! – polał sobie oranżady, aby dopełnić aktorskiej sceny rozładowującej dwuznaczny nastrój biesiady.

– Ostre do ostrego! Polejcie poruczniku, pod tę naszą nową jak brzytwa akcję. A tak między wódką i zakąską powiedzcie towarzysze co macie konkretnego w tej sprawie?

– Konkretnie chcemy załatwić sukinsyna – sędzia zorientował się w ostatnich podrygach Minza, skontrował i pociągnął dalej. – Nie możemy tego kaleczyć, potrzeba zeznać Stafieja, żeby podpisał, jak trzeba.

– Znaczący od zera ruszamy – złośliwie podsumował Minz, jeszcze trawił zbyt szybko i łatwo zgodę na wzięcie udziału w śliskim przedsięwzięciu.

– My tylko możemy przypieczętować dobrą robotę właściwych służb. W sądzie nie ma tylu możliwości, aby sprawiedliwości stało się za dość. Przychodzimy do najlepszych, inni sobie nie poradzili. Paragraf zawsze przypasować można, ale nie tym razem. Tu się kilku towarzyszy z samej góry sprawie przygląda, może i kronika filmowa z tego będzie

– Litmanowicz nie odpuszczał, dość wypił i w końcu poczuł się pewniej, pozwalał sobie na więcej słów, które od dawna mu w gardle zalegały. Gdula skojarzył burzliwą rozmowę w gabinecie sędziego, gdy z Edytą, pełni obaw, czekali na finał obrad na najwyższym szczeblu. Jeśli Litmanowicz nie blefował, stało się jasne, skąd tamte emocje się brały.

– Kronika powiadacie towarzyszu, żebym wiedział, to bym się lepiej ogolił i uczesał jak trzeba. Skoro towarzysze się interesują i szukają najlepszych, trzeba by to towarzyszom przy okazji powtórzyć, że z Mokotowem najlepiej nie jest. Póki co w gardle zaschło, to i ciężko się mówi. – Odpowiedź Minza zrobiła wrażenie na pozostałych oficerach, sędzia wbił wzrok w szklankę, Gdula nerwowo poprawił się na krześle. Na stole stało kilka flaszek, którym teraz przyglądali się wszyscy trzej. Jerzy zdążył ochłonać, gdy zrozumiał, że wszystko idzie jak trzeba, w końcu nic innego nie robił, tylko Minz przechwalał się na całego. Gdula sięgnął po nową butelkę, aby nagrodzić pułkownika, jeszcze nie za całość, ale za mądry powrót do popisów.

– Wygląda na to, że Stafiej jest dla Mokotowa za mocny – rozlał i zaraz wziął się za przytemperowanie rozochoczonego Litmanowicza, przy tym zachęcał Minza do konsekwencji, by się popisywał, jak należy, ale też nie przesadzał z ripostami.

– Tydzień najwyżej można mu dać, niech powie cokolwiek i podpisze, resztę dopiszemy jak trzeba. Jak nie zmadrzeje, pies go jebał, bawić się z nim nie będziemy – powiedział sędzia. Mową bardziej przypominał swojego rywala, ostre słowo brzmiało dość nieporadnie i sztucznie, jakby na siłę wciśnięte. Mówił Minzem, bo szukał rozejmu po wcześniejszym nieudanym ataku. Wprawdzie dawał niewiele czasu, co mogło być nie najlepiej potraktowane, ale drugą częścią propozycji zwalniał Informację z pełnej odpowiedzialności za przesłuchanie. W zasadzie powtórzył, jak było ustalone wcześniej i podobne powtórki wносиły do rozmowy święty spokój. Służbowe rozmowy z podtekstami męczyły wszystkich, gdy pojawiało się zdanie proste i porządkujące, towarzystwo łapało równy oddech.

– Ty, Jurek, jak tam dajesz radę u siebie? Ten stary, jak mu tam, ten dozorca od ciebie...

– Klimaszko – podpowiedział Jerzy, chociaż nie wiedział do czego Minz zmierza, w dodatku zupełnie zignorował Litmanowicza.

– Klimaszko! Durne nazwisko. Nie naprzykrza ci się tobie? Może byśmy jakiegoś nowego mieszkania dla ciebie poszukali?

Propozycja, i to z ust pułkownika skreślonego przez porucznika Gdulę, pobudziła przygniecione wódką koleżeństwo. Jerzy poczuł nawet coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Zaskoczony sędzia gapił się na wszystkie strony, on nic nie wiedział o tym fragmencie sprawy i teraz się zastanawiał: Dlaczego nic nie wiedział?

– Śmieszne, żeby oficer przed staruszką uciekał. Tak się złożyło, służba nie drużba. Żadnego problemu nie ma – Jerzy wycofywał się, odpędzał wyrzuty i udawał zadowolonego z siebie, mówił tak, jak trzeba było powiedzieć.

– Jaki staruszek? O co chodzi? – w końcu nie wytrzymał Litmanowicz.

– A to asesor się nie chwalił? Ten, co się pogryzł wczoraj, był sąsiad naszego Jurka, u ojca mieszkał, takie, kurwa, życie dowcipne – uśmiechnął się złośliwie. Rozbawiony Minz, przeżuwając kiełbasę, którą wrzucił sobie do bigosu, odkrył prawdziwe intencje, śmiał się z Jerzego, droczył się z nim. Mieszkanie było żartem, nie propozycją, dowcip miał pokazać, co wart jest porucznik Gdula. Czy nie poprzewracało się młodemu od sukcesów i podwójnej opieki ze strony pułkowników? Czy jest gotowy ponosić koszty?

– Widać nie miał czym. Trudno zgadnąć jakie to szczęście i czy nie gówniane? – podsumował sędzia, chyba zrozumiał, że nie ma żadnej skrywanej przed nim tajemnicy, tylko nieco kłopotliwa wpadka i nie ma powodu się dziwić milczeniu porucznika. Chciał tak myśleć, spojrzał na wredną, zadowoloną z siebie twarz Minza i pogubione oczy Jerzego, ten widok wystarczył za każde wyjaśnienie. Minz łypnął na Gdulę, niezadowolony z popsutej zabawy, dał głową znak, aby rozlać następną kolejkę i długo nie musiał czekać. Druga flaszka zniknęła w tempie jeszcze szybszym niż poprzednia, w trakcie rozmowy więcej przytrafiało się okazji. Niemal każda szklanka była odreagowaniem po wymianie zdań.

– Co do tematu, że tak powiem. Głowy nie będę towarzyszowi pułkownikowi zawracał, z Jurkiem będziemy w kontakcie, gdyby coś się poruszyło – Minz zmienił kierunek rozmowy na ten najbardziej odpowiedni. Propozycja wydawała się kurtuazyjna, ale nikt nie miał wątpliwości, że znaczyła coś zupełnie innego. Złośliwy Gierek wykluczył Litmanowicza ze sprawy, powiedział dokładnie tyle, że ludzie Informacji załatwią wszystko własnymi siłami. Poza wszystkim walczył o Jerzego, dowartościował go tą uwagą, ale spudłował. Na jeden moment nie zachwiał postanowieniem porucznika, on już wybrał, zdecydował się na współpracę z sędzią Litmanowiczem, zanim tutaj wszedł, i trzymał się w postanowieniu, pomimo pokus, komplementów i wypitej wódki.

– Tak właśnie chciałem mówić. Mnie więcej nie ma niż jestem, tyle zajęcia i wszystko pilnie na wczoraj, teraz i kroniki jeszcze. Jurek przypilnuje czego trzeba. – Litmanowicz sprytnie

ripostował, odbijał piłeczkę, odpowiedział, że takimi brudnymi i roboczymi sprawami powinni się zajmować ludzie od tego fachu. Sam postawił się ponad, wyznaczył siebie na człowieka-instytucję, sędziego od majestatu wyroku, nie od siermiężnego gromadzenia dowodów.

– Dobrze, to ja telefon do siebie zostawię – wyrwał się Jerzy. Nic nadzwyczajnego nie powiedział, ale zabrzmiał dziecinie, jakby się chwalił niezwykłym, wyjątkowym trofeum. Nie miał takiego zamiaru, znów usiłował rozdzielać dwóch pułkowników, ale musiało się ujawnić skrywane dziwactwo, ponieważ dumna melodia słów zdradzała chłopięcą radość z posiadania drogocennej zabawki. Obaj przełożeni usłyszeli to w głosie podwładnego, lecz tylko Minz postanowił zabawić się kosztem młodszego kolegi.

– Znam telefon – uśmiechnął się i pokiwał pobłaźliwie głową. – Czy my, Witek, nie za dobrzy dla następców? – pierwszy raz padł poufały zwrot, Litmanowicz wyprężył grzbiet, jakby mu ktoś zadał cios od tyłu, nie wiedział, co odpowiedzieć. – Telefon, samochód! Człowiek, kurwa, za fajerką biegał, żaby dmuchał w jego wieku i cieszył się jak ten głupi. A młody telefonem się bawi – skończył wywód i roześmiał się na koniec.

– Nie te czasy, żeby prądu się bać, do nich ten świat będzie należał, takich młodych z telefonami – sędzia czuł się usatysfakcjonowany odpowiedzią, nie był w stanie przełamać się i zwrócić do Minza po imieniu, uciekł w obronę porucznika.

– Może i prawdę Witek powiadasz, my się chyba starzejemy i głupiejemy, młody zadzwoni, jak będzie pora się zabierać – zarechotał i sam złapał za nową butelkę. Ucieszył się z „Witka”, tylko tak mógł się odwinąć.

– Tak prawdę mówiąc, rzadko kto do mnie dzwoni – Jerzy podrapał się po głowie, zanim się pożalił i ten mały chłopięcy występ rozładował napięcie. Minz z Litmanowiczem zgodnie się ubawili, zamiast braw nagrodzili występ śmiechem, pobłażliwym i szczerym.

– Nie przejmuj się, będą dzwonić, jeszcze nie zdążyś odbierać, a modlić się będziesz, jak umiesz, żeby nie dzwoniли. My z towarzyszem pułkownikiem już od kilku lat zdrowaśki klepiemy, co telefon zdrowaśka – Minz poprawił wcześniejszy wybuch śmiechu kolejną salwą, tym razem nie wciągnął do zabawy Litmanowicza. – Umiesz? – spytał po chwili.

– Co takiego?

– Modlić się? – odpalił Minz.

– Nie, chyba nie, kiedyś tak, dawno.

Przypadkowe pytanie rozbiło Jerzego, tak bywa, kiedy rozmowa o niczym nagle potraci czułą strunę. Minz właśnie na takiej zagrał, zadzwięczała wódka i wspomnienia. Gdula zrobił się blady, oczy miał podmoknięte, próbował się pozbierać. Z błahego powodu pękł w najmniej istotnym momencie, poniósł koszty spotkania i wcześniejszych wydarzeń.

– Co cię tak ścięto? Nie przejmuj się, wtedy wszystkich gonili do modłów. Po stodołach, po lasach, w gettach. Teraz do nas się modlą – Litmanowicz szturchnął Jerzego.

– Wódka i wojna, towarzyszu Litmanowicz! Kurwy jak psa, gorzej jak psa tresowali, zdrowaśką i słoniną. Dziś trzeba zapomnieć o tamtym czasie, ale nie o tamtych sukinsynach, im zapomnieć nie wolno. Niektórzy z gówna, nie gliny ulepieni, a gówno trzeba posprzątać

– Minz odpowiedział za Jerzego. Nagle wszyscy spotkali się razem, choć w kilku miejscach: wojna, modlitwa, getto. Jedyne słowa, które wywołały zgodne i prawdziwe emocje. Podziały natychmiast, nawet po zupełnie niewinnym i przypadkowym zahaczeniu tematu. Święte zaklęcia, kojarzone z czymś wyjątkowym, wspólnym, bolesnym, z dawnym przymusem udawanego życia, by życie zachować. Wielu ludzi traktowało modlitwę jako ucieczkę przed wojną, ci trzej w wojnie i modlitwie widzieli te same upokorzenia i ten sam lęk z przeszłości.

– Nie, tak mnie coś... chyba zmęczenie... – Jerzy tłumaczył się nieporadnie i w końcu dał za wygraną. – No tak, parszywa wojna, pewnie i wódki za dużo – przyznał się z intencją zakończenia rozmowy i całej wizyty, która w samej końcówce stawała się niebezpiecznie

sentymentalna. Jerzy Gdula rzadko wspominał stary czas, gdy już coś mówił, mieszał razem z wódką i tak, żeby dołączyć do wszystkich, którzy w znienawidzonych stodołach musieli się skrywać i modlić. Chciał dołączyć do nich, bo oni teraz byli po właściwej stronie. On sam w czas wojny mieszkał w domu, nie w stodole, szczęścia do ludzi i chleba mu nie brakowało, nikt do modlitwy nie zmuszał. Nie pasował, ale dołączył do jednej, wspólnej i wielkiej historii. Wtedy nie był z nimi, uciekł, teraz wracał do swoich jak swój, bo tak było krócej, żeby zostać kimś we właściwym towarzystwie.

– Dość na dziś? – spytał Litmanowicz, wyczuwając zamiary Jerzego.

– Chyba dość – Gdula odparł zmęczonym głosem.

– O! Towarzysze mnie opuszczają? – Minz tylko udawał rozczarowanie. Nerwowo podciągnięte rękawy i stół okrażony taksującym wzrokiem, dawały czytelne sygnały dla gości, gospodarz też miał dość.

– Żarty, żartami, ale po sobie widzę, że już nie takie zdrowie. Za dużo tego, co dzień prawie. Dajcie spokój. Bardzo dziękujemy za gościnę, sprawy umówione, nie będziemy dłużej na głowie siedzieć i dupy zawracać – Litmanowicz powiedział coś, na co wszyscy czekali, i żeby nie przedłużać formalności, wstał od stołu, łapiąc po drodze za marynarkę wiszącą na krześle.

– Dziękujemy towarzyszowi pułkownikowi – dodał Jerzy, wykonując dokładnie te same ruchy.

– Gwałtem nie zatrzymam, szkoda, ale najważniejsze, że jesteśmy dogadani. – Minz wstał, podszedł do swoich gości i podał rękę, zaczynając od pułkownika. Po chwili bez zbędnych ceregieli gabinet opustoszał.

– Ewa, pozwól no na chwilę – po pustym pomieszczeniu poniosło się zalotne echo, głos pijanego Gienka przeszedł przez uchylone drzwi sekretariatu. Zawołał tonem prymitywnego podrywacza i zamiast dostać w twarz, natychmiast otrzymał odpowiedź, jakiej oczekiwał. Pani kapitan weszła do gabinetu z kluczem w dłoni. Od wewnątrz przekręciła zamek, na twarzy miała wymalowaną zgodę na to, co się za chwilę stanie. Minz rzucił się na nią i próbował położyć na rozstawiony stół.

– Nie tutaj, daj spokój, nie tu, nie będę tego, kurwa, sprzątać! – protestowała rozbawiona.

– A gdzie?

– Na biurku... i poczekaj, muszę się napić. Nie lubię, jak mi wódką chuchasz. – Włała sobie z nowej butelki prawie pełną literatkę wódki, wypła jednym haustem, przegryzła kiełbasą bez chleba, po czym wróciła do Minza. Nie pozwoliła zerwać z siebie ubrania, dbała o każdy szczegół, nic nie mogło się rozlać ani pognieść. Zdjęła mundur i zameldowała się w samej halce, resztę pozostawiła swojemu Gienkowi. Nie bawił się w czułe detale, oparł Ewę na biurku, przycisnął brzuchem do blatu pełnego papierów, opuścił spodnie do kolan i zaspokoił swoją narzeczeńską potrzebę kilkoma nieporadnymi ruchami. Nie było w tym siermiężnym wydarzeniu namiętności, jurności, nawet pożądania, ale była miłość. Oboje czuli się szczęśliwi, zadowoleni, zakochani i sobie pisani. Po chwili już w ubraniu siedzieli przy stole, rozpijając rozpoczętą butelkę, wyglądali na zgodne i kochające się małżeństwo.

Spotkanie u Minza skończyło się owocniej, niż Jerzy sobie wyobrażał, i korzystniej, niż sobie życzył. Udało się poukładać wszystkie klocki w jedną budowlę, solidną, stabilną konstrukcję. Gdula zbudował mocną pozycję, pokazał się sprawnym pracownikiem sądu i wybitnym współpracownikiem Informacji. Nie był ani jednym, ani drugim, po prostu kolejny raz inteligentnie i szczęśliwie rozegrał własny interes, następny krok kariery. Litmanowicz tuż po spotkaniu wyraził coś na podobieństwo wdzięczności za poprowadzenie sprawy, za pomoc w rozmowie z Minzem. Miał odrobinę żalu, że pojawiły się jakieś małe tajemnice, ale część z nich sam sobie wytłumaczył, resztę skwitował żartem, choćby epizod z bikiniarzem. Wrażen było sporo i właściwie Jerzy miał ochotę jeszcze coś wypić, w końcu zdecydował, że ochota kłóci się z brakiem chęci na coś innego. Nie chciał znów się pilnować przy wódce, prowadzić gry na półsłówka i treść wplataną między wiersze, grzecznie podziękował sędziemu za zaproszenie. Litmanowicz nie robił problemu i nie miał nastroju,

chciał się tylko odwdziżyć. Skończyło się na tym, że podwiózł Jerzego do domu i tego dnia obaj już nie wracali do sądu.

Zamknęły się drzwi w służbowym mieszkaniu i wojskowy asesor w randze porucznika mógł sobie w końcu pozwolić na cywilnie beztroskie zachowanie. Było wczesne popołudnie, idealna pora, aby się oddać lenistwu, ułożyć na tapczanie i patrzeć w ten kawałek sufitu, który już dawno został zlustrowany z każdej strony. Takie zajęcie zwykle zastępowało brak innych podniet. Doskwierała samotność, wprawdzie nigdy w ten sposób osobistego problemu nie nazywał, ale coraz częściej odczuwał potrzebę pogadania z kimś innym niż samym sobą i picia w obecności twarzy, która nie byłaby lustrzanym odbiciem. Nie znał w Warszawie nikogo poza urzędowymi znajomościami, a te częściej dawały wycisk niż towarzyską atrakcję. Nie poznał innych kobiet niż te w mundurach, nie widział innych mężczyzn, oprócz tych, którzy zajmowali się tym samym, co on, albo jeszcze gorsze mieli zajęcie, zlecone przez jeszcze gorszych zwierzchników. Jerzy rozkładał się na tapczanie wtedy, gdy nie miał dokąd pójść, z kim pogadać i najczęściej odbierał to jako karę, tę monotennie przywoływaną cenę „za coś”. Tym razem było inaczej. Potrzebował takiego luzu, takiej nudy i zabrał się do nic niezrobienia z prawdziwą przyjemnością. Praca i ludzie wymagali pełnej koncentracji, stałego przygotowania do obrony i ataku, strategia zależała od celu, czyli wobec kogo były prowadzone działania. Zdarzało się, że w pracy się nudził, oglądał telefon, parzył sobie służbową herbatę, cieszył się tym wszystkim, co było ściśle reglamentowane. Jednak były to tylko chwile, nie ciągłość, i bardzo często zmieniał się nastrój, wystarczył impuls, aby ze spokoju powstał chaos i z chaosu tragedia.

Młody porucznik Gdula starał się zachowywać jak weteran, rzadko okazywał bezkrytyczną radość wobec własnych sukcesów, częściej się uspokajał i wyciszał. Uważał, że triumfalizm to zaproszenie dla pecha. Po cichu cieszył się z takiego przebiegu zdarzeń, jaki sobie zafundował choćby dziś u Minza. Każda zaplanowana rzecz przeszła suchą stopą przez niebezpieczeństwa, jakie zawsze się czaiły w starciu z niebezpiecznymi ludźmi, z którymi należało współpracować i jednocześnie nie dać się oszukać w jakiejś grze, a tych nigdy nie brakowało. Rzeczy niezaplanowane nie poszły gorzej i właśnie dlatego Jerzy studiował swoje zadowolenie, nie kusił losu, wystarczyła odrobina oddechu i odpoczynku, tak się wynagrodził.

– Jeszcze przeżyć tego Stafieja – pomyślał i pociągnął dalej. – I powinno być normalnie, mocna pozycja w sądzie, spokój w Informacji. Pod warunkiem, że Minz znów czegoś nie wymyśli, co będzie jak zwykle mało przyjemne i dowcipne, ale za to bardzo kosztowne. – Dokończył niedługą, acz porządkującą myśl i nie zdążył zastanowić się nad niczym więcej. Ktoś zaczął pukać do drzwi, zbyt kulturalnie i delikatnie, aby obawiać się gościa z sądu lub Informacji. – Pewnie stary Klimaszko zmienił taktykę – mruknął pod nosem.

– Dzień dobry. Przepraszam, że tak nachodzę – w drzwiach ukłoniła się kobieta, była skrzępowana, jeśli nie przestraszona. – Na wieniec zbieramy – ciągle stała w progu, Jerzy rozpoznał sąsiadkę, tę, którą lubił i czasami widywał, jak odprowadzała dzieci do szkoły, tę samą, którą w pijanym i sennym zwidzie zapraszał pod kołdrę. Wstydliwie poprawiała włosy, sama nie wiedziała czy dobrze robi, przychodząc tu, czyli do jednego z nich, którzy wieszali klepsydry, nie osobiście, ale to przecież jeszcze gorzej. W kamienicy nikt nie wiedział, jak było naprawdę, większość uważała za nieprawdopodobne, aby właśnie ten konkretny „on” odpowiadał za śmierć młodego Klimaszki. Część winy i pretensji spadła na Jerzego, jednak sąsiad jest sąsiad, tak zdecydowała kamienica i dlatego nie został wykluczony, tylko dołączył do grona oddających zmarłemu ostatnią posługę.

– Wieniec? – spytał zaskoczony, jeszcze nie rozumiał i nie kojarzył, co się dzieje.

– Dla Maćka Klimaszki, syna dozorca. Pan nic nie wie? – popatrzyła bez wyrzutu, nawet z odrobiną sympatii, takiej, która zastępuje strach przed bliższym poznaniem kogoś ważnego i groźnego.



- Tak, wiem, widziałem w bramie informację – powiedział „informację” i zaraz zdał sobie sprawę, że palnął kretyńsko, przecież i po prostu widział klepsydrę.
- Młody był, za młody – powiedziała smutno kobieta i zaraz wróciła do tematu, żeby nie być podejrzaną o niestosowną aluzję. – Tak po 5 złotych ludzie dają.
- Proszę wejść, portfel mam w marynarce, w pokoju – tłumaczył się, bardziej niż zapraszał.
- Nie, nie będę panu brudzić, poczekam na korytarzu – odpowiedziała.
- Proszę, proszę wejść – nalegał.
- To na chwilę – zgodziła się, średnio zadowolona weszła do przedpokoju i tam się zatrzymała. Jerzy nie naciskał na więcej, poszedł po pieniądze i po chwili wrócił z portfelem.
- Proszę – wręczył kobiecie banknot.
- Ja panu wydam, za dużo, dwa razy tyle, co inni dają – wyjaśniała skrupulatnie.
- Proszę wziąć, nie trzeba reszty – odparł i sąsiadka nie odważyła się dłużej protestować.
- Pan będzie na pogrzebie? Jutro jest – poinformowała, jak należy. Miała życzliwe spojrzenie, zachowywała się bardzo skromnie, taktownie, wstydliwie. Jerzy zatrzymał się przy tym wszystkim, wódka jeszcze nie wyparowała. Pomyślał, że może zaprosi ją do siebie, poczęstuje kieliszkiem, a potem wydarzy się coś prawdziwego, co już dawno mężczyźnie powinno się przytrafić. Zabrakło odwagi, nie zdecydowałby się nawet wtedy, gdyby był bardziej wstawiony, z tym jednym zadaniem zupełnie sobie nie radził. Czekał na taką chwilę, kiedy stanie się samo. Bał się najmniejszych ruchów, nie umiałby tej i żadnej innej kobiecie zaproponować niczego, co można odczytać jako próbę uwodzenia. Przez głowę przeszła absurdalna myśl. Zląkł się, że kiedyś Minz zleci mu niewykonalne zadanie. Będzie mu kazał uwieść i przespać się z kobietą. Dopiero po dłuższej chwili, spojrzał na zakłopotaną minę sąsiadki i zaskoczył, że wypada udzielić odpowiedzi.
- Niestety nie mogę, wyjazd służbowy, mam jutro wyjazd – zawstydził się jakością wymówki, bardzo chciał znaleźć w życzliwych oczach wiarę we własne słowa albo chociaż wyrozumiałość.
- Rozumiem. No cóż, taka praca. Dziękuję, uciekam, od góry zaczęłam, jeszcze dół mi został. Do widzenia!

Kobieta pożegnała się, bez wiary w słowa Jerzego, po czym bez wyrozumiałości wyszła. Krótka wizyta przyniosła bolesną informację o śmierci i wcale nie chodziło o samobójstwo bikiniarza. Z tym już Jerzy sobie poradził, tak mu się wydawało, ale to było wczoraj i jeszcze przed chłodną relacją Minza, który wyjaśnił jak bikiniarz się zabił. Dziś było już inaczej, śmierć przyszła w odwiedzinach i dla zabawy wyceniła życie na pięć złotych. Jerzy Gdula zapłacił i nawet zostawił napiwek, ale teraz już wiedział, że niczego nie kupił, tylko bezsensownie wydał pieniądze. Śmierć niedługo wróci i nie zabierze syna dozorca, tym razem przyjdzie po majora Stafieja. Wizyta kobiety wywołała bezsensowną refleksję, dopiero po niej dotarło, że przecież teraz będzie zupełnie inaczej niż było dotąd. Tego majora porucznik Gdula będzie musiał zabić. Śmiertelne przypadki Kapisa i bikiniarza dawały się tłumaczyć, nie były zaplanowane i tylko pośrednio przyczynił się do jednej i drugiej trumny, jednak żadna nie była spisany i ostemplowanym na papierze aktem zgonu. Następny próg do przeskoczenia, kolejne spotkanie z kostuchą było już umówione, najmniejszej niespodzianki, rozpisana w kalendarzu wizyta.

- On i tak nie ma żadnych szans, musi umrzeć. Jego sprawa, nie ja mu się kazałem pakować w taką historię – szukał jakiejś furtki, aby wypuścić przez nią wszystko, czego nie chciał u siebie widzieć. Nie chciał trawić takich przemyśleń i wizyt, musiał się od tego opędzić i wpaść na najprostsze z możliwych rozwiązań. – To bandyta, jak przeżyje, będzie zabijał.

Jeszcze raz pomyślał o tym, co wcześniej przyszło do głowy, zaraz po wizycie sąsiadki, układał wszystko prostymi kategoriami. Nie poraziła myśl, że dopiero teraz wpaść na śmierć, chociaż ta czaiła się wszędzie od chwili, gdy Litmanowicz przedstawił cel procesu. Nie pochylił się nad zmyśloną teorią, że wszystko jest szlachetnością, nie zbrodnią. Wymyślił

na oczekaniu wyniosła ochronę ofiar przed bandytą, a jedyną pewną obroną jest najwyższy wyrok dla przyszłego mordercy i w takim razie nie zbrodnia, lecz prawo staje się przyczyną śmierci. Tylko wieniec zakłócał porządek wydumanych usprawiedliwień i przyszłych dobrych uczynków.

– Trzeba było dać tyle co wszyscy albo nie dawać w ogóle – powiedział do siebie. – Wieniec? Co za żałość! Płacić za konieczną i dobrze wykonaną robotę? Zostawiać napiwek za bezczelność?

Kilka pytań bez odpowiedzi i już zupełnie nie czuł się związany z żadnym trupem, nie był za nic odpowiedzialny, myślał o tym, ile włożył wysiłku dla wielkiej sprawy. Jerzy kolejny raz odwołał się do swojej cudownie selektywnej świadomości, w której nie było miejsca na popełnione błędy i mowy o wyrządzonych podłościach. Oczekiwał od siebie zupełnie innych skutków niż te uboczne, pragnął tylko trafnych decyzji, świętego spokoju, korzyści z trwania po właściwej stronie.

– Doskonała robota, najlepsza, wszystko, co mogę sobie zarzucić – pochwalił się głośno i rzucił na tapczan. Przykrył się kołdrą zsunął spodnie i odebrał swoje pieniądze. Kobieta musiała zapłacić i oddać napiwek. Sprzedała się dwukrotnie i była już tylko tanią sąsiadką, a takie błado i śmiesznie wypadają w roli posłanek wyrzutów sumienia.

## 10

Czwartego dnia od wizyty u Minza Jerzy odebrał telefon od Litmanowicza. Po ostatniej rozmowie sędziego częściej dzwonił, chyba chciał sprawić młodemu asesorowi małe prezenty, wiedział, że ten w telefonie dostrzega jakąś nobilitację.

– Czy coś pilnego? Jeśli mogę, chciałbym dokończyć jedną rzecz. Dobrze, będę za chwilę, długo mi nie zajmie. – Gdula opowiedział do słuchawki, ale wcale nie zajął się dokończeniem rozpoczętej rzeczy, ponieważ niczego wielkiego od kilku dni nie robił, a teraz w ogóle niczym poważnym się nie zajmował. Wymyślił tę sztuczkę, aby pokazać swoją przydatność i zaangażowanie. Odczekał kilka minut dla uwiarygodnienia oszustwa, w końcu podniósł ociężałe ciało z krzesła, by pójść i sprawdzić co Litmanowicz ma do powiedzenia.

– Masz tu nowe akta, przejrzyj, zobacz, co byś z tym zrobił? – powiedział sędzia i wskazał na teczkę leżącą po tej stronie, z której gościom łatwiej sięgać.

– A Stafiej?

– Co Stafiej? Co masz na niego? Masz już coś? Czekamy przecież – Litmanowicz właśnie z powodu czekania nie był w najlepszym nastroju. Siedział bez okularów, z odcisniętym wokół oczu śladem po oprawkach. Kiedy zdejmował swoje drugie oczy w obecności podwładnych, dawał znak, że nie panuje nad wszystkim i wielu rzeczy lub ludzi ma już dość.

– Nie mam, tylko myślałem, że ta sprawa jest najważniejsza – Gdula przypominał o czymś, czego nie trzeba przypominać.

– Bo jest, ale są inne. Spraw jest tysiąc i do wszystkich trzeba wygłosić wyrok – odparł stanowczo sędzia, przecierając odcisk na nosie. Jak tylko rozmasował odznaczone miejsce, postanowił się pozbierać i zaczął od włożenia okularów.

– Tysiąc? – Jerzy przyjął informację absurdalnie, bo dosłownie. Sam nie wiedział dlaczego, chyba uruchomił prosty mechanizm urzędniczej skrupulatności, biurokracji po prostu.

– Ty się nie wyspałeś czy może trzeźwy jesteś? Roboty jest od cholery, Stafiej kruszeje, nie ma czasu na leżenie. Jak się wypisz, może zrozumiesz, że dobrze mieć coś w zanadru, wtedy łatwiej zapomnieć o tym, co się spieprzyło – sędzia zrobił krótkie szkolenie, ale tylko dlatego, że podwładny zdawał się o to prosić.

– Dobrze, zajmę się tym, ciężko mi dziś idzie myślenie, wiem już o co chodzi – trochę się ratował, więcej przywracał do porządku.

– Cieszę się, to wszystko. Na razie! – Litmanowicz zakończył rozmowę i zanurzył się w papierach, Jerzy mógł się odmeldować.

Przyszedł do siebie, rzucił na blat nowe zadanie, po czym rozciągnął się na krześle, marną miał ochotę na kolejne sprawy, na analizowanie i czytanie przede wszystkim. Przez głowę przetoczyła się cała siermiężna estetyka sądowej literatury, te nieporadne, poranione zdania, ten język, jakim nikt nie mówi i tylko urzędnik się posługuje, żeby się pastwić nad innym urzędnikiem. Wolno odnajdował się w swojej pracy, nigdy nie był utalentowanym informatorem, ani błyskotliwym sędzią, radził sobie, uruchamiając inteligencję i zaangażowanie. Do papierów i teczek miał najmniej cierpliwości i talentu. Jeśli ktoś chciał Gdulę ukarać, nie było bardziej srogiej reprimendy niż podrzucanie dokumentów, choć to nieodzowny i podstawowy obowiązek każdego urzędnika, nawet informatora. Przed otwarciem akt musiał sobie tłumaczyć, że to jest tylko narzędzie do celu, trzeba przejść przez formalności, aby dotrzeć do zajęć, które sprawiały satysfakcję. Układanie sprawy tak, aby nadać jej właściwy bieg, intrygowało zawsze i rekompensowało nudę. Dlatego Jerzy stosował dodatkową motywację, targował się sam ze sobą na mało wyszukanych aukcjach:

– Zrobisz, będziesz miał spokój i zajmiesz się tym, co lubisz. Zrób od razu, żeby najgłupsze mieć za sobą – wyjaśniał swojej awersji, że nie wygra z jego motywacjami. Nie zawsze proces racjonalizacji obowiązków trwał krótko, ale bez wyjątku kończył się w ten sam sposób, Jerzy robił, co do niego należało, nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej. Tym razem znalazł też dodatkowy argument, sędzia Litmanowicz miał rację, nic lepszego do roboty nie ma, gapienie się w telefon i bieganie do czajnika po służbową herbatę musiało się w końcu znudzić, wzmagalo tylko pracę pęcherza, a Gdula zdecydowanie potrzebował aktywności innych organów.

– Dość, otwieraj się biurokracjo! – zawołał po wewnętrznej walce. Pierwsze zdania przyniosły ulgę, odetchnął, gdy zdiagnozował nowe akta jako nagrodę za dobrze wykonane zadanie, które jeszcze rękami Minza się finalizowało. Sprawa wydawała się prosta, tak błaha jak przeziębienie dla emerytowanego lekarza. Dotyczyła zwykłego sabotażu, zdrady i tak dalej, ale najważniejsza w tym wszystkim była ranga przestępcy. Nikt ważny. Jakiś wiejski chłopaczyna, który najpewniej podpadł komuś i dostał wyrok, zanim się zorientował, że nie popełnił żadnego przestępstwa poza niewybaczalnym narażeniem się ludziom, jakim podpadać nie wolno. Podejrzenie o przechowywanie broni i dolarów, przestępstwo tak pospolite, że według Jerzego powinno być załatwione w sołectwie, nie w poważnej instytucji, gdzie pracował wybitny urzędnik, asesor Jerzy Gdula.

– Po co on mi to dał? Nagroda? Odpoczynek? A może litość i brak szacunku? Takie śmieci do mnie? – nie potraktował poważnie obowiązków, ambicja ostro protestowała i pewnie grałaby pierwsze skrzypce, gdyby nie otrzeźwienie, jakie przyszło po chwili. – Nie przesadzaj, w końcu Litmanowiczowi też ktoś podrzucił ten włam do kurnika. Po wyciszeniu ambicji, głos rozsądku odpowiedział, że sędzia podarował asesorowi pierwsze samodzielne poprowadzenie procesu i to jest coś, obojętnie, jak nędzny jest rodzaj przestępstwa. Przy prostej wokandzie może zachowywać się rutynowo, jak doświadczony sędzia. Ukarać dla przykładu tak, jak podpowiadają paragrafy, nie zadawać sobie trudu z wydumanym uzasadnieniem, po prostu odczytać wyrok, który po analizie paru zdań z akt wydaje się jasny. Nad oczywistością sentencji Jerzy Gdula zatrzymał się chwilę.

– Oczywisty? – powtórzył. – A tak konkretnie, to jaki?

Druga sprawa i dotąd żadna nie skończyła się rozprawą, przy takim doświadczeniu nic nie jest oczywiste. Co z sabotażystą powinien uczynić sędzia z wieloletnim stażem, mógł wiedzieć tylko taki zaprawiony w bojach, stary wyzeracz. Gdula był debiutującym asesorem, dopiero dotykał zawodu, na rutynę musiał jeszcze długo pracować, teraz pozostawała intuicja, rozważenie, co będzie korzystne i to jedyne paragrafy, jakimi dysponował. Rejonowy Sąd Wojskowy w Warszawie nie kierował się prawem, w tej instytucji obowiązywały inne

instrumenty, takie jak sprawiedliwość – rozumiana interesem zwierzchnim i osobistym. Prawnik nie zrobiłby tu kariery, awansowali jedynie zdolni, bezwzględni żołnierze, po krótkim kursie prawa odbębnionym tylko po to, aby intencjonalne uzasadnienia wyroku formalnie choć trochę przypominały kodeks.

– Tak, słucham? Co jest gotowe? – kolejny telefon wyrwał z zawilości sądowego orzecznictwa.

– Nie co, tylko kto? – po drugiej stronie było słycać znajomy głos, bardzo znany, podkreślony jeszcze bardziej znajomym rechetem, ale mimo wszystko nadal anonimowym.

– Przepraszam, kto mówi? – Jerzy tak naprawdę chciał spytać, o co chodzi i dlaczego ktoś mu zawraca głowę, kiedy on ciężko haruje. Ten ton musiał zostać rozpoznany, na co wskazywała odpowiedź.

– I się, kurwa, zesrało. Kto mówi, się pyta!? Stary wiarus! Ten pułkownik, co mu porucznik na telefon rozkazał dzwonić. Minz mówi! – W słuchawce wybrzmiało więcej ironii niż złości, mimo to Jerzy spał się i utknął na dłuższą chwilę.

– Przepraszam, towarzyszu pułkowniku, nie skojarzyłem, głos znajomy, ale człowieka nie widać – tłumaczył się nieporadnie.

– Ha, ha, ha, ty telefon. Tak już, kurwa, jest, że w słuchawce człowieka nie widać. Dziwne nie jest! Ten wasz Stafiej gotowy, możesz przyjechać, klient podpisze zeznania – Minz miał wyborny nastrój, bawił się rozmową i darował gapiostwo, które można było zrozumieć jako brak szacunku.

– Świetnie, już jadę towarzyszu pułkowniku. Wsiadam w samochód i za chwilę będę – nadrabiał gafę szczegółowymi wyjaśnieniami, które nikogo i w ogóle nie interesowały. Rwał się do zakończenia najważniejszego procesu. Wcześniej Minz się nie kontaktował, wbrew temu, co ustalili na spotkaniu, i nagle zadzwonił z taką wiadomością. Milczenie było jednym z wielu powodów nerwowości Litmanowicza, nawet zaczął panikować, gdy od czterech dni nie dostał żadnych wieści, ale Jerzy miał w pamięci, jak się wszystko wolno toczyło w przypadku Kapisa i uspokajał, tłumacząc, że to normalna metoda na brudną robotę.

– Gdzie jedziesz i po co tak szybko? Zwolnij, napij się, zimnej wody. Jak wystygniesz, zadzwoń do mnie...– Bez charakterystycznego trzasku poprzedzającego pulsujący sygnał, zapadło milczenie. Pod warunkiem trzeźwej oceny sytuacji nie było trudno rozpoznać, że nikt nie przerwał rozmowy, ale Jerzy nie był trzeźwy, tylko napity emocjami; jak wielu nowicjuszy. W chwili, gdy dostał przełomową informację, już widział sukces.

– Towarzyszu pułkowniku, halo, halo, towarzyszu...

– Wystygłeś? Gdzie jedziesz? Wiesz, gdzie? Żebyś się nie zdziwił! Na Mokotów przyjeżdż – rechet Minza odbijał się od ucha Gduli do ścian gabinetu.

– Nie do Informacji? – tym razem przesadził w drugą stronę. Bezmyślny pośpiech zamienił na pedanterię.

– A co ty, kurwa, myślisz, że my tu dzicy jacyś? U nas porządna, schludna firma, pralnia jest na Mokotowie. Starczyło dopilnować. Będę tam za godzinę. Na razie!

Tym razem trzask i pulsujący dźwięk nie budziły wątpliwości, Minz skończył rozmowę. Urwał nagle, dając godzinę na pozbieranie się i zameldowanie w umówionym miejscu. Tak postawione warunki nie zostawiały wiele miejsca na roztrząsanie dowcipów Gienka. Jerzy bez namysłu rzucił się do drzwi, aby już po chwili stać przed Litmanowiczem i przekazać sensacyjną wiadomość:

– Pułkownik Minz zadzwonił, ponoć Stafiej pękł, zgodził się podpisać zeznania – mówił pośpiesznie. Przekazał rewelacyjne wieści i w osłupieniu przyglądał się stoickiej minie sędziego, a za chwilę miał już pretensję w oczach, gdy zauważył, że reakcja nie była entuzjastyczna. Litmanowicz ze spokojem kończył przeglądanie papierów.

– Łaski nie zrobił. Co się tak podпалиłeś? Od tego Minz jest! – nerwowo podrapał się za uchem, zdradził, że spokój wiele go kosztuje.

– Prosił, żebym za godzinę był na Mokotowie – Jerzy nieco zwolnił tempo, lecz ciągle z wielkim zaangażowaniem alarmował, że szkoda czasu.

– Za godzinę? Może za sekundę? I co mu powiedziałaś, że przyfruniesz? Co on jest, pogotowie ratunkowe? – Sędzia skorygował swoje zachowanie, dał odpocząć uszom, mówił z sarkazmem i tak, jakby go nowiny w ogóle nie obeszły, chociaż to on był do tej pory najbardziej zainteresowany i spanikowany, to on pierwszy „fruwał” do Minza.

– Lepiej polecę, nie ma sensu drażnić towarzysza pułkownika, w końcu zrobił swoje. Może nam się jeszcze przydać, znaczy pomoc całej Informacji – porucznik pokorą i dyplomacją przykrywał wcześniejsze podniecenie.

– A kto go drażni? Każdy musi znać swoje miejsce, niektórych siłą na dupie trzeba posadzić. Rób, jak chcesz! – skrzywił twarz w obojętnym grymasie. Nie odpowiedział szczerze i grymas był wymuszony. Litmanowicz doskonale zdawał sobie sprawę, że Gdula ma rację, samą i absolutną. Pomijając wszystkie wredne cechy Minza, wykonał zadanie i upokarzanie go czy lekceważenie było pozbawione sensu. Sam Litmanowicz nie mógł tego przyznać, ambicja mu nie pozwalała, dlatego zrzucił wszystko na Jerzego pod pretekstem przekazania wszelkich uprawnień do podjęcia właściwej decyzji. „Rób, jak chcesz”, znaczyło dokładnie tyle, co: „ja umyvam od tego ręce, ja bym się tak nie podniecał” i mówił to człowiek, który miał w tym procesie utopione osobiste i zawodowe ambicje.

– Pojadę, miejmy to za sobą. Jakby się dało jakiś samochód...

– Dało, zesrało! Mówiłem ci już coś na ten temat. Bierz mój wóz i kierowcę, po to jest. Załatw, co masz do załatwienia i wracaj. I przyjdź zameldować, będę dziś dłużej siedział. Zajdź, obojętnie kiedy wrócisz. – Słowa sędziego brzmiały już dużo skromniej. Znowu było jasne, że Litmanowicz oddałby za wykończenie Stafieja prawie wszystko i teraz właśnie odkroił kawałek swojej ambicji, musiało zabołeć, bo na początku zaczął się drzeć bez większego powodu. Potem zacisnął zęby i ugiał się, nie mógł powstrzymać ciekawości, ile Minz wydobył ze Stafieja, był gotów zostać w sądzie, jak długo trzeba, póki się tego nie dowie.

– Tak jest, przyjdę na pewno.

– Idź już, idź, jak ci tak pilno – pogonił Jerzego, nie dlatego, żeby szybciej jechał, ale żeby szybciej wrócił.

Samochód jak zwykle stał przed sądem, Gdula rozpoznał wóz bez trudu, korzystał wiele razy z gestów sędziego, wracał do domu, jeździł za sprawami. Wsiadł na tylną kanapę i zwrócił się do kierowcy:

– Jedziemy na Mokotów – nie musiał wdawać się w szczegóły, sądowi kierowcy doskonale wiedzieli, gdzie w takiej sytuacji mają jechać i znali drogę na pamięć.

– A towarzysz Litmanowicz? – zawahał się chorąży o dość głupkowskim wyglądzie. Wyłupiaste oczy z kościstą twarzą odwróciły się i prawie otarły o twarz porucznika. W kościsto-wyłupiastym zestawie dało się zauważyć, że to jedna z tych karier, która została młotem oderwana od sierpa.

– Pułkownik Litmanowicz nie jedzie, mnie polecił. Ruszaj, mamy mało czasu, czeka na mnie bardzo ważny towarzysz. – Jerzy miał ochotę solidnie przewieźć się po nierozgarniętym szoferaku, ale jego obyczaj dobrego traktowania niższych rangą wziął górę. Jak dotąd tylko Chętkiemu się zebrało, poza tym nierozgarnięty chuderlak nie był byle kto. Dostał robotę od Litmanowicza, dlatego musiał być kimś ważnym. Głupi, ale niebezpieczny, należało się z takimi drugorzędnymi funkcjonariuszami liczyć. Nikt tego głośno nie mówił, jednak niosło się po firmie, że to protegowany sędziego albo nawet dalsza rodzina po sierpie.

– Już jedziemy, rozkaz! – Suchy chorąży usłyszał o ważnym towarzyszu i natychmiast zapomniał o lojalności wobec Litmanowicza, w pośpiechu zabrał się za uruchamianie wozu. Silnik zagrzechotał, samochodem szarpnęło w tył. – Kurwa – syknął pod nosem i na tyle głośno, że pasażer bez trudu usłyszał zwyczajowy komentarz szoferów, którzy odpalają silnik

na wstecznym biegu. Poprawił się błyskawicznie, zwolnił bieg, a wóz zrewanżował się posłuszeństwem. Przejazd z sądu na Mokotów zajął znacznie mniej czasu niż wyznaczył Minz. Jerzy po raz pierwszy zobaczył ten słynny budynek. Robił wrażenie ponurego bunkra, obwarowanego płotem, bardziej przypominającym mur, na który nałożono zasieki. Kierowca stanął kilkanaście metrów przed główną bramą. Wykonał swoje zadanie i dziwił się teraz, że porucznik nie wysiada z samochodu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, odwracając kości od przedniej szyby.

– Tak, wiem. Muszę tu poczekać, wyjdę nogi rozprostować. – Gdula zupełnie nie znał tego miejsca zbudowanego z przynębiającym rozmachem, nie wiedział gdzie się udać, co ma ze sobą począć. Postanowił, że naprędce wymyślona historyjka, jaką sprzedał chorążemu, będzie najlepszym rozwiązaniem. Poczeka na Minza, a ten już będzie wiedział, gdzie iść, on tu jest jak u rodziny albo i u siebie. Tylko czy jest dobrym pomysłem spacerować przed murami więzienia? Rzecz wyglądała bardzo osobliwie, na tyle, że wrócił do samochodu, by tam odczekać ile trzeba..

– Chyba będzie padać – rzucił w kierunku wyłupionych zdziwieniem oczu i zamknął drzwi. Nastąpiło długie milczenie, obaj czuli się nieswojo.

– Za wcześnie? – spytał w końcu chorąży.

– Trochę, ale nie szkodzi, nie lubię się spóźniać – Jerzy odpowiedział okrągłymi słowami i znów zapadła cisza. Upłynęło kilka minut, zanim podjechał pierwszy samochód, Gdula poderwał się z kanapy, jednak po chwili zrozumiał, że złapał się na fałszywy alarm. Dzień był paskudny, kolorami i klimatem przypominał budynek więzienia, zbierało się na deszcz i tak przez cały dzień się zanosilo. Jerzy próbował przebić wzrokiem mur ogrodzenia, ale szybko zrozumiał, że nie chce zbyt wcześnie zobaczyć, co się tam dzieje i znajduje. Po chodniku chodziły jakieś kobiety, jedna starsza, przygarbiona, ubrana na czarno, pomarszczona, zrezygnowana twarz. Druga młodsza, zmęczona, zdenerwowana, ale już nie przerażona, jakby czekała na jakiegokolwiek rozstrzygnięcie. Obie krążyły po chodniku, każda swoim krokiem i ścieżką, mimo to od razu rzucało się w oczy, że są razem. Nie były do siebie podobne, może nie spokrewnione, ale przyszły tu razem i w jednym celu. Tak wyglądały. Jerzy zastanawiał się, nad sensem tego zbiegowiska? Czego szukały w tym ponurym miejscu w taką parszywą pogodę? Po co sterzeć, jeśli nie musi się czekać na Minza? Nie znalazł odpowiedzi i dlatego kobiety zaczęły go drażnić swoją głupotą, bo jak inaczej nazwać towarzyskie spotkanie przed murami bunkra.

– W środku głupi kierowca, na zewnątrz głupie baby – ocenił brutalnie miejsca i towarzystwo. Do kobiet przybiegł chłopiec, nie wiadomo skąd się wziął, Gdula przegapił ten moment, odwrócił na chwilę głowę w drugą stronę, a gdy znów popatrzył na chodnik, chłopiec był już przy młodszej z nich. Nie miał więcej niż siedem lat, szarpał kobietę za spódnicę, za pierwszym i drugim razem otrzymał łagodną odpowiedź, pochyliła się nad dzieckiem i tłumaczyła cierpliwie, po czym pośliniła palec i przetarła policzek dziecka. Wzdrygnął się i obrócił na pięcie, by za chwilę znów szarpnąć spódnicę i zamiast odpowiedzi dostał klapsa. W złości kopnął kamień i nieszczęśliwie trafił pod nogi starszej pani, za ten czyn dostał już solidny cios w ucho. Starsza kobieta podeszła do obojga, chłopca pogładziła po głowie, matkę ogarnęła wyrozumiałym i proszącym o wyrozumiałość spojrzeniem.

Tę scenę Jerzy obserwował ze szczegółami, obraz miał na wyciągnięcie ręki. Widział twarze całej trójki i w jednej chwili wszystkie oczy spojrzały przez szybę samochodu, pytając o najważniejsze. Porucznik Gdula nie wiedział o co i dlaczego akurat jego pytają? Odwrócił wzrok i przesiadł się na środek kanapy, dopiero wówczas połączył potrójne spojrzenie z tym, co widział w oczach starego Klimaszki, sąsiadki i chłopca w bramie. Zrozumiał, po co ci ludzie tu przyszli. O co pytali i dlaczego z pytaniem zwrócili się do asesora w randze porucznika? Dlaczego ośmielili się zaniepokoić samego Jerzego Gdulę?

– Jakim samochodem przyjedzie towarzysz? – spytał kierowca bez szacunku dla tego, co się w głowie porucznika teraz działo.

– Nie wiem, ale rozpoznam na pewno... dlatego ja... – padła dziwna, bezsensowna odpowiedź.

– Aha! Dobrze, na pewno tak – równie bez sensu odpowiedział chorąży i dla pewności wytrzeszczył swoje ślepie. Wyglądał bardziej idiotycznie niż przerażająco, oczekiwał jakiegoś dodatkowego wyjaśnienia. Nie uzyskał nic ponadto, co usłyszał wcześniej, Gdula odpowiedział tak, jak zdołał, zresztą nie wiedział, o co szofer pyta i co mu rzucił na odczepnego. Jeśli wcześniej wyczekiwanie i skrępowanie niewygodnym towarzystwem wydłużało się nieprzyzwoicie, teraz stało się przytłaczające. Kobiety i dziecko razem z wytrzeszczonymi oczami kierowcy zniknęły dopiero wtedy, gdy zjawił się Minz. Przyjechał szybciej niż sam się zapowiedział. Samochód podjechał do głównej bramy, Jerzy niemal przegapił ten wyczekiwany moment, na szczęście Minz otworzył drzwi i krzyczał coś nerwowo do strażnika, czego już się nie dało przeoczyć. Gdula wyskoczył z kanapy w tempie wojskowym i w takim samym pośpiechu zameldował się pułkownikowi.

– O kurwa! A ty skąd spadłeś? – podsumował w swoim języku Minz.

– Z kierowcą jestem, samochodem.

– Gratuluję! Czego sterczysz? Wjeżdżaj tym samochodem, albo nie. Wsiadaj do mojego, nie będziemy robić cyrku z kolumną.

Propozycja spodobała się Jerzemu, błędził myślami po nowym terenie, nie miał wiedzy i pomysłu, jak się poruszać, żeby nie wydać się śmiesznie zagubionym.

– Za wcześnie przyjechałem, nie wiedziałem, że to tak blisko – wytłumaczył się już w wozie pułkownika.

– Ty? A ty przypadkiem nie pierwszy raz tutaj? – Minz zdjął czapkę i poprawił swoją cudaczną fryzurę, po czym z powrotem mocno wetknął przyciskając daszek prawie do nosa.

– Pierwszy raz – Gdula nie miał czasu i siły, aby wymyślać usprawiedliwiające fałszywe historyjki.

– Pięknie, kurwa, pięknie! Takiego miejsca nie odwiedzić to grzech, będziesz się smażył w piekle – Gienek wypuł z siebie dowcip na swoim normalnym poziomie, lecz tym razem nie śmiał się z satysfakcją. – Dużo jeszcze przed tobą, nie martw się, wszystko ci pokażę.

Wyszli z samochodu. W budynku Minz sprawnie załatwił wszystkie formalności, bywał tu częstym gościem i żaden klawisz nie odważył się z nim dłużej dyskutować. Strażnik doprowadził oficerów na miejsce, do celi gdzie siedział major Teofil Stafiej. Siedziały fragmenty, strzępy majora, w obszarpanym mundurze, brudnym i poplamionym krwią.

– Szczęść Boże, panie majorze! – Na początek Minz wydobył z siebie swojski żart, najwyraźniej dumny z własnej roboty. Przywitał się z człowiekiem, który siedział na pryczy i coś obracał w palcach. Więzień musiał słyszeć zgrzyt otwieranego zamka, chrzęst kluczy, a już na pewno głos strażnika informującego o wizycie. Nie podniósł się jednak, nie zameldował według regulaminu, siedział spokojnie i nadal bawił się czymś co przypominało kawałek drewna. – Rozumiem, kiepski dzień, trudno, największym optymistom się zdarza. Zostawcie nas samych – pułkownik zwrócił się do sierżanta w więziennym mundurze, ten natychmiast wykonał polecenie i zamknął celę na klucz. – Teraz razem sobie posiedzimy – ciągnął ironicznie Minz. – Papiery przywiozłem dla pana majora, jak się umawialiśmy – sięgnął do skórzanej teczki, którą trzymał pod pachą. Wyjął kilka kartek i położył na stole przed Stafiejem, dołożył pióro i kilka słów: – Proszę uprzejmie podpisać panie majorze, towarzysz porucznik kawał drogi przyjechał i śpieszy się do pracy.

Dopiero po tych słowach więzień podniósł głowę. Wyglądał na świeżo i niedbale opatrzonego frontowca. Spękane wargi, posiniaczone policzki, przy naderwanym uchu zastygła strużka krwi. Pomięty, brudny mundur, zerwane pagony i tylko dumne niebieskie oczy spoglądające na Jerzego, przepełnione hardością i godnością. Twarz majora była zmasakrowana, ale gdyby zdjąć z niej maskę opuchlizny, połamanego nosa i kilkudniowego

zarostu, odzyskałaby dawną ułańską świetność. Na pryczy siedział ułan, przystojny, nie chłopiec, lecz mężczyzna malowany, bohaterski, za takimi wyglądają Zosieńki i Kasieńki. Patrzył na młodego porucznika i wzrokiem odpowiadał na wszystko, co się w głowie Jerzego Gduli kotłowało: „Nie masz prawa nosić munduru, gówniarzu, nie masz takiego prawa. Nie potrafisz mnie dotknąć, możesz tylko sponiewierać siebie i właśnie to robisz. Jesteś mały, bawisz się w berka, wyrywałeś wszystko, co masz, i nie masz nic, jeden błąd i będziesz siedział na pryczy. Doczekasz się na pewno. Słyszysz mnie, prawda? Każde słowo trafia prosto do łba i nie masz pojęcia jak to możliwe? Usprawiedliwiasz się, udajesz, że nie wiedziałeś, za trzecim razem, jak tu przyjdiesz, niczego nie zobaczysz, nic cię nie zaskoczy i nie przerazi. Ulituj się nad sobą, zdejmij mundur, gówniarzu.”

Jerzy słyszał każde niewypowiedziane słowo, spokojnie, od niechcienia mówione, słyszał je wyraźnie, tak bardzo, że popatrzył na Minza i oczekiwał jego reakcji, ale on stał niewzruszony, czekał na wykonanie polecenia. Stafiej spuścił wzrok, podpisał jedną kartkę i odłożył pióro. Minz podszedł do majora i pochylając się nad naderwanym uchem, najpierw uderzył więźnia w głowę, potem podniesionym głosem warknął przez zęby:

– Jeszcze, tu i tu, kurwa wasza mać, majorze.

Słowa i gesty Minza raziły nawet Gdulę, tylko na Stafieju nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Przyjął wulgarność bez emocji, jego zachowanie wyglądało na wyuczone, pewnie nieraz widział, jak Minz z udawanej uprzejmości zmienia się w prostaka i z oficera w oprawcę. Podpisał kartki we wskazanym miejscu.

– Towarzyszu poruczniku, proszę odebrać papiery od pana majora.

Jerzy poczuł, że Minz wydając polecenie znów się bawi i nie ma szansy, aby się przed tym bronić, podszedł do więźnia i wyciągnął rękę po dokumenty. Stafiej chwycił dłoń porucznika, uściśnął z całej siły, tak że naderwane paznokcie podeszły krwią. To nie był uścisk, ani podanie dłoni, to było zmiżdżenie złudzeń, okazanie siły przez pokonanego i honorowa wygrana o prawo do noszenia munduru. Po kilku próbach Jerzy wyrwał dłoń, szybko pobierał papiery i odskoczył w kierunku drzwi.

– Towarzyszu poruczniku, może jakieś pytanie do pana majora? – Minz nie rezygnował z sadystycznej zabawy, osaczony Gdula przecząco pokręcił głową.

– W takim razie kończymy wizytę i dłużej nie przeszkadzamy. Pan major wygląda na zmęczonego, trochę to dziwne, bo co tu można robić? Tylko myśleć, że już niedługo wieczne odpoczywanie – uśmiechnął się pod nosem, potem walnął w drzwi i za chwilę zazgrzytał klucz w zamku.

Oficerowie Informacji opuszczali miejsce, gdzie wstyd nie bywać, milczeli, chociaż było o czym rozmawiać. Już za bramą Minz zahaczył o coś zupełnie oderwanego od wizyty w celi:

– Ciekawe czy bikiniarz trafiłby do ciebie na wokandę?

– Bikiniarz?

– Bikiniarz, a kto? Sam go tak nazwałeś. Mógłby trafić, gdyby się nie pogryzł. Głupi był. On chyba naprawdę uwierzył, że dostanie dożywocie, może niepotrzebnie gnoja straszylem – z pełną satysfakcją kpił z przykrych faktów.

– Nie wiem, nie mam pojęcia – zrezygnowanym głosem odpowiedział Jerzy.

– A ile byś mu dał? Dwanaście lat?

– Dwanaście?

– Kurwa, co z tobą, to ja pytam, ja nie jestem sędzią. Dwanaście chyba starczy?

– poirytowany domagał się odpowiedzi.

– Raczej tak, dwanaście wystarczająco.

– No widzisz, a ten głupek się pogryzł, na żartach się nie znał. Jedziesz ze mną?



– Nie, dziękuję, kierowca czeka, nie mogę go tak zostawić. Pułkownik Litmanowicz będzie potrzebował samochód – wyjaśniał porucznik Gdula i jednocześnie bronił się przed wspólnym powrotem.

– W takim razie jadę do siebie. Pozdrów towarzysza pułkownika.

– Dziękuję, przekażę oczywiście, do zobaczenia.

– Albo usłyszenia, ty, telefon – zarechotał Minz. W drodze powrotnej Jerzy próbował rozszyfrować nową sztuczkę pułkownika i już w pierwszej myśli znał rozwiązanie:

– Ciągłe ta sama gra, pokazywanie jak się robi porządki, wystawianie rachunków, nic się nie zmienia i nie zmieni. On się bawi samą grą. A może dzieli koszty, szuka usprawiedliwienia dla siebie, najpewniej wszystko naraz. Tylko skąd ta monotonia, korzysta z każdej nadarzającej się okazji, aby wracać do tego samego? On tego nie przerwie, jemu się to podoba, będzie się bawił, dopóki mu tej zabawy ktoś nie popsuje. A ponieważ mną się bawi, tylko ja mogę to przerwać – podsumował w duchu i dodał. – Nie teraz, najpierw Litmanowicz.

Akcja ze Stafiejem była ciężka, ale przebiegła sprawnie, Minz był precyzyjnie sprawny w rozgrywkach, które kochał. Sam się zajął Stafiejem, to po jego wizytach na Mokotowie major walczył o godność i mundur, bo życie w tej ustawionej walce stracił już dawno. U Litmanowicza Gdula stawiał się jeszcze w godzinach pracy. Dotarł z dokumentami, których sędzia oczekiwał ze spieczonymi, jak zawsze, i zagryzionymi, jak nigdy, wargami.

– Jestem, towarzyszu pułkowniku – rzucił od progu.

– Faktycznie załatwił? – twarz Litmanowicza zastygła na chwilę, czekał na jedyną możliwą odpowiedź.

– Tak, Stafiej podpisał zeznania w mojej obecności.

– Co podpisał? – niecierpliwił się Litmanowicz.

– Tak prawdę mówiąc, nie wiem. Nie było kiedy, ale mam wszystkie papiery – podał teczkę przez biurko i dalej rzeczy potoczyły się same. Sędzia pożerał dokumenty, biegając po kolejnych akapitach i wyszukując najbardziej interesujące zdania. Znalazł wszystko, czego potrzebował, przynależność do nielegalnych organizacji, działanie na rzecz obcego wywiadu, zdradę i sabotaż.

– Jak on wyglądał? – spytał, gdy tylko odłożył papiery.

– Normalnie, trochę podrapany, nic wielkiego, lekko ranny, tak można powiedzieć. – Jerzy Gdula poczynił pierwszy krok, aby popsuć Minzowi grę, wrócił do swojej starej taktyki podbudowanej wytrenowaną obojętnością. Udawał, że nie robią na nim wrażenia takie widoki, tak jak nie robił wrażenia protokół z torturowania bikiniarza. Zapomniał tylko, że ma przed sobą poważnego Litmanowicza, nie dowcipkującego Gienka.

– Podrapany, mówisz? To osobiste wrażenia, czy tak towarzysz Minz nauczył? – spojrzał przenikliwie na swojego podwładnego, jak niezadowolony zwierzchnik zwykł patrzeć na mniej ważnego od siebie asystenta.

– Źle mi się powiedziało. Jest pobity, ma różne ślady, na pewno towarzysz Minz przyłożył się do przesłuchania, ale trzyma się, miał takie harde oczy – Jerzy powiedział więcej, niż zamierzał. Chciał tylko zmienić poprzednią lekceważącą relację, a popłynął w stronę tego, co go naprawdę ruszyło i przed czym się bronił.

– Harde oczy? Ty mnie wiecznie zaskakujesz. Gadasz tak, że trudno za tobą nadażyć, pieprzysz jak Minz, potem rymy składasz jak wieszcz. Niech ci będzie, nieważne, sprawa zamknięta. Teczkę, co ci dałem, przejrzałeś? – łypnął spod okularów.

– Tak jest.

– I jaką masz propozycję?

– Dwanaście lat – asesora odpalił bez namysłu.

– Jakie dwanaście lat? – sędzia zbaraniał.

– Taki wyrok, dla tego... zapomniałem nazwiska.

– Dwanaście lat dla tego, co nie pamiętasz, jak on się nazywa? – Litmanowicz roześmiał się.  
– Bardzo dobry wyrok, napisz tylko uzasadnienie i też się nie wysilaj, wokandy mamy wyżej pasa. Dlatego podoba mi się takie tempo sprawiedliwości – sędzia był sarkastyczny, ale też nie robił problemu z luźnego podejścia do spraw.

11

Sprawy ważne i mniej znaczące udało się zakończyć. Litmanowicz pochłonięty skazywaniem Stafieja nikomu nie pozwolił dotykać się do akt. Teodor Koziar, przestraszony ostatnią rozmową, nie przeszkadzał sędziemu. Cała reszta mniej istotnych rzeczy spadła na Jerzego, który opanował sztukę wydawania intuicyjnych wyroków. Odkąd ogłosił pierwszy, natchniony konsultacją z Minzem, wszystkie pozostałe wyroki traktował podobnie. Miał matrycę i od niej rozdawał po dwanaście, dwadzieścia i więcej lat w zależności od tego, co wydawało się przestępstwem wyjątkowym, a co pospolitym. Dbał przy tym, aby nie zaniżyć kary, takie osądzanie było niebezpieczne. Przesadny wymiar wcale nie oznaczał pochwał i nobilitacji, trzeba było i tu uważać, jednak zdecydowanie mniej w tym ryzyka niż przy wyroku miłosiernym i przez to podejrzanym, głównie o brak wiary w świętą wojnę. W pracy Jerzy doszedł do rutyny, wypełniał dokumenty bez większego trudu, o dziwo, z produkowaniem urzędowych papierów nie miał już takich problemów, jak z czytaniem. Pisanie szło mu lekko i z czasem nawet polubił to zajęcie, ale bywało, że zbierał od Litmanowicza, gdy zamiast poprawnie, pisał „jak literat”. Powtarzał sobie wtedy jedną ze swoich ulubionych i żartobliwych wskazówek: „Zaczynj od nauki czytania własnego pisania”. Jedyną zawieszoną w próżni i nie zamkniętą sprawą pozostała niekończąca się zabawa Minza. Jerzy przygotowywał się do ostatecznej rozgrywki, która miała dać mu wolność od Gienka i wszystkiego, co za nim się ciągnęło. Czasu miał sporo i może dlatego nie do końca wiedział, jak się za rzecz zabrać. Każdego dnia poświęcał Minzowi wiele uwagi, ale nic nie z tego nie wynikało, kolejne pomysły odpadały po kilku pytaniach napędzających strach przed tym, co się może stać. Jak zwykle nie chciał ryzykować zbyt wiele, ostatecznie mógł się nawet poddać, gdyby nie zdołał zaplanować działania dającego solidną gwarancję powodzenia. Nie było też powodu, aby robić coś na siłę. Minz właściwie się uspokoił, czasem zadzwonił do Gduli, kilka razy wezwał i dał do zrozumienia, że ma się przyjrzeć swoim kolegom z sądu, nie wykluczając samego szefa, a właściwie ze szczególnym uwzględnieniem sędziego. Poleceniu nadał charakter koniecznej czujności, nie wymagał jednak niczego więcej, chyba nawet nie liczył, niemniej sugestia musiała znaleźć choćby pozory działań i taki stan rzeczy stanowił spore zagrożenie. Gdyby Litmanowicz dowiedział się o jakichkolwiek zabiegach, związanych z jego nietykalną osobą, asesor Gdula znalazłby się w pułapce między grą Minza i sprawiedliwym rewanżem sędziego. Jerzy przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyłożyć przed szefem kart na stół, ale później wątpliwości już nie było, pozostała żelazna zasada, żeby pracy w Informacji nie mieszać z robotą w sądzie. Zasadzie dołożył korektę, zdecydował, że o Litmanowiczu nie powie Minzowi ani jednego słowa, poza krótkimi ocenami pokazującymi sędziego jako solidnego i lojalnego towarzysza słusznej sprawy. Od czasu do czasu uwiarygodni przekaz małą złośliwością. Zresztą Minz nie oczekiwał poważnego rozpracowania, on się bawił i bawiąc sprawdzał, który pułkownik dla porucznika jest tym ważniejszym. Nie dostał jednoznacznej odpowiedzi i powoli się z tym godził, być może odczytał lojalność wobec Litmanowicza jako dobry znak dla lojalności wobec samego siebie.

Na podobnych rozważaniach minęły miesiące i w tym czasie zdążyło się sporo wydarzyć. Major Stafiej tuż po najwyższym wyroku odwołał swoje zeznania, złożył apelację do Najwyższego Sądu Wojskowego, gdzie wyrok został utrzymany, odrzucono również prośbę o ułaskawienie, którą złożył ojciec skazanego. Egzekucja miała nastąpić w najbliższych dniach i Jerzy czekał niecierpliwie na to wyjątkowe dla niego wydarzenie.

Tymczasem zupełnie zwykły roboczy dzień przywitał Gdulę i właśnie w takim dniu miał znaleźć rozwiązanie, odebrać nagrodę za cały trud, jaki włożył w przesunięcie pułkownika Minza z planu pierwszego w stronę tła. Stała się jasność i do gabinetu asesora wszedł sam sędzia Litmanowicz, uprzednio pukając do drzwi, niezwykle nobilitująca forma wizyty. Zanim Jerzy zdążył się zorientować, co się dzieje, zaczął nerwowo szukać drugiego krzesła. Znał swój stan posiadania i w normalnych warunkach nie musiałby nigdzie biegać. Na jednym siedział, drugie służyło za stolik pod czajnik i urzędową herbatę. Rzucił się w ten kąt, gdzie stało „herbaciane siedzisko”, niedbale odstawił wszystkie rzeczy i poleciał do biurka, aby przywitać znamienitego gościa. W połowie drogi zmienił zamiar, stolik socjalny postawił po swojej stronie, własne krzesło przystawił Litmanowiczowi. Całe zamieszanie wyglądało niezwykle służalczo i komicznie, ale sędziemu się spodobało to, jak o niego zadbano.

– Cześć – powiedział jak nigdy i porucznika przytkało.

– Pierwsza wizyta chyba? – wyjąkał i zaraz się gryzł, że pytanie brzmiało jak zarzut.

– Za to nie z pustymi rękami, ewangelię przynoszę – Litmanowicz był w królewskim humorze.

– No, to po szkło polecę – uśmiechnął się Jerzy.

– Przyjdzie pora. Póki co na sucho ci mówię, że jest wyrok, znaczy we wtorek będzie.

– Sędzia cieszył się jak dziecko, opowiadał jak spędził pełne przygód wakacje.

– Jaki wyrok? – Jerzy nie udawał zdziwienia, przy całym zamieszaniu rzeczywiście nie skojarzył o jaką sprawę może chodzić.

– Słusznie, koniec z wyrokami, egzekucja, nie wyrok. Stafiej dostanie czapę, we wtorek – podkreślił, kiedy się stanie to, na co czekał miesiącami.

– Aha, to chyba dobrze? – Gdula cielecym wzrokiem popatrzył na pułkownika.

– Mam rozumieć, że przyjdiesz, nie odmówisz?

– Ale gdzie?

– Ale na egzekucję! Przyjdiesz? Serdecznie zapraszam! – Słowa Litmanowicza nie brzmiały sarkastycznie, szczerze cieszył się tą chwilą.

– Oczywiście! W końcu pierwsza sprawa – chłodno, urzędowo, formalnie i dla świętego spokoju odpowiedział Jerzy.

– Wtorek o 20.00 na Mokotowie. Tylko się nie spóźnij – przestrzegął i znów zabrzmiał bardziej poważnie niż ironicznie.

– Przyjdę na pewno.

– Świetnie! Tyle dobrego, ale jest jeszcze coś gównianego. Powiedzieć nie mogę, skąd wiem, w każdym razie towarzysz Minz przekroczył granicę, do której nawet nie powinien się zbliżać. Nie wiem jak wy ze sobą żyjecie, nigdy w to nie wchodziłem, ale tym razem uprzedzam, że będzie ostro. – Litmanowicz wygłosił dłuższą kwestię, brzmiał groźnie, tak bardzo, że asesor zbladł i pytał w duchu sam siebie, czy sędzia już wie o zaleceniu Minza. Na to jednak nie wyglądało, rozmowa miałaby zupełnie inny przebieg, gdyby do Litmanowicza doszły konkrety. Wiele wskazywało na to, że jak się często zdarzało, zaczęły krążyć jakieś plotki, wystarczający powód, aby się niepokoić na takim stanowisku, jak sędziowska posada.

– Co się stało towarzyszu pułkowniku? – spytał Gdula, błądy jak pomalowana szafa.

– Coś tak zbladł jak... ściana. Tak ci szkoda bydlaka? Nie bój się, nic mu nie będzie. Za wysoko siedzi. Ale swoje dostać musi, za daleko się posunął. Wróci na miejsce, jeszcze nie wiem jak, w każdym razie po dupie dostać musi – odpowiedział sędzia i mimo wszystko uspokoił atmosferę.

– Nie wiem o co chodzi, ale chcę powiedzieć, że mam pełne zaufanie do towarzysza pułkownika, może towarzysz pułkownik na mnie liczyć. – Jerzy wypełniał obietnicę, uznał, że nastąpił ten moment, w którym musi wybrać.

- Cieszę się i skoro tak, to liczę na twoją pomoc. Chodzi o to, żeby bydlaka wystraszyć, nie chcę z nim wojny, wystarczy, że się odpieprzy, a mam wrażenie, że nie tylko do mnie się przypieprza, ty też uważaj.
- Może mam pewien pomysł, tylko nie wiem, czy nie za ostro myślę – asesor Gdula ledwie powiedział swoje, trząśnięcie się jeszcze w środku.
- Mów!
- Chodzi o Kapisa. Pułkownik Minz wspominał kiedyś, że boi się takich spraw, że kiedyś i jego ktoś tak po cichu wykończy.
- Rzeczywiście za ostro, mówiłem ci, nie chcę wojny.
- Nie o to chodzi towarzyszu pułkowniku, nawet o tym nie pomyślałem. Zastanawiam się, czy sądem nie możemy postraszyć Minza. – Jerzy wytłumaczył się z intencji, ale ciągle nie zdradził konkretów, za to pierwszy raz zdegradował wspólnego wroga, tytułując go samym Minzem.
- Sądem? – Litmanowicz poprawił okulary, opadły mu z wrażenia.
- Pośrednio oczywiście, nie miałem na myśli sprawy samego pułkownika. Mam pewien pomysł, ale nie wiem czy nie za duże ryzyko.
- Wal śmiało! – zniecierpliwiony sędzia domagał się jak najszybszego wyjaśnienia.

\*\*\*

Z wizyty Litmanowicza porucznik wycisnął ostatnie soki, znalazł decydujący ruch, którego poszukiwał. Nie zrażał się tym, że rozstrzygnięcie padło przypadkiem, najważniejsze, że sędzia zaakceptował pomysł i nie widział w nim większego ryzyka, a to oznacza, że nie ma potrzeby się wygłupiać, szarżować, przesadzać, wystarczy zamknąć problem, wyjść z męczącej gry Minza. Obok wielu użytecznych cech charakteru Jerzy miał jeszcze i tę, która pozwalała ambicje zamieniać na rozsądek. Niejednemu brak takiej umiejętności sprawił przykre lub ostateczne niespodzianki, Kapis był najdobitniejszym przykładem braku wstrzeźliwości. Z Minzem żartować nie wolno i popisywać się nie należy, z nim trzeba odmierzać proporcje, aby trafić w sam punkt. Pokazać, że jest się silnym i świadomym swojej siły, ale w żadnym wypadku nie upokarzać i nie wykazywać wyższości.

– Znaleźć pretekst i przemycić blef! – Tak skończyły się krótkie rozważania, teraz wystarczyło przejść do metody. Jerzy poszedł tam, gdzie lubił najbardziej, do głowy, i po to, czego potrzebował pilnie, po rozum. Przyniósł zdobycz, która była uniwersalnym argumentem, takim, którego nie dało się obalić, co ważniejsze – obarczyć jakimkolwiek zarzutem. Lepszego pretekstu niż połączenie służbowego obowiązku z prywatną rozgrywką nie da się poszukać. – Idę do Minza, on lubi się pośmiać z Witka, reszta stanie się sama.

I tak też wyglądał późniejszy przebieg rozmowy Jerzego Gduli z Eugeniuszem Minzem, zrealizował się drobiazgowo zaplanowany scenariusz. Wszystko udało się świetnie tak, jak było obmyślane.

- Jakies wieści? – spytał Minz, gdy tylko Ewa wprowadziła gościa i sama wyszła już z gabinetu.
- Nic wielkiego, pułkownik Litmanowicz cieszy się na egzekucję Stafieja. Szaleje, zadowolony, jak dziecko – przekazał nowe wiadomości i czekał na reakcję.
- Faktycznie, wielkie nie jest, małe, oj, małe – uśmiechnął się Minz, jak zawsze, gdy produkował swoje mętne żarty.
- We wtorek egzekucja o 20.00, też tam będę. Pierwsza taka duża sprawa, tłok, musiałem prawie błagać towarzysza Litmanowicza, żeby i dla mnie znalazł miejsce – powiedział Gdula z pełnym uśmiechem.

- Błagałeś o swoje?! – Minz przydławił się tą wiadomością. Zatkany machał pod biurkiem nogami, dopiero pod dłuższej chwili ratował się pokazem obojętności, ale odegranym kiepskim aktorstwem. Nienaturalnie machnął ręką, na tyle mógł się zdobyć.
- Może nie aż tak, ale łatwo nie było, wydaje mi się, że tę sprawę Litmanowicz chce mieć tylko dla siebie. Towarzysz pułkownik też powinien tam być – pierwszy raz użył bezpośredniej formy, pominął wszelkie tytuły sędziego.
- Mnie takie występy już nie bawią, młodzi niech się uczą. Coś masz jeszcze? – rzucił tonem nie pozostawiającym wątpliwości, zamierzał kończyć wizytę.
- Szczerze mówiąc mam i nie bardzo wiem jak zacząć – Gdula zawiesił głos.
- Od początku najlepiej – Minz się ożywił, podejrzewał, że usłyszy coś atrakcyjnego.
- Do sądu wpłynęła pewna sprawa...
- A co innego mogło wpłynąć? – przerwał z rechem Minz.
- W tym rzecz, że to nie taka sobie sprawa, chodzi o Kapisa – Jerzy opuścił wzrok, lekko odwrócił głowę, w tym samym czasie pułkownik kopnął nogą w biurko, podniósł się na krześle.
- Co ty próbujesz mi tu ożenić? – wściekł się.
- Nie ja, wpłynęło zawiadomienie w sprawie samobójstwa Kapisa, wygląda, że ktoś wysoko postawiony coś wywęszył. Wniosek o sprawdzenie okoliczności śmierci majora Kapisa wygląda na prywatny, ale przecież wiadomo, że to podkładka, tak twierdzi sędzia Litmanowicz.
- Litmanowicz? On w tym palce moczy?
- Na szczęście tak.
- Jakie szczęście? – wydarł się Minz, aż odchrząknął, zrozumiał, że za mocno się podniecił.
- Towarzysz Litmanowicz twierdzi, że wie o co chodzi i myśli co dalej. Zastanawia się, czy uda się zamieść akta. Uruchamia swoje kontakty, ma być dobrze – Gdula powtórzył ascetyczne gesty, nie szło mu najlepiej z odgrywaniem scen, ale scenariusz był na tyle silny, że pułkownik gasł w oczach.
- Dla kogo dobrze?
- Dla nas. Na szczęście sprawa trafiła na naszą wokandę, prawdziwy cud, przypilnujemy jak trzeba. Musiałem powiedzieć, towarzysz pułkownik powinien wiedzieć z pierwszej ręki. Cholera wie kto się koło tego zakręcił i po co? – Ostatnia kwestia poszła wybitnie, Jerzy opanował treść i przekazał precyzyjnie wszystkie niezbędne aluzje. Minz był zbyt doświadczonym funkcjonariuszem, aby nie zrozumieć, że w sądzie leży polisa Litmanowicza, ale też Gduli, na wypadek gdyby pewnemu pułkownikowi Informacji strzeliło coś głupiego do głowy. Dobrze też by się stało, gdyby pewien pułkownik zaczął zachowywać się poważnie i dał sobie spokój z urządzaniem dziecinnych, chociaż okrutnych zabaw.
- Byle chuj zakręcić się może. Dobrze, że powiedziałaś, ale jeszcze lepiej pilnuj i pamiętaj, że Kapis to my wszyscy. – Minz nie potrafił się opanować, znów krzyknął i jeszcze raz chrząknął, zajrzał do jakiejś nieistotnej teczki, wyraźnie miał dość, wypraszał wzrokiem i gestem ze swojej twierdzy, gdzie chciał zostać sam.
- Dobrze towarzyszu pułkowniku! Będę leciał, nie przeszkadzam dłużej, jak się coś wyjaśni zaraz zamelduję – Gdula odczytał sygnały, zaszalutował i przymierzył się do wyjścia.
- Cześć – tylko tyle odpowiedział pułkownik, zanim porucznik wyszedł.

Taki przebieg miała rozstrzygająca o końcu zabawy rozmowa i ostatni kontakt asesora Jerzego Gduli z pułkownikiem Eugeniuszem Minzem. Przegrana potyczka wywołała trwalszy efekt niż się mogło porucznikowi marzyć, a sędziemu wyobrazić. Minz zrozumiał, że ma do czynienia z konkurentem odpornym na wszystko, co u innych wymaga znacznie więcej niż grubej skóry. Gdula pokonywał najtrudniejsze przeszkody i znacznie szybciej niż pozostali początkujący. Był młodszy, inteligentny, odważny, wiedział czego chce i potrafił zdobywać w tempie pokazującym determinację pozbawioną moralnych, czyli niepotrzebnych,

ograniczeń. Do tego wszystkiego miał szczęście, intuicję i odpowiednie silne plecy, potrafił się podwiesić pod najwłaściwszych ludzi. Utemperowany Minz zaczął rozważać jedną z ważniejszych i, jak się wkrótce miało okazać, trafnych dla siebie decyzji. Uspokoił się, zrozumiał, że tym razem może przegrać, a walczyć dla samej ambicjonalnej zabawy, nie ma sensu. Cel został osiągnięty, porucznik Gdula mógł odpocząć i tylko jeszcze jeden raz Gienek upomniął się o swoje.

We wtorek o godzinie 20.15, w ciemnej norze cuchnącej wilgocią, trawionym alkoholem i chmurą papierosowego dymu, grobową ciszę przerwał głośny wystrzał. Odbił się od ścian, sufitu i podłogi, przez uszy obecnych świadków i oprawców, przeszedł w stronę długiego korytarza. Strzałem z pistoletu w tył głowy umundurowany kat, wykonał wyrok na majorze Teofilu Stafiejcu. Zabójstwu przyglądała się nieliczna grupa żołnierzy i jakiś jeden zbłąkany cywil, bliżej nieznanemu porucznikowi Gduli. Asesor Jerzy Gdula jako jedyny w tym towarzystwie pierwszy raz przyglądał się „czapie”. Egzekucja odbyła się bez zwyczajowych, pełnych dowcipów i bezgranicznie okazujących nienawiść komentarzy. Żaden z oficerów i nawet cywil nie odezwali się słowem, gdy ciało majora Stafiejca spoczęło na betonowej posadzce. Leżał przykurczony, ale wyglądał niezwykle, odświętnie, jak w galowym mundurze, był dokładnie ogolony i uczesany. Kula prawie nie pozostawiła śladu, czemu nie mógł się nadziwić kat, który przyglądał się tępo lufie pistoletu i oglądał z niedowierzaniem głowę ofiary. Oczy majora były otwarte, ale nie martwe, błyszczały szeroko, niemal rzuciły blask, rozświetlały odrapane ściany i mordercze oblicza. Miejsce zbrodni, oprawcy opuścili w milczeniu, po chwili w celi zjawił się niższy rangą podoficer. Zajął się ciałem, potem płukaniem betonu ścian i posadzki, z niewielkiej ilości krwi, co było nie pierwszym cudem w czasie tej niezwyklej egzekucji.

– Harde oczy – powiedział sędzia Litmanowicz.

– Słucham? – ledwie szepnął pytaniem porucznik Gdula.

– Nic. Harde oczy, nic więcej. Gdzieś ty się tak ufajdał? Z przodu i z tyłu? – sędzia wskazał na mundur młodszego towarzysza, który wyglądał, jak umoczone w brudnym tynku, robocze ubranie. Zaczął strzepywać przykurzone wapno z pleców porucznika, ale tylko rozmazał brud i widząc, że Jerzy na rękawach i połach nie zrobił nic lepszego, otrzepał dłonie i przyspieszył kroku, uciekał z miejsca zbrodni. – Musisz wyprać – przytłumionym głosem powiedział sędzia i dalej pocierał dłonie.

Po krótkiej wymianie zdań i milczących spojrzeniach nigdy więcej nie wracali do egzekucji majora Teofila Stafiejca, chcieli uciec jak najdalej od tego, co się stało w celi śmierci. Nie było tyle wódki, nie było tyle odwagi, by zamienić choć słowo i mundur już nigdy nie leżał jak dawniej. Minz nie wiedział, że jeszcze raz i już zupełnie bez swojego udziału postawił na swoim, pokazując młodszemu koledze „za coś”, aby nie miał łatwiej i spokojniej, aby sprawiedliwie było zapłacone. Ostatni cios, wcześniej zakończonego pojedynku. Zapamiętane obrazy z celi śmierci łączyły Litmanowicza i Gdulę, stali się śmiertelnie zgraną parą. Współpracowali, dzielili się obowiązkami i powstał między nimi rodzaj zażyłości, raczej zawodowej niż towarzyskiej, niemniej ich relacje były czymś więcej niż służbową rutyną. Wspierali się wzajemnie i łamali kolejne sprawy na pół, nie było przy tym sporu o podział sukcesów. Po roku współpracy obaj uchodzili za ludzi nietykalnych, rok kolejny przyniósł już awanse. Litmanowicz został szefem sądu, Jerzy natychmiast awansował na kapitana i sędziego. Na marginesie kariery kapitan Gdula nadal współpracował z Informacją, ale nie było już Gienka. Ożenił się z panią kapitan Ewą Zajac i razem przeszli do bezpiecznych, spokojniejszych zajęć. On został dyrektorem przypadkowej fabryki, jego żona pracowała w urzędzie celnym. Nikt nie znał powodu, dla którego jednocześnie odeszli z pracy w Informacji, tym bardziej, że z takiej roboty zrezygnować było prawie niemożliwym,

w każdym razie nie bez przykrych konsekwencji. Plotka niesła, że Minz skorzystał ze

znajomości na najwyższym szczeblu i dostał przeniesienie z samej góry, z takim uzasadnieniem, które dawało czystą kartę i wolną rękę. Coś o nowych wyzwaniach i ludziach potrzebnych we właściwych miejscach, coś o zasłużonych, których należy wynagradzać, taki rodzaj degradacji sformułowany w awans. Powszechna praktyka, jednak w przypadku Gienka o tyle wyjątkowa, że sam się o nią prosił i to była ta decyzja, która okazała się trafną.

Jerzy Gdula wszedł na szczyt swojej kariery, w wieku 25 lat był kapitanem, sędzią, ulubieńcem szefa sądu i rezydentem Informacji, gdzie też uchodził za postać, z którą trzeba się liczyć. Na całe lata opuściła go niepisana reguła przypominająca, że każdy awans z każdym sukcesem kosztuje: wpadkę, nieprzewidywalne zdarzenie, potknięcie. Przydarzały się rzeczy drobne, jednak nie można ich było traktować kategorią kosztu, zwykle i nieistotne błahostki, pstryczki, łaskotki. Ktoś, gdzieś, kiedyś, coś nieprzychylnego powiedział, czasami sam Jerzy chlapanął bzdurę po wódce, zdarzeń większego znaczenia nie odnotował. Ciągłe był sam, mieszkał w tym samym miejscu, lecz już nie z tymi samymi ludźmi. Umarł stary Klimaszko, ledwie kilka miesięcy po śmierci syna, ponoć dostał zawału, może wylewu, Gdula nie interesował się przyczynami zgonu, nawet sąsiedzi nie przyszli po składkę na wieniec. Zajmował się czymś innym i poważniejszym, przyszedł taki etap kariery, gdy jeleniogórska szkoła nie wystarczała i stawała się główną przeszkodą na drodze dalszego awansu. Kadry zrobiły się wymagające, zaczęły się domagać świadectw na papierze, ponieważ rosła konkurencja. Wyższy standard spowodował, że Jerzy rozpoczął studia na wydziale prawa, wyprzedził oczekiwania i studiował już w 1952 roku, niedługo po tym, jak zaczął pracę w sądzie, ale do 1956 zdołał zaliczyć tylko jeden stopień, później stała się rzecz, która odebrała wszelką motywację i cały dorobek.

## 12

Reguła zysku i kosztu ocknęła się, odzyskała przytomność, po czym – świeża i wypoczęta – zaczęła działać. Rachunek „za coś”, zgłosił się po swoje „coś”, a stracone chwile nadrobił rozmachem. W 1956 roku Jerzy przegrał wszystko, wraz z wielkim ruchem na szczycie, hurtem zmieniły się twarze i całe oblicze kadr. Główny nurt zmian płynął samym środkiem takich błyskotliwych awansów, jakie zaliczał kapitan i sędzia Jerzy Gdula. Wielu, którzy dostali zbyt szybko i prawie wszystko, musiało teraz oddać więcej i zostać z niczym. Do nowego ładu dołożono retusz nowego porządku, świeżo awansowani pułkownicy, którzy przeżyli starcie ze starymi, przejęli obowiązki i kariery pokonanych. Najbardziej zaangażowani i niegdyś najgroźniejsi, odpadli jako pierwsi, oni blokowali dostęp do kadr. We wstydlivej grupie najwierniejszych z wiernych znalazł się Litmanowicz, w ostatniej chwili uciekł Minz, ale Jerzy zabrał się przeciw z Litmanowiczem, z Gienkiem wygrał i dlatego teraz musiał przegrać. Przepadł zupełnie, z dnia na dzień, trafił na listę nieobecnych chwilę po tym, jak grupa kolejnych wiernych sporządziła donos. Raport odsłonił zaledwie część wszystkich spraw, w których nie było obrońców, za to krwią podchodziły paznokcie, wódką podlane tajne narady w Informacji, Mokotów dla niebezpiecznych, intuicyjnie wydawane wyroki. Dokumentację spisano wewnątrz, pod światłym dowództwem majora Filara, korzystali z niego tylko nowo wybrani, aby zmieścić ludzi starego ładu wznieconego ponad dziesięć lat temu. Długi i sławetny czas Jerzego Gduli zakończył się rachunkiem z jedną pozycją, na której widniała zawrotna cena – wszystko. Początek, w którym kapitan oddał całość, był dramatem pozbawionym treści dramatu. Bez krwi, ran, nawet walki, spokojnie przyszły zmiany, następcy nie chcieli popełniać błędów poprzedników. Na Mokotowie zrobiło się luźniej, w ogóle cały rewanż wyglądał inaczej niż bezmyślna zemsta. Wymieniono i uzupełniono kadry, zmienionych przeniesiono niżej i w zupełnie inne miejsca lub pozostawiano bez żadnej propozycji, musieli sobie radzić sami.

Zmieniło się nie tylko w życiu, popsulo się w otoczeniu; teraz w kamienicy Jerzy był tylko jednym z tych, którym nie warto spluć na plecy, bo twarzy już nie mieli. Na chwilę i w ramach zadośćuczynienia ofiarowano taką możliwość satysfakcji tym, którzy wcześniej doświadczyli najgorszego, tym, którzy latami musieli się prześlizgiwać do własnych domów i nawet tam czuli się przerażeni. Jerzy Gdula nie odczuwał bolesnego rewanzu rzuconego prosto w plecy. W kamienicy nie było już żadnego Klimaszki, reszta spokojna w cierpieniu, ludzie pogodzeni z losem. Nauczeni wojną i ostatnimi latami, że nigdy nie warto okazywać zbytnej hardości, najlepiej w ogóle schodzić z drogi, nawet przegranym zwycięzcom. Jerzy był tylko jednym z nich, takim zwykłym, z kamienicy. Taki sam bezradny, nic nieznaczący, a właściwie mógłby być taki, gdyby nie był jednym z tamtych. Musiał wstać rano, tak jak zwykli, zdany na czyjeś decyzje, jak zwykli podbić zwyczajną obecność, kłaniać się byle komu i udawać, że nie słyszy rozmów na korytarzach, że nie widzi, jak milkną głosy, kiedy przechodzi: „jeden z tamtych i popatrz, jaki zwykły”.

Wcześniej bronił się przed samotnością, nie wymawiał niepotrzebnego słowa, chociaż nie było dalekie od prawdy, teraz samotność zwyciężyła walkowerem. Jerzy Gdula, były kapitan i wojskowy sędzia, złożył broń, przestał walczyć, poddał się. Wziął, co mu dano i nie protestował, gdy mu odbierano, odstawił swój życiowy plan bycia kimś i robienia czegoś na bliżej nieokreślony czas oraz okazję, która się nie nadarzała. Ostatnim przyjaznym gestem pułkownika Litmanowicza trafił do Państwowego Zakładu Ubezpieczeń, gdzie zajmował się zalanyymi pokojami oraz uszkodzonymi wywołanymi żywiołem ognia i grzmotu. Pisał już nie raporty i wyroki, spisywał zwykłe protokoły zniszczeń, wydawał ściśle urzędowe decyzje i pił sam, nie było żadnych konsultacji z wyższymi rangą, żadnej gry o awans. Wytrwał na pospolitym urzędzie niepełny rok, potem zaszły kolejne roszady, wymieszało się nowe ze starym. Nowa kadra przestała się wyróżniać, stara nauczyła się nowego, podobnego do poprzedniego działania, powoli wracały dawne znajomości i część wpływów. W instytucjach odnajdywali się starzy znajomi, gdzieś się zwalniało miejsce i potrzebowano kogoś, kto będzie wdzięczny za stanowisko. Litmanowicz znikł Jerzemu z oczu, ale ktoś komuś gdzieś i przy okazji napomknął, że w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej potrzebują redaktora. Ofertę złożył jeden z dawnych znajomych pułkownika albo znajomy znajomego, a może w ogóle nie było w tym Litmanowicza, tylko jakieś plotki. W nieznanach okolicznościach, w których Jerzy niczego nie próbował dociekać, pojawiła się okazja, aby jeszcze raz odbudować marzenia, żeby znów wskoczyć gdzieś w okolice szczytu i ponownie stanąć tam, gdzie rodzą się decyzje. Nie czuł w sobie takiej siły, po roku upokorzenia przemieszanego ze strachem sądził, że tak już zostanie, opadł z wiary, ale stało się samo, przyniosło świeżą myśl i rozdanie, oraz stare motywacje.

### 13

– Widzi pan, tu jeszcze tak surowo, ciągle się tu wiele organizuje. Na pocieszenie mogę powiedzieć, że wszyscy tak mają, taki standard – uśmiechnął się starszawy jegomość i nawet nie wiedział, że ze wszystkim spóźnił się o kilka lat. Niepotrzebnie tłumaczył surowość, Jerzy znał doskonale te same biurka i szafy, ten kącik na herbatę i kolory na talerzykach udających porcelanę, takie same spodeczki pod szklankami i identyczną maszynę do pisania. W znanej scenerii poczuł się jak u siebie, zyskał odrobinę dawnej pewności. Rozbiegane oczka i niedbale poskładane w przedziałek włosy małego, tęgawego człowieka też przypominały co nieco z minionych lat i portretów dawnych znajomych. Znalazł się w podobnym miejscu, wśród podobnych ludzi.

– Dziękuję, nie jest źle, wszystko jest, może nawet więcej. – Kiedyś już takie zdanie wypowiedział, przy uderzająco zbliżonych okolicznościach i zdecydowanie wyższej randze pomieszczenia.



– Pan nie może być taki skromny, tu się trzeba rozpychać, proszę pamiętać – pouczył starszy pan, pokazując odchylonymi łokciami ja się rozpychać. Starał się o dobroduszną poradę, ale widać było po nim, że życzliwości musiał się uczyć od niedawna, też wyglądał na odstawionego i postawionego w nowym miejscu.

– Dobrze, będziemy jakoś sobie radzić – bez przyczyny Jerzy powiedział „my”. Może wspomnienia ożyły i zobaczył w tym człowieku Litmanowicza z dawnymi wielkimi zadaniami.

– To na pewno, na mnie pan może liczyć, ja też jestem z tych, co ich już nie potrzebują. Ale tam! Wszystko się zmienia, już się zmienia – pan Staszek popatrzył porozumiewawczo, chciał powiedzieć, że jadą na jednym wozie i muszą się wspierać, gdy wóz wreszcie nabrał odpowiedniego tempa i kierunku.

– Czym właściwie będę się zajmował? – spytał głosem człowieka, któremu jest wszystko jedno, czym się ma zajmować.

– Kto to wie, tu nigdy nic nie wiadomo. Słyszałem, że do „Labiryntu” potrzebują świeżej myśli.

– Labiryntu? – nowy redaktor prosił o parę słów na temat.

– Taka seria wydawnicza, różne bajki i kryminały, nic wielkiego, pan przecież większe rzeczy zna, spokojna robota – starszy kolega znów spojrzał porozumiewawczo.

– Aha, takie historie trzeba będzie pisać.

Małe osłupienie pojawiło się na twarzy starszego kolegi. Miał powód, zdanie Jerzego Gduli nie mogło uchodzić za nic więcej niż rozbrajającą ignorancję. Wchodził w nową rolę, tak jak zawsze, nie mając wielkiego pojęcia, co jest grane. Orczyk!

– No nie...chyba, że będzie pan chciał, wtedy oczywiście wydamy – rozmowa zaczęła schodzić na absurdalny margines. – Normalnie redagujemy, co przyniosą, przyjmujemy, prawie nie odrzucamy, sprawdzamy czy jest właściwe – wyjaśnił drobiazgowo.

– Chyba się wygłupiłem, nawet na pewno, rozumiem już. Proszę wybaczyć, dawno nie robiłem czegoś normalnego – Gdula potrzebnie się tłumaczył, szczerością zyskał w oczach starszego kolegi, był pierwszym z przyniesionych w teczce, który nie udawał, że się zna. Zdarzają się takie sympatie od pierwszego wejrzenia i tak było z tymi dwoma odrzuconymi mężczyznami. Pan Staszek polubił Jerzego od pierwszego spotkania, a Jerzy uznał, że tego jegomościa trzeba się będzie trzymać.

– I tutaj też pan nie będzie robił – rzucił uśmieszek. – Ale rozumiem, wszystko rozumiem – padło kolejne spojrzenie: „wiem, o co chodzi”. – Proszę się, że tak powiem, rozgościć, jakby coś było potrzeba, proszę śmiało mówić, nawet nie prosić, tylko od razu mówić – szerokim gestem dodał pan Staszek.

– Dziękuję bardzo. Tak prawdę mówiąc, nie wiem czym mam się teraz zająć, te książki gdzieś trzeba odbierać, gdzieś mam się zgłosić?

– Teraz niech pan się rozgości, na początku nic nie będzie, telefony proszę odbierać. W szafie są jakieś pozycje, już wydrukowane, może pan przejrzeć. Jak coś będzie, podeślą, może nawet ja sam. Pan już z szefem rozmawiał? – zerknął spode łba i wy dobył z siebie grymas podobny do uśmieszku, bo na uśmiech było za brzydkie i zbyt sztuczne.

– Nie, niestety, dziś nie. Od razu z panem i tylko z panem rozmawiam – Jerzy odpowiedział, licząc na dalsze wyjaśnienia.

– To ja wiem, dziś szefa nie ma, myślałem, że pan wcześniej może, ale nieważne. Szef prosił, by się panem zająć, znaczy wszystko załatwione – uspokajał. – Pójdę już, coś tam muszę dłużyć, niech się pan nie przejmuję, nie ma strachu, tylko rozpychać się trzeba. Gdyby co, pytać o Staszka Legowicza – na pożegnanie znów pokazał łokciami o co w życiu chodzi.

– Dziękuję raz jeszcze – powiedział Jerzy odprowadzając wzrokiem bardziej doświadczonego redaktora i zaraz w myślach dodał. – Dobrze, że się znów przedstawił, całkiem zapomniałem

jak się nazywa. Swoją drogą, kto tak mówił? „Pytać o Staszka”, „pamiętaj, na Staszka można liczyć”? Minz! Gienek Minz, no, ale tamten był dowcipny.

Były sędzia i kapitan znów rzewną myślą wracał do starych czasów, nawet jeśli to konkretne wspomnienie i nazwisko nie było przyjemne. Ugościł się według życzenia pana Staszka, a cała śmiałość w nowym miejscu ograniczyła się do rysowania palcem bliżej niezidentyfikowanych obiektów na blacie biurka. Nie nudził się, tylko nie wiedział, co ma ze sobą począć, obrazki znał i obawiał się powtórki z przeszłości. Bał się dotykać maszyny, parzyć służbową herbatę, przestraszył się telefonu i nawet nie wiedział, gdzie w tym miejscu znaleźć wątlej urody sekretarkę, skłoną wybaczyć wiele i każdemu mężczyźnie, który poświęci jej odrobinę uwagi. Odwrócił się i rozejrzał wokół siebie, na dłużej zatrzymał się przy szafie, gdzie miały się znajdować gotowe produkty tej fabryki, której świeżo przyjęty pracownik jeszcze nie wiedział, co do czego. Zamierzał sięgnąć do magazynu, gdy nagle zadzwonił telefon.

– Kapitan Gdula – zameldował jak należy w połowie drogi od ucha od telefonu i zanim przyłożył słuchawkę.

– I widzi pan, już jest dobrze, już jest dla pana robótka – odpowiedział prawie znajomy głos.

– Tak?

– Będzie jutro, przyjdzie taka jedna poważna autorka, kryminał przyniesie – głos kontynuował optymistyczną narracją, ale nadal pozostawał głosem.

– Przepraszam, a kto mówi? – spytał Jerzy.

– Staszek z tej strony, Staszek Legowicz – dodał po chwili już rozpoznany przyjaciel redaktora Gduli.

– Oczywiście, teraz poznaję. Kryminał? No dobrze, będziemy walczyć – padła spokojna odpowiedź człowieka, który starał się uwierzyć, że robi coś poważnego oraz zna się na tym, co robi.

– Do jutra zatem i proszę uważać z tym „kapitanem”, mnie nie przeszkadza, jednak pan sam rozumie, że, no, wie pan o co chodzi. Pozdrawiam.

Jerzy chciał się wytłumaczyć, ale nie było komu, usłyszał trzask słuchawki. „Kapitan” dotarł do niego dopiero wtedy, gdy padły dobre rady Legowicza.

– Nawyk silniejszy od człowieka – tłumaczył się w duchu, chociaż nie do końca było uzasadnienie dla zachowania, minął rok, odkąd był tylko cywilem. – Musiałem wyjść na kretyna, dobrze, że na pana Staszka trafiło.

Minęło sporo długich miesięcy, odkąd kapitanowi odebrano mundur, w tym czasie pracował już w zupełnie innym, cywilnym rygorze, jednak te wszystkie sprzęty, klimat i podobny zapach starych murów, sprawiły, że odżyły szkodzące przyzwyczajenia. Pan Staszek, tak Jerzy od paru minut nazywał starszego jegomościa i postanowił, że już panem Staszkiem zostanie, wyglądał na takiego, który się troszczy, chciałby się chyba zaprzyjaźnić. Nie wiadomo tylko, skąd ta ochota?

– Darowanemu przewodnikowi nie będę w zęby zaglądał, innego nie mam, z tym trzeba wprowadzić się w robotę .

Wstępne, porządkujące myśli i relacje redaktor Gdula już poupychał na właściwe miejsca. Ucieszyła też informacja o pierwszym zadaniu. Kiedy brał coś na barki, inaczej niż wielu czuł się lżej, nie lubił takiego czasu, gdy nie wiadomo czym się zająć, w takich chwilach był nieswój. W pracy należy pracować, tego nauczył się dawno, w dalekim kraju, wtedy to było koniecznością, walką o życie. Szacunku do roboty nie umiał zapomnieć, tym bardziej się wyzbyć. Była to jedna z tych rzeczy, której nie wymazał z pamięci, mimo że całe czasy i ludzi potraktował bezlitośnie. Od pierwszego dnia wydawało się, że miejsce jest bardziej odpowiednie od poprzedniego, żadne wielkie rzeczy, jednak więcej w tym bezsensie sensu i w beznadziei – nadziei. Przynajmniej stanowisko przedstawiało się dostojnie: Redaktor Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Już nie te decyzje i wpływy, jakie

sędzia i kapitan Gdula miał w swojej gestii, ale zdegradowany cywil, Jerzy Gdula, pamiętał, że jeszcze wczoraj był likwidatorem szkód w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń i żadnego dostojęstwa w tym znoju nie zaznał. Swoją obecną sytuację nadal traktował jak degradację, lecz cieszył się, że zakończył czas upokorzenia. Dostał awans bez najmniejszych zabiegów, nie starał się o nic, tym chętniej uznał swoje położenie za nienajgorsze i być może początek czegoś lepszego. Z drugiej strony – żadnego oszołomienia, był przytomny, nie liczył na dawne zaszczyty, chyba nawet bałby się powrotu na samą górę. Pod szczytem było bezpieczniej, z samej góry już spadał i wiedział, jak upadek długo się goi. Zdarzył się pierwszy raz od pamiętnych czasów, kiedy był prawie kimś. Z tej okazji powrót do domu wyglądał inaczej niż przez ostatni czas, gdy był nikim. Początek nowej pracy przypominał niejasne zajęcie, ale wypadł obiecująco. Redakcja to nie ubezpieczalnia, redaktor to nie likwidator szkód, czyli po prostu sprzątacze, zbyt wcześnie, aby uczcić awans, ale pora najwyższa przestać się pogłębiać. Złapał oddech po długim pobycie na dnie, odbił się i od razu usiłował odetchnąć głębiej, swobodniej, poczuć radość z życia na powierzchni. Niczego jeszcze nie wiedział, nie znał wyspy, na której zamieszkał, ale cieszył się, że stanął na suchym lądzie i wszystko wskazywało, że stoi na dwóch nogach, które nie uginają się w kolanach.

Pierwszy dzień na lądzie już odbębnił, nic konkretnego jeszcze nie zrobił i dlatego, gdy wyszedł z redaktorskiego gabinetu, miał ochotę na coś innego, coś, czego nie robił nigdy albo zrobił bardzo dawno temu, coś odświętnego. Odpadło picie i wólcęga po mieście, przepadł obiad dla samego siebie w tym samym miejscu, co zawsze. Z każdym odrzuceniem starej rozrywki coraz trudniej było znaleźć oryginalną atrakcję, aż do chwili, gdy zobaczył autobus i w tym nie było nic nadzwyczajnego, poza jednym – wsiadł do nieznanego numeru i pojechał w nieznanym kierunku. Takie małe szaleństwo, dziecinada, jednak mimo wszystko odświętne. Przejechał kilka przystanków i nie wiedział, co dalej, mógł korzystać z pogody, był maj 1957 roku, słoneczny miesiąc, ale nie ciągnęło do bżów i nowalijek, pchało do człowieka, do wielu ludzi. Przed kolejnym przystankiem przez szybę zobaczył wielki neon „Kino Moskwa”.

– Niech będzie kino – szepnął do siebie, w każdym razie tak mu się wydawało i chyba miał rację, bo nikt nie spojrzał zdziwiony i w ogóle nie zwrócił uwagi. Podszedł do wielkiego gmachu, który przypominał wiele, ale najmniej kino. Budynek był ogromny z powodzeniem mógł pełnić rolę fortecy, w najgorszym razie garnizonu albo poważnego urzędu. Jedyne dwa rzeźbione lwy przed wejściem, również w kiczowato-monumentalnym stylu, wskazywały, że być może jest to obiekt, gdzie nie ma urzędników i żołnierzy, za to są kustosze i wielkie olejne obrazy. Dlatego wielkie, żeby się nie gubiły w ogromnym gmaszysku. Jerzy bywał już w takich miejscach, najbardziej zapamiętał rok 1955, kiedy znalazł się w największym z pałaców stolicy, wtedy i on czuł się wielki, a ten gigant był szyty na miarę jego poczucia wielkości. W kinie ostatni raz był przed wojną, z rodzicami, potem nie było okazji, ochoty, potrzeby, żył zupełnie innymi rozrywkami i obowiązkami. Przed forteco-gmachem zebrało się sporo ludzi, wszystko wskazywało, że zaraz rozpocznie się seans. Nim doszedł do drzwi, zaczęli go człowiek ubrany i wyglądający jak cwaniak.

– Pan szanowny się nie fatyguje, bilety wyszły – powiedział, jakby znał Jerzego z wojska.

– Jak: wyszły? – oburzył się bardziej na zachowanie i wygląd cwaniaka niż samą informację.

– Nogami to nie. Pan szanowny potrzebuje się rozerwać? – pytał tym samym bezczelnym, tubylczym językiem. Jerzy zignorował natręta, odwrócił się i ruszył do drzwi, szedł korytarzem i od razu usłyszał pierwsze narzekania odesłanych z kwitkiem kinomanów.

– Facet przed drzwiami wiedział, co mówi – pomyślał i dał sobie spokój z dalszym poszukiwaniem atrakcji.

– Pan szanowny wyglądasz jak dorosły Warszawiak, a zachowujesz się jak dziecko z Żyrardowa. Bilet jest do nabycia, dla szanownego pana drogo nie jest – tuż za drzwiami dopadł Gdulę ten sam arogancki głos, który przed chwilą nie bawił się w subtelności.

- Ile za bilet? – spytał i sam się sobie dziwił, że jeszcze rozmawia z odpychającym natrętem.
- Pan szanowny nie zadaje handlowego zapytania w miejscu dla kultury przeznaczonym, chodź pan dalej – prawie rozkazał, mimo wszystko Jerzy nie zrezygnował z zakupu i poszedł za typem w cwaniackim ubraniu i o cwaniackim głosie.
- Ile za ten bilet? – powtórzył
- Dycha.
- Dawaj pan! – Po tym, jak już zadał sobie tyle trudu, żeby tu dojechać i rozmawiać z opryskliwym typem, Jerzy nagle zamienił rezygnację na pragnienie. Jeszcze bardziej zachciało mu się odświętnego wydarzenia. – Jaki to film? – spytał dopiero po zakupie.
- Coś pan, z prowincji spadł? O powstaniu. Leć pan! Na kronikę się spóźnisz, „Kanał” pod tytułem, proszę ja szanownego klienta – odburknął po swoimemu.

W kinowej sali odbył się pierwszy egzamin miłośnika sztuki i kultury. Na bilecie wyszczególniono miejsce i rząd, tylko porządku w tym nie było żadnego, fotel z biletu zajął ktoś inny. Jerzy usiadł w jednym z ostatnich rzędów, gdzie zobaczył wolne krzesła i od razu zdziwił się, że najwyższa część sali pomieściłaby jeszcze całą grupę. Nie roztrząsał tego dłużej, coś mu świtało, że pewnie bilety nie sprzedają się tak pomyślnie, jak zakładali cwani handlarze przed gmachem. Pozostawił niepotrzebne myśli i zajął się świętowaniem.

Na wielkim ekranie pływały już enerdowskie i radzieckie okręty wojenne, zawitały do Gdyni. Odbywały się Dni Morza, opancerzone kolosy strzelały na wiwat, a Gduli odłamkami wracały wojenne wspomnienia. Desant morski na Gdynię nie ustawał, płynęły z ekranu słowa i z sali kinowej szepty, wszystko jedną flotyllą. Emocje zbierały się i kłóciły o siebie tak zawzięcie, że można się im było tylko poddać. Skojarzenia z dawna, doświadczenie tylko tu i teraz, po pierwszym wrażeniu, jakie dawała wielka sala, wszystko zastąpił biały ekran. Odplynęła armada, zniknęli admirałowie, pożegnani wzorową dykcją z przedwojennym „eł”. I z morza, niespodziewanie, głos przeniósł widza w powietrze, a tam oszczędność aeroklubu warszawskiego, który na jednym holu pociągnął cztery szybowce i nagle z przestworzy twarde lądowanie. Na ulicy Tykocińskiej 21 przykry, bo jeden z wielu widoków, góra śmieci i nie wiadomo co z tym zrobić. Nikt nie wie poza lektorem, on ma recepty na wszystko i podpowiada, tak samo jak karcic potrafi najlepiej. Czy nie ma na to żadnej rady? Czy w Warszawie będzie porządek? Czy przestaną wylewać szamba i jak długo będzie to trwało? Zabrakło czasu na odpowiedź, lektor z tonu karcącego przeszedł w ton optymistyczny i przeniósł widzów do miejscowości Świerk, gdzie buduje się pierwszy w kraju atomowy reaktor na licencji radzieckiej. Za chwilę z izotopów popłynie prąd. Tymczasem rzeźbiarz Stanisław Sikora wykonał dla parku w Dąbrowie Górniczej serię rzeźb i park stał się podobny do ludzi, tylko ludzie jak posągi. Inna ludowa artystka zrobiła wiele miniaturowych laleczek wielkości paznokcia, widziała je Francja i Stany Zjednoczone, zobaczy Moskwa. W Baden Baden odbyły się wybory Miss Europa. Lektor powstrzymał się od komentarzy, pozostawiając osąd widzowi. Wygrała Holenderka i nie był to najgorszy wybór. Panowie do fryzjerów, teraz nowy krój włosów i paniom nie ujdzie na sucho, fryzura typu kogut najmodniejsza z modnych. W krakowskich zawodach przeskoczyliśmy, prześcignęliśmy i przerzuciliśmy naszych przyjaciół z Czechosłowacji. Trzy rekordy i zdecydowana przewaga. Dzieje się też sporo w motoryzacji, w rajdzie wygrał Longin Bielak z Warszawy, w motocyklowym crossie Żurawicki i Paluch tylko brali udział i nic więcej lektor o nich nie powiedział, za to kpił ze stanu naszych dróg porównanych do trasy crossowej z NRF, gdzie odbyły się zawody.

Koniec kroniki, ozdobiony hymnem muzycznym, chwila przerwy i z ekranu słychać niewidzialną maszynę do pisania wystukującą nazwę filmowego zespołu „Kadr”. Po ostatniej czcionce i dźwięku zastąpionym wieszczącą dramat muzyką, ukazał się złowrogi napis: „Kanał”. Dziwnie rozpoczął się film, podobnie, jak kronika, narrator przedstawił bohaterów i już na wstępie zapowiedział, że wszyscy muszą zginąć. W pierwszym kadrze

nazwano po imieniu i skazano na śmierć bohaterów, bez wspomnienia, że są bohaterami. Narrator zaczął od dowódcy – porucznika Zadry i dalej według hierarchii, od dzielnych wojaków, aż po artystę pałętającego się w cywilnym ubraniu. Obraz zrujnowanej Warszawy, biegający bez wiary, groteskowo ubrani powstańcy, wszystko razem wzbudzało w Jerzym uczucie politowania, nawet nie litości, ale właśnie politowania. Rozejrzał się po sali i obserwował skupione twarze, które rozbłyskiwały wraz ze światłem rzucającym z ekranu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ci wymyśleni ludzie wywoływali na dziwnych, rozświetlanych obliczach, tak wielkie skupienie i wzruszenie, wręcz religijne uniesienie. Podobne miny i wyrazy ostatni raz widział w synagodze. Nie rozumiał widzów i nie chciał poznać historii opowiedzianej przez narratora, a później przez samych utapianych w odchodach bohaterów. Po zgliszczach i kanałach biegła grupka obszarpanców, których kolejno odstrzelili Niemcy lub zabijali się sami, ostatniego wykończył sam porucznik Zadra.

– Dlaczego oni ich tak pokazują? – Zastanawiał się i nie potrafił doprecyzować, kim są oni i jak właściwie ich pokazują? Tamci z ekranu jeszcze kilka lat temu dostawali wyroki za zdradę, przechowywanie broni, której nie mieli, odmawiano im obrońców i traktowano jak zbrodniarzy. Teraz ktoś nakręcił ten irytujący film, ktoś rehabilituje zdrajców, pokazuje więźniów Mokotowa, bikiniarza i Stafieja, jako dzielnych i wspaniałych. Jerzy nie wiedział, co się dzieje, w jakiej rzeczywistości się znalazł, choć minęło sporo czasu, wystarczająco wiele, żeby się oswoić z nowym porządkiem starego ładu. Słyszał już o rehabilitacjach prawie wszystkich skazanych, których osądził, ale ci filmowi bohaterowie i ci wierni w kinie napawali go obrzydzeniem. Przymierzał się, by wyjść z sali, ale powstrzymał się tuż przed wyrokiem jaki wykonał porucznik Zadra na żołnierzu-kronikarzu. W tej jednej scenie sędzia Gdula rozpoznał swoje o tamtym czasie wyobrażenia.

– Tacy właśnie byli obszarpani bohaterowie, zabójcy, żałośni łachmaniarze – rzucił w myślach krótką recenzję. Gdy na płótnie pojawiły się fruwające po gruzach kartki, wcześniej wytrząśnięte z teczki kronikarza, nie wytrzymał, wyszedł jak oficer, nie zwracając uwagi na wszystkie odwrócone głowy, patrzące na niego niczym na wroga i innowiercę zarazem. Chciał stamtąd uciec jak najszybciej, by dłużej nie brać udziału w czymś, czego nie mógł i nie chciał rozumieć. Przy wyjściu odwrócił się raz jeszcze w stronę ekranu i zobaczył, że egzekucja była ostatnią istotną sceną filmu, nie licząc beznadziejnego schodzenia do kanału, gdzie reżyser bez litości wysyłał porucznika Zadę.

Wizyta w kinie nie przyniosła niczego odświętnego, przeciwnie, odgrzała stare czasy, ale w taki sposób, że pogrzebała sens i wielkość tego, co minione. Jerzy nie umiał się odnaleźć w takim świecie, gdzie ludzie, których oskarżał, zostali ekranowymi bohaterami. Nic mu do siebie nie pasowało, wszystko wyglądało na wielkie oszustwo, na kłamstwo, przecież on wie, jak było, zna akta wielu spraw, znał tych ludzi i ich zbrodnie. Pamięta wyroki i sentencje, pamięta, jak się zmagał z przeciwnościami, aby zamknąć najtrudniejsze sprawy, tylko zapomniał, że tamten czas nawet kadry rozliczyły jako wypaczenie i błąd niepojętej nadgorliwości z pogwałceniem wszelkich papierowych zaleceń. Jerzy prawie nie przebywał z ludźmi, kręcił się między urzędnikami. Teraz zobaczył pełną salę ludzkich namiętności, wzruszonych i skupionych wiernych, oniemiałych w religijnym przeżywaniu i w końcu dostrzegł twarze pełne złości, kiedy wychodził z kina, zanim skończyła się msza płynąca z ekranu. Nie potrafił zrozumieć, co się wokół niego dzieje, ale po tym seansie wreszcie i przynajmniej jedno do niego dotarło. Do tamtych wielkich czasów już nie ma powrotu, ludził się przez ostatni rok, że może jeszcze coś się odwróci i powróci, nawet Minz i znów będzie tak pięknie, jak było. W kinie – i nie na ekranie, tylko na sali – zobaczył, że ludzie myślą inaczej i chcą zapomnieć o przeszłości widzianej ponuro, o wszystkich sprawach bez prawa obrony i intuicyjnych wyrokach na bohaterów. Po drugiej stronie setki oczu patrzyło złym wzrokiem na wszystko, co było sądem i wszystkich, którzy byli sędziami bohaterów.

– Koniec z tym – powiedział do siebie – trzeba szukać nowej drogi do tych samych możliwości. Patrzeć pod nogi, aby znów się nie potknąć o ten sam kamień, nie uderzyć głową w ten sam mur, być jeszcze ostrożniejszym i jeszcze bardziej chcieć. Uszy i oczy dookoła siebie, żeby znów do pleców się nie dobrali. – Ucieszył się, że w kinie dał odpór, pokazał swoją wyższość, odszedł, by znów wrócić na wymarzoną stronę. Święto okazało się mało radosne, jednak Jerzy wyciągnął z tego dziwnego wydarzenia najważniejszą myśl, jakiej szukał długo.

– Trzeba jeszcze raz zacząć i tym razem być lepszym, zdobywać i już nie dać sobie wyrwać. Nieważne w jakim miejscu jestem teraz, najważniejsze, że znów chcę iść do przodu – powiedział tylko do siebie i dokładnie takiej energii potrzebował, aby porzucić dno i przyzwyczaić się do życia na powierzchni, gdzie można więcej.

14

Do gabinetu redaktora Gduli wszedł człowiek ubrany w najlepszy garnitur, miał już swój dojrzały wiek, wyglądał przystojnie, zachowywał się dostojnie. Przyprowadził ze sobą młodą kobietę, za dużo powiedziec piękną, nie była brzydka, krótko ścięte ciemne włosy, duże, bo szeroko otwarte oczy, sukienka z dekoltem już nieskromnym, ale jeszcze nie wyzywającym. Oboje weszli w doskonałych nastrojach, ona trzymała jakiś plik papierów pod pachą, on przepuszczał ją w drzwiach.

– Dzień dobry szanownemu koledze. Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać: Władysław Morawski, jestem kierownikiem w tym bałaganie. A to jest pani Ania Łozińska, nasza gwiazda literatury pięknie kryminalnej. – Kierownik zakończył swoją część prezentacji, po czym Jerzy zachowywał się nieporadnie. Zaskoczony niespodziewaną wizytą, nie wiedział, od kogo zacząć, komu pierwszemu podać rękę. Z pomocą przyszedł doświadczony, stały bywalec niejednego towarzystwa, kierownik Morawski. Zrobił krok w tył i stanął za plecami damy, aby pierwsza mogła przywitać redaktora Gdulę.

– Bardzo mi miło, Jerzy Gdula – podał rękę nieznanym i w ostatniej chwili powstrzymał się przed ucałowaniem dłoni, uznał, że to nie ten typ kobiety.

– Anka, miło mi – odpowiedziała z uśmiechem. Odsuwając się w bok, zrobiła miejsce dla szefa redakcji.

– Bardzo mi miło, Jerzy Gdula – zwrócił się do mężczyzny.

– Witam w naszych redakcyjnych progach. – Morawski przywitał się raz jeszcze i już po chwili zrobiło się nerwowo. Ekscytował się redaktor Gdula, patrzył na swoje krzesło i to, które stało trochę z boku, po drugiej stronie biurka. Nie miał pomysłu, jak ulokować swoich gości przy takim skromnym wyposażeniu. Zdołał wymyślić tylko tyle, że znów musi odprawiać jakieś modły nad siedzeniem w swoim własnym gabinecie.

– Ja tylko na chwilę, chciałem się przywitać i już uciekam. Pani Ania przyszła do nas z nową propozycją. Oddaję naszą gwiazdę pod opiekę kolegi! – rzucił uśmiechem we wszystkich kierunkach i wyszedł z biura, zostawiając Jerzego z niebrzydką kobietą w ładnej sukience. Krótka konsternacja i wreszcie redaktor przysunął krzesło bliżej biurka.

– Proszę usiąść – wydukał zawstydzony.

– Dziękuję. Jesteś tu nowy? – spytała bezpośrednio, bez najmniejszego zażenowania, układając nogi tak, jak zwykle czynią to skromne kobiety, ale było w tym geście coś ze swobody, coś poza dobrym wychowaniem.

– Tak, od wczoraj jestem nowy – odpowiedział tym samym niepewnym głosem i zerkał na kobietę, nieśmiało spuszczać i błędząc wzrokiem, za każdym razem, gdy spotkał jej spojrzenie.

– I jak ci się podoba?

– W porządku.

– Piszesz coś swojego? – trzymała rozmowę, widząc, że po drugiej stronie biurka nie siedzi człowiek wylewny.

– Nie, nie piszę – znów dukał.

– Szkoda, ja właśnie skończyłam tę rzecz – wskazała na maszynopis. – I sama już nie wiem, czy to się klei.

Zapachniało literackimi rozterkami, trochę w guście pensjonarki dzielącej się swoimi pamiętnikami. Podała gruby plik kartek, czyli papierzyska, z którymi nie wiadomo jak postąpić. Jerzy pomyślał o panu Staszku, ten by się teraz przydał, już, natychmiast by się przydał. Rozpakował teczkę i przeczytał stronę tytułową: „Sprawę przejmuje Kapitan Żyżny”.

– Sporo stron – skwitował, jak umiał.

– Rozumiem, potrzebujesz czasu, ale nie będziesz mnie dręczył tygodniami? – Głos miała sympatyczny, może nawet zalotny, zachowywała się dziewczęco, jednocześnie tak, jakby wszystko miała przemyślane i dopracowane.

– Dręczyć? Nie, skąd, dlaczego? – dał się uwodzić i nie przestawał wstydić.

– Proszę, żeby chociaż jedno słowo, jeszcze w tym tygodniu, gdyby się udało. Strasznie się boję, sama nie wiem, co mam już o tym myśleć, tyle razy czytałam i poprawiałam. Zresztą sam wiesz jak jest, człowiek traci dystans. – Anna do flirtu dodała porcję komplementów, szacunku dla znajomości rzeczy i prośby o łaskawość. Znała się na tym, jak wydać książkę.

– Jasne, wiem, jak jest. Postaram się – kwitował dyplomatycznymi, krótkimi zdaniami, nie wiedząc jaka właściwie jest jego rola. Co ma z tą stertą zadrukowanego papieru począć? Za co odpowiada i jakie jedno słowo ma wypowiedzieć, jeszcze w tym tygodniu?

– Świetnie, kochany jesteś – uśmiechnęła się szeroko i pomachała rękami. Anna Łozińska przekroczyła kolejny próg poufałości, ale i tym razem wyglądało, że podobne gesty miała wytrenowane. Należała do tych kobiet, które potrafiły sobie w życiu radzić, wykorzystując wszystkie kobiece uprzejmości. – Mogę zadzwonić? Może w czwartek?.

– Tak, może być w czwartek, postaram się – Jerzy trzymał się zdawkowego potakiwania, w duchu błagał o koniec tej rozmowy.

– To co? Nie będę zawracać głowy. Trzymaj się! Do czwartku!

Przechyliła się przez biurko, wylewając dekolty przed samym czołem redaktora, zrobiła to tak sprawnie, że nie miał szansy wstać i pożegnać się oficjalnie. Podała rękę siedzącemu i tym samym pożegnała się ostatnim wyćwiczonym ruchem, nie licząc dziewczęcego, radosnego zarzucania biodrami. Przyszedł wyblagany czas na odsapnięcie, umęczony rozmową z kobietą, nalał sobie wody z czajnika i wypił jednym haustem. Ostatnie kilkanaście minut było przeprawą i ledwie przez nią przeszedł. W jednej chwili musiał się zmierzyć z szefem, swoim nowym zawodem, o którym nie miał żadnego pojęcia i z kobiecymi mocami, co sprawiło mu największe bóle. Spojrzał na kartki maszynopisu i tak obudził dawne wstręty do czytania, cokolwiek było napisane i choćby nawet było książką jest paskudne. Jedno już wiedział, praca w redakcji będzie polegała na czytaniu. Co dalej? Miał nadzieję się dowiedzieć, wyznaczył nawet informatora, tylko jeszcze szukał pomysłu na wydobycie informacji. Pomóc mógł jedynie pan Staszek, ale Jerzy zapomniał, gdzie go szukać, może starszy jegomość wspominał coś, a może nie, w każdym razie w pamięci nie zostało nic z koniecznych namiarów, ani numer pokoju, nawet piętro.

Pamięć zajęły sceny z ostatnich rozmów, całą przestrzeń wypełnił dekolty gwiazdy literatury kryminalnej. W życiu Jerzego Gduli działo się wiele, głodny sławy pisarz potrafiłby zbudować z tego niejedną powieść, w każdym gatunku literackim z wyjątkiem romansu. W całym skomplikowanym zyciorysie, pełnym zaskakujących zwrotów, bohaterowi nigdy nie przydarzyło się nic, co przypominało miłość albo chociaż erotyzm. Wojna i praca, śmierć i władza, alkohol i samotność, tak wyglądało tło literackie Jerzego Gduli. Zaczynał rozumieć, co przeoczył w swoim pełnym ambicji pościgu, przeszedł obok, tak bardzo z dala, że nigdy nie brakowało miłości, a za erotyzm wystarczały ręce pod kołdrą.

Rozległo się pukanie do drzwi. Jerzy szybko wracał do siebie, przytomniał, musiał być gotów, nie wiedział kto go niepokoi, w redakcji nie mógł sobie pozwolić na zbyt wiele luzu, dopiero poznawał realia.

– Proszę! – prawie krzyknął, chciał się przebić przez już niechciane myśli.

– Witam pana, pozwoliłem sobie przyjść i spytać, jak wrażenia? Pan miał dziś nie byle jaką wizytę, sam kierownik i nasza gwiazda – pan Staszek nie umiał ukryć wścibskiego motywu wizyty. Jerzy nie zwracał uwagi na nic, poza wielkim szczęściem, jakie wraz z odwiedzinami stałego doradcy wpadło do redaktorskiego gabinetu.

– Faktycznie, nagromadziło się. Wie pan, wszystko jeszcze dla mnie nowe, powoli się przyzwyczajam – bardziej się tłumaczył niż dzielił wrażeniami z wizyty tak zacnych gości.

– Zrozumiałe, zrozumiałe. A pani Łozińska przyniosła coś ciekawego? – odpowiedział pośpiesznie i patrzył łapczywie na maszynopis rozrzucony na stole.

– O, widzi pan, taką książkę mi dała, o kapitanie... – odpowiedział nieporadnie. – Proszę spojrzeć – podsunął maszynopis w stronę gościa.

– „Sprawę przejmuje Kapitan Żyzny” – pan Staszek głośno odczytał tytuł i fachowo pokręcił głową. – Powinszować, wie pan, najgorzej z tymi tytułami, nigdy nie wiadomo. Autor do tytułu uwiązany najmocniej. Tu nie najgorzej, nawet może zostać. Ale co ja tu panu opowiadam, pan wie najlepiej – poprawił się zaraz.

– Nie ma problemu, dobrze wymieni opinie – Gdula naprowadzał rozmówcę na dalsze sugestie i wiedział, że ten się długo nie da prosić. Pan Staszek przerzucił kolejne strony, zatrzymał się na chwilę przy jednym fragmencie i cmoknął pod nosem.

– Ech, ta fraza. Widzi pan? – podsunął tekst, wskazując palcem na upolowany fragment, po czym odczytał, nie czekając na reakcję Jerzego: „Tropiąc mordercę Drobniakowej, spłoszył przypadkowo handlarzy, prawdopodobnie słoniną”. – No i co z takim pisaniem? Pan by puścił? – zwrócił się fachowo do kolegi.

– Ja? Miałbym wątpliwości... – W nowej pracy, w pierwszym rzędzie Jerzy zastosował starą urzędową gadkę, szablony okrągłych zdań, mowę-trawę, paplaninę, która nic nie mówi.

– A widzi pan i taka nasza robota. Prosi się wyciąć, samo się prosi, ale rusz pan, tylko pan rusz. Panie Jurku, ja panu coś powiem i niech się pan nie gniewa. Pan ma szczęście w nieszczęściu taką robotę dostać. Pan wie, że Łozińska z niejednego pieca kosztowała, bo to i szef, i naczelny „Życia”, pan wie, każdemu według potrzeb. I co tu redagować? Pauzę wstawić, przecinek domalować, resztę pochwalić, przybić stempel i do kasy. Tyle panu powiem – większość słów wypowiedział cichaczem, udawanym szyfrem.

– Jakoś to będzie, coś trzeba robić. – Redaktor Gdula ucieszył się ze wszystkiego, co usłyszał, wiedział już, na czym ma polegać korekta, lecz nie dawał żadnych sygnałów wdzięczności doradcy, który ratował mu redaktorski tyłek. Pan Staszek został potraktowany jak Chętki, sukcesy należy konsumować w samotności.

– Być – będzie, musi być – uśmiechnął się porozumiewawczo. – Chyba zapomniałem wspomnieć, że ja po sąsiedzku, przez miedzę z panem, po drugiej stronie korytarza, przy oknie ostatnie drzwi – gadał i gadał, zamiast po prostu podać numer pokoju. – I telefon do siebie panu zapisałem, jakby co. Uroczystym gestem wręczył przygotowaną wizytówkę.

– O, dziękuję! Na pewno się przyda. Mówi pan, że autorka... – zabrakło właściwego słowa i tym gorzej się stało, Legowicz natychmiast nastawił uszu, takie tematy uwielbiał, kto z kim, komu o czym. – Obrotna – padło po chwili i nie zabrzmiało dobrze.

– Obrotna? Oj tak, obrotna – uśmieł się niemało. – Mówię panu, nie warto za dużo, przecinek, pauza, gwiazda stołecznego formatu, pan rozumie – starszy kolega powtórzył porozumiewawcze gesty i szept.

– Jasne, nie kreślić dzieła – Jerzy podsumował, jak najbardziej poważnie.

– Pan wybornie powiedział, akuratnie – roześmiał się szczerze, rozumiejąc słowa Gduli zupełnie inaczej niż poważnie. – Ale! Tak do rzeczy, ja to lubię ołówkiem korektę robić.



Zawsze można jeszcze raz przemyśleć, zmasać, wygodniej jest – udzielił kolejnej wskazówki, na jaką może sobie pozwolić doświadczony kolega po fachu.

– Dobra myśl, skorzystam na pewno – redaktor Gdula zaczął zbierać kartki, co w połączeniu z tonem ostatniej wypowiedzi dało zamierzony efekt.

– Idę do swoich spraw. Dzwonić proszę, jak tylko będzie potrzeba – pan Staszek zrozumiał aluzję zbudowaną na gestach, bratersko pokiwał głową i odszedł w stronę drzwi.

– Oczywiście chętnie skorzystam z rady, wszystko jeszcze nowe.

Dobrym słowem pożegnał się Jerzy z człowiekiem dostarczającym informacji, nie był mu już i na razie potrzebny. Po wizycie wiedział więcej, usłyszał niezbędne wskazówki i jeszcze trochę więcej, czego już słyszeć nie chciał. Utkwiły uwagi na temat Anny i złapał się na tym, że chyba pierwszy raz mówił o jakiejś kobiecie, myśląc o tym, jak ma na imię i że w ogóle jest kobietą. Były sekretarki Minza i Litmanowicza, sąsiadka z dziećmi, ale one miały funkcje i stopnie, imiona tylko po to, by najkrótszą drogą odróżnić urzędniczki i koleżanki z pracy, sąsiadki rozpoznawać nie musiał, była jedyną, którą znosił i fantazjując zapraszał na randki. Dziś pojawiła się Anna, miała tylko imię, bez stopnia i była pierwszą kobietą, chociaż wcale jeszcze jej nie było. Pierwsza kobieta i pierwsze zachowania, wcześniej nieznanne, lekceważąco pomijane. Jerzy nie myślał o tym, co ma do zrobienia, z kim się oficjalnie zaprzyjaźnić, kogo wykorzystać, jak się zachować jutro, żeby nie przepaść na zawsze, myślał o kobiecie Annie.

– Głupie gadanie – zwrócił się do swojej opinii sprzed kilku chwil. – Ona nie jest „obrotna”. Wie, czego chce, jest taka jak ja, jesteśmy podobni, nie tacy sami, ale bardzo podobni. Trzeba się zebrać, w czwartek na pewno zadzwoni. Byle nie wyjść na głupka, czeka na mnie, na moją robotę. – Czuł, że musi zrobić coś dla kogoś i od razu z wielką gorliwością przyłożył się do zupełnie nowego zadania. Nie myślał o swoim celu, wyczuwał pragnienia kobiety Anny. Pionierskie wyzwanie i nieznanne uczucie, uciekające od myślenia.

W redakcji zdążył odczytać kilka zdań i nie zauważył w tekście „frazy”, jaką zarzucał autorce pan Staszek, w ogóle niewiele widział. W domu bez reszty oddał się lekturze. Do wszystkich rzeczy, które zdarzyły się od wczoraj po raz pierwszy, dorzucił jeszcze jedną nieznaną rzecz. Nigdy dotąd nie spędził nad drukiem tak wiele czasu, nie pozwalając sobie na przerwę. Czytał od popołudnia do późnej nocy, trzymając ołówek w ręku, ale korekty używał ostrożnie, poprawiając literówki i te słowa, które wydawały się niezłe i dlatego nie pasowały do ideału. Treści nie dotykał w najmniejszym wymiarze. Chłonał zdania, mimo że jakość tekstu pozostawiała same życzenia o ślad, cień literacki. Nawet mało ambitne wydawnictwo musiało odrzucić maszynopis po kilku początkowych stronach, dla spokoju sumienia i potwierdzenia oceny, przeglądając karty w środku i na końcu ramoty. Przeciętne wydawnictwo i niewiele oczekujący redaktor nie dostrzegłby w tych ciężko budowanych opisach i dialogach żadnej nadziei na talent albo chociaż umiejętność. Jerzy był ambitnym redaktorem, pozbawionym umiejętności i wiedzy w swoim fachu, jednak przede wszystkim czytał tekst Anny dla Anny. W tych warunkach nie mógł widzieć, czego redaktor nie mógł nie widzieć. Każde zdanie brzmiało jej głosem, Anna czytała tekst Jerzemu i wszystko wyglądało jak należy. Zdania kalekie, nieporadne, sztubackie i grafomańskie. Zdanie: „Czy mordu nie mogła wykonać Klara Susłoć, niewiasta ponura jak noc i silna jak mężczyzna?” – brzmiało głosem Anny i nie wymagało żadnej poprawki. Opis bohatera: „Każda doba, każda minuta, którą podejrzany, a może niewinny człowiek spędza w chłodnej celi, rani jego milicyjne sumienie” – był perfekcyjny. Słowa: „którą”, „rani”, szczególnie przykuwały. Nigdy dotąd nie słyszał, aby kobieta tak czytała, tak mówiła i drrrrzała, w idealnej proporcji. Tyle drżenia w „r” ile trzeba, ledwie słyszalne i przez to tak doskonałe. Jerzy samodzielnie nie potrafił przeczytać jednego akapitu, gdyby chociaż tyle mógł, gdyby spojrzął na te słowa, zamiast ich słuchać, ujrzałby protokoły pisane przez byle Edytę: „Dziwne zatroskanie jak na łotra, który wali oficera milicji boczkiem po głowie”. W tym topornym stylu nie widział

grafomańskiej śmieszności, nie dostrzegał nieudolnych słów, on usłyszał słowo „lotrr” i przepadał, zapominał o czytaniu, wcale o nim nie myślał, przecież czytać nienawidził, pokochał słuchanie. Połowy rękopisu wysłuchał w ciągu jednego kawałka dnia i części nocy. Równo odmierzona połowa przyszłej książki i dopiero wtedy zasnął, ale nie nad tekstem, poskładał kartki i w całości, delikatnie odłożył w bezpieczne miejsce.

W środę w nocy było już po wszystkim, książka wysłuchana od deski do deski, pracy redaktorskiej tyle, by nie narazić się na zarzut brakoróbstwa, niewielkie poprawki w literach i znakach, czasem pojedyncze słowa, niekiedy szyk zdania, bez ruszania głębiej. Korekty wykonanej w dwa dni nie można traktować redakcyjnie, nawet poważnie. Jerzy nie miał żadnego doświadczenia, jednak intuicyjnie podejrzewał, że podobny proces musi trwać, żeby nie robić sobie kłopotu i wyglądać na fachowca. Ustalił już, że poprawki nazwie wstępnyimi, takimi „z grubsza”. Redagowaniem nie był przejęty, zależało mu na czymś innym, aby pokazać Annie, że przeczytał całość i jest zadowolony, nie widzi przeszkód, co więcej wyraźnie dostrzega powody, aby stał się druk.

## 15

Roboczy scenariusz z nocy wstał razem z Jerzym w czwartek rano, kiedy w ciągu dnia miała zadzwonić Anna Łozińska. Dzień zaczął od golenia z większą niż zwykle dokładnością, z nadmierną obfitością płynu po goleniu. Na krześle wisiała po wojskowemu wyprasowana i ułożona koszula, dla pewności dwa razy wyprana. Przed lustrem włosy układały się w tempie zadziwiającym lustro, tak misternie wymodelowanych fal jeszcze nie widziano. Wypastowane buty, nowe spodnie, wyczyszczona marynarka, całość bez krawatu, żeby nie usztywniać. W cywilnym umundurowaniu, z maszynopisem w rękę i scenariuszem w głowie, przyszedł do pracy, by przywitać się z telefonem, podnieść słuchawkę i sprawdzić czy każdy szczegół scenariusza na pewno zadziała, żeby nie było jakiegoś głupstwa, które wszystko popsuje. Przygotował się do wizyty jak do spotkania we dwoje, a miał tylko odebrać telefon i mówić, nie musiał wyglądać i w ogóle czegokolwiek poza głosem recenzji prezentować. Maszynopis ostrożnie odłożył na stole i sięgnął do szafy, czego zapomniał zrobić w poniedziałek, wówczas plany się zmieniły wraz z wizytą pana Staszka. Chciał wypełnić sobie oczekiwanie, wiedział też, ponieważ całkiem nie odstąpił od myślenia, w tym troski o siebie, że powinien przynajmniej zobaczyć, jak wygląda gotowy produkt. Otworzył pierwszą, wyjętą z brzegu szafy książkę. Pstrokata okładka przedstawiała nic, rozrzucone punkty i kreski. Przy bardziej wnikliwym wypatrywaniu czegoś, nic przypominało zarys parowozu, bardziej naprowadzał na lokomotywę tytuł niż grafika: „Następny odchodzi 22.25”. I ta informacja, umieszczona na dole okładki niespecjalnie rzucała się w oczy, ani czytelnika na kolana, za to nazwisko autora przytłaczało – Piotr Guzy odmalowany ogromną czcionką. Jerzy przyglądał się tytułowej stronie i już po pierwszym kontakcie z książką wiedział, co o niej sądzić. Nie podobała się, nic się nie podobało, oprawa wyglądała fatalnie, zatem środek nie mógł być lepszy. Przekartkował niechętnie i ledwie zerkał na spisane słowa. Zrecenzował błyskawicznie, obok wcześniejszego zamiaru pobrania nauki, porównania, poszukania jakiegoś odniesienia do swojej pracy, którą dopiero poznawał. Zatrzymał na chwilę wzrok przy małym fragmencie: „Szedł w kierunku dworca. Pociąg powinien być już podstawiony. Lepiej tam jeszcze nie wchodzić: zaczeka na zewnątrz. Stał przy kiosku z papierosami i rozejrzał się wokoło. Odjeżdżały i przyjeżdżały taksówki. Z ulicy dochodził turkot tramwajów”. Uśmiechnął się z politowaniem, czytając te niezbyt porywające, jednak poprawne zdania, zobaczył nagromadzenie zbędnych informacji, dłuższyny i treść ledwie udającą napinanie emocji bohatera. Usiłował odnaleźć maszynę do przetworzenia zapisków w wydanie, zamiast tego porównywał przeczytane słowa z wczorajszymi, które usłyszał, i w porównaniu dostrzegł przepaść. Zdania Anny brzmiały czysto, wyrazy niejakiego Guzy

wyglądały marnie, bez polotu i tych głośnych metafor, piętrowych porównań, jakich używała Anna. Frazy Guzy nie układały się w żaden wątek, słowa Anny opowiadały podniecającą historię.

– Może zecer był pijany, na pewno autor pozbawiony talentu. O właśnie! Fraza! – siląc się na dowcip podsumował dzieło wyjęte z szafy. Do książki załączono jakiś artykuł, w którym autor zawarł recenzję. Marek Hłasko pisał i podpowiadał Jerzemu, że nie jest tak źle, że o to w literaturze tego czasu i wydawnictwie MON chodzi: „To pierwsza, choć jeszcze niezbyt udana, nie pozbawiona naiwności i uproszczeń, próba pokazania pracy naszego Bezpieczeństwa. Ta ciężka i żmudna praca znalazła dotychczas zaledwie znikome odbicie w literaturze”.

– Co ten facet ma do powiedzenia? Tego się nie da czytać! – oburzał się na opinię sprzeczną z uczuciami, jakich doznawał, rozpoznał i natychmiast pielęgnował. Nie zastanawiał się chwili co robić. Musi trzymać się na powierzchni słów Anny zamiast dyskutować z nurtem wyrazów przywiezionych parowozem. Jerzy uśpił wszystkie instynkty, które kiedyś pomagały zdobywać zaszczyty i ratowały przed porażkami. Mogło się dziać wiele rzeczy i każda z nich zaskakiwać, ale nigdy nie było mowy, żeby myśleć inaczej niż o sobie. W literaturze nazywano ten stan utratą instynktu samozachowawczego, Jerzy literatury nie znał, zapoznał się z maszynopisem i czymś, co z jakichś względów, niezrozumiałych dla przeciętnego czytelnika, zostało wydrukowane. Poznał karykaturę pisania i nieudolne wprawki literackie, w tym zestawie wybrał rzecz beznadziejnie słabą, stawiając zupełny brak umiejętności pisania ponad grafomanię. Podobne analizy czy też ich brak, nie zdarzały się nigdy dotąd. Zawsze precyzyjnie układał myśli, budował racjonalne plany i dzięki nabytym umiejętnościom zdołał wejść wysoko. Spadł boleśnie aż na dno, lecz tej degradacji nie mógł przewidzieć tym bardziej zaradzić. Teraz grały emocje, być może najsilniejsze, uformowane w uczucie. Jerzy czuł, że coś się dzieje między nim i maszynopisem Anny. Poświecił się temu w stopniu bezmyślnym, stracił rozum dla zapisanych kartek i nie mógł się uwolnić od braku myślenia, które odrzucało każdą pożyteczną ostrożność.

Telefon milczał, co chwilę testowany podnoszoną słuchawką. Jerzy robił się coraz bardziej nerwowy i rozczarowany, do dwunastej jeszcze zachowywał spokój, po południu w panice zaczął rozważać najgorsze.

– Co będzie, gdy nie zadzwoni, przecież obiecała – wyrzucał sobie i jej. Redaktor denerwował się i czekał na telefon od autorki, podobne dziwactwa nie zdarzały się często, o ile miały miejsce kiedykolwiek. Kolejny z objawów, który mógł niepokoić, gdyby został przez Jerzego zauważony. Jednak on nie widział najbardziej wyrazistych ostrzeżeń, wszystko słyszał i czuł, i w tym nowym postrzeganiu gubił myślenie, przestał podejmować decyzje, oczekiwał zdarzeń, które staną się same. Każdy, kto znał Gdulę, musiał zauważyć radykalną zmianę na gorsze i skierować znajomego na lepsze, ale nikt go nie znał, starych znajomych już nie było, nowi dopiero się pojawiali. Nie umiał sam sobie poradzić ze zmianą i nie miał nikogo, kto mógłby i potrafił powiedzieć, co się wokół niego i w nim samym dzieje. Maszynopis, w chwili gdy został złożony, musiał stać się książką, z tym redaktor Gdula walczyć nie powinien, zachowując wszystkie dawne instynkty. Wiedział, kim była autorka i kto za nią stoi. Wybrał właściwe rozwiązanie, tylko kiepską metodą, należało poznawać fach, kalkulować, inteligencją ściagać brak wiedzy, co przecież dawno ustalił i konsekwentnie się trzymał, dopóki dekolt nie zasłonił planów. Biust i mówiący Anną maszynopis pozbawiły Jerzego zdolności analizy oraz instynktu. Stało się tak, ponieważ poznał uczucie silniejsze od wszystkiego, z czym dotąd lepiej lub gorzej sobie radził.

Telefon nadal milczał, uczucia przepłoszyły myśli i w takim beznadziejnym stanie siedział z głową bezradnie wetkniętą w kartki. Anna nie odezwała się do piętnastej, pozostała godzina nadziei, że autorka jednak zaszczyci redakcję swoim telefonem. Oczekiwanie stało się więcej niż męczące, sprawy przybrały obraz pasji i desperacji. Jerzy był wściekły

i przygnębiony, odbierał milczenie jako zniewagę, upokorzenie, lekceważenie i – co najgorsze – brak zainteresowania nim samym i tym, co się z nim działo. Ostatnią dolegliwość znosił najciężej, wszystko inne gotów był zapomnieć i wybaczyć, brak zainteresowania chciał pamiętać i dręczyć się pamięcią. Przychodziły do głowy cherlawe pomysły, miał ochotę wybrać się do kierownika redakcji i pytać, gdzie może znaleźć pisarkę. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do „Życia”, aby znaleźć Annę i usłyszeć jej głos, ten sam, który przez ostatnie dni czytał zdania książki. Myślał o panu Staszku, który wie prawie wszystko, zapewne i to, gdzie szukać Anny. Na jego szczęście wszystkie kalekie projekty pozostały tylko niedokończonymi impulsami, żadnego z głupstw nie uczynił, bezbrinnie oddał się oczekiwaniu.

Skończył się czas pracy, nikt nie zadzwonił, nie odezwała się jednym słowem najważniejsza osoba – kobieta Anna. Jerzy ostatni raz podniósł słuchawkę i sprawdził czy złośliwy aparat działa, odprawiał te modły tak wiele razy, że kolejna próba nie służyła niczemu, dającemu się nazwać rozumnym, wykonał gest z pogranicza natręctw. Odłożył słuchawkę, wgniatając ją w widełki, i nim zdążył nacieszyć się zemstą, nim odstawił dłoń, telefon ożył. Zadrżał i wydał dźwięk, tak wyraźny, że Jerzy odruchowo, błyskawicznie przyłożył słuchawkę do ucha, jakby chciał zapobiec jakiejś tragedii.

– Słucham – powiedział najkrócej, jak można. Zawahał się chwilę i dodał – Jerzy Gdula.

– Uff, nareszcie! Jurek, cały dzień do ciebie dzwonię i cały czas zajęte – to była Anna, nie musiała mówić kim jest, to była Anna. – Anka Łozińska z tej strony – dodała głosem, który musiał ją wiele kosztować, mówiła spokojnie, z sympatią, zupełnie inaczej niż sądziła.

– Zajęty? Nie, niemożliwe, przecież... – chciał powiedzieć o niezliczonych testach, w ostatniej chwili zrezygnował z wyjawienia własnej śmieszności.

– Ale poważnie! Dzwonię chyba ósmy raz. Dopiero pomyślałam, że może na koniec pracy zadzwonię, to będziesz wolny i tak się udało. Cały czas zajęte było, cały czas – zapewniała ukrywając poirytowanie.

– Dziwne, może coś w centrali, trudno powiedzieć – tłumaczył się nieporadnie, lecz powoli zaczynał rozumieć co się stało.

– Może i tak, ale ja ci głowę po pracy zawracam, może jutro zadzwonię, pewnie się śpieszysz do domu? – W pytaniach i uprzejmościach było więcej prośby i zabiegów o rozmowę niż autentycznej troski o rozmówcę.

– Nie, nie śpieszę się, nie mam żadnych planów – odpowiedział bez namysłu.

– Tak? A nie miałbyś ochoty wpaść do Nowego Światu? Zapraszam na kawę, ja stawiam

– uśmiechnęła się do słuchawki, czekając na właściwą odpowiedź, ale od dłuższej chwili w telefonie nie było słyhać nawet oddechu. – Halo! Jerzy? Jesteś tam? – lekko przerażona sprawdzała obecność, w końcu ważył się druk jej wielkiego dzieła, w dodatku zajmował się tym nowy człowiek, którego nie była pewna.

– Tak... – odezwał się zmieszany mężczyzna, zaskoczony propozycją. Wszystko, na co było go stać, to potwierdzenie, że ciągle tkwi przy aparacie.

– W takim razie świetnie, bardzo się cieszę. Może być o piątej? – uznała „tak”, za przyjęcie zaproszenia, a może celowo biegła na skróty, widząc nieporadność redaktora.

– O piątej? – spytał, nie wiedząc po co. Musiał coś odpowiedzieć, dlatego dowiadywał się o rzeczy najprostsze, nie umiał się zachować.

– Za wcześniej? – prosiła o tę godzinę albo jeszcze szybszą.

– Dobrze, może być o piątej – w końcu odważył się na więcej słów i decyzji.

– Wspaniale, ale powiedz mi tylko, bo zwariuję! Przeczytałeś powieść, chociaż kawałek?

– dowiadywała się głosem uczennicy zaniepokojonej oceną z klasówki.

– Tak, wszystko przeczytałem. – Tym razem po drugiej, rozgadanej stronie zapadła cisza.

– Całą powieść? Tak szybko? Jest tak bardzo źle? – głos Anny pierwszy raz z pewnego i zalotnego zmienił się w niepokój.

- Nie, wcale nie jest źle. Dobrze jest, tak myślę – uspokajał.
- Jezus, jak się cieszę, jesteś fantastyczny, nie mogę się doczekać, proszę, przyjdź. Bądź tak szybko, jak się da. Będę w kawiarni już za jakieś 20 minut – Anna zmieniła się w trajkoczącą euforię.
- Dobrze, przyjdę, mam maszynopis i jakieś drobne poprawki, nic wielkiego – dodał, aby znów usłyszeć radość kobiety.
- Nie mogę uwierzyć, że tak to widzisz. Moja pierwsza poważna powieść, druga właściwie, ale tamta się nie liczy. Kochany jesteś, nie mogę się doczekać – kobieta Anna mówiła tak, jak mężczyzna Jerzy chciał słuchać, tak jak ostatnie dwa dni czytała maszynopis.
- Wychodzę już z pracy.
- Świetnie. Pa!

Ostatnie słowo i trzask słuchawki. Przysiadł na krześle, wcale się nie palił na spotkanie, śpieszył się do Anny, samo spotkanie odwlekał, próbował ochłonać i wytłumaczyć sobie kilka rzeczy. Dziwna historia z zajęтым telefonem mogła mieć tylko jedno wytłumaczenie, które pojawiło się już w trakcie rozmowy. Maniakalne testowanie i podnoszenie słuchawki, blokowało połączenia. Dzięki tak wyjaśnionej przyczynie wybaczył wszystkie rzeczy, które wcześniej formułował jako zarzuty ciężkie i niewybaczalne. Przeprowadzona rozmowa dała nowy powód do satysfakcji, padło podejrzenie, że jej zależy i dało się odczuć na kim. Zapominał o książce i innych konkurentach, był tylko on i Anna, ona czekała na niego, jemu brakowało jej. Naiwność posunięta do granic, gdzie śmieszność styka się z oszustwem. Był łatwym obiektem do zdobycia i zniszczenia. Nie rozumiał, co się wydarzyło i tylko czuł, że dzieje się coś ważnego, nieznanego, coś, za czym poszedł w ciemno i nie oglądał się za siebie. Poza mijającym czasem nic nie wynikało z roztrząsania odczuć pozbawionych choćby jednej porządkującej myśli. Nagle z niczego zrobiło się tak późno, że trzeba było gonić czas taksówką.

Szofer zerknął na klienta spod byka, gdy tylko usłyszał, gdzie ma jechać. Niewiele brakowało, by klient całował klamkę, ale w ostatnim momencie kierowca machnął ręką, zaklął coś pod nosem i na końcu wszystkich chamskich gestów kiwnął od niechcenia głową. W ten sposób dał do zrozumienia, że robi tę łaskę i przyjmie kurs. Kilka minut i taksówka dotarła na miejsce, wtedy Jerzy zrozumiał, skąd się wzięła wściekłość kierowcy. Trasa okazała się spacerkiem, nie dało się na tym zarobić, nawet jeśli doliczyć sumki, jakie zwykle taksówkarze doliczają tylko sobie wiadomym rachunkiem. W ramach przeprosin zostawił szoferowi napiwek, chyba większy niż cena kursu, nie sprawdzał tego, wnosił po następnej minie kierowcy, tym razem wniebowziętej razem z butami.

Jerzy Gdula w Warszawie mieszkał od wielu lat i nic z tego stażu nie przełożyło się na znajomość miasta, nie uchodził za bywalca znanych miejsc, wpadał na uroczystości, ale tylko te mianowane z urzędu. Jeśli bywał w lokalach, to w knajpach, nie w kawiarniach, w urzędach, nie kinach i teatrach. Był człowiekiem prowincji, ze stolicy wyjął sobie te ścieżki i miejsca, które były mu do życia niezbędne, o resztę nie dbał. Słyszał o tym, co się w mieście dzieje, ale Nowy Świat był mu znany tylko z opowieści. Nie pamiętał, kto i gdzie opowiadał, co tam pił i jadł, lecz samo miejsce kojarzył, nie znaczy, że tam zaglądał lub chociaż widział z ulicy. Kapitan i sędzia nie potrzebowali takich miejsc, ale teraz świat się zmieniał na Nowy Świat.

– Nowy świat i nowy ja – mruknął do siebie. Gdy znalazł się przed kamienicą, jakich w Warszawie wiele, ujrzał tę samą przesadę, którą znał z kina i największego pałacu, nawet z Mokotowa. Znów obraz zewnętrzny nie przystawał do wnętrza, ogromna sala, wielkie okna wychodzące na ulicę, lokal bardziej pokazywał się jak jeden długi korytarz niż miejsce, które można bez przesady nazwać kawiarnią. – Wszystko robią za wielkie – pomyślał i wszedł przez potężną bramę do długiej kawiarni. Annę zobaczył od razu, siedziała blisko wejścia, przy pustym stoliku, podrywała się właśnie z krzesła i machała ręką, energicznie,

zapraszającym gestem, powtarzanym wielokrotnie, coraz szybciej, aż do skutku. – Nie ta sukienka, wszystko popsuka – narzekał pod nosem, jak kapryśne dziecko i uspokoił się dopiero wtedy, gdy zobaczył ten sam i nawet większy dekolte.

– Cześć – podała rękę z najbliższej odległości. – Przyniosłeś powieść? – dodała patrząc łakomie na plik kartek pod pachą Jerzego.

– Dzień dobry, za wielkie dzieło, przywiozłem taksówką – już na wstępie chciał błysnąć dowcipem i jak zwykle w takich razach bywa, blado błysnął. Gdyby potrenował i powtarzał błysk przed lustrem, może iskrzyłoby bardziej. Zabrakło przygotowań, przyszło z głowy i tak się mało śmiesznie powiedziało.

– Dobrze! – uśmiechnęła się szeroko, uznała, że tak trzeba, wiedziała, że tak trzeba.

– Przepraszam, że tak cię wyrwałam z kontekstu – również siliła się na błysk, z podobnym, miernym skutkiem.

– Dobrze się stało, miałem ochotę gdzieś wyjść, nie ma problemu – podniósł wzrok, po drodze zahaczył o dekolte.

– Jeśli tak, jest mi trochę mniej głupio. – Zauważyła tę skromność złamaną ułamkiem bezczelności, kiedy Jerzy już uciekał z oczami, uśmiechnęła się w środku i podsumowała: „biedny, bezczelny miś”.

– Naprawdę nie ma sprawy.

– Pewnie zmęczony jesteś, tak po pracy – jak wcześniej, przez telefon, zagrała na wyrzuty sumienia, tylko teraz niespecjalnie przykładała się do gry.

– Teraz odpoczywam – uśmiechnął się przekornie.

– Ładny komplement, dziękuję – naprawdę spodobało się Annie, co i jak usłyszała.

– Nie tak dobry, jak twoja książka. Gratuluję! – powtórzył ruch oczami, przystanek przy dekolcie odwiedził na dłużej, uznał, że zasłużył.

– Poważnie? I jak? I co? Opowiadaj, nie dręcz mnie! Przecież nie może być tak idealnie? Powiedz prawdę. Żartujesz sobie ze mnie? – Anna podnosiła się na krzesło i kiwała w rytm każdego pytania, po to tu przyszła, czekała na właściwą rozmowę i ta właśnie się rozpoczęła. Wyrzuciła z siebie kilka entuzjastycznych, kokietujących zdań, w których była gorąca prośba, aby potwierdzić jej słodko udawaną naiwność i nie przejmować się zapowiadaną skromnością. W zamian zapomniała o dekolcie i pomyśli o łóżku.

– Poprawiłem parę przecinków i pauz – odpowiedział zawodowy redaktor, tak mu się wydawało, tak uczył pan Staszek.

– Jesteś nieznośny! Stroisz sobie ze mnie żarty. – Przechyliła się na stolik, oparła na łokciach, wtulając policzki w dłonie, patrzyła Jerzemu prosto w oczy i zobaczyła więcej niż pozwalał dojrzeć. O tamtym spojrzeniu i dłoniach przyklejonych do policzków, będzie pamiętał zawsze i myślał, że ten obraz kobiety zmienił dziwne, nierozpoznane uczucie w nieznaną miłość. Przy stoliku w Nowym Świecie Jerzy przywrócił myśl i połączył z uczuciem, dopiero wtedy zrozumiał, że się zakochał. Wcześniej tylko czuł, nie potrafił pojąć, co czuje i dlaczego przestał myśleć.

– Jestem poważny – zmieszał się, słowa dały się odczytać dwuznacznie, intencja była jednoznaczna. Przyznawał, że oddaje się do dyspozycji i czeka na decyzję. Nie chciał inaczej, nie w takiej sytuacji. Nie potrafił czekać, musiał dać jakiś znak i dał w bardzo nieprzyzwoitym czasie, po kilku słowach, po paru chwilach. Przez ostatnie lata nieustannie kłócił się i układał pozory, udawał kogoś lub siłą wybierał przyjaciół między obcymi ludźmi. Przy stoliku poddał się, wyznał, że jest słaby, bez pomysłu na swój los. Anna widziała go wyraźniej niż on siebie, była doświadczona, znała te spojrzenia nieśmiałyh mężczyzn, tych początkujących kochanków, którzy potem czuli się zwycięzcami i zapominali o własnej śmieszności. Zaskoczyło ją tempo, miłość nie stanowiła żadnego problemu, z miłością radziła sobie doskonale od początku po kres. Nie odmawiała sobie kolejnych prób, koniec nigdy nie kosztował jej więcej niż zmianę pościeli i usunięcie zużytej szczoteczki z łazienki. Na stoliku

leżała książka, przy stoliku siedział redaktor, ona była autorką, w takim trójkącie aż się prosiło o miłość. Tylko tempa nie potrafiła pomieścić w krótkim podsumowaniu. Ten tu siedzący przed nią biedny miś widzi ją drugi raz po parę chwil i prawie w progu kawiarni odmalował na swojej twarzy wszystko z czym przyszedł.

– Bezczelny miś. Najbardziej napaleni redaktorzy, kierownicy i żonaci dyrektorzy nie ciągnęli mnie do łóżka po trzech zdaniach. Bezczelny albo bardzo biedny miś – myślała i wszystkie spostrzeżenia zebrała błyskawicznie. – Nie wygląda na podrywacza, dziwny facet. Trudno, dobrze, że chociaż nie śmierdzi szarym mydłem i nie jest brzydki, ostatecznie i tak z nikim nie spałam od paru miesięcy. Anna pocieszyła się najbliższą przyszłością, która nie przedstawiała się gorzej niż zwykle. Postanowiła dobrze się bawić, na razie tylko tyle.

– Wiesz co? Pieprzę tę kawę! – cisnęła i podniosła głowę wprost na Jerzego, by ujrzyć przerażonego mężczyznę. Usłyszał: „pieprzę cię, mówię: nie”. Usiłował zrobić coś z rękami i całym sobą. Uśmiechnęła się po chwili i dopowiedziała: – Koniaku się napiję! Pijesz ze mną? – powiedziała z szelmowskim uśmiechem, a Jerzy z bladego stał się rumiany, z pognębnego – odzyskany.

– Za zdrowie drukarzy się napiję!

– O nie, nie! Nie zapieszaj! – pogroziła palcem. – Gdzie te leniwe bździągwy? – rozejrzała się po sali w poszukiwaniu kelnerek, po chwili dorzuciła jeszcze dwie uwagi: – Tu tak zawsze! Ciebie też to irytuje czy nie bywasz za często w Nowym Świecie?

– Nie bywam.

– Kameralna?

– Raczej jak korytarz – przeleciał wzrokiem po sali, odpowiedział, nie rozumiejąc pytania o słynną „Kamerę”, gdzie Anna pokazywała się również, jak wszędzie, gdzie wypadało się pokazywać.

– Masz oryginalne poczucie humoru, podoba mi się – zauważyła kelnerkę. – Proszę pani, bardzo proszę do nas.

Kobieta w służbowym stroju najpierw się odwróciła, by cisnąć rachunkiem na inny stolik, potem podeszła krokiem pełnym lekceważenia, kołyszając się na boki. Góra trzydzieści lat i już pełne znużenie, nie odezwała się jednym słowem, trzymała w ręku jakieś karteczki i coś do pisania, pociła się intensywnie.

– Dwa koniaki poprosimy – powiedziała Anna i wiele musiała włożyć wysiłku, aby nie powiedzieć czegoś zupełnie innego i szczerze.

– Przyjęłam – odpowiedziała brunetka o wyrazie twarzy, którym można torturować. Nie popatrzyła na klientów ani razu, była obrażona na swój los i zawód.

– Dobrze, że nie szarpała za kudły – zażartowała Anna z przedstawienia, które przed chwilą się odbyło i ledwie przypominało obsługę.

– Chyba miała ochotę – Jerzy odruchowo poprawił fryzurę.

– Powinieneś zrobić coś z włosami – skomentowała natychmiast, z troską, bez złośliwości. Tak mówią dziewczyny do swoich chłopców, kiedy chcą dla nich jak najlepiej.

– Co takiego? – znów poprawił uczesanie, bronił włosów, jakie w najlepszym czasie mieli wszyscy najlepsi.

– Ściąć! Teraz się tak nie czesze, fryzurę masz jak oficer śledczy sprzed pięciu lat – uśmiechnęła się delikatnie, życzliwie. – Nie pasuje do twojej aktorskiej twarzy, no, i do tej boskiej oprawy oczu – skończyła, pozostawiając Jerzego z wypiekami i resztkami myśli w głowie.

– Nie dbam o takie rzeczy, nie znam się na tym.

– Nie gniewaj się, jesteś bardzo przystojny, to tylko włosy, najszybciej da się zmienić – błyskiem oczu i uśmiechem nadrobiła wcześniejszą bezpośrednią troskę. Anna nie miała żadnych oporów przed najbardziej osobistymi uwagami, odbyła podobnych rozmów wiele i najzwyczajniej pragnęła czegoś nowego. Chciała skrócić czas sztucznej wymiany zdań, tej

nieporadności, gdy mężczyzna usiłuje poznać kobietę jako druga i lepsza wersja samego siebie. Miała ochotę zatroszczyć się o swojego chłopaka, skoro już ceną za druk pewnie będzie łóżko.

– Wcale się nie gniewam, może pójde do fryzjera, oficerem śledczym już nie będę. Aktorem, kto wie? – już nieco rozluźniony wyjaśnił kilka rzeczy naraz.

– Byłeś oficerem? – spytała zaintrygowana. – Ale strzeliłam!

– Owszem, pięć lat temu i jeszcze przed rokiem nawet – z dumą, znacznie większą niż pochwała samego siebie, przestawił się Annie. Największe osiągnięcie, dawny szczyt postawił na stolik, przy którym nie myślał przegrać.

– Niesamowite, jakiś znak chyba, pyskata zawsze byłam, ale w loteriach szczęścia nie mam. Niesamowite! – wyjęła z torebki papierosa.

– Zapalisz?

– Dziękuję! Nigdy nie paliłem – Jerzy sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, potem pochylił się nad stolikiem, by przypalić papierosa.

– Oryginalna rzecz! Zaskakujesz mnie nieustannie. Czy jest coś, co robisz jak wszyscy?

– kokietowała, ale była też pod wrażeniem tego, co się zaczynało dziać. Młodszy i przystojniejszy od innych redaktor, rzeczywiście mógł robić oryginalne wrażenie, tym większe, im mniejsze robili starzy i tak samo nudni.

– Owszem. Bardzo cię przepraszam, muszę tam, gdzie wszyscy muszą – wstał od stołu.

Rozmowa kleiła się coraz bardziej, wprawdzie o niczym, jednak przechodziła w imponowanie tym wszystkim, co jest trenowane przed randką, a co Jerzemu przyszło samo i czym był bardziej zaskoczony niż Anna. Widzieli się drugi raz, i rozmawiali jak mężczyzna z kobietą, nie dbając o temat, ponieważ dużo ważniejsze jest to, że on mówi do niej, a ona słyszy jego.

– W drugą stronę – odpowiedziała, prawie krzyżąc, gdy Jerzy ruszył w niewłaściwym kierunku korytarza udającego kawiarnię. Pokręcił głową z lekkim uśmiechem, spojrzał na twarz Anny wtuloną w dłoń i widział tylko szeroko roześmiane oczy. Odszedł, musiał odsapnąć w toalecie, zostawił jej trochę czasu na przemyślenie błyskawicznych zdarzeń.

– Jednak nie, to nie bezczelność i nawet nie łóżko, on jest jakiś inny – poprawiła w myślach ostatnie spostrzeżenia. – Nieprawdopodobne, ale on chyba nie chce się ze mną przespać, w każdym razie nie za książkę. Nie ma w nim nic z tych rutynowych uwag i dwuznaczności, dawania do zrozumienia. Żadnego: „może przeczytamy u ciebie”, „co byś chciała na śniadanie”, „uczujmy to u mnie”. Nieprawdopodobne, on jest inny, zupełnie inny, nie ma najmniejszej wprawy, nie potrafi tego robić.

Do stolika podeszła inna kelnerka, niewiele milsza, ale przynajmniej się nie pociła, przywitała się i wysiliła na drobne uprzejmości. Zaraz po niej zjawił się Jerzy i od razu spojrzał na dwa pełne kieliszki, nietknięte i pilnowane przez zamyśloną Annę. Na boku stolika leżał odłożony maszynopis. Ucieszył się na widok pełnego szkła, koniecznie chciał się napić, potrzebował tego.

– Masz nietkniętą fryzurę. Dałaś sobie radę z kolubryną? – nawiązał do niedawnych żartów z kelnerki.

– Przyszła koleżanka, mniejszego kalibru, nawet powiedziała „dzień dobry” i „proszę” wydusiła – odpowiedziała i szybko zmieniła ton na poważny. – Za co pijemy?

– Za młodą, zdolną pisarkę i żeby nie zapeszyć drukarzy!

– I za nieznośnego redaktora, który na pewno pójdzie do fryzjera – popatrzyła na Jerzego wzrokiem narzeczonej wierzącej, że to jest ten i że wszystko się ułoży nie jakoś, tylko konkretnie pięknie. To był pierwszy raz Anny, dziewiczy wdzięk na twarzy. Inne niż wszystkie spojrzenia, jakimi obdarzała wcześniej spotykanych starszych, wpływowych, prawie lub jeszcze mężczyzn, wtedy była bardziej czujna i kontrolowała namiętności. Przy Jerzym zadowolili się odrobiną ostrożności i ciągłym niedowierzaniem. Tempo i osobowość



byłego oficera, co imponowało szczególnie, w końcu podobnych zmyślała bohaterów, sprawiły, że nie zapomniała, po co tu przyszła. Jednak gdy zrozumiała, że tego już nikt jej nie odbierze, odłożyła sprawę na bok, tak jak maszynopis. Misternie, ostrożnie, z równo poukładanymi kartkami, a jednak na bok. Próbowała zgadywać, co siedzi w tym kompletnym mężczyźnie, nie potrafiła tak łatwo go rozłożyć, jak nudnych i napalonych poprzedników.

– Na zdrowie! – chwycił kieliszek jak szklanę i w ostatniej chwili powstrzymał charakterystyczne odruchy kawalerskiego picia na jeden łyk: odchyłona głowa, szeroko otwarte usta. Spojrzał na Annę pijącą z dzióbka i nienaturalnie odwzorował jej gesty. Pokręciła głową, widziała co się stało, podniosła kieliszek, po czym chlusnęła koniakiem prosto w gardło, odchylając głowę, jak doświadczony pijak. Na koniec chuchnęła, jak należy i pokazała palcem na kieliszek Jerzego, który zrobił to samo, tym razem harmonijnie, od serca, po mistrzowsku.

Za wielkimi oknami chodzili letnio ubrani ludzie, przy stolikach zaczęło się robić tłoczno. Kawiarnia zmieniła swój kiszkiowaty fason, pewnie dlatego, że od nowych gości zasiadających wokół swoich spraw i rozmów zaokrągliły się stoliki. Dym z papierosów, gwar i krzątające się z cierpięciznymi minami kelnerki zbudowały nastrój barowo-kawiarniany. Nie skończyło się na jednym koniaku, przy trzecim Anna była rozbawiona, Jerzy odważny i rozluźniony, rozmowa szła bez przeszkód, imponowali sobie wzajemnie i słuchali uważnie.

– Powiesz mi coś? Nie musisz, jeśli nie chcesz, ale bardzo jestem ciekawa – spytała ze słodziutką miną dziewczęcia, któremu wino uderzyło do głowy.

– Wszystkiego nie mogę powiedzieć – odpowiedział twardy i tajemniczy, chociaż upadły oficer.

– Dla ciebie to będzie nic. Powiedz mi, czy spodobała ci się moja książka dlatego, że ja ci się podobam? – zwiesiła głowę i jednocześnie podniosła wzrok, patrzyła z nadzieją na odpowiedź mądrą i właściwą.

– I mam powiedzieć prawdę?

– Chociaż kawałek.

– Powiem całą, ale będziesz zazdrosna – twardy oficer poczuł siłę koniaku i odważył się chwycić Annę za rękę. – Podobacie mi się obie.

– Świnia i zdrajca! – ścisnęła mocniej jego dłoń, dokładając drugą na wierzch, ale za chwilę została przebita dłonią Jerzego. – Twoje zawsze musi być na wierzchu? – spytała pogodnym głosem, bez pretensji i rywalizacji, raczej z podziwem dla siły i ciągle tajemnicy.

– Czasami mi się udaje, bywało różnie – jak doświadczony zjadacz chlebów z wielu pieców chwalił się osiągnięciami, nie było w tym tak rozległej prawdy, mimo to zabrzmiało wiarygodnie.

– A teraz? Teraz ci się uda?

– Początki są obiecujące – pogładził, potem uściśnił jej dłoń.

– Nie za szybko? – zamyśliła się i żadnego w tej pozie nie było protestu, jedynie obawa, jak się wszystko skończy.

– Całe dnie i kawałki nocy, długo, bardzo długo.

Alkohol i brak doświadczenia nie przeszkadzały w odpowiedziach na trudne kobiece pytania. W rozmowie pomagali beznadziejni poprzednicy. Anna wiedziała, że jest z mężczyzną innym, lepszym, mądrzejszym, dojrzałym i najbardziej fascynującym, ze wszystkich, których poznała przez ostatnie lata burzliwej kariery.

– Biedny – pocieszyła z odrobiną wąpiącego uśmiechu.

– Naprawdę do mnie dzwoniłaś kilka razy? – Musiał chwilę odetchnąć, ucieszyć się tym, co zdobył, dlatego zmienił trudne pytania na proste pytanie.

– Jeszcze raz, dwa koniaki prosimy – Anna złapała kelnerkę między stolikami i odpowiedzią Jerzemu. – Dzwoniłam, ze sto razy! – teraz udawała złość.

- Dużo! – uśmiechnął się i po chwili oderwał dłonie, gdy tylko zobaczył kilka par oczu zwróconych w ich stronę.
- Wstydzisz się mnie?
- Nikt nie może tak na nas patrzeć. Denerwują mnie – odpowiedział szczerze i kolejny raz zrobił oryginalne wrażenie.
- Dlaczego spytałeś?
- O co?
- O telefon. Nie wierzysz mi?
- Wierzę, zrobiłem z siebie głupka. Podnosiłem słuchawkę co minutę, chciałem mieć pewność, że wszystko działa – odpowiedział szczęśliwy, niczego nie musiał zmyślać i udawać, nie musiał uważać co mówi i myśli. Czegoś podobnego nie doznał od lat, chyba nigdy nie czuł takiego komfortu. Odpowiedzi na proste pytania były potrzebne obojgu. Szczerść nie opuszczała Jerzego, nauczył się kontrolować podobne nieostrożności, zwłaszcza przy piciu, jednak teraz nie dbał o nic, odreagował wszystkie poprzednie lata. Nie wiedział czy ufa Annie, zwyczajnie nie miał ochoty grać, pozwolił, aby alkohol robił, co w jego mocy.
- Nigdy mi się jeszcze tak dobrze z nikim nie piło i nie rozmawiało. W ogóle, nie tylko z mężczyzną, tak w ogóle. To dziwne, pierwszy raz ledwie mogłam cię znieść. Byłeś jakiś dziwny mruk, irytujący. Zamknięty, pogubiony, może przerażony. Nie wiem, w każdym razie niedostępny, sztywny, nudny i nie wiadomo jaki. Dziś jesteś intrygujący, dowcipny, miły, fajny facet. Co się wtedy z tobą działo?

Kelnerka wymieniła szkło, nawet nie miała ochoty się obrażać, ignorowała wszystko i wszystkich.

- Nic się nie stało, tak zawsze było. Rozmowa mnie męczy, słowa są męczące, gdyby się dało wymieniać same myśli, ludzie nie musieliby się dogadywać, po prostu porozumiewaliby się najważniejszym organem. Z rozumu do rozumu – najkrótsza droga, a tak każda myśl przechodzi przez gardło i po drodze traci albo w ogóle już nie przypomina dawnej postaci, tylko niepodobne do myślenia słowa. Nie umiem rozmawiać z kobietami, z ludźmi też mi nie bardzo wychodzi – sięgnął po kieliszek i stuknął w szkło Anny.
- Kobiety to nie ludzie? – nie zdołała się powstrzymać przed oczywistą ripostą. Słowa Jerzego spodobały się młodej pisarce, ale też zasmuciły. Pomyślała, że tak, jak on mówi, ona nigdy nie będzie pisać.
- Słucham? – Jerzy poczuł się świetnie, nie musi odgrywać żadnych pozorów, osobliwie przyjemne, może dlatego, że nowe uczucie. Nie zauważył gafy.
- O czym myślisz?
- Nie wiem, strasznie dużo w głowie się kręci, wszystko naraz i w końcu nie wiem. Zresztą zanim zdecyduję, co chce powiedzieć, myślę jak to powiedzieć, w końcu przestaję myśleć i tylko gadam – uśmiechnął się do Anny i własnych słów. Poczuł głód i moc alkoholu, stara, dobrze znana przypadłość, przykra konsekwencja picia bez zagrychy.
- Umiesz rozmawiać, zwłaszcza z kobietami. Mówisz, jakbyś pisał. Umiesz rozmawiać.
- Anna wróciła do właściwego wątku, tyle jeszcze kontrolowała. Z mówieniem i pewnym utrzymaniem się na krześle miała coraz większe problemy.

Przyszedł wieczór, kawiarnia wypełniła się po brzegi, zapalono światła, ludzi za szybą ubyło, przy stolikach coraz więcej słów, pomimo tego w przerośniętym lokalu powstał kameralny nastrój, w którym można się schować. Bywa tak, że tłoczne miejsce staje się zaułkiem dla pary szukającej spokoju i intymności. Jerzy i Anna czuli się dobrze tu, gdzie już nikt się na nich nie gapił. Wszyscy byli zajęci swoimi myślami i rozbierali je swoimi słowami. Gadali, pili i znów gadali o wszystkim, ale nic z tych zdań do Anny i Jerzego, zafascynowanych sobą, nie docierało. Jerzy wspominał dzieciństwo, gdy po burzliwej kłótni mijają złość i rodzice patrzyli na siebie, przytulając się wzrokiem, rozmawiali oczami,

drobnymi gestami, bezgłośnie okazywali sobie uczucia. Poczuł się ojcem, którym nigdy nie był i być nie chciał. Widział przed sobą matkę, chociaż nie przypominała Anny. Były inne, ale coś je łączyło – kobieca samodzielność. Matka Jerzego i Anna dawały sobie świetnie radę bez męskiej pomocy. Nie bały się mężczyzn i ich szaleństw, braku rozwagi, sztywnych zasad, nie walczyły o swoją wrażliwość, nawet jej nie broniły, zwyczajnie nie pozwalały swojej kobiecości zrobić krzywdy, chroniły ją z macierzyńską troską i instynktem.

– Książka naprawdę dobra. Muszę ci się przyznać do czegoś wstydliwego. Nienawidzę czytać. – Anna zachichotała, po czwartym koniaku śmiała się coraz częściej, a to zdanie było zabawne nawet na trzeźwo. – Poważnie! Czytanie to robota dla drwala, składanie tych wszystkich znaczków w słowa jest cholernie męczące, zmudne. Nie cierpię czytać – z pełną powagą kontynuował dziwny wywód.

– I dlatego podobała ci się moja książka? – trochę zbita z tropu starała się w dowcipie dotrzymać kroku.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jej nie przeczytałeś! – Śmiała się tak, jak zawsze śmieją się rozweselone alkoholem kobiety, co jakiś czas głowa opadała jej bezwładnie, zabawnie się upiła, umysł miała trzeźwy, ciało nie wytrzymało ilości koniaku.

– Nie przeczytałem...- Anna posmutniała, ostatnie zdanie nie wydawało się zabawne, psuło cały wieczór. Jerzy chwycił ją za rękę, wychylił się przez stół i przyciągnął do siebie. – Ty mi ją przeczytałaś – szepnął do ucha, wtulony w jej policzek i opadające włosy. Zachwiała się, tylko trochę od alkoholu, bardziej od słów. Jerzy wychylił się jeszcze mocniej i podtrzymując Annę za ramiona, delikatnie odstawił na miejsce. Pachniała papierosami, alkoholem i takimi perfumami, jakich używały kobiety na poważnych stanowiskach albo wielkie damy, których mężowie zajmowali poważne stanowiska, jednak najbardziej pachniała Anną. Zapach Anny lekceważąco omijał wszystkie inne aromaty, pozostał w Jerzym i kręcił się po całym ciele.

– Nie wiem, co w tobie siedzi i to mi się podoba. Mam już dość tej knajpy, koniaku chyba też. Przejdziemy się? – zaproponowała następny krok.

– Tak, ale ja płacę – odpowiedział.

– Nic z tego, ja zapraszałam.

– Na kawę! Za koniak ja płacę.

Nie miała ochoty się spierać, chciała wybiec jak najszybciej, pokiwała na zgodę głową. Kelnerka przed podaniem rachunku pogodziła się ze swoją pracą, zmęczona twarz siliła się na sympatyczny wyraz, może nawet pojawił się szkielet uśmiechu.

– Masz, babo, kup sobie coś dla ludzi, bądź przynajmniej w kawałku ludzka – pomyślał, zostawiając wrednej bździagwie solidny napiwek. Wyszli na zewnątrz, wiosna pachniała spalinami, kurzem, wilgotnym powietrzem, spoconymi i pijanymi robotnikami wychodzącymi z tanich knajp, ale znów wszystko przykrył zapach Anny. Pachnąca chwyciła Jerzego pod ramię i oparła głowę na barku.

– Dałeś napiwek tej bździagwie?

– A wiesz, że pomyślałem dokładnie tak samo? I dokładnie teraz!

– Coś nas łączy – szeptała zmęczona alkoholem i wrażeniami z całego dnia.

– Chyba nie spocona kelnerka? – spojrzał czy daje sobie radę z układaniem obcasów na chodniku. Chwiała się co jakiś czas, jednak szła dzielnie i godnie.

– Lubię twoje poczucie humoru, wiele w tobie polubiłam, tylko dlaczego tak szybko? – wtuliła się mocniej.

– Może gdzieś usiądziemy? Chcesz odpocząć?

– Słodki jesteś. Wiem, o co chodzi, wstydzisz się mnie, wiszę na tobie urznięta i ledwie człapię – powiedziała z prośbą w głosie, aby wszystkiemu zaprzeczyć.

– Znów to samo.

– Co?

– Pomyślałem o tym samym. Czy ty się mnie wstydzisz? Boję się, że tym razem coś nas odróżni, bo ja się ciebie wstydzę – powiedział poważnie zamyślony. Zdziwiona Anna podniosła głowę, spojrzała wilgotnymi oczami i prosiła, żeby natychmiast przestał tak mówić. – Strasznie się ciebie wstydzę, najbardziej wtedy we wtorek, kiedy pierwszy raz przyszedłeś. Zatkąło mnie, bałem się odezwać, teraz też się boję. Bałem się, gdy przyszedłem do stolika, gdy rozmawiałem z tobą, teraz idę i boję się, w ogóle cały czas się boję.

Twarz Anny rozpromieniała, z oczu uwolniły się łzy i wtedy to nie on, ale kobieta Anna pierwszy raz pocałowała jego – mężczyznę Jerzego. Pocałunek był delikatnym otarciem mokrego policzka, drugi celował prosto w usta i po chwili poczuł jej język, delikatnie wsunięty. Nie było w tym żadnego brudu, sama czułość, idealnie odmierzone proporcje szacunku i pragnienia – miłość. Oderwała usta i schowała się wstydliwie między jego ramiona. Poglaskał jej głowę i pocałował włosy, nie wiedział, czego w takich chwilach oczekują kobiety. On dopiero się uczył i jak zwykle szedł za wewnętrzną mową, intuicją wspartą szczęśliwym przypadkiem, ten zestaw zazwyczaj nie zawodził. Jerzy dawał kobiecie, czego kobiety zawsze oczekują, pewne, bezpieczne miejsce w ramionach i czułość po pocałunkach.

– Pójdźmy do parku, chcę odpocząć – powiedziała pewna słów i decyzji. – Wiem, gdzie chcę iść. Chodź!

Szli równym, nieco chwiejnym krokiem, w kierunku zieleni oświetlonej czystym niebem, zapach powoli zmieniał się z miejskiego, pijanego i spalinowego zaduchu na kwitnący. Nawet Anna nie miała już tyle siły, aby zmierzyć się z zielonym bukietem parku, może nie chciała, sama łapczywie połykała powietrze jak dzieci zachłystują się dymem z pierwszego papierosa, jak głodny chłonie zapach z kuchni.

– Znasz się na gwiazdach? – spytała cicho.

– Za cholerę, ani trochę, chciałem powiedzieć, nie sięgam tak wysoko – odpowiedział zupełnie nie zainteresowany tym, co się nad jego głową dzieje, zajęty był tym, co działo się w głowie.

– Wariat. Tam – to duży wóz, widzisz? – wskazała palcem układ światełek na niebie, znany każdemu, kto zadzierał nocą głowę albo leżał na wilgotnej trawie lub tylko jechał nocnym pociągiem.

– Chyba widzę, ma krzywy dyszel. – Jerzy najprostszym skojarzeniem przypomniał sobie, prawdziwy wóz, na którym trzymał lejce i od razu zamknął oczy, nie chciał patrzeć w niebo i wspominać starych czasów. A gdzie orczyk? – pomyślał.

– Nie lubisz gwiazd?

– Są mi obojętne – odpowiedział ze spokojem.

– Właściwie to Wielka Niedźwiedzica.

– Niedźwiedzica? Z krzywym dyszlem? – spojrzał na Annę udającym powagę wzrokiem.

– No dobrze, niech ci będzie, we wszystkim musisz być oryginalny. Dziwnie, tak nie lubię gwiazd, ale podoba mi się i to. Wszystko mi się w tobie podoba i tylko to mi się nie podoba – słowa układała zgrabnie, znacznie więcej kłopotu sprawiało samo mówienie.

– Te wozy i niedźwiedzice?

– Nie! To, że wszystko mi się w tobie podoba, to mi się nie podoba. Takie rzeczy przynoszą pecha. Jak jest za dobrze, potem przychodzi bardzo zły rachunek – zmartwiła się, pociągnęła nosem i znów prosiła błyszczącymi oczami, aby stanowczo takim czarom zaprzeczyć.

– Nie mów tak, kiedyś ta gówniana zabawa musi się skończyć, od dziś się skończy. – Jerzy o regule sukcesu i rachunku wiedział wszystko, znał ją na przetrzała, ale teraz, gdy byli razem i myśleli tak samo, postanowił skończyć z przyszłymi kosztami, inaczej wszystko nie miało sensu.

– Tak! – ucieszyła się, że nie jest sama i tym razem musi się udać, bo on wszystkim się zajmie. Doszli do parku, gdzie nie było już ludzi, za to mnóstwo kryjówek i wszystkie wolne, opustoszałe. Usiedli na trawie, Jerzy oparł się o pień drzewa, Anna plecami wtuliła się w jego ramiona, siedzieli bez ruchu; on się bał, ona chciała, żeby tym razem było inaczej.

– Co ci to przypomina? – spytała, odwracając głowę.

– Trochę las – odpowiedział niedbale. Myślał, jakich słów użyć w najważniejszym pytaniu. Musiał poczuć na czym stoi, inaczej sobie nie poradzi. Nie będzie wiedział, co myśleć, co robić?

– Głupi, nie o to pytam – rozbawiała się. – Takie siedzenie co ci przypomina?

– Nic, zupełnie nic.

Anna przeszkadzała, pytała o babskie głupstwa, gwiazdy, wspomnienia, nie to było teraz ważne, najważniejsze było pytanie o wszystko.

– Nigdy nie miałeś piętnastu lat i nie ciągałeś dziewczyn po parkach?

– Nie – odpowiadał coraz krócej.

– Akurat. A ja cały czas mam piętnaście lat i pierwszy raz tak siedzę w parku. Tak zawsze chciałam, żeby była wiosna, park, gwiazdy i chłopak, co się w nim Kocham. Dziewczyny potrzebują tego wszystkiego, z czego się codziennie kpi i nazywa banałem. A to jest nam potrzebne, wszystko razem. Musi być wiosna, muszą być drzewa, gwiazdy i kochany chłopak, nawet jeśli nie lubi gwiazd. Pierwszy raz mam wszystko, czego potrzebuję, tylko piętnastu lat nie mam, skłamałam – znów się odwróciła plecami i umościła na koszuli Jerzego. – Burczy ci w brzuchu – dodała z uśmiechem.

Zamilkli oboje, Jerzy delikatnie obejmował Annę, z góry patrzył na jej dekolt, teraz mógł do woli cieszyć oczy i nie odrywał wzroku ani na chwilę. Na dłuższy czas porzucił poszukiwania słów do najważniejszego pytania, teraz pytał o piersi. Kiedy będzie mógł dotknąć nie tylko oczami? Chciał, aby to ona mu pozwoliła, zachęciła, wzięła jego dłoń i wsunęła pod sukienkę, ale ona nie mogła tego zrobić. Kobieta Jerzego będzie czystą, wcale nie taką, jak opowiadał pan Staszek, i dlatego nie powinna nic robić, tak postanowił.

– Niech się stanie tak, żeby sama pozwoliła się dotknąć, niech się stanie i niech zostanie czysta – pomyślał i wierzył, że niemożliwe jest w zasięgu ręki.

Za pragnieniem przelany wiara poszły pierwsze cudowne ruchy, Anna osuwała się delikatnie, bez pospiechu, naturalnie, drobnymi kawałeczkami, powoli jej piersi dochodziły do rąk Jerzego. W każdej chwili mogła znów się unieść, wrócić na miejsce, gdzie jest tylko czułość i nie ma żadnego śmiałego dotyku. On mógł cofnąć ręce, ale oboje zgodzili się na bezwładność zmierzającą w najwłaściwszym kierunku. Dłonie zatrzymały się na piersiach, na nieprzyjemnym, śliskim w dotyku, materiale letniej sukienki. Otwarte cierpliwie czekały, aż się skończy sukienka. W końcu przyszły, większe niż podziw oczu, nie mieściły się i wylewały, były idealne, zwilżone potem i powietrzem, nagie całym dekoltem. Wtedy Anna przestała się osuwać, nieznacznie uniosła ciało w górę, by piersi ułożyły się pewniej, czekała co się stanie. Nie działo się nic, Jerzy trzymał i zaciskał, chciał więcej, im dłużej posiadał, tym więcej żądał i cały czas myślał o czystej kobiecie, o tym, że to przypadek, po prostu jest zmęczona, nie panuje nad swoim ciałem. Stał się cud, piersi z nieba wpadły w ręce i tak musi zostać. Ona została czystą, on trzymał dłonie na cudzie i nie mieli odwagi tej chwili popsuć, oboje potrzebowali cudownie niemożliwego. Czegoś zupełnie nowego, w czym mogli się poczuć jak w świątecznym ubraniu, w czystym, bezpiecznym miejscu, daleko od udawania, lęku i ludzi w codziennych nastrojach. Uniosła głowę, nosem dotknęła jego policzka, przechyliła się i pocałowała w usta, dłużej niż za pierwszym razem. Wróciła cisza. Jerzy w myślach powtarzał w kółko różne słowa, które miał ułożyć w najważniejsze pytanie. Anna nie umiała już czekać, musiała całować. Przy stoliku zdecydowała, że prześpi się z kolejnym redaktorem, jeśli to okaże się konieczne, teraz siedziała na trawie w parku, jak głupio zakochana piętnastolatka. Wszystko było inne, trochę kiczowate, trochę szczeniące, ale

prawdziwe. Żadnych nocnych taksówek, żadnych topornych dowcipów, żadnego: „jaka jesteś ponętna”, „pachniesz bzem”. Zobaczyła, że nie musi niczego robić. I właśnie dlatego miała ochotę na to, co zawsze robiła z mężczyznami, od których zależał jej los. Tym razem wybór był jej, bez konieczności i temu nie potrafiła się oprzeć.

– Ciągłe jestem ci winna kawę. Myśl sobie, co chcesz. Zapraszam cię do siebie na kawę i zrobię ci coś do jedzenia – poklepała Jerzego po brzuchu.

– Nie jestem głodny – skłamał. Pomyślał, że zawsze wstydził się jeść, nie licząc zagrychy w pijackich gabinetach, bo to nie jedzenie, tylko zagryzanie picia. Nie zauważył tego, co widzi każdy doświadczony mężczyzna, dalej myślał i przeszkadzały mu gwiazdy z kawą.

– Wiedziałam, że tak sobie o mnie pomyślisz. Ale wiesz co? Dobrze, że taki jesteś, strasznie chciałam poznać takiego faceta, zawsze chciałam – powiedziała smutnym głosem. Wiedziała, że nie cofnie tych wszystkich zaproszeń, których nie odmawiali poprzedni, głupi i prymitywni redaktorzy. Zazdrościła Jerzemu, że potrafi więcej i podziwiała, że jest inny, zupełnie inny niż wszyscy dotąd. „Biedny miś, jednak biedny miś” – pomyślała.

– O tej porze nie odwiedzam obcych kobiet – pognębił, by zaraz rzucić się na jedno fatalnie sformułowane i od początku męczące pytanie. – Spytałem cię o coś, tylko raz, i proszę cię o odpowiedź teraz. Chcesz być ze mną? – nie prosił, wymagał, miał dość, musiał wiedzieć, gdzie jest. Anna obróciła się gwałtownie i przykłęknęła.

– To nie jest śmieszne! Głupio się mną bawisz, nie mam piętnastu lat – powiedziała z mokrym błyskiem w oczach.

– Mówisz: nie? – nie wzruszył się. Oczekiwał tylko jednej właściwej odpowiedzi, której nie usłyszał. – Powiedz nie, skoro tak czujesz, powiedz: nie! I tyle! – nalegał, okrutnie katując siebie i Annę. Popatrzyła przenikliwie, krążyła oczami po jego twarzy. Chwyliła go za głowę i przyciągnęła do swojego czoła, patrzyła długo, czytała z twarzy.

– Ty mówisz poważnie! Znasz mnie parę godzin i mówisz poważnie?! Nie kpiłbyś ze mnie tak okrutnie, przecież mnie nie znasz, nie zrobiłam ci nic złego. Nie kpiłbyś, prawda?

– delikatnie potrząsnęła nim, plątała słowa. Nie odpowiedział. Milczał i czekał. – Boję się, takie rzeczy nie zdarzają się nawet w książkach. Zdarzają się, ale potem on wraca do żony – drugi raz szarpnęła go za ramiona. Nie usłyszała jednego słowa. Rzuciła się na szyję i mocno ścisnęła. – Tak! – powiedziała głośno do jego ucha, potem pocałowała mocno, długo, głęboko. Jerzy wstał i pomógł podnieść się Annie, złapał ją, ucałował w czoło, zaciągnął się zapachem.

– Daleko to? – spytał.

– Nic z tego. Teraz ty powiedz!

– Tak.

– Nie tak, ty to zacząłeś. Powiedz wszystko. Powiedz, że chcesz ze mną być. Nie, powiedz inaczej. Powiedz: „Naprawdę chcę z tobą być”.

– Kocham cię – odpowiedział.

– Twoje zawsze musi być na wierzchu? Nie tym razem! Ja też cię kocham! – po chwili powtórzyła. – Takie rzeczy nie zdarzają się w książkach.

– Daleko?

– W twoim tempie za chwilę będziemy na miejscu – śmiała się, klepiąc Jerzego po plecach.

Szli tym samym równym, szybkim krokiem, alkohol odparował w takiej części, że nie przeszkadzał. Wiele emocji biegających w szalonym pośpiechu i coraz chłodniejsze majowe powietrze przynosiło otępienie. Po wyznaniach najszczerzych, banalnych, potrzebnych i brawurowych, szum w głowie powrócił. Jerzy miał ochotę na kolejny kieliszek, bardziej niż na kawę, której nie potrzebował w ogóle, potrzebował alkoholu bardziej niż kawałek suchego chleba, co uznałby za wystarczającą zagrychę. Wiedział, co go czeka, co najmniej się domyślał i bał tej następnej, pierwszej rzeczy. Cekał na noc z kobietą, przygotował się jak zwykle i jak do każdego wyzwania. Szykował się w duchu, nieporadnie i zabawnie, jak na

pierwszy zwiad, kiedy śledził Kapisa. Powtarzał sobie, że to nie żarty, przecież zyskał wszystko, miał Annę i jeśli teraz zawiedzie siebie i ją, przestanie być pięknie. Żadna kobieta nie zostanie z człowiekiem, który nie umiał być mężczyzną. O tym, co dzieje się w sypialni, wiedział z opowiadań podchorążych. Wiedza przedstawiała się wulgarnie żałośnie, opowiadania chłopców, którzy domyślali się w czym rzecz i tak spreparowane domysły przedstawiali jako doświadczenie. Pierwsza noc z czystą kobietą znaczyła więcej niż pierwszy raz z byle kim, aby tylko poznać smak wstydlivego, najintymniejszego kontaktu. Bał się dwa razy. Obawiał się o siebie czy będzie potrafił i lękał się o nią czy po tym co musi się stać pozostanie pierwsza? Czy nie zdradzi się doświadczeniem, z którego tak drwił pan Staszek?

Doszli na miejsce. Jasne, nowocześnie urządzone, czyste mieszkanie, doposażone w rozmaite sprzęty, od rzeczy prozaicznych, przez gustowne, jak stół i szafa w starym dębowym stylu, aż po rzeczy nowocześnie rzadko spotykane. W tym najrzadziej spotykany telewizor, przypominający bardziej mały kredensik niż odbiornik obrazu i dźwięku. Dwupokojowe, panięskie mieszkanie w 1957 roku w centrum Warszawy robiło wrażenie nie tylko wystrojem, lecz samym faktem, nad którym Jerzy przeszedł do porządku, mimo, że jeszcze jedno uznał za rzadki komfort. Korzystał z łazienki utrzymanej kobiecą ręką, nie było tu jednego skrawka, który zachodził brudem lub wyglądał marnie jak większość tego rodzaju przybytków. Nic w tym nadzwyczajnego, pod warunkiem, że za punkt odniesienia nie brać zamykanego na kłódkę wychodka, zwykłego kamienicznego sracza, już na klatce cuchnącego starą kanalizacją, czym uraczył pułkownik Minz i czego przez wszystkie te lata używał. Jerzy mógł z powodzeniem starać się o nowe mieszkanie, gdy przeżywał najlepszy czas, ale wtedy o tym nie myślał. Służbówkę traktował jak sypialnię i jadłodajnię, może trochę jak kawałek miejsca, gdzie się można schować, co nie znaczy czuć dobrze. Dziwna rzecz stała się w głowie Jerzego, zaczął zwracać uwagę na wszystko, czym przejmują się mężczyźni starający się o względy przyszłych żon. Dom i praca, razem zwane dorobkiem życiowym.

– Co ze mnie za partia? – uśmiechnął się w duchu. – Dobrze, że nie przyszło mi do głowy ciągnąć jej do mojej nory. Nie stać mnie na jedną porządną rzecz z tego pałacu, pracuję w dziwnym miejscu i mam blade, żadne, pojęcie o swojej robocie. Tak jakoś głupio wyszło, nic się nie udało. Inteligencja pozwala dojrzeć i zdobyć to, na co ślepa jest głupota.

Niespodziewane materialne refleksje przytłumiły uczucie i podniecenie, aby wszystko wróciło na swoje miejsce i w dawnej sile, Jerzy potrzebował następnego kieliszka. Gdy, pełen podziwu dla swojej kobiety i jej życiowych osiągnięć, wyszedł z łazienki do pokoju, zastał na stole wszystko, co do szczęścia potrzebne. Jego Anna zdążyła przygotować kanapki i przede wszystkim coś do picia – wódkę z karafki. Podobnego cuda jeszcze nie widział, nawet na imprezach najwyższego szczebla.

– Czym chatka bogata! Koniak wyszedł, mam tylko wódkę, za to zimna – spojrzała na Jerzego, potem sięgnęła po karafkę. – Lubisz wódkę? Cholera, a kawy nie zrobiłam – dodała i już zbierała się do kuchni.

– Nie trzeba, zostań – przytrzymał ją za rękę. Jerzy słyszał już kiedyś to dziwne pytanie: „Lubisz wódkę?” i uśmiechnął się do siebie.

– Właściwie masz rację, o tej porze kawa – nienajlepszy pomysł. Napijmy się! Za co? – czekała na specjalny toast.

– Za nas!

– Za nas! – powtórzyła wyjątkowe słowa, potem wypila małymi łykami cały kieliszek.

– Częstuj się i tylko nie mów, że nie jesteś głodny. Wyrwałam cię z pracy, na pewno nie jadłeś obiadu – powiedziała, jak żona.

– Zawsze jem późne obiady – problem ze wstydlivym jedzeniem wrócił, bał się przeżuwać cokolwiek w obecności pierwszej kobiety, do tego w tak wyjątkowej chwili.

– Dobra, dobra, masz zjeść i koniec. Zostawiam cię tu samego, możesz ciamkać. Muszę się wykapać, bo aż się spociłam od twojego tempa – uśmiechnęła się, pocałowała Jerzego w policzek i wyszła do łazienki. – Włącz sobie telewizor, jak masz ochotę, chwilę mi to zajmie – krzyknęła z łazienki.

Jerzy tylko rzucił okiem na skrzynkę przypominającą kredensik i od pierwszego spojrzenia nie miał ochoty dziwadła dotykać. Przypomnił sobie dzieciństwo i nieustające pytania o radio, miał wstręt do wszystkiego, co było meblem wydającym dźwięk, a do obrazu nie tęsknił. Skorzystał z innych atrakcji. Wódka i zagrycha, ostrożnie dawkowana, aby nie wyjść na niedożywionego pijaka, pochłonęła go teraz bardziej niż najważniejsze z najważniejszego.

– Dobrze się stało – szepnął po drugiej porcji wódki pod drugą kanapkę. Alkohol zaczął pracować szybko i klasycznie, pojawił się nagły przypływ odwagi i wesołości. Znow się cieszył, że osiągnął wszystko i przestał się martwić, że najtrudniejsze dopiero przed nim. Z pijackiej uciechy i bohaterstwa zerknął raz jeszcze na gadający mebel i tym razem zaciekawiał się dziwadłem. Podszedł do drewnianego cuda przypominającego przedwojenne radio rodziców, ale tylko z daleka można było szukać podobieństw. Z bliska telewizor miał przykrywkę jak adapter, wielkie, kwadratowe, wylupiające szklane oko i zadnych pokręteł na wierzchu.

– Wisła – przeczytał głośno napis na drewniano-szklanym pudle. – Głupiej nie można było tego nazwać – mruknął i powoli zaczynał się irytować. – Włącz sobie telewizor? Gdzie? Jak? – pytał. W końcu nabrał więcej odwagi i podniósł drewnianą pokrywę nad ekranem, wtedy zagadka rozwiązała się pięcioma pokrętłami. Odrobinę poruszył każdym, ale już wcześniej coś zaczęło w skrzynce syczeć. Po dłuższym szemraniu i bzczeniu zaświeciło kwadratowe oko i drewno odezwało się pełnym szumem. Tylko śnieg na szkle i kipienie w drewnie, tyle zobaczył i usłyszał w telewizorze. Przestraszył się, że psuje wynalazek, odkręcił w drugą stronę wszystkie pięć pokręteł w nadziei, że pudło zamilknie i zgaśnie. Nie zgąsto, ściemniało i psyknęło ciszej, nic więcej. Z łazienki zaczęły dochodzić inne dźwięki. Anna kończyła kąpiel i zbierała się do wyjścia.

– Kurwa mać – jęknął przerażony, odruchowo odstawił wieko pudełka na swoje miejsce, wówczas na moment błysnęło i w końcu wszystko zamarło, a Jerzy odżył. Nie wiedział, co się stało z telewizorem, już go to nie zajmowało, ucieszył się, że zdążył zatrzeć ślady. Usiadł na miejsce i zaczął sięgać po karafkę, gdy zaskrzypiały drzwi. Cofnął się z pomysłem i czekał grzecznie na powrót kobiety, która do końca miała być jego.

– Nic nie zjadłeś! Nie wygłupiaj się – powiedziała, zdenerwowana na swojego mężczyznę; w szlafroku z mokrymi włosami wyglądała i pachniała najpiękniej.

– Zjadłem – odpowiedział.

– Faceci tak nie jedzą, nawet kobiety tak mało nie jedzą. Nie smakuje ci? – spytała, sięgając po karafkę.

– Smakuje, bardzo dobre, po prostu mało jem i zwykle późno.

– Z telewizorem się wygłupiłam. Nic o tej porze nie ma, śnieg i szum. Pewnie sobie myślisz, że jestem nowobogacka snobka?

Wódka popłynęła do kieliszków, do Jerzego przyjechał talerz z kanapkami. Mógł pić, ale miał zagryzać, tyle się dowiedział z miny Anny.

– Skąd? Fajna rzecz, gadający mebel – nieszczerze pocieszał, chociaż jak tylko wszedł do mieszkania, wiedział, że to komnaty kobiety lubiącej wygodę, luksus i pieniądze.

– Dobre, gadający mebel. Za twoje poczucie humoru!

– To zły toast, nie pasuje do okazji – zaprotestował głośniejsz, niż chciał. – Wypijmy za najważniejsze!

– A co jest najważniejsze? – pogubiła się w wydarzeniach dnia i wieczoru.



– Po prostu wypijmy za najważniejsze – odpowiedział tajemniczo i oboje przechyliłi szkło. Jerzy miał już swoje kieliszki w głowie, Annie odłożył się koniak i dwie wódki, nawet przedzielone kapielą nie dały o sobie zapomnieć.

– Chcesz się też wykąpać? – Głos nasączony alkoholem i chwiejnymi słowami składał propozycję niemożliwą do odrzucenia. – W łazience znajdziesz drugi szlafrok.

Dopiero pod koniec wieczoru i na dnie karafki Jerzy zauważył wyraźnie: idealne, podwójnie drżące „r”, które musiał słyszeć od dawna i na które czekał przez dwa dni. „R” podziało, najpierw toastem, potem już wszystkim i tak przypomniał sobie o tym, co dopiero przed nim. Łazienka i kąpiel wydawała się dobrym wstępem, musiał poskładać ostatnie myśli z pierwszymi lękami. W jaki sposób on i Anna mają się zmierzyć z najważniejszym i jak do tego dojdzie? Czy tak jak w parku? Bezwładnie? Samo? Kąpiel dawała czas, aby ochłonać, przygotować się, zapomnieć o wyglupach z telewizorem. Przypomnieć sobie „r” i nie pozwolić wódce wyparować.

– Dobry pomysł.

– Trafisz? – usłyszał, gdy już wyszedł z pokoju.

– Trafiłem biodrem w umywalkę. Chyba dobrze trafiłem, mogłem gorzej! – odrzyknął i nie mógł widzieć, jak Anna z uśmiechem pokiwała głową. Kąpiel w prawdziwej wannie, w normalnej łazience, nie – jak zawsze – w misce postawionej w przedpokoju lub kuchni, sprawiła, że poczuł się fantastycznie, jak mężczyzna, który zasługuje na najlepsze rzeczy i najwspanialszą kobietę. Abnegat był królem życia, odkrywającym jego prozaiczne uroki. Łazienka i telewizor zamiast wychodka i starej kuchenki, duże, czyste mieszkanie, nie nora na drugim piętrze z widokiem na graciarnię rozgrzebywaną przez dzieciaki. Wiecznie umorusani chłopcy i dziewczynki, tak podobnie ubrudzeni i ubrani, że nierozpoznawalni, bezpłciowi. Skończył kąpiel i tylko szlafrok nie dla mężczyzny, wystarczyło, że spojrzął na ten wór, żeby ubrać się z powrotem w spodnie i koszulę.

– Wykąpałeś się? – upewniała się, zdziwiona widokiem Jerzego, który przed i po kąpielu wyglądał niemal tak samo, z wyjątkiem mokrych włosów zaczesanych do tyłu.

– Tak, dużo lepiej, po całym dniu taki komfort – nie domyślił się, że chodzi o szlafrok i ona dała sobie spokój z cywilizowaniem mężczyzny, tym bardziej, że właśnie surowość imponowała i fascynowała.

– Tak sobie pomyślałam, że jutro musisz wstać do pracy, ja mam coś do zrobienia dopiero po południu – powiedziała, przygotowując się do właściwej uwagi.

– Nic nadzwyczajnego, dopiero przed dziesiątą.

Wszystko psuł, nie wyczuł zmiany nastroju. Zerknął na karafkę, gdzie zostało jeszcze trochę wódki i tyle właśnie miał ochotę wchłonać.

– Nocny rycerz z ciebie – uśmiechnęła się zrezygnowana. Zauważyła spojrzenie Jerzego i rozlała ostatnie kieliszki.

– Masz ładne mieszkanie, rzadko się takie widuje – tuż po przełknięciu rzucił, jak zawsze gdy nie wiadomo, co powiedzieć.

– Ładniejsze ode mnie? – śmiała się. Przechyliła zawadiacko głowę, czekała na komplement.

– Od ciebie nie ma ładniejszych mieszkań. – Anna zaniósł się śmiechem. Nie wiedziała, czy to niezręczność, czy osobliwe poczucie humoru, ale spodobało się jej tak, jak zostało powiedziane.

– Mogę się do ciebie przytulić? – już była przy nim zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Usiadła na kolanach i wtuliła w pierś, teraz jeszcze bardziej pachniała alkoholem i sobą.

– Cieszę się, że jesteś, nie wierzę w to jeszcze, ale cholernie się cieszę. – Głos Anny łamał się od alkoholu i wrażeń.

– Ja też w to nie wierzę, ale stało się i jest i bardzo dobrze jest – uniósł głowę, spojrzął na Annę.

– Chodźmy spać, chcę zasnąć przy tobie – patrząc w jego oczy po prostu powiedziała, że chce spać. Tak chciała powiedzieć, ale pragnęła inaczej.

– Prześpię się tutaj, strasznie chrapię – przyszła chwila, której się bał. Anna nie powiedziała złych, brzydkich i nieczystych słów, ale bronił się przed takim finałem. „Chodźmy spać” straszło: „idźmy do łóżka”, „prześpij się ze mną”. Chciał, aby się zdarzyło coś niezwykłego i samo, niewładnie osunęło prosto w dłoń.

– Przestań się wygłupiać, ty zrobiłeś ze mnie nas, teraz wszystko musimy robić razem. Razem pijemy, razem jemy, razem mieszkamy i razem będziemy spać – wstała, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą do sypialni. – Poczekaj, zgaszę tam światło – wróciła do pokoju, zostawiając Jerzego samego w dużej, pachnącej sypialni, pachnącej nie tylko czystością, ale czymś jeszcze, świeżym, dobrze znanym zapachem, którego teraz nie umiał rozpoznać. Wróciła Anna.

– Naprawdę chrapię – powtórzył nijakie tłumaczenie, nie pasujące do wszystkiego, co się w ostatnim czasie wydarzyło i przede wszystkim do tego, co miało nadejść.

– Ja też chrapię – zapaliła nocną lampkę. – Zgaś światło i odwróć się na chwilę – Anna przygotowała mały spektakl. Taki sam, jaki odgrywają kobiety, które bardzo chcą pokazać, że są porządne, zanim zrobią coś nieprzyzwoitego. – Już możesz.

Odwrócił się i zobaczył ją schowaną w pościeli. Szlafrok leżał na dywanie. Usiadł na brzegu łóżka, przytulił się.

– Chyba nie będziesz spał w spodniach? Chodź już – usłyszał niecierpliwy głos pachnący alkoholem.

– Odwróć się i zgaś lampkę – zrewanżował się tymi samymi prośbami, zrobiło się ciemno, pachniało czystością, tą z łazienki i pościeli. Wszedł do łóżka, położył się na wznak, z daleka od niej. Odległość była bezpieczna, ale szybko i sama zmniejszała się podwójnie z każdym oddechem Anny i Jerzego. Nie zbliżali się do siebie, to przestrzeń się zmniejszała, sama, z własnej woli. Po kilku oddechach ramiona zetknęły się ze sobą, po kolejnych ręka Anny obejmowała Jerzego, by za kilka westchnień jego dłoń ułożyła się w jej włosach. Oddychali oboje i coraz szybciej, potrzebowali tyle samo powietrza i coraz mniej czasu, aby spotkać się ze sobą w upragnionych miejscach. Pocałunek na jeden oddech, wyznanie na dwa, potem już nie liczyli, spotykali się częściej i wszędzie. Anna chciała, żeby ten jeden raz był drugą szansą na pierwszy raz, taki, jaki być powinien i jakiego nigdy wcześniej nie było. Jerzy uwierzył, najpierw wiarą w siebie, potem zaufaniem do kobiety, z którą pogubił się w łapczywych pragnieniach. Szukał od szyi, wracał do ust, nosa, oczu, czoła, by znów zejść niżej, przygarnąć piersi, przytulić do siebie, potem położyć głowę. Każdy ruch był ostrożnym gestem, święty szacunek dla jej czystości, muśnięcia bez szarpnięć, pocałunki bez uścisków. Po każdej czułości sprawdzał, co odpowie jej ciało. Cofał dłoń, gdy zbłądził, zapamiętywał te miejsca, gdzie oddech przyspieszał, a ciało poddawało się dotykowi. Ręce na piersiach i usta na szyi dawały wytchnienie, tam zawsze mógł wracać, tam się nie mylił. Nauczył się tego i korzystał, znajdował dłonie Anny na swoich plecach i we włosach, na karku, czekał na jej usta i sam z ustami przychodził. Przed splotem decydującym o jej czystości i jego męskości długo gładził drżący brzuch Anny, schodził w dół jeszcze wolniej niż wtedy w parku ona osuwała się po nim, aż do piersi. Dotarł, poczuł wilgotne ciepło i ona dotknęła jego. Zbyt wiele stało się w jednym wyjątkowym czasie, cofnął jej dłoń, unikając nieszczęścia. Nie zrozumiała, chciała spytać, nie pozwolił, całował i pieścił, aby zapomniała. Pilnował się, myślał o sobie, teraz już myślał tylko o sobie, aby się przygotować i wytrzymać tyle, ile mężczyzna powinien. Przechylił się na jej brzuch, był gotów, poprosił dłońmi jej uda, by zrobiły dla niego miejsce, pocałunkiem podziękował za zgodę. Odpoczął chwilę, znów uciekał przed nieszczęściem, zacierał ślady wracając do piersi. Uspokoił się, by jeszcze raz dotrzeć do niej i do siebie. Wejść na szczyt męskich ambicji, być najlepszym, triumfować, potem szybko przeskoczyć na wierzchołek kobiecej czystości. Po kolei zdobyć wszystko, nic

nie uronić z idealnej całości. O tym pomyślał i dotknął sobą swoją kobietę, od tej chwili wszystko, co najważniejsze, miało być tylko ich, tylko Jerzego i Anny. Pomogła mu, ze wszystkich oddechów i tak, żeby niczego nie zauważył, co mógłby sobie potem wyrzucać jako niedoskonałość. Uniosła biodra jak kobieta, która dobrze zna swojego mężczyznę, wie, gdzie na niego czekać, rozpoznaje każdy ruch i wcale nie jest znudzona, czeka na wszystkie jego czułości i pragnie tylko takich.

– Teraz już będzie dobrze – pomyślał. Był pełnym mężczyzną z czystą kobietą. Drzenie, głos i ciało Anny dostały Jerzego, jakiego naprawdę chciała. Kochali się, on potrafił od pierwszego razu, ona pierwszy raz zapominała o wszystkich, którzy byli nieważni. Anna krzyknęła, on już nie powstrzymał jej rąk i bioder, stał się mężczyzną Anny, a ona jego kobietą. Wydarzyło się i trwało, oboje nie mieli dość siebie i z taką samą ostrożnością, gwałtownie przechodzącą w bezkarność spotykali się tej nocy wiele razy. Ta noc była początkiem wielu dni, miesięcy i lat, wtedy Jerzy obronił wszystko, co zdobył. Tamtą noc będzie pamiętał i bez powodzenia starał się zapomnieć.

Obudzili się wcześniej niż Jerzy musiał wstać, wczorajszy alkohol nie upominał się o swoje należności, a huczny wieczór nie był powodem do cichego wyjścia nad ranem. W parę dni i jedną noc życie Anny i Jerzego ułożyło się w życie Jerzego i Anny. Byli idealną parą, udawało im się za każdym razem, razem jedli, razem pili, razem spali, razem się budzili, byli razem.

– Ten zapach to przecież ona – pomyślał mężczyzna o kobiecie.

– Dlaczego mi nie powiedział? Głupia jestem, przecież wiadomo – zastanawiała się i już po chwili głośno podzieliła myślą – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Co takiego?

– No wiesz – popatrzyła ze zrozumieniem, ale i odrobiną wyrzutu.

– Nie wiem.

– No, że jesteś, nie umiem ci tego powiedzieć, przecież wiesz, że to żaden problem – starała się być bardzo delikatna.

– Myślałem, że tego nie będzie widać. Było, prawda? – spytał tak, jak wcześniej pytała ona. Głosem pełnym nadziei, że usłyszy coś, na co być może nie zasługuje, ale bardzo chce.

– Nie było, ale przecież...

– Nie musisz mnie przeceniać, cieszę się, że ty byłaś pierwsza. Nie martw się, szybko się uczę. Za każdym razem będzie coraz lepiej. Obiecuję. – Coś się psuło. Bał się o siebie i o nią, kpił na siłę. Było tak idealnie i nagle pojawiły się skazy, Anna zaczęła porównywać i mogła się pobrudzić doświadczeniem. „Obrotna”, zabrzmiał w głowie śmiech pana Staszka.

– Nie wygłupiaj się, nie musisz. Byłeś cudowny, jesteś taki. Każda kobieta chciałaby teraz być mną, teraz i przedtem, w nocy. Wiem, jak się zawsze mówi i pociesza, ale ja ci dziękuję, nie chwale. Dlaczego mi nie powiedziałeś, przecież widzę, że to dla ciebie problem. Najpierw ten szlafrok, potem koszulka i spodenki w łóżku, nie musisz przede mną niczego ukrywać. – Ona mówiła, a on już nie wiedział, jak odpowiedzieć, nie miał pomysłu, o czym mówi jego kobieta i czym chce go wystraszyć.

– Aniu, nie wiem o co chodzi? Koszulka i spodenki? – odsunął kołdrę i pokazał się odważnie. Spojrzała mu w oczy, potem wzrokiem zjechała w dół i po chwili dotknęła go tam, gdzie polubił najbardziej.

– Taki rycerzyk z otwartą przyłbicą jest ładniejszy, naprawdę bardziej mi się podoba. To nie jest żaden problem – potrząsnęła rycerzykiem i roześmiała się zyczliwie. Wreszcie zrozumiał i uspokoił się, pamiętał inną niż ta scenę, był chłopcem, wówczas kobieta na widok jego nagości zareagowała krzykiem i modlitwą. Teraz usłyszał, że nie ma problemu, w każdym wymiarze męskości. Wyobrażenia o idealnym rozstrzygnięciu nie sięgały takiej doskonałości, jaką okazała się cudowna, idealna rzeczywistość.

– Kocham cię – nic innego nie umiał i nie chciał powiedzieć.

- Ja ciebie też, ale masz mi zawsze wszystko mówić, ja wszystko zrozumieć – powiedziała, bardziej jak matka niż żona.
- Wszystko już wiesz, nikt nie wie tyle, co ty i nikt nie będzie tyle wiedział – pocałował swoją kobietę i jeszcze raz zgubili się w dotykach.
- Wykończyłeś mnie. Mam w sobie miliony twoich okruchów – uśmiechnęła się i położyła głowę na jego ramieniu.
- Miliony? Chyba miliardy?
- Przepraszam, źle policzyłam.

W sypialni, pachnącej czystością rozległ się głośny i nie do powstrzymania śmiech: szczęśliwej kobiety i spełnionego mężczyzny.

16

W swoim gabinecie w grudniowy poranek 1967 roku siedział zdenerwowany redaktor Gdula. Pękł kaloryfer, było nieludzko zimno, mimo to podminowany redaktor luzował krawat przy rozchełstanej koszuli. Irytował się czymś więcej niż kapiącą do miski brunatno-rdzawą wodą, złościła niepewność, czekał na bardzo ważną decyzję, która miała przesądzić o jego karierze w redakcji, o jego nowym stanowisku. Równie mocno wkurzali hydraulicy i jeszcze do tego napatoczył się pan Staszek ze swoimi dobrymi radami. Wszedł właśnie przez drzwi, które nieustannie były otwarte za przyczyną bezsensownie biegających majstrów. Najpierw wparował, a potem się zatrzymał i stał przyczajony. Legowicz nie był osobnikiem pozbawionym inteligencji, przeciwnie, miał nie tylko tak zwany „swoją rozum”, ale zawsze kilka pomysłów, aby nie dać sobie zrobić krzywdy. Czał się, ponieważ doskonale wiedział, że jego obecność jest męcząca z racji częstych wizyt i ogólnego rozgardiaszu, wiedział coś więcej, coś, co kazało mu podjąć ryzyko wizyty. Miał świadomość, że walczy o własny redakcyjny byt. Podeszedł z jakimiś papierami prosto do biurka redaktora Gduli i swoim ulubionym szyfrogramem wyszeptał pierwsze zdanie.

- Panie Jurku, co ma być źle? Jak nie teraz, to kiedy? – wydusił z siebie minę zadowolonego sojusznika.
- Co pan tu przyniósł, co to jest?
- Tak wzięłem. Wie pan, po co mają ci robotnicy coś, wie pan, panie Jurku... tak, że niby przyniosłem ważne dokumenty – ciągle szeptał, chociaż akurat żadnych robotników w gabinecie nie było.
- A rzecz w czym? Stało się coś? Jeszcze coś?
- Palce zaciskam, wie pan, co by to było, gdyby stary wrócił? My obaj, my razem, strach myśleć, przecież tak daleko zaszło, że niepodobna się cofnąć. – Legowicz żarliwie wykladał, że sprawa dotyczy „nas”, jest wspólny interes, apelował pełną mocą o czujność.
- Panie Staszku, co to panu daje? Co to mnie może dać? Czekamy, tak? No! To po jaką cholere do kaloryfera i tych nierobów w drelichach jeszcze i to dokładać? Czekamy, to co mi pan tu przylatuje do ucha z byle czym? – Jerzy uniósł się i podniósł głos, miał dość wszystkiego.
- Racja, panie Jurku, słuszność, sama racja. Ale pan wie, że ja z solidarnego poczucia i przecież nie dla siebie, nie dla siebie, na miły Bóg. – Do oczu Legowicza nadciągała mżawka, tłumaczył się jak dziecinniejały staruszek i oczywiście kłamał w każdym słowie. Przeszedł tu tylko dla siebie, zawsze wszystko robił dla siebie.
- Ja wszystko wiem, a jak czegoś nie wiem, pan mi zaraz mówi, ale nie dziś i nie teraz. Widzi pan, co się dzieje, widzi pan, że nic nie wiem jeszcze. Jak się dowiem, przecież do pana zadzwonię. Tak się umawiamy i trzymamy się umowy, w przeciwnym razie szlag mnie trafi.
- Cała mowa na jednym oddechu zrobiła wrażenie. Starszy kolega zrozumiał, że nic tu po nim, zwłaszcza, że w drzwiach stanęło dwóch rozbawionych robotników o zmęczonych tanim

trunkiem próchnicznych twarzach. Pan Staszek kiwnął pokornie głową, pozabierał kwity robiące za rekwizyty i poszedł w swoją stronę.

– A Zygmunt co na to? – spytał rozbawiony, chudy i okrutnie brzydki typ w drelichu.

– Zygmunt? Wiesz, jaki jest?! Robotę dokończył i jeszcze frajerowi mordę obił! – odpowiedział niższy i mniej brzydki i ryk zamiast śmiechu obijał ściany gabinetu. Zaryczeli obaj, ale po chwili chudy, wysoki i brzydszy zauważył detal.

– Jechał ze zdziwą na oczach frajera? – zaskoczenie przechodzące w oburzenie zmieniło twarz brzydszego w twarz zdziwioną.

– Co ty taki, kurwa, dziwny jesteś? Sam byś kończył w połowie? Łachmyta honoru nie miał, jakby mnie tak stara wystawiła, mordę bym skuł zdzirze i frajerowi. A ten skamlał, to się Zygmunt wkurwił. Masz pojęcie? – mniej brzydki klarował z coraz większą pasją. Bluzgający hydraulicy kompletnie nie zwracali uwagi na obecność redaktora, traktowali go jak kaloryfer, czuli się u siebie.

– Panowie - czy to potrwa chwilę, czy może dwie? – Jerzy nie wytrzymał, musiał powiedzieć chociaż połowę z tego, co myśli. Odważna reklamacja od razu spotkała się z fachową ripostą.

– Panie kierowniku, robimy, tak? Potrwa, że skończymy i będzie. Sam pan widzisz, gwintować trzeba, nie tak hop na krowę, nam żadna przyjemność tu siedzieć od rana – brzydszy odrzucił reklamację.

– Dobra, róbcie panowie swoje. – Złość poddała się rezygnacji, Jerzy ucieszył się z tytułu kierownika. Normalnie nienawidził tego proletariackiego żargonu, teraz kierownik brzmiał proroczko, właśnie na takie rozstrzygnięcie czekał.

– Przecież, że robimy. Chodź, Wacek, po pakuły – brzydki zagadał do kolegi i jeszcze w drzwiach warknął pod nosem, nie dbając czy po gabinecie się rozniesie. – Strażak, kurwa go mać, pali mu się!

Jerzy usłyszał, co fachowiec o nim sądzi, i dał za wygraną, teoretycznie mógł im, w ich języku, zrobić koło pióra, jednak inną przyjął strategię. Nie miał ochoty na dwóch następnych, co rozbabrzą robotę od początku. Postanowił przecierpieć z tymi chamami, których dostał, nie ryzykując kolejnych. Na biurku podskoczył telefon, Gdula natychmiast sięgnął po słuchawkę, liczył na wieści.

– Redaktor Gdula – powiedział krótko

– No i co, wiesz już coś? – odpowiedział kobiecy głos.

– Gówno! – rzucił poirytowany i zawiedziony.

– Czego się wściekasz, martwię się przecież. Miałaś zadzwonić – głos przeproszał i prosił.

– Kiedy?! – warczał do słuchawki.

– Jak będziesz coś wiedział – kobieta odpowiedziała cierpliwie, spokojnie i prosząc o panowanie nad emocjami.

– Umowa stoi! Nie zawracaj mi głowy. Będę wiedział, to zadzwonię. – Do gabinetu wrócili gawędziarze w drelichach, jeszcze bardziej rozbawieni niż poprzednio. – Muszę kończyć, nie mogę teraz – rzucił słuchawką.

– Pierdolisz, w życiu – kiwał głową brzydszy.

– Pod Bogiem ci mówię, naszczał mu Józek do butelki i ta menda wypła, do dna – mniej brzydki bronił swojej anegdoty.

– Szczyzny nie poczuł? Pierdolisz! – brzydszy skontrolował.

– Tłumaczę ci, że do bełta mu naszczał, tak jeszcze ze ćwiartka była – ciągnął wyjaśnienia.

– Weź mi tu przytrzymaj – w jednym zdaniu zaatakował dwa razy, wskazując na rzetelność historii i na gwintowaną rurę.

– Chyba, że tak, menda kroplę bełta poczuje i wychleje. Należało się łachmycie od dawna – podsumował brzydszy.

– Mowa! Trzymasz, czy nie? Mocniej złap, bo się obraca! – znów przerwał opowieść, w trosce o rurę, ale zaraz dokończył – I w ryj jeszcze powinien brać, tyle razy, co na palec orznął, łachmyta dziadowski – zgodził się mniej brzydki.

– Rznął na palec i na łyki – skrupulatności stało się zadość, brzydszy dopilnował detali.

– A jak! – zgodził się mniej brzydki i dodał. – No, chyba, że będzie, w kotłowni zawór się odkręci i po robocie. – Hydraulicy zaczęli się nerwowo krzątać i zbierać do wyjścia.

– Kierowniku, zrobione jest. W kotłowni zawór się odkręci i będzie. Jakby co – dzwonić, ale nie ma prawa ciec – bardziej brzydki i chyba ważniejszy w tej ekipie zapewniał, że wiedzą, co robią.

– Dobrze – Jerzy nie chciał się wdawać w dyskusje.

– No to ciśniemy, szacunek, panie kierowniku – chyba żartował brzydszy, kiwając głową w stronę kaloryfera.

– Do widzenia – odpowiedział Jerzy, pozbywając się ekipy i po chwili usłyszał, jak za drzwiami znów się z czegoś śmiali, zapewne z niego.

Po majstrach zostało wszystko, co specje zwykli po sobie zostawiać, w dużym skrócie: piętrowy bajzel. Porozlewana rdzawa maź, pakuły w misce i te wystające z kaloryfera. Jerzy zgarnął z grubsza, co się dało, w tym czasie zbulgotał kaloryfer i na szczęście nie ciekł, ale też nie grzał, dalej bulgotał.

– Jakby co – przypomniał sobie słowa chamowatych brzydali i zaraz dodał – pocałujcie mnie w dupę, chamy!

Pogodził się z wyrokiem zimna, drugiej wizyty nie przeżyłby, brzydki i brzydszy napawali najpodlejszymi uczuciami, jakimi człowiek może obdarzyć kogoś, kogo za człowieka nie uważa. W nerwowym oczekiwaniu na szczęśliwy finał, inne rozwiązanie redaktor Gdula wykluczał, tym bardziej, że działy się same denerwujące rzeczy, w bałaganie i w podłym nastroju miały ciężkie do przetrwania chwile. Po paru godzinach zaczął tęsknić za robotnikami, panem Staszkiem i telefonem od żony. Wcześniej, gdy coś się działo, czekanie było znośniejszym, nawet jeśli rozgrywały się sceny mało poważne. Wszyscy zostali przegonieni lub sami odeszli i oczekiwanie w samotności okazało się dodatkową karą. Tylko ukarany nie bardzo wiedział, za co ta kara? Może tak już musi być, że nie ma nic za darmo, nawet jeśli coś spada z nieba, tak jak koniec kariery kierownika Władysława Morawskiego. Dymisja wydawała się przesadzona, chociaż poza plotkami niczego pewnego za sobą nie niosła. Ponoć Morawski naraził się komuś z ministerstwa i tak zaczęły się jego kłopoty. Jedni twierdzili, że chodziło o sprawy damsko-męskie, ściślej o córkę ministra, którą Morawski uwiódł i zostawił, co gorsza, dziewczyna targnęła się na życie. Inni, że miał awansować, ale przesadził z wykańczaniem konkurencji i w efekcie sam został odstrzelony przez kogoś sprytniejszego. Byli też tacy, co uważali, że obie plotki są prawdziwe i był Jerzy, który kompletnie nie interesował się przyczynami, myślał tylko o pozytywnym dla siebie skutku. Nikt nie miał wątpliwości, że miejsce po Morawskim zajmie Gdula, mówiło się o tym również ustami dyrektora wydawnictwa, ale sprawy się skomplikowały, gdy sam szef wydawnictwa wpadł w podobne zawirowania i walczył o własną pozycję. Od personalnych gier zależała najbliższa przyszłość Jerzego i tym się niepokoił pan Staszek, który już kilka zmian kadrowych w tej firmie przeżył. Odezwał się telefon.

– Panie Jurku, niech pan się gotuje, dyrektor Kempa do pana idzie – głos w słuchawce śpieszył się i nawet nie czekał, aż Jerzy zwyczajowo się przedstawi.

– Kto mówi? – warknął do telefonu.

– Staszek przecież, panie Jurku, Legowicz – śpieszył się jeszcze bardziej. – Niech się pan szykuje!

Ledwie Gdula odłożył słuchawkę, do gabinetu wszedł starszy, wysoki, tęgawy i zupełnie łyсы jegomość, który postawił podwładnego na baczność.

- Siedzicie, siedzicie, redaktorze, to tylko ja – olbrzymie, krzaczaste brwi zatrzepotały zabawnie, potem Kempa skrzywił się w uśmiechu i jeszcze coś dodał. – Ależ tu u was zimno.
  - Przysiadł się do biurka, machając ręką, aby redaktor też wreszcie usiadł.
  - Kaloryfer reperowali, panie dyrektorze i właśnie takie porządki po majstrach – lekko łamliwym głosem tłumaczył się w zwyczajowy dla pracownika sposób, całą winę zwał na jeszcze niższych rangą.
  - Nic nie mówcie, cholera człowieka bierze na ten proletariat. Od rana na gazie, dajcie spokój, mnie zaraz wątroba gnije z takich wizyt – chyba współczuł Jerzemu.
  - Niestety, trudno się nie zgodzić, panie dyrektorze, sama racja – redaktor Gdula zbierał punkty i zaciskał z nerwów palce. Zaboląta go „sama racja”, przed chwilą identycznie wazelinował pan Staszek.
  - Tak jest, ale oczywiście nie o hydraulice chciałem. Wiecie, redaktorze, jak jest, co ja będę, sami słyszycie, co się mówi, jak się mówi. Tak czy owak, Zenon Nowak, wychodzi, że Władka już nie ma, kierownika Morawskiego znaczy się. Tak się porobiło, no i co by tam nie mówić, kierownik jest potrzebny na już. Dlatego ja do was, redaktorze, przychodzę i mówię wprost, czasu szkoda, przejmujecie obowiązki. Tak bym rzecz widział, redaktorze – nie zabrakło trzepotu i skośnego uśmiešku. Skończył długi, jak na Kempę, i chaotyczny jak zawsze wywód. Już po chwili mówił dalej, trzepocząc krzakami brwi. – Gratuluję, redaktorze, tak, gratuluję! – zerwał się z krzesła i podał rękę.
  - Dziękuję, panie dyrektorze, nie spodziewałem się, naprawdę olbrzymie wyróżnienie – gęsta atmosfera krótkiej rozmowy miała jakiś nerwowy podtekst, tyle przeszło po głowie Jerzego. Henryk Kempa nie wyglądał na człowieka zadowolonego z siebie. Nie wykazywał wobec pracownika żadnej wrogości czy lekceważenia, jednak myślami był gdzieś daleko, wiercił się na krześle i zerkał w stronę drzwi. Sprawiał wrażenie, że robi coś na siłę i sam nie wie, czy po tym, co odbębni, będzie miał święty spokój. Gduli cały czas odbijały się zwroty Legowicza, po „racji”, przylapał się na wielokrotnie powtarzanym: „panie dyrektorze”. Identycznie odzywał się wiecznie ciekawy starszy redakcyjny kolega, z tym, że pana dyrektora zastępował „panem Jurkiem”.
  - No tak, rzeczywiście, rzeczywiście. Tak też będę wracał do siebie. Oczywiście gabinet po Morawskim do waszej dyspozycji, cieplej tam będziecie mieli – brwi znów radośnie zatańczyły na skroniach łysego wielkoluda.
  - Panie dyrektorze, wołałbym, jeśli to nie kłopot, zostać tu u siebie. Jakoś tak, tyle lat w tym miejscu, już z przyzwyczajenia wołałbym – spojrzał w oczy zaskoczonego Kempy i zobaczył zgodę. Na potwierdzenie dostał kilka trzepotów i skinienie głowy. Dyrektor miał swoje sprawy na głowie, nie zamierzał się przejmować takimi fanaberiami podwładnego.
  - Ten kaloryfer, redaktorze, gulgocze, musicie odpowiedzieć, koniecznie tak z nim – wyciągnął rękę do pożegnania.
  - Nie pomyślałem o tym, tak zrobię. Dziękuję!
- Skończyła się krótka rozmowa, a po niej Jerzy postawił wielki krok do przodu. Długo, bardzo długo, od czasów oficerskiej wielkości, nie było takiego awansu. Wiele wody w kaloryferze nie upłynęło, gdy w gabinecie zjawił Legowicz.
- Gratuluję, panie Jurku, tak panu powiem, że szczerze gratuluję. Cieszę się ze sprawiedliwości, dawno się panu należało, daaawnooooo – potrząsał ręką Jerzego, a drugą dłonią klepał po ramieniu.
  - Dziękuję, panie Staszku, cieszę się, że na pana mogę liczyć. Sporo roboty przed nami, pan tu oczywiście niezbędny. – Udało się uwolnić rękę, ale Legowicz tuż po zapewnieniach Jerzego znów się rzucił z uściskami.
  - Dziękuję, panie Jurku, honor, wielki honor pod takim kierownictwem – wzruszył się szczerze.

– Pan wie, jak się odpowietrza kaloryfer? – spytał świeżutki kierownik redakcji, a pana Staszka w chwili tak podniosłej zamurowało prozą życia.

– A ci hydraulicy, oni nie zrobili? – zacinał się.

– Daj pan spokój, żebym sam miał naprawiać, nie chcę łajdaków widzieć – spojrzał ze wściekłością na bulgoczące, zimne żebra.

– Sama racja, straszny ból z takimi. Rurę trzeba poluzować i powietrze zejdzie. Klucz potrzebny, taki specjalny, niezbędny jest – oznajmił fachowo.

– Pan ma taki klucz?

– Nie, skąd! Ale konserwator będzie mieć na pewno. O! Panie kierowniku, konserwatora panu podeślę – kierownik wcale nie wyrwał się Legowiczowi, był mierzonym komplementem.

– No, niech będzie – zgodził się Jerzy, zadowolony z tytułu przystałby na znacznie więcej.

– Ale, panie Jurku, pan nie do gabinetu Morawskiego? Należy się przecież, z urzędu – jak mu się wydawało, rzucił błyskotliwą myśl.

– Wie pan, była propozycja, ale jakoś tak, sam pan rozumie: w jednym miejscu tyle lat, łatwiej zmienić tabliczkę niż gabinet – wyjaśnił Gdula, patrząc na zaskoczoną minę doświadczonego redaktora, widział jak szybko się zbiera, żeby nie popełnić gafy.

– Panie Jurku, kto by w tej firmie jak pan? Gdzie by kto czego nie wziął? Panie Jurku, pan naprawdę, dawno się panu należało, choćby i za to.

Legowicz wcześniejszy grymas przypudrował wazeliną, rehabilitując się za niepotrzebne zdziwienie. Wyszedł szczęśliwy, ułożyło się najlepiej, kolejne przeciągi w Wydawnictwie MON nie tknęły go, co prawda tkwił na skromnej, jednak wiecznej posadzie redaktora. Zawdzięczał tę ciągłość pokorze i intuicji, zawsze wiedział, kiedy i komu się pokłonić. Sama umiejętność bicia pokłonów to podstawowa cnota, ale trzeba było ten talent zgrać w czasie i dopasować do osoby. Gdyby nierozważnie ukłonił się Morawskiemu zamiast Gduli, dziś miałby ciężki dzień. Jerzy wiele zawdzięczał panu Staszkiemu, od niego dowiedział się o wszystkich plotkach. On podpowiedział, jak ten czas przetrwać i odgadł bezbłędnie cały ciąg zdarzeń, poczynając od dymisji Morawskiego przez awans Gduli i na utrzymanym stanowisku dyrektora Kempy kończąc. Przypomniał o sobie telefon.

– Gdula, słucham – spokojnym, dostojnym, po prostu kierowniczym głosem zwrócił się do słuchawki.

– Tylko się nie wydzieraj – prosił kobiecy głos po drugiej stronie.

– Co tam?

– To ja pytam, co tam? Powiesz wreszcie?

– Był Kempa, zostaje na stołku – odpowiedział obok najważniejszej informacji.

– Kto zostaje? – spytała z niepokojem.

– Kempa.

– A ty?

– Ja też zostaję na starym stołku... – urwane zdanie wyciszyło telefon, zapadła kompletna cisza.

– To niemożliwe, przecież Kempa, to niemożliwe! – Anna krzyczała do słuchawki.

– Dostałem kierownika redakcji, ale zostaję w tym samym gabinecie – odpowiedział po chwili. Taki dowcip Annie nie przypadł do gustu, w ogóle nie miała ochoty na żarty.

– Uważasz, że jesteś oryginalny. Miałeś dzwonić! – wrzasnęła.

– O co ci chodziło z Kempą? – Jerzy zmienił temat, nie na siłę, naprawdę chciał wiedzieć.

– Miałeś zadzwonić, o to mi chodziło – słuchawka trzasnęła.

Chłodno potraktowany rozmówca nie zmartwił się biegiem nerwowych wydarzeń, odpoczywał po dniu pełnym rzeczy niepotrzebnych i jednej rzeczy bardzo ważnej. W końcu znalazł potwierdzenie swoich talentów i aspiracji, nagrodę za inteligencję, która we własnej ocenie przechodziła w genialność.



– Przyszło, co od dawna się należało! Zgoda, panie Staszku! Podpisany awans. Wniosek z tego taki, że nie wystarczy być genialnym, trzeba to jeszcze mieć na piśmie – bezgłośnie radość odmalowała się na twarzy kierownika Gduli, pewnego własnej wartości. Kaloryfer nadal denerwował swoją monotonię rozwodnioną i zapowietrzoną melodią, bałagan nie zniknął, żona się obraziła, tylko Legowicz i szef „Labiryntu” Jerzy Gdula okazali radość ze swoich osiągnięć. Szczęśliwym nie wydawał się dyrektor Kempa, co zastanawiało, jednak nie na tyle, żeby psuć odpoczynek i zadowolenie. Emocje puściły, a w pustce po nich miejsce zgłosił się chłód. W gabinecie od rana trudno było wysiedzieć, lecz dopiero teraz Jerzy poczuł, jak bardzo jest zimno i natychmiast zaczęły mu drętwieć ręce. Otulił się marynarką, poprawił koszulę i rzucił na czajnik z wodą, aby nastawić herbatę.

Za oknem przed zimą uciekali ludzie, każdy w swoim tempie, niektórzy z bagażem. Kobieta, targająca siatki, zachwiała się na śliskim chodniku, machnęła w powietrzu jedną nogą i w ostatniej chwili złapała równowagę. Z przeciwnej strony szedł staruszek, celował laską w trotuar, ostrożnie odmierzając każdy krok, dłonią przytrzymywał kapelusz. Nie wyglądał, on się prezentował; statecznie i godnie walczył z ułomnością, świadomy i pogodzony ze swoim wiekiem. Biegające dzieci usiłowały przesunąć podszewkami po mokrym śniegu, tak aby poczuć się przez chwilę jak na nartach albo łyżwach i zapomnieć o tym, że buty trzeba szanować, a narty i łyżwy są poza zasięgiem marzeń. Samochody odgarniały padające płaty, zginając łokcie wycieraczek. Jerzy przyglądał się ludziom i samochodom bez konkretnego powodu, chyba instynktownie nie chciał usiąść przy biurku, stał i przebierał nogami, tak jest odrobinę cieplej. Z obrazków widzianych za szybą nie wyciągał żadnych wniosków, o niczym nie myślał, poza tym, że jest mu zimno i może jeszcze w konsekwencji o tym, że trzeba było wziąć gabinet po Morawskim. Konserwator nie śpieszył się z wizytą, podejrzenie, że Legowicz mógł nie interweniować, byłoby więcej niż niestosownością, po prostu fałszywe założenie. W relacjach z przełożonymi doświadczony podwładny był pedantycznie zapobiegawczy, dusza człowiek, mawia się o takich panach Staszkach. Pewnie jeszcze przypilnował kilku drobiazgów, tylko jak zwykle rozmowa proletariatu z inteligencją przedłużała się we wzajemnym okazywaniu lekceważenia.

– Dziwna rzecz – pomyślał Jerzy. – Z nimi jest tak, że dopiero hierarchia uczy dyscypliny. Żaden z tych zasańców w drelichu nie odważy się przy Kempie powiedzieć tego, co wygadywali u mnie. Dyrektor to dla nich nieprzekraczalna granica, ciekawe jak jest z kierownikiem? Coś pewnie jest, w końcu „panie kierowniku”, to chyba jakaś grzeczność w myśleniu tych chamów. Szlag z nimi i z konserwatorem, ta zima się kiedyś skończy, zresztą już prawie czwarta, zaraz do domu.

Kaloryfer zmienił melodię, do starego rytmu dołączyły kapiące krople wody, miska odezwała się metaliczną perkusją, tylko podłoga bezdźwięcznie przyjmowała roztrzaskane kropelki, odbite od metalowego dna głośnego naczynia. Żeberka bulgotały, a rura... rura ciekła. Powód do złego nastroju pojawił się niespodziewanie, lecz nic nie wskórał, Jerzy lekcewał i uznawał za nieistotne okoliczności, które nie tak dawno były nieznośne.

– Niech sobie bulgocze żeberko i niech kapie rurka – powiedział głośno, patrząc na żeliwne szczeble. Wypił spokojnie herbatę, na stojąco, przy oknie i dalej obserwował zziębniętego psa, pijanego jegomościa, który zgodnie z życiowym doświadczeniem na śliskim chodniku radził sobie niezwykle skutecznie, mimo że widowiskowo. Pijany co i rusz wdawał się w taniec ze złośliwą nawierzchnią. Minęła czwarta, dno miski zapełniło się wodą, perkusja zamilkła, pojawiły się bardziej głucho i mokre nuty, ale Jerzy już nie słuchał, wyszedł z koncertowego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i wszystkie mało znaczące dolegliwości. Był zadowolony z siebie, cieszył się wszystkim i nie przejmował niczym.

– Dziś udało się odbudować kawałek dawnej pozycji, kierownik redakcji to już coś, czego nie trzeba się wstydić i od czego się można odbić, by wskoczyć jeszcze wyżej – podsumował, odwracając głowę od okna, ludzi, psów i samochodów.

W redakcji „Życia Warszawy” dziennikarka Anna Łozińska-Gdula rzuciła właśnie słuchawką i skryła twarz w dłoniach, była bardziej smutna niż wściekła. Przed chwilą wydarzył się cud, o co zabiegała od wielu miesięcy. W tajemnicy przed swoim mężem, wykonała wiele gestów, z których większość obecnemu kierownikowi redakcji wydawnictwa MON, nie spodobałaby się na pewno. Jerzy Gdula cudownie awansował, Anna Łozińska-Gdula, czekała na ten moment bardziej niż on, przynajmniej tak oceniała własne zaangażowanie w sprawę. Gdy awans stał się niebagatelnym faktem i sukcesem, nikt jej nie podziękował za udział i nie pocieszył, nawet nie rozgrzeszył. Właściwie odpuszczenia win być nie mogło, ponieważ Anna nie spowiadała się nikomu, mąż nie znał jej grzechów, ale ona liczyła na drugi cud, cudowny rewanż. Łudziła się, że więź i miłość, która kiedyś ich połączyła w okolicznościach godnych wielkiego romansu, sprosta wyzwaniu.

– On powinien czuć – rzuciła pod nosem. – Miał podziękować, zrozumieć, po co to wszystko. Wyglupił się, zadzwonił ze mnie, ocenił mnie źle – tak odebrała kpiny męża i dobrze znany sposób bycia. Ironiczny dystans, brak zdolności do okazywania uczuć, w tym wdzięczności, zabolął.

Awans redaktora Jerzego Gduli rozgrywał się od kilku miesięcy, szansa, aby w ogóle mógł zaistnieć, pojawiła się wówczas, gdy Henryk Kempa, znany Łozińskiej jeszcze z czasów, gdy była wolną i ambitną panną, został zaproszony na spotkanie z pewnym literatem. Przyjęcie odbyło się z okazji wydania książki okrzykniętej przełomem i pełnym sukcesem, zanim ktokolwiek z okrzykujących dzieło przeczytał. Autor poważny, autor z dorobkiem i szacunkiem, cieszył się powodzeniem środowiska, uznawany przez krytykę, a za sprawą krytyki czytelnik nie miał wyboru, zachwycał się twórcą i tworzywem. Było to jedno z tych spotkań, na których stawiennictwo jest nobilitacją, brak obecności co najmniej poważnym sygnałem, że pominięty „się kończy”. Nobilitacji dostąpił Kempa i Anna Łozińska-Gdula. W środowisku literatów i ludzi związanych z tym, co często i niepotrzebnie nazywano literaturą, najgorszą frazą, jaką mógł usłyszeć aspirant, było złowieszcze: „pan/pani się kończy”. Żartowano z tych słów, ale przede wszystkim każdy literat i krytyk robił wszystko, aby zdobyć taką pozycję w środowisku, która knebluje wrogom usta i słów drwiących pozwala unikać.

Anna była kimś, jej nie groził koniec i nie dlatego, że dała się poznać jako autorka cyklu kryminałów z przygodami pewnego kapitana, które to powiastki, w zasadzie pozbawione odrobiny literackiego talentu, z reguły wydawał jej mąż lub inne towarzystwo zaprzyjaźnione wydawnictwo „Czytelnik”. Nawet nie dlatego, że była znaną dziennikarką „Życia Warszawy” i często pojawiała się w Warszawskim Ośrodku Telewizyjnym, głównie jako dusza towarzystwa, czasami współpracująca, ale dlatego, że z nią trzeba było się liczyć. Każdy kto znał Łozińską, wiedział, że za tak burzliwą karierą muszą stać poważni mecenas, bo jak inaczej wytłumaczyć stałą, mocną pozycję Łozińskiej-Gduli? Niekwestionowana figura w dowolnym momencie kariery, w starych i nowych czasach, w zmieniających się układach sił towarzyskich i kadrowych. W środowisku literackim liczyli się ci, którzy mieli gwarantowany sukces, może nawet odrobinę talentu oraz ci, którzy byli nietykalni, ponieważ mieli mecenasów, dlatego talent był im niepotrzebny. Najwięksi w środowisku mieli gwarantowany sukces, widoczny talent i wielkich mecenasów, takim właśnie był pisarz i gospodarz spotkania, Antoni Maciejewski. Wyrobione nazwisko, jeśli nie numer jeden, to bardzo blisko samego szczytu. Spotkanie odbyło się na kilka tygodni przed awansem Jerzego Gduli, o czym on sam nie wiedział. Kwiat środowiska zebrał się w jednym z warszawskich lokali, gdzie człowiek z ulicy nie mógł nawet zerknąć przez firankę. Karmiono tam po królewsku, podawano kolorowe trunki, słuchano jazzu i można było spotkać kawalek zachodu, czym zezwalano się zachwycać, wręcz nie wypadało czynić inaczej.

Większość gości miała pewność, że zaproszeni byli lojalnymi zwolennikami i propagatorami obowiązującego porządku oraz w większości regularnie kontaktowali się z Bezpieczeństwem, na ochotnika lub z polecenia. Mimo powszechnej wiedzy rozmowy prowadzono odważnie, nie unikając krytyki, zwłaszcza po gatunkowo zachodnim alkoholu, uchodzącym za trunek naturalny, nie za luksus. Kpiono z tych, którzy się kończyli i krytykowano kadry, by potem przekraczających dozwolony pułap krytyki odłowić i przekazać do dyspozycji, na końcu przekazujący zajmowali miejsce po przekazanych. Świadomość tej gry mieli w zasadzie wszyscy, nie licząc pomniejszych debiutantów, którym banały w rodzaju ideałów przeszkadzały w robieniu kariery i żaden mecenas nie wziął ich pod swoją opiekę, wszak mecenas nie byli samobójcami, też brali udział w rozgrywkach i nie mogli nadto ryzykować.

Rozlokowane przy stolikach towarzystwo zamieniało słowa, ten opowiadał, że ów kupił willę, gdyż sprzedał się innemu po atrakcyjnej cenie, inny wiedział, z kim śpi żona wydawcy, inaczej debiutu tamtego tłumaczyć się nie da. Przy stoliku Anny Łozińskiej-Gduli siedział znany poeta, jego przyjaciel i żona przyjaciela, rozmawiali jak zwykle na właściwe tematy.

– Powiesz mi, Anno, co piszesz? – poeta o bezpłciowym, nijakim wyglądzie, pytał od niechcienia. Trzydzieści pięć lat, nie wyglądał na chudego, nie był gruby, twarz miał nijaką, pospolitą, w ogóle nie prezentował się jak poeta i to była jedyna ciekawa rzecz w tym człowieku.

– Nic, głównie artykuły, za chlebem, Arturze, za chlebem – usłyszał przyprawioną śmiechem odpowiedź.

– Żal popadać w prozę chleba. Co z twoją serią? Z sensacją? – monotonicznie łącząc słowa, dopytywał Artur Listner.

– Jak już pozmywane i ugotowane, coś tam tworzę, póki co w głowie, po cichu – wyjaśniła lakonicznie, nie miała ochoty na rutynowe grzeczności.

– Żartujesz sobie ze mnie, ja ci muszę powiedzieć, że czytam twoje pisanie i odnajduję świeżości. W ramach słowa nie trzymasz się skurczona, narracja nie nudzi. Po prawdzie nie mój gatunek, ale w gatunku najwyższa klasa, muszę ci powiedzieć. Czytam chętnie. – Oczka poety, sfatygowane alkoholem, błędziły gdzieś po przystawkach i zapewne w nich widział natchnienie do zwyczajowych komplementów i o nich opowiadał, dostrzegając wyjście poza ramy zwykłych przystawek.

– Miłe. Zrewanżuję się twoim tomikiem. Nawet Jerzy czytał z przejęciem, chociaż, jak wiadomo, on poezji nie uznaje za literaturę. Przeczytał i nie do deski, z szacunkiem sobie urywał kawałki i kiwał z uznaniem głową. Nie przyznał się, co sądzi, ale mnie takie otwarte opinie nie potrzebne, znam te jego miny i pierwsze widzę, żeby tomik w całości pochłoniął. Czytał twoją poezję, śmiertelny wróg poezji, lepszej nie znajdziesz recenzji.

Podobna rzecz nigdy się nie wydarzyła, Anna rewanżowała się za mowę natchnioną przystawkami. Jednego słowa prawdy w tej fantastycznej historii nie było, poza tym, że Jerzy rzeczywiście poezją gardził, odkąd przeczytał dzienniki emigracyjnego i zakazanego pisarza, gdzie znalazł głębokie uzasadnienie dla pogardy. Zakazane książki środowisko czytało ze szczególnym nabożeństwem, w tej kwestii niepisana umowa unikano donosów, co w żadnej mierze nie powodowało, że Bezpieczeństwo miało luki w archiwach, zawsze znajdowali się nadgorliwi. Niemniej szanujący się literat, rozmawiając z Bezpieczeństwem, uważał za nieetyczne donieść na literaturę.

– Prawdę mówi Anna! Gdula Homera posyła do kotłowni – przyjaciel poety, Henryk Kempa, prychnął śmiechem i zatrzepotał brwiami. Za tę śmiałość natychmiast otrzymał gorzkie słowo od żony, starszej, przesadnie umalowanej i beznadziejnie ubranej w czarne fatałaszki kobiety.

– Te twoje żarty, Henryk, trywialne uwagi. Nic podobnego! Pan Jurek jest człowiekiem o wyrobionym guście. Przypomnę, że Witold Gom... – zawahała się przed nazwiskiem.

- W każdym razie, wielu wielkich ludzi wyraża swój krytyczny stosunek do poezji, proszę oczywiście, nie bierz tego do siebie, Arturze – starsza pani cmokała w czasie wywodu i nerwowo zaciągała się papierosem, od czasu do czasu pokazując swoje zniszczone, prawie pomarańczowe uzębienie.
- Dajmy spokój gatunkom, moi drodzy, wszyscyśmy za jednego sznycla, wszystko jest poezją i prozą zarazem, w słowie jest pełna frekwencja, cała literatura, od jaskiń poczynając. Kontynuując spór narazimy się na molierowskie sportretowanie. - Artur Listner poczuł się wykładowcą, rozjemcą i najwłaściwszym arbitrem. Składał wiersz częstochowskim rymem i napawał się własną grafomanią.
- Zgoda, ładnie, poetycko powiedziane – przytaknęła Anna, chwalać powszechnie i ironizując tylko dla siebie. Kempa machnął brwiami, dyrektorowa kiwała głową, zgniatając papierosa w popielniczce, wszyscy się zgadzali z werdyktem, nawet sznycel uszedł cało przed szynem. Część uznała za dowcip, reszta za przejęzyczenie, jak było naprawdę, sam autor nie wiedział.
- Wybaczcie, ale chyba pora odwiedzić naszego gospodarza, wstyd przyznać, od razu za trunki się wzięłem, a Maciejewski jednak rzadka okazja – powiedział Artur. Oczka błądziły mu więcej niż przedtem, ale i w tych zbłąkanych nie było widać szczególnej woli do ruszania się z miejsca. Jedynie jakiś przebłysk samozachowawczy przebił się do świadomości, ponieważ faktem bezspornym jest, że okazja rzadka i skorzystanie konieczne. Odmowa groziła wykluczeniem, na co żaden stateczny poeta pozwolić sobie nie mógł.
- Pójdę z tobą Arturze, sama nie miałam śmiałości – powiedziała Marta Kempa, dyrektorowa z pomarańczowymi zębami, i bardziej ucieszyła męża niż Artura Listnera. Przy stoliku została Anna z dyrektorem Wydawnictwa MON, Henrykiem Kempą, oni, w całym salonowym zamieszaniu, już zaliczyli przywitanie z gospodarzem, teraz zerkali na siebie, szukając początku rozmowy.
- Napijesz się? – spytał w końcu Kempa.
- Napiję – nie protestowała, nic lepszego do roboty na spotkaniu literackim nie było.
- Za stare dzieje!
- Lepiej nie, stare dzieje już nie wrócą. Za nowe rozdanie będzie rozsądniej. – Protest i propozycja nowego toastu nie były przypadkowe. Anna popatrzyła na dyrektora wymownie, tak spoglądają kobiety, które muszą wielokrotnie powtarzać swoim dawnym kochankom, że więcej nie będzie. Kempa był przełożonym męża Anny, od niego wiele zależało, ale ona nie bała się sprzeciwu, wiedziała o tym starym cwaniaku wszystko i Kempa miał świadomość tego, że z Łozińską trzeba uważać, bo ta pani ma mecenasów i pracuje dla tych, którzy każdego stanowiska mogą pozbawić.
- Tak? No, niech będzie. Zdrowie! – zająknął się dyrektor i nawet brwiami nie strzelił. – Nie piszesz, powiadasz. A gdyby? Do „Czytelnika”? Do nas? – uspokoił się nieco i spytał o sprawy, które go nie zajmowały.
- Chyba do „Czytelnika” i tak już gadają, że u męża wydaję – uśmiechnęła się gorzko.
- Kończę się – znów się uśmiechnęła.
- Kończysz się – wykrzywił usta. – Może i gadają, może lepiej, że „Czytelnik”. – Kempa miał charakterystyczny sposób prowadzenia rozmowy, rwał zdania, coś chciał powiedzieć i bał się albo nic nie chciał mówić i tak kaleczył słowa, gdyż coś powiedzieć trzeba. Trudno było go słuchać, jeszcze trudniej zrozumieć, najtrudniej się dogadać.
- A co nie gadają? Chciałabym powiedzieć, że mam to gdzieś, ale nie mam. Pewnie i dlatego nie piszę. Poza tym nie muszę, starcza nam do pierwszego. – Nie było powodu, aby podnosić głos i denerwować się nadmiernie, jednak Anna uniosła się i zdenerwowała niemało. Od początku rozmowy reagowała nerwowo, źle znosiła dawne dzieje, ludzie, którzy torowali jej karierę, byli bliscy poziomu dyrektora Kempy, jedni ciut wyżej, inni jeszcze niżej. Sama nie potrafiła wskazać innej przyczyny poirytowania niż dawne skojarzenia. Jeśli już szukać

czegoś więcej, zapewne klimat tych literackich spotkań tak nastrajał. Atmosfera rywalizacji przemycałej między wersami poezji i prozy, fałszywych komplementów, nieodczynnych plotek i gry, którą prowadzili wszyscy, dawała powody do niekontrolowanych zachowań.

– Nie wiem, nie słucham, nie trzeba się przejmować, skoro tak – dalej kaleczył dyrektor.

– Wiesz, wiesz. Przecież u ciebie gadają najbardziej – tym razem spokojnie i z żalem w głosie powiedziała Anna.

– U mnie? Przecież ja nie. Mąż Gdula też nie, kto ma gadać? – bronił się jak umiał, a umiał niewiele. Dyrektor Kempa spocił się wódką, rozmowa zaczynała go męczyć. Relacje między nim i Anną były bardziej prywatne niż z Jerzym, którego traktował oficjalnie i przez „wy”. Pierwszą książkę Łozińska wydała dzięki niemu i Morawskiemu, obaj mieli swoje osiągnięcia, nie tylko wydawnicze. Z dyrektorem kontakt towarzyski i coś więcej zerwała już dawno, kierownik nie potrafił się odczepić i ryzykował tak dalece, że w swoim czasie próbował szantażu.

– Nie mówmy o tym, nieważne, wiesz o kim myślę, o jakim kierowniku, o wszystkim papla i ty byś się zdziwił jakie rzeczy. – Podobne słowa na spotkaniach literackich nie budziły wątpliwości, żadnych nazwisk i każdy wie, o kogo chodzi. Anna chwyciła za butelkę, poląła sobie i – chwilę się wahając – dołąła Kempie, dając do zrozumienia, że jego jeszcze zniesie, Morawski jest już nie do zniesienia.

– Tak mówisz? Trzeba posłuchać i przyjrzeć się kto co ma do gadania – brwi się ożywiły, pojawił się nawet lekki, wymuszony uśmiech.

– Powinieneś, Marta też nie zasługuje na takie traktowanie, było, minęło. Jeszcze mogę rozumieć zemstę, rozczarowanie, na mnie odreagowane, ale po co w to mieszać ciebie i Martę? Tej podłości nie pojmuję? Martwię się o Jerzego, w końcu on jest jego bezpośrednim przełożonym, to nie jest sprawiedliwe, oboje o tym wiemy – dopiła kieliszek. Z niczego zrobił się poważny wątek. Anna nie przysłała na spotkanie z intencją awantury ani też nawet zabiegania o sprawy męża. Przy stole nie działo się nic niepokojącego i nagle słowa zaczęły przynosić emocje. Skojarzenia z przeszłości i te same twarze, dawne nieprzyjemności, splątane z wódką i nieustającą przepychanką środowiskową, odezwały się taką właśnie reakcją. Do tego stosunki małżeńskie szły kiepsko i być może wszystkie inne sprawy nie miały znaczenia poza tą jedną i najważniejszą.

– Marta? Po co Martę do tego? Stare dzieje! Marcie dać spokój. Trzeba się przyjrzeć, z tego, co widzę. – Dyrektor zdenerwował się, jakby mu ktoś nagle uświadomił, że przedawnione romanse mogą się wydać po latach, prosto w najmniej powołane ręce żony. Był typem karierowicza pantoflarza, swojej lepszej połowie zawdzięczał stanowisko, takie niebezpieczeństwo, jak ciemne sprawki docierające do Marty Kempy paraliżowały go z jednej strony, z drugiej skłaniały do ryzyka.

– Zrobisz, jak zechcesz, dla mnie sprawa jest skończona, jesteśmy dorośli. Zamykam rozdział, nie chcę być kolejną emerytowaną kochanką, która sztuczną szczęką wgryza się w swoją burzliwą młodość. Myślę o Jerzym, on nie ma z tym nic wspólnego, mógł być kimś, a tylko haruje uczciwie. Robi co do niego należy i jeszcze ten cwaniak nad nim. Chodzi tylko o to, zresztą sam wiesz, o co chodzi – urwała w ostatnim momencie, do stolika wracała dyrektorowa Kempa z poetą Listnerem.

– Wyjaśniło się, moi drodzy, poezja jest literaturą, sam pisarz Maciejewski mocą swojego kunsztu orzekł: „poezja ujdzie” – oznajmił poeta Artur i razem z Martą buchnęli śmiechem, nie drwiną, to była radość ludzi, którzy znają innych ważnych ludzi i mogą sobie pozwolić na małe złośliwości wobec nich.

– No i dobrze, zawsze lepiej jak wiadomo, na czym się stoi. – Anna pośpieszyła z ripostą, chciała zatrzeć wrażenie po wcześniejszej szeptanej rozmowie.

– Otóż to, literatura wzbogaciła się dziś o poezję. Wypijmy za to! – powiedział Artur i szkło poszło w ruch, za nim stukot widelców po talerzykach z zakąskami. Kempa łypnął okiem na

Łozińską, ale ta nie odwdzieczyła się choćby mrugnięciem, uznała, że swoje zrobiła, teraz ruch należy do niego.

– Trzeba stwierdzić, że Maciejewski jest potencjał, talent oszlifowany, no, należy mu się po prostu. Jakkolwiek patrzeć na jego dziwactwa, ale któż, z tych genialnych, ich nie ma. I nie zmienia się, trzeba mu oddać, że się nie zmienia, naturalny jest. – Marta z pomarańczowymi zębami, żona dyrektora, cmokała, paliła papierosy i zapijała swoje mądrości wódką.

– U nas nie wydaje, nic nie wyszło, od kiedy już! – poskarżył się Kempa i znów zerknął ukradkiem na Łozińską, czy aby czegoś nie wspomni o Morawskim.

– I dlatego jest wielki. Co u ciebie można wydać? Okręty, samoloty, strategie? – dyrektorowa zauważyła zwieszony powieki Anny i zrozumiała swój błąd. – No, z wyjątkiem „Labiryntu”, tu wam się udało – obroniła się w ostatnim momencie.

– „Labirynt” udał się, dobra redakcja. I statki nie takie złe, też trzeba drukować. – Kempa spojrzął na żonę, potem na Annę, znów sprawdzał, czy nic złego się nie stanie. Środowisko traktowało go jak pożytecznego idiotę, słyszał z tego, że był w stanie wydać wszystko, co się do druku nie nadawało. Nie było dla autora większej hańby niż wiadomość, że i MON odmówił wydania. Autor, który koniecznie chciał poczuć się pisarzem, zawsze mógł przyjść do Kempy i spełnić swoje pragnienia.

– Daj spokój statkom, trzeba w literaturze poszukiwać nowego, a tu wieczne wpadanie na stare wraki, żadna przyjemność. Zresztą – jaka literatura? Jakies instrukcje obsługi krążowników, galeonów i innych łódek. Piszą i czytają to ci sami ludzie, wręcza się potem takie dzieła przy okazji konkursów w świetlicach ludowych albo zalegają w bibliotekach powiatowych. Taka literatura użytkowa. – Żona dyrektora poczuwała się do oryginalności i kompetencji w tak poważnej dziedzinie, jak literaturoznawstwo. Charakterystyka wydawnictwa nie była daleka od prawdy, jednak pasja, z jaką wygłosiła krytykę, wywołała lekką konsternację u wszystkich. Nawet Annie zrobiło się żal Kempy, poeta Artur odchrząknął, odcinając się od tej surowej opinii, dyrektor zaniemówił wraz ze swoimi brwiami.

– Chyba nie można, aż tak bardzo przeceniać roli wydawnictwa, prawdę mówiąc, żadnego nie mam pojęcia, gdzie drukował Zola albo Gogol. Mnie towarzystwo armady nie przeszkadza.

Ktoś musiał w końcu coś powiedzieć, ponieważ rozmowa urwała się gwałtownie i na czas krępująco długi. Znana pisarka zdecydowała się wziąć ten obowiązek na siebie. Chciała pomóc dyrektorowi Kempie, w obronie wydawnictwa, ale przede wszystkim w podjęciu właściwej decyzji. Właśnie w czasie ciszy uformował się w głowie Anny ostateczny plan. Rozmowa, która zaczęła się z niczego i popłynęła w dziwnym kierunku, powinna przeistoczyć się w jedną korzyść. Odstrzelenie Morawskiego daje możliwości awansu Jerzemu. Świadomość oczywistej kolei rzeczy, trafiła tak samo, jak cała sytuacja, przypadkowo, jednak od tej chwili nie potrafiła już o niczym innym myśleć. Skupiła się tylko na tym, by dawnemu kochankowi przypomnieć lub dosadniej wyjaśnić, czego od niego oczekuje.

– W samej rzeczy, można powiedzieć, i ja tak mówię – w oczach dyrektora odmalowała się wdzięczność za wsparcie, jakie usłyszał. Żonie, w otwartej polemice, nie ośmieliłby się sprzeciwić, przyznanie racji Annie było wszystkim, na co mógł się odważyć.

– W sumie, niech wam będzie, wszak nie jest winą wydawcy, czego pisarz nie potrafi napisać. Inna rzecz, po co nieudolność drukiem powielać? Skoro coś trzeba, niech będą okręty. Spierać się nie będę – Marta w zamiarze miała złagodzić surowe stanowisko, w efekcie zabrzmiało jak zgrzyt, dolanie oliwy do ognia.

– Ależ! Niech będzie swoboda, pisarz wybiera wydawnictwo i wydawnictwo pisarza, rzecz polega na wyborze. W jakim celu ograniczać gamę możliwości? Anna powiedziała, co najważniejsze, któż dziś Gogolowi wyrzuca wydawnictwo? Pomniejsze problemy, żadnej ujmy nie widzę w tym, że okręty i wiersze razem drukowane. Technologia, nic nadto,

przecież nie w tym literatura się rodzi, w tym się zaledwie kopiuje, powiela dla czytelnika – Listner rozejrzał się po sali, zajął stanowisko, jak na petenta przystało. Należał do tej grupy twórców, która Kempie mogła zawdzięczać wiele, więcej niż własnej twórczości.

– Tak uważam, tak właśnie, Arturze – przytaknął główny oskarżony i ukradkiem zerknął na żonę, która po stanowisku poety dała za wygraną.

– Inteligentne kierowanie redakcją wyłowi talenty morskie i niebiańskie, nie brakuje zdolnych, by pogodzić statki z rymami. – Anna skorzystała z dogodnego czasu i wolnego miejsca w rozmowie. Podrzuciła myśl, która nie dawała jej spokoju. Poczuli się w swojej nowej misji jak ktoś, od kogo zależy wszystko. Przychodząc na spotkanie, myślała o męczących rozmowach, znanym, nieznośnym klimacie i jutrzejszej ciężkiej głowie. Gdy przyjęcie przerodziło się w misję, walkę o awans Jerzego, jej determinacja zaczynała przybierać nieostrożne formy. Taka wypowiedź mogła być co najmniej dwuznacznie interpretowana przez rozweselone, ale zawsze czujne środowisko.

– Oooo! Niewątpliwie. Kierownictwo za fundament rozwoju, kierownicza rola wydawcy na barykadzie literackiej. Niech będzie i nam żyje! – Artur uśmiechnął się do własnych słów i do wszystkich, ale toast adresował do Kempy. Łozińska spojrzała na Listnera, odwzajemniając uśmiech, po chwili już zupełnie innym spojrzeniem potraktowała Kempę, ostrzeżeniem, które mówiło wszystko: „wiesz co masz zrobić i pamiętaj o Marcie”.

– Da się zrobić, pokieruje się jak trzeba. – Nie było żadnego porozumienia oko w oko, Kempa rzucił zapewnienie dla świętego spokoju i zadowolili wszystkich. Anna otrzymała potwierdzenie, poeta gwarancję, Marta o pomarańczowych zębach – usilne postanowienie poprawy.

– Amen nad rozprawą poezji i prozy, wydawania i autorstwa, świeć panie nad dylematem albo i zgaś. Tak mi się udało powiedzieć, że chyba wykorzystam, jak już zacznę pisać – waleczna Łozińska-Gdula uznała, że dyrektor zrozumiał, swoją rolę i zadanie, wtedy zaczęła uciekać od niebezpiecznych wątków rozmowy. Uciekając, popełniła inną nieostrożność. Podobnych twórczych deklaracji, obawiali się wszyscy literaci na wszystkich spotkaniach. Lepiej nie mieć niż mieć konkurencję, gdy już przyjdzie coś oryginalnego, warto zachować to w myślach, czyli dla siebie, w przeciwnym razie poeta łypnie zawistnie na utalentowanego prozaika. Wrogości w oczach poety nie było, zamiast tego pojawiło się lekkie rozczarowanie.

– No i już, ogłoszenia parafialne – Marta kpiła na zakończenie tematu, w który siebie i pozostałych przy stoliku wpakowała.

– Dobrze żartować, ale lepiej się napić, zwłaszcza gdy stawia talent. Napijmy się za geniusz Maciejewskiego – Artur Listner ledwie wygłosił toast i zaraz wziął się za szkło, polewanie alkoholu i jeszcze szybsze picie.

– Za zdrowie, po prostu za i na zdrowie się napijmy – powiedziała Anna.

– I stu lat trzeba dożyć – zawołał poeta.

Tego wieczoru autorka znanych kryminałów obdarzyła dyrektora Kempę jeszcze kilkoma dyskretnymi, ale jednoznaczными spojrzeniami, przypomniawszy, jaka jest między nimi niepisana umowa. Z podobnych spotkań wynikały analogiczne rzeczy, takie okazje i towarzystwo były szansą dla wielu rodzących się talentów, towarzyskich relacji powiązanych zawodowo, literacko i wydawniczo. Prowadzenie własnej gry było nie lada sztuką, bez miejsca na pomyłkę, wystarczył jeden nieostrożny gest i Anna mogła stracić wszystko,

a utrata redaktorskiego stanowiska Jerzego byłaby ceną najniższą. Pozwoliła sobie stanąć do potyczki, ponieważ umiała i miała czym zaatakować. Cały arsenał odpowiednich mecenasów, było dokąd pójść po pomoc i zdobyć wiedzę, jakiej byli kochankowie i wielcy dyrektorzy bali się rozpaczliwie. Annę Łozińska-Gdula pozwoliła sobie na taką zabawę z marszu, dla kaprysu, spontanicznie odreagowała emocje chwili, podobnych gier przeprowadziła wiele

i była zawodnikiem najcięższej kategorii. Nigdy nie zwierzała się Jerzemu ze swoich kontaktów z Bezpieczeństwem, sama o mężu wiedziała prawie wszystko, chociaż oboje unikali tematów dotyczących przeszłości. Poza tą jedną rozmową, gdy poznali się bliżej, potem Gdula nie wracał do swojego dawnego życia. Czasami wspominał coś o wojnie i lesie, ale rozmów o pracy w sądzie, tym bardziej Informacji, w rozmowach tego dziwnie ułożonego małżeństwa zabrakło. Ludzie z zewnątrz o Annie wiedzieli sporo więcej niż mąż, aż tyle, że nie wchodzili jej w drogę. Sława literatury, opiewająca milicyjną fikcję, która siliła się na rzeczywistość, wygłaszała w swoich dialogach i scenach, sążniste pochwały wobec pracowników i samego Bezpieczeństwa. Taka postawa była czytelna dla całego środowiska literackiego i nie tylko. Pewne rzeczy w podobnym towarzystwie są oczywiste, nawet się ich nie sprawdza. Bez zbędnej weryfikacji Anna dla większości była „jedną z tych”, dlatego stała się kimś i od razu ważnym oraz niebezpiecznym. Miała wszystko, żeby zasłużyć na ten zaszczytny tytuł, nie było na sali zarezerwowanej przez pisarza Maciejewskiego nikogo silniejszego od Anny, z wyjątkiem samego gospodarza. Jednak tacy, jak Maciejewski, służyli zupełnie innym, najwyższym celom, literacko mieli porywać tłumy, utrzymywać popularność i sławić nieomylną nieomylnych. Nie musieli się o siebie martwić, póki realizowali zadania wyznaczone przez tych, którzy zawsze wyznaczali zadania. Największe realizacje powierzano znanym i mimo wszystko utalentowanym. Anna taka nie była, musiała swojej szansy szukać w zupełnie innym miejscu. Komfort, jaki miał namaszczonego pisarz, był poza jej zasięgiem. Ona pracowała na niższym szczeblu, gdzie konkurencji wiele, bo całe morze chętnych, a praca przystępna, tylko wymagająca zaangażowania. Łozińska wyławiała niepokornych, wątpiących, nazbyt dociekliwych i dowcipnych. Pracowała przewencyjnie i z pełną pasją, przypominała dawnego Gdulę w najwyższej formie, dlatego w swojej kategorii była w ścisłej czołówce. Dla niej pisanie nie było zadaniem, tylko nagrodą przyznaną przez zadowolonych mocodawców, to Maciejewski pracował na etacie pisarza, w nagrodę dostawał sławę i pieniądze.

W powiązanych relacjach i wszystkich zawiłościach należało poruszać się sprawnie, nie wchodząc w obszary, gdzie błędzić nie wolno. Uznani za wybranych pisarzy byli najlepsi w swojej dyscyplinie, Anna w swojej, zmiana kategorii groziła niemal pewną i ostateczną porażką. Takiego podziału nikt nie ważył się naruszać, w jakimś sensie był sprawiedliwy, w każdym razie przejrzysty. Łozińska-Gdula wygrała, ponieważ rozegrała partię w swojej dyscyplinie i ze słabszym, nie walczyła z Kempą, mogła sobie po prostu podarować wygraną, tak na poprawę humoru, zamiast banalnej pogawędki przy ciastku i kawie. Nie musiała kupować, zwyczajnie sobie wzięła, pokazując własną solidnie umocowaną pozycję. Bardziej potrzebowała potwierdzenia swojej wartości niż awansu męża. Z Jerzym sprawy nie układały się tak, jak marzy żona i jak święty spokój chce mieć mąż. Musiała się dowartościować i miała nadzieję, że kierowniczy prezent będzie początkiem porozumienia małżeńskiego. Awans miał Jerzemu pomóc zapomnieć o dziecku, o tym, że zapragnął być kompletnym mężczyzną, czego Anna w swojej kompletnej kobiecości zaakceptować nie umiała. Nie widziała się w roli matki, brzydziła się macierzyństwem, całą fizycznością i psychologiczną pułapką. Wokół pragnień Jerzego i obrzydzenia Anny rósł konflikt, powiększał dystans, a w ostatnim czasie przerósł małżonków. Zbliźali się niebezpiecznie do tego punktu, gdzie związek staje się zmęczonym stanem akceptacji, nie ma już nadziei na powrót do początku i końca wzajemnych upokorzeń nie widać. Zagrała o małżeństwo i męża, jeszcze nie wiedziała, że wygrała tylko z Kempą i nic innego poza tym nie zdobyła. Powrót do początku nie był możliwy, wkrótce miał się zacząć koniec.



Wiosna 1968 roku była ostatnią wiosną Jerzego Gduli: w małżeństwie, w pracy redaktorskiej, w Warszawie i w kraju. Zabrakło niespodzianki w przyczynach klęski, coś przyszło łatwo i za coś ciężko przyszło zapłacić. Kolejny raz tracił wszystko i tym razem miał znacznie więcej do oddania. Ostatnio, gdy zniknęła całość, oddał pracę w sądzie i pozycję zdobytą dzięki współpracy z Informacją. Teraz przepadła praca, skrawki dawnego uczucia, małżeństwo, kraj, godność, ale najbardziej bolesna była utrata bezpieczeństwa. Wrócił dramatyczny kocioł myśli i emocji z okresu dzieciństwa, czasów udawania, chowania samego siebie przed sobą i ludźmi, którzy nie znosili obcych. Powrócił podły czas zdrady, ucieczki, zagrożenia, obecności po niewłaściwej stronie, gdzie nie ma decyzji, jest tylko podległość i lęk. Psuć się zaczęło naraz, być może jedno od drugiego, a może każde po kolei. Katastrofa przebiegała chaotycznie, kolejne ciosy spadały znienacka, tak jakby ktoś bawił się w starą, jak ludzkie dzieje, zabawę – kopanie leżącego. Na pewno najwcześniej nastąpił koniec małżeństwa, był to jeden z tych końców, gdy obie strony przestają wierzyć, nie dostrzegają sensu i nadziei, jednak brakuje odwagi i ostatecznego powodu, aby agonii nie przedłużać. Trwanie w czymś, co się rozsypało, ma tę zaletę, że nie wymaga żadnej aktywności, żyje się w poczuciu zastanych okoliczności, z których nie może powstać przyszłość, ale nie są jeszcze na tyle podłe, aby zabiły przeszłość. Taki etap, kiedy pamięć o miłości nie pozwala przejść do nienawiści, przynajmniej tak silnej, żeby odejść i nienawidzić osobno. Jerzego i Annę trwale łączyło już tylko jedno, te same towarzyskie zależności, których przerwanie mogło oznaczać straty dla obojga. W tym jednym miejscu spotykali się bez konfliktu, tutaj porozumiewali się bez przeszkód, nawet bez słowa. Dopóki nie stało się coś, na co Jerzy znów nie mógł mieć żadnego wpływu, ponieważ o wszystkim decydowała druga korekta starego ładu.

Kadry musiały znaleźć nowe wyjaśnienie nieudolnego zarządzania, a ponieważ z natury nie były skłonne, jak również zdolne do wysiłku, korzystały ze starego, sprawdzonego modelu. Nie wychodzi, bo ktoś nieustannie psuje, pracuje na rzecz obcych, nie szanując własnego. W połowie lat pięćdziesiątych korekta wydawała się bardziej uzasadniona i w skromnej części sprawiedliwa, pozbawiono przywilejów tych, którzy poczuciem siły zbyt mocno się zaciągnęli. W roku 1968 ściagały się frakcje, potem łapano już tylko kozła, o tyle był to humanitarny pościg, że pozwalał uniknąć ofiarnego ołtarza. Wskazano winnego, którym był obcy, ale wspaniałomyślnie pozwolono winnym odejść do swoich. Skutkiem rozszady powstawały nowe lub stare, ale już wolne miejsca dla awansów, czyli to, co zawsze było efektem korekty – wymiana kadr. Gdy coś się postanowi, zwłaszcza, gdy zdecyduje się kogoś wskazać, naznaczony pozostaje bez prawa obrony, Jerzy o tym wiedział, znał z drugiej strony, tej właściwszej i bezpieczniejszej, kiedyś sam skazywał. Nie miał szans wygrać, mógł się jedynie schować, ukryć, udawać, że to go nie dotyczy. Zadekowanych wrogów wyławiano najchętniej, ale i z tą wiedzą Gdula nic nie potrafił zrobić, musiał ryzykować. Anna mogła być spokojna o swój los, nie chciała się narażać, tym bardziej nie miała ochoty uciekać i chować się, dla niej ukrywanie obcego było zbyt wielkim poświęceniem własnego bezpieczeństwa i pozycji. Na nowym rozdaniu mogła skorzystać, idąc wbrew ryzykowała wszystko i nie dla siebie, tylko dla człowieka, z którym traciła ostatnią łączność – wspólny interes. Nie pomogła ukryć się Jerzemu, przeciwnie, wydała go poszukiwaczom obcych, za święty i tylko własny spokój.

Przeszłość Gduli znali tylko najbliżsi. Najwięcej wiedzieli ci, których dawno się wyrzekł i zapomniał, że zawdzięcza im wszystko, bo czym innym jest życie. Skrzywdzeni i odrzuceni nie mogli zrobić nic złego, nie potrafili, oni ciągle pamiętali o Jurku, dla nich nie było kapitana i sędziego, nie było redaktora, był Jurek i tak musiało zostać, żeby nie bolało, żeby dalej kochać. Anna Łozińska-Gdula już nie kochała i nic jej nie dolegało, ona się bała, że dłużej tak żyć nie może, przyszedł moment, kiedy trzeba wybrać. Poznała tajemnice męża

już drugiego dnia miłości, sama odgadła kim jest. Między wierszami usłyszała kilka słów o tamtych czasach i tamtej ziemi, tam daleko, dawno, ale jednocześnie blisko i teraz, zawsze w pamięci. Głupio zakochany opowiedział, jak się nazywał, gdzie mieszkał, kim byli jego rodzice, jaki był on sam i kogo musi udawać. Powiedział złej kobiecie, która teraz szukała dla siebie nowego miejsca albo przynajmniej chciała zachować stare. Był już tylko balastem, nic nie łączyło Anny z tym człowiekiem, którego obecność mogła zaszkodzić jej wysokiej pozycji zawodowej i towarzyskiej. Skorzystała z niezawodnego sposobu na pozbywanie się niewygodnych, chociaż nie spodziewała się, że tym razem wizyta u kapitana Traszki będzie tak wiele kosztowała. Sprawę zamierzała załatwić szybko, bezboleśnie, bez zbędnych kosztów, długich procedur, raz, natychmiast i na zawsze. Przeliczyła się, cena za święty spokój miała się okazać znacznie wyższa, nic nie poszło łatwo, szybko i tanio.

– Przestań, nie mogę – krzyknęła, bardziej zdenerwowana tym, co się dzieje i miało stać w jej życiu niż prymitywnym obmacywaniem, w sumie przystojnego i inteligentnego oficera.

– Zakochałaś się? A może to twój pierwszy raz? – kpił, jak ci wszyscy faceci, twarzi najemnicy, którzy nigdy się nie ożenią i nie będą przewijać pieluch.

– Mam okres – odpowiedziała bez namysłu.

– Pokaż – poprosił głosem bezczelnie ciekawego dziecka.

– Musisz być aż takim chamem? – zdenerwowała się i sięgnęła do torebki po papierosy. Kilkukrotnie próbowała odpalić zapalniczkę. W tym czasie idealnie ogolony oficer bawił się zapalkami, odpalając raz za razem. Rozglądał się po swoim gabinecie i huśtał na krześle. Zapalniczka Anny w końcu strzeliła wątlym płomieniem i pierwsze łapczywe pociągnięcie papierosa wypełniło całe płuca. Przytrzymała dym i dopiero po tym, gdy poczuła, jak bardzo tego potrzebowała, dmuchnęła prosto w twarz Traszki. Gest nie zrobił na nim żadnego wrażenia, w każdym razie taką przyjął pozę. Czuł się pewnie, znał swoją wartość, uważał się za przystojnego i miał powody. Wysoki trzydziestoletni brunet, dobrze zbudowany, wysportowany, potrafiłby przyłożyć nie tylko kobiecie. Typ zdobywcy, trochę pozer, jednak umiał zachować się inteligentnie i zadbać o siebie. Anna zawsze uważała, że był jedynym funkcjonariuszem, któremu pasowała urzędowa, do tyłu zaczesana fryzura. Czasami popatrzył podobnie jak Jerzy, nie miał tych samych oczu, ale spojrzeniem mógł wywołać dreszcze. Tak właśnie teraz świdrował na wylot, bez mrugnienia oka przyjął niegrzeczność Anny.

– Chcesz mi powiedzieć, że sobie poradzisz beze mnie? – spytał nie odrywając oczu od oczu Anny. – Czy przyszłaś pogadać o okresie?

– Jednak musisz, to taka wasza służbowa poza, twardy oficer. Za dużo amerykańskich filmów, poruczniku Traszka. Zresztą do tego trzeba się nazywać Bond, James Bond, jeśli już. Krzysio Traszka, sami rozumiecie i słyszycie, kapitanie, jak to brzmi – odegrała się za wszystkie chamskie odzywki i mało eleganckie zabawy, ale spuściła wzrok, nie wytrzymała spojrzenia kapitana.

– Nie możesz tu przychodzić, jak masz okres, do niczego się w takim stanie nie nadajesz, nie można cię zerznąć i pogadać się nie da. Nie powinnaś oglądać takich filmów, nawet ci nie wolno. Bond zdaje się angielski jest, a twój herosi to przecież zwykłe Ryśki z powiatowej komendy. Kiedyś próbowałem czytać te twoje historie w odcinkach i muszę cię zmartwić, raporty Ryśków mają w sobie więcej poezji. Dlaczego pyskujesz, powiedz? – Cały wywód był bezlitośnie chamski, ale ostatnie pytanie zabrzmiało przyjacielsko, zachęcające do zgody, chociaż utrzymane w charakterze kapitana Traszki.

– Nie wiem, co zrobić.

– Widzę.

– To pomóż – w oczach Anny pojawiły się łzy, walczyła z tym, ale bez powodzenia. Twardziel nieco zmiękł, nie robiły na nim wrażenia takie sceny, uznał jednak, że to żadna przyjemność pastwić się nad skopanym przeciwnikiem. Podciągnął nosem, założył ręce za

kark i patrzył chwilę na swoją informatorkę, zastanawiając się z czym przyszła i czy rzeczywiście zasługuje na pomoc.

– Chcesz, żebym ci pomógł? Ale nie mówisz, kogo mam ci pomóc wykończyć – tkwił w tej samej pozie.

– Jerzego – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

– Kurwa... – zawiesił głos i wytrzymał w białe w niego pełne rozczarowania źrenice, grał podłym słowem i obserwował reakcję Anny, która nie dała się wytrącić z równowagi, oczekiwała dalszego ciągu. – ... Mocne. Chcesz, żebym ci pomógł wykończyć towarzysza Gdulę, pseudonim operacyjny „Kazimierczak”, sędziego wojskowego, człowieka zasłużonego na kilku frontach, kierownika redakcji i męża znanej pisarki, pseudonim operacyjny „Gerda”? Nie przeceniasz mnie? – kapitan opuścił ręce i oparł się o biurko.

– Tak, właśnie.

– A nie możesz się po prostu rozwieść? Właściwie, co on ci przeszkadza? Różniesz się z kim chcesz i kiedy chcesz, książki ci wydaje. Słyszałem, że gotuje rewelacyjnie. Gdzie lepszego znajdziesz? Ja cię nie kocham – uśmiechnął się ironicznie.

– On jest jednym z nich – zgasiła papierosa, otarła twarz z łez i sięgnęła po następnego.

– Każdy jest jednym z nich, ty jesteś jedną z nich i ja jestem jednym z nich. O których ci chodzi? – wyjął papierosa z paczki Anny.

– On się nie nazywa Gdula, tylko Szulc, Berek Szulc – przymknęła powieki, poczuła ulgę. Nie pierwszy raz rozmawiała w ten sposób, ale pierwszy raz o Jerzym, swoim mężu, którego kiedyś kochała.

– A z tych? Skąd wiesz, jeśli wolno spytać? My tego nie wiemy. Dlaczego my o tym dowiadujemy się dopiero teraz? Poproszę o uczciwą odpowiedź – rozmowa zaczynała przypominać rutynowe przesłuchanie w stylu „bądźcie grzeczna, bo się pogniewamy”. Ten styl był odegrany, kolejny osobliwy fragment poczucia humoru Traszki.

– Wiem, widziałam, w końcu kiedyś ze sobą spaliśmy. – Filtr niedopałka obijał się o wargi Anny, nie radziła sobie z rozmową, chciała mieć już za sobą wszystko, co podłe, ale już wiedziała, że tego służbowy opiekun jej nie podaruje, lubił się pastwić, teraz miał nie lada okazję.

– Ty ze wszystkimi śpisz. Masz jakiś kwit?

– Nie mam, znam tylko to nazwisko i widziałam. Rozumiesz, widziałam i wiem! Opowiadał mi. – Starła się nie reagować na zaczepki i zniewagi, nawet ich nie słyszała, było ich zbyt wiele. Anna skupiała się na tym, by załatwić sprawę w czasie najkrótszym, jaki się uda wytargować.

– Wiesz co? Zaczynam się ciebie bać, a to nieprzyjemne uczucie: bać się byle kogo. Przerwij mi, kiedy się pomylę. O tym wiedziałaś tylko ty, tak? Wiedziałaś od dawna, tak? Siedziałaś cicho, tak? To po co ci to teraz? Tak? – dmuchnął dymem w twarz Anny, był człowiekiem, który pamiętał o każdym detalu, każdej próbie upokorzenia, jaką wobec niego ktokolwiek podjął. Nie bał się Gduli, waga sprawy nie była mała, ale informatorka mówiła prawdę i czas sprzyjał znacznie trudniejszym sprawom. Inna rzecz go powstrzymywała, nie miał specjalnej ochoty robić czegokolwiek w takim kierunku, gdzie nie ma żadnego zysku. Zdemaskowanie Jerzego Gduli, nie dawało korzyści, poza komfortem psychicznym pewnej rozhisteryzowanej i przerażonej okolicznościami tajnej informatorki.

– Mówiłam ci, boję się, że się rozniesie, właśnie teraz. Po co miałam ci mówić wtedy, przecież do teraz to nie miało znaczenia. Teraz ma, nie rozumiesz? Tego się boję. Nic mnie z nim nie łączy, nie wezmę tego na siebie, dlatego przyszłam do ciebie.

Wydawało się, że do Traszki w końcu coś doszło, zmienił minę na wyraźnie zaniepokojoną. Oficerowie zwykle mieli kamienne twarze, dopóki nie docierało do nich, że mogą się wpakować w problemy.

– Ty jesteś wredna cipa, sprzedałaś mi tę rewelację, żeby mnie w gówno wciągać. Pakujesz mnie w twój problem, cipo – mówił spokojnie, słowa obraźliwe wypowiadał miękko, brzmiały, jak pieszczota z wyrzutem.

– Sprzedawałam ci niejedno i każdego, nie wiem, co cię dziwi? Mówię, co wiem i jak trzeba, zawsze tak było.

Z chwilą, gdy kapitan zorientował się, że został wmanewrowany w sprawę, którą lojalny oficer musiał spożytkować w jedyny właściwy sposób, Anna stała się bardziej pewna siebie i swego.

– Dobrze, dobrze, chyba już nawet nie prosisz. Od razu tak trzeba było, w tym jesteś najlepsza, no, i w tym jeszcze, ale dzisiaj masz okres. – Traszka odreagował, bo nie mógł się obronić przed podrzucaniem problemów, które nie były jego.

– Proszę, dajmy spokój, nic nie ryzykujesz, zrobisz sobie kreskę na kolbie, dla mnie to ważne. Poza tym nie wiem czy tylko ja o tym wiem. Na pewno są jeszcze jacyś ludzie, w końcu z kimś tu przyjechał, ktoś dał mu nazwisko. Dlaczego mam brać na siebie jego sprawy?

– gestykulowała i mówiła podniesionym głosem, wiedziała, że w tej sytuacji oficer Bezpieczeństwa już nie ma wyjścia, skracala czas.

– Dobra, przyjdiesz za pięć dni – powiedział z powagą.

– Dlaczego za pięć dni?

– Jak skończysz okres.

– Wiesz co, chanie? Pierdol się! Pójdę z tym wyżej! Wiesz do kogo? I wiesz, z jaką informacją? Z taką, że pierdolony cham, kapitan Traszka, miał w dupie lojalność obywatelską. Myślisz, że to będzie zabawne? Kurwo?! – Odgrywała skrajne emocje, wszystko co powiedziała, było dokładnie przemyślane, tak drobiazgowo, że Traszka pierwszy raz stracił kolor na twarzy.

– Tylko bez takich numerów, szmato, bo cię...

– Ty mnie? Zastanów się, kurwo, kto kogo? Dobrze się zastanów, jesteś płoć. Chciałam załatwić sprawę po ludzku. Za pięć dni to ja pójdę i załatwię problem z grubą rybą i jeszcze kogoś przy okazji, takie nic jak ty załatwię. Gnoju, jesteś mi to winien, za darmo i od zaraz – nie spuszczała wzroku z kapitana w cywilnej skórzanej kurtce, gdy ten chował się w krześle.

– Będziesz kurwą, na zawsze taką zostaniesz – odpalił.

– Boisz się konkurencji? – zrewanżowała się natychmiast.

– W porządku, wypierdalaj, załatwię to – zgasił papierosa i próbował sięgnąć do paczki Anny, ale schowała ją natychmiast w torebce, jak tylko wyciągnął dłoń po cudze.

– Masz dwa dni. Do pułkownika i tak się wybieram, postaraj się, żeby nie w twojej sprawie – wstała, odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

– Ale z ciebie kurwa – cisnął bezradnie, musiał coś powiedzieć.

– Ty też, tylko tańsza, to nie pozwalaj sobie na zbyt wiele, bo cię nie stać. – zamknęła za sobą drzwi i zaraz się rozplakała, zakrywając twarz ramieniem. Nie myślała, że tyle będzie ją kosztować załatwienie sprawy, niezwyklej z racji osobistych wątków, ale w końcu takich zadań wykonała ileś tam, nie liczyła ich. Z właściwymi informacjami po prostu można było i nawet należało przyjść, za sprzedanie zadekowanych czekała nagroda: święty spokój i żadnego ryzyka. Tym razem zapłaciła sporo i znacznie mniej zyskała.

Ostatni dzień pracy w Wydawnictwie MON, wyglądał blado, obłany potem i drżeniem rąk. Mimo wszystko nie wypadł aż tak źle, jak dni poprzednie. Znacznie gorzej wyglądał proces i rozwód, przyszedł prosto ze spotkania Anny z Traszką. Żona nie czekała na efekty służbowych działań, chciała zareagować z wyprzedzeniem, aby potwierdzić swoją lojalność,

na poziomie nadgorliwości, którą kadry doceniały zawsze. Rozstanie uderzyło ciężkim doświadczeniem. Jerzy spodziewał się podobnego finału wygasającego uczucia i braku jakichkolwiek pozytywnych impulsów dających szansę na zmianę, jednak gdy nieuchronnie już nastąpiło, nie umiał się z tym oswoić. Dodatkowo poczuł się parszywie po drugiej stronie sędziowskiego stołu. Nie protestował, zgodził się od razu, ale tylko na urzędowe formalności. Przyzwolenia na stan, w którym kończy się wszystko, co kiedyś musiał zdobyć i utrzymać, nigdy nie było. Anna nie podała żadnych konkretnych powodów, po prostu poprosiła męża, aby nie protestował i żeby wszystko przebiegło szybciej niż to możliwe, tak też się stało. Jeszcze przed rozwodem, Jerzy wiedział, że zostanie zwolniony, już nie musiał się bronić, miał przygotowany plan, nie autorski, lecz powszechnie i wspaniałomyślnie ofiarowany. Zamierzał skorzystać z jedynej oferty i odjechać do swoich. Obywatel Jerzy Gdula ubiegał się o wizę do USA, z różnych powodów starania nie przynosiły oczekiwanych efektów, informacyjna i sądowa przeszłość decydowała o wynikach.

Nic się nie udawało i nic nie było jasne, nie wiedział, może nawet nie chciał się domyślać, kto sprzedał Berka. Zresztą nie miał tyle sił w sobie, żeby próbować o tym myśleć. Rozwód z Anną odbierał moc i ochotę, koniec pracy w redakcji, przy tym wydarzeniu prawie nie istniał. Przychodziło nowe życie, całkiem inne i od nowa, tak jak kiedyś po drugiej stronie Sanu, skąd uciekł do lasu. W ostatnich dniach nie mieszkał już z byłą żoną, błąkał się po hotelach i knajpach, zajmował się tym, czemu zwykle oddają się przegrani mężczyźni: pił na umór i nienawidził kobiet. Zalewał się w knajpach, dopijał w hotelu, klinował w pracy, dopóki jeszcze pracę miał. Stoczył się pospolicie, nic oryginalnego w upadku nie zastał. Wszystko i wszyscy odeszli, znów nie miał nikogo obok siebie, gdy żegnał się ze starym życiem, spotkał tylko pana Staszka, człowieka, który nie słynął z odwagi, nie imponował poświęceniem i dbał o swój najlepiej pojęty interes. Tym razem stary redakcyjny przyjaciel przekroczył granice, jakie sam sobie postawił, i przeszedł do roli człowieka współczującego. Zdarzało mu się już wcześniej, gdy Jerzy pierwszy raz przyszedł do redakcji, wówczas Legowicz wziął się za zrozumienie ofiary tych samych mechanizmów, które i jego wyrzuciły na obrzeża. Teraz chyba nawet czuł się w obowiązku zająć pełne empatii stanowisko. Dymisja kierownika Gduli przyszła w łagodnej formie, nie bolała, bo nie zaskakiwała. Dyrektor Kempa w swoim zwyczaju wystękał kilka zdań i w jękaniu zawarł słowa niezbędne: „Sami rozumiecie, ja tu nic nie mogę, widzicie przecież, jak się porobiło”. Z chwilą, gdy padło wypowiedzenie, Jerzy miał kilka dni na załatwienie formalności, pozbieranie swoich rzeczy. Uporał się ze wszystkim dnia następnego i wtedy pan Staszek odważył się na współczucie.

– Panie Jurku, mówię panu, podłość, tak właśnie powiem, nie dbam o nic, mówię podłość straszna! – pochylał się nad Jerzym, wyciągającym jakieś rzeczy z biurka.

– Życie, nic więcej – Gduli trzęsły się ręce, pocił się, myślał tylko o zimnej wódce albo chociaż piwie.

– Do dupy, panie Jurku, z takim życiem, jak można było? No, niech pan sam powie, jak w ten sposób człowieka poniewierać? Ja z tego nic nie rozumiem, różnie było, ale żeby tak? Jak pan to widzi? – Nieco odsunął się od Gduli, czując mało przyjemne zapachy potu i wczorajszego alkoholu.

– Nic nie widzę, nie patrzę nawet. Mnie przecież już tu nie ma, nie moje zmartwienia, w końcu – otarł pot rękawem koszuli i dalej przekładał jakieś rzeczy z szuflady biurka.

– Wyjeżdża pan jak oni wszyscy? – Legowicz spytał z litością w głosie.

– Jak my wszyscy – odpowiedział z przekąsem Jerzy i wykrzywił twarz w grymasie, o jaki przyprowadza najpodlejsza przypadłość zwana kacem.

– Ano tak, niepojęte, w głowie się nie mieści, przecież tylu wybitnych ludzi, wierzących w nasze sprawy i tylko dlatego, że... – nie dokończył, Jerzy wszedł w słowo.

– Panie Staszku, pan chyba pamięta, że to nie pierwszy raz i kto zaczął? Pan mówi „tylko”, ja mówię „aż”. Aż! Rozumie pan? Tym razem czuję się lepszy, kiedyś dawno, za pierwszym razem czułem się nikim, teraz czuję się wyróżniony, zaszczycony i wyjątkowy.

Przekładanie przedmiotów z szuflady wyglądało na przypadkowe zajmowanie rąk czymkolwiek, żeby uciekać od wzroku rozmówcy i chyba całej tej niepotrzebnej już wymiany zdań. Jeśli nie uciekać, to przynajmniej dodawać dystansu.

– Pan może mieć rację, pewnie tak trzeba do tego wszystkiego podchodzić, inaczej człowiek zwariuje. – Zgoda pana Staszka na słowa byłego kierownika redakcji miała dostarczyć otuchy jednemu i drugiemu.

– Zwariować? Być może, ale szaleństwem wariata. Wariat, który jeszcze raz oszalał, w sumie chyba tak się powinno definiować normalność. Nie uważa pan? – Zupełnie przypadkiem z ust Jerzego wypląnęła filozoficzna myśl, na taki zwrot Legowicz nie był przygotowany.

– Co ja mogę uważać? Jakie to ma znaczenie? Wie pan, nazywałem się tych wszystkich kiepskich książek, innych tu przecież nie wydajemy. Ale był czas, że czytałem wybitne dzieła. Teraz już sam nie wiem czy nie zrobiłem błędu? Jeśli się przyjrzeć literaturze pięknej i kiepskiej, obie są tyle samo warte, obie mają się nijak do tego, z czym się zmagamy. Dramat Raskolnikowa jest tak samo wydumany, jak przygody kapitana milicji, pan się nie obrazi, w końcu jest już po sprawie. Nasze życie jest zwykłe, gdyby ktoś opisał takie zwyczajnie życie jak nasze, pełne niezwykłych podłości, nawet u nas nie mógłby tego wydać, zupełna nuda. Beznadziejnie kiepska i nudna opowieść o naszym życiu, panie Jurku. Ciekawie jest dopiero wtedy, gdy sami przeżywamy swoje tragedie i porównujemy do wybitnej literatury, ot, takie pocieszenie. Wie pan, ile razy czułem się Raskolnikowem czy nawet Hamletem, a tak naprawdę jesteśmy, jak ten kapitan milicji. Ludzi nasz dramat męczy i dlatego tak pospolite jest nasze cierpienie i nikt tego nigdy nie wyda. – Filozoficzne zaskoczenie podziało twórczo na pana Staszka. Jerzy – pierwszy raz, odkąd poznał tego człowieka – usłyszał zdania, które nie dawały mu spokoju, za każdym razem, gdy sobie tę rozmowę przypominał.

– Ma pan rację, wydawaliśmy straszne gówno, straszniejsze niż nasze życie – tylko tyle był w stanie odpowiedzieć i zaraz zbierał się do wyjścia.

– Panie Jurku, pan już odchodzi? Niech pan powie, dlaczego znowu nas? – Legowicz popatrzył porozumiewawczo, tak samo jak wtedy, gdy Jerzy przychodził do pracy. Nie wyrwało mu się, spytał z premedytacją, solidarnie, ze smutkiem w głosie, ale też za pokutę, że jemu się udało zachować siebie w tajemnicy.

– Będę się zbierał, zabierał stąd, znaczy w ogóle stąd. Nie wiem dlaczego, panie Staszku, niech pan na siebie uważa, może się pan dowie – splątane sprzecznościami słowa doskonale oddawały stan ducha. Uciekać szybko i daleko, kto frajer, niech próbuje kolejny raz.

– Pan naprawdę jedzie do Ameryki? Już postanowione?

– Wyjadę gdziekolwiek, tam gdzie pozwolą. Pora na mnie, niech pan się trzyma, nie wiem czego, ale niech pan się trzyma. – Gdula podał rękę na pożegnanie, męczył się przy tym, przekładając torbę i papiery, był coraz bardziej spocony i spragniony.

– Do widzenia, będę z sympatią i uznaniem wspominał, pan był zawsze człowiekiem dla człowieka. Niech się panu w tym nowym świecie ułoży po ludzku, pan zasługuje. – Mocny, męski uścisk i już za chwilę ci dwaj filozofujący mężczyźni, zmęczeni własnym życiem i tym, co w nim dotąd robili, rozstali się na zawsze. Jerzy Gdula już nigdy nie usłyszał o panu Staszku Legowiczu, nie wiedział, co się z nim stało, pan Staszek, jak wielu, o Jerzym słyszał jeszcze niejedną raz, ale to już zupełnie nowy rozdział ludzkiej tragedii na własne życzenie.

Starszy pan, który zestarzał się pięknie, szlachetną siwizną, delikatnie rzeźbioną zmarszczką, wyraźnie zarysowanym nosem i ustami, z pełnym uzębieniem, gładkimi dłońmi, idealnie dobranymi okularami, pięknie skrojoną koszulą drogiej firmy, siedział w stylowym fotelu i oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu. Czynność powtarzał często, tak często, że z czasem stała się rytuałem, liturgią odprawianych gestów. Zaczynał od dokładnego obracania i oglądania książki oprawionej w skórę. Nie było to specjalne ani też jubileuszowe wydanie, tylko rzemieślnicza robota, dar od jednego z wiernych czytelników, miłośnika nie stąd i z dawnych czasów. Dzieło niesłusznie uchodziło za życiorys, w rzeczywistości udawało biografię, na miarę autora, jaką zawsze chciał mieć, i którą sobie wymyślił, ponieważ atrakcyjnie zmyślane biografie dają poczytność. Szczęśliwi autorzy, których życiorysy są literackie, podobną pomyślnością mógł się cieszyć pisarz Jerzy Gdula, lecz on ze swojego życiorysu nie skorzystał, wymyślił mniej atrakcyjną, ale poprawnie fałszywą i dlatego popularną historię. Spisał opowieść wypełniającą poczytne warunki literackie i przede wszystkim wyobrażenia autora o krzywdzie, którą przypisał oraz opisał właściwie, wszak literatura jest kreacją, o czym często przekonywał – najczęściej sam siebie.

W kolejnej odsłonie rytuału przepełnione uznaniem oczy odczytywały ulubione fragmenty świętej całości. W tym miejscu należy dodać, że był to akt intymny i nikt poza Jerzym Gdulą nigdy w nim nie wziął udziału, jak również nikomu ceremoniał nie był znany. Nawet autor przed sobą udawał, że nie ma tajemnic, taki po prostu był, miał swoje dziwactwa, mówił do siebie, czytał swoją książkę jak Biblię i wiele innych osobliwości skrywał po zakamarkach duszy, taki był. Fragmenty ułożone w cykle, cykle złożone z wielu zaznaczeń, odczytywane zawsze w tych samych układach, tak Jerzy Gdula odprawiał misterium. Dziś, w dniu 24 lipca 1996 roku, już wiedział, które strony odczyta. Był gotów, zasiadł w skórzanym fotelu ustawionym w salonie londyńskiego mieszkania urządzonego, jak nakazywał londyński obyczaj, ten z epoki królewskiej, czemu gorliwie hołdowali napływowi londyńczycy, rzadziej rodowici. Rozdział pierwszy, strona dziesiąta, czytanie fragmentu o tym, jak się nigdy nie wydarzyło:

*Do wsi, gdzieś na kresach słowiańskiego kraju zdesperowani rodzice przywieźli przerażone dziecko. Chudy, nie wyglądający na swój wiek chłopiec, o rysach twarzy, kolorze włosów i oczu, które w tamtym czasie oznaczały wyrok. We wsi upstrzonej koszmarnymi chatupami, krytymi łodygami zbóż, gdzie drogi błotniste, a ludzie przez małe okienka otępiatym wzrokiem wyglądali obcych, przerażeni przybysze szukali chatupy tych, co ich we wsi nazywali Gierczaki. Po kilku nieudanych próbach podróżni trafili w końcu do właściwej i chyba najbrzydszej we wsi chatupy. Przed wejściem, na koślawej ławie, siedziała kobieta w łachmanach, wyglądała na lat czterdzieści kilka, naprawdę miała lat trzydzieści i parę miesięcy. Drewnianą tychą nabijała okraszone słoniną ziemniaki i popijała gęstym mlekiem z glinianego garnka. Włosy miała bezładnie potargane, skołtunione, opadające na otrzaskaną słońcem, kwadratową twarz. Wielkie dłonie z ziemistym brudem za postrzępionymi paznokciami, szeroko rozstawione nogi przykryte poplamioną od tłuszczu spódnicą. Na głowie chustka zawiązana do tyłu, na nogach nienaturalnie olbrzymie, obłoczone buciska. Tak wyglądała i patrzyła na przybyłych takim wzrokiem, jakim patrzyli wszyscy mieszkańcy wsi, wyglądający z okienek i typiący na ławach przed chatupami.*

*– Szczęść Boże, pani gospodyni. Pani Gierczak, prawda? – Tutejszym obyczajem nieśmiało spytała młoda kobieta i od pierwszego zdania było słychać, że to kobieta inteligentna, wykształcona, obyta i... przerażona. Obejmowała zaptakane dziecko; chłopiec zwiesił głowę, ale marzył o tym, żeby zamknąć oczy. Ubrany w najlepsze ubranka, jakie udało się ocalić,*

czekał na rozstrzygnięcie, które żadną miarą nie mogło być szczęśliwe. Ojciec chłopca, mężczyzna przystojny, o dumnych oczach, trzymał niewielką walizkę, drugą dłonią w wyuczonym geście uchylał kapelusza i chociaż wiedział, że w tych okolicznościach i towarzystwie czyni gest próżny, wychowanie nie pozwalało postąpić inaczej.

– Może i Gierczak, wy co za jedne? – warknęła baba chropowatym głosem, z pełnymi ziemniaków ustami, broda świeciła się jej od tłuszczu.

– Byliśmy umówieni z pani mężem, Józefem, w sprawie naszego syna, my z polecenia pana Marczuka – powiedział przystojny mężczyzna, okazując szacunek, nienaturalny do okoliczności i zachowania kobiety.

– Siedzo łoba w izbie i pijo – dalej głośno przeżuwała kartofle i nie przejmowała się niczym.

– Czy możemy wejść i porozmawiać z pani mężem? – Najgrzeczniej, jak potrafiła, spytała mama chłopca, na jej twarzy odmalowało się jeszcze większe przerażenie, które zwalczała siłą woli i brakiem wyboru.

– Mnie co do tego, idźta, jak tak – odburknęła, jednak wstała i poprowadziła do chatupy, przez cuchnącą od nieczystości sień, gdzie stało wszystko co potrzebne i niepotrzebne, wymieszane ze sobą w absolutnym bałaganie. Po wejściu do izby smród nie zniknął i brudu nie ubyło, na klepisku walały się jakieś resztki, cuchnęło nieczystościami z sieni i bimbrem z izby. Przy surowym, odrapanym stole, niechlujnie zbitym z grubych desek i na takich samych ławach jak przed domem, siedzieli dwóch mężczyzn. Jeden był olbrzymem z długą brodą i mówił coś po ukraińsku, drugi nieogolony, o twarzy ponurej i zmęczonej alkoholem, śmiał się zgryźliwie. Obaj przerwali rozmowę, gdy zobaczyli spodziewanych gości, to ich wizytę rozpijali przedwcześnie.

– Te? – zwrócił się nieogolony do brodatego, jakby nie chciał zauważyć obecności gości.

– Woni<sup>1</sup> – w swoim języku odparł brodaty, po czym chlusnął szklanką bimbru prosto w gardło.

– Gdzie on dziecko?! Futrować jego za parę groszy? Wiele ma lat? – Nieogolony i pijany chłop zmierzył chłopca, ocenił straty, jakie będzie musiał ponieść, w końcu kiwnął głową do kobiety, najwyraźniej od niej oczekiwał odpowiedzi.

– Izaak ma trzynaście lat, on jest skromnym chłopcem, nie je dużo, nie ma apetytu, boi się – matka przycisnęła chłopca do piersi, sama nie wiedziała czy dobrze mówi, może zagłodała go tutaj od takiego mówienia.

– Znaczy się Icek? – zza pleców gości odezwała się baba.

– A ty tam czego gębę rozdziawiła? Mało tobie dzisiaj? – zeźlił się chłop i wtedy wszyscy, co pierwszy raz przekroczyli próg tej zatęchłej izby, zrozumieli, że nieogolony to Józef Gierczak.

– Panie Gierczak, syn jest bardzo spokojnym i grzecznym dzieckiem, religijnym, nie sprawi żadnego kłopotu – po raz pierwszy odezwał się ojciec chłopca, w dłoniach miętosił kapelusz, był zdenerwowany i bezradny. Pewnie czułby się upokorzony, ale miał na głowie gorsze zmartwienia.

– Co to wasza religia, już ja was wiem. Pana Jezusa obwiesili, bandyty – znów odezwała się baba i aż jej ślina pociekła po brodzie. Wyjęła zza pazuchy medalik i pocałowała kilka razy. Tym razem Gierczak nie zareagował.

– Syn zna katolickie modlitwy i bardzo szanuje waszą wiarę, tak był wychowany, jeszcze przed tym wszystkim. – Ojciec chłopca wziął na siebie cały przykry obowiązek pozostawiania dziecka tym dzikim i nienawistnym ludziom w tej cuchnącej i ciemnej chatupie. Widział, że żona nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Hovory! Oyiśze nash!<sup>2</sup> – Niespodziewanie warknął, porządnie upity, brodaty Ukrainiec. Gierczak zorientował się, że rodzice chłopca nie wiedzą, o co chodzi, ale uznał, że kompan słusznie wydał komendę.

---

<sup>1</sup> Oni.

<sup>2</sup> Mów! Ojczy nasz!



– Niech gada Ojcie Nasz! – znów Gierczak kiwnął głową na matkę. Chłopiec rozumiał, czego od niego oczekują ci pijani mężczyźni, przez kręgosłup przeszedł mu prąd, zatrzymał się w gardle i sparaliżował każdy dźwięk.

– Nie bój się, powiedz panu Ojcie Nasz, przecież umiesz ładnie powiedzieć. Pan jest dobry, poprosił cię ładnie. – Matka musiała się przemóc i dodać chłopcu wiary, użyła słów, które zupełnie nie przystawały do wychowania, jakie Izaak odebrał. Nieogolony człowiek nie był ani dobry, ani ładnie nie prosił. syn posłuchał mamy, wiedział, że to taka „zabawa”, jakiej uczył się od dawna.

– Ojcie Nasz, któryś jest między niewiastami... – chłopak nie zdążył się zorientować, że popełnił błąd, gdy cuchnąca izba wypełniła się wielkim tubalnym rechotem, śmiali się wszyscy, baba za plecami dziecka, która pokazywała spróchniałe zęby, Ukrainiec opluł sobie ze śmiechu brodę, Gierczak machał rękami i ledwie łapał oddech. Oniemiały, sparaliżowany strachem Izaak rozglądał się wkoło po izbie, a zwolniony obraz i wydłużony dźwięk przypominał koszmarne sny, które śnił od czasu, gdy już wiedział, że z rodzicami zostać nie może. Widział i słyszał wszystko, jak w złym śnie, albo wtedy, kiedy był chory i mdlał na kolanach matki. Chciał uciec i nie mógł się ruszyć, chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie otworzyć ust. Matka odwróciła chłopca i przytuliła do piersi, pogłaskała po głowie, potem zwróciła się do rozbawionych chłopów.

– On potrafi, to nerwy, on bardzo pięknie potrafi mówić, on zna patriotyczne wiersze. – Ostatni słowa wydały się kobiecie bezsensowne, zresztą wszystko wydawało się pozbawione sensu, lecz taki to był czas i tacy ludzie.

– Nerwowo? Niemca napotka i gotowy się obesrać. – Chałupa znów się wypełniła rechotem, jak tylko Gierczakowa powiedziała, co jej się śmiesznym wydawało.

– Pacierza nie umi, trzynaście roków, potrzebuje zjeść jak koń. Za te piniendze nie weźmiem, strach z takim i głodowanie – rzucił Gierczak i spojrzał wymownie na rodziców chłopca.

– Na dole podcięty? – spytała baba, dodając do targowania następny argument, tym razem cała trójka, rodzice i dziecko zwiesili głowy.

– I to jeszcze! Za takiego kula w łeb! Sto pięćdziesiąt najmniej – krzyknął Gierczak i dzielił pięścią w stół.

– Przynajmniej!<sup>1</sup> – Potwierdził po swojemu brodaty, rozlewając ostatnią część siwej butelki.

– Nie mamy tyle, panie gospodarzu, wszystkiego mamy sto dwadzieścia złotych, nie mamy więcej, nic już nie mamy – ojciec chłopca z trudem powstrzymywał łzy, obejmował żonę i syna.

– Sto dwadzieścia mało. Najmniej sto pięćdziesiąt, tyle wartuje ze wszystkim, ze strachem i jidzeniem – twardo negocjował Gierczak i ani myślał ustąpić.

– Damy sto dwadzieścia i jeszcze to, więcej nie mamy. – Kobieta zdjęła pierścionek, przez chwilę mąż patrzył na nią pełnymi wyrzutu oczami, szybko rozumiał, że patrząc w ten sposób, czyni sobie i jej wielką krzywdę.

– Złote? – piskliwie zapytała Gierczakowa, wychyliła się zza pleców matki chłopca, chwyciła pierścionek i wetknęła między spróchniałe zęby. W tym czasie Gierczak poderwał się z ławy jak oszalały i rzucił na swoją żonę, gdy ta w wyćwiczonej odruchu załoniła się rekami.

– Dawaj, durna, gówno się rozumisz. – Jak tylko wyrwał pierścionek, zrobił dokładnie to samo, wetknął go między zęby i gryzł tym, co miał. Z daleka pokazał zdobycz brodatemu.

– Załato!<sup>2</sup> – Potwierdził brodaty, na złocie akurat się znał, słynął we wsi z ograbiania tych z przemyskiej dzielnicy Garbarze.

– Niech będzie sto dwadzieścia i to, niech będzie nasza krzywda! – zgodził się Gierczak. Bardziej potaszczył się na złoto, nie na pieniądze, zgodziłby się wziąć mniej pieniędzy, byle

---

<sup>1</sup> Przynajmniej!

<sup>2</sup> Złoto!

*pierścionek był zapłatak. Ale tego nikt nie mógł wiedzieć, on sam też, póki nie zobaczył. Pierwszy raz trzymał w dłoni coś tak cennego.*

*– Proszę się opiekować naszym synkiem, to dobre dziecko – zapłakana matka, przelamując obrzydzenie, obejmowała rozczochraną i brudną babę, z bliska śmierdziała jeszcze bardziej.*

*– Tak, bardzo prosimy, Izaak jest inteligentnym... mądrym, posłusznym chłopcem – dodał ojciec, patrząc błagalnie na Gierczaka.*

*– Już po wszystkim, idźcie z Bogiem, nic jemu tu nie będzie, między katoliki trafił – zapewniał Gierczak. Jak najszybciej chciał się pozbyć całego towarzystwa, razem z brodaczem zamierzał uczcić udany interes, wspólnik już swoje wziął w Przemyślu, nie pierwszy to zarobek w jakim pośredniczył. Gierczak cieszył się złotem, obracał pierścionek jak odpustowy, jakby był starą panną, a tamci to swaty. Rodzice uściskali chłopca, cała trójka wtuliła się w siebie i całowała w policzki, czoło, dłonie, każde z osobna i wszyscy razem. Nikt nie powiedział jednego słowa, chcieli wszyscy, najbardziej Izaak, który miał zostać w tym okropnym miejscu, ale nie potrafili. Chłopiec był najbardziej złęczony i zrozpaczony, jeszcze nie wiedział, że jego rodzice i rodzeństwo pójdą do miejsc najgorszych, wiele bardziej przerażających, brudnych, okrutnych, trafią tam, gdzie żywi nie różnią się od trupów i nikt nie przeżyje.*

Koniec pierwszego czytania z księgi świętej, oprawionej w skórę, kolejne strony odkrywają się po krótkiej przerwie, przewidzianej w rytuale. Kiedyś tę cześć celebry autor nazywał urzędową herbatą, teraz herbatka była tradycyjna. Jerzy Gdula stanowczo trzymał się londyńskich obyczajów, które znał z opowieści, a które w samym Londynie straciły na znaczeniu. Mieszkanie znanego pisarza było pełne nawyków i motywów klasycznych, jednak wprawne oko konesera od pierwszej chwili mogło dostrzec fałsz w tym, co widzi. Aranżacja salonu przypominała odwzorowanie schematów, jakie można znaleźć w poradnikach objętych cyklem: „Twój dom”. Przede wszystkim raziła przesada i wręcz infantylny snobizm, którego nie sposób nie zauważyć. Ktoś zadbał, aby w mieszkaniu należycie zaprezentować wiele „atrakcji”, które od drzwi miały atakować gości. Eksponowana biblioteczka, wystawione na widok stare pianino i wielkie dębowe biurko, stara maszyna do pisania. Fotel, ulubione siedzisko autora, repliki obrazów, gdzie już trudno wspomnieć o guście, należało mówić o popularności dzieł, o plakatach wyciętych z gazet. Wisiały obok siebie skłócone dzieła, spierały się o wszystko: formę, barwę, treść, epokę, nie wyłączając konfliktów między mistrzami, które artyści pielęgnowali za życia, a miłośnicy ich talentu – po życiu. Michał Anioł i Leonardo da Vinci, Goya i Bosch, Salvador Dali i Degas. Spór między Ledą i Dawidem, łabędziem i słoniem na nogach żyrafy, między plamką i światłocieniem, odrodzeniem i nihilizmem, pełnią życia i życia marnością, życia okrucieństwem. Ktoś uporządkował dzieła tak, jak ustawia się towary, według asortymentu. Oddzielnie nabiął, na swoim miejscu wędliny, dalej pieczywo i warzywa. Ściany londyńskiego salonu Jerzego Gduli wyglądały jak sklepowe regały, w najlepszym razie jak witryna. Jeśli nie sklep, wystrój równie dobrze mógł udawać leśniczówkę, niczym jelenie rogi i niedźwiedzie łby zatknięto na ścianach obrazy. Salon wypełniał się ciężarem sztuki, która została tu zaprzęgnięta, nie zjawiała się tu z własnej woli i fatalnie się czuła. Dyskomfort mógł poczuć każdy, kto sztukę widział choćby z daleka i wielu dostrzeżało natychmiast, jednak nikt z podejmowanych gości nie ważył się ulżyć dziełom w konflikcie i kiepskim samopoczuciu. Nikt nie ośmielił się radzić gospodarzowi mniej efekciarstwa, więcej konsekwencji, no i chociaż jeden autentyk, rzecz jasna mniej znany, gdyż sławny pisarz nie był aż tak zamożny, jak usiłował to wyeksponować.

Herbata w chińskiej porcelanie, nie mogło być inaczej, ale już samo parzenie, w londyńskiej kuchni, tak samo odprawiane jak w warszawskiej kawalerce, sędzie i wydawnictwie – przez sitko. Nawyk silniejszy od naśladownictwa, zresztą tego nikt nigdy nie widział. Powrót na fotel, rzut oka na skórę książki i mógł pisarz świętować przerwę

w liturgii wielokrotnego czytania poukładanych fragmentów pisma. Popołudnie jak jedno z wielu podobnych do siebie. Dzięki rytualnej konsekwencji samotność rozumiana jako tęsknota człowiecza za człowiekiem wydawała się atrakcją, bo sztucznego towarzystwa Jerzemu Gduli nie brakowało. Odwiedzali go krytycy, inni pisarze, dziennikarze, czasami politycy, niekiedy odważniejsi wielbicieli, lecz poza autografem rzuconym w drzwiach na nic więcej liczyć nie mogli. Na biurku klasycznym dzwonkiem podskoczył telefon, a i sam aparat był elektroniczną imitacją starych telefonów na widełkach.

– Dzień dobry, nazywam się Magdalena Gliniak, dzwonię do pana z Warszawy – odezwał się kobiecy, wyrobiony głos, najpewniej właścicielka traktowała głos jako narzędzie pracy. Kobieta zaczęła rozmowę zanim pisarz zdążył przedstawić swoją znaną osobę, tak jak to czynił od zawsze. – O Jezu, ja chyba po angielsku powinnam do pana mówić... – po chwili padła absurdalna uwaga, z tego względu bezsensowna, że również wypowiedziana tym samym i nie angielskim językiem.

– Proszę mówić normalnie – odpowiedział pisarz. Prośba nie była wielką kurtuazją, tutejszy język ciągle uwierał Jerzego Gdulę. Angielskim nie posługiwał się sprawnie i na tyle swobodnie, aby mógł się czuć pewny w rozmowie. Ten mankament czasami wyciągali co bardziej brawurowi krytycy i konkurencja literacka, zarzucając, że człowiek tak przeciętnie posługujący się angielszczyzną nie mógł w tym języku samodzielnie napisać popularnej na całym świecie książki. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że książkę napisaną w języku angielskim po raz pierwszy wydano w Paryżu w jednym z emigracyjnych i powszechnie znanych wydawnictw. Jednak dopiero wówczas, gdy „Msza żywych” została wydana w Nowym Jorku, stała się światowym bestsellerem. Plotki nie przynosiły pisarzowi strat, wręcz przeciwnie, delikatna atmosfera skandalu, przekuta na wielką krzywdę wyrządzoną i tak dotkliwie doświadczonemu autorowi, przysporzyła sporo zysków w postaci sprzedaży i legendy.

– Świetnie pan mówi w ojczystym języku, cieszę się, tak będzie łatwiej. Chciałam bardzo pana prosić o wywiad, właściwie taką rozmowę w kameralnym gronie. Pana rozmówcą byłby Andrzej Szefer, doskonale panu znany. Program ma być realizowany przez państwową telewizję, ale będzie też promowany w dzienniku pana Andrzeja. Czy zgodziłby się pan na taką realizację z udziałem mojej skromnej osoby w roli prowadzącej wywiad? Bardzo pana proszę. – Telefon przemówił mieszkanką rutynowej oferty, jednak takiej, w której dało się dostrzec respekt, charakterystyczną dla pewnego zawodu uległość wobec wielkiego nazwiska, którego nie da się ruszyć, o ile nadal chce się zawód uprawiać i być w zawodzie gwiazdą.

– Dobrze. Proszę mi tylko powiedzieć coś o terminie tego spotkania? – Z należytym szacunkiem odpowiedział głos z drugiej strony, bo po tej stronie telefonu był autor, który bez dziennikarzy nie mógł być wielkim.

– Fantastycznie, będzie dla mnie wielkim zaszczytem i przyjemnością spotkać się z panem i redaktorem Szeferem, to ważna rozmowa dla nas o nas. Myślałam o przyszłym tygodniu. Pan zapewne wolałby spotkanie w Londynie? – Gliniak zmieniła ton na techniczny, wstępne uprzejmości przeszły w pośpieszną i konieczną formalność. Teraz w telefonie było słychać tylko jedno zaangażowanie. Doprowadzić sprawę do końca z czysto formalnej strony.

– W przyszłym tygodniu? Muszę jeszcze sprawdzić, czy to będzie możliwe, nie wykluczam. Natomiast w mojej sytuacji, nazwijmy to: paszportowej, spotkanie w Londynie jest koniecznością. W kwestii ostatecznego terminu prosiłbym o telefon jutro, wówczas będę miał jasność – pisarz zrewanżował się dziennikarce tym samym formalnym tonem odpowiedzi.

– Najmocniej przepraszam, zapomniałam na śmierć o tej skandalicznej sytuacji z pana paszportem. I to 6 lat od chwili, gdy jesteśmy demokratycznym krajem! I to jest właśnie jeden z ważnych powodów, dla których ta rozmowa powinna się odbyć. Oczywiście zadzwonię jutro i dostosuję się do pana propozycji, co do konkretnego dnia i godziny spotkania. Pan

Szefer dał w tej kwestii pełną swobodę, cały tydzień ma zarezerwowany na tę okazję. Pan Szefer o niczym innym nie mówi, tylko o wielkiej radości na tę wizytę.

Do pisarza popłynęło odpowiednia dawka uprzejmości. Nastąpiła zmiana spowodowana wycuciem nastroju, umiejętność niezbędna dziennikarce, o ile chciała robić wywiady z wielkimi pisarzami. Gdy zrozumiała, że Jerzy Gdula wyczuł chłodną nutę formalizmu, a potem dyplomatycznie zrewanżował się tym samym, natychmiast naprawiła swój błąd. Zmieniła formę na bardziej właściwą, przybrała pozę wielkiej wielbicielki talentu, najwłaściwsze ze wszystkich wcieleni.

– W związku z tym jesteśmy umówieni, proszę serdecznie pozdrowić Andrzejka, bardzo się cieszę na spotkanie z nim i panią oczywiście – odpowiedział uprzejmie, a dziennikarka odetchnęła z ulgą, słysząc łaskawszy głos pisarza.

– Dla mnie to będzie wielki dzień, najważniejszy. Jestem zaszczycona i jeszcze raz dziękuję. Zadzwoń jutro o tej samej porze? Będzie dobrze? – Ostatnie szczegóły dopinały się w wyuczonym klimacie szacunku i podziwu.

– Tak, jutro na pewno będę o tej godzinie w domu. Bardzo dobra pora, proszę dzwonić – uprzejmie odpowiedział pisarz w rewanżu za uwielbienie.

– Świetnie, zatem do widzenia, do usłyszenia jutro, nie przeszkadzam dłużej – modelowo odpowiedziała dziennikarka pisarzowi.

– Do widzenia, pani redaktor.

Koniec rozmowy był rutynowy, ale sam telefon miał swoją oryginalną wartość, przyniósł informację o ważnym spotkaniu z ważnymi ludźmi, by porozmawiać o najważniejszych sprawach. Obok obwąchiwania skórzanej oprawy własnego dzieła, czy też dzieła podpisanego własnym nazwiskiem, był to rytuał równie ważny, o ile nie ważniejszy. Oba wzajemnie się uzupełniały, przecież nie byłoby wszystkich istotnych telefonów, gdyby nie było genialnej książki i nie byłoby genialnej książki, gdyby nie było rozmów z wpływowymi ludźmi na fundamentalne tematy. Udany zapowiadał się wieczór. Po rozmowie tak niebagatelnej dla rytuału pisarz mógł przejść do kolejnego rozdziału i następnych świętych wersów. Strona 22, czytanie ze skórzanej księgi, o tym, jak się nigdy nie zdarzyło:

*Pierwsze dni w domu Gierczaków straciły w prawdziwe piekło, jakie tylko dorośli mogą zgotować dziecku. Chłopiec stracił wszystko, poczynając od imienia, które zmieniono mu na tutejsze, Janek wołano na niego, poprzestając na godności dziecięcej, gdyż o ludzkiej nie było mowy. Zmuszano Janka do rzeczy złych i jeszcze gorszych, a on nie ważył się protestować, buntował się tylko żołądek Izaaka, kiedy przymuszano Janka, aby jadł po bożemu skwarki, jak wszyscy, co w pana Jezusa wierzą i do Matki Boskiej się modlą. Często wymiotował, gdy miał szczęście trafić na Gierczakową, dostawał polanem po żebrach i sprzątał rękami, ale zdarzały się większe nieszczęścia, kiedy pijany Gierczak kazał chłopcu z ziemi zjadać, co żołądek odrzucił. Śmiał się przy tym i krzyczał: „Ojcze Nasz między niewiastami! Ojcze Nasz między niewiastami!”. Spał na piecu, widząc i słysząc wszystko, co się w nocy działo, wieczorna modlitwa, potem zwierzęce jęki po libacjach, załatwianie potrzeb do wiadra. O świcie chłopiec kradł drzewo w lesie, w dzień pracował w polu, wieczorami powtarzał pacierze. Gdy się mylił, Gierczak wysyłał go do stajni i kazał spać na gnoju. Wiele cierpienia wlało się w serce chłopca, ale nie wiedział jeszcze, że ból przeleje się nowymi wydarzeniami, które pozostaną w pamięci do końca dni, rozleją się na późną starość, w nocy będą budzić i nie pozwolą zasnąć, w dzień przypomną nocny koszmar. W czasie i miejscach niespodziewanych wspomnienia odezwą się nieproszone, nie zechcą odejść, a przegonione powrócą bez zapowiedzi.*

*Był chłodny jesienny dzień, przed południem pijany gospodarz wracał od Marczuka, jego żona bez celu deptała klepisko, omijając kocie odchody i inne nieczystości, które z klepiska nigdy nie znikają i z czasem stawały się samym klepiskiem. Podniecony Józef*

*Gierczak wbiegł do chatupy, jego przekrwiona twarz wyrażała zadowolenie i tajemnicę, rozejrzał się nerwowo po izbie, zanim zaczął mówić o tym, że biedy w chatupie już nie będzie.*

*– U Marczuka był – mówił półszepem i znów rozejrzał się po izbie.*

*– Na co mnie to gadać, po gębie znać, gdzie był – wrzasnęła Gierczakowa i zaraz musiała się bronić przed zamachem męża.*

*– Czego gębę rozdziawiła? Ty w lesie nikogo nie widział? – zwrócił się do skulonego w sobie Janka.*

*– Nie widziałem – chłopiec odpowiadał cicho i tak jakby przepraszał za to, co mówił, cokolwiek powiedział, mogło go bicie kosztować.*

*– Wy wszystkie jednakie, psie syny, bandyty Chrystusowe! Cyganisz! Swoich nie widział?*

*– Teraz Gierczak krzyczał, jakby zapomniał, że jeszcze przed chwilą, szepem wielką chciał oznajmić tajemnicę. W odpowiedzi Janek przecząco pokiwał głową, choćby chciał, nie mógł z siebie słowa wydobyć, nie rozumiał też, o czym mowa.*

*– Czego ty w lesie, durny, szukasz? Idź spać, pijanico! – Gierczakowej zebrano się na większą odwagę, może i nawet pożałowała chłopca, nie z litości dla niego, ale siebie zobaczyła, sama nieraz się chowała przed pijacką furią chłopca.*

*– Zawrzyj pysk, durna. W lesie jego siedzo. Uciekli z Przemyśla, ze wszystkim. Marczuk do nich chodzi za złotem – aż odsapnął z nerwów, podniecenia i na dalszą drogę.*

*– Od zacieru oba podurnieli. W lesie złota szukać?! – nie dawała wiary słowom męża, miała do tego przyczyny, nie pierwszy to raz gadał od rzeczy, gdy od sąsiada wracał.*

*– Szkoda zdrowia psuć, z durnym robota. Trza iść w las, za mną pójdziesz, ze swemi lepiej taki gada. – Chłop chwycił za koszulę Janka i uderzył go w kark, tak bez powodu, na wszelki wypadek. A ty chleba dawaj! – warknął do żony. Zrezygnowana Gierczakowa dała, czego chłop chciał, i już o nic nie pytała. Ucieszyła się, że w domu spokój nastanie od pijaka i chłopaka, co go szczerze, po chrześcijańsku nienawidziła.*

*Gierczak kazał Jankowi wóz zaprzęgać, sam poszedł do stodoły, gdzie zacier stał i tyknął sobie, jak należy, na odwagę, na nowe zadanie. Wypił i spodziewał się, że za ten czas koń do wozu będzie przyprzęgnięty, co w tak krótkiej chwili stać się nie mogło. Odbił sobie rozczarowanie, okładając chłopaka orczykiem po tydkach i stać mu w miejscu przy tym kazał, co też Janek zrobił, bo wiedział, że ucieczka na nic się zda, a złapany może więcej zapłacić. Po chłopcu koń dostał swoje, batem przez całą drogę, tak się chłop do złota śpieszył. Jechał, jak się Marczuk zdradził, opisał miejsce w swoim języku, ale Gierczak szybko na swoje tłumaczył: „tam siedzo, pod brzozi, gdzie się dziki kompio”. Szaleństwo trzymało lejce, szaleństwo smagało konia, szaleństwo rozdawało razy Jankowi i sama myśl, że gdzieś w lesie znajdzie złoto, zedrze je z ludzi, których nienawidził, gardził nimi i poniewierał, dodawała szaleństwa. Wyobrażenie o wielkiej majątności, chociaż wsparte na tak wątłych przesłankach, sprawiało, że nie myślał o niczym innym, tylko pierścionki, monety, pieniądze, zdobyte tak prosto – złoto za chleb. Złoto, za przedłużenie nadziei na życie.*

*Dojechali na miejsce, zgrzany koń ciężko sapał, chłopiec wycierał łzy w swoje łachmany, które Gierczakowa zszyła mu z łachów starego, to, co miał na sobie, gdy z rodzicami się zegnał i to, co w walizce poszło do ludzi, za psi, ale pieniądz. Gierczak pociągnął Janka między brzozy i kazał mu krzyczeć „po swojemu”, że mają chleb i chcą pomóc, że nie obcy przyszli, żeby się nie bać, że będzie jedzenie. Chłopiec powtarzał te słowa, starał się, jak mógł, strach przeszywał mu ciało, strach był tak wielki, że Janek zapominał albo nie zdawał sobie sprawy, że Gierczak niczego nie może zrozumieć i całe gadanie do lasu większego nie miało sensu, wszyscy w tej okolicy po tutejszemu mówili. Stało się jednak inaczej, po czasie krótszym, niżby się rozum mógł spodziewać, z krzaków wyszedł wychudły, postrzępiony mężczyzna, z długą brodą, brudny i przestraszony. Gospodarz podskoczył i walnął chłopca w plecy, to miał być radosny i przyjazny znak, ale odbiło się po całych płucach i z taka siłą, jak bicie rozpoznane.*

– Chleba chcesz? Chcesz chleba? – Chłop machał bochnem przed wygłodniałym, a ten niepewnie wyciągał ręce. – Złoto masz, piniendze? Dawaj złoto! Chleba dostaniesz! Chcesz?  
– Wychudły mężczyzna schował się za krzakami, co Janek znów przyplącił kuksańcem.  
– Wołaj, kurwy syna! Wołaj! – szarpał i okładał chłopca na oślep, nie dał mu szansy na wykonanie polecenia. Po chwili z krzaków wyszło dwóch mężczyzn, obaj w opłakanym, łachmaniarskim i nieludzkim stanie. Jeden z nich podszedł i otworzył dłoń.

– Za chleb, gospodarzu, Bóg zapłać – powiedział mężczyzna. Sam nie wiedział czy mówił z ironią czy przesadnym szacunkiem, na pewno mówił tak, aby nie stracić okazji na przeżycie jeszcze jednego dnia. Pijany chłop rzucił się na złotą monetę, po czym cisnął bochnem chleba i zaczął uciekać, jakby zdawał sobie sprawę, że to nie sprzedaż, że ukradł i prawie mordował. Nagle odwrócił się, odwróciło go szaleństwo z pazernością, przetęłamał strach i krzyknął z leśnej drogi do odchodzących w głęboki las.

– Macie wiency? Jutro chleba przywiezie! Macie wiency? – krzyczał przez drzewa, do ludzi, którym było wszystko jedno, wszystko poza głodem na życie.

– Przyjedźcie jutro gospodarzu. Bóg wam zapłać! – odpowiedział głos z lasu, tą samą ni to ironiczną, ni błagalną barwą.

Janek jeździł w to miejsce wiele razy, Gierczak brał go ze sobą zawsze i odkąd pokłócił się z Marczukiem o zyski. Ukrywający się ludzie z jakichś powodów woleli z Gierczakiem prowadzić interes życia, a on sam tłumaczył sobie, że to za sprawą chłopca, co znał język tamtych. Nie mylił się, tak było, ludzie z lasu dowiedzieli się od Janka kim jest i że jego los nie lepszy, że jest jednym z nich. Rozmawiali po swojemu, Gierczak nie podejrzewał niczego, był zadowolony z korzyści rozmowy, treści nie rozumiał i nie bardzo go obchodziła, nawet nie pytał, o czym rozmawiają. Z każdą wizytą było coraz trudniej, Marczuk groził, że wyda tych z lasu i samego Izaaka sprzeda Niemcom, sprawy układały się bardzo źle, tym gorzej, że ludzie, którzy przed śmiercią się chowali, nie mieli już czym płacić, za co gospodarz wściekał się i bił chłopca do nieprzytomności. Gdy trzeźwiał, docierało do niego, że Janek jest mu potrzebny, wtedy dawał mu więcej chleba i pozwalał ugotować jajko, największy w chatupie smakołyk.

Znów pojechali. Tym razem z krzaków wyszedł inny niż zwykle mężczyzna, był ze starszą kobietą; oboje chcieli zapłacić za chleb tym, co im zostało. Oddawali złote z zębów koronki, za każdą jeden duży bochen chleba. Sześć koronek za sześć chlebów, taką ustalono cenę i zanim doszło do sprzedaży, Gierczak dokładnie obejrzał zęby kobiety i potem mężczyzny. Doliczył się, jak mówili, choć nie u każdego po równo. Wrócił na drugi dzień z sześcioma bochnami chleba i obcęgami. Wyrwał zęby kobiecie i mężczyźnie, nie patrząc na jęki i krew bryzgającą po twarzach. Był pijany, obcęgi obijały się o wargi i zdrowe zęby, kaleczyły twarze. Gdy uporał się z robotą, z lasu wyszła dwójka zapłakanych dzieci, wtuliły się w kobietę i mężczyznę, nie zwracając uwagi na bochenki. Gierczak w przebłytku i odruchu człowieczym zwiesił głowę, ale już po chwili zawinął w chusteczkę i wrzucił okrwawione złoto do kieszeni. Odszedł bez słowa, zostawiając w lesie Janka tępo wpatzonego w ludzi, którzy już nie przypominali ludzi. Po chwili ciężka łapa chwyciła chłopca za kark, przypomniał sobie o Janku, brakowało, komu za tamtych przyłożyć, bo oni byli źli, siedzieli w głowie, tak dziwnie siedzieli i nie chcieli odejść.

Za dwa dni już ich nie było, wystarczyło dwie flaszki bimbru, żeby Gierczak przeprosił się z Marczukiem, ugoda zawierała tylko dwa ustalenia. Tych z lasu Marczuk miał wydać Niemcom, ze swoim zyskiem, Janka nie ruszać, dla pomocy w domu miał zostać i jako tłumacz, gdyby następni w krzakach ze złotem się pojawili. Dnia następnego Niemcy złapali w buczynie dwunastu ludzi, ośmiu dorosłych i czworo dzieci, wszyscy na miejscu zastrzeleni, tam gdzie się dziki kapaty. Na wozie Marczuka ciała porozrzucano i powieszono przez wieś, żeby każdy widokiem się przeraził i zapamiętał, komu nadziei życia przedłużać nie wolno. Janek na wozie rozpoznał chłopca i dziewczynkę. Oboje leżeli na ciałach tamtej kobiety

*i tamtego mężczyzny, co im obcęgami wyrwano dusze. Beźladnie objęci, jak wtedy, ale już nie przerażeni, już spokojni, bezpieczni, już nic złego stać się nie mogło.*

Skórzane okładki zamknęły niewiarygodnie okrutną historię, pisarz odbił się na swoim stylowym fotelu, by łatwiej strawić owoce własnego geniuszu. Wybitne dzieło, które odwiedzą wybitni ludzie i już w przyszłym tygodniu tak się stanie. Na ścianach uśmiechnęły się słonie o nitkowatych nogach, łabędź nieskromnie zajrzał w tajemnicę cielesności Ledy, chciało się żyć, tu, w Londynie, gdzie wszystko jest inne. Zupełnie nie takie, jak tam na końcu świata, klepiskiem wyłożonym, przykrytym strzechą okrucieństwa, malowanym nędzą zwyrodniałych chłopów, żyjących jak Nieludzie i czyhających na resztki ludzkiego życia. Podłe miejsce, podli ludzie, mordujący nawet chlebem. Powieść zrobiła wiele szumu wokół kultury rozumianej jako kierunki świata. Dyskusja przebiegała współzależnymi cywilizacji zachodniej i mrokiem, otchłanią, prząsnością wschodu. Nie brakowało odważnych interpretacji, idących dalej, niżby sam autor sobie życzył, tu i ówdzie dało się słyszeć, przeczytać, nawet zobaczyć, że nic się nie zmieniło i nawet zmienić po wschodniej stronie nie może. Jest świat współczesny, w takim żyć należy, i jest świat zaprzeszyły, w którym przeżyć się nie da, gdzie wieczna nieufność, ran drapanie, pretensja do życia niesiona echem po mogiłach. Barwne recenzje, kunsztowne, niepodważalne, obowiązujące, ponieważ elementarne dla każdego, kto miał ambicję pisać jak należy, recenzować, jak trzeba, albo przynajmniej przeczytać, jak powinien. Pomyślał pisarz o swoim sukcesie, ucieszył się, że jest zwycięstwem wielkim i nie do podziału, absolutnie osobistym. Do podziału przewidział swoje niezbędne opinie, podkreślenia stanu rzeczy, tego znośnego, jak i nie dającego się znieść. Do podziału były wyjaśnienia i stanowiska, niejasne okoliczności odgadnięte modelowo. Komu zaufać, skąd uciekać, jak unikać i do czego zmierzać? Wszystko było w pisarzu i w poczuciu misyjnego obowiązku chciał się tym dzielić. Szczególnym upodobaniem autora była etyka, zagadnienie rdzennie ludzkie, tkwiące w człowieku jest jak żywy organ, jeśli etyki w człowieku zabraknie, należy etykę wszczepić. W ten sposób Jerzy Gdula postrzegał wartość człowieka. Niemała gratka czekała pisarza, goście z dawnego kraju, gdzie po każdym sukcesie przychodziła zapłata, nieuczciwa, tak jak w lesie w podły czas. Pierwsze zdania do ważnej rozmowy były już prawie gotowe, lubił być przygotowany na każdą okazję. Trudno o większą u etycznego mędrca niestosowność niż brak odpowiedzi na pytanie, jakie dziennikarz stawia w imieniu ogółu.

Należało znać kanony wywiadu i być przygotowanym, chociaż jedyną niespodzianką w tego rodzaju powtarzalnych rozmowach było złamanie schematu, na co żaden uczestnik rozmowy pozwolić sobie nie mógł. Istnieją kanony i kanoniczność rozmów najważniejszych, ale dobrym obyczajem i kontrolowanym odstępstwem, szanowanym w środowisku, była cicha nuta konkurencji, zwykle grana na akordzie nieprzeciętnej osobowości. Trzeba niezwykle uważać z użyciem tego zbrojnego narzędzia, ponieważ owa broń może wystrzelić ślepo. Używać dyskretnie, celować precyzyjnie, podkreślić niewielką różnicę, ale nie okazywać wyższości i z tym pisarz nie miał problemów, nauczył się tego dawno, kiedy pomyłka mogła się odwinąć nędznym stanowiskiem w państwowej ubezpieczalni. Drugi strzał w samo sedno, to odstrzelenie fragmentu schematu, by niewielką wyrwę załatać ambicją niezależności osądu. Wydumana technika teorii w praktyce mogła brzmieć tak: „Niewątpliwie masz rację Andrzeju, pozwól jednak, że przywdzieję tożę adwokata diabła albo może jeszcze inaczej. Spróbuję wejść w położenie tych niegodziwych ludzi. Natychmiast zauważam, że nie mam nic, oparcia w tradycji czy ewolucji, nie próbuję nawet odwoływać się do wiedzy, gdyż to jest desperowaniem. Cóż mi pozostaje? Jestem tym, czym jestem, jestem zły, bo tacy byli moi przodkowie i takimi staną się potomkowie. Wyrwać się z tego nie mogę, nie daję sobie szansy. I tylko jedno pozostaje pytanie. Czy mogę się usprawiedliwiać? Czy mogę swoje czyny, nierzadko nawet w moim otoczeniu uznawane za podłe, usprawiedliwiać swoją człowieczą bylejąkością?”. W takiej formie i treści delikatnie potrącony rozmówca ma

tylko jedną odpowiedź: „Jerzy, na miły Bóg, przecież nie będziemy się spierać o detale. Zgoda, jak najbardziej pełna racja, nic innego nie mówię, no, może inaczej rozkładam akcenty, ale to niuans. Co do istoty zgoda. Czy my to nazwiemy marnością z premedytacją, czy też systematycznym zaniedbaniem, zgódźmy się co do jednego. Nie ma przyzwolenia, nie ma usprawiedliwienia”. Pozostaje formalność w ostatnim słowie: „Cóż dodać?”. Koniec polemiki, obaj rozmówcy zyskali wieczność, a ich słowa będą cytowane jako przykład, wzór i sentencja.

## 2

– Pokazujemy te wszystkie plakaty z „Razem” i „Bravo”? – Młody, modnie przystrzyżony i ubrany mężczyzna, zaciągający zniewieściałym głosem, zwrócił się do znanej dziennikarki.

– O czym mówisz, Jacusiu? – pytanie zadała grzecznie, ale już poirytowana. Dziennikarka wyglądała jak gwiazda telewizyjna, światowo skrojona i uczesana, ekstrawagancko skomponowana. Po serii stosownych i chirurgicznych zabiegów udawała swoją dawną świetność. Zbliżała się do czterdziestki, grała najwyżej trzydziestkę. Sztucznie urodziwa, donośnie rycząca czterdziestka, najkrótszy opis pani redaktor.

– Naprawdę chcesz mieć w kadrze reprodukowane słonie Salvadora i łabędzia od Leonarda? Nie wiem czy zwróciłaś uwagę? Mistrz Jurek podpisał sobie dzieła na grawerowanych tabliczkach. Drzę cały, że robimy wioskę – bardziej szczegółowo wyjaśnił, w czym rzecz.

– Potrafiłbyś odrobinę dyskretniej? Nie mówię delikatniej, tylko tak o pół hebla ciszej. Jak niby mam obejść ten aranz? Tak stoją meble, gdzie ich posadzę? – dziennikarka mówiła półszepem. Rozumiała w czym rzecz, zauważyła problem, jednak potrzebowała rozwiązania zamiast uszczypliwości, które mogły się przenieść do genialnego pisarza, siedzącego w kuchni razem ze swoim przyjacielem, genialnym redaktorem Andrzejem Szeferem.

– Meble? Odważnie nazywasz te antyki do samodzielnego poskładania. Powtórzę, na ramach są grawerowane podpisy, ostatni raz coś podobnego widziałem na głębokim Podlasiu – odpowiedział Jacek. Wypieki dziennikarki wyraziły wściekłość, a oczy zaiskrzyły na całej twarzy krytyka. – OK! Nic nie mówię, ale widziałbym to tak, że mebelki pana geniusza przesuniemy pod kątem w stronę biblioteczki. Powiedzmy sobie uczciwie, że to druga wioska, ale już taka z prądem i świeżo odmalowaną remizą. Nie wyczaruję gustu w tej chałupce z żurnala. Chyba, że w plener pójdziemy, nie drwię, ratuję robotę. – Tuż po serii złośliwości, nie pozbawionych wizualnego i technicznego uzasadnienia, mężczyzna dygnął, jak nie mężczyzna.

– Czy ty nie przesadzasz? W końcu robimy materiał o pisarzu, nie o dekoratorze wnętrz! Czego ty się spodziewałaś? Bursztynowej komnaty? Normalne mieszkanie, zrobisz z tą biblioteczką i będzie pięknie. Czekaj! – Gliniak podeszła bliżej obrazu Ledy. – Kurwa mać! Myślałam, że żartowałeś. Z tym też coś zrób, w sensie, że ma tego nie być – wskazała na miedziane, stylizowane szyldziki przyklejone do ram obrazów, prawie niewidoczne, ale wprawne oko operatora dostrzegło prowincjonalność z kilku metrów. Niezależnie do wszystkiego Magda Gliniak miała już dość rozmowy, która niepostrzeżenie i niepotrzebnie stała się najważniejsza, chciała jak najszybciej zamknąć temat i problem, czekały ją rzeczy w jej odczuciu znacznie trudniejsze.

– Ładnie będzie, Madziu, nie, pięknie. Luz, w ojczyźnie się spodoba, wszyscy właściciele fototapet będą pod wrażeniem. Robimy biblioteczkę, tak? – nie rezygnował ze złośliwości. Mrużył oczy, kiedy patrzył na pokój pisarza, wszystko go drażniło i przeciw wszystkiemu się buntował, aż trząsał nim brak zgody na tandetę.

– Tak! – krótko zdecydowała Gliniak i jeszcze krócej zerwał dyskusję operator kamery, Jacek Bień, dygając jak wcześniej. Według planu i bez konsultacji literackich dziennikarka z operatorem przesunęli, co się dało, i w taki sposób, aby za tło rozmowy robiła biblioteczka



z dębowym biurkiem, zamiast reprodukcji, które Jacek bezlitośnie wyciął z kadru. Brak konsultacji już wkrótce miał się okazać małym zgrzytem, prawie bez zgrzytania, skromna wymiana spojrzeń i subtelne sygnały dające do zrozumienia, nic poza tym. Jednak w przypadku tej klasy autora są to wystarczająco silne objawy niezadowolenia, żeby czuć się niepewnie, jako sprawca dyskomfortu. Dziennikarka wiedziała o tym, ryzykowała, bo potrafiła odpowiedniej siły komplementem skutecznie niwelować literackie kaprysy. Po zmianie krajobrazu w londyńskim salonie, Magda Gliniak ruszyła do kuchni, podekscytowana historyczną rozmową, jaka miała się za chwilę odbyć. Przy stole, postawionym pod oknem, dwaj dżentelmeni rozpijali ciemny alkohol w kanciastej butelce, byli w doskonałych nastrojach, tak dobrych, że dziennikarka zamarła na widok swoich rozmówców. Nie pierwszy raz miała przed oczami podobny obrazek, nic zaskakującego, ale tym razem miała tylko jeden dzień na zrobienie dużego materiału. Tymczasem impreza trwała w najlepsze i zanim zaczęła się realizacja.

– Jesteś, Madzia! Napijesz się? – przemówił Andrzej Szefer. Pierwszy z wielkich redaktorów czuł się gospodarzem domu i dla pisarza był to zaszczyt.

– Panowie, błagam, mamy tylko jeden dzień, zostawmy to na później – Gliniak z niepokojem popatrzyła na opróżnioną do połowy butelkę. Gdula zlekceważył błagania, sięgnął do kredensu po szklanekę, rozlał butelkę do trzech szklaneczek, podszedł do dziennikarki i prawie zażądał:

– Pani Magdo, po jednym na rozwiązanie języka i bierzemy się za robotę. Proszę się nie obawiać, to są ilości kardiologiczne, poza tym ta butelka jest do połowy pełna – uśmiechnął się do całego towarzystwa.

– Dajcie sobie spokój, panie i panowie. Trzepnijcie „brudzia” – zarządził redaktor i chociaż zapraszani do „brudzia” wykazali odrobinę zaskoczenia ze skrępowaniem, wyboru nie mieli żadnego. Alkohol zniknął ze szklaneczek od jednego haustu. Po wymianie zwyczajowych gestów trójka znajomych przeszła do salonu. Pisarz zerknął na przestawione meble i błysnął zawiedzionym okiem, zwłaszcza w kierunku operatora, który z niewinną beczelnością potrząsał głową i tańczył powiekami

– Przepraszam, że nie skonsultowałam tego z panem, musieliśmy tak poprzestawiać salon, po prostu kamera pewne klimaty lubi, innych już nie. Nie chciałam panu zawracać tym głowy, oczywiście po nagraniu wszystko wróci na swoje miejsce. – Brawurowe, pełne szacunku tłumaczenie uspokoiło Gdulę i uratowało dziennikarkę.

– Żaden problem... Magdo – zawahał się, w jakiej formie wyrazić swoje przyzwolenie, zwłaszcza, że jedynym objawem zdenerwowania Gliniak był powrót do oficjalnych zwrotów grzecznościowych.

– A, przepraszam, Jerzy – uśmiechnęła się do wszystkich po kolei, nie wyłączając bardziej znudzonego niż zaskoczonego operatora, który teraz wytrzeszczał oczy, kpiąc z niebywałej okazji, jaką jest zaszczyt zwracania się do geniusza po imieniu.

– To co, zaczynamy, tak? – spytała, znów krążąc wzrokiem po wszystkich obecnych.

– Jedziemy – potwierdził redaktor, pozostali na potwierdzenie zgodnie skinęli głowami. Szefer rozsiadł się na sofie, Gdula w swoim ulubionym fotelu, Gliniak w drugim fotelu. Widoku nie wytrzymał operator.

– Proszę państwa, źle siedzimy. Andrzej powinien usiąść na fotelu naprzeciw pana Jerzego. Magda na kanapkę. Jak sądzę, panowie będziecie najczęściej obecni w kadrze, jak równi sobie wykładowcy – ugryzł się w język, sam czuł, że trochę przesadził. – Teraz wygląda to blado, Andrzej siedzi niżej, pan Jerzy patrzy z góry. Proponuję rozsadę: król na miejsce księżniczki – skończył wywód i nie odważył się dygnać, chociaż pokusę miał wielką.

– Młody po kątach ustawia, zwariował stary świat – rozbawiony redaktor zwłókł się z sofy. W takim przypadkach nie dyskutował z fachowcami, strasznie nie lubił, kiedy źle wypadał na ekranie. Ten osobliwy samo dyscyplinujący gest był jedynym, jaki wykonywał na rzecz

swojego dobrego wizerunku. Szefer był nieprzyzwoicie bogatym i tak samo niechlujnym mężczyzną, ubierał się jak przed laty, w bazarowe łańchmany, być może były to nawet te same sweterki, tylko dzinsy już nie krajowe Uchodził za ucieleśnienie klasy, szyku i zachodniego stylu bycia, ale wyglądał jak zamierzchły klient bazarów. Wszystko, co miał na sobie, było przebrzmiałe, nieskładnie zaczesane włosy, zęby niczym sztachety w pochyłającym się od starości płocie, twarz pochlastana tępą żyłką. Przy tych i innych zaniedbaniach, blisko pięćdziesięcioletni redaktor chciał idealnie wyglądać na ekranie, aby zachować swój status bywałego w najważniejszych miejscach i wśród wielkich ludzi wszystkich kontynentów, ze szczególnym uwzględnieniem Starego Kontynentu. Udawało mu się wszystko, z takim wyglądem i usposobieniem mógł się prezentować idealnie, ponieważ wszystkie fizyczne mankamenty nadrabiał niepodważalną opinią lidera modnych poglądów i zachowań. Właściwie dobierano Szeferowi kadry i cytaty.

– Jak wolicie, mam najpierw odczytać pytania? Czy robimy setki i potem ewentualnie tniemy, albo dokręcimy? – spytała Magda, a pisarz nie sprawiał wraźnia, że wie o co chodzi, w zrozumieniu pomógł redaktor.

– Jedziemy na żywo, będzie ciekawiej. O kochanki i konta pytać nie będziesz? – odpalił Szefer. Gdula przystał na propozycję, zrozumiał w czym rzecz i zgodził się na proponowane rozwiązania. W zasadzie wołał znać pytania, lubił porządek, ale skoro tak zacny rozmówca nie bał się odważniejszego dialogu, jemu nie wypadało zniżyć lotu.

– Świetnie, też tak wolę. Tak sobie wymyśliłam, że mnie prawie nie będzie, czasami nie będzie nawet moich pytań, będziecie tylko wy, moi drodzy, i wasze odpowiedzi. Bardziej to sobie wyobrażam jako dokument niż wywiad. Proszę o zaufanie, oczywiście przed publikacją obaj otrzymacie zmontowany materiał, będzie też autoryzacja.

Wyjaśnienia przypadły do gustu i ego rozmówców, nie mogło być inaczej, wszak zostali przedstawieni jako najwięksi.

– Kręcimy? – Jacek powstrzymał zbędne wstępy, już same przymiarki drażniły go niemiłosiernie, doskonale widział, co się za chwilę stanie. Mógłby powtórzyć każde słowo, jakie bezwzględnie padnie i nie ważne z czyich ust, ponieważ będą to te same słowa, od zawsze odprawiane nabożeństwo. Kapłanów rozpoznawał nie po kazaniach i listach do pokornych, ale po ornatach.

– Panowie, zostało kilka lat do końca wieku, jedno wydarzenie, jedno zagadnienie na pracę maturalną. Co jest dla was tematem XX wieku? – Przed zadaniem pytania wzrok dziennikarki powędrował w stronę operatora i wyraził, co o nim sądzi. Dopiero po skarceniu wybrednego kamerzysty, Magda Gliniak dała sygnał do wyводу, wskazując na pisarza Jerzego Gdulę, a ten zaczął idealnie.

– Odważę się odpowiedzieć tylko dlatego, że treść pytania odwołuje się do człowieka, nie do ludzkości. Jak rozumiałem, chodzi o moje odczucie, mój wybór. W takim razie skala wyboru jest swego rodzaju samoograniczeniem. Dla mnie wybór jest jeden i nie ma żadnego wahania, śladu niepewności, jest jedno wydarzenie nie podlegające konkurencji. Wojna. Tematem XX wieku jest dla mnie wojna i w tym miejscu mogę dokonać kolejnej redukcji pojęć. Nie mam na myśli wojny literacko ujętej, wojny metaforycznej, dramatycznej czy wojny znaczeń i interpretacji znaczeń. Mam na myśli konkretną wojnę, którą przeżyłem, w znaczeniu doświadczenia i po prostu biologii. Przetrwiałem jako organizm i jako człowiek, będzie to dla mnie zawsze temat numer jeden. Chyba, że na finiszu stulecia wybuchnie nowa i większa tragedia, ale tego nie jestem w stanie ogarnąć w żaden sposób, egzystencjalnie i literacko, takie wydarzenie pozbawia złudzeń w każdym wymiarze. Nie potrafiłbym czegoś podobnego powtórnie przeżyć, nie potrafiłbym o takim wydarzeniu pisać. Wojny też nie umiem zapomnieć i nie mogę przestać o tym pisać, to jest we mnie i tak już zostanie. Mój wiecznie aktualny temat, z czego często muszę się tłumaczyć. Właściwie cały czas mam to nieszczęście, że coś napiszę i potem muszę się tłumaczyć z tego, co ktoś inny przeczytał.

Pisarz przerwał mowę, uznał, że wystarczy słów, ale na sofie zobaczył rozpaczliwe ruchy. Dziennikarka robiła młynek z rąk i kręciła głową z rozwianymi włosami. Dawała emocjonalne znaki, aby kontynuować. Po chwili zastanowienia Gdula podjął wyzwanie.

– Taki wybór jest jednostkowym zbiorem doświadczeń, w ramach zbioru znajdują się zarówno cierpienie, strach, śmierć jednostki, jak i powtarzalność w niespotykanej skali. Indywidualne są tu tylko odczucia, może niektóre interpretacje. Być może ktoś, nawet na pewno ktoś w czasie wojny stracił żonę, której już nie kochał i szukał od niej uciezki prosto w objęcia kochanki. Jego odczucie będzie niezwykle skomplikowane, masowa tragedia skłócona z osobliwie pojmovanym indywidualnym szczęściem. Śmierć jako wyzwolenie. Innym będzie odczucie dziecka, które straciło matkę i w jakimś sensie ojca. Będzie opłakiwać matkę i nienawidzić ojca, przecież on zdradził z macochą. Ale, jak wspominałem, mój wybór nie jest literacki, ja oczywiście nie umiem ominąć wojny w swojej twórczości, jednak są to dwa równoległe byty. Ponieważ jestem pisarzem, przepraszam za śmiałość, zawodowym pisarzem, konsekwentnie temat stał się dla mnie ważny osobiście i zawodowo. Próbuję poukładać ten chaos w sobie i w akapitach, taki jest mój sposób, być może są lepsze, inne, nie chciałbym jednak ich poznawać.

Dziennikarka rozbłysnęła zadowolonymi oczami, była pod autentycznym wrażeniem słów. Oceniała wypowiedź pod kątem materiału, zawsze tak czyniła, sensu i wymowy nie dotykała, wystarczało jej, że słowa robią wrażenie. Zadowolona skinęła na redaktora Szefera.

– Nie będę tak skromny, jak Jerzy i niestety nie tak spójnie i porywająco powiem swoje. Za to powiem w imieniu ludzkości, nawet narzucę ludzkości temat XX wieku. Tematem jest chwała i upadek dwóch wielkich nurtów filozoficznych, które potem zmieniły się w patologiczne, mordercze ideologie. W jakimś sensie tu jest przyczyna tego, o czym tak pięknie mówił nasz wielki pisarz, upadek filozofii stał się przyczyną wojny, precyzyjniej – zwyrodnienie filozofii w ideologię. Takie odwrotne przepoczwarczenie z motyla w robaka. Mnie nie dotknęła wojna i nawet nie dotknęły mnie obie ideologie, miałem do czynienia tylko z myślą niemieckiego filozofa Marksa, ściślej rzecz ujmując, z tym, co z myśli zostało. Drugą spaczoną filozofią jest rzecz jasna myśl Nietzschego i okrutny gwałt, jakiego dokonano na jego idei człowieka z żelaza. Jerzy mówił o wojnie, mnie się przyczyny wojny wydają równie istotne, wojna jest produktem końcowym, przyczynami były wykrzywione idee niemieckich filozofów. Dziś trzeba mieć odwagę, aby o tym mówić, te tematy nie są poruszane w przestrzeni publicznej. Idee kojarzone z gazem, którym dławiono ludzi, albo z kolejką po salceson. Nie broniąc tych idei, przecież nikt nie mówi, że Marks i Nietzsche sprzedali człowiekowi recepturę, warto dostrzegać, co człowiek może uczynić z myślą. Spierając się o sedno, czym ta myśl tak naprawdę jest? Jak ją traktować? Czy nie jest aby utopią, plikiem nieprzekładalnych na rzeczywistość teorii? Co do jednego musimy się zgodzić; że to, co się stało z ideami po próbie wprowadzenia ich w rzeczywistość, jest zaprzeczeniem, karykaturą, farsą idei. Płyń stąd jakiś alarmujący komunikat, jako ludzkość nie potrafimy myśleć, truizm, ale pewnego rodzaju nowością jest fakt, że nawet nie jesteśmy w stanie przyswoić gotowych myśli. Jeśli emanacją filozofii Nietzschego był obraz widziany oczami ludzi w pasiastych łachmanach, prowadzonych na skraj upodlenia, jeśli emanacją filozofii Marksa była pogoń i oczekiwanie na ochłap, to mamy temat dla ludzkości i niekoniecznie na ten wiek, ale temat odwieczny.

Rewanż redaktora sprawił dziennikarce kolejną satysfakcję zawodową, szło idealnie, atrakcyjne zdania płynęły prosto do kamery i chociaż operator Jacek swoim zniewieściałym grymasem twarzy wyrażał niekończące się znużenie, materiał podążał we właściwym kierunku, taka była ocena Magdy Gliniak i idące za nią samozadowolenie.

– Obaj panowie zwróciliście uwagę na dramat, na największe tragedie ludzkości kończącego się stulecia. A mieliśmy przecież w tym wieku człowieka na księżycu, telewizję, radio, telefon, rewolucję seksualną i wiele innych rzeczy, które składają się na gwałtowny postęp cywilizacyjny, rozwój po prostu. Czy to przypadek, że obaj zwracacie uwagę na upadek

człowieka, nie na sukces? Z czym to jest związane? Taka jest natura człowieka czy taka jest natura konkretnej społeczności, szerzej – narodowości? Moje następne pytanie jest pytaniem o nas: Czy zawsze wybierzemy znicz zamiast latarni? Co nam oświecila drogę?

Jacek Bień mruknął coś pod nosem i wprowadził chwilową konsternację. Ledwie szepnął, siedzący dalej główni bohaterowie mieli nikłe szanse dosłyszeć, co mówi, ale Magda Gliniak złapała te dwa słowa, powiedziane z uśmiechem: „przepoczwarte ideologie”. Jacek psuł pani redaktor radość z zadanego pytania, sformułowanego nie gorzej niż odpowiedzi wielkich rozmówców. Zachowanie operatora nie przystawało do powagi chwili i osób. W odpowiedzi na małe zamieszanie, całe szacowne towarzystwo zebrało się szybko w sobie i zachowując kolejność wielcy dali głos w sprawie.

– Niestety słuszne spostrzeżenie, w każdym aspekcie. Zdaje się, że cechą szczególną człowieka jest skłonność do eksponowania pretensji, lamentów, które nierzadko przeradzają się w usprawiedliwienie. Chcąc zachować konsekwencję i uczciwość, muszę powiedzieć, że znów nie wiem, co sądzą o tym ludzie, wiem natomiast, co sam o tym myślę. Wskazuję na cierpienie i nie zapominam o sukcesie, przecież jest tak, że w moim przypadku dość silna, dramatyczna emocja znalazła również ujście w materialnym doświadczeniu. Zajmowałem się tragedią, ale jednym z efektów mojej działalności jest właśnie sukces. Czuję się niezręcznie, mówiąc o tym. Tutaj więcej do powiedzenia mają czytelnicy i krytycy, księgarze, tym niemniej i bez zbędnej obłudny zauważam, że mój status społeczny i materialny jest co najmniej ponadprzeciętny. Jeśli mam być cynicznym, surowym i bezpośrednim, to tragedia może stać się źródłem sławy i bogactwa, tak się w moim przypadku stało i tak się dzieje niejednokrotnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że traktuję ludzki, w tym własny dramat, jako doskonały sposób na sowytą pensję i popularność. Chcę powiedzieć, że taki sukces jest w odbiorze bardziej podejrzany. Podchodzę do cierpienia uczciwie, opisuję, obnażam, odzieram do ostatniego skrawka fałszywej historii. Oszczędzam sobie i czytelnikowi epatowanego fałszu. Wielu zarzuca mi obraz nierzeczywisty, zmyślony, grę emocjonalną, ale czego to jest efekt? To właśnie strojenie cierpienia w fałsz, bo ktoś mógłby się obrazić, nawet całe stany i nacje. Cierpienie w nagiej postaci jest szokujące, niewiarygodne, przesadne, ponieważ znudzeni krytycy i estetyczni odbiorcy nie znają takiej wersji cierpienia. Tak było, chcę powiedzieć, że tak było, taka była i jest prawda, i chociaż boję się tego słowa, nader często gwałconego, używam prawdy do przekazu, tylko to mnie interesuje. Bo cóż to jest prawda? Prawda to jest wszystko, co się wydarzyło. Szokujące? Być może i nie tylko, bywa, że niewiarygodne, brzydkie, dlatego, że nagie. Ból ma swoje źródła, ma swoich sprawców, żeby nie pójść dalej i powiedzieć oprawców. Na pytanie – czy to fikcja, czy kreacja, czy wierna biografia, czy metaforyczna narracja, zawsze odpowiadam tak samo. Jakie to ma znaczenie? Jakie ma znaczenie czy cierpienie samo w sobie jest literackie, czy dopiero pisarz nadaje cierpieniu ten wymiar? Oczywiście każdy może sobie zadać odrobinę trudu i próbować oddzielać biografię od literatury, ale nie zazdroścę tego zajęcia. Będąc w samym centrum, dysponując pełnią wiedzy, nie umiałbym we własnym pisaniu wskazać, gdzie jest tamta rzeczywistość, tamci ludzie, tamte podłości, a gdzie moje pisanie. Wszystko się łączy, przenika, nie ma granic pomiędzy i nie ma granic w ogóle. Na tym polega przekaz literacki i szczęście pisarza, który czerpie natchnienie z dramatu, by dramat odmienić w sukces. Kiedy przed ludźmi staje człowiek szczęśliwy, popularny, zamożny, ludzie zwykle zachowują się nieracjonalnie, więcej w ich zachowaniu zawiści niż podziwu, podejrzeń niż pytań o metodę. Człowiek doświadczony i zaszczytowany jest dla ludzi nieszkodliwy, wzbudza litość, współczucie, odruch solidarności, brzęk monety w kapeluszu, jakieś przechodzone, ale niezniszczone ubrania, poklepywanie po ramieniu. Ludzkość zachowuje się podobnie, niespecjalnie chce widzieć swoje sukcesy, chwalić się osiągnięciami, bo wtedy nic z tego nie ma, o wszystko trzeba zadbać i zabiegać. Gdy ludzkość żali się na swój los, liczy na łaskawość własną, no i tą, która jest wieczna, patrzy z góry i wszystko może. Czy takie

oczekiwanie jest szczególnie widoczne wśród ludzi, którzy stanowią wspólnotę tworzoną w konkretnym miejscu, przez konkretne pokolenia, według konkretnych mechanizmów postępowania, przenoszonych mentalnie, czy – jak kto woli – genetycznie? Zdecydowanie tak, widzę to wyraźnie, często za tę ostrość widzenia ponoszę określone konsekwencje i razy, jednak nie mogę tego nie dostrzegać.

– A w czym konkretnie, to widać? – Gliniak wyrwała się z pytaniem, chociaż pisarz był w transie. Nie potrafiła długo wysiedzieć poza centrum uwagi i światłem kamery. Gdula zdziwił się zachowaniem dziennikarki, ale też idealnie wpasował w dalszy ciąg monologu.

– Przeżyłem całe swoje dzieciństwo i większą część dorosłego życia w innym miejscu, wśród innych ludzi niż żyję dziś. Zestawiając miejsca i społeczności, widzę kontrast tak wielki, jak różnice między dorobkiem jednej i drugiej wspólnoty. Między wyglądem miejsca jednej i drugiej społeczności. Tu, gdzie jesteśmy, była wojna, tak jak tam, skąd przybyliśmy. Tu, gdzie jesteśmy, ludzie cierpią niemniej niż tam, gdzie cierpienie jest permanentne i niezastąpione. Spójrzmy, jak żyją ludzie tutaj i tam... u nas? Jak wyglądają domy tu i tam, jak wyglądają te i tamte samochody, telefony, a nawet ubrania? Kto poleciał na Księżyc, komu się nie udało zbudować drogi? Kto pogodził się ze swoimi wrogami, a kto starych wrogów nienawidzi odwiecznie i poszukuje nowych przez całe pokolenia? Owszem, jest w człowieku taka skłonność, aby dramat wypełniał życie. Tyle, że jedni potrafią z tym żyć i odmieniać tak radykalnie, jak można zmienić cierpienie w sukces. Inni zaś w cierpieniu się zanurzają i od czasu do czasu wypłyną, aby złapać oddech. W ten sposób życie staje się walką o oddech, nie ma czasu na nic innego, łapie się oddech tylko po to, żeby znów mieć siłę cierpieć, na nic innego sił nie starcza. Wymieniłem porażkę ludzkości jako wydarzenie tego stulecia, ponieważ tak czuję, takie jest moje przekonanie. Ale nie ma w tym usprawiedliwienia ani dla mnie, ani dla ludzkości, jest fakt, w którym można utonąć, albo uczynić z dramatu sukces, nie brzydząc się wymiarów sukcesu: popularności i zamożności, tak podejrzliwie ocenianych przez tonących w cierpieniu. Inny świat, cytując klasyka. Różni się bardzo mój świat od tego, który opuściłem, który mnie wypędził, jeśli mam być pedantyczny. Mimo wszystko tęsknię za tamtym, starym i nawet za ludźmi, ponieważ bez tamtego świata i ludzi nie byłoby mojego sukcesu. Paradoksalnie koszarnej przeszłości zawdzięczam obecny sukces, dlatego miejsce jest ważne, ale tylko jako natchnienie, bo w takich zaklętych rewirach żyć już nie potrafię.

Wielki autor zastygł w pozie samospelnienia, Gliniak nie zdążyła zareagować zachwytem, ponieważ Szefer już przebierał myślami, aby skrócić dystans do pisarza. Tylko Jacek pozostawał obojętny, poprawiał coś przy kamerze i może odrobinę szybciej zaczął żuć gumę. Ostatnim komentarzem trochę przesadził, dlatego teraz poprzestał na dwuznacznych gestach. Starał się przy tym reagować na grymasy pani redaktor i wykładowców, protestował, ale ostrożnie i nie zamierzał zrobić czegoś głupiego.

– Na początek zaprotestuję, stanę w opozycji, jak za starych czasów. Chciałbym zauważyć, że wymieniłem wielkie sukcesy ludzkości, dwie wielkie filozofie i dwóch wielkich mędrców, dopiero później mówiłem o porażce. Taka chronologia doskonale wpisuje się w analizę Jerzego, z tym, że ja nie będę tak wyrozumiały i tak łagodny w ocenie. Stawiam w ciemno i wszystko, że ta wypowiedź wielkiego pisarza wywodzącego się z konkretnej przecież wspólnoty, z konkretnego narodu, będzie przez tę wspólnotę uznana za zdradę, w dodatku narodową. Pisarz, któremu naród tak wiele zawdzięcza i który od narodu tak wiele wycierpiał, będzie „anty”. Wystarczy zwrócić uwagę na ludowe przysłowia: „Kalać własne gniazdo”, „Brudy prac w domu”, aby zrozumieć, że srogię jest oko i ucho ludu. Postęp? A proszę bardzo, tylko pytam o warunki? Obawiam się, że jeden z wybitniejszych pisarzy właśnie skreślił się z listy szkolnych lektur, jako antywieszcz, poeta niegodny cierpienia narodu, niegodziwiec drwiący z narodowej emfazy. Postęp? Czy on będzie cywilizacyjny, czy nawet terapeutyczny, jest tylko zmianą stanu posiadania. Zmiany można dokonać poprzez

wprowadzanie nowych elementów, nowych myśli, czynów, albo przysłów. Istnieje taki naród, który wiecznie tkwi w przeszłości, okładając cierpienie symboliką, co nie pozwala zapomnieć. Teraźniejszość staje się kultem przeszłości, niechlubnej przecież, bo czymże jest porażka? Chyba nie powodem do dumy? W konsekwencji przyszłość jest wyznaczona jako terażniejszy kult niechlubnej, pełnej porażek przeszłości. Da się w takim miejscu i wśród takich ludzi żyć? Nawet trzeba, ale i też nie można wymagać podobnego poświęcenia. Moje miejsce jest tam, czyli u nas i powiem dlaczego. Dlatego, że moim obowiązkiem jest bronić takich ludzi, jak Jerzy Gdula i tego miejsca, gdzie Jerzy żyje, po to, by tamci ludzie, czyli my, nie zniszczyli tych, co mogą zmienić miejsce wiecznej przeszłości w miejsce postępu. Mnie się jeszcze chce, ponieważ jest podział, jest współpraca. Jest Jerzy Gdula, który ma dość, ale w tej rezygnacji wykonuje niezwykle ciężkie zadanie, odważne, pokazując ból i małości blokujące postęp z sukcesem. Jestem ja i wielu, którzy nie boją się bronić prawa do postępu i czerpią siłę z osłabiania żalostnej przeszłości.

– Zatem trzeba być herosem, żeby zmieniać, wprawiać w ruch nowe mechanizmy – pani redaktor, wbrew wcześniejszym obietnicom, podkreślała swoją obecność.

– Nie ma w tym bohaterstwa, heroizmu, nawet poświęcenia, niech to się nazywa zdrowy egoizm. Niech będzie, że dla siebie chcę innych przestrzeni i innych ludzi, dla własnej satysfakcji. Nauczyłem się walczyć o swoje z obcymi, tymi co dla niepokalanego gniazda utopiają się w przeszłych brudach. To tylko takie gadanie, że się pierze, niczego się nie pierze, kała się, nieustannie się kała we własnym domu, a gdy ktoś się odważy wyprać, wypada z gniazda, jako anty. Wielki naród ma zdolność do krytycznego spojrzenia, pierwszego warunku postępu. Od tego trzeba zacząć, bez rachunku, bez krytycznego bilansu cofamy się, chociaż wielu się pociesza, że stoimy w miejscu.

Kończąc wypowiedź Szefer poprawił się w fotelu, musiał. Jego zdania pełne ekspresji, gestykulacji i pulsujących żył, przesunęły wysoko postawioną postać nieco w dół. Tak nie mogło zostać, wdrapał się z powrotem, na zaszczytną pozycję. Teatrowi jednego aktora zawdzięczał koślawe siedzenie na skraju fotela. Pisarz Gdula uznał potencjał redaktora, z niekłamany szacunkiem przyznał wzrokiem należne honory, wszak redaktor zachował się należycie, dbając o własną siłę przekazu, nie zapomniał o ukłonach we właściwą stronę.

– Dobrze, w takim razie kontynuujmy rozliczanie przeszłości i definiowanie terażniejszości, chciałabym znaleźć wspólny punkt odniesienia dla obu panów. Takim punktem będzie na pewno ten czas, który nieustannie jest oceniany i analizowany. Prawie czterdziestopięcioletni okres wielkiego i, jak się okazało, nieudanego, eksperymentu społecznego. Jak panowie ocenilibyście ten czas, czujecie się bohaterami, ofiarami, a może architektami?

Pytanie trafiło do redaktora Szefera, Gliniak postanowiła złamać kolejność, porządek i przebieg rozmowy. Zachęcona dotychczasowym efektem szukała dodatkowych smaczków. Poza wszystkim i nieustannie czuła się gwiazdą całego przedsięwzięcia.

– Jerzy mówił o granicach między doświadczeniem i literaturą, najchętniej powtórzyłbym wszystko, gdybym potrafił. Nie potrafię, w związku z tym powiem inaczej, tak jak mi się uda. Czuję się wszystkim naraz, architektem, ponieważ wtedy trzeba było po prostu żyć, wykonywać swoją pracę, płodzić dzieci i tak dalej. Nawet w skrajnych warunkach człowiek stara się znaleźć dla siebie jakiś skrawek, jakiś sens, wiarę, pomysł na przetrwanie. Moim pomysłem był bunt przeciw niszczeniu ludzkich skrawków normalności. W tym rozumieniu jestem architektem, naturalnie odrzucałem wszystko co złe, szukałem pozytywnego marginesu, w którym mogłem się poczuć inaczej niż ofiara i łączę to poczucie z bohaterstwem właśnie. Bohaterska ofiara i architekt czasu, nie widzę tu granic, za to skomplikowaną płataninę różnych postaw, lęków i brawury. Używam słowa bohater, ale to nie jest żołnierz czy nawet robotnik, do którego strzelano. Czuję się bohaterem tamtego czasu, bo czuję się jednym z bohaterów tamtej opowieści. Nie było dnia, w którym nie widziałbym wyzwania dla siebie. Heroizmem wcale nie były dni, miesiące i lata spędzone w celach. Dało

się przeżyć, zresztą ci, co wsadzali, robili większą krzywdę sobie niż mnie i trzeba powiedzieć, że oni jednak wierzyli w sens tych działań, bronili swoich wyobrażeń. Jest rzeczą znamioną, że dawni prześladowcy dziś bardziej rozumieją, co powinno być celem, niż dawni towarzysze niedoli. Częściej jestem krytykowany przez tych, co siedzieli, niż przez tych, co wsadzali. Śmieszne, prawda? Jeszcze śmieszniejsze jest, że ci, co nie siedzieli, albo siedzieli niewiele, mają dziś więcej złej krwi i chęci odwetu, niż we mnie się zdoła kiedykolwiek zebrać. Mało tego, kiedy byłem upodlany przez ludzi tamtego czasu, nie czułem do nich tyle nienawiści, ile widzę dziś. Taką mamy niską cenę dla nowego porządku, staniało bohaterstwo, kiedyś trzeba było uważać, co się mówi, nie dać się głupio złapać i tym było bohaterstwo.

– A dziś jak to wygląda, jest zmiana? Jeśli tak, w jakim kierunku – Gliniak, dłużej niż poprzednio, nie przeszkadzała w tyradzie, ale już od kilku zdań szykowała się do ataku. Wybrała moment, w którym redaktor przeciągał sylaby bardziej niż zwykle.

– Dziś można mówić, co się chce, i z byle czym do powiedzenia mnożą się męczennicy z herosami dawnego czasu, z którym mają niewiele wspólnego. Eksperyment był nieudany, co do tego zgoda, męczącym jest jednak napastliwe ustawienie w szeregach tych, którzy byli bohaterami i oprawcami, a co z takimi, którzy byli ofiarami i dlatego zostali oprawcami, by w końcu zostać bohaterami. Gdy się wszystko skończyło, jak zwykle zapomnieliśmy o najważniejszym. Dzięki komu i czemu się skończyło? Przy stole usiadł więzień z klawiszem, więzień bez kajdan, klawisz bez szlauchu z zimną wodą i dogadali się w kwestii zburzenia aresztu, zwinięcia kolczastego drutu, podziału ról na placu budowy. Fenomen w skali tak niewyobrażalnej, że paraliżuje unikalność zjawiska. I co się dzieje? Po kilku latach od otwarcia drzwi do raję budujemy piekło, swojsko-swojską wojnę. Rewanż, zemsta, ściganie wrogów, współpracowników wroga, zwiadowców, mówię temu dość. Precz ze szpicłami zanurzonymi w ludzkim bólu, próbującymi oceniać tamtych ludzi nie znając tamtego czasu. Wiem wszystko o starych dziejach, przegryzałem je czarnym chlebem i zwiedzałem biblioteki za kratami, mogę o tym mówić, mam do tego prawo, ale niechętnie z tego prawa korzystam, ponieważ mając prawo, nie mam prawa do nadużywania. Bezprawnie korzystają z danej wolności wszyscy, którzy mieli ręce w kieszeni, kiedy wolność wymagała walki. Ofiarami tamtego czasu są dzisiejsi, pozał się Boże, bohaterowie, architektami zawsze są ci sami, tacy, co wtedy i teraz widzą mankamenty, jednak budują mnóstwo zakamarków, gdzie może się skryć człowiek.

Redaktor Szefer ukończył zawile konstrukcje zdań i myśli, zmęczył się całą mową, ponieważ walczył każdym słowem. Wojował od dawna tymi samymi frazesami i odnosił zwycięstwa ze wszystkimi, którzy nie byli redaktorami albo niskonakładowo sprzedawali swoje dzienniki i tygodniki. Obaj rozmówcy zachowywali się jak aktorzy prowadzący dwa monologi zamiast jednego dialogu, nie było wtrąceń i przerywania myśli, nie było cienia interakcji. Ich słowny pojedynek wyglądał, jak zawody na najbardziej atrakcyjną homilię. Operowali tym samym językiem, tą samą formą i bliźniaczą treścią, w duchu tej samej religii, niewielkimi niuansami podkreślając odrębność. Nie różnili się w przedmiocie i nawet formie rozważań, mówili identycznie o tym samym, tylko odmienny charakter i osobowość pozwalał wskazać, kto jest kim. Przyszła kolej na sławne słowa pisarza.

– Jest zasadnicza różnica między tym, co pani nazwała nieudanym eksperymentem społecznym – i chyba nie jest to złe określenie – a tym, co było po prostu zbrodnią. Siebie w roli ofiary umieszczam przed czasem nieudanego eksperymentu i tutaj powiem wprost, ten okres musi być rozliczony z bardzo prostej przyczyny. Przepraszam, że znów wchodzę na inne pole dyskusji, jednak bez odniesienia do rzeczy najgorszych nie można mówić o sprawach trudnych. W najgorszym wojennym czasie byłem ofiarą, ponieważ ofiara jest pozbawiona wyboru. Nie miałem wyboru, nie mogłem stanąć po wybranej przez siebie stronie, zostałem postawiony na skraju upokorzenia, utraty szacunku dla samego siebie

i innych ludzi, bez prawa przejścia na stronę życia. Prawdziwy dramat i do dziś żyją jego autorzy. Mają żyć spokojnie obok tych, którym nie dawali spokoju i których nadal nienawidzą? Nie wiem, może ktoś potrafi rozminąć się z podobną niegodziwością, jaką jest zacieranie odpowiedzialności za cudze cierpienia i sadystyczna satysfakcja z zadanego bólu, ale ja nie wierzę pastorom, którzy opiewają piekło.

– Na czym polega różnica między trudnym i najgorszym – pani redaktor wychwyciła atrakcyjną frazę i natychmiast zdecydowała się pochwalić własną przenikliwością.

– Już wyjaśniam – zaczął pisarz, a właściwie kończył rozpoczętą myśl. – Tam był wyraźny podział z genetycznego przydziału, urodziłeś się ofiarą lub katem, wybór mieli tylko niezdefiniowani i dla nich mam najwięcej na surowo podanej prawdy. Nominowani oprawcy przeszli przez cykliczny, systemowy mechanizm nienawiści. Byli do okrucieństwa przygotowywani, szkoleni, często łamani, natomiast nikt nie zmuszał i nie odsyłał do morderczej roboty tych, którzy stali z boku zdefiniowanego terroru. Oni sami podejmowali decyzję, gdzie się znajdują. Z trudem rozumiem obojętność, nieliczne przypadki wsparcia ofiar uważam za bohaterstwo, nie mogę jednak pojąć, dlaczego zobojętnienie przeszło we współpracę z oprawcą. Za co? Za srebrną monetę, fragment dentystycznego rzemiosła, za własną wygodę, w końcu za życie skazanego? Gdybym umiał zapomnieć, straciłbym dla siebie szacunek. Nie potrafię nie pamiętać ludziom, którzy obojętnie zdradzali, wydawali, czynili podle. Proszę zauważyć, że ja najwięcej piszę nie o katach i ofiarach, najwięcej piszę o obojętnych, którzy nieprzymuszeni dokonali wyboru, im poświęcam słowa i czy to aż taka wielka kara? Czy to tak wielka zemsta, napisać jak było? Zdarza mi się słyszeć, że gdyby nie wyraźna i brutalna rola oprawców, obojętni nie okazaliby się gorsi od katów. Na tym właśnie rzecz polega, cała wielkość ludzkich postaw mieści się w podobnych wyborach. Człowiek porusza się między trzema postawami: obojętność, heroizm, podłość. Tylko jedna z tych postaw wymagała odwagi, reszta gwarantuje bezpieczeństwo. Może nawet dwie, w końcu pęd do podłości stwarzał zagrożenie, tutaj była konkurencja, brutalna walka o dochodowe prześladowanie ofiar. Piszę do nich o nich, niczego więcej nie oczekuję, nie chcę odszkodowań w żadnej postaci, nie chcę współczucia, nawet ekspiacji, chcę tylko, żeby przeczytali prawdę o sobie. Potem było już inaczej, byłem człowiekiem młodym, jeszcze niedojrzałym, ale już miałem wybór, nie wiem czy można tu zastosować ten sam prosty podział, który przypisałem wojnie. Sadzę, że Andrzej Szefer ma rację, to był czas inny, czas dziwny, gdzie pojęcia ofiary, bohatera i... architekta przeplatały się ze sobą. Siebie nie umiem tak definiować, najprościej mogę powiedzieć o sobie ofiara, bo pamiętam rok sześćdziesiąty ósmy. Dramatyczny powrót do przeszłości, jednak już nie ta skala, nie tacy ludzie, nie takie podziały. Więcej w tym wszystkim było chaosu, zwykłej głupoty niż okrucieństwa. To w ogóle nie było okrutne, całe półwiecze od samego początku przez lata pięćdziesiąte, marzec 68 aż do samego końca, to był, przepraszam za słowo, burdel pojęć. Zazdroszczę tym, którzy potrafili się uporać z chaosem, we mnie tkwiła przeszłość tak silnie zapamiętana, że ówczesny ład, nieład, czy jak go nazywać, wydawał mi się naprawdę mało zajmującym i w ogóle nie przerażał. Znalazłem sobie miejsce dla siebie, dokonałem wyboru gdzieś pomiędzy likwidowaniem szkód w zalanych mieszkaniach i stawianiem przecinków w sensacyjnej literaturze. Mogę mieć żal o to, że w tamtych warunkach nie dało się więcej, tylko jaki żal? Do czego porównać? Jak zestawić łachmany i słoninę zjadaną z klepiska z tanim, ale jednak garniturem, gruzińskim, ale jednak koniakiem? Nie wiem! Dlatego nie porównuję niczego, tylko oddzielałam.

Nastała cisza, słowa pisarza uciszyły całe towarzystwo, tylko szczeka operator walcząca z gumą nie uszanowała majestatu chwili. Pisarz powiedział tyle ważnych i odważnych zdań, że dziennikarka z redaktorem musieli odetchnąć, pozbierać myśli i dopiero zacząć mówić.

– Przerwa – powiedziała Magdalena Gliniak i w tym momencie operator zgasił światła.



– Mamy wojnę i przepoczwarczenie filozofii w ideologię. Zmieści się jeszcze połowa z tego, co już zostało powiedziane. Zmienić taśmę czy plany są skromniejsze? – Jacek nie mógł wytrzymać, ryzykował wiele, dlatego nadrabiał tonem, starał się brzmieć technicznie.

– Zostaw jak jest – rzuciła na odczepnego Gliniak i dla pewności skarciła miną, zagryzione do wewnątrz wargi, stalowe spojrzenie, robiło wrażenie, ale na szczęście dla operatora na tym skończyła się reprimenda. Żaden z wielkich się nie odezwał, chociaż Szefer miał wątpliwości czy nie jest wykpiwany.

– Do kuchni, zapraszam do kuchni – porozumiewawczo uśmiechnął się pisarz i nawet dziennikarka nie protestowała.

– Zdecydowanie tak – powiedziała. Na zapleczu butelka długo nie musiała się prosić o wypompowanie kolorowej cieczy. Gdula podzielił zawartość sprawiedliwie i to on zaczął rozmowę.

– Ten materiał pójdzie tylko w kraju? – spytał tuż po tym, jak gatunkowym alkoholem przepłukał podniebienie.

– Taki jest plan, ale jak mam być szczerą, idzie tak dobrze, że powinno pójść dalej w świat. Doskonale się układa rozmowa, tak dobrze, że nic więcej nie mówię. Fajny pomysł z rzuceniem tematu na żywioł, bałam się, różnie bywa i czasu mało, ale poszło fantastycznie, chciałam powiedzieć: idzie, jeszcze nie koniec. – Magda Gliniak pierwsza uporała się z zawartością szklanki, śpieszyła się do materiału.

– Dobra, idziemy, Jureczku, dokończyć! Do dupy z takim piciem, nie piciem. Mamy do pogadania poza światłami kamer. Idziemy! – Redaktor wydał dyspozycję, która wszystkim przypadła do gardeł i śpiesznych planów. Pisarz również miał ochotę na poważniejsze rozmowy i poważniejsze picie, dziennikarka bała się, że apetyty rozmówców przerwą dobrą robotę w połowie. Wrócili na miejsca i gdy tylko pani redaktor wyłoniła się zza kuchennych drzwi, operator od razu pstryknął światłem, dał do zrozumienia, że on tu też traci czas i zdrowie, w dodatku samotnie trzeźwy.

– Wydaje mi się, że jednak tak zwany przeciętny człowiek będzie miał problem z płynnymi granicami. W tej chwili toczy się dyskusja, kto był dobry, kto zły, ta debata wcale nie jest kolorowa, padają czarno-białe argumenty. Proszę powiedzieć, jak panowie widzą siebie, chcę uniknąć stwierdzenia: „po której stronie panowie siebie widzą”, ale chyba niczym rozsądniejszym nie uda mi się tego skrótu zastąpić. – Zadała jedno z tych pytań, jakie zadaje się zawsze. Pytanie pokazujące, że rozmowa jest otwarta i nie unika trudnych tematów, że dziennikarz nie jest rzecznikiem rozmówcy, że jest dociekliwy i wymagający. Zabieg stosowany przez Gliniak wielokrotnie, ale nigdy nie przekroczyła granicy lojalności wobec zaproszonych gości. Obojętnie, jacy byli i co robili, jeśli byli ważnymi i znanymi, włos z głowy spaść im nie powinien. Dlatego tak bardzo szanowano Magdę Gliniak we wszystkich znaczących środowiskach.

– Zacznę, właściwie dokończę, co zacząłem – do odpowiedzi wyrwał się redaktor Szefer, chociaż dziennikarka już się zbierała do wskazania Szefera jako pierwszego. – Mnie to na początku bawiło, potem irytowało, w tej chwili już zwyczajnie męczy. Mówiłem, że od pewnego czasu łatwiej dogaduję się z dawnymi przeciwnikami niż sprzymierzeńcami, mówiłem też, skąd się zmęczenie bierze, ale nie powiedziałem o jeszcze kilku rzeczach. Pierwszą jest dojrzałość. Człowiek, który obnosi się ze swoimi ranami jak dziecko, co skaleczyło się w kolano i podsuwa kontuzjowane miejsce mamusi, aby podmuchała, pocałowała i broń Boże nie poląła jodyną, bo to szczybie, jest niedojrzały gówniarz. Takie kolanka obserwuję od siedmiu lat, niedojrzałe chłopięce i dziewczęce kolanka. Bawiliśmy się na wspólnym podwórku w niebezpieczne gry, każdy z nas wiedział, co wolno, czego nie. Reguły nie były może sprawiedliwe, ale były jasne, i nie było też obowiązku się bawić. Nawet jeśli rany odnieśliśmy przy zabawie faul, przecież jest druga rzecz, są nowe zasady. Skończyliśmy starą nieuczciwą szarpaninę i ustaliliśmy nowe zasady gry, już nie na

podwórku, tylko w wolnym państwie. Uzgodniliśmy, że nie ma rewanzu za tamte rozgrywki, ponieważ zmieniamy dyscyplinę. Prosta umowa społeczna, czytelna dla zwykłego człowieka. Nie rozumiem, dlaczego tak ciężko pojąć nowe i lepsze, a tak łatwo prowadzić w nieskończoność jałowy spór o stare. Wytłumaczenie może być tylko jedno, co uważam za rzecz trzecią, która nie jest prawdą, każdy ma swoją i w kilku wersjach. Nie jest faktem, nikogo fakt nie interesuje, większość żyje sensacją lub legendą. Rzecz trzecia jest honorem. Umówiliśmy się, tak? Zatem oczekuję, że człowiek dojrzały, podpisując umowę, zachowa się honorowo.

– I tak się dzieje? – spytała Gliniak, łapiąc Szefera między oddechami.

– Częściowo. Z bólem stwierdzam, że tak postępują tylko moi dawni przeciwnicy, oni są dziś graczami honoru i z nimi chcę się porozumieć. Większość moich dawnych przyjaciół nieustannie każe mi chuchać na kolanko i krzyczy, żeby rozliczyć faulujących. Dochodzi do tak żenujących pomysłów i żalów, jak upominanie się o materialne zadośćuczynienie. Odbierzcie im, dajcie nam, taki się podniósł krzyk i mnie od takich hasel chce się uciekać. Do tego trzeba wspomnieć o archiwach, olbrzymie parcie na przykurzone brudy. Po co? Czego tam szukamy? Ludzkiej słabości? Chcemy podglądać osobiste tragedie? Kto z kim spał, kto go szantażował? Kto się w tym może babrać? Człowiek honoru tego nie robi, mnie to nie interesuje. Mnie z premedytacją infekowane, nawet nie rany, a blizny, nie wyciskają łez, tylko śmiech. Mnie szpiclowanie, wertowanie w aktach i aktywach brzydzi. Takie są moje czarno-białe granice i mówię z pozycji człowieka, który mógłby wystawić oba kolana i wskazać zbrodniarza, jak teraz efektownie nazywa się przeciwników. Nie robię tego, ponieważ jestem dojrzały i dotrzymuję umowy. Mam moralne prawo powiedzieć, co myślę, zbyt wielu dziś się rozkrzyczało, nie potrafią się odnaleźć w normalności, w pokoju, nieustannie potrzebują paranoi i wojny, bo to ich naturalne żerowisko. Co najsmutniejsze, tej grupie nie da się wytrącić broni, ponieważ oni walczą cepem, a wytrącony cep można ludową technologią odtworzyć dwoma ruchami.

Redaktor Szefer powtórzył posuwiste ruchy na fotelu, ponownie musiał wrócić na miejsce po tym, jak w intelektualnym galopie zjechał na kant siedziska. Był zachwycony własnym występowaniem, mówił z pasją i wiarą w głoszone słowa. Jedno z lepszych kazań, jakie spłodził w swojej pełnej zwrotów karierze, tak ocenił wystąpienie. Nie było czasu na słowo dziennikarki, pisarz Jerzy Gdula rozpoczął autorski monolog.

– No dobrze, niech będzie o współczesności, ponieważ to, o czym mówił Andrzej, jest współczesnością. Rozumiem wściekłość, ten obraz nakreślony przez niego i tę pretensję do pejzażu współczesnego, wynikającą z braku zrozumienia minionego czasu. Jako pisarza interesuje mnie zwrot akcji, wprowadzie nie jestem autorem kryminałów, nie jestem nawet twórcą przygód, mimo że ktoś gdzieś tak o mnie napisał, jednak zwrot akcji mnie fascynuje. Co się stało po sześciu latach od ustrojowego tapnięcia? Okazało się, że lud wybrał srogiego króla przeszłości, dawny bohater został odstawiony na boczny tor, nie sprawdził się jako przywódca współczesny. Jeśli dzieje się tak, że antybohater zostaje rycerzem, na którego pasuje nowy krój zbroi, i wokół niego zbiera się lud, to co pisarz może do tego dodać? Broń Boże nie schlebiać gustom większości, nie tego się oczekuje od twórców, pomijam oczywiście grajków do wynajęcia dla telewizyjnego zapotrzebowania. Niemniej w tym jednym przypadku musiałbym na siłę poszukiwać w sobie oryginalności, jakiegoś buntu, który w efekcie przejdzie w prowokację.

– Czyli pisarz może się zgodzić z ludem, inaczej masowym odbiorcą komunikatów, i jednocześnie żyć w zgodzie z własnym wyborem? – Nie wyszło tak atrakcyjnie, jak zamierzała Gliniak, ale najważniejsze, że kamera znów uchwyciła fachowość i podkreśliła niezbędną obecność sławy dziennikarskiej.

– W zasadzie tak. Zgadzam się z wolą ludu i nawet nie dlatego, że widzę rycerza, ale dlatego, że dawny bohater przypomina giermka współczesności. Może za mocno powiedziane i trochę

niesprawiedliwie, tym bardziej, że w przeciwieństwie do ludu nie traktuję przegranego jak wroga, w ogóle nie poszukuję wrogów, chcę tylko powiedzieć o adekwatności osób do wyzwań i czasu. Było minęło, dawny czas sprzyjał bohaterom na miarę ich czasu, nagle okazuje się, że czas minął, a współczesne wyzwania przerosły. Brutalne, ale czy znaczy, że za zasługi i, jak mówi Andrzej, za blizn drapanie, należy im się nagroda pocieszenia? Protestuję przeciw takiemu rozumieniu współczesności, nie godzę się też na ułatwianie zwykłemu człowiekowi życia, poprzez podtrzymywanie iluzji czarno-białej. Niech płyną granice, na siłę, sztucznie, to jest proces naturalny. Trzeba się nauczyć poruszania między granicami, trzeba umieć dostrzec w bohaterze czas i miarę, trzeba umieć docenić przeciwnika, który skontrował i już niekoniecznie widzieć w nim wroga, tak jak niekoniecznie w dawnym bohaterze dawny potencjał. Trzeba się uczyć, dostrzegać kolory, zamiast tkwić w stawianiu czarno-białych krzyżyków pod cyrografami, których treści się nie rozumie albo nawet nie potrafi odczytać. Widzę więcej wiarusów, kombatantów dawnej walki, niż współczesnych żołnierzy zawodowej armii. Życie jest banalne w swojej brutalności, a nasze oceny przypisane do konkretnych bytów. Jedne są dla nas najważniejsze, bo nasze, inne, cudze, niewiele warte. Kiedyś siedziałem na sedesie, wiele razy siedziałem – pisarz uśmiechnął się – ale ten jeden raz był inny. Robiłem swoje i nagle widzę czarnego robaka – nie znam się na robactwie, zgaduję, że zobaczyłem pluskwę. Sięgnąłem po papier i z obrzydzeniem wrzuciłem robaka do sedesu, po czym splukałem i znów usiadłem na deskę, żeby skończyć, co przerwałem. Po wszystkim pomyślałem sobie o dwóch rzeczach. Pierwsze, że chyba nawet robak, obrzydliwy i brudny, nie zasługuje na taką śmierć. Po wtóre, zdałem sobie sprawę, że od własnego gówna, martwej przemiany materii, ludzkiej groteski, bardziej brzydziło mnie życie robaka i nadal brzydzi. Tak już chyba jest, że człowiek częściej brzydzi się cudzym życiem niż własnym gównem. I na koniec pełna zgoda z Andrzejem w sprawach dojrzałości, honoru i umowy, tak się między ludźmi więcej niż przeciętnymi dziać powinno. Tylko mała korekta do słusznej opinii. Otóż niewątpliwie masz rację Andrzeju, pozwól jednak, że przywdzieję togę adwokata diabła albo może jeszcze inaczej. Spróbuję wejść w położenie tych ludzi bez honoru. Natychmiast zauważam, że nie mam nic, oparcia w tradycji i ewolucji, nie próbuję nawet odwoływać się do wiedzy, gdyż to desperowanie. Cóż mi pozostaje? Jestem tym, czym jestem, bo tacy byli moi przodkowie i takimi staną się potomkowie. Wyrwać się z tego nie mogę, nie daję sobie szansy. I tylko jedno pozostaje pytanie. Czy mogę się usprawiedliwiać? Czy mogę własne czyny, nawet w moim otoczeniu uznawane za podłe, usprawiedliwiać swoją człowieczą bylejakością?

Pierwszy raz doszło do niewielkiej rozbieżności zdań, kosmetycznej różnicy, niewinnego flirtu między monologami. Jerzy Gdula odmalował ozdobnik, przewidziany w podobnych dyskusjach na najwyższym poziomie, w wydaniu najważniejszych ludzi. Pisarz pozostawił redaktorowi pytanie.

– Jerzy, na rany Chrystusa – Szefer uśmiechnął się do rozmówcy, podkreślając żart i sympatię. – Przecież nie będziemy się spierać o detale. Zgoda, jak najbardziej i pełna zgoda, nic innego nie mówię, inaczej rozkładam akcenty, ale to niuans. Co do istoty: zgoda. Czy my to nazwiemy marnością z premedytacją, czy też systematycznym zaniedbaniem, zgódźmy się co do jednego. Nie ma na to przyzwolenia, nie ma na to usprawiedliwienia.

– Cóż dodać? Czuję się wyręczony i zaszczyczony wyręczeniem – pisarz dopełnił formalności. Brak zgody skończył się jednomyślnym porozumieniem. Rozejm złamał Jacek, ale miał doskonały pretekst w postaci wcześniej anonsowanego ograniczenia technicznego. Wyłączył światło i kamerę, czym natychmiast wywołał konsternację. Towarzystwo zrobiło takie miny, jakby ktoś wszedł nago do kościoła i pokazał kilka bluźnierczych gestów. Bień wytrzymał presję, spokojnie odwiesił słuchawki i powiedział coś, o czym już uprzedzał.

– Zmienię taśmę, zostało piętnaście minut, a zapowiada się długi i pasjonujący wywiad – od razu wziął się do roboty, żeby nie drażnić dodatkowo, ale redaktor Gliniak, z purpurowymi policzkami wysiliła się na szczyt dyplomacji.

– Zostaw to, już ostatnie pytanie, zmieścimy się, zresztą musimy, z tego co nagraliśmy nie wytniemy nic, jest genialnie. Włączaj kamerę – odpowiedziała krzywiąc usta i nerwowo odrzucała na plecy długie tlenione na jasny blond włosy. Jacek bez słowa strzelił światłem po oczach, towarzystwo ponownie się podnieciło, czuli, że coś w tym geście było nie tak, ale przyczepić się nie mogli. Redaktor Gliniak wzięła wszystko co iskrzyło na siebie. Rozładowała napięcie najprostszym zabiegiem.

– Dobry moment, aby zadać ostatnie pytanie. Panowie, zaznaczyliście swoją delikatną, ale jednak różnicę zdań. Proszę powiedzieć, gdzie jest wam łatwiej, tu i teraz czy wtedy i tam? W jakiej rzeczywistości łatwiej się poruszacie i czujecie się pewniej? Z jakim człowiekiem dogadujecie się swobodniej, z tym przeszłym, czy z tym współczesnym? – wzrok dziennikarki spadł na redaktora Szefera.

– To zależy, pytanie jest zbyt szerokie, a ja lubię konkret. Co znaczy: „teraz” i „wtedy”? Tu z Jerzym, wielkim twórcą, teraz rozmawiając, czuję się doskonale i czułbym się dokładnie tak samo wtedy, przy zachowaniu tego poziomu rozmowy i towarzystwa. Mogę próbować definiować tamten czas jako coś złego, nawet z założenia, w końcu to nie był synonim ani nawet pochodna wolności, był mniejszy lub większy zakaz, wiele zakazów. Teraz jest wolność, jakkolwiek ją rozumieć, oczywiście obwarowana prawem i innymi normami, które pozwalają zachować jako taki porządek. Z zasady zawsze jestem za wolnością i tu współczesność, też z zasady, jest lepszą, bo wolną. Wszystko ma jednak swoją cenę, przeszłość nie otwierała tylu możliwości, ale stymulowała, dawała natchnienie, sprawiała, że w człowieku rodził się twórczy bunt. Nie demolka, nie awantura, ale bunt dający nadzieję, wizję tego, gdzie zmierzamy, dzisiejszy bunt został zastąpiony konsumpcją. Ktoś się odważy zestawić dawną pogoń za pasztetową i obecny zalew paszy dla ludzi, za jaką uznaję wszelkiego rodzaju glutaminowe chipsy w plastikowych foliach? Zmiana polega na tym, że ładnie ubrano w formę treść znacznie gorszą niż ta, która zalegała w świńskim flaku. Głód zastąpiło obżarstwo, przesycenie. Człowiek staje się leniwy, bo syty, napycha się byle czym, byle jak, byle gdzie, nie czuje głodu, takiego, jaki czuliśmy wtedy. Nie ma większych celów i idei, wieczna promocja sprzętów na raty.

– Pobrzmiewa w tych słowach jakaś tęsknota, może nawet konflikt pokoleń – dziennikarka nie wiedziała, czy dobrze sformułowana pytanie, na wszelki wypadek dodała sporo uśmiechu i zalotny gest z odrzucaniem włosów.

– Nie wiem czy konflikt. Tęsknię trochę za tamtym czasem i tamtymi ludźmi, wielkim paradoksem jest to, że wówczas o człowieka było łatwiej, było więcej ludzi, ponieważ więcej było głodu i pragnień. Odnajduję się w nowej rzeczywistości tylko dzięki ludziom tamtego czasu, którzy jako ludzie przetrwali do dziś. Niewielu ich, bardzo mało, większość je kolorowy glutaminian i nazywa to swobodą wyboru, zwykły snobizm z plastikiem robi za symbol wolności, trochę to wszystko płaskie. Nie chcę absolutnie powiedzieć, że tęsknię do dawnego bałaganu i przemocy, nie tęsknię. Tylko staram się patrzeć tak, jak uważam, że patrzeć się powinno. Kondycja ludzka czterdzieści lat temu była inna, mam wrażenie, że lepsza, więcej byliśmy w stanie znieść, ale przede wszystkim więcej oczekiwaliśmy od siebie i od rzeczywistości. Dziś człowiek jest pogodzony z tym, co widzi, a przecież nie są to widoki ambitne. Nie wiem, wydaje się, że najskuteczniejszym jest połączenie starego człowieka z nową rzeczywistością, taka synteza daje szansę na zmianę, która moim zdaniem jest konieczna i nastąpi, oby nie był to proces zbyt widowiskowy. Wiadomo, jak najczęściej przebiegały wielkie zmiany, trupy liczono przez kolejne pokolenia. Obawiam się, że i preteksty do wielkich tragedii mogą być żałosne, na przykład coś pęknie w powietrzu i telewizje przestaną działać. Kładę głowę, że byłby to jeden z poważniejszych powodów do

rewolucji i nawet wojny we współczesnym świecie. W takim jesteśmy miejscu, brzmi absurdalnie, może trochę przesadzam, ale czasami trzeba przy...pieprzyć, żeby zauważyć problem, poważny problem tandetnej popkultury.

Alkohol pracował w głowie redaktora, był zbyt doświadczonym konsumentem, aby dać się ponieść pokusie, mówić od rzeczy, jak zwykły pijak, jednak za większość dramatyzmu i przesadnej recenzji rzeczywistości odpowiadała kolejna szklaneczka. Magda Gliniak obawiała się nieco o swój wywiad, ale sama miała w głowie już dwie porcje, z drugiej strony i w jej ocenie z gadaniem redaktora wcale nie było źle, może nawet od przesłania dla ludzkości ciekawiej się zrobiło. Temat podjął literat.

– Ze mną jest nieco inaczej, nigdzie nie widzę dla siebie miejsca i dobrego czasu, to sobie właśnie cenię, tego potrzebuję. Pragnę takiego czasu i miejsca, gdzie jest mi źle, dbam nawet, żeby się w takim położeniu znajdować i odnajdować. Trochę się to wiąże z głodem, o którym mówił Andrzej, jak mi coś doskwiera, jak mnie coś gniecie, chcę pisać, czyli zbuntować się. Moje pisanie jest moim głodem i buntem. Chyba najbardziej lubię się bronić. Wtedy broniłem przed ludźmi, strażnikami i szpiclami nieudolnej rzeczywistości, teraz bronię się w zasadzie przed tym samym. Kiedyś zostałem zaatakowany za to, że urodziłem się takim, jakim byłem i pozostaję nadal, dziś atakuje się mnie za to, że nie umiem poruszać się na wolnym rynku, chyba tak się nazywa współczesność. Wolny rynek sprowadza się do prostego wyboru: albo piszesz scenariusze romantycznych komedii i seriali telewizyjnych traktujących o skomplikowanej miłości producenta i sekretarki, albo piszesz dla tysiąca czytelników, którzy jeszcze pamiętają takie nazwiska, jak Proust czy Dostojewski. Mnie się udało napisać dla tysiąca i przeczytały miliony. Da się połączyć te sprzeczności, da się balansować między dwoma światami. Tylko czy to taka wielka różnica, że dawniej byłem ścigany przez siermiężność, a teraz przez tandetę? Czy ja wiem? Nie wiem, chyba było tak, że w siermiężności jednak łatwiej błysnąć jakością; w zalewie tandety, jakość musi iść taranem, co nie do końca leży w mojej naturze. Ale bardziej nieznośny jest koktajl tych dwóch światów niż każdy z nich z osobna. Jeśli słyszę, że jeden z lepszych pisarzy, jakich znam i szanuję, Antek Maciejewski, wydawał książki w niewłaściwych wydawnictwach i mówią o tym ludzie, którzy w najlepszym razie nie czytali jego prozy, w najgorszym nie rozumieją, co czytają, to się zastanawiam, co gorsze? Współczesna głupota czy dawne absurdy? Czy też jeszcze gorszy dawny absurd wymieszany ze współczesną głupotą, ot, choćby taką, że prozę ocenia się poprzez wydawcę, poezję poprzez sprawowanie funkcji. Zdaje się, że ostatnio tak oceniono Artura Listnera, wyciągając mu jakąś ambasadę w Chile. Czuję się zagubiony, upity tym nieustannym serwowaniem koktajlu, nie wiem, dlaczego małym tak trudno oddzielić wielkość człowieka od nieistotnych detali, drobiazgów bez znaczenia.

– Z tego wynika, że nie jest ważne kto kim jest, ale co po sobie zostawi? – Tym razem Gliniak poczuła satysfakcję, udało się powiedzieć ładną frazę. Takie ornamenty lubiła najbardziej, zbliżała się dzięki temu do wielkich nazwisk.

– Owszem, dokładnie tak. Mnie nie interesuje, czy poeta i prozaik bije żonę, czy jest sodomitą. Mnie interesuje książka, wers, akapit, tak oceniam. Resztę pozostawiam czemuś, co się mieni kolorami i świeci fosforyzującą farbą, co zawiera jakąś próbkę kremu na liszaje i – nie wiedzieć czemu – nazywa się prasą. Czasy były podłe wtedy i teraz są nędzne, i oby nadal takie były, stare jak świat natchnienie, ból twórczy się nazywa. Szczęśliwy pisarz czy artysta to wynaturzenie, gwarancja grafomanii i pacykowania, rzepolenia zamiast kompozycji i dłubania w lipie zamiast rzeźby. A ludzie? Wtedy mieli inne motywacje, o tym już mówił Andrzej, nie będę powtarzał i niewiele mogę dodać, teraz są zrażeni do wysiłku w każdej postaci. Suplement diety, a nie sport, powoduje dobrą kondycję i właściwą wagę. Guma do żucia zastępuje namiętność, wiatr we włosach – szampon z odżywką, a szum wody – krem do czyszczenia protez. I wreszcie serial zastąpił kino, kolorowe pisemka – prasę, tandetne grafomaństwo uprawiane przez odpowiednio zatrudnionych ludzi, wydających

u najstydniejszych i właściwych wydawców, zastępuje literaturę. Reklama zastąpiła recenzję, satysfakcję z czytania i rozumienia dzieła przejął konkurs telewizyjny, w którym idioci odgadują, kto jest autorem „Hamleta”, i żeby było jeszcze śmieszniej, do tego beznadziejnie, ci idioci rzeczywiście zgadują. Muszę powiedzieć, że ci, którzy mnie przegonili w 1968 roku, znali nazwisko Szekspir i parę innych nazwisk, może nie byli wybitni, ale przynajmniej odczytani. Może nie wszyscy rozgarnięci, w każdym razie nie byli kretynami. Staram się odrzucać dzisiejsze dylematy. Czy lepszy utalentowany cynik, który denuncjuje wrażliwego moralnie, ale bez talentu konkurenta? Czy lepszy bezkrytyczny, uczciwy półgłupek ze swoim dziełem, w którym po pięciu latach odnajdzie nieślubną córkę proboszcza i pomocy domowej. Dawno zdecydowałem, że wolę towarzystwo inteligentnych, nawet jeśli bywają podli i niebezpieczni. Najmniej bezpieczni są idioci, ale i ten wybór niezupełnie uczciwy, aż tak źle z ofertą nie jest. W każdym czasie można odnaleźć człowieka z talentem i inteligentnie godnego. Siedzę sobie tutaj z Andrzejem i do głowy mi nie przychodzi, aby przyjaźń z wybitnym człowiekiem przypisać do konkretnego czasu i przestrzeni. Cieszę się, że znam kilku mądrych ludzi, którzy w każdym czasie potrafili się odnaleźć i nie stracili nic ze swojego potencjału. Owszem, istnieją jakieś sądy boże czy inne próby czasu, tylko mnie się w to nie chce bawić, w te wszystkie weryfikacje, które pono ukazują człowieczeństwo tudzież demaskują podłość. Ostrożnie z tymi ocenami, ostrożnie z oceną czasu i ludzi. Dystans pozwala spojrzeć rzetelniej, już nie mówię obiektywnie, takie ambicje ma każdy, łącznie z tymi, którzy odgadują Hamleta.

Głowa pisarza okazała się silniejszą od redaktorskiej, jego słowa były jego, alkohol nie mieszał się do wiekopomnych zdań. Dawna umiejętność picia i kontrolowania słów tkwiła w nim jak nawyk, silniejszy od niego. Nieszkodliwe przyzwyczajenie, a bywało, że pożyteczne. Teraz się przydało, trzeźwy monolog Jerzego Gduli zwiędził wywiad.

– Doskonale panowie, świetnie wyszło, zobaczymy jeszcze po montażu, ale to formalność. Wyszło bardzo dobrze. – Dziennikarka nie udawała zadowolenia, była wniebowzięta i widziała dla siebie szansę w przełomowym materiale. Magdalena Gliniak nie musiała walczyć o szczyt w swoim zawodzie, ponieważ stała tam od dawna, niemniej podobne wywiady gwarantowały utrzymanie pozycji, umocnienie i szacunek środowiska, paraliżujący respekt, wykluczający otwartą rywalizację.

– Toast! W tej sytuacji należy wygłosić toast! Na koszt gospodarza! – Inicjatywa Szefera nie mogła się spotkać ze sprzeciwem pisarza – na coś mocniejszego miał wielkie pragnienie, z kosztami się nie liczył.

– Panowie, zasłużyliście na wiele, ale my z Jackiem mamy jeszcze robotę. Koniecznie musimy to zmontować, Jacku! Wracamy do hotelu – powiedziała Gliniak.

Propozycja spadła operatorowi z nieba. Jacek Bień na wszystko miał ochotę, z wyjątkiem imprezy środowiskowej z udziałem nudnych sław, skupionych na swoich mdłych, wielokrotnie relacjonowanych historiach życia i dobrych radach dla innych. Zanim został poproszony, rzucił się do pakowania sprzętu, pomyślał też o przestawieniu mebli na swoje kiczowate miejsca, chciał wyjść jak najszybciej. Plan się powiódł, za parę chwil w londyńskim mieszkaniu zostali tylko dwaj wielcy ludzie. Pisarz z redaktorem siedzieli już w kuchni i rozpijali nową kanciastą flaszkę z najdroższym alkoholem. Rozmawiali o tym, co słyszeć, rozpamiętywali, wspominali, odnajdowali wspólnych znajomych, szczylicili się nowymi kontaktami. Początek picia i rozmowy bardzo ogólny, przyjemny, wesoły. W połowie butelki pojawiły się poważniejsze tematy, pod koniec o najważniejszych, bolesnych sprawach zaczęła się rozmowa.

– Przepraszam cię, że tak walnę wprost, ale powiedz mi, jak ty ułożyłeś sobie relacje z Anną?

– Szefer spojrział na Jerzego z podwójną ciekawością w oczach, pytał z intencją, co dało się wyczuć i po drugiej flaszcze.

– Najprościej. Nie ma żadnych relacji – pisarz odpowiedział ze spokojem.

– Słuchaj, ty chyba nie wiesz, co się w kraju dzieje, co pokazują w telewizji – mało znaczy. Jest szaleństwo, ekipy rzucają się na archiwa. Grzebią w starych brudach. Na zapleczu atmosfera gęsta, podejrzzenia, oskarżenia, wiesz, o co chodzi. Nie pamiętam, kiedy było jakieś picie, żeby o tym nie gadać. Nie wiem, czy to się da powstrzymać, jest źle. – Ze słów redaktora ciągle nic konkretnego nie wynikało, czynił przygotowania do właściwych zdań i odrobinę irytował pisarza wstęgami.

– A konkretnie, Andrzej, w czym rzecz? Chyba nie w moich relacjach z Anną? – Jerzy Gdula przyspieszył rozmowę najprostszym pytaniem i kolejną szklaneczką.

– Byłem w tych lochach, zaraz na początku. Jurek, żebyś wiedział, że chodzi o twoje relacje z Anną! Chodzi o Listnera, Maciejewskiego, Kempę, o mnie, chodzi o wszystkich. Gdy ten loch wypłynie na powierzchnię, zrobi się szambo, rozumiesz? – na twarzy Szefera odmalował się cierpiący grymas. Lęk i pogarda, mieszane uczucia dumnej wielkości i małego tchórzostwa rysowały oblicze redaktora. Jerzy powoli zaczynał rozumieć, ale nadal zachowywał spokój.

– Co ma wypłynąć, przecież się spaliło?

– Gównno, mój drogi Jerzy! Całe to gównno! Widziałem wiele gównna, sam nie wiem, co mam z tym obrazem zrobić? Usiłuję ci powiedzieć, że twoje i moje sprawy staną się publiczne. Rozumiesz? Sprawy między tobą i Anną, Maciejewskim i Kempą, sprawy wszystkich ze wszystkimi. Czy ja ci muszę wchodzić w szczegóły? – Redaktor zbliżył się do Jerzego i próbował przyjąć pozę życzliwego strażnika okrutnej tajemnicy. Dźwigał ciężar moralnej odpowiedzialności, jak zwykle się mówi w takich przypadkach.

– Gównno na szczegóły chcesz mi rozebrać? Brzmi zachęcająco. Rozbieraj, Andrzej – im bliżej było konkretnemu w rozmowie, tym bardziej nerwowo pisarz kołysał się na krześle, unosił i opadał.

– Powiem ci jedno. I powiem ci, dlaczego ci powiem. Nie chcę, żebyś przeczytał o tym w jakiejś szmacie. Anna sprzedała cię, widziałem jej akta, zresztą nie tylko ciebie, wielu oberwało. Wszystko jest, nie wierz w te bzdury, że poszło z dymem, nie poszło. Zresztą tak naprawdę nic nie poszło, wiem o kopiach, najciekawsze kwity leżą u najwyższych kolekcjonerów, oni mają oryginały – Szefer zrzucił pierwszy ciężar i odsapnął głęboko, oczekując ze strony Gduli wdzięczności, przynajmniej rozgrzeszenia.

– Jakie gównno, Andrzej? Ledwie gówienko! Dziękuję ci za lojalność i szczerść, tylko jakie to ma teraz znaczenie? Sprzedała, nie sprzedała? Może tak było, a może inaczej, wtedy i tak się wszystko posypało, reszta jest nieważna. Co za różnica? Zapomnieć! – Pełna ulga zagościła na twarzy pisarza, nie wiedział jeszcze, że nie usłyszał najważniejszej wiadomości.

– Różnica jest taka, że widziałem takie rzeczy, które mogą cię kilka razy zniszczyć. Nie chodzi o zdradę, tylko o Berka Szulca, o raport Filara, o Informację i sąd. Rozumiesz w czym rzecz? Motłoch rzuci się na ciebie za to, że miałeś dwadzieścia lat i wpadłeś w tryby maszyny, która cię miażdżyła. Ocenia cię bez okoliczności łagodzących, bez zrozumienia, co tylko my możemy zrozumieć. Jakiś pryszczaty pismak, który wtedy srał w tetrę, dla kariery wyciągnie ci wszystko i będzie się pastwił „moralnie”, wspominał coś o sprawiedliwości ludowej. Mówiłeś o Maciejewskim i MON, pomyśl o sobie, przecież to nie są żarty – cały dygotał od gestykulacji i emocji, wlało się niemało dramatu i napięcia w mowę Szefera, właściwie nie mówił, tylko znów walczył słowami.

– A ty? Co przeczytałeś o sobie? Andrzej, każdego można tak wykończyć, kto tego nie widział, nie przeżył, nie stracił zdrowia, ten nie pojmie. Co mam zrobić? Jestem pisarzem, nie komandosem, oczekujesz, że sforsuję kazamaty? W dupie mam, nie dożyję wyroku, umrę w areszcie domowym. Nigdzie się stąd nie ruszam, wiesz, że ja się nawet z nikim już nie chcę spotykać? Zgodziłem się na tę rozmowę, bo było z kim pogadać. Komu ja przeszkadzam? Komu ma zależeć? Co ja takiego zrobiłem? – Gdula teatralnie zwiesił głowę i utkwiał wzrok w szklance, liczył, że tak zamknie niewygodną rozmowę i mylił się.

- Jerzy, daj spokój! Nie o licytację tu chodzi, chyba się nie boisz, że ja pierwszy chwycę za kamień. Zrozum, chodzi o tych, co nie mają skrupułów, mają czyste ręczki, bo nic nimi nie robili, a teraz gębą robią.
- Mam się ścigać z tą Gliniak? Czekaj, nawet nie ścigać, tylko uciekać. Nie uważasz, że w naszym wieku zabawnie wyglądają takie sporty? Tak śmiesznie, że nawet nie ma sensu ocenić szans?
- Przed nią nie musisz uciekać, zapewniam cię. Ona jest nieszkodliwa, za to jej też można zaszkodzić. Ale już ta ciota za kamerą, jak dostanie szansę, zrobi ci taki film, że sam się nie rozpoznasz i nikogo, kogo znałeś. – Ręce redaktora najpierw rozłożyły się bezradnie, potem opadły bezładnie na kolana.
- No dobrze, ale co ty proponujesz? Powiem ci wprost, mnie już nic nie robi Anna, Szulc i Gdula, przeżyłem swoje, pogodziłem się z całym tym kurestwem, szcuciem i szpiclowaniem. Przeszłość mnie nie straszy. Ja już za coś zapłaciłem, z naddatkiem. Jeszcze coś zostało, za coś jeszcze muszę płacić? Myślisz, że ludzi to obchodzi? Mówię o przyzwoitych ludziach, hieny zawsze się znajdują. – Gesty pisarza wydawały się mniej spektakularne, nadrabiał słowem, czasem machnął ręką lub wykrzywił twarz, jednak do dramatycznej mimiki redaktora było mu daleko.
- Proponuje modę, trend, kierunek i proponuję, żebyś sobie wybrał ulubione słowo – wróciła zagadkowość w głosie i gestach redaktora.
- Andrzej, zlituj się, trochę wypilem, powiedz jak człowiek, nie znęcaj się szaradami.
- Od nas zależy, jak zdamy sprawę, rozumiesz? My jesteśmy świadkami.
- Przecież nic innego nie robimy? Zdajemy i świadczymy – przytomnie zauważył Jerzy.
- I trzeba tak dalej, tylko pewniej, bezczelniej. Nie może jakiś greps sprzed lat decydować o nas. Potrzeba wskazać kierunek rozmowy. Ośmieszyć, trzeba wyśmiać modę na grzebanie w gównie, nawet tak to nazwać, odważnie, po imieniu. Trzeba tych poszukiwaczy mianować gównojadami, psycholami, paranoikami, głupkami. Tak trzeba! Rozumiesz? Trzeba stworzyć specjalny katalog słów dla takich śmieci i gnębić ich, poniewierać. Tyle ci powiem. Dla mnie i dla ciebie nieważne, co napiszą, ja wiem. Ale chodzi o to, żeby się wszystko nie rozpieprzyło. Jesteśmy na początku drogi, a ci wszyscy wężący, niedouczeni grzebacz, szaleńcy i wariaci sami się wysadzą, jak zechcą wysadzić wszystko. – Pasja i determinacja redaktora kreśliła szaleńczy projekt wymierzony przeciw wrogom. Teorie sięgały daleko poza spiszek, zmowa przeciw nieprzyjaciołom miała osiągnąć totalny charakter.
- Myślisz, że to jest metoda?! Bluzgi przeciw dokumentom, skoro mówisz, że takie istnieją? Nie wydaje mi się, że tym wygrasz. – Zwątpienie zdawało się najłagodniejszą krytyką, jaką człowiek rozsądny mógł po wywodzie Szefera zaordynować, ale redaktor nie zraził się sceptycznym nastawieniem i kontynuował szaleństwo.
- Andrzej, ty, pisarz, masz wątpliwości, co zadziała? Wątpisz w siłę słowa? Jednym słowem możesz zmienić krajobraz ze świtu na zmrok i historię całych narodów w powiastkę, hańbę na sławę. Nie muszę ci tego tłumaczyć, sam znasz przykłady, sam piszesz. Wystarczy, że do człowieka przylgnie jedno słowo i jego działania staną się śmieszne albo wielkie, szlachetne lub podłe. Kto wysłucha prawdy, gdy wygłosi ją nazwany po imieniu idiota? Miliony uwierzą w kłamstwo, jeśli użyje go profesor, pisarz, dziennikarz, szanowany artysta. Rozumiesz już? Musimy mieć nowe słowa i starych sprawdzonych ludzi, jak najwięcej ważnych, znanych, kochanych powtarzających te same słowa. Tylko tak, tylko tak. I żadnych rzewności, taniego moralizatorstwa, walka idzie o wszystko, o przyszłość. – Szefer wykrzyczał kolejne racje, a Gdula w tym szaleństwie zaczął dostrzegać metodę, prostą, bezwzględną i dlatego zabójczo skuteczną.
- Chcesz powołać masonerię? Tajną organizację do wytyczania kierunków? – Żarty wydawały się mało stosowne w podniosłej atmosferze obrony najwyższych wartości, jednak



pisarz tą metodą usiłował dokopać się do szczegółów zawilej wizji redaktora. Nie miał ochoty i odwagi przystąpić do projektu, zanim pozna największe zagrożenia.

– Nie żartuj! Jakie tajne organizacje, przecież wszystkim nam zależy na jednym: tobie, mnie i nawet Gliniak. Potrzeba w takiej sytuacji ślubów, braterstwa krwi czy innego zaprzysiężenia? Wystarczy trzymać się razem wspólnej sprawy, jak dawniej. Potrzebujesz dyrektywy, żeby zrozumieć wszystkich zgnojonych w sześćdziesiątym ósmym? Wiesz, o co chodzi w pół słowa, nawet bez słów. Z tym jest tak samo, jest identycznie, bez żadnej różnicy. Cała rzecz w tym, żebyśmy się nie rozjeżdżali, żeby nie było sporu między nami, konfliktu metod. Jeden głos – jedna metoda, zamiast stu interpretacji. Chodzi o nas, o nas Jerzy! Rozumiesz? O nas! Stu wybitnych ludzi z jednym głosem. Grzebiący w archiwach są szpicle, szaleńcy, dokumenty są dziełem fałszywych i fałszujących historyków, były preparowane na potrzeby systemu niszczenia ludzi, którzy mieli odwagę sprzeciwić się podłości. Jeśli zobaczysz w telewizji gówniarza, który nie ma nic wspólnego z nami i wymachuje grypsem, musisz pokazać takiego, który był prześladowany i jest od nas. Rozumiesz? Obraz i słowo, emocja przemawia do człowieka! Papier trzeba umieć czytać. Niewielu ma ochotę, woła, kiedy im tłumaczyć, co jest napisane, kto napisał, w jakim podłym celu. Ludzie chcą mieć zachodnie samochody, terakotę, te wszystkie kolory, za którymi tęsknili pół wieku. Chcą świetlanej przyszłości zamiast mrocznej, brudnej przeszłości. Grzebiący w przeszłości muszą być pokazani jako wrogowie przyszłości, muszą być wariatami, podpalaczami, takimi, co nie potrafią zbudować drogi i zarobić pieniędzy, takimi, co rozdrapywaniem ran niszczą przyszłość, kolorowe marzenia o terakocie i samochodach.

Wszystkie zdania Szefera brzmiały jak propagandowy regulamin. Nie zająknął się ani na chwilę, recytował bezbłędnie. Pewnie wypowiedział te wersy niejednym razem, ale mówił naturalnie, bez najmniejszego aktorstwa. Z pełnym przekonaniem wypowiadał fałszywe słowa i nie kłamał, on wierzył, że w tym oszustwie leży cała prawda. Nie musiał słów spisywać i uczyć się na pamięć, mógł po prostu mówić, za każdym razem tak samo żarliwie i z tym samym przekonaniem, że głosi świętą prawdę. Recytowane instrukcje brzmiały szaleńczo, ale były nad wyraz trzeźwą, stoicką analizą, dokonaną na potrzeby konkretnego zadania. Wielkiej misji ratowania teraźniejszości przed przeszłością, żeby przyszłość o niczym nie wiedziała i poznała leżącą w fałszu, barwnie wydumaną, prawdę.

– I ty się po prostu pytasz, czy możesz na mnie liczyć? – Jerzy rozlał ostatnie krople alkoholu.

– Pani redaktor montuje właśnie materiał, znajdziesz w nim odpowiedź. Andrzej, bez tej rozmowy mówiliśmy o tym samym. Zbędne instrukcje, samo zadziała. Chcesz mieć patronat nad tym wszystkim? Proszę cię bardzo, coś takiego jest potrzebne, oczywiście bez rozgłosu. Zresztą rozmawiałem przez te lata z paroma ludźmi i wszyscy cię widzą w tej roli. Masz narzędzia, masz argumenty, zatrzymanie i inne odsiadki, masz ludzi i możesz liczyć na nich liczyć. Wszystko masz, mnie też i tych, dla których coś znaczą. Pewnie od innych już słyszałeś tyle samo, a jak nie, to usłyszysz. – Szklanka pisarza poszła w górę, po chwili uspokojony redaktor dołączył do milczącego toastu.

– Cieszę się, że pogadaliśmy, leżało mi parę tematów na wątrobie. Razem pchniemy wszystko, gdzie trzeba, chyba rzeczywiście się wygłupiłem, tłumacząc takie oczywiste rzeczy. Masz takie samo wyobrażenie, ale chociaż z Anką się wyjaśniło. Nie dawało mi spokoju, zastanawiałem się, czy nie zadzwonić, zaraz jak tylko się dowiedziałem, a już ze cztery lata będzie. Potem pomyślałem, że przyjdzie jeszcze pora i okazja, no i patrz, spotykamy się po piętnastu latach i o takim bagnie rozmawiamy. Całe nasze pokolenie jest kalekie, może już nie potrafimy o niczym innym, jak tylko: „za naszych czasów było gorzej”.

Tory rozmowy rozjechały się na bocznicę głównego tematu. Szefer uznał, że przesadził ze swoją wizją walki, teraz próbował łagodzić niedawną egzaltację, gestykulację i dramaturgię. Nie żałował jednego zdania, tylko trochę zawstydzził się formą apelu, wystarczyło przypomnieć, zamiast głosić.

– Jakże ja mam prawo żądać od niej heroizmu? Ratowała się, jak umiała, mnie nie musiała, nic już nas nie łączyło. Mam na to literackie spojrzenie. A propos, czytałem ostatnie opowiadania Maciejewskiego, jak to się mówiło za naszych gorszych czasów, człowiek się kończy. Muszę ci powiedzieć, że piszę dwa razy lepszą książkę. Pewny jestem tej oceny. Po lekturze stu stron Maciejewskiego, gdzie na żadnej nie znalazłem pisarza, już się mogę pochwalić, że mam skończone dwieście stron, dwa razy lepszy jestem. Ilość jest tu wystarczającym kryterium. W najgorszym razie będę dwa razy lepszy od Maciejewskiego, ilością go przebiję, jakością się nie chwale. – Zadowolony ze swoich złośliwości Jerzy Gdula dał sygnał, że poprzedni dziejowy temat jest w pełni czytelny i załatwiony pozytywnie. Pora wracać do rozmów o niczym i nikim.

– Złośliwy jesteś. Zabawy psuł ci nie będę. Błado te jego powroty wyglądają, ale sprzedają się świetnie. Każdy głupek rzuca się na cienkie pisanie i chełpi, że rozumiał wielką literaturę. Planuję teraz wydać na rocznicę gazety wkładkę z jego dziełami. Tobie nie proponowałem, dałbyś mi w mordę z pełną racją. Antek poczuł się zaszczycony.

– Rozbawiony Szefer potrząsnął starym przyjacielem. Zawsze się usprawiedliwiał z takich wyborów. Prawda była taka, że dawno Maciejewskiemu obiecał wyróżnienie, dla pokrzywdzonego Gduli zostawił dobre słowo.

– Zależy, ile dałbyś zarobić? W tym widzę siłę i miejsce ciosu.

Zahuczało szczerym śmiechem dobrych znajomych, rozumiejących się w pół i nawet bez słowa. Spotkanie skończyło się o świcie, gdy wielcy ludzie osuszyli ostatnią butelkę i wraz z nią wszystkie istotne i wymagające wyjaśnień dziejowe tematy.

### 3

Katarzyna Brosik, kobieta młoda, ambitna i jeszcze niezepłuta, dziewczyna głodna rzeczy wielkich, ciekawa smaku nie tyle sukcesu, co dzieła, kończyła myć zęby w swojej surowo urządzonej kawalerce. Jak zwykle robiła wiele rzeczy naraz, przez co jednej nie zrobiła w ogóle. Stała przed lustrem półnaga, bez stanika, rysowała makijaż, taki sam jak zawsze, skromny, ledwie zaznaczony, lecz nieodzowny. Wyuczonym ruchem odmalowała na ustach te same kierunki tymi samymi kolorami. Wyrwała kilka zbędnych włosów z brwi i lekko podkreśliła rzęsy. Była gotowa, włosy wysuszyła wcześniej, paznokci nie malowała, za to lubiła obgryzać. Włożyła podkoszulkę i naciągnęła na wierzch ulubioną, podniszczoną bluzkę, jak to z ulubionymi rzeczami bywa.

– Kurwa – cisnęła prosto w lustro i roześmiała się w głos. Kaśka przeklinała pięknie, każdy kto ją znał, musiał przyznać, że klnie cudownie, a wielu po prostu uwielbiało słuchać, gdy z jej ust łagodnie padały ostre słowa. W przeklinaniu Kaśki nie było śladu bluźnierstwa, drobiny wulgaryzmu, była dziewczęca uroda, kto wie, może nawet subtelny erotyzm. Jak jej to fantastycznie idzie, trzeba słyszeć, opisać się nie da, taka najczęściej padała odpowiedź, gdy ktoś pytał, co za jedna ta Kaśka i niby dlaczego ma jakiś szczególny talent do mocnego słowa? Zakłęła pięknie, ponieważ ubrała się w dwie warstwy odzieży i nie pomyślała o staniku, pośród wielu zapomniała rzeczy o tej jednej. Szybkimi ruchami naprawiła błąd.

Przed wyjściem poczuła głód. Na posiłek nie było już czasu, może jeszcze coś w biegu dałoby się podrzucić żołądkowi, ale umyła już zęby i na ponowne dokładne szorowanie czasu zabrakło. Dwie rzeczy w życiu robiła bardzo dokładnie i z prawdziwym oddaniem: dokumentalne filmy i szorowanie zębów. Nie mogła sobie pozwolić na szybkie jedzenie, bo nie znosiła nieświeżego posmaku w ustach i bardzo śpieszyła się do nowego filmu. Pomysł na scenariusz chodził za Katarzyną Brosik od dawna, do towarzystwa brakowało pieniędzy i operatora. Właśnie w tej sprawie młoda dokumentalistka zamierzała odwiedzić jedną z prywatnych stacji telewizyjnych. Pojechała do siedziby stacji, korzystając z miesięcznego biletu tramwajowego. Kaśka nie uznawała innych niż masowe środki transportu, tylko taka

podróż dostarczała pomysłów na reportaże i dialogów do fabularnego scenariusza, czym zajmowała się w wolnych chwilach. W tramwajach jechał ludzki wysiłek, złość, radość, zaduch i perfumy. Codzienne rozmowy, staruszki walczące z kobietami w ciąży i wymieniające ze szkolną młodzieżą miejsca stojące na miejsca siedzące przy oknie. Napisy i pocięte siedzenia, nawet podstarzali erotomani z bokobrodami, macający studentki, wszystko w tramwaju było ważne i potrzebne. Podobne natchnienia jeździły pociągiem i miejskim autobusem, bardzo skromnie wszystko wyglądało w taksówce, najgorzej w prywatnym samochodzie. Z tych powodów Kaśka nie miała własnego auta, na byle jakiego grata było ją stać, ale nie chciała osobistego, nudnego środka lokomocji mimo, że egzamin z jazdy i kodeksu zdała celująco, za pierwszym razem.

Tramwaj dojeżdżał pod sam nowoczesny budynek prywatnej telewizji. W środku czekał już szef redakcji z działu dokumentu i reportażu, człowiek z zawodowym dorobkiem, w środowisku oceniany jako centrowiec, czyli taki, który umiał zaszkodzić, ale też potrafił pomóc. Szkodził głównie w przeszłości, jak prawie wszyscy w tym zawodzie, którzy mieli w roku 2004 więcej niż czterdzieści lat. Teraz starał się pomagać, bardzo chciał zasłużyć na opinię centrowca, ponieważ tacy z nazwy i definicji nie przekraczali pewnych granic. Przeczekiwali pośrodku, nie narażając się na dotykane tematów skrajnych z lewa i tych na końcu prawej strony. Redaktor, jak redaktorowi wypadało, nazywał się oryginalnie – Ryszard Korzun. Nie tak wymyślnie, jak inni sławni pogromcy ekranu, ale też Ryszard Korzun nie był tym najślawniejszym i wystarczyło mu takie nazwisko jakie miał. Urodę Korzuna złośliwa natura zbudowała z króliczych ząbków, misiowatych policzków i ledwie widocznych oczu. Do tego pospolitego obrazu sam redaktor dołożył groteskowych, nienaturalnych dodatków. Nie pasujące do zabawkowej twarzy poważne okulary i przyczesaną grzywkę na wzór młodzieżowej mody sprzed trzydziestu lat. Trzeba natomiast oddać szefowi działu dokumentu i reportażu, że z wrodzoną wadą wymowy, powiązaną z anatomią, walczył dzielnie, uzyskując niebagatelne efekty. Gdy przemawiał, słuchacz mógł dostrzec i usłyszeć zjawiska fenomenalne. Żaden logopeda nie był w stanie wytłumaczyć, jakim to sposobem ułożone w dzióbek chłopiące usta, podparte króliczymi ząbkami, operowały mową sprawniej niż niejedna, bardziej przypominająca ludzką, twarz. Tylko czasami dało się słyszeć zbędny szelest, który w następnym słowie natychmiast był hiperpoprawnie tłumiony.

Ryszard Korzun miał też inną cechę charakteru, która u sław tej rangi zdarzała się rzadko. Redaktor w początkującym filmowcu umiał dostrzec talent, nawet zdolniejszego od siebie i w początkującym prezenterze zdecydowanie bardziej telewizyjną urodę niż we własnej prezencji, która i w radiu potrafiła wzbudzić politowanie. Na zewnątrz niczym się nie przejmował, w środku miał swoje problemy. Wszystko, co strachliwe w głębi i charakterystyczne na zewnątrz, było podporządkowane jednej życiowej myśli. Ten sprytny na swój sposób człowiek, miał nadzwyczaj proste i skuteczne motto, przekonał sam siebie, że: „Nie chodzi o to, żeby nie być czarnuchem, chodzi o to, żeby być akceptowanym przez białych”. Nie odróżniać się i tym samym nie narażać, chował tę wyjątkową umiejętność jak skarb. Zapewne cicha zdolność do samokrytyki była wynikiem nieudanej walki z kompleksami, w każdym razie w środku Korzun był czarnuchem, na zewnątrz szukał akceptacji białych. Większość kolegów z branży, jak tylko sięgała po bezpieczną pozycję, zapomniała jak wygląda, jak mówi, gdzie się wychowała i jaką miała średnią na maturalnym świadectwie. Ryszard Korzun pamiętał wszystko, wykazując tym samym cechy ludzkie, to był ludzki, centrowy redaktor i do takiego właśnie, przyszła zdolniejsza, ładniejsza i młodsza koleżanka po fachu – Kaśka oryginalnej urody. Nie znaczy powalającej, jak pudrowana okładka żurnala, wręcz przeciwnie. Katarzyna zaskakiwała, poukładana w oryginalną kompozycję, wymykała się typom kobiecych wdzięków. Słusznych rozmiarów nos, nie mógł być inny, miała nosa, nie tylko zawodowego, przecucie rzadko ją zwodziło. Gęsta oprawa ciepłych oczu, inteligentnych, odrobinę złośliwych ciemnych kamerek kręcących

i zapisujących wszystkie ciekawe obrazy. Fryzur upinała i chesała wiele, wszystko zależało nie od okazji, ale od okoliczności i czasu. Gdy się spieszyła i nie miała lusterka, spinała włosy w kucyk. Gdy przypominała sobie, że jest kobietą, zakładała spódnice i rozpuszczała włosy, tak wyglądała wyjściowo, oglądali się za nią mężczyźni. Płcią piękną bywała, częściej narzucała bezpłciowy strój roboczy spięty w kucyk, z braku czasu, dla wygody i przepłoszenia mężczyzn nie dbała o wizytową kobiecość. W telewizji zjawiała się identycznie ucharakteryzowana, chociaż nie chciała płoszyć, ale przekonać. Do gabinetu Korzuna nigdy i nikomu nie było wolno pukać. Redaktor był nowoczesny, zmieniał stare czasy, kiedy ci w biurze byli urzędnikami, a ci za drzwiami – petentami. „Gabinet jest dla ludzi” – powiadał i zyskiwał tą oryginalnością wizerunek centrowca. To taka pracownia, warsztat – dodawał – zatem pukanie jest zbędne, uczciwy pracownik nie da się przyłapać na kompromitującym lenistwie.

– Dzień dobry, panie redaktorze – bez pukania, od progu, dowcipnie rzuciła Katarzyna w kucyku. Była ze starszym kolegą na ty, bo on ze wszystkimi był na ty, z wyjątkiem ekip remontowych, które widziały w nim radykała, nie centrowca. Przy majstrach Korzun nie miał siły dbać o swój wymarzony image.

– Dzień dobry, pani redaktor – zrewanżował się z humorem i na powitanie wystawił królicze ząbki. Lubił Kaśkę, poznał ją kilka lat temu, kiedy starała się o praktyki, potem okazała się zdolną i zrobiła kilka udanych materiałów. W końcu dostała zatrudnienie na wstępnych warunkach umowy o dzieło, bo etaty otrzymywali nie tylko utalentowani, przede wszystkim musieli być odpowiedni. Korzun jeszcze nie wiedział czy Brosik jest odpowiednia.

– Pytać, co słyhać, czy mogę od razu przejść do genialnego projektu? – umalowane usta rozjechały się w sympatycznym uśmiechu.

– Aż genialnego. Boję się takich realizacji, genialność zawsze na budżet się przekłada i niekoniecznie na oglądalność, pani reżyser – lubił rozmowy z Brosik dokładnie w takiej konwencji.

– Zaskoczę. Na razie potrzebuję tylko jednego człowieka i mały napiwek. – Rzeczywiście zaskakiwała, większość przychodziła po zaliczki, pożyczki, w sprawie premii, chociaż Korzun się tym nie zajmował. Płacił cenę za pozycję i opinię „swojego chłopca”.

– Ale! Ludzie są najdrożsi, stawiamy na ludzi, na młodzież nawet, a ta – jak wiadomo – jest wymagająca, niecierpliwa, zepsuta i nastawiona na konsumpcję – błysnęły ząbki szefa redakcji.

– Dlatego potrzebowałabym doświadczonego idealisty – uśmiech wyszedł poza ślad szminki.

– Jestem do dyspozycji. – Korzun nie był typem podrywacza, nawet nie był flirtiarzem, bał się kobiet, ale wszyscy w telewizji flirtowali, musiał się tego nauczyć i choć brał się za to na siłę, jakby służbowo, w efekcie nie był nachalny i radził sobie najlepiej ze wszystkich telewizyjnych podrywaczy.

– Nie tak doświadczonego idealisty, Jacka bym potrzebowała na parę dni.

– Bez nocy?

– Bez.

– Jak to tak: Jacka, nie Ryśka?

– Tak toto tak, tym razem nie potrzebuje wybitnego, szanowanego i kochającego młodzież redaktora, pragnę kapryśnego i zdolnego operatora kamery, tak toto tak – Kaśka recytowała wierszyk.

– Uuuuuu! Co to ma być? O kim, o czym?

– Tak w dwóch słowach: Jerzy Gdula - najtrudniejsze dwa hasła w całej rozmowie Kaśka miała już za sobą. Redaktor nieznacznie uniósł się na krześle, poczuł, że temat i osoba może grozić jakąś skrajnością. Ukrywał tę obawę bez większego powodzenia.

– Hm, dlaczego akurat dobro wspólne, narodowe, wielki pisarz? – Wszystkie komplementy wprowadzały dystans i jednocześnie naprowadzały młodą autorkę na właściwy kierunek artystycznych poszukiwań, gdzie nie musi być Jerzego Gduli.

– Właśnie dlatego. Z powodu tych wszystkich i jeszcze wielu przymiotów, których przecież kontrowersyjnemu pisarzowi nie brakuje – poprawiła włosy i uśmiech. Zaczęła się gra o materiał, oboje przedstawili swoje oczekiwania, Korzun chciał filmu, z którym nie będzie kłopotu. Kaśka oczekiwała takiego obrazu, który pokaże coś więcej niż dotąd oferowano w bałwochwalczych kadrach. Na tym etapie gry redaktor nie mógł za wiele zabraniać, Brosik za wiele ujawniać, dzięki temu projekt otrzymał wstępną akceptację oraz operatora Jacka do dyspozycji.

– Dobrze, młodzieży, weźcie kolegę Bienia i kręćcie, tylko nie przekręćcie albo się i nie zakręćcie, bo kto to będzie potem odkręcał? Trudny temat, tak mi się wydaje, nawet wiem, co mówię. I tu się rodzi fundamentalne pytanie: damy radę, pani reżyser? – Kwestia wypowiedziana bez uzewnętrznienia króliczych ząbków podkreślała powagę pytania, sytuacji i całego przedsięwzięcia, jakim był film o Jerzym Gduli. W dodatku inny niż wszystkie, jak słusznie podejrzewał szef redakcji i czego się obawiał.

– Damy, panie redaktorze, zawsze dajemy radę, jesteśmy młoda, zdolna, ambitna, mamy oryginalne spojrzenie. Kto, jeśli nie my, może dać radę? Panie redaktorze? – zapewnienie pokwitowała uśmiechem. Wszystko, co można było z Korzuna wyciągnąć, Brosik wyciągnęła z wdziękiem i bezboleśnie, umiejętnie omijając rzeczy trudne, nie wspominając o tych niedopuszczalnych. Uspokajała, że nie będzie aż tak źle, to znaczy niebezpiecznie dla znanych i lubianych, nie wyłączając redaktora Korzuna.

– Wierzę, że tak się stanie. A skąd pomysł ów? – spytał, jakby jeszcze raz dawał do zrozumienia, że może nienajlepszy scenariusz na film przyszło omawiać.

– No cóż, jestem przesadna. Wpadła mi w ręce książka Gduli, dosłownie, w księgarni. Potrafiłam łokciem i już była moja. Przeczytałam fragment i pomyślałam, że trzeba zrobić z tego przypadku wybitny film. Takie natchnienie mnie dopadło – mówiła prawdę, tak było. Opowieść wyglądała jak historyjka zmyślona na poczekaniu, ale była prawdziwa. Redaktor kupił treść i uznał za wystarczające wyjaśnienie mimo, że inspiracja nie przedstawiała się poważnie.

– Zaraz, ale widzę dwa problemy. Pierwszy to koszty. Chcesz jechać do Londynu? – Korzun znalazł swoją ulubioną furtkę. Jako gorący zwolennik młodych talentów zawsze podpierał się argumentem kosztów i biurokracji, kiedy talent oczekiwał zbyt wiele lub zbyt daleko chciał sięgać do oryginalnych pomysłów.

– Nie ma problemu, nie wybieram się do Londynu, na pewno nie teraz. A ten drugi problem?

– Zrobisz film o Jerzym Gduli bez Jerzego Gduli? – zaniepokojenie redaktora przybrało nową barwę i znacznie bardziej intensywną niż do tej pory. Za dużo niekonwencjonalnych rozwiązań jak dla kogoś, kto nie chciał mieć żadnych kłopotów, nawet gdyby przyszło mu zatwierdzać same średnie projekty, z pominięciem tych ambitnych, bo niebezpiecznych.

– Zupełnie nie tak, film będzie tylko o Jerzym Gduli, on będzie wszędzie. Mam pomysł na pokazanie pisarza takim, jak widzi go czytelnik. W tej formule sam Gdula nie jest konieczny, ale siłą rzeczy będzie najważniejszy. Filmów z jego udziałem już trochę było, takiego projektu jeszcze nie było. A ten drugi problem? – powtórzyła pytanie głównie dlatego, by odwrócić uwagę od kwestii finansowych oraz osłabić nadmierną dociekliwość szefostwa.

– No dobrze, niech i tak będzie – Korzun odsapnął, ale tylko wstępnie, miał dziwne wrażenie, że wszystkiego się nie dowiedział.

– A ten drugi problem? – trzeci raz upierała się przy pytaniu.

– Zdaje się, że Jacek jest na urlopie z tego, co pamiętam. – W końcu wydusił z siebie prostą i niepotrzebnie odkładaną informację.

– Dobrze, zadzwonię do niego i się dogadam.

- No to gadaj.
- No to idę gadać.
- No to cześć.
- No, na razie.

Drugi problem nie zrobił na Kaśce wrażenia przeszkody, z Jackiem żyła na przyjacielskiej stopie. Rozmowa z Korzunem zakończyła się porozumieniem, przypieczętowanym błyskiem króliczych ząbków i szerokim uszmińkowanym uśmiechem. Wstępne formalności pozwoliły na rozpoczęcie realizacji, z którą wiązała wielkie nadzieje. Wszystko miała już przygotowane, wystarczyło kilka telefonów, aby zacząć kręcić dokument o znanym pisarzu, niekoniecznie tak znanym, jak go widzieli przyszli bohaterowie dokumentu Katarzyny Brosik. Już na korytarzu szklanego budynku zabrała się za pokonanie ostatniej przeszkody.

- Cześć, Kaśka z tej strony – rzuciła powitanie do telefonu.
- Widzę, dlatego odebrałem – odpowiedział głos w słuchawce.
- Kurwa, nigdy się nie nauczę tej ponowoczesności. Telefony pstrykają zdjęcia i wyświetlają nazwiska, pieprznęte to wszystko i w ogóle telefonem nie powinno się nazywać – wyjaśniła niemal na jednym oddechu.
- Jak zwykle, ślicznie przeklinasz, ale o co chodzi, że spytam? A pytam, gdyż mam urlop i nie odbieram telefonów – odpowiedział głos w słuchawce.
- A jednak?
- Co jednak?
- Masz urlop, byłam u Korzuna i chciałam cię zaprząć do kieratu, zgodził się, tylko uprzedził, że chyba leżysz pod gruszą. – Kaśka miała zamiar dołączyć prośbę o zmianę planów, ale póki co ograniczyła się do błagalnego tonu.
- Na pewno mam... no dobra i tak jest do dupy. Nudzę się, nie mam żadnych planów, mogę robić i nawet nie zapytam za ile? Powiedz chociaż, co i kiedy? – W telefonie dało się słyszeć słowa człowieka, który przedkładał pracę nad wypoczynek, zwłaszcza nieudany.
- Film o Gduli robię, jak się uda, jeszcze dziś zaczniemy – odpowiedziała treściwie.
- Ty o Gduli? Film o nim już jest, największa zrobiła go dziennikarka i najwybitniejszy operator. Spóźniłaś się – oprócz ironii głos odpowiadał brakiem entuzjazmu dla takich tematów.
- Nie martw się, nie taki film. Spodoba ci się. Jak ci powiem, że Gduli kręcił nie będziesz, już ci się podoba. Prawda?
- Przekonałaś mnie, więcej dodawać nie musisz. To kiedy?
- Jacek, zadzwonię do ciebie, jak tylko dogadam się z kim trzeba. Ale bądź czujny, może jeszcze dziś się uda.
- W porządku, dzwoń, tylko obiecuj, że zaklniesz, jak zawsze pięknie.
- Obiecuję. Dzięki i do usłyszenia!

#### 4

Po schodach osiedlowego bloku, wykonanego starożytną techniką wielkiej płyty, wdrapywało się dwoje ludzi objuczonych sprzętem, który służył im za narzędzia pracy. Wchodzili na samą górę nie tylko budynku, chcieli dotrzeć na szczyt osiągnąć w swoim zawodzie. Klatka schodowa, o dziwo, nie cuchnęła, wydawała się zadbana i nie za sprawą generalnego remontu, ktoś po prostu dbał o czystość, a może stał się cud i wszyscy mieszkańcy pilnowali porządków.

- Które piętro? – Dojrzały, modnie skrojony i tak samo uczesany mężczyzna, jęknął pod ciężarem pakunków i ilości schodów.

– Nie pierdol, Jacuś, zaraz się zasapiesz i jebniesz z tym wszystkim na mnie. Nie gadaj, zapierdalaj – odpowiedziała kobieta i od razu wprawiła mężczyznę w słodko-gorzki nastrój. Śmiał się z jej czułych słówek i cierpiał jeszcze bardziej, gdyż śmiech osłabiał go z każdym schodkiem.

– Jesteśmy kwita...nawet jesteś do przodu – przedzierał słowa śmiechem i sapaniem.

– Z czym znowu? – spytała, jęcząc.

– Byłaś mi winna piękny bluzg...– nadal sapał.

– Najpiękniej to ja mówię: „kurwa”, powiem ci, jak dojdziemy – Kaśka głośniej jęknęła z wysiłku, pokonywali właśnie ósme i ostatnie piętro. Stanęli obok solidnie oprawionych i zabezpieczonych drzwi, oboje przez dłuższą chwilę opierali się o ścianę, łapiąc oddech i równowagę. Drzwi otworzyły się same, starszy, około sześćdziesięcioletni pan ujrzał zasapanych, stali w dziwacznych pozach, do połowy zwieszani na lamperkach. Nie zdziwił się tym widokiem, rzucił tylko spokojnymi oczami na sprzęty i od razu zrozumiał dwie rzeczy. Domyślił się, że winda znów nie działa i że ci państwo to oczekiwani goście z telewizji.

– Dzień dobry. W tym miesiącu dopiero drugi raz, w sumie macie państwo pecha. Proszę do środka, może pomogę wnieść pakunki? – zaproponował. Goście jednocześnie pokręcili głowami i mieli rację, przełożenie sprzętu kosztowałoby więcej wysiłku niż wniesienie ich do środka. Mężczyzna wyglądał tak, jak się zachowywał: uprzejmie, skromnie, posłuszenie, inteligentnie. Wszystkie te wzniosłe cechy były opakowane w bardzo prosty krój ubrania i uczesania. Żadnych rewelacji, średnia krajowa, przedziałek na prawą stronę, dżinsowe spodnie i sweterek w szpic, pod nim koszula. Pospolita prezencja i niepospolite cechy, widoczne, wyraźne od pierwszej ciekawości oka.

– Dzień dobry! – powiedziała Kaśka, stojąc w ciemnym przedpokoju i zrzucając ładunek.

– Dzień dobry! – powiedział Jacek, również po tym, jak się uporał z ciężarem.

– Dzień dobry! – odpowiedziała niczym nieobciążona starsza pani wychodząca z kuchni. Wyglądała na zwykłą gospodynię domową, kobietę, która taszczy zakupy, gotuje, zmywa, a kiedyś nocami po cichu kołysała dzieci, żeby nie zbudzić męża pracującego na dwie zmiany. Miała trwałą fryzurę i świeżo ufarbowane włosy, chyba właśnie z tej okazji, że przyjedzie telewizja, wprawdzie do męża, ale na wszelki wypadek strzeżonego fryzjer strzyże. Kompletny obraz gospośki wyginał, nawet łamał jeden drobiazg. Starsza pani miała na sobie robocze, kuchenne ubranie, zwykłą podomkę, a do tego dość odważnie profilowane ciemne okulary. Robiły zabójcze wrażenie, Kaśka i Jacek nie potrafili powstrzymać się przed wnikliwym podziwianiem widoku kobiety w niezwyklej oprawkach z ciemnymi szklami, przypominającymi oczy osy.

– Moja wina, żona ma zapalenie spojówek. Kupiłem pierwsze z brzegu okulary, no i tak się narobiło – małżeństwo uśmiechnęło się zgodnie i w tym samym momencie. Nie robili problemu ze zdziwionych min młodych ludzi, przyjęli nadmierne zainteresowanie życzliwie i naturalnie, sami się swoim pomysłem dziwili.

– Nie pytam państwa czy się napijecie, przecież winda nie działa, już podaję. Marian, zaprosz gości do dużego pokoju. Ach! Zapomniałam się przedstawić, Krystyna Skrzyńska – dygnęła jak dama. Pani domu wstępnie poukładała wszelkie powinności, zdążyła się przywitać, przedstawić, rozmieścić gości w mieszkaniu i zająć poczęstunkiem. Nic nie sprawiało jej większej frajdy niż codzienna i odświętna krzątania. Krystyna Skrzyńska najbardziej lubiła dom i tu czuła się komfortowo.

Goście z gospodarzem trafili do dużego pokoju, gdzie upchnięto wszelkie sprzęty: meblówkę, kanapę, fotele i ławę, telewizor, sprzęt grający, nocną lampkę i komputer. Normalny osiedlowy krajobraz, w przeciętnym salonie, z tym wyjątkiem, że wszystko na świeżo uprzątnięte, odkurzone i zamiast plastikowych kwiatów na ławie zabójczo pachniał świeży bez.

– Proletariacko-mieszczański wystrój – pomyślał i szybkim operatorskim okiem ocenił Jacek, jeszcze szybciej dodał: – Podoba mi się!

Zbliżał się wieczór, na osiedlowym podwórku słychać było ostatnie krzyki i przekleństwa wyczekujących na wakacje uczniów. Dźwięk odpalanych i gaszonych silników samochodów mieszał się z rytmiczną muzyką i wpadał przez uchylone, przesłonięte firanką, drzwi balkonu. Na świeżo zmytej podłodze położyło się zachodzące słońce, pokój przyjął gości przyjemnym klimatem zbudowanym z wielu banalnych obrazów: bzu, zachodu słońca, podwórkowych przekleństw, fornirowanych mebli. Jednak prozaiczna kompozycja tworzyła coś niewytłumaczalnie i fenomenalnie oryginalnego. Kaśce wydawało się przez moment, że zjawiskowość polegała na prostym skojarzeniu z domem rodzinnym, ale to nie było tak oczywiste, jak się skojarzyło. Potem pomyślała, że może Skrzyńscy pokój i całe mieszkanie wypełniają swoją niezwykłością. W końcu zauważyła, że siła miejsca wypływa z detali: ciemne okulary pani domu, spokój gospodarza, fornirowany standard ubrany w zapach bzu i komputer z przesłoną na ekran, której używało się w czasach zamierzchłych. Wiele podobnych drobiazgów wyłowił operator: szkic bez ramy na zwykłej kartce ze szkolnego bloku, przewieszony nad biurkiem, mały ścienny zegar-miniaturka wyglądał na dzieło majsterkowicza i wisiał na bocznej ścianie. Drewniany żyrandol, rzeźbiony co najmniej pół wieku temu, tak go wycenił Jacek, i mleczone żarówki w kształcie świec, niekoniecznie pasujące do całości. Parę książek na regale meblościanki, obok kaset video i winylowych płyt. – Może być ciekawie – pomyślał kamerzysta i zabrał się za rozkładanie sprzętów. – Nawet fajnie. Jacek rozkłada graty, znaczy, że jest dobrze – też tylko w myślach zauważyła Kaśka.

Marian Skrzyński pozwolił gościom na chwile swobody, na rekonesans po mieszkaniu. Nie przywiązywał większej wagi do wyglądu i recenzji swojego M2, zgromadził tu rzeczy potrzebne, a żona zadbała, żeby wszystko było czyste i poukładane. Nie przejmował się zachowaniem wnikliwie rozglądających się gości, również dlatego, że głowę miał wypełnioną ważniejszymi wątpliwościami. Po dłuższej chwili milczenia w końcu podzielił się tą najważniejszą.

– Kompletnie się na tym nie znam, państwo mnie oczywiście poinstruują?

– Nie musi się pan znać, nie ma na czym. Za kamerą jest Jacek, on sobie ze wszystkim poradzi, ja tylko zadam parę pytań, pan po prostu odpowie. Teraz na wszystkim zna się elektronika, dlatego nie ma się czym przejmować, najważniejsze jest to, co pan powie. O resztę proszę się nie obawiać – uspokoiła rozmówcę jak wytrawna terapeutka.

– Proszę uprzejmie! – Do pokoju weszła gospodyni, z tacą i już bez podomki, w gustownym zakiecie i dobrze dobranej spódnicy, teraz okulary wyglądały całkiem niezłe. – Pomyślałam, że państwo zechcą się napić tych nowoczesnych trunków – uśmiechnęła się, po czym wskazała na butelkę z ciemnym, pieniającym się płynem, kupionym specjalnie na tę okazję.

– A jeśli nie, to jest woda z sokiem malinowym, no i ciasto drożdżowe, nic wielkiego – dodała i zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Czy żona mogłaby zostać z nami?

– W kadrze? – Kaśka, zaniepokojona udziwnieniem, bez zbędnej dyplomacji odradzała Skrzyńskiemu własną inicjatywę. Pytała stanowczym tonem, stanowczym „nie”.

– Nie, tak w ogóle w pokoju – powiedział starszy mężczyzna.

– Jacek? – ciągle niespokojna Brosik zwróciła się do operatora.

– Mnie to nie przeszkadza, skoro panu pomaga, czemu nie? Ty tu jesteś od bohaterów i scenariusza – odpowiedział spokojnie.

– Może ja sobie jednak pójdę, w końcu to się tylko nazywa duży pokój, salonem nie jest. Miejsca mało, nie będę przeszkadzać – Skrzyńska wycofała się uprzejmie, ale Kaśka zauważyła, jak mąż ściąga żonę wzrokiem i prosi o pozostanie. Uznała, że lepiej będzie dla filmu, jeśli pani Skrzyńska zostanie niemym świadkiem rozmowy.



– Proszę zostać – poprosiła.

– Tutaj może pani usiąść – Bień, łypiąc zza kamery, wskazał na fotel przy ławie. – Pana widziałbym przy biurku, ty usiądź na wersalce – zwrócił się do pani reżyser. – Bliżej biurka i wszyscy się pomieścimy. – Jacek Bień zawsze dbał o plan i jego szczegóły, od tego zaczynał i bywało, że na tym kończył każdą realizację. Gdy tylko wszedł, widział tło w rogu pokoju, tam gdzie stał komputer i lampka. Wszyscy zakrzętnęli się według wytycznych operatora z przerwą na ugaszenie pragnienia i głodu Kaśki oszukanego drożdżowym ciastem. Słońce prawie zaszło, w pokoju pojawiło się sztuczne światło lampki przy biurku i kamery ustawionej po przeciwnej stronie. Kaśka i Jacek wymienili jeszcze kilka technicznych uwag, dodali trochę szczegółowych wyjaśnień ciągle przestraszonemu Marianowi Skrzyńskiemu i z marszu padło pierwsze pytanie.

– Kiedy pan poznał Jerzego Gdulę? – spytała Brosik. Najzwyczajniejsze pytanie okazało się zaskakujące, prawie paraliżujące.

– Nie pamiętam. Czy to już się nagrywa? Jeszcze raz mam zacząć? – Skrzyński przejął się swoją rolą i spalił wejście. Nie mogło stać się inaczej. Całymi dniami przygotowywał się do tej rozmowy, szykował fragmenty wspomnień i własne przemyślenia. Tylko jednego w trakcie przygotowań nie wziął pod uwagę – obecności kamery. Naturalny klimat pokoju złamany techniczną oprawą: światłem, kadrem, dźwiękiem, mikrofonem wiszącym nad głową, sprawił, że zapomniał, jak się z człowiekiem o ludzkim życiu rozmawia, a nic innego nie miał do przekazania.

– Proszę się nie denerwować, proszę mówić swobodnie, wszystko będzie można wyczyścić i zmontować. Nie ma tu żadnych klapsów, stop kamera i tak dalej. Wszystko nagrywa się cyfrowo, to znaczy tak automatycznie i potem można z materiałem... z nagraniem zrobić, co się chce. Proszę mówić i niczym się nie przejmować – amatorskie zdenerwowanie Skrzyńskiego zaraziło zawodową Brosik. Z tym, że ona nie bała się kamery, tylko tego, co zostanie w kadrze, obawą podzieliła się z Jackiem, spoglądając wymownie w jego kierunku. Ma powstać wielki film, tymczasem bohater zachowywał się jak dziecko, wymagające specjalnej troski. Doświadczony operator niejedno widział i nie podzielał amatorskich lęków oraz zawodowych obaw. Klapnął powiekami, co miało znaczyć, że nic wielkiego się nie dzieje poza klasyczną tremą spłoszonego widokiem kamery, normalnego człowieka i naturalnym twórczym strachem o jakość dzieła, wyrażonym przez panią reżyser. Dodał jeszcze minę: „tak ma być, wszystko jest w porządku, rozkręci się”. Najszybciej minie uwierzył Skrzyński, który wrócił do pytania. Nadal odpowiadał stremowanym głosem, ale zdradził już pierwsze tajemnice pisarza Jerzego Gduli.

– Naprawdę nie pamiętam, pamiętam tylko dwie sceny i nie wiem, która była pierwsza. Spotkałem Jerzego Gdulę na ławce w Warszawie, był młodym, przystojnym oficerem. Nie pasował do innych, miał za dobre oczy, pewnie to zdecydowało, że odważyłem się do niego podejść. Twarz miał surową, oczy, jak tak głębiej spojrzeć, patrzyły po ludzku. Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu ludzie czasem do siebie przyciągają, nawet tacy groźni z wyglądu i charakteru. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, wtedy miałem może osiem, dziewięć lat i wszystkim opowiadałem o ojcu, pewnie i jemu powiedziałem. Zaczepiałem wielu ludzi i mówiłem jak straszna krzywda dzieje się tacie. Matka w końcu sprawiła mi lanie, jak nie pomogło, dostałem drugi i trzeci raz, bała się, że przeze mnie będzie następne nieszczęście. Trochę podziałało, już nie zaczepiałem obcych, ale sąsiedzi i odwiedzający nasz dom nie mieli ze mną spokoju. Małe dziecko nic z tego wszystkiego nie mogło zrozumieć. Sam nie wiem dlaczego mówiłem do wszystkich tak samo, wiedziałem tylko, że muszę, że śmierci ojca nie mogę zostawić w sobie, cały świat musiał się o tym dowiedzieć. Przychodzili do nas ludzie i pytali czy mogą pomóc, cicho proponowali wsparcie, wiedzieli, że nic nie mogą. Widziałem Jerzego Gdulę dwa razy, raz na ławce przy chodniku, wtedy był szczęśliwy, tyle pamiętam. W tamtym czasie zapamiętywałem szczęśliwych, nie rozumiałem, jak można

się śmiać, gdy wkoło umierają ludzie. Był zadowolony i podziwiał wszystko, co wpadło mu w oko, wyglądał, jakby czuł się właścicielem miasta, może nawet czegoś więcej, panem sytuacji i ludzi. Teraz tak to widzę, wtedy mniej zobaczyłem, tylko szczęśliwego oficera o surowym wyglądzie i takich... innych oczach. Spytałem go o coś, na pewno o to co zawsze, zdaje się, że ojciec już wtedy nie żył. Gdula się przestraszył i zmartwił, ale tylko przez sekundę, potem jego oczy zmieniły się, był wściekły, zapamiętałem jego wzrok, był już taki, jak patrzenie ich wszystkich, on mógł mnie wzrokiem zabić. Drugi raz spotkałem go w bramie... – Skrzyński zamyslił się, potem błysnął okiem jak odkrywca. – Wie pani, ten przy ławce to był jednak drugi raz, dopiero teraz sobie ułożyłem wszystko. Tyle razy przewracałem te obrazy i dopiero teraz wiem na pewno, jak było. Ja mu wtedy przy ławce powiedziałem, że ojciec nie żyje. Pierwszy raz widziałem go w bramie, błąkałem się po różnych dziwnych miejscach, ojciec jeszcze żył.

Ostatnie zdania Skrzyński wypowiadał głosem szczęśliwego człowieka, mówił o rzeczach dramatycznych, ale był wyraźnie zadowolony. Przez wiele lat męczyły go obrazy, którym brakowało detali, teraz od mikrofonów i świateł dostał podpowiedź, niecodzienne okoliczności wywołały nowe skojarzenia. Emocjonalne wspomnienia Skrzyńskiego otrzymały porcję zapomnianych faktów i z tego się ucieszył.

– Tyle lat o tym myślałem i dopiero dziś jestem pewien, że tak było – dodał, musiał podzielić się radością.

– A o czym rozmawialiście w tej bramie? – Kaśka przycisnęła swojego bohatera, bo w przeciwieństwie do niego nie widziała powodów do radości. W jej odczuciu wielki film rozjeżdżał się na mało ciekawe sceny.

– W bramie? Był dziwny, inny niż na ławce, wcale niezadowolony. Do niego się mówiło, a jego nie było, on wtedy uciekał albo się chował. Nie wiem, nie wiem, co mu powiedziałem, nic wielkiego, pamiętałbym, gdyby było inaczej.

– Kiedy było następne spotkanie? – Obawy Kaśki przechodziły w podłamanie. Ratując się, zadała pierwsze z głowy pytanie. Znow zerknęła w stronę Jacka, niepotrzebnie, dopiero po stoickiej minie operatora wściekła się ostatecznie, że zostaje sama z tym całym niezbornym gadaniem.

– Spotkania właściwie nie było, od tamtego czasu nie zamieniłem z nim jednego słowa. Dopiero po wielu latach znow zobaczyłem Gdulę. Byłem studentem, poszedłem na spotkanie z pisarzem, nie przypominę sobie, kto to był, ale Gdula był tam na pewno. Poznałem go, zresztą on się prawie nie zmienił, nie miał tylko munduru, wyglądał tak samo, oczy miał takie same. On cały czas tak samo się cesał, do dziś ma tę samą fryzurę i te oczy, co się zmieniają z dobrych na... zabójcze. Nie wiedziałem, jak się nazywa, gdzie mieszka. Tyle wiedziałem, że muszę za nim iść. Poszedłem i śledziłem go, prawie pół nocy, chodził po knajpach ze swoją żoną. Nie mówi się o tym, ale on miał żonę, jest pisarką, żyje jeszcze. Pisała kryminały, literatura naprawdę niskiej jakości, napisała też scenariusz do tego serialu o nadwiślańskim Bondzie, nieważne...

– Jak się nazywa ta pisarka? – mignął w końcu jakiś ślad nadziei, Kaśka zaintrygowana smaczkiem, przerwała opowieść.

– Łozińska, Anna Łozińska, potem Łozińska-Gdula, a teraz chyba znow tylko Łozińska – odpowiedział, wtedy Brosik pokazała, aby mówił dalej. – Poszedłem za nimi aż pod same drzwi, przeczytałem wizytówkę i już wiedziałem, jak on się nazywa. W tym dniu popełniłem też duży błąd. Pomyślałem, że to Gdula był jednym z tych, którzy zabili mojego ojca, jak się okazało był to beznadziejnie głupi trop, jednak właśnie ten ślad sprawił, że poznałem kawałek życia Jerzego Gduli i przez niego dotarłem do mordercy ojca. Pytałem o niego wszędzie, szeptem, wtedy z takimi pytaniami nie było żartów. Wiedziałem, że to niemądre, byłem przekonany, że podłe, mimo wszystko nie potrafiłem się oprzeć. Śledziłem go tak zwyczajnie

na ulicy i biegałem za dokumentami, w sumie prawie trzydzieści lat. Trochę śmieszne, pewnie i małe takie rzeczy – Skrzyński spojrzał na żonę, szukał rozgrzeszenia.

– Pan śledził Gdulę z powodu śmierci ojca?

– Tak. To był, jest mój... to moja... nie umiem inaczej. Pamiętam wszystko, dalej pytam jak dziecko, wszystkich ludzi i siebie. Czy wiedzą, że mój ojciec nie żyje, ale już inaczej, tak, że nikt nie słyszy.

– Proszę opowiedzieć o tym, jak pan zdobywał informacje o Jerzym Gduli i co to było konkretnie?

– Różnie wyglądało, czasami bardzo źle, niemoralnie – można powiedzieć. Najwięcej się dowiedziałem, gdy śledziłem Gdulę. Wiedziałem gdzie mieszka, potem dotarłem i do tego, że jest redaktorem w MON, co było łatwe, chodziłem za nim i sam mnie wszędzie zaprowadził. Ale takie poważne konkrety dostałem dopiero od dawnej sekretarki pułkownika z sądu wojskowego, gdy Gdula już wyjechał. Nie chcę mówić, jak się nazywała, ona chyba jeszcze żyje, w każdym razie była starą panną, mało atrakcyjną, trzeba powiedzieć, i nieszczęśliwą. Ona nie była zła, taka nie bardzo lotna była, nic więcej. Pracowała tam, gdzie i ja się zatrudniłem po studiach. Przypadkiem zgadaliśmy się o Gduli, chwaliła się, że wie o nim wiele, po pijanemu opowiadała, piła strasznie. Spotykałem się z nią wiele razy, ona w każdym mężczyźnie widziała męża, nie znałem wtedy Krysi – popatrzył na żonę. – No, i ona mi powiedziała. Na początku tylko o pracy w sądzie, o tym jak do niej przychodził i prosił o pomoc w prokurowaniu różnych oskarżeń, jak jeździł do Informacji i na wyroki. Gdy usłyszałem, że skazywał na śmierć, jeszcze bardziej uwierzyłem, że on zabił mi ojca. Potem znaliśmy się i spotykali długo i ona zaczęła mówić o nazwiskach, mam je wszystkie spisane, ale i bez tego pamiętam. Sędzia Litmanowicz, pułkownik Minz, major Koziar, mówiła też o zamordowanych, o Teofilu Stafieju. Była też jakaś wewnętrzna brudna sprawa, Gdula z dwoma innymi pułkownikami miał wyeliminować majora Informacji i tak się stało, zastrzelił się ten major. Nie chciała powiedzieć, jak się nazywał, albo nie pamiętała, sam nie pamiętam. Ona mówiła rzeczy straszne, ale tak, jakby opowiadała, co słycać w pracy, i tak chyba do tego podchodziła. Biedna była ta kobieta, nie tyle zła, co niemądra, ale to ona mi potem powiedziała, że Gdula mojego ojca nie mógł sądzić, wtedy nie było go jeszcze w sądzie. – Skrzyński przerwał, sięgnął po szklankę, nalał sobie gazowanego płynu o przypalonym kolorze, nie patrząc i nie wiedząc, co nalewa. Skrzywił się, jednak wypił do końca.

– Pan mówił o egzekucjach i o zamachu na jakiegoś majora Informacji. Wie pan, kim on był?

– Kaśka słyszała już, że nie wiedział, ale chciała się upewnić czy dobrze rozumiała.

– Egzekucję pamiętam. Na pewno chodziło o majora Stafieja, zapamiętałem nazwisko, sprawa była przecież głośna. A z tym zamachem... Nie było zamachu, ten major z Informacji sam się zastrzelił, szantażowali go romanssem, takim innym, o mężczyznę chodziło, ona nie chciała o tym mówić. Więcej opowiedział mi oficer bezpieczeństwa... – Skrzyński zamyślił się.

– Jaki oficer? – Niewielki spokój i większa nadzieja pojawiła się w głosie Brosik, coraz więcej faktów przebijało się przez chaos emocji.

– Wie pani, jakie to dziwne? Przez całe życie wpadałem na tego człowieka albo na ludzi, którzy go znali. Tak dziwne, że trudno uwierzyć. Spotkałem Gdulę, już jako dziecko, przed i zaraz po śmierci ojca, potem jako student na tym wykładzie z pisarzem. Potem ta sekretarka w pracy i na koniec trafił się oficer z bezpieczeństwa – nasz sąsiad. Mieszkał tu do niedawna, na piątym piętrze. Uwierzy pani? Nie był głupi facet, on starał się być miły, oni po tym wszystkim, jak się pozmiało, bardzo starali się być mili, nie wszyscy, ale wielu tak. Powiem, jak się nazywał, on sam z tym się nie krył, nie wstydził się swojego dawnego zajęcia. Krzysztof Traszka się nazywał. Zaprosił nas na imieniny, chyba na imieniny, tak na pewno na imieniny, na schodach nas złapał i zaciągnął do siebie. Dużo pił, będzie więcej niż

dziesięć lat, jak nas zaprosił, zaraz na początku to było, jak się wszystko w kraju zmieniło. Gdula już był w telewizji, w gazetach, wszędzie był, w szkołach tę jego książkę na listę lektur wciągnęli. Traszka chwalił się, gdy już popił do nieprzytomnego, że żona Gduli sprzedała wielkiego pisarza. Śmiał się, że sama przyszła i powiedziała, kim on jest. Jakoś tak mówił, że go „nordykom wydała”, że w wojnę się przechował u obcych, a żona do getta go posłała. Strasznie się z tego śmiał, nie wiem dlaczego, ale z tego żartował się najwięcej. W sześćdziesiątym ósmym sprzedała męża, gdy się zaczęło szukanie winnych. Traszka całkiem był pijany i ja ich opowieściom nie wierzę, ale pokazał mi dokumenty. Miał ich całą szafę, szantażował swoich agentów, Łozińską też. Wcale nie kopie miał, same oryginały, widziałem i Krysia też, on pokazywał te dokumenty niejednemu. Z gazet przychodzili i tacy, co ich w telewizji widać. Jak nam pokazał, potem przez miesiąc nas unikał. W końcu zaczepił na schodach i powiedział, żeby nie wierzyć, że wszystko jest sfalszowane, że tak kiedyś wykańczali niewygodnych ludzi i Łozińską też, że tak po pijaku się głupio chwalił. Mówił, że Łozińska pomagała niewłaściwym ludziom, szkodzącym ważnym sekretarzom, że była w opozycji. Wtedy też był pijany, tylko mniej. Wcześniej na tych imieninach pokazał, jak się Gdula naprawdę nazywał. Berek Szulc, tak zeznała Łozińska, a Traszka dotarł do starych Gdulów, tych, co dziecko przechowali, zapamiętałem adres i pojechaliśmy do tych ludzi, też będzie już kilka lat. Strasznie cięty był na tę Łozińską, aż się cały trząsł i przeklinał, gdy ją wspominał.

Skrzyński przerwał opowieść, zmęczył się wspomnieniami, był człowiekiem elokwentnym i bardzo inteligentnym, ale kiedy mówił do kamery o swoim śledztwie i przeszłości, opowiadał językiem prostym, beznadziejnie emocjonalnym, trochę jak dziecko, co się dopiero uczy mówić, trochę jak starzec, którego pamięć zawodzi.

– A ten major, co Gdula miał go z pułkownikami szantażować? Co z nim? Mówił pan, że Traszka więcej powiedział – przypomnienie o ważnym i innym momencie opowiadania jeszcze bardziej zbiło Skrzyńskiego z tropu.

– Nie, ja o Gduli myślałem, że o nim więcej powiedział, o tamtych chyba nic nie wspominał. Nie wiem, może sobie jeszcze przypomnę, taki major był na pewno i zastrzelił się na pewno.

– Rwane tłumaczenia wypadły niewiarygodnie, sam Skrzyński zdawał sobie z tego sprawę i sprawiał wrażenie człowieka, który nie mówi wszystkiego albo zapomniał o części.

– Proszę opowiedzieć o rodzicach Gduli. Był pan u nich? – Kaśka wróciła do tego momentu, w którym Skrzyńskiemu szło znacznie lepiej.

– To nie rodzice...

– Jak to? Mówił pan, że Traszka pokazał panu adres – zdenerwowana, przypomniała ostatnie słowa Skrzyńskiego.

– Znałem adres, to znaczy miejscowość tylko, wieś. Oni nie byli jego rodzicami, ci ludzie go przechowali, jak była wojna, a swoje nazwisko dali mu już po wojnie. Jego prawdziwi rodzice mieszkali w Przemyślu i nazywali się Szulc. Prawdopodobnie zginęli, jak getto likwidowali, tego nikt nie wie, Gdulowie też nie wiedzieli. Była jeszcze siostra Berka Szulca, ona ocalała na pewno, uciekła do Ameryki, ale też nie wiem, co się z nią stało. Nigdy o niej nie wspominał, ani o niej nie było słyhać. Może nie żyje, przecież niemożliwe, żeby nie słyszała o swoim bracie, prawie w całym świecie go znają, chyba, że nie chciała go znać.

– Czy pan pytał tych ludzi o książkę Gduli? – Od przypadku do przypadku snuła się opowieść. Brosik nie miała pomysłu na poukładanie historii, ale miała już optymistyczne przecucie, że z tego chaosu może wyłonić się więcej niż przeciętny dokument.

– Oni niczego złego o nim nie powiedzieli, jednego słowa. O książce wiedzieli i czytali ją wiele razy, Gdulowa czytała, nauczyła się czytać już po wojnie, bo to zwykli ludzie, tacy ze Wschodu, parę morgów i żadnej szkoły. Widzieli Gdulę w telewizji, mieli na kasecie jego wywiady, chociaż to już bardzo starzy ludzie byli. Jan Gdula obsługiwał magnetowid jak fachowiec, on się cieszył z tego filmu i że sam potrafił wszystko odtwarzać. W domu Gdulów

same wynalazki, robiło wrażenie, wideo i magnetofony, a wszystko Jan Gdula obsługiwał. Mieszkali koło Głogowa, na wsi za Głogowem, ten film i książkę pokazywali sąsiadom. Chwalili się Gdulą jak dobrym dzieckiem, tak jak kochająca matka zawsze się chwali, chociaż wszyscy wiedzą, że jej syn siedzi w więzieniu albo przepija ostatni grosz z matczynej renty. Aniela Gdula czytała książkę i lzy miała w oczach, mówiła, że taka była straszna wojna, że takie dzieci biedne były i że tak się naprawdę działo. Pytałem czy tak traktowali swojego przybranego syna, jak on opisał? Wtedy Jan Gdula mówił, że znalazł chłopca w lesie, że im bardzo pomagał, że był dobrym dzieckiem i posłusznym. Oni nic złego nie chcieli o nim mówić, jak tylko słyszeli, że coś jest nie tak, zaraz opowiadali swoje, jakby nie słyszeli, nie chcieli słyszeć, co się do nich mówi. Nie wierzyli, że się ich wyrzekł, że skazywał ludzi na śmierć, powtarzali, że źli ludzie całe życie go krzywdzili, najpierw Niemcy ścigali, potem swoi z domu wypędzili. Nigdy nie zapomnę tej rozmowy, oboje opowiadali prawie dzień po dniu, jak było w czasie wojny, co lubił jeść, jak się modlił i śmiesznie mylił, a potem to już nie zjadł, jeśli się nie przeżegnał i nie zasnął, jak pacierza nie zmówił sam z siebie. Niesamowite było przeżycie, oni tak kochali tego człowieka, że ciągle widzieli w nim tamto dziecko znalezione w lesie i cieszyli się, że na takiego sławnego wychowali, co pisze książki i w telewizji występuje. Niesamowite przeżycie.

– Kiedy pan się zorientował, że Jerzy Gdula nie miał nic wspólnego ze śmiercią pana ojca?  
– Kaśka starała się uporządkować narrację. Skrzyński zdziwił się pytaniem, pamiętał, że już na nie odpowiadał i miał rację. W swoich porządkujących wskazówkach Brosik nie dostrzegą, że sama błądzi i krąży w kółko. Skrzyński nie miał odwagi prostować, zapamiętał, że wszystko co się nagrywa, da się zmontować i wycinać. Odpowiedział ponownie.

– Wcześniej, bardzo wcześniej, tak jak mówiłem, sekretarka pułkownika wiedziała od początku, kto odpowiada za śmierć mojego ojca, to był ten Kapis, major Informacji, ten sam, którego Gdula z dwoma pułkownikami szantażował. O! Widzi pani, przypomniało mi się! Kapis się nazywał ten major, co pani pytała! Wyrok na ojca wydał ktoś inny, ale katem był major Kapis i tego właśnie Gdula z tymi dwoma szantażował. Może jednak ta Edyta... znaczy ta... sekretarka, no, nie wiem, kto mi powiedział, nie pamiętam, ale Kapis na pewno się nazywał. – Nadal mówił bardzo przejęty i może odrobinę nawiedzony. Opowiadał jak chłopiec, który widział coś straszego i nie potrafi dobrać właściwych słów, aby zdać relację. Już nie żałował, że musiał drugi raz odpowiadać na pytanie, był wdzięczny za kolejny fakt, jaki odzyskał z pamięci. Z przejęcia nie umiał połączyć nazwiska Kapisa, które doskonale znał, z majorem szantażowanym przez Minza i Gdulę, chociaż i tę wiedzę posiadał.

– W takim razie dlaczego pan nadal śledził Gdulę? – Kaśka uznała, że rozmowa się trochę rozłązi, ale nie czuła, że jej pytania wcale nie prowadzą do spójności.

– Pani się zdziwi, ale Gdula był dla mnie kimś ważnym, bardzo ważnym. On przyczynił się do śmierci zabójcy mojego ojca, jedyna sprawiedliwość, skomplikowana, pokrętna, mimo wszystko sprawiedliwość. Taka, widzi pani, sprawiedliwość, że człowiek zapomina, jak było, jedno nazwisko i tyle wydarzeń. Mnie się nie myli, mnie się wszystko kotłuje. Gdulę traktowałem jak sprzymierzeńca, on najmocniej ukarał zabójcę ojca, to on był tym, który przyczynił się do sprawiedliwości. Widzi pani, nawet nazwisko mordercy ojca zapominam, a nazwisko Gduli pamiętam zawsze. Wiem, kto to jest i co robił, wiem o nim bardzo wiele, śledziłem go i zdobywałem kolejne informacje. Od tego wszystkiego człowiek zapomina, że zbrodniarz zbrodniarza rozliczył, a i ja sam – jak oni – szpiclowałem, takie marne myślenie, gdy ból zamroczy. Najważniejsze było dla mnie, co zrobił, reszty nie chciałem znać, nie chciałem słyszeć, dopiero teraz, kiedy już się uporałem, gdy już głośno nie pytam ludzi, czy znali mojego ojca uważam, że to mój obowiązek. Chcę spłacić swój dług, Gdula zabijał, bo tak trzeba mówić o procesach sądowych z tamtego czasu, to były zabójstwa, bezprawne, nawet jeśli brać pod uwagę ówczesne prawo i muszę o tym mówić. Na pewno jest ktoś, syn,

córka, brat zamordowanych, którzy znają Gdulę jako wybitnego pisarza, nie mordercę. Życie jest przewrotne, może ktoś stracił bliskich i ma jego książkę w bibliotece albo stawia oceny niedostateczne uczniom, którzy nie przeczytali lektury. Życie bywa tak okrutne, chcę, aby ci ludzie poczuli przynajmniej taką ulgę, jakiej sam doznałem, żeby znali mordercę swoich bliskich i żeby mogli wskazać palcem na mordercę. Trudno będzie się odważyć, przecież ten człowiek jest prawie świętym, prześladowanym męczennikiem i bogiem walki o etykę. Mówi się o nim tylko poprawnie, krytykuje najłagodniejszym słowem „kontrowersyjny”, ale powszechnie opisuje się zupełnie inne niż te najpodlejsze fragmenty jego życia. Trudno, nawet jeśli nie da się powiedzieć, przynajmniej da się wiedzieć. – Skrzyński odwrócił głowę, uciekał z rozmytymi oczami.

– Uważa pan, że prawdziwe informacje na temat Gduli mogą być cenzurowane? Nawet dziś, w 2004 roku? – Brosik się ożywiła, w końcu rozmowa weszła na bardziej interesujący tor.

– A pani to nie dziwi, że żyją świadkowie tamtego czasu, jest wiele gazet i telewizji, ale nie ma innego obrazu zbrodniarza niż wielki pisarz? Pani naprawdę uważa, że jakiś tam Skrzyński jest jedynym, który wie jak było? Cenzura? Nie wiem, czy to właściwe słowo, chyba chodzi o coś innego, o wiele innych rzeczy.

– O co w takim razie chodzi?

– Proszę sobie przypomnieć, jakie nazwiska padły w tej historii i przypisać te nazwiska do wydarzeń i ludzi. Oni wszyscy są zamieszani w historię Gduli, ale przecież nie występują jako rycerze i białe charaktery. To oni nie pozwalają się odezwać, ale nie tylko, w sumie na trzy grupy można podzielić tych, którzy nie cenzurują, tylko po prostu strzegą tajemnicy i dobrego imienia złej sprawy, złych ludzi. Pierwsi to byli prominentni uczestnicy tego wszystkiego, co się działo. Sekretarka pułkownika i nawet Łozińska nie może zaatakować Gduli, obie nie będą chciały opowiedzieć kim były i co same robiły. Jeszcze bardziej nie może atakować Traszka. Wszyscy, którzy znają prawdziwą historię Gduli, byli niechlubnymi uczestnikami tych wydarzeń, to nie jest cenzura, to jest coś gorszego – sumienie. Trzeba uruchomić sumienie, czasami gdzieś się zdarzały podobne cuda, ale potem wypływały w worku na wiosnę. Proszę pamiętać, że oni nie byli i nie są tymi, którzy podejmowali zwykłe czynności i dokonywali normalnych życiowych wyborów. Mieli specyficzne skłonności, na nich nie robiła wrażenia śmierć człowieka, traktowali zbrodnię jako najkrótszą drogę do kariery. Ciężko pośród podobnych ludzi odnaleźć sumienie. Gdy się ktoś wyrwie z prawdą, działa inny element – solidarność w ukrywaniu niewygodnych faktów i takiego ośmieszają, wytkną palcem. Taki, który się wyłamie, dostaje natychmiast po głowie od bardzo potężnych i nadal wpływowych ludzi. Nie ma sumienia, dochodzi strach i taka jest cała tajemnica utrzymania tajemnicy. A druga grupa jest jak Aniela i Jan Gdula. Oni ofiarowali swoje uczucia temu człowiekowi, najsilniejsze, bo macierzyńskie. I nadal kochają syna, który nigdy nie był ich synem, który się ich wyparł i – co gorsze – opisał najpodlej, jak można. Sponiewierał ich człowiek, zawdzięczający im życie, oni narażali i poświęcili własne życie, żeby on mógł przetrwać, teraz to się tłumaczy swobodą literacką, wolnością autorską, intelektualną grą i tak dalej. Ich się wyrzekł, a tej Łozińskiej broni i jeszcze gorszych od niej, przecież w takiej samej sprawie inne myślenie, całkiem inne. W tej jego książce jest taka scena, jak dziecko sprzedają za pierścionek i parę złotych, głupi i biedni ci ludzie, podli byli, ale życiem ryzykowali, popełniali grzech wielki, jednak ryzykowali. Łozińska nie była głupia, życia nie narażała i sprzedawała, wydała dla świętego spokoju. Nawet ten Traszka zobaczył w tym tchórzostwo, tak małe, że śmieszne. Czytamy książkę Gduli i widzimy przejmujące sceny i pewnie nawet autentyczne, w takim sensie, że podobne historie gdzieś mogły się wydarzyć, na pewno się wydarzyły. Ale jak sobie zestawimy, co napisał Szulc o Gdulach, z tym, co faktycznie przeżył i co sam uczynił innym, wszystko razem robi ogromne wrażenie, na mnie olbrzymie. To takie proste, jak dobro i zło, co się dzieciom tłumaczy, że się wierzyć nie chce, no jak tak można myśleć, pisać i robić? Niestety – przebić się z prawdziwą

informacją przez potężnych ludzi i ludzkie emocje wydaje mi się mało możliwe. Jeśli pani odważy się pokazać ten film, już na początku usłyszysz pani, że Marian Skrzyński to człowiek chory z nienawiści, że nie rozumie wielkich pisarzy, że jest ogarnięty paranoją, że nie ma dowodów i nie szanuje ludzkiego cierpienia. Nie ma Skrzyński szacunku dla dorobku życia wielkiego autora, ponieważ sam nic nie osiągnął. Wielu ze strachu namaluje taki obraz, inni go pochwycają i będą bronić. Chwycają czytelnicy i tacy, co chcą mieć święty spokój ładnie pokazany, a nie dawne brudne niepokoje. Czytelnicy, przejęci okrucieństwem i losem ofiary, nie będą dociekać, czy to opis fałszywy, w dodatku spisany przez kłosa. A i tacy, co nowe kariery robią, chcą mieć łatwo i do przodu, nie narażać się na niepoprawne opinie.

– Skrzyński skończył wypowiedź, wszystko, co przekazał, wiele go kosztowało, ale zaczął mówić sprawniej, bardziej logicznie układał zdania. Zastanawiał się nad właściwymi słowami i argumentami, by pokazać mechanizmy, które na własny użytek definiował. Łamał wszystko emocjami, w wielu miejscach nie wytrzymał, jednak w końcu zaczął relacjonować prawie tak, jak kilka dni wcześniej się przygotował.

– Nie powiedział pan o trzeciej grupie. – Kaśce podobał się kierunek, którym poszedł Skrzyński, wracała jej wiara, że z rozmowy wyciągnie swój pierwszy poważny film.

– Nie powiedziałem i chyba nie chcę mówić.

– Proszę powiedzieć, to ważne – nalegała.

– Oni wszyscy, ci pułkownicy i oficerowie, Jerzy Gdula, właściwie Berek Szulc, Minz, Litmanowicz i wielu innych, wszyscy byli z jednego pnia, z jednego narodu i jednej wiary. Potem stracili wiarę i nie przyznawali się do narodu, za to mścili się na innym narodzie i wierze. Oni wszyscy uważali, że wojna i to, że były getta i obozy, było możliwe dlatego, że Niemcy mieli sojuszników takich jak Gdulowie. Oni wszyscy uważali tak wtedy i wielu uważa do dziś. Tego nie wolno głośno powtarzać, nikt dotąd oficjalnie nie powiedział, że miał miejsce rewanż za dawne prześladowania, co jeszcze można zrozumieć. Ale przecież byli tacy jak Gdulowie, którym ten wielki pisarz-moralista zawdzięczał życie, ci ludzie uratowali go, a on potem prześladował i poniewierał wszystkich. Wśród ofiar znaleźli się tacy oficerowie jak mój ojciec, który w czasie wojny podpisywał wyroki śmierci na donosicielach i szmalcownikach. Musieli o tym wiedzieć, mimo wszystko nienawidzili tak bardzo, że mścili się na całym narodzie, całej religii i tak jest w niezliczonych przypadkach do dziś. Ta trzecia grupa jest z boku, mówi się o niej, że nieważne kim są, bo po prostu są dobrzy i źli ludzie, nie ma znaczenia, jak się nazywają i w co wierzą. Brzmi ładnie, tylko nie jest prawdą, ma olbrzymie znaczenie, kim byli i w co wierzyli. Przed wojną wielu z nich było religijnymi ortodoksami, uważali, że są wybrani, przez jedyne i swojego Boga, takiego tylko dla nich. Nagle się okazało, że muszą się uczyć modlitw innej religii, zawsze uważanej za wrogą, w najlepszym razie gorszą. Nauczyli się gorszych modlitw, bo chcieli przeżyć, ich wielki Bóg pozostawił swój lud, upokorzył podwójnie, świecko i religijnie. Znienawidzili ludzi i gardzili religią, również własną, ale przede wszystkim nienawidzili tej, która ich upokarzała. I tak wszyscy z gorszej wiary, nawet wybawiciele, stali się wrogami. To był rewanż na narodzie i obcym bogu za upokorzenie własnego narodu i jedyne Boga, to było upokorzenie oddane za upokorzenie. A tam, gdzie jest zemsta, pojawia się bezmyślność, okrucieństwo i śmierć niewinnych. Tak było, takie były przyczyny i bardzo wielu sędziów, informatorów, funkcjonariuszy należało do tej trzeciej grupy, oni się zawsze trzymali razem, bez żadnej umowy, łączyło ich dawne upokorzenie. Mnie nie zależy, aby z tego zrobić najważniejszy argument, ale żeby zrozumieć, co się działo i dlaczego się działo, nie można nie wspominać o tej bardzo ważnej, nie tak dużej grupie, jednak najpotężniejszej ze wszystkich.

W oczach Kaśki skupiło się wiele odczuć, każde dało się dostrzec oddzielnie: zaskoczenie, przerażenie, na końcu wściekłość, ale razem musiały tworzyć coś wyjątkowo mocnego, ponieważ Marian Skrzyński w chwili, gdy spojrzał w stronę swojej rozmówczyni, przerwał wywód niemal natychmiast.

– Panie Marianie, czy pan chce powiedzieć, że cykliści i masoni rządzą tym światem, zjadając się noworodkami chrześcijan? – Nie potrafiła się powstrzymać przed emocjonalnym, ironicznym komentarzem, takim modelowym, jakie słyszy się zawsze.

– Nic podobnego, pan Marian chce powiedzieć, że są narody lepiej i gorzej zorganizowane we wzajemnej nienawiści, że są narody i religie, które mają swoje porachunki, a te dwa narody rachują się od dawna. Nie chcę panu Marianowi sprawiać przykrości, ale w tej opinii nie ma dla mnie żadnej rewelacji, chociaż przyznaję, że na taką odwagę stać mnie tylko zza nigdy przed kamerą – operator wygłosił kwestię, nie odrywając się od swoich obowiązków. Cały czas patrzył w kamerę, schował się za nią i nie zamierzał wychylać. Wsparcie Jacka dla Skrzyńskiego było większym zaskoczeniem niż słowa samego Skrzyńskiego. Kaśka szukała odpowiedzi, pytała samą siebie: „Co dalej?”. Wiedziała, że materiał będzie kontrowersyjny, z kilkoma opiniami zapoznała się podczas rozmów telefonicznych. Odnotowała parę sensacji, jednak tak daleko jak teraz sprawy nie miały iść. Przeraziła się kierunkiem rozmowy, cóż dopiero miał powiedzieć przyszły producent Ryszard Korzun. Pojawiły się obawy, że film, nawet jeśli okaże się wybitny, będzie niedostępny. Musiała tu i teraz podjąć decyzję, duży problem bez pomysłu na rozwiązanie. Wreszcie zdecydowała, że o niczym nie musi decydować, niech wszystko stanie się samo, niech będzie mówione, jak kiedyś było czynione.

– Proszę mówić dalej – powiedziała spokojnie i z przekonaniem. – Jeszcze o tym, co pan mówił. Proszę wyjaśnić, dlaczego pan sądzi, że to takie ważne – kto, kogo i dlaczego?

– Wcześniej powiem, że wierzę żadnej religii, ani też już nie chciałbym się bić i ginąć za żaden naród. To ważne, bo zawsze się zbija podobne argumenty nacjonalizmem i religijnością, nie dotyczą mnie te żywioły. Mówimy o grze, w której wszystko jest ułożone pod zwycięzcę. Oczywiście oficjalnie nie ma żadnego znaczenia, że krytyka zwycięzcy płynie od konkretnej narodowości i religii, bądź zwalcza konkretną religię i naród, tego w deklaracji nigdy nie znajdziemy. Cała gra opiera się na negatywnym opisie przegranego, tylko przegrany jest nazwany po imieniu, ma konkretne geny, symbole, wierzenia i wszystkie ludzkie słabości, pewny zwycięzca pozostaje anonimowy. Dalej opisuje się różne straszne procesy zawsze używając nienaturalnej skali. Jeśli w gorszącej scenie bierze udział kilku, kilkunastu radykałów z obozu przegranych, oni natychmiast nazywają się naród, a tym samym ich zachowania, ich cechy charakteru, ich stan umysłowy i spożyte napoje stają się cechą narodową. Ważne jest, aby do podobnej charakterystyki przegranych dobierać najpodlejszych synów narodu i najbardziej zacofanych wiernych, wówczas przekaz jest bardziej wyrazisty. Tak Gdula opisał ludzi, którzy go uratowali, jako fanatyków religijnych, pijanych, brudnych, podłych, handlujących dziećmi, zacofanych i sprzedających ludzkie życie za parę miedziaków. Ominął prawdziwy obraz Gdulów i prawdziwy obraz swojego ocalenia. Potem fałszywą historię życia metaforycznie przeniósł na cały i własny naród, nieustannie ścigany, biedny, prześladowany, chowający się po lasach. Zaś fałszywy obraz Gduli był opisem narodu Gduli, który żyje w chatkach strzechami krytymi, brudny, w pijanym zwidzie chodzi po klepisku i klepie swoje śmieszne pacierze. Nietrudno sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji pozostali z narodu przegranego będą protestować, będą protestować wierni religii i żarliwi obrońcy godności narodu czy nawet zwykli, przeciętni mieszkańcy kraju uznawanego za nieludzki, uwsteczniony, zbrodniczy. Ludzie, którzy nie czują się dzikimi zwierzętami, co więcej, opisanych zwyrodniałców najchętniej wyeliminowałiby ze swojej społeczności, zostali zaatakowani brutalnie, dotkliwie jako całość, dlatego tracą nerwy i próbują odwdziżyć się równie radykalną oceną już nie jednego pisarza Gduli, ale całego narodu pisarza, który kłamie, że był zawsze i tylko prześladowany, chociaż sam też prześladował. I tu zaczyna się beznadziejna walka.

– Jaka walka? – przerwała Kaśka. Skrzyński dopiero zaczął swój moralny traktat i nie dał się wytrącić z rytmu, kontynuował jakby nic się nie stało.



– Ciężka walka. Dramat przegranych i sponiewieranych z imienia w pojedynku z anonimowym, może nawet nie istniejącym zwycięzcą. Sponiewierani nie mogą swoich zwycięzców nazwać po imieniu, nie mogą ich przypisać do konkretnego narodu, konkretnej religii, konkretnej ideologii czy interesu politycznego, to jest zabronione pod karą, jaką wymierzył Gdula. Zawsze obowiązuje zakaz mówienia o złych czynach zwycięzców, ponieważ takie mówienie jest przejawem nienawiści i fobii. Nie ma żadnego problemu z powiedzeniem, że zwycięzcy cierpieli straszne i wieczne męki, nawet jest obowiązek, każdego „przyzwoitego człowieka” i „przyzwoitych narodów”. Gdy spośród jednego wybranego narodu ginie dwóch synów lub jedna córka, aby opisać ogrom zbrodni używa się słowa pogrom. Gdy giną miliony w czasie wojny, co niestety nie jest niczym nadzwyczajnym, nazywa się to zagładą i taka potężna skala zawsze jest używana. Dziś nawet po tamtej stronie, Jerzego Gduli, wielu szanowanych badaczy uważa, że liczba sześć milionów zabitych w jednym obozie czy nawet wojnie, jest co najmniej nieudokumentowana, bardziej odważni twierdzą, że jest stworzonym mitem, polisą nawet, aby przynosić konkretne, w tym materialne zyski. Mechanizm zawsze jest ten sam, podaje się wielkie słowa, wielkie pogromy i wielkie liczby, obojętnie, czy to dotyczy małej stodoły, największego obozu, getta czy ofiar ulicznych zamieszek. W jednym z pogromów, w Krakowie, zginęła jedna osoba. Parę lat temu widziałem program w telewizji, gdzie profesor historii usiłował tylko przemyścić tę istotną informację, że mówimy o tragicznym, jednak incydencie, jednym wypadku śmiertelnym, nie o ludobójstwie. Został zakrzyczany, wykrzyczano mu, że to nie ma znaczenia, że to zbrodnia potworna i masowa, a kto chce liczyć ofiary, zachowuje się niegodnie. Bardzo ważne przy podkreślaniu zbrodni pogromu jest wymienianie nazwiska prześladowcy, jego narodowości, jego religii. Natomiast w drugą stronę, gdy prześladowcą jest zwycięzca, znika, rozplywa się: nacja, religia, skala, liczby i nazwiska. Próby dociekania szczegółowej, imiennej prawdy stają się niedopuszczalną histerią, śmiesznością, brakiem zdolności do wybaczenia i płacziwym roztrząsaniem przeszłości, drapaniem ran. Mówi się, że były ciężkie czasy dla narodu Jerzego Gduli i tak rzeczywiście było, ale przywoływanie tysięcy ludzi zamęczonych w więzieniach przez rodaków Jerzego Gduli, to gruba przesada, na pewno było mniej i nie aż tak strasznie torturowani. Nie jest ważne, kto zabijał w więzieniach, zabijali po prostu oprawcy, źli ludzie. Jeden fałszywy obraz życia Jerzego Gduli jest metaforą cierpienia całego narodu. Tysiące prawdziwych wyroków i życiorysów, takich jak życie majora Stafieja albo kapitana Skrzyńskiego, nie nadaje się do niczego innego, jak do kreślenia obrazu nienawiści i hysterii religijno-narodowej, przypisywanej krewnym i wszystkim przywołującym pamięć ofiar. Czy pani sobie wyobraża podobną opinię w sprawie dowolnego pogromu, że o zagładzie nie odważę się wspomnieć? Śmiertelną i obosieczną bronią walczą nasi przeciwnicy, za przeciwników uważam nie naród i religię, ale pewnych zwycięzców, zaplanowanych z góry, nietykalnych, takich jak Jerzy Gdula. On nie miał najmniejszego powodu, już nie mówię prawa, ale powodu, żeby ze swojego bajkowego wręcz ocalenia uczynić dramat i ze swojego pełnego niegodziwości życia – piękną biografię ofiary.

– To dlaczego to zrobić? – znów przerwała Brosik, a Skrzyński ponownie nie dał się wytrącić z wątku. W końcu mówił to, co zawsze chciał powiedzieć i nikt nie był w stanie go zatrzymać.

– Postąpił tak, bo mógł bezkarnie wymachiwać obosieczną bronią. Najbardziej krwawe jest ostrze sakralizacji, tabu anonimowości oprawcy. Każdy, kto się zdecyduje zdemaskować tę świętą dyskrecję, staje się człowiekiem niegodnym, gdyż nie jest ważne, kto nazywa twój naród, twoją religię tak lub inaczej, kto zabija ciebie lub twoich bliskich. Nie jest ważne, kto morduje, zwyczajnie i po prostu odpowiadają za to źli ludzie, co za różnica, jak się nazywają i w imię czego czynią podle? Nie ma znaczenia, chociaż ten anonimowy nietykalny zwycięzca sam nazywa swoich wrogów po imieniu, odnosi się do nich konkretnie,

wyolbrzymia skalę zbrodni i słów, dodaje winne nazwiska i cały niewinny naród. Nie prześladowca jest podły, podłe jest to, że ty doszukujesz się tożsamości prześladowcy, mścisz się bez pamięci zamiast unieść ciężar krytyki własnej hysterii. Drugie ostrze to dwoistość. Zwycięzca w moralnych ocenach może występować anonimowo albo po prostu być jednym z nas, tych przegranych. Skarcić, sponiewierać i przy tym krzywić, że to samokrytyka, własnej nacji, wiary, historii i wrednych narodowych cechy, obraz naszych wad. Naturalnie wszystko jest głęboko umocowanym fałszem, zwycięzcy nigdy się z kulturą i tradycją przegranych nie identyfikowali. Religią gardzą, symbolikę narodową wysmiewają, historię przekłamują dla uzyskania swoich celów narodowych i wyznaniowych właśnie, o czym nie wolno wspominać, bo w tej grze tylko jeden gracz jest wystawiony jako cel, drugi jest uświęconym anonimowością zwycięzcą.

– W takim razie wystarczy zerwać z anonimowością, mówić po obu stronach co i jak boli  
– Brosik podała prostą receptę i wywołała uśmiech Skrzyńskiego, nie złośliwy, raczej zrezygnowany.

– Na tym rzecz polega, jak wspominałem demaskowanie anonimowego zwycięzcy albo udającego przegranego, jest przejawem fobii, intryganctwa, bluźnierstwa, poszukiwaniem spiskowych teorii, brakiem zrównoważenia psychicznego, histerią, fanatyzmem i jeszcze gorsze objawy się znajdują. Żeby wszystko było bardziej niezrozumiałe i schowane, to religia przegranych jest o kilka tysięcy lat młodsza od religii zwycięzców, dlatego siłą wieku jest znacznie bardziej niereformowalna, zabobonna, groteskowa. Wiara przegranych, która jest niczym innym jak społeczną i humanitarną reformą świętych zasad zwycięzców, opartych na starożytnym okrutnie prymitywnym prawie Hammurabiego, okazuje się bardziej zacofana, bo to religia wroga, religia konkurencyjna. Fundament narodowościowego państwa braci i sióstr Jerzego Gduli utworzony na ziemi, którą osiedleńcy nazywają świętą, a siebie samych wybranymi przez Boga, jest daleko bardziej monokulturowy, hermetyczny, nacjonalistyczny oraz strzeżony przez drut kolczasty z uzbrojonymi patrolami niż kraj Jana i Anieli Gduli. Kraj przegranych opisuje się jako narodowościowo przewrażliwiony, zakompleksiony i nieufny wobec obcych, religijnie fanatyczny i zacofany. Normalne konflikty społeczne nazywa się piekłem, chociaż tu głównie walczy się na słowa, nie strzela do sąsiadów. Konflikty wywoływane przez zwycięski naród Berka Szulca rozstrzyga się bronią, gettem, kolczastą strefą dla wroga, ponad półwieczną wojną zorganizowanej armii z pozlepianą partyzantką. Napaść i własną agresję przedstawia się jako kolejny przykład prześladowań nieustannie cierpiącego i broniącego się narodu.

– O co zatem chodzi w tym nierównym pojedynku z pewnym zwycięzcą i wyznaczonym przegrany? – Kolejne pytanie Kaśki trafiło w bok. Skrzyński słyszał co do niego mówi i rozumiał, nawet dopasował do tego co chciał powiedzieć, ale przede wszystkim kontynuował swoje myśli, nie przejmując się wtrąceniem pani redaktor.

– O klasyczną wojnę fundamentalistów: ideologicznych, religijnych, narodowościowych. Religijnych, bo zwalczają się religie, przegrani w oczach zwycięzców sprofanowali ich starą wiarę, nawet jeśli część z nich to ateści, trzeba pamiętać, że ateizm w swojej walczącej formie jest niczym innym jak lustrzanym odbiciem fanatyzmu wyznaniowego i niekoniecznie odbiciem w krzywym zwierciadle. Narodowościowych, bo chodzi o prostą rzecz: żeby zwalczyć tożsamość wrogiej nacji, nazywając ją ekstremalną, uwstecznioną, wstydliwą, kaleką i wprowadzić własną tożsamość, jako wspólną dla obu narodów, co jest naturalnym dążeniem każdej nacji i religii. A ideologia to już suma tych dwóch skrajności, fanatyzmu religijnego i nacjonalizmu. Dla obu stron cechą wspólną jest nawracanie. Każdy chce nawracać innych na swoją narodowość i swoje wierzenia, stąd podboje. Każdy wyznawca ma tendencję do krzewienia swojej wiary, stąd krucjaty. Każdy ideolog będzie dążył do opanowania jak największej przestrzeni własną ideą, najczęściej zbudowaną na nacjonalizmie i religii, stąd totalitaryzm w znanych formach. Świat to zna od wieków w setkach

konfiguracji, ale tylko w tym jednym wyjątkowym przypadku mamy do czynienia z fenomenem sakralnej anonimowości zwycięzców. Dzięki temu trudno postawić zarzuty klasycznej wojny religijnej, narodowościowej czy ideologicznej. Niby do kogo zgłaszać pretensje? Do tych, którzy właściwie nie istnieją, albo udają nas? Zwycięzcy są anonimowi albo przedstawiają się jako przegrani, dzięki temu nikt nigdy nie rozliczył ich z metod prowadzenia walki, ze zbrodni, okrucieństwa, podłości, z dochodzenia do zwycięstwa po trupach. Nie można wygrać z takim przeciwnikiem, już samo podjęcie walki jest porażką. Zasady gry są okrutnie proste. Gra jest ustawiona w ten sposób, że zwycięzca może faulować, na terenie gości być gospodarzem, dobierać dowolną liczbę graczy w obu drużynach, wystawiać swoich zawodników w drużynie przeciwnej i na końcu sędziować pojedynki. Przegrany, faulowany i ostrzeliwany zewsząd, także samobójczymi strzałami, zobowiązany jest bić brawo przeciwnikowi i sędziemu albo zostanie zdyskwalifikowany za niesportowe zachowanie. I jeszcze jedno: pojawiają się po stronie zwycięzców przyzwoici ludzie, nawet jest ich więcej, ale za przyzwoitą postawę nie gwarantującą zwycięstwa, od swoich anonimowych i potężniejszych rodaków dostaną po głowie jako szkodzący sprawie. Czasami, gdy się już nie da inaczej, używa się ich jako przykładu przyzwoitości zwycięzców, jako szyldu otwartego i krytycznego wobec siebie narodu, który jest wspaniałomyślny, wyrozumiały i za to prześladowany. Nawet jawni krytycy wywodzący się z anonimowego narodu zwycięzców, którzy demaskują nieprzyzwoite zasady, wbrew własnej woli stają się elementem narodowej strategii zwycięzców, którą trzeba nazwać polityką. W tych wszystkich zawiłościach norma i większość jest zakrzyczana ekstremizmem. Z tym, że anonimowy ekstremizm zwycięzców ma zdolność do zakrzyczenia wszystkiego z pozycji normy, nie ekstremizmu. Natomiast imienny odłam radykalizmu przegranych, służy jako podły wizerunek całej narodowości i religii, która nie ma prawa do obrony, poza godnym znoszeniem ataków.

– I tak postąpił Gdula?

– Właśnie tak, dokładnie tak. Jerzy Gdula cudowne ocalenie Berka Szulca przedstawił jako zwyrodnienie tych, co go ocalili, własne zbrodnie najpierw przemilczał, zabronił o nich mówić, by w końcu znów przedstawić się jako ofiara narodowych i religijnych prześladowań. Cały czas był Jerzym Gdulą, pisał jako jeden z nas – o nas, i został naszym wieszczem. Myślę, że on z czasem uwierzył, że żył tak, jak fałszywie nakreślił, nie tak, jak prawdziwie się sprzeniewierzył wszystkiemu co ludzkie. On nie napisał książki, on spisał żywot świętego, Biblię dla samego siebie, w której jest jednocześnie Bogiem i wyznawcą. Kto się w tym połapie? Przecież postawa Gduli nie jest incydentem, ale jedną z wielu fałszywych historii stworzonych według jednego wyznania wiary zwycięzców. Tylko twórcy tej wielkiej strategii mogą się zorientować, albo ci, którzy zostali tak boleśnie sponiewierani przez zwycięzców, że fizycznie odczuli ból i już tylko emocjonalnie krzyczą, jak jest i jak nigdy nie było. Nieestetyczny to krzyk i przez to pogrążający w porażce. Ostatecznie połapią się ci, co byli twórcami lub z wygody utożsamiali się z nimi, w ramach wspólnoty zwycięzców. Identyfikowali się, ale nie wytrzymali w tej roli z powodu umęczonego sumienia lub innych szczególnych przypadków. Słowem: nieliczni i pośród tej garstki jeszcze mniej ma odwagę i siłę, aby zabrać głos. Dlatego tylko czasami, gdy fundamentalizm zwycięzców i przegranych idzie załadować broń, jest chwila, że nie narody, ideologie i religie, ale ludzie się porozumiewają. Bywa, że się zakochują w sobie i płodzą dzieci. Żyją szczęśliwie, z Bogiem lub bez, z hymnem na ustach albo w milczeniu, ale razem, w spokoju, bez żadnej walki na anonimowe zwycięstwa i nazwane porażki, bez wyolbrzymionej skali swoich krzywd i ukrywania własnych win. Żyją jak ludzie.

Przerażenie z oczu Kaśki nie zniknęło, pogłębiło się, wypowiedź Skrzyńskiego zamurowała ją, usłyszała wiele słów, których bała się powtórzyć. Z jednej strony czuła, że opinie wcale nie muszą być oderwane od rzeczywistości, z drugiej magiczne liczby

i niepodważalne tezy, lekceważone tak beztrzesko i brawurowo, nie dawały spokoju. Pogubiła się zupełnie, zaskoczona wykładem swojego filmowego bohatera. Dotąd mówił nieporadnie, teraz popęnił esej, jakby to wcześniej sam albo ktoś mu napisał, a on tylko powtórzył wyuczony tekst.

– I pan naprawdę uważa, że to ważne? Sześć milionów lub trzy miliony? – Nie wiedziała o co zapytać, dlatego powiedziała, to co mówi się niemal zawsze i prawie wszędzie. Schemat zabił Skrzyńskiego, wyłożył tyle ważnych rzeczy, rzadko mówionych, i w zamian otrzymał najmniej istotną i najbardziej pospolitą kalkę zachowań. Bezradny spojrział na żonę, ciepło, z pełnym, głębokim szacunkiem i zaufaniem. Skrzyńska wiedziała, co ten wzrok oznacza i co może, nawet powinna odpowiedzieć mężowi i ludziom.

– Bardzo ważne, pani Katarzyno – zaczęła nie przejmując się zdziwieniem Brosik i wychyloną zza kamery głową operatora. – Kiedy siedzieliśmy w wagonach, liczone nas wagonami, jak węgiel i wapno. Do dziś nie mogę wejść na dworzec kolejowy, wszędzie jeździmy autobusami. Kiedy siedzieliśmy w barakach, liczone nas barakami, pojedynczo zastrzelonych, dla zabawy, odliczano taczkami. Wrzuconych do dołów, puszczonech z dymem nikt nie liczył. Nikt nas nie spisywał, pierścionki, zęby, które po nas zostały, blaszane miski i brukiew, wszystko trafiło do rubryk. Żywych ludzi i żywych trupów nie porachował nikt. Za to moja siostra została podliczona, przez moją ciotkę, za wszystko, za bilet do Nowego Jorku, za roczne wyżywienie, koszty własne. Wyszło tyle, że starczyło tylko dla niej, dla mnie zabrakło. Dopiero potem, po wojnie, grubo po wojnie, gdy nadarzyła się okazja, aby znów podsumować zęby i pierścionki, aby znów wyznaczyć za każdego jedną stawkę, wyszło nas sześć milionów. I to nie ci co tam byli, ale ciotki i wujkowie z Nowego Jorku wystawili rachunek. Kto tam był, kto widział, nie pamięta ilu nas było, ktoś znów powsadzał nas do wagonów i baraków, żeby znów nas okraść nie z pieniędzy, nie wzięłam ani grosza, niby za co te grosze? Nawet nie z godności, okradziono nas z indywidualności. Proszę na mnie spojrzeć, nie uważam się za kogoś wyjątkowego, ale siedzi przed panią konkretna osoba, w śmiesznych okularach z supermarketu. Widziała pani kiedyś sześć milionów identycznych starszych kobiet w równie idiotycznych okularach? Każdy, kto tam był, jest jeden, jedyny, nie pozwolę znów się wrzucić do milionowej masy, którą przerabia się już nie na złote zęby, ale prowizje, lokaty, dywidendy, obligacje. Ojciec mojego męża został zgładzony, to był pogrom. Taki sam jak tam w obozie i tego nie dokonali jacyś tam źli ludzie, ale moi rodacy, wychowani w tradycji i religii mojego narodu, który zawsze szuka winnych, nigdy własnej winy. Nie zdążyłam poznać mojego teścia, bo został zabity przez pijanych, zwyrodniałych oprawców, takich, jakich znajdziemy w książce Gduli, ale o nich nie wolno pisać, bo moi rodacy są wybrani przez Boga i wyjęci z ludzkiego prawa do krytyki. Każdy naród ma swoje ofiary i swoich katów, to takie proste do zrozumienia i takie trudne do przyjęcia. Liczenie jednych i drugich jest bardzo ważne, ponieważ każdy oprawca powinien być nazwany, nie anonimowy, i każdy osądzany, żaden oskarżający. Ofiara musi mieć swoją indywidualną, imienną, nie zbiorową i anonimową mogiłę. Pokrzywdzony ma prawo i obowiązek nazywać swoich prześladowców po imieniu i krzyczeć, dlaczego był prześladowany, za co, przez kogo. Licytowanie się jest podłością, liczenie i nazywanie po imieniu obowiązkiem.

W osiedlowym pokoju cisza zajęła wszystkie miejsca, Jacek stanął obok kamery, Kaśka wlepiła źrenice w drożdżowe ciasto, Skrzyński trzymał ręce na klawiaturze wyłączanego komputera, Skrzyńska naturalnie zdziwiona, co się ze wszystkim stało, rozejrzała się po pokoju i poszukała odpowiedzi.

– O Jezu! Popsułam państwu nagranie? – spytała śmiertelnie poważnie, przerażona wyrzucała sobie bez sensu opowiedzianą historię, nie pasującą do kamery. Zamierzała dorzucić przeprosiny i uciec, gdy usłyszała niecodzienną recenzję.

– O Jezu? O, kurwa mać, moi mili państwo – powiedziała Kaśka tak, jak tylko ona potrafi przeklinać. – Mnie rozwalilo. Przecież fenomenalni z was ludzie! Proszę nie brać tego do siebie, ale pan zaczął opowieść ludową i skończył jak wytrawny filozof. Pani powiedziała rzecz, jakiej świat nie słyszał. Do tego jesteście małżeństwem, genialne! – Nawet gdyby chciała ukryć kotłujące się myśli i głębokie poruszenie, nie potrafiła, musiała wykrzyknąć, co w niej było. Zachowała się jak poruszony słuchacz, ale jeszcze bardziej czuła i nie mogła się doczekać na filmowy sukces. Pochłonięta tą myślą, nie zdawała sobie sprawy z rzucającego się w oczy nietaktu. Kaśka odmalowała grymas niecierpliwego wyczekiwania na sukces.

– Tej filozofii nauczyłem się na pamięć, piszę ten tekst od dawna, co dzień go przerabiam, poprawiam i ciągle nie to, co siedzi w głowie, da się przepisać. Za dużo napiszę albo za mało, żona czyta i tak poprawiamy po kawałku, oboje piszemy nową filozofię życia – uśmiechnął się do wszystkich. – Ale mogę skończyć na ludowo i wyjaśnić znacznie prościej. – Skrzyński nie był dotknięty słowami i zachowaniem rozentuzjasmowanej pani redaktor. Zdawało się, że wręcz czekał na okazję, aby się przyznać, skąd ta wypowiedź i wytłumaczyć z brzmienia słów, które teraz znów mu się wydawały nieludzko rozwlekłe, zbyt zagmatwane i intelektualnie przesycone. Ponownie czegoś zabrakło, innego było za dużo, dlatego na sucho stukał po klawiaturze.

– Proszę – odparła krótko, nie obawiając się już niczego. Materiał wydawał się wymodlony.

– Powiem do pani: „moje dziecko, cóż pani może wiedzieć?”. Wtedy pani się obrazi albo poczuje nieswojo. Całkiem słusznie, przecież bezczelność z mojej strony pojawiła się znikąd, niestosowna poufałość i jeszcze bardziej arogancka uwaga. Wtedy ja powiem, że pani jest przewrażliwiona i zachowuje się dziecinnie. Na to pani odpowie, że jestem protekcyjny, i znów ma pani rację. Bronię się i powiadam, że mam za sobą ciężką przeszłość i wtedy też się zaczynało od drobnych niegrzeczności, ironicznych aluzji, a w rezultacie kończyło paleniem żywych ludzi. Pani ma w tej sytuacji pełne prawo zarzucić mi, że jestem niezrównoważony psychicznie, skoro wyciągam tego rodzaju wnioski ze zwykłej rozmowy. Na co ja, że już pani nie potrafi powstrzymać nienawiści i zachowuje się jak prześladowca, który znęca się nade mną za to, kim jestem. Wówczas pani krzyknie: „O Jezu, co za idiota!”. Będzie pani miała rację, tylko ja odpowiem, że pani postawa fanatyka religijnego operującego językiem nienawiści uniemożliwia dalszą dyskusję, że nie ma pani prawa mówić, kim jestem i jaki jestem, po prostu nie umie pani znieść krytyki. Rozumie pani? Przy pomocy faktów, siłą rzeczy emocjonalnie przedstawionych, bo dotyczących prawdziwych ludzkich tragedii, nie da się wygrać z bezkarną, cyniczną nadinterpretacją, prowokującą dialektyką, potężnie reklamowaną jako prawda.

– Rozumiem – powiedziała z ulgą i już nie z takim zauroczeniem.

– Za wcześniej – stanowczo odpowiedział Skrzyński.

– Na co? – spytała zdziwiona Kaśka.

– Za wcześniej, żeby zrozumieć. Najważniejsze, że to Gdula lub Szefer przedstawią podobną rozmowę, jako znani i szanowani ludzie, z wyeksponowaną męczeńską przeszłością i schowaną wstydliwą niegodziwością. Opiszą ten fałsz, katując moralnie i zabijając etycznie, ich wersję potwierdzi wielu szanowanych albo jeszcze bardziej znanych i liczących się osobistości, oni wszyscy operują tym samym językiem. Przysłowiowo sto razy powtórzą kłamstwo, póki nie zacznie funkcjonować jako prawda. Moje sprostowanie, nawet jeśli się gdzieś pojawi, będzie formą cytatu użytego w krytycznej rozprawie, który będzie uchodził za przykład taniego moralizatorstwa, małostkowości, na końcu zrobią ze mnie wariata. Teraz pani rozumie?

– Rozumiem. Pan chce powiedzieć, że nie mam szans z tym materiałem – oczy Brosik pokazywały zgodę, ale usta sprzeciwiały się, zagryzione zębami zdecydowanie protestowały.

– A pan? – spytał Jacka.

– Ja? Ja myślę, że pani reżyser nic nie rozumie. Jak tylko Katarzyna pokaże ten materiał redaktorowi Korzunowi, Katarzyna już nigdy nie zrobi dla nikogo i żadnego materiału. Stanie się tak z tego powodu, że naczelny zesra się po kostki, po pijaku powtórzy coś redaktorowi Szeferowi, że takie rzeczy nie do pomyslenia, a dalej pójdzie jak zwykle. Brzydkie kaczątko rozdziobią kruki, pani Magda Gliniak nakręci film, jak należy, i słusznie dostanie kolejny tytuł gwiazdy za kolejną szmirę. Wszyscy zachowują swoje pozycje, ale trzeba przyznać, że ciężką pracą, nie mówię czystą, mówię ciężką. Jak się przez całe życie opierdala i buduje domek z nieskazitelnego zapału, to wystarczy jedna iskra, aby spłonęły marzenia o wszechwładzy i dożywotnich kadencjach. Dlatego ciężko pracują, jest czego bronić w pocie czoła i choćby nawet z ubabranymi po łokcie rączkami.

– I ja tak widzę pani przyszłość, jeśli mam być szczery, dlatego też nie chciałem się zgodzić na wywiad, którego nie ma gdzie pokazać. Pani powinna się zastanowić, heroizm tak bezcelowy wcale nie zmieni stanu rzeczy, tylko jeszcze bardziej go pogorszy. – Skrzyński jednak coś dodał do pełnej zgody, nie tyle interpretacji, co przestrogi. Stukał przy tym palcami w klawiaturę, sprawiał wrażenie, że pisze podanie, składa prośbę na piśmie, ale on znów poprawiał swoją filozofię życia.

– Czy wam wszystkim aby nie odbija? Dlaczego mieliby mi tego nie puścić, przecież tu padły ważne i nowe słowa, tu jest kawałek ludzkiego życia, prawdziwego. – Wybrzmiał bardzo udawany protest, tak bardzo, że w słowach Kaśki dało się słyszeć więcej oburzenia niż wiary w trafną ocenę rzeczywistości.

– Pytasz czy już szukasz alibi? Nikt ci tego nie puści, nikt poważny, duży, oglądalny. Co najwyżej pójdziesz z tym do jakiejś przykościelnej niszy i wtedy garstka zobaczy, co i tak wiedziała od dawna. Może nawet będą krzyczeć do kamery ulicznej sondy, ale przez poważnych zostaną przedstawieni tak, jak ci pan Marian przed chwilą filozoficznie i na ludowo wytłumaczył. Zresztą większość tych parafialnych nie jest trudna do obrobienia, to dość naturalny materiał, oni są bardzo podobni do Gdulów. Zdradzeni, bezbronni i niestety głupszy, radykalni w swojej głupocie, koloryzują, co i tak jest szokujące, przeginają wajchę w drugą stronę. Puenta dowcipu zawiera się w pytaniu: „Jak dotrzeć do ludzi, nie do parafii?” Gdy znajdziesz odpowiedź, będzie premiera. Od razu powiem, że sam za głupi jestem, nie pomogę ci. – Operator dygnął jak kobieta, potem poprawił włosy.

– Panie Marianie, pani Krystyno, zdiagnozowaliście coś bardzo złego, przy tym ważnego i chcecie, żeby nie robić z tego racji, żeby nic z tym nie robić? Tak mam rozumieć? – Kaśka zrobiła rundę, krążąc wzrokiem po wszystkich obecnych, by na koniec zawiesić wzrok na drożdżowym cieście. – W takim razie jak z tym żyć, tak spokojnie? – dodała jeszcze jedno pytanie, widząc, że nie ma chętnych do odpowiedzi.

– Trzeba się nauczyć żyć ponad racjami. Pani powiedziała, proszę się nie gniewać, zabawnie: „robić rację”. Racja jest, sama się zrobiła, tylko nikt jej nie chce, bo jest surowa i wygląda jak brzydka baba, nie ma szans z umalowaną racją-modelką. Wie pani, że zaraz po wojnie długo nie mogłam zająć się czymkolwiek, chciałam zacząć studia, pracę, nic nie wychodziło. Któregoś dnia pomyślałam, że jakoś muszę się ruszyć i ruszyłam do przodu. Zdarłam z siebie kawałek starej skóry. Teraz na przedramieniu mam bliznę. Marian pytał, co to zmieni? Przecież za każdym razem, gdy popatrzę na ramię, i tak obudzi się to samo? Odpowiedziałam, że ta blizna jest moim śladem, po tamtym czasie i oprawcach nie może zostać żaden ślad. Patrzę na ramię i widzę, że jeśli ktoś mnie może okaleczyć, to tylko ja sama. Nikomu nie pozwolę, żeby zostawiał na mnie swoje piętna. Może głupie, ale pomogło. Zajęło mi prawie piętnaście lat, nim rozpoczęłam studia, poszłam na germanistykę. Tak wybrałam. Wie pani, dlaczego? Z tego samego powodu. Słyszałabym do dziś komendy i rytm podkutych buciorów stukających w skrzypiącą podłogę baraków, gdybym nie zagłuszyła tego językiem Goethego i muzyką Bacha.

Alles Vergaengliche  
Ist nur ein Gleichnis;  
Das Unzulaengliche,  
Hier wird's Ereignis;  
Das Unbeschreibliche,  
Hier ist's getan;  
Das Ewig-Weibliche  
Zieht uns hinan

Wszystko co mija,  
Jest li przyrównaniem;  
To, czego brak nam jest.  
Tu nam się stanie;  
Co niewysłowione jest,  
Byt ziści ten;  
Wieczna kobiecość nas pociąga hen.

Toccaty d-moll nie zagram, nie umiem, ale słucham za każdym razem, gdy to konieczne i kiedy mam ochotę. Mogłam pokusić się o coś bardziej oryginalnego, ale obawiam się, że Schuman i Schiller nie daliby rady. Potrzebowałam z niemieckiego czegoś głośnego, wzniosłego i wielkiego, aby zagłuszyć niemiecką małość i podłość. A z tymi sprawami jest tak, że my z mężem sobie rozmawiamy i układamy najbardziej bolesne prawdy, oboje jesteśmy skaleczeni, tylko jest jeden istotny szczegół w naszych rozmowach: mąż mnie nie posyła do gazu, a ja wiem, że on mleka do ust nie weźmie, od dziecka tak miał, zatem niczego z mlekiem wyssać nie mógł. Rozmawiamy, jak było, i żyjemy pod jednym dachem... wiele lat – uśmiechnęła się. – Prawda nie jest dla nas moralną oceną. My się nigdy nie kłócimy o to, kto bardziej, kto podlej, my się zawsze spieramy tylko o to, czy coś się wydarzyło, czy zostało wymyślone, bo prawda to są tylko fakty, reszta jest kłamstwem, wymyślaniem i zaprzeczaniem prawdzie. Kłamstwem jest, że nie było krematoriów, były, ale prawdą jest też, że część z tych, którzy przeszli przez to piekło albo opłakiwali bliskich straconych do piekła, sami piekło czynili, robili straszne rzeczy. Nie potrafię tego zrozumieć. Za wiele bólu po obu stronach, za wiele moralizowania, strachu przed prawdą, żeby prawdę pokazać, do tego pieniądze, polityka, religie, ideologie, potężne parawany. Zamiast bolesnej prawdy mamy pięknie zdobione, wymyślne parawany.

Niepierwsza niewiarygodna historia uderzyła Katarzynę Brosik, oryginalnością i dramaturgią, ale ona myślami była gdzie indziej. Przejmowała się już tylko tym, co dalej z filmem?

– Zatem nie jestem Goethe, ani Jacek – Bachem. Nie ma sensu się porywać? – pretensja, nie ironia sformułowała pytanie. Za żonę odpowiedział mąż.

– Tego wam obojgu życzę, tylko kłopot jest też taki, że nasza historia to nie dzieje Fausta. Krysia nie jest Małgorzatą, muzą doktora alchemii, tylko ukochaną Mańka, magistra archeologii. Porozmawialiśmy sobie w pokoju z wielkiej płyty, może nieco ambitniej niż sąsiedzi za ścianą, ale o nas Bóg i Mefisto zakładał się nie będzie. Nasza historia będzie popularnym dziełem, jeśli wykazemy się największym talentem i przedstawimy ją literacko, niekoniecznie prawdziwie. Gdula też nie jest Goethe, jego historia jest pospolita, rzewna i nieprawdziwa, ale umalowana, atrakcyjna, nadto wielcy poeci zawsze mieli wielkich mecenasów. Czasami jest tak, że mecenas jest większy i wybitniejszy od autora, często tak jest. Można się z tym zmierzyć, ale pani sama mówiła, że opowiedziałem ludową powiastkę z przebłytkiem akademickim. Nie ma co się obrażać, trzeba powiedzieć, że to prosta prawda,

a z tym nie przebijemy nawet Gduli, cóż dopiero całej potęgi. Mówiła pani, że cyfrowo da się wyciąć i przyciąć, ale dołożyć? Da się cyfrowo dołożyć talentu nam wszystkim, da się z tej rozmowy towarzyskiej stworzyć dzieło? – Wszystko wyjaśnił Skrzyński i sam miał wątpliwości. Czy przemówił naukowo, czy na ludowo?

– A pan? Nie został chyba rabinem albo funkcjonariuszem, żeby zagłuszyć ból? – Kaśka ironicznie ciągnęła pretensję, chyba już do wszystkich i wszystkiego, nie kontrolowała się.

– Rozumiem panią, naprawdę panią rozumiem i pani gniew także, boje się tylko, że pani zrobi krzywdę sobie i wszystkim, których głos nie jest ważny. Jedyne co im pozostało, to takie rozmowy po cichu, szeptu, ale pełne szacunku dla prawdy. Jeśli pani z tego, o czym tu rozmawiamy, zrobi dobry film, nawet bardzo dobry, jednak nie genialny, wybitny, wielki, stanie się tak, jak mówił pani kolega. Nikt nie zdecyduje się na upowszechnienie i spokojną, racjonalną dyskusję, o co tak często apeluje się w telewizji. Projekcja gdzieś po plebaniach, albo na chałupniczo powielanych taśmach skończy się kompromitacją nas wszystkich – Skrzyński uśmiechnął się życzliwie, pogodzony z wnioskami, znał je od dawna.

– I to już? Tak po prostu jest i tak musi zostać? Strasznie banalne.

– Tak już jest, że jedno dziecko znajdują w lesie, zabierają do domu i dzięki temu żyje, drugie zostawiają w bramie i też przetrwa. Jeden napisze egzaltowany fałsz i zostanie wielkim pisarzem, drugi spokojnie opowie prawdę, ale będzie wichrzycielem, pośłańcem ze złymi, bo wiecznie skrywanymi wieściami. Jednym sprzyja los i ludzie biją brawa, inni muszą wbrew losom wśród tłumu poszukać człowieka, żeby po cichu przetrwać. Pani Katarzyno, to nic nowego – i to jest właśnie banał, z którym tylko dojrzewająca młodzież i dusza poety pogodzić się nie może. Wszyscy mamy wielkie marzenia, każdy z nas chciałby robić coś wielkiego na boską miarę Goethego, czy Bacha. Moja odpowiedź jest prosta. Jeśli chcesz być Bogiem, musisz od czegoś zacząć. Zaczynaj być człowiekiem.

Mądre, pełne pokory słowa nie przekonały, ale przynajmniej uspokoiły ambitną dziennikarkę. Wszyscy obecni w pokoju w jednej chwili opadli z sił i pomysłów, nagle nikt nikogo nie musiał już przekonywać, nikt nie czuł się zaskoczony. Gdyby spytać o cokolwiek, ani pytanie, ani odpowiedź nie byłyby zaskakujące. Zgodny nastrój chwili miał swoją zasadniczą wadę, podsumowanie spotkania było okrutne – materiał jest bezsensowny, w każdym razie rozpowszechnianie tego, co się wydarzyło podczas wywiadu nie ma sensu, jeśli w ogóle jest wykonalne. Kaśka myślała o słowach Skrzyńskiego i jego żony, ale myślała też o tym, że obiecała Korzunowi materiał, że to miał być przełom w jej życiu i że ściągnęła z urlopu Jacka, by się w jego obecności ośmieszyć. Kosztowne przedsięwzięcie rozsypało się z najmniej spodziewanego powodu.

– No to dupa cycki, była sobie Kaśka Brosik, spieprzyłam całość. Nie słuchałam pana, nie posłuchałam Korzuna. Trzeba słuchać starszych, jak się jest gówniarzem. Gaś światło, Jacek – powiedziała upokorzona i trochę przestraszona. Zrezygnowała ze swojego wielkiego projektu, pokonana, sięgnęła po coś na wyciągnięcie ręki. Połknęła na trzy kęsy drożdżowy placek i łyknęła brązową ciecz prosto z butelki. Tak przeszła z ambitnego projektu do stanu: „Jest mi wszystko jedno”. Zgasło światło kamery, operator przysiadł się do Kaśki i znów cisza wypełniła cały pokój.

– Jest jeden pomysł, oddam za darmo. Ale to wymaga zgody pana Mariana i pani Krystyny.

– Po bardzo długim milczeniu w pokoju pojawiły się słowa, które obudziły zastygnięte twarze. Jacek czekał na odpowiedź.

## 5

Ryszard Korzun oglądał kadry z filmu Katarzyny Brosik, pod tytułem „Policzeni wagonami”. Jadł chińskie danie na wynos, popijał bezalkoholowym piwem i przez pewien czas dzielił uwagę sprawiedliwie między to, co widział i to, co konsumował. Starał się



przeżuwać dokładnie i patrzeć uważnie do chwili, gdy padło pytanie do głównego bohatera filmu:

– *Czy pan pytał tych ludzi o książkę Gduli?*

Pytanie zadano poza kadrem, który zajmował mężczyzna siedzący przy biurku, skupiony, ale też zdenerwowany. Światło nocnej lampki utalentowany operator tak wkomponował w obraz, by nie było kiczem, wyglądało jak latarka, pokazywało drogę. Od tej sceny Korzun już tylko patrzył, nie pił, nie jadł, patrzył.

– *Oni niczego złego o nim nie powiedzieli, jednego słowa. O książce wiedzieli i czytali ją wiele razy, Gdulowa czytała, nauczyła się czytać już po wojnie, bo to zwykli ludzie, tacy ze Wschodu, parę morgów i żadnej szkoły. Widzieli Gdulę w telewizji, mieli na kasecie jego wywiady, chociaż to już bardzo starzy ludzie byli. Jan Gdula obsługiwał magnetowid jak fachowiec, on się cieszył z tego filmu i że sam potrafił wszystko odtwarzać. W domu Gdulów same wynalazki, robiło wrażenie, wideo i magnetofony, a wszystko Jan Gdula obsługiwał. Mieszkali koło Głogowa, na wsi za Głogowem, ten film i książkę pokazywali sąsiadom. Aniela Gdula czytała książkę i łzy miała w oczach, mówiła, że taka była straszna wojna, że takie dzieci biedne były i że tak się naprawdę działo. Wtedy Jan Gdula mówił, że znalazł chłopca w lesie, że im bardzo pomagał, że był dobrym dzieckiem i posłusznym. Nigdy nie zapomnę tej rozmowy, oboje opowiadali prawie dzień po dniu, jak było w czasie wojny, co lubił jeść, jak się modlił i śmiesznie mylił, a potem to już nie zjadł, jeśli się nie przeżegnał i nie zasnął, jak pacierza nie zmówił sam z siebie. Niesamowite było przeżycie, oni tak kochali tego człowieka, że ciągle widzieli w nim tamto dziecko znalezione w lesie i cieszyli się, że na takiego sławnego wychowali, co pisze książki i w telewizji występuje. Niesamowite przeżycie.*

Na ekranie zazgrzytał rozrusznik samochodu, silnik nie zaskoczył, zarzęziło po raz drugi i znów nic. Potem cisza i kolejne pytanie, tym razem postać oczekująca odpowiedzi jest widoczna, siedzi z boku, usiłuje zrozumieć coś bardzo ważnego. Być może coś, co pierwszy raz w swoim życiu usłyszała. Żeby zrozumieć, musi najprościej dopytać.

– *O co zatem chodzi w tym nierównym pojedynku?*

Zwraca się do mężczyzny, a jego twarz nabiera nowego wyrazu, jest niespokojny, oskarża, ale czuje się też bezradny i pogodzony z bezradnością.

– *O klasyczną wojnę fundamentalistów: ideologicznych, religijnych, narodowościowych. Każdy chce nawracać innych na swoją narodowość i swoje wierzenia, stąd podboje. Każdy wyznawca ma tendencję do krzewienia swojej wiary, stąd krucjaty. Każdy ideolog będzie dążył do opanowania jak największej przestrzeni własną ideą, najczęściej zbudowaną na nacjonalizmie i religii, stąd totalitaryzm w znanych formach. Nie można wygrać z takim przeciwnikiem, już samo podjęcie walki jest porażką. Zasady gry są okrutnie proste. Gra jest ustawiona w ten sposób, że zwycięzca może faulować, na terenie gości być gospodarzem, dobierać dowolną liczbę graczy w obu drużynach, wystawiać swoich zawodników w drużynie przeciwnej i na końcu sędziować pojedynek. Przegrany, faulowany i ostrzeliwany zewsząd, także samobójczymi strzałami, zobowiązany jest bić brawo przeciwnikowi i sędziemu albo zostanie zdyskwalifikowany za niesportowe zachowanie. Wielu szanowanych badaczy uważa, że liczba sześć milionów zabitych w jednym obozie czy nawet wojnie, jest co najmniej nieudokumentowana, bardziej odważni twierdzą, że jest stworzonym mitem, polisą nawet, aby przynosić konkretne, w tym materialne zyski. Próby dociekania szczegółowej, imiennej prawdy stają się niedopuszczalną histerią, śmiesznością, brakiem zdolności do wybaczenia i płaczącym roztrząsaniem przeszłości, drapaniem ran. Nie jest ważne, kto zabijał w więzieniach, zabijali po prostu oprawcy, źli ludzie. Tysiące prawdziwych wyroków i życiorysów, nie nadaje się do niczego innego, jak do kreślenia obrazu nienawiści i hysterii religijno-narodowej, przypisywanej krewnym i wszystkim przywołującym pamięć ofiar.*

Przez balkonowe drzwi dostaje się muzyka, monotonne dźwięki z elektronicznej puszki zupełnie nie pasują do słów wypowiedzianych przez mężczyznę. Kontrastują

wyraźnie, nie są wprowadzone do sceny na siłę, raczej przypadek niż zamysł autora, reżyser jedynie skorzystał z okazji i pozostawił dźwięki topornej muzyki jako wyrazisty kontrast, podkreślający wagę słów.

– *I pan naprawdę uważa, że to ważne? Sześć milionów lub trzy miliony?*

Kamera najeżdża na kobietę, której dotąd nie było w filmie, to zupełnie nowa postać, wyrasta spod ziemi i od razu staje się nieodzowną postacią-puentą. Kobieta siedzi z boku kadru, pod dużym kątem, w dziwnych, odbijających światło, ciemnych okularach. Mówi spokojnie, godnie, z przekonaniem, jest pewna swoich słów.

– *Bardzo ważne, pani Katarzyno. Kiedy siedzieliśmy w wagonach, liczone nas wagonami, jak węgiel i wapno. Do dziś nie mogę wejść na dworzec kolejowy, wszędzie jeździmy autobusami. Kiedy siedzieliśmy w barakach, liczone nas barakami, pojedynczo zastrzelonych, dla zabawy, odliczano taczkami. Wrzuconych do dołów, puszczonech z dymem nikt nie liczył. Nikt nas nie spisywał, pierścionki, zęby, które po nas zostały, blaszane miski i brukiew, wszystko trafiło do rubryk. Żywych ludzi i żywych trupów nie porachował nikt. Kto tam był, kto widział, nie pamięta ilu nas było, ktoś znów powsadzał nas do wagonów i baraków, żeby znów nas okraść nie z pieniędzy, nie wzięłam ani grosza, niby za co te grosze? Nawet nie z godności, okradziono nas z indywidualności. Proszę na mnie spojrzeć, nie uważam się za kogoś wyjątkowego, ale siedzi przed panią konkretna osoba, w śmiesznych okularach z supermarketu. Widziała pani kiedyś sześć milionów identycznych starszych kobiet w równie idiotycznych okularach? Ofiara musi mieć swoją indywidualną, imienną, nie zbiorową i anonimową mogiłę. Pokrzywdzony ma prawo i obowiązek nazywać swoich prześladowców po imieniu i krzyczeć, dlaczego był prześladowany, za co, przez kogo. Licytowanie się jest podłością, liczenie i nazywanie po imieniu obowiązkiem. Wie pani, że zaraz po wojnie długo nie mogłam zająć się czymkolwiek, chciałam zacząć studia, pracę, nic nie wychodziło. Któregoś dnia pomyślałam, że jakoś muszę się ruszyć i ruszyłam do przodu. Zdarłam z siebie kawałek starej skóry. Teraz na przedramieniu mam bliznę. Marian pytał, co to zmieni? Przecież za każdym razem, gdy popatrzę na ramię, i tak obudzi się to samo? Odpowiedziałam, że ta blizna jest moim śladem, po tamtym czasie i oprawcach nie może zostać żaden ślad. Patrzę na ramię i widzę, że jeśli ktoś mnie może okaleczyć, to tylko ja sama. Nikomu nie pozwolę, żeby zostawiał na mnie swoje piętna. Może głupie, ale pomogło. Zajęło mi prawie piętnaście lat, nim rozpoczęłam studia, poszłam na germanistykę. Tak wybrałam. Wie pani, dlaczego? Z tego samego powodu. Słyształabym do dziś komendy i rytm podkutych buciorów stukających w skrzypiącą podłogę baraków, gdybym nie zagłuszyła tego językiem Goethego i muzyką Bacha.*

*Alles Vergaengliche  
Ist nur ein Gleichnis;  
Das Unzulaengliche,  
Hier wird's Ereignis;  
Das Unbeschreibliche,  
Hier ist's getan;  
Das Ewig-Weibliche  
Zieht uns hinan*

*Wszystko co mija,  
Jest li przyrównaniem;  
To, czego brak nam jest.  
Tu nam się stanie;  
Co niewystawione jest,*

*Byt ziści ten;*

*Wieczna kobiecość nas pociąga hen.*

*Toccaty d-moll nie zagram, nie umiem, ale słucham za każdym razem, gdy to konieczne i kiedy mam ochotę. Mogłam pokusić się o coś bardziej oryginalnego, ale obawiam się, że Schuman i Schiller nie daliby rady. Potrzebowałam z niemieckiego czegoś głośniego, wzniosłego i wielkiego, aby zagłuszyć niemiecką małość i podłość. A z tymi sprawami jest tak, że my z mężem sobie rozmawiamy i układamy najbardziej bolesne prawdy, oboje jesteśmy skaleczeni. Rozmawiamy, jak było, i żyjemy pod jednym dachem... wiele lat. Prawda nie jest dla nas moralną oceną. My się nigdy nie kłócimy o to, kto bardziej, kto podlej, my się zawsze spieramy tylko o to, czy coś się wydarzyło, czy zostało wymyślone, bo prawda to są tylko fakty, reszta jest kłamstwem, wymyślaniem i zaprzeczaniem prawdzie.*

Z podwórka dobiegają głosy dzieci, przeklinają, przekleństwa nie są najcięższego kalibru, ale łagodniejszych „wyrazów” nie brakuje. Scena robi olbrzymie wrażenie na redaktorze Korzunie, przewija jeszcze raz ostateczne zdanie, po chwili jeszcze raz. W końcu sceny wracają na swoje miejsce i pada kolejne pytanie poza kadrem, zadane z odrobiną pretensji.

– *Zatem nie jestem Goethe, ani Jacek – Bachem. Nie ma sensu się porywać?*

Kobieta nie odpowiada, głos zabiera mężczyzna, wyjaśnia tonem statecznego człowieka, który niejedno widział, słyszał i wiele już go nie zaskoczy.

– *Tego wam obojgu życzę, tylko kłopot jest też taki, że nasza historia to nie dzieje Fausta. Krysia nie jest Małgorzatą, muzą doktora alchemii, tylko ukochaną Mańka, magistra archeologii. Porozmawialiśmy sobie w pokoju z wielkiej płyty, może nieco ambitniej niż sąsiedzi za ścianą, ale o nas Bóg i Mefisto zakładał się nie będzie. Nasza historia będzie popularnym dziełem, jeśli wykażemy się największym talentem i przedstawimy ją literacko, niekoniecznie prawdziwie. Mówiła pani, że cyfrowo da się wyciąć i przyciąć, ale dołożyć? Da się cyfrowo dołożyć talentu nam wszystkim, da się z tej rozmowy towarzyskiej stworzyć dzieło?*

Film kończy się słowami prostej prawdy, redaktor, który widział wiele materiałów i większość przyjmował rutynowo, liczbami statystyk oglądalności i szansami powodzenia, do tego obrazu nie miał żadnych uwag. Nie mierzył zawodowymi kryteriami, film trafił redaktora, był dla niego, na takie dzieło zawsze czekał. Korzun nie dokończył posiłku, nie zgasił monitora, wyszedł z sali projekcyjnej prosto do swojego gabinetu i już na korytarzu zadzwonił do Katarzyny Brosik.

– *Przyjedź proszę, jeśli możesz, w zasadzie masz przyjechać, musisz. Najlepiej, żebyś już tu była – mimo wszystko prosił. Po drugiej stronie rozmowy Kaśka zdążyła powiedzieć jedno słowo potwierdzające spotkanie, na więcej sama nie chciała tracić czasu. Czekająca na ten telefon od wielu dni, nie wiedziała, że oczekiwanie nie było czasem namysłu redaktora, tylko zwyczajową chronologią zajęć. I redaktor nie wiedział, że czeka na niego film dla niego, trzymał się porządku i kalendarza pracy. Gdyby znał wagę materiałów, Brosik odebrałaby telefon chwilę po tym, jak oddała swój film. Spotkanie twórcy i mecenasa odbyło się błyskawicznie, minęło ledwie pół godziny. Kaśka szybko dotarła na miejsce i z poświęceniem, przyjechała samochodem, nawet nie taksówką, tylko samochodem razem z Jackiem.*

– *Cześć! Jestem – rzuciła, łapiąc oddech, poprawiła włosy i usiadła na krześle, nie czekając na zaproszenie.*

– *Wielka rzecz, wykonałem już potrzebne telefony. Myślałem, żeby puścić dzieło jeszcze w tym tygodniu, ale tak nie może być. Musimy zrobić porządną oprawę. Dogadałem się z Szeferem, będzie reklamował w ciemno, powiedziałem mu tylko, w czym rzecz, chwili się nie zastanawiał. Nagłośnimy film, potrzeba jakieś dwa tygodnie, żeby zrobić poważny szum,*

taki jaki trzeba zrobić. Wytrzymasz? – Słowa nie sprawiały redaktorowi żadnego kłopotu, recytował, wiedział, co chce powiedzieć. Nie zastanawiał się, nad tym co mówi, przy tym spodziewał się każdej reakcji, tylko nie takiej, że autorka przyjmie recenzję z dziwnym spokojem i jeszcze dziwniejszym komentarzem.

– Zorientowałaś się? Zrobiliśmy jak trzeba, tak jak zawsze się robi – odpowiedziała ze smutkiem, uznała, że Korzun pastwi się nad nią, odgadł jej intencje i kpi. Znała jego oryginalne poczucie humoru, ocierające się o poważne, ale subtelnie przemycane zarzuty.

– Nie wiem co opowiadasz. Mówię poważnie, nic w tym filmie nie jest jak zawsze i wszystko jest jak trzeba. Chciałbym, żebyś do nas dołączyła, proponuję ci etat, na razie w zespole Magdy Gliniak, inaczej się nie da, myślę jednak, że po premierze mogłabyś robić swoje. Ten obraz będzie klasyką, jestem tego pewien, nie widziałem lepszego. Nigdy! – jeszcze raz podkreślił zachwyt. Zachowanie Korzuna było inne niż zwykle, gdy przeholował z dowcipem, drzeniem policzków powstrzymywał okazywanie króliczych ząbków, odwracał głowę lub szukał czegoś w biurku. Teraz niczego nie szukał, ząbki miał szczelnie przysłonięte, nie udawał, mówił poważnie. Brosik zorientowała się, że palnęła głupstwo, zrealizowała pierwszy etap planu i o mało nie zawałiła całości.

– Naprawdę tak myślisz?! Myślałam, że chcesz być delikatny w krytyce. Zdenerwowałam się, że aż tak delikatny. Przecież to mój pierwszy taki duży materiał i od razu żadnej suchej nitki? Tak myślałam. Przepraszam, wygłupiłam się! – pośpiesznie i dlatego chaotycznie naprawiała, co zepsuła.

– Nie myśl, słuchaj. Co z etatem? Zgodzisz się na tę przejściówkę?

– Jasne. O, kurwa, nie myślałam, że to się tak skończy – zaklęła i po raz pierwszy nie było pięknie. Zgrzytnęło, nawet samej Kaśce, i Korzun się skrzywił. Brzydko przeklinająca Kaśka wiedziała, że coś się musiało stać, ale odłożyła wyjaśnienie.

– Świetnie, załatwię wszystko do końca tygodnia, a z filmem tak, jak ci mówiłem, wytrzymaj te parę tygodni.

– Jasne. Jestem w szoku, naprawdę.

– Zadzwoń do mnie w piątek, powinienem coś wiedzieć, właściwie powinno być już załatwione i pierwsze reklamy, i zatrudnienie. Jakbyś zapomniała, sam zadzwonię, teraz spadaj, muszę sobie zamówić świeżą chińszczyznę. – Redaktor wrócił do swojego stylu i humoru, Brosik natychmiast skorzystała z dowcipnego wyproszenia, śpieszyła się do Jacka z informacją, na jaką oboje czekali, ale biegła też z podwójnym problemem, który się pojawił. Wparowała do samochodu na przednie siedzenie i przechyliła się w stronę Bienia, tak mocno, że niemal wisiła na kierownicy.

– Kurwa! – już pięknie i z niedowierzaniem zaklęła, jak należy. – Jemu ten film naprawdę się spodobał. Poszedł z tym do Szefera, będzie wielka kampania promocyjna, zaproponował mi etat u Gliniak i własną sekcję po premierze filmu. Co ja mam z tym zrobić? – poprawiała włosy. Cały czas męczyła grzywkę i wpatrywała się w spokojną, powątpiewającą twarz Jacka. W jednym zdaniu wyrzuciła z siebie cały podwójnie złożony problem. Udało się więcej, niż było zaplanowane i ten sukces poniósł za sobą jeszcze większy kłopot. Kaśka dostała więcej, niż się spodziewała, i teraz zastanawiała się czy stać ją na to, aby ryzykować? Czy warto podjąć realizację drugiej części planu?

– Dałem dupy, rzecz była oczywista – Jacek chwycił kierownicę.

– Co oczywiste? – pokręciła kierownicą razem z dłońmi Jacka.

– Że gniot zachwyci Korzuna, Szefera tym bardziej – pokręcił kierownicą.

– Nie przesadzaj, w końcu... – Kaśka sama się złapała na tym, że mówi rzeczy niemądre i w tej chwili zrozumiała, dlaczego w gabinecie Korzuna brzydko przeklęła. U naczelnego redaktora przeklęła dobrą robotę, od jednego komplementu zapomniała, co jest piękne, i od razu zaczęła ohydnie kłąć.

- Chcesz spytać, co masz zrobić? – Brosik milczała. – Nie wiem. Naprawdę, zresztą gdybym wiedział, i tak nie mam ochoty niczego ci podpowiadać. Trafiłem do tej roboty i szybko nauczyłem się udawać pedała – jedyny protest, na jaki było mnie stać.
- Udawałeś pedała?
- Dalej udaję, chociaż już wszyscy wiedzą, że udaję, dzięki temu jestem chociaż trochę inny od nich, nie wyróżniałbym się, gdybym był – z marnym skutkiem usiłował dygnać na siedząco.
- Pojebało się strasznie....
- Nic się nie pojebało, plan idzie jak trzeba, nawet lepiej. Gdy skrót zrobi sukces, pełna wersja ma szansę na publikację, 150% normy. Pytanie czy pomysł jest aktualny? Przemysł. Poważnie, to nie jest proste, na mnie nie licz, nie jestem dupa z charakterem – Jacek chwycił Kaśkę za policzki i ucałował w czoło.
- Jak zacznę myśleć, to wiesz, co z tego wyjdzie?
- Rozsądek, pewna pozycja, sława, wszystko, o czym wszyscy marzymy.
- Nie umiem udawać pedała, musiałabym zostać. Zdradziłabym się na pewno i tak wszystko poszłoby się jebać, nie wyłączając mnie – uśmiechnęła się gorzko, jakby żałowała podjętej już i dlatego nierozsądnej decyzji.
- Dziękuję bardzo, po takiej metaforze awansowałem z udawanego pedała na autentyczną kurwę – spojrzał na Kaśkę bez wyrzutu, ubawił się z własnego dowcipu.
- Przestań, bez ciebie nie byłoby tego filmu, tego prawdziwego. Jedziemy do mnie, a potem zgodnie z planem na pocztę. Nie, czekaj! Na pocztę nie, Korzun mówił, że do premiery zejdzie ze dwa tygodnie, za wcześniej na przesyłkę.
- Za wcześniej. Do Londynu właściwą opcję posłałbym dopiero wtedy, gdy film naprawdę zrobi się głośny. Jak się zrobi, chociaż tego bym się nie bał, film wybitny...pod Szefera. Gorzej z pełną wersją, tyle że po sukcesie masz jakiś cień szansy.
- Chyba półcień. Ależ ja, kurwa, głupia jestem i to teraz zgłupiałam do reszty, gdy zaczyna mi się podobać jazda samochodem i dalej nie mam zdolności kredytowej – ucałowała Jacka w policzek.

6

Nieprzytomnie rozłożony na łóżku człowiek odnajduje się w dziwnym miejscu, gdzie maligna miesza się ze skrawkami chaotycznie przetworzonej rzeczywistości. Leży w pomieszczeniu oświetlonym bielą sufitu, spadającą na glinianą, połyskującą podłogę. W rogu za przepierzeniem stoi szarawa bryła, wyglądem przypomina duży wiejski piec, obok kredens i telewizor postawiony na bukowych szczapach. Przy piecu starsza kobieta z parującej wody wyławia jakieś przedmioty, nie widać jakie. Na środku pomieszczenia, za stołem, zasiadła inna kobieta, młoda. Jest piękna, śmieje się do mężczyzny z długą brodą, dobrze ubranego. Mężczyzna modli się, kobieta nadal się śmieje. Wchodzą kolejni ludzie, teraz przyszła jeszcze jedna kobieta, jest w szlafroku, przyniosła ze sobą teczkę, pokazuje zapisane kartki, pyta o coś, ale nie słyhać jej głosu. Dziecko w niemieckim mundurze siedzi w kącie i bawi się złotymi monetami. Obrazy znikają i zmieniają się, dziecko jest już dorosłym mężczyzną w mundurze, pije ze szklanki z rozbawionymi oficerami, krzywi twarz. Przyszła na biało ubrana para, pochylają się nad łóżkiem i kręcą głowami, wymieniają spostrzeżenia, których nie słyhać. Mężczyzna nadal leży na łóżku, czasami udaje mu się otworzyć powieki, widzi fragmenty zmieniających się obrazów, przechodzących ludzi, odgrywane sceny, nie wie, gdzie jest i co się z nim dzieje, wszystko gaśnie, zamiera, nie dzieje się nic.

– Zostawcie mnie, żądam obrońcy, złożę wnioszek, napiszę na maszynie – głośna, ale tylko nieprzytomna myśl przetoczyła się po głowie. – To szpital? Jestem w szpitalu! – Tym razem myśl była cicha, zachowana tylko dla siebie, za to przytomna i celna. Jerzy Gdula zrozumiał,

gdzie się znajduje, na ułamek chwili, świadomym przebłyskiem ogarnął swój stan, leżał podłączony do rurek, kabli i wydających irytujące dźwięki maszyn, pochylali się nad nim jacyś ludzie, z którymi nie miał ochoty rozmawiać. Chciał być sam, mówić tylko do siebie, jak zawsze, gdy budował plany i rozstrzygał najważniejsze kwestie, które jeszcze rozstrzygnąć się dały. Tyle zrozumiał, na tyle starczyło mu myśli i sił.

– Zamknę oczy, nie chcę ich widzieć, chcę być sam, zamknę oczy – pomyślał raz jeszcze i w tej samej chwili zapadła ciemność, nastąpiła cisza, słyszał tylko swój głos. Mówił do siebie, rozmawiał ze sobą. – Tak to wygląda? Tak prosto, nic nadzwyczajnego, tak prosto? Umieram jak dziecko. Robię w pieluchę jak dziecko, karmią mnie jak dziecko, pochylają się nade mną jak nad dzieckiem, mówią do mnie jak do dziecka. Umieranie jest dziecinnie proste. Ile mam lat? Muszę wiedzieć, ile mam lat?! Czy jestem dzieckiem? Ile mam lat? Ta płyta... policzeni, wszyscy policzeni.

\*\*\*

Pisarz Jerzy Gdula zamierzał oddać się ulubionemu popołudniowemu zajęciu, rytualnemu odczytaniu kilku stron swojej osobistej, autorskiej biblii. Musiał przerwać ceremonię, co prawie mu się nie zdarzało, ale dzwonek do drzwi brzmiał coraz bardziej intensywnie i niecierpliwie. W tych warunkach rytuał zaczynał przypominać profanację. Musiał wstać i sprawdzić co się dzieje. Nic wielkiego się nie stało, zadzwonił listonosz, który doręczył niewielką paczkę.

– Z Warszawy? – zdziwił się, jak tylko odczytał pieczętki na białej, dużej kopercie. Rozerwał opakowanie i w środku znalazł płytę podpisaną po polsku: „Policzeni wagonami – pełna wersja dla dorosłych”. – Co za bzdura – powiedział głośno, chociaż do siebie. – Nienawidzę tych komputerowych wynalazków.

Był gotów odrzucić głupi, jak się mu zdawało, żart; jednak tytuł, zwłaszcza jego pierwsza część, zaintrygowała pisarza. Pozazdrościł autorowi oryginalnego określenia, wściekł się nawet na konkurencyjne zdolności. Od tej chwili chciał sprawdzić, kto i co się za tytułem kryje. Chwycił płytę i uruchomił komputer, zmagając się jeszcze jakiś czas z tym, co zawsze przychodziło mu z trudem. Największy ból sprawiały pisarzowi techniczne nowinki, tak jak kiedyś złowrogo zerkał na maszynę, tak teraz klawiatura komputera była zniechęcającą koniecznością. Na ekranie pojawił się w końcu pierwszy obraz i dźwięk.

– Kiedy pan poznał Jerzego Gdulę?

– Nie pamiętam. Czy to już się nagrywa? Jeszcze raz mam zacząć?

– Proszę się nie denerwować, proszę mówić swobodnie, wszystko będzie można wyczyścić i zmontować. Nie ma tu żadnych klapsów, stop kamera i tak dalej. Wszystko nagrywa się cyfrowo, to znaczy tak automatycznie i potem można z materiałem...

Dziwny i denerwujący wydawał się początek nagrania, jakby w ogóle nie było filmem, tylko jednym z tych filmików, nakręconych amatorską kamerą. Gdyby już na początku nie padło nazwisko pisarza, Jerzy Gdula uznałby całe wydarzenie za absurdalną stratę czasu. Nazwisko i jeszcze kolejne zdania płynące z ust starszego mężczyzny złożyły się na to, że wytrzymał przy monitorze.

– Naprawdę nie pamiętam, pamiętam tylko dwie sceny i nie wiem, która była pierwsza. Spotkałem Jerzego Gdulę na ławce w Warszawie, był młodym, przystojnym oficerem. Nie pasował do innych, miał za dobre oczy, pewnie to zdecydowało, że odważyłem się do niego podejść. Twarz miał surową, oczy, jak tak głębiej spojrzeć, patrzyły po ludzku. Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu ludzie czasem do siebie przyciągają, nawet tacy groźni z wyglądu i charakteru. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, wtedy miałem może osiem, dziewięć lat i wszystkim opowiadałem o ojcu, pewnie i jemu powiedziałem. Zaczepiałem wielu ludzi i mówiłem jak straszna krzywda dzieje się tacie. Matka w końcu sprawiła mi lanie, jak

nie pomogło, dostałem drugi i trzeci raz, bała się, że przeze mnie będzie następne nieszczęście. Trochę podziałało, już nie zaczepiałem obcych, ale sąsiedzi i odwiedzający nasz dom nie mieli ze mną spokoju. Małe dziecko nic z tego wszystkiego nie mogło zrozumieć. Sam nie wiem dlaczego mówiłem do wszystkich tak samo, wiedziałem tylko, że muszę, że śmierci ojca nie mogę zostawić w sobie, cały świat musiał się o tym dowiedzieć. Przychodzili do nas ludzie i pytali czy mogą pomóc, cicho proponowali wsparcie, wiedzieli, że nic nie mogą. Widziałem Jerzego Gdulę dwa razy, raz na ławce przy chodniku, wtedy był szczęśliwy, tyle pamiętam. W tamtym czasie zapamiętywałem szczęśliwych, nie rozumiałem, jak można się śmiać, gdy wkoło umierają ludzie. Był zadowolony i podziwiał wszystko, co wpadło mu w oko, wyglądał, jakby czuł się właścicielem miasta, może nawet czegoś więcej, panem sytuacji i ludzi. Teraz tak to widzę, wtedy mniej zobaczyłem, tylko szczęśliwego oficera o surowym wyglądzie i takich... innych oczach. Spytałem go o coś, na pewno o to co zawsze, zdaje się, że ojciec już wtedy nie żył. Gdula się przestraszył i zmartwił, ale tylko przez sekundę, potem jego oczy zmieniły się, był wściekły, zapamiętałem jego wzrok, był już taki, jak patrzenie ich wszystkich, on mógł mnie wzrokiem zabić. Drugi raz spotkałem go w bramie... Wie pani, ten przy ławce to był jednak drugi raz, dopiero teraz sobie ułożyłem wszystko. Tyle razy przewracałem te obrazy i dopiero teraz wiem na pewno, jak było. Ja mu wtedy przy ławce powiedziałem, że ojciec nie żyje. Pierwszy raz widziałem go w bramie, błąkałem się po różnych dziwnych miejscach, ojciec jeszcze żył.

– Ten sam smarkacz z bramy, wiedziałem, że znam tę twarz, wiedziałem, że go znam, czułem... – mówił głośno do ekranu komputera, rozpoznał detal, który go intrygował i ucieszył się z powodu tej błahostki, jeszcze nie zwracał uwagi na najważniejsze treści.

– Tyle lat o tym myślałem i dopiero dziś jestem pewien, że tak.

– A o czym rozmawialiście w tej bramie?

– W bramie? Był dziwny, inny niż na ławce, wcale niezadowolony. Do niego się mówiło, a jego nie było, on wtedy uciekał albo się chował. Nie wiem, nie wiem, co mu powiedziałem, nic wielkiego, pamiętałbym, gdyby było inaczej.

– To było wtedy z Kapisem. Kto go znalazł? Po co? – Wszystkie pytania płynęły w stronę monitora. Jerzy Gdula poczuł się nienajlepiej, ale nie przerwał oglądania, rzucił się na film i nie potrafił się oderwać.

– Kiedy było następne spotkanie?

– Spotkania właściwie nie było, od tamtego czasu nie zamieniłem z nim jednego słowa. Dopiero po wielu latach znów zobaczyłem Gdulę. Byłem studentem, poszedłem na spotkanie z pisarzem, nie przypominę sobie, kto to był, ale Gdula był tam na pewno. Poznałem go, zresztą on się prawie nie zmienił, nie miał tylko munduru, wyglądał tak samo, oczy miał takie same. On cały czas tak samo się cesał, do dziś ma tę samą fryzurę i te oczy, co się zmieniają z dobrych na... zabójcze. Nie wiedziałem, jak się nazywa, gdzie mieszka. Tyle wiedziałem, że muszę za nim iść. Poszedłem i śledziłem go, prawie pół nocy, chodził po knajpach ze swoją żoną. Nie mówi się o tym, ale on miał żonę, jest pisarką, żyje jeszcze. Pisała kryminały, literatura naprawdę niskiej jakości, napisała też scenariusz do tego serialu o nadwiślańskim Bondzie, nieważne...

– Jak się nazywa ta pisarka?

– Łozińska, Anna Łozińska, potem Łozińska-Gdula, a teraz chyba znów tylko Łozińska.

– Wciągnęli w to Ankę! Co za magiel, jakie brudy – wielki pisarz prowadził nieudolną rozmowę z komputerem. Zbity i upokorzony, zatrzymał obraz, wyszedł do kuchni po wodę. Poczul się jeszcze gorzej, otworzył okno, wziął parę oddechów, znów wrócił przed monitor.

– Pan śledził Gdulę z powodu śmierci ojca?

– Tak. To był, jest mój... to moja... nie umiem inaczej. Pamiętam wszystko, dalej pytam jak dziecko, wszystkich ludzi i siebie. Czy wiedzą, że mój ojciec nie żyje, ale już inaczej, tak, że nikt nie słyszy.

– Proszę opowiedzieć o tym, jak pan zdobywał informacje o Jerzym Gduli i co to było konkretnie?

– Różnie wyglądało, czasami bardzo źle, niemoralnie. Najwięcej się dowiedziałem, gdy śledziłem Gdulę. Wiedziałem gdzie mieszka, potem dotarłem i do tego, że jest redaktorem w MON, co było łatwe, chodziłem za nim i sam mnie wszędzie zaprowadził. Ale takie poważne konkrety dostałem dopiero od dawnej sekretarki pułkownika z sądu wojskowego, gdy Gdula już wyjechał. Nie chcę mówić, jak się nazywała, ona chyba jeszcze żyje, w każdym razie była starą panną, mało atrakcyjną, trzeba powiedzieć, i nieszczęśliwą. Ona nie była zła, taka nie bardzo lotna była, nic więcej. Pracowała tam, gdzie i ja się zatrudniłem po studiach. Przypadkiem zgadaliśmy się o Gduli, chwaliła się, że wie o nim wiele, po pijanemu opowiadała, piła strasznie. Spotykałem się z nią wiele razy, ona w każdym mężczyźnie widziała męża, nie znałem wtedy Krysi. No, i ona mi powiedziała. Na początku tylko o pracy w sądzie, o tym jak do niej przychodził i prosił o pomoc w prokurowaniu różnych oskarżeń, jak jeździł do Informacji i na wyroki.

– Edyta! Sekretarka Litmanowicza, w końcu znalazła kogoś dla siebie. Kto się w tym babrze? Dlaczego? Kto mi to przysłał? – wściekał się, miał ochotę pluć na monitor, pomyślał o tym.

– Pan mówił o egzekucjach i o zamachu na jakiegoś majora Informacji. Wie pan, kim on był?

– Egzekucję pamiętam. Na pewno chodziło o majora Stafieja, zapamiętałem nazwisko, sprawa była przecież głośna. A z tym zamachem... Nie było zamachu, ten major z Informacji sam się zastrzelił, szantażowali go romanssem, takim innym, o mężczyznę chodziło, ona nie chciała o tym mówić. Więcej opowiedział mi oficer bezpieczeństwa...

– Jaki oficer?

– Wie pani, jakie to dziwne? Przez całe życie wpadałem na tego człowieka albo na ludzi, którzy go znali. Tak dziwne, że trudno uwierzyć. Spotkałem Gdulę, już jako dziecko, przed i zaraz po śmierci ojca, potem jako student na tym wykładzie z pisarzem. Potem ta sekretarka w pracy i na koniec trafił się oficer z bezpieczeństwa – nasz sąsiad. Mieszkał tu do niedawna, na piątym piętrze. Uwierzy pani? Nie był głupi facet, on starał się być miły, oni po tym wszystkim, jak się pozmieniało, bardzo starali się być mili, nie wszyscy, ale wielu tak. Powiem, jak się nazywał, on sam z tym się nie krył, nie wstydził się swojego dawnego zajęcia. Krzysztof Traszka się nazywał. Zaprosił nas na imieniny, chyba na imieniny, tak na pewno na imieniny, na schodach nas złapał i zaciągnął do siebie. Dużo pił, będzie więcej niż dziesięć lat, jak nas zaprosił, zaraz na początku to było, jak się wszystko w kraju zmieniło. Gdula już był w telewizji, w gazetach, wszędzie był, w szkołach tę jego książkę na listę lektur wciągnęli. Traszka chwalił się, gdy już popił do nieprzytomnego, że żona Gduli sprzedała wielkiego pisarza. Śmiał się, że sama przyszła i powiedziała, kim on jest. Jakoś tak mówił, że go „nordykom wydała”, że w wojnę się przechował u obcych, a żona do getta go posłała. Strasznie się z tego śmiał, nie wiem dlaczego, ale z tego żartował się najwięcej. W sześćdziesiątym ósmym sprzedała męża, gdy się zaczęło szukanie winnych. Traszka całkiem był pijany i ja ich opowieściom nie wierzę, ale pokazał mi dokumenty. Miał ich całą szafę, szantażował swoich agentów, Łozińską też. Wcale nie kopie miał, same oryginały, widziałem i Krysią też, on pokazywał te dokumenty niejednemu. Z gazet przychodzili i tacy, co ich w telewizji widać.

– Szefer nie przesadzał, naprawdę to widział. Siebie zdradziła, siebie sprzedała – znów poczuł pragnienie i brak powietrza, podszedł do kuchni i powtórzył wszystkie czynności z poprzedniej wizyty.

– A ten major, co Gdula miał go z pułkownikami szantażować? Co z nim? Mówił pan, że Traszka więcej powiedział.

– Nie, ja o Gduli myślałem, że o nim więcej powiedział, o tamtych chyba nic nie wspominał. Nie wiem, może sobie jeszcze przypomnę, taki major był na pewno i zastrzelił się na pewno.

– Proszę opowiedzieć o rodzicach Gduli. Był pan u nich?



– *To nie rodzice...*

– *Jak to? Mówił pan, że Traszka pokazał panu adres.*

– *Znałem adres, to znaczy miejscowość tylko, wieś. Oni nie byli jego rodzicami, ci ludzie go przechowali, jak była wojna, a swoje nazwisko dali mu już po wojnie. Jego prawdziwi rodzice mieszkali w Przemyślu i nazywali się Szulc. Prawdopodobnie zginęli, jak getto likwidowali, tego nikt nie wie, Gdulowie też nie wiedzieli. Była jeszcze siostra Berka Szulca, ona ocalała na pewno, uciekła do Ameryki, ale też nie wiem, co się z nią stało. Nigdy o niej nie wspominał, ani o niej nie było słyhać. Może nie żyje, przecież niemożliwe, żeby nie słyszała o swoim bracie, prawie w całym świecie go znają, chyba, że nie chciała go znać.*

– *Czy pan pytał tych ludzi o książkę Gduli?*

– *Oni niczego złego o nim nie powiedzieli, jednego słowa. O książce wiedzieli i czytali ją wiele razy, Gdulowa czytała, nauczyła się czytać już po wojnie, bo to zwykli ludzie, tacy ze Wschodu, parę morgów i żadnej szkoły. Widzieli Gdulę w telewizji, mieli na kasecie jego wywiady, chociaż to już bardzo starzy ludzie byli. Jan Gdula obsługiwał magnetowid jak fachowiec, on się cieszył z tego filmu i że sam potrafił wszystko odtwarzać. W domu Gdulów same wynalazki, robiło wrażenie, wideo i magnetofony, a wszystko Jan Gdula obsługiwał. Mieszkali koło Głogowa, na wsi za Głogowem, ten film i książkę pokazywali sąsiadom. Chwalili się Gdulą jak dobrym dzieckiem, tak jak kochająca matka zawsze się chwali, chociaż wszyscy wiedzą, że jej syn siedzi w więzieniu albo przepija ostatni grosz z matczynej renty. Aniela Gdula czytała książkę i tży miała w oczach, mówiła, że taka była straszna wojna, że takie dzieci biedne były i że tak się naprawdę działo. Pytałem czy tak traktowali swojego przybranego syna, jak on opisał? Wtedy Jan Gdula mówił, że znalazł chłopca w lesie, że im bardzo pomagał, że był dobrym dzieckiem i posłusznym. Oni nic złego nie chcieli o nim mówić, jak tylko słyszeli, że coś jest nie tak, zaraz opowiadali swoje, jakby nie słyszeli, nie chcieli słyszeć, co się do nich mówi. Nie wierzyli, że się ich wyrzekł, że skazywał ludzi na śmierć, powtarzali, że źli ludzie całe życie go krzywdzili, najpierw Niemcy ścigali, potem swoi z domu wypędzili. Nigdy nie zapomnę tej rozmowy, oboje opowiadali prawie dzień po dniu, jak było w czasie wojny, co lubił jeść, jak się modlił i śmiesznie mylił, a potem to już nie zjadł, jeśli się nie przeżegnał i nie zasnął, jak pacierza nie zmówił sam z siebie. Niesamowite było przeżycie, oni tak kochali tego człowieka, że ciągle widzieli w nim tamto dziecko znalezione w lesie i cieszyli się, że na takiego sławnego wychowali, co pisze książki i w telewizji występuje. Niesamowite przeżycie.*

– *Co oni z tego mogli zrozumieć? Nie mają pojęcia o pisaniu, czytać nie potrafią! Oni żyją? Przeżyli? Przecież to kłamstwo, oni nie mogą żyć! – znów krzyczał do monitora.*

– *Kiedy pan się zorientował, że Jerzy Gdula nie miał nic wspólnego ze śmiercią pana ojca?*

– *Wcześniej, bardzo wcześniej, tak jak mówiłem, sekretarka pułkownika wiedziała od początku, kto odpowiada za śmierć mojego ojca, to był ten Kapis, major Informacji, ten sam, którego Gdula z dwoma pułkownikami szantażował. O! Widzi pani, przypomniało mi się! Kapis się nazywał ten major, co pani pytała! Wyrok na ojca wydał ktoś inny, ale katem był major Kapis i tego właśnie Gdula z tymi dwoma szantażował. Może jednak ta Edyta... znaczy ta... sekretarka, no, nie wiem, kto mi powiedział, nie pamiętam, ale Kapis na pewno się nazywał.*

– *W takim razie dlaczego pan nadal śledził Gdulę?*

– *Pani się zdziwi, ale Gdula był dla mnie kimś ważnym, bardzo ważnym. On przyczynił się do śmierci zabójcy mojego ojca, jedyna sprawiedliwość, skomplikowana, pokrętna, mimo wszystko sprawiedliwość. Taka, widzi pani, sprawiedliwość, że człowiek zapomina, jak było, jedno nazwisko i tyle wydarzeń. Mnie się nie myli, mnie się wszystko kotłuje. Gdulę traktowałem jak sprzymierzeńca, on najmocniej ukarał zabójcę ojca, to on był tym, który przyczynił się do sprawiedliwości. Widzi pani, nawet nazwisko mordercy ojca zapominam, a nazwisko Gduli pamiętam zawsze. Wiem, kto to jest i co robił, wiem o nim bardzo wiele, śledziłem go i zdobywałem kolejne informacje. Od tego wszystkiego człowiek zapomina, że*

zbrodniarz zbrodniarza rozliczył, a i ja sam – jak oni – szpiclowałem, takie marne myślenie, gdy ból zamroczy. Najważniejsze było dla mnie, co zrobił, reszty nie chciałem znać, nie chciałem słyszeć, dopiero teraz, kiedy już się uporałem, gdy już głośno nie pytam ludzi, czy znali mojego ojca uważam, że to mój obowiązek. Chcę spłacić swój dług, Gdula zabijał, bo tak trzeba mówić o procesach sądowych z tamtego czasu, to były zabójstwa, bezprawne, nawet jeśli brać pod uwagę ówczesne prawo i muszę o tym mówić. Na pewno jest ktoś, syn, córka, brat zamordowanych, którzy znają Gdulę jako wybitnego pisarza, nie mordercę.

– Jak śmiesz gówniarzu! Pamiętam twoją mamusię gnoju! Wy i wasza marna historia, obszarpańcy z kanału! Kapis to dla takich jak ty, ratowałem ci dupę, nie masz o tym pojęcia gówniarzu. – Oddech przychodził z coraz większym trudem, woda nie pomagała, Jerzy czuł się fatalnie, nie potrafił zbudować jednej spójnej myśli. Oglądał kolejne fragmenty i bladł, drżał, bał się o siebie, jak kiedyś, gdy trząsał się pod krzakiem.

– Nie powiedział pan o trzeciej grupie.

– Nie powiedziałem i chyba nie chcę mówić.

– Proszę powiedzieć, to ważne.

– Oni wszyscy, ci pułkownicy i oficerowie, Jerzy Gdula, właściwie Berek Szulc, Minz, Litmanowicz i wielu innych, wszyscy byli z jednego pnia, z jednego narodu i jednej wiary. Potem stracili wiarę i nie przyznawali się do narodu, za to mścili się na innym narodzie i wierze. Oni wszyscy uważali, że wojna i to, że były getta i obozy, było możliwe dlatego, że Niemcy mieli sojuszników takich jak Gdulowie. Oni wszyscy uważali tak wtedy i wielu uważa do dziś. Tego nie wolno głośno powtarzać, nikt dotąd oficjalnie nie powiedział, że miał miejsce rewanż za dawne prześladowania, co jeszcze można zrozumieć. Ale przecież byli tacy jak Gdulowie, którym ten wielki pisarz-moralista zawdzięczał życie, ci ludzie uratowali go, a on potem prześladował i poniewierał wszystkich. Wśród ofiar znaleźli się tacy oficerowie jak mój ojciec, który w czasie wojny podpisywał wyroki śmierci na donosicieli i szmalcowników. Musieli o tym wiedzieć, mimo wszystko nienawidzili tak bardzo, że mścili się na całym narodzie, całej religii i tak jest w niezliczonych przypadkach do dziś. Ta trzecia grupa jest z boku, mówi się o niej, że nieważne kim są, bo po prostu są dobrzy i źli ludzie, nie ma znaczenia, jak się nazywają i w co wierzą. Brzmi ładnie, tylko nie jest prawdą, ma olbrzymie znaczenie, kim byli i w co wierzyli. Przed wojną wielu z nich było religijnymi ortodoksami, uważali, że są wybrani, przez jedyne i swojego Boga, takiego tylko dla nich. Nagle się okazało, że muszą się uczyć modlitw innej religii, zawsze uważanej za wrogą, w najlepszym razie gorszą. Nauczyli się gorszych modlitw, bo chcieli przeżyć, ich wielki Bóg pozostawił swój lud, upokorzył podwójnie, świecko i religijnie. Znienawidzili ludzi i gardzili religią, również własną, ale przede wszystkim nienawidzili tej, która ich upokarzała. I tak wszyscy z gorszej wiary, nawet wybawiciele, stali się wrogami. To był rewanż na narodzie i obcym bogu za upokorzenie własnego narodu i jedyne Boga, to było upokorzenie oddane za upokorzenie. A tam, gdzie jest zemsta, pojawia się bezmyślność, okrucieństwo i śmierć niewinnych. Tak było, takie były przyczyny i bardzo wielu sędziów, informatorów, funkcjonariuszy należało do tej trzeciej grupy, oni się zawsze trzymali razem, bez żadnej umowy, łączyło ich dawne upokorzenie. Mnie nie zależy, aby z tego robić najważniejszy argument, ale żeby zrozumieć, co się działo i dlaczego się działo, nie można nie wspominać o tej bardzo ważnej, nie tak dużej grupie, jednak najpotężniejszej ze wszystkich.

– Dość! Kurwa! Dość bydlaku! Koniec z tobą! Dość tego gnoju! Dość! – wybiegł do kuchni, wcześniej zatrzymał film. – Andrzej, trzeba zadzwonić do Andrzeja, trzeba...zatrzymać – krzyczał do siebie, pochłaniając kolejną szklankę wody i hausty powietrza. Chwycił za telefon, by natychmiast zrealizować zamysł.

– No, nie uwierzysz, miałem do ciebie dzwonić, właśnie teraz, już się zbierałem – entuzjastycznie wykrzyczał głos w słuchawce, zanim Jerzy zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Jest wielka rzecz, genialna wręcz, o tobie, trochę o nas! Słyszałeś może? Widziałeś?
- entuzjazm Szefera narastał.
- Nie – odpowiedział Gdula i poczuł się gorzej. – Dostałem jakiś anonim, płytę komputerową. Nie uwierzysz, co tam jest. Sam nie wierzę.
- Jaką płytę, Jurek? Słuchaj czy ty się dobrze czujesz? Tak słyszę, jakbyś ciężko oddychał. Dobrze się czujesz? – głos nie był już entuzjastyczny, zmienił się w niespokojny.
- W porządku, trochę jestem zdenerwowany. Wiesz ten film, ta płyta, nie chciałem tego oglądać, tylko ten tytuł był taki inny: „Policzeni wagonami” i oglądam właśnie...
- odpowiedział chaotycznie, ciężkim głosem.
- A to już wiesz?! Szkoda, chciałem, żeby inaczej wyszło. Nie udało się, trudno! Na pewno dobrze się czujesz? – upewniał się Szefer.
- Co z tym zrobimy? Ktoś już to widział? – pytał przerażony Gdula.
- Nie żartuj! Wszyscy widzieli! Reklamowaliśmy film z Korzunem! Aaaa! Ty nie znasz go chyba? Nieważne. Film stał się zjawiskiem, kultowy, jak to się mówi, ta mała...Brosik... jest genialna i ci ludzie, co ich znalazła, co za ludzie.
- Andrzej, co ty mówisz? Andrzej, co ty pieprzysz?! – Jerzy łapał oddech.
- Nie denerwuj się, zrobimy nową reklamę, pójdziemy z tym na Zachód, zasługujesz. Prawdziwy film o tobie, o nic się nie martw, biorę wszystko na siebie, świat musi zobaczyć prawdziwą historię Jerzego Gduli.

Berek Szulc wcisnął czerwony przycisk na telefonie, pamiętał i kojarzył tyle, że w ten sposób rozłączy rozmowę, niczego więcej już nie kojarzył i nie wiedział. Tylko zdawało mu się, że telefon pulsował przerywanym sygnałem, dziwnym, irytującym piskiem. Ostatnia myśl była półprzytomna i niejasna:

- Mam telefon, za coś, muszę jeszcze raz, gdzie jest mundur...

\*\*\*

Kobieta w białym fartuchu zajęła się pośpiesznym odłączaniem kroplówek i kabli respiratora, widać było, że nie znosi tych czynności i chce mieć wszystko jak najszybciej za sobą. Do sali weszła inna pielęgniarka, wyglądała prawie identycznie, w tym samym wieku, podobnej postury. Wchodząc, spytała:

- Need help? <sup>1</sup>
- It's over! I hate it... <sup>2</sup> – odpowiedziała ta przy łóżku.
- Who's that? <sup>3</sup>
- I don't know, nobody, some Pole. An actor or someone like that. <sup>4</sup>

---

<sup>1</sup> Pomóc ci?

<sup>2</sup> To koniec! Nienawidzę tego...

<sup>3</sup> Kto to jest?

<sup>4</sup> Nie wiem, nikt, jakiś Polak. Aktor albo ktoś taki.